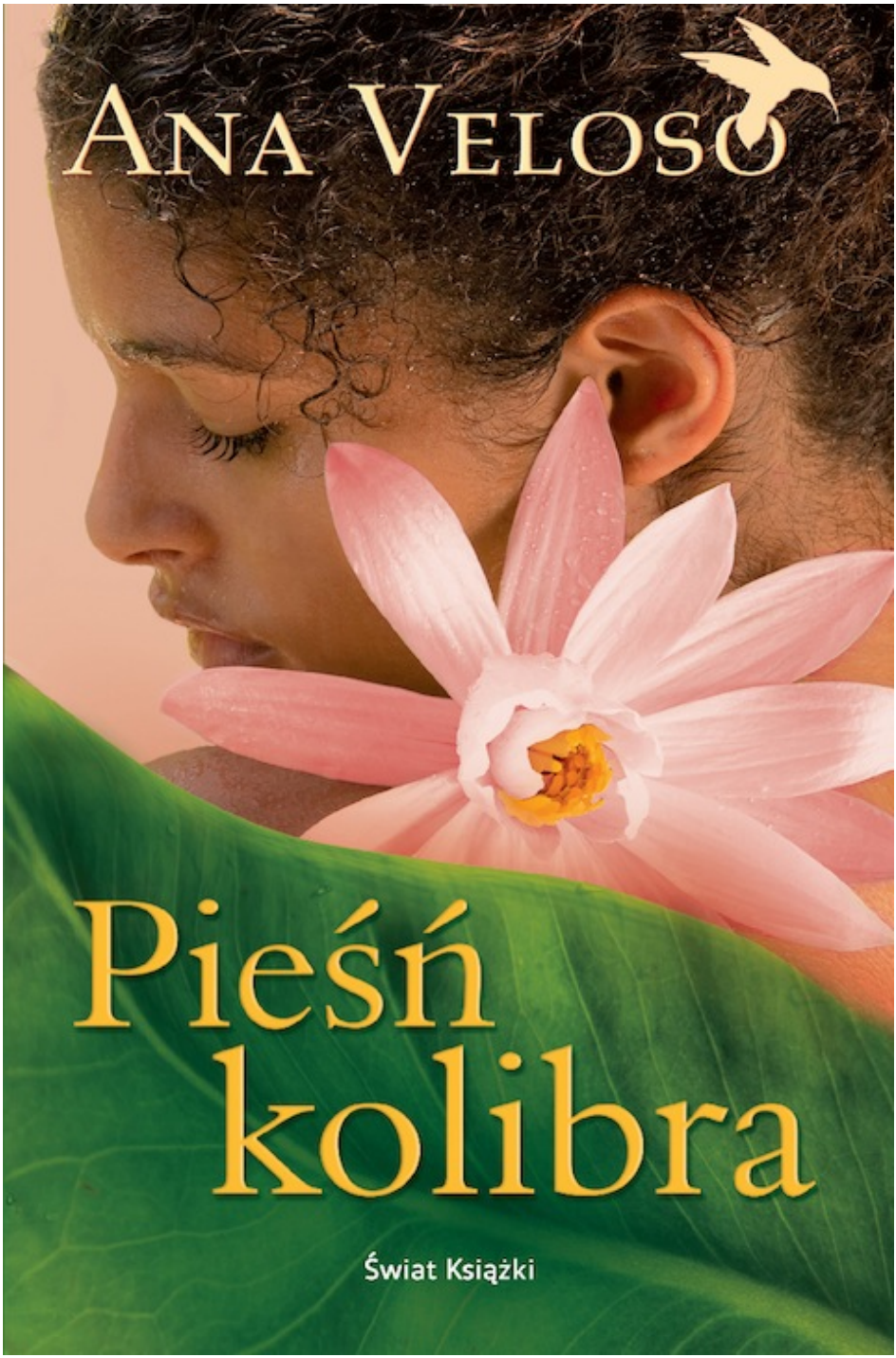

Ana Veloso
Pieśń kolibra
Świat Książki

Ana Veloso

Pieśń kolibra

Z niemieckiego przełożyła
Magdalena Jatowska

Świat Książki

Część I

1

Przykrości groziły jej z trzech stron.

Po prawej Lua dostrzegła zbliżającą się obłąkaną Imaculadę, która wbiła w nią wzrok i kuśtykała prosto ku niej, Bóg jeden wie dlaczego. Dziewczyna nigdy nie zamieniła ze starą niewolnicą ani słowa i nie widziała powodu, dla którego miałoby się to zmienić. Imaculada od wieków należała do São Fidélio, podobnie jak skrzypiące schody wiodące na strych domu. I tak samo jak schody była zniszczona i postękująca. Wzbudzała w Lui lęk, więc ta nie chciała mieć ze staruszką do czynienia.

Z lewej nadchodził senhor. Wyglądało na to, że chce przydzielić Lui kolejne bezsensowne zadanie, w rodzaju tych, które pozwalały mu spędzić z nią nieco czasu sam na sam. W dziewczynie powoli rodziło się podejrzenie, że senhor celowo odrywa guziki u koszuli, tylko po to, by kazać Lui, żeby udała się za nim do pracowni i szybko je przyszyła. Miał przecież także inne niewolnice, znacznie sprawniejsze w tego rodzaju pracach. Na spotkanie z senhorem miała równie mało ochoty co na spotkanie ze starą Imaculadą.

Aby zejść obojgu z drogi, mogła ruszyć naprzód lub zawrócić do szopy. Nagle dostrzegła jednak, że niebezpieczeństwo grozi jej również z zupełnie nieoczekiwanego kierunku – z góry. Spadał na nią właśnie lotem nurkowym latawiec. Kury rozbiegły się, gdacząc głośno, gdy Lua przemknęła między nimi, próbując uciec przed latającym monstrum. Obawiała się, że przy silnym wschodnim wietrze mały synek praczki nie będzie umiał zapanować nad samodzielnie zrobionym latawcem. Mimo to nie zwracała wcześniej uwagi na poczynania dziecka, ponieważ ufała, że jego matka przyjdzie mu z pomocą na czas.

Wpadła prosto w ramiona Imaculady. Za sobą słyszała szereg odgłosów, po których mogła się domyślić, co zaszło – krzyki senhora, omal nie trafionego przez latawiec, harmider przestraszonych kur oraz wrzask praczki, karcącej niesfornego synka. Potem rozległ się płacz chłopca, bo latawiec najwyraźniej zawisł roztrzaskany w gałęziach

drzewa cajú.

Lua nic jednak z tego nie zobaczyła, bo Imaculada bezlitośnie przykuła ją spojrzeniem.

– Ja wie, że ty się nadać – powiedziała. – Wiatr też wie.

Lua słyszała od innych niewolników z São Fidélio, że Imaculada należy do grona ludzi, których sprowadzono do Brazylii prosto z Afryki. Wszyscy pozostali przyszli na świat już tutaj. Nie powinno zatem Lui dziwić, że stara słabo mówi po portugalsku, mimo to dziewczyna była zaskoczona. Język staruszki nasilał dodatkowo wrażenie obcości, które brało się z jej gestów i spojrzeń. I co to w ogóle miało znaczyć, że się nada? Do czego? Czyżby Imaculada naprawdę wierzyła, że to nie głupi przypadek sprowadził do niej Luę, tylko gorący wschodni wiatr, o którym mówiono, że wieje prosto z Afryki?

Głos Imaculady był równie pozbawiony wyrazu jak jej mina. Lua nie ośmieliła się jednak jej sprzeciwić. Być może autorytet płynący z wieku sprawił, że gdy staruszka chwyciła ją za ramię, podążyła za nią bez słowa. Może obawiała się także, iż prawdziwe są pogłoski, jakoby podstarzała niewolnica miała magiczną moc. Lua przeżegnała się w duchu.

Imaculada poprowadziła dziewczynę za dom, na kamienną ławkę, na którą o tej porze, po południu, padał cień budynku. Ta strona była zwrócona do wiatru. Silny powiew uniósł spódnicę Imaculady i odsłonił jej chude, żylaste łydki. Widok ten dziwnie poruszył Luę. Staruszka nakazała jej usiąść, ale na myśl o grożącej za to karze ta ośmieliła się wreszcie sprzeciwić.

– Jezusie, Maryjo! A co, jeśli senhora nas tu przyłapie? Wiesz, że może kazać nas wychłostać, jeśli tylko przyjdzie jej ochota. Nienawidzi, gdy niewolnicy próżnują, a jeszcze bardziej brzydzi ją myśl, że swoim cennym zadkiem mogłaby dotknąć tego samego miejsca, na którym siedział czarny tyłek.

Stara niespiesznie pokiwała głową.

– Ty dużo się uczyć. Dużo, dużo.

Lua czuła się niepewnie. Czy miało to znaczyć, że dużo się już nauczyła? Wielu portugalskich słów, których Imaculada pewnie nie rozumiała? A może chodziło o to, że Lua musi się jeszcze wiele nauczyć?

Imaculada usiadła na ławce i ścisnęła dziewczynę za ramię tak mocno, że ta musiała pójść za jej przykładem i usiąść, ale ze strachem rozejrzała się dookoła. A jeśli ktoś je zobaczy i doniesie państwu? Na przykład gruba Maria, która prześladowała wszystkie dziewczęta ładniejsze od niej? Albo służalczy João, który zrobiłby wszystko, aby zyskać pewne korzyści w Casa Grande?

Nie zobaczyła wprawdzie nikogo, ale niewiele to znaczyło. W São Fidélio nigdy nie było się samemu. Tego Lua nauczyła się

w ciągu osiemnastu lat, które spędziła na fazendzie. Plantacja trzciny cukrowej ciągnęła się daleko za horyzont, a na polach i w puszczy można było czuć się bardzo samotnie. Jednak w samej posiadłości, składającej się z Casa Grande, domu właścicieli, oraz budynków gospodarczych i senzali, skrzydła dla niewolników, mieszkało około dwustu osób, w tym tylko pięcioro białych. Co najmniej jedna czwarta niewolników przebywała zawsze w głównym budynku lub w jego pobliżu; pracowali w domu, w kuchni, pralni, stajniach, kuźni, sadzie, przy młynie do manioku lub przy prasie do trzciny cukrowej. Poza tym byli tu także rekonwalescenci, matki w połogu, małe dzieci, starcy i inne osoby, które z różnych powodów nie nadawały się do pracy.

Lua już w dzieciństwie zrozumiała, że jeśli chce spokoju, musi oddalić się jak najbardziej od domu. Pewnego razu podkradła książkę sinhazinhy Eulálii, by ją po kryjomu przeczytać, ale już po trzech stronach poczuła uderzenie rózgi. Przyłapała ją guwernantka, odbywająca właśnie swój „spacer na trawienie", jak go nazywała. W południe żadna osoba o zdrowych zmysłach nie wychodziła dobrowolnie z domu, z wyjątkiem Lui i tej okropnej kobiety, więc szybko się na siebie natknęły. Innym razem, gdy Lua miała trzynaście lat, chciała spotkać się sam na sam z ładnym chłopcem, który, niech Bóg ma go w swojej opiece, zginął ubiegłego roku podczas próby ucieczki. Wtedy przeszkodził im pies i goniący za nim trzej malcy.

Nie było zatem wskazane, by w pobliżu domu oddawać się jakimkolwiek zajęciom, które wymagały prywatności. Tajemnicze zachowanie staruszki nie wróżyło niczego dobrego. Ciekawość Lui zwyciężyła jednak strach przed karą, więc dziewczyna, siedząc na ławce, spojrzała pytająco na Imaculadę.

– Ja umiera – powiedziała stara tonem, jakim równie dobrze mogłaby oznajmić, że tego dnia, podobnie jak w ciągu ostatnich trzech miesięcy, świeci słońce.

– Och! – wyrwało się Lui.

– Nie źle. Ja wróci do przodków i dzieci do rzeka Kubango, do Ndongo.

– Och... – odezwała się ponownie Lua.

Cóż innego mogła odpowiedzieć na takie słowa? Nie miała ochoty słuchać sentymentalnych wspomnień starej. Nie chciała dowiadywać się niczego o niej, jej rodzinie i jej pogańskich korzeniach. Każde dziecko wiedziało, że Afrykańczycy to dzikusy. Poganie i kanibale, prawda? Niewolnicy mogli uważać się za szczęśliwych, że uciekli od Czarnego Lądu i tamtejszych bestialskich obyczajów. Miłość Jezusa Chrystusa i opieka senhora wynagradzały przecież po stokroć fakt, że nie byli wolni. Lua zgadzała się w pełni z opinią padre, który wygłaszał coniedzielne kazania. Mówił podczas nich, że wolność jest dobrem, które wcale nie służy czarnym. Poza tym nie czuła się czyjąś

własnością, chociaż oczywiście stało tak na papierze.

– Ty robi głupio, ale ty jest mądra. Ty pisać.

– Nie, to nieprawda – odparła Lua.

Imaculada wreszcie poruszyła temat, na który Lua mogła się wypowiedzieć, ale nie zamierzała zdradzać swojej tajemnicy, tajemnicy, najwyraźniej wcale nie tak dobrze strzeżonej, jak się dziewczynie wydawało. Lua umiała bowiem czytać i pisać, w dodatku, jak uważała bez fałszywej skromności, bardzo dobrze. Próżność to grzech śmiertelny – uczył padre – ale jeszcze większym grzechem było, gdy niewolnicy uczyli się pisać i czytać. Z tego powodu Lua nigdy nie przyznałaby się obcej, w dodatku tak napawającej strachem osobie jak Imaculada, że rzeczywiście posiadła tę umiejętność. Jedyną osobą na świecie, która wiedziała o zakazanych umiejętnościach Lui, była jej przyjaciółka Fernanda, ale tę niewiele one obchodziły. Po co umiejętność czytania, jeśli nie miało się książek? Było w tym sporo racji. Lui udawało się jednak zdobyć czasem dostęp do lektury, o czym nie wiedziała nawet Fernanda.

– Ty robi głupia, to być mądra. Ale Kasinda wie. Ty pisać historia Kasindy.

– Kim jest Kasinda? – spytała Lua, choć odniosła wrażenie, że stara mówi o sobie.

– Kasinda moje afrykańskie imię. Imaculada nie jest. – Mówiąc to, staruszka splunęła na ziemię przed Luą, z twarzą wykrzywioną nienawiścią.

– Chcesz zatem, żebym spisała twoją historię? Czemu miałoby to służyć?

Imaculada popatrzyła na nią z niedowierzaniem i zaczęła wyrzekać w swoim bełkotliwym języku, że Lua jest najwyraźniej jeszcze głupsza, niż się wydaje, i że ona bardzo się na niej zawiodła. Jej historia zasługuje na to, by ją spisać, a Lua powinna czuć się zaszczycona, że została wybrana, ponieważ dzięki przekazanej wiedzy może zyskać wielką mądrość. Tyle przynajmniej zrozumiała Lua z potoku słów usianego wyrażeniami w nieznanym jej języku.

– Powiedziałam ci przecież, że nie umiem pisać. A nawet gdybym umiała, nie mam papieru ani ołówka, żeby to zrobić.

Imaculada uśmiechnęła się chytrze, sięgnęła za pas spódnicy i wyjęła brulion oraz węglowy rysik.

– Ty zaczyna. Teraz. Nie ma dużo czas, ja umiera.

Mówiła drżącym i chrapliwym głosem, ale bardzo zdecydowanym tonem, a spojrzenie jej małych, bystrych oczu było ostre. Czy jeśli Lua nie spełni jej życzenia, rzuci na nią klątwę? Lua musiała się zgodzić, na dobre czy na złe. Mogła przecież po prostu napisać coś innego niż to, co opowie stara, która i tak nie będzie umiała tego przeczytać.

– No, dobrze – rzekła niechętnie. – Daj mi przybory do pisania.

Imaculada podała jej rysik i zeszyt, a dziewczyna zerknęła na jej okaleczoną dłoń. Mówiono, że staruszce brakuje palca, ale krążyły na ten temat najróżniejsze pogłoski. Imaculada zawsze jednak trzymała swoje dłonie o grubych żyłach i guzowatych palcach tak umiejętnie, że nie można było dostrzec rzekomego braku.

Luę ogarnęło nagle uczucie szczęścia, ponieważ dawno już nie miała okazji pisać. Sprawiało jej ogromną przyjemność czuć w lewej dłoni rysik i wdychać zapach papieru. Ponownie rozejrzała się wokół. Gdyby została przyłapana z tymi zakazanymi przedmiotami, pociągnęłoby to za sobą znacznie gorszą karę niż za samowolne siadanie na kamiennej ławce.

– Nikt nie idzie. Wszyscy boi się Kasindy – wymruczała stara.

Zapewne miała rację. W każdym razie żaden niewolnik nie ośmielał się do niej zbliżyć. Nie było też możliwe, by zabłąkał się tu ktoś z rodziny Oliveirów. Dona Ines miała gości, dom Felipe prawdopodobnie już dawno upatrzył sobie inną ofiarę, sinhá Eulália unikała słońca, a młody sinhô Manuel z pewnością ślęczał znowu nad kolumnami liczb w księgach rachunkowych. Najstarszy syn, Carlos, przyjeżdżał tylko na soboty i niedziele.

– Zaczynaj – poleciła Lua nieco szorstko, aby nie dać po sobie poznać, że bardzo cieszy ją możliwość pisania.

– Moje imię Kasinda – zaczęła stara.

Lua notowała pilnie, choć odpowiednio poprawiała jej wypowiedzi. Na co zdałaby się komu historia pełna obcych wyrazów i napisana tak błędnymi zdaniami, że trudno je było zrozumieć?

– Ja jest dziewiąta córka wielki wódz Mukua-nguzu i trzecia żona Nzinga. Ja bardzo piękna i bardzo mądra. Czternaście lat ja poślubia dumny wojownik.

Lua słuchała. Stara wiedźma snuła pewnie jakąś bajkę, jednak wbrew własnej woli dziewczyna zaczęła ulegać czarowi opowieści. Pisała pospiesznie, co wymagało dużego wysiłku, bo musiała najpierw zrozumieć, a potem odpowiednio sformułować to, co usłyszała.

Jeżeli ktoś pewnego dnia znajdzie niepozorny zeszyt, w którym Lua zanotowała opowieść, mogła tylko mieć nadzieję, że wybaczy jej, jeśli afrykańskie imiona nie zostały zapisane poprawnie, a prosty język Imaculady uległ zniekształceniu. Chciała, by czytelnik zrozumiał, że starała się jak najlepiej oddać losy Imaculady i sprawić, by jej historia nie została zapomniana.

2

Moje prawdziwe imię brzmi Kasinda. Jestem dziewiątą córką poważanego wodza Mukua-nguzu i jego trzeciej żony Nzingi. Byłam bardzo piękną i mądrą dziewczyną, więc w wieku czternastu lat zostałam wydana za dumnego wojownika Uanhengę. Mój mąż był znacznie lepszą partią niż mężowie moich starszych sióstr, ale wtedy nie wiedziałam jeszcze, jakie nieszczęście z tego wyniknie.

Uanhenga był dobrym mężem. Bił mnie tylko wtedy, gdy dałam mu duży powód do zmartwienia, i leżał ze mną co noc, jak nakazywały jego obowiązki. Byłam mu oddana i po dziewięciu miesiącach urodziłam pierwszego syna. Był to silny, zdrowy chłopiec, którego nazwaliśmy Chilala. Kochałam to dziecko bardziej, niż powinnam. Ubóstwiałam Chilalę i poświęcałam mu więcej uwagi niż pozostałej trójce dzieci, które przyszły na świat w pierwszych latach naszego małżeństwa. Było to jeszcze dwóch synów i córka.

Uanhenga dbał o nas. Mieliśmy też szczęście, że omijały nas susze i powodzie, więc wszystkie dzieci rosły zdrowo i wspaniale się rozwijały. Uanhenga mógł wziąć sobie inne żony, ale chciał tylko mnie, co napawało mnie wielką dumą. Pomimo młodego wieku wkrótce zostałam jedną z najbardziej poważanych kobiet w naszym kraalu, i to nie tylko ze względu na moją pozycję jako żony Uanhengi. Byłam bardzo pracowita, gospodarowałam rozważnie i odkładałam dość zapasów na złe czasy. Stałam się biegła w sztuce leczenia i w wyrobie wina palmowego. Poza tym umiałam czytać tropy, więc pewnego razu uchroniłam wioskę przed atakiem samotnego słonia. Po tym wydarzeniu zyskałam opinię jasnowidzącej. Pozwalałam ludziom w to wierzyć. Oczywiście, nie potrafiłam przepowiadać przyszłości, ale byłam pojętna i bardzo sprytna. Jeżeli zna się zachowania ludzi i zwierząt, zazwyczaj wystarcza to, by przewidzieć, co się wydarzy. Jedynie w wypadku mojej siostry Thandeki moja rzekoma moc jasnowidzenia zawiodła, co doprowadziło do tego, że straciłam rodzinę i omal nie straciłam życia.

Przebywałam w buszu nad brzegiem Kubango, gdzie szukałam korzenia rzadko spotykanej rośliny, którego sok pomagał na problemy z trawieniem. Poszłam sama z niemowlęciem przywiązanym ciasno chustą do mojego ciała. Poszukiwania były owocne, nie zakłóciły ich ani głodne gepardy, ani przestraszone węże. Nuciłam pod nosem i dziękowałam mojemu oriszy za szczęście, które mnie spotkało. Postanowiłam jeszcze tego wieczoru złożyć ofiarę, aby bóstwo nadal mi sprzyjało.

Nagle odgłosy lasu, które zawsze mnie uspokajały, zagłuszył inny dźwięk. W moją stronę biegł jakiś człowiek, potykając się i sapiąc, człowiek, który najwyraźniej znajdował się w niebezpieczeństwie, ponieważ w zwykłych okolicznościach my, ludzie z Kambundi, poruszaliśmy się niemal bezgłośnie. Ptaki zamilkły, szelest wśród drzew ucichł, a potem nieoczekiwanie stanęła przede mną moja siostra.

– Szybko, Kasindo, twój syn miał wypadek! Chilala prawie utonął, tam, w dole rzeki, przy wielkim baobabie. Chodź szybko, zaniesiemy go razem do domu.

Ze strachu upuściłam tobołek, do którego nazbierałam korzeni. Byłam tak wstrząśnięta, że przestałam logicznie myśleć. Nawet przez chwilę nie zastanawiałam się, dlaczego siostra szukała mnie w buszu, choć znajdowała się znacznie bliżej wioski, skąd mogła sprowadzić pomoc. Nie wątpiłam również w prawdziwość jej słów, mimo że czterolatek, którego zostawiłam pod opieką matki, nie mógł przecież sam zawędrować nad rzekę. W milczeniu udałam się za Thandeką. Jak najszybciej pobiegłyśmy do wskazanego przez nią miejsca, które nie leżało bardzo daleko.

Nie zobaczyłyśmy tam jednak przestraszonego małego chłopca. Stała tam natomiast grupa nieznanych mi mężczyzn, spoglądających ponuro. Nie należeli do naszego ani do zaprzyjaźnionego plemienia, ponieważ mieli ozdobne blizny, jakich nigdy wcześniej nie widziałam. Jeden z nich rozumiał najwyraźniej nasz język, ponieważ Thandeka zwróciła się do niego triumfalnie:

– Oto ona. Czy obiecywałam zbyt wiele? Młoda, silna, piękna i chętna, by mieć dzieci.

Mężczyzna podszedł i uszczypnął mnie w pośladek. Odtrąciłam jego dłoń, na co on mocno pchnął mnie na ziemię. Moja mała córka zaczęła krzyczeć.

– Daj mi ją – powiedziała Thandeka. – Tam, dokąd idziesz, lepiej ci będzie bez niej.

– Co uczyniłaś, siostro?

Nie mogłam pojąć, co się dzieje. Co prawda docierały do mnie pogłoski, że w naszej okolicy widuje się łowców ludzi, ale nigdy żadnego z nich nie spotkałam. Nie mogłam również uwierzyć, że

właśnie ja miałam paść ich łupem. Handlarze niewolników nie napadali na wioski, to było zbyt niebezpieczne. Chwytali wyłącznie ludzi poruszających się samotnie. W buszu na pewno usłyszałabym ich odpowiednio wcześnie i zdołałabym przed nimi uciec. W najgorszych snach nie spodziewałam się jednak takiego podłego podstępu, takiej pułapki.

– Przynosisz hańbę Uanhendze – oznajmiła Thandeka z wściekłością. – Twój mąż jest pod twoją władzą, nie ośmiela się nawet wziąć drugiej żony. Nie zasłużył na to. A my, kobiety z Kambundi, nie zasłużyłyśmy na to, żeby wydawać się przy tobie brzydkie, głupie i leniwe. Wszystkim nam będzie lepiej bez ciebie. Tam, gdzie cię zabiorą ci mężczyźni, będziesz mogła zabłysnąć swoimi zaletami. Będzie ci dobrze.

Wiele lat później zrozumiałam, że Thandeka mówiła w gniewie, żeby usprawiedliwić sama przed sobą swój nieprzemyślany postępek. Wówczas jednak czułam jedynie bezmierną wściekłość wobec jej zdrady. Oplułam ją, próbowałam ją bić i kopać, ale na znak przywódcy chwyciło mnie dwóch mężczyzn i nie pozwoliło, żebym zrobiła siostrze krzywdę.

Thandeka skinęła głową do przywódcy i wyciągnęła ku niemu otwartą dłoń. Chciała otrzymać zapłatę. Nie mogłam oderwać oczu od tej sceny, ponieważ dobrze wiedziałam, co się teraz stanie. Thandeka zawsze była najgłupsza z moich ośmiu sióstr.

Przywódca chwycił błyskawicznie dłoń Thandeki, wykręcił jej rękę za plecy i szepnął:

– Dostaniesz to, na co zasłużyłaś.

Płakała i krzyczała, błagała mężczyznę, by pozwolił jej odejść. Z pogardą powtórzyłam jej własne słowa:

– Tam, gdzie cię zabiorą ci mężczyźni, będzie ci dobrze.

– Ale... ale miałeś przecież... – wyjąkała Thandeka, zwracając się do przywódcy, który puścił jej ramię i spoglądał na nią z uniesionymi brwiami niczym na nieznanego owada.

Nigdy nie dowiedziałam się, co ci ludzie obiecali mojej siostrze jako zapłatę. Na znak przywódcy pozostali mężczyźni chwycili Thandekę, brutalnie zerwali jej przepaskę i naszyjniki i rzucili na ziemię. Zatkałam uszy i zamknęłam oczy. Pomimo wściekłości na siostrę nie mogłam przyglądać się, jak w straszny sposób zadawano jej gwałt.

Przywódca zmusił mnie jednak, żebym patrzyła. To było okropne. Nie wydałam żadnego dźwięku, ale po twarzy ciekły mi łzy.

– To właśnie spotyka krnąbrne kobiety – powiedział. – Więc zachowuj się dobrze. – Po tych słowach wziął nóż i celnym ciosem przebił mojej siostrze gardło.

Nigdy nie zapomnę widoku, jak leżała w pyle, zhańbiona, okaleczona, z wyrazem bezmiernego przerażenia w szeroko rozwartych

martwych oczach.

Mężczyźni związali mi ręce na plecach i popędzili przed sobą. Później często zastanawiałam się, dlaczego nie uczynili z moją siostrą tego samego, co ze mną, ale nie znajdowałam żadnego dobrego powodu. Thandeka była co prawda głupia, ale jako niewolnica na pewno przyniosłaby im dobry zysk, bo była silna i zdrowa.

Mężczyźni zaprowadzili mnie do swego rodzaju obozu, gdzie zebrali już innych schwytanych ludzi. Obóz ten był dobrze strzeżony, nasi oprawcy uzbrojeni po zęby, a więźniowie zostali spętani. Nawet najsilniejszym i najodważniejszym mężczyznom nie udało się wyzwolić z rąk tych łowców niewolników. Jedynym pocieszeniem był dla mnie fakt, że w obozie nie znalazł się nikt z mojej rodziny. Uanhenga znajdzie sobie nową żonę, a moja matka zapewni dzieciom najlepszą opiekę. Została ze mną jedynie mała córeczka, niemowlę, która bez matki nie miałaby szans na przeżycie. Będę musiała zabrać ją ze sobą, jeśli mi na to pozwolą. Nie byłam tam jedyną matką z dzieckiem, do tej pory jednak żaden ze strażników nie próbował odbierać kobietom dzieci.

Czasami zastanawiałam się, czy dla małej nie byłoby lepiej, gdybym ją wtedy zabiła i powierzyła rodzinnej ziemi, żeby mogli się nią zaopiekować przodkowie, ale nie miałam serca tego uczynić. Gdybym wiedziała wówczas, jaki los czeka mnie i moją córkę, pewnie bym to zrobiła. Kto mógł jednak przewidzieć, dokąd zabiorą nas łowcy ludzi? Nie traciliśmy nadziei, że uda nam się uciec albo trafimy do miejsca, gdzie będzie lepiej niż w obozie.

Po kilku dniach wyruszyliśmy. Blisko pięćdziesięcioro schwytanych ludzi związano razem tak, że tworzyliśmy długi łańcuch. Pognano nas niczym bydło na nadmorską równinę. Przed nami, za nami i obok nas biegli strażnicy, którzy za pomocą pejczów zmuszali nas do poruszania się z taką samą prędkością. Kto upadł i się zranił, był po prostu ciągnięty. W naszej grupie nie było jednak osób starych czy ułomnych. Wybrano tylko młodych i silnych. Mężczyzn było nieco więcej. Mieli tę przewagę nad kobietami, że nie musieli nieść dzieci. Z niemowlęciem przywiązanym do ciała radziłam sobie stosunkowo dobrze w porównaniu z kobietami, którym towarzyszyły dzieci w wieku od trzech do sześciu lat, bo niesienie ich było męczące. Bardzo smutne było też, że dzieci płakały i nie rozumiały, dlaczego źli ludzie tak nas traktują. Nawet błagania najmłodszych nie sprawiły jednak, by te bestie dały nam się napić.

Po marszu przez pół dnia większość nas była u kresu sił i prawie umierała z pragnienia. O zmierzchu zamykano nas w zagrodzie, która najwyraźniej służyła już wielu innym grupom schwytanych, bo była bardzo brudna. Podstawowe potrzeby musieliśmy załatwiać na oczach wszystkich, ponieważ wciąż pozostawaliśmy związani. Było nadzwyczaj

upokarzające, że musimy tarzać się we własnym brudzie niczym świnie. W tych nieludzkich warunkach nie było mowy o śnie. Moimi sąsiadami, biegnącymi w łańcuchu przede mną i za mną, byli prześliczna młoda dziewczyna, może czternastoletnia, oraz olbrzymi mężczyzna, około trzydziestoletni. Oboje pochodzili z różnych plemion, a żadne z nas nie mówiło tym samym językiem, choć wszyscy należeliśmy do ludu Bantu. Przez pół nocy wpatrywaliśmy się posępnie w rozgwieżdżone niebo, dziewczyna cicho łkając, mężczyzna z zaciśniętymi pięściami, ja kołysząc dziecko. Dziewczyna i mężczyzna mieli nie przeżyć marszu na wybrzeże, ale to już inna historia.

Gdy zdziesiątkowani dotarliśmy do celu, oprawcy przekazali nas grupie białych mężczyzn. Ci obejrzeli nas niczym bydło. Oglądali nam zęby, ściskali kobiety za piersi i śmiali się z odsłoniętych genitaliów mężczyzn. Staliśmy przed nimi nadzy i choć przez wiele dni się nie myliśmy, nie cuchnęliśmy nawet w połowie tak paskudnie jak te bezbarwne kreatury w dziwnych strojach plemiennych. Bardzo młode dziewczęta zostały zabrane przez mężczyzn – Portugalczyków, jak się dowiedziałam, choć niewiele mi to mówiło – do nocnego obozu. Pozostałych zamknięto w zagrodzie. Dano nam do jedzenia zgniłe owoce, a do picia cuchnącą wodę. Następnego dnia połowa nas cierpiała na biegunkę, co doprowadzało Portugalczyków do wybuchów wściekłości. Krzyczeli na nas, bili i chłostali, jakbyśmy sami byli winni naszej sytuacji.

Moja córka czuła się dobrze, bo wciąż karmiłam ją swoim mlekiem. Mnie również nie spotkało najgorsze, ponieważ prawie nic nie zjadłam ani nie wypiłam. Przez cały czas żyłam nadzieją, że Uanhenga zjawi się wraz z innymi wojownikami z naszego plemienia i uwolni mnie. Jednak następnego dnia i ta nadzieja zgasła. Wraz z innymi grupami jeńców z różnych części Ngola zostaliśmy załadowani na wielki statek.

Czwartego dnia po moim uprowadzeniu statek odbił od brzegu. Wszystko to zdarzyło się w roku tysiąc siedemset piątym według rachuby czasu zbrodniarzy.

3

– Teraz jest rok tysiąc siedemset sześćdziesiąty drugi. To znaczy, że masz siedemdziesiąt pięć lat! – zawołała Lua, przerywając opowieść Imaculady.

– Tak.

Lua ledwo mogła w to uwierzyć. Był to dla niej wiek niemal biblijny. Mało który niewolnik żył dłużej niż czterdzieści lat, a nawet biali, którzy mogli sobie pozwolić na lekarzy, spokój i opiekę, rzadko dożywali tak późnej starości. Najstarszą osobą, jaką Lua znała do tej pory, była matka jej senhora, dona Isabel, która w ubiegłe lato w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat spadła w pełnym galopie z konia. Przebąkiwano, że celowo jechała tak szybko i nieostrożnie, aby uciec przed trudami starości. Samobójstwo było jednak grzechem, a ponieważ dona Isabel została pochowana w poświęconej ziemi w grobie rodzinnym, Lua uznała, że mimo wszystko był to tylko tragiczny wypadek.

– Lua! – usłyszała rozkazujący głos sinhazinhy. – Lua! Chodź tu natychmiast, ty leniuchu!

– Muszę iść – powiedziała do Imaculady.

Stara skinęła głową.

– Jutro dalej.

– Tak, dobrze. Cieszę się.

To była prawda. Historia Kasindy wciągnęła Luę bardziej, niż mogła przypuszczać. Włożyła brulion i rysik do kieszeni spódnicy i pobiegła do domu, nie oglądając się na Imaculadę.

Sinhazinha, córka właściciela posiadłości, z zaczerwienionymi policzkami czekała na nią w drzwiach na werandę.

– Nigdy cię nie ma, gdy jesteś potrzebna! – narzekała. – Zobacz, jak się zadyszałam, bo próbowałam przesunąć sekretarzyk pod drugą ścianę.

Dlaczego po prostu nie poprosiła o pomoc innego domowego niewolnika? João albo Luís na pewno chętnie by się tym zajęli. Jednak

sinhazinha od dzieciństwa uważała Luę za dziewczynę do wszystkiego. Gdy była jeszcze mała, Lua służyła jej za zabawkę, a później za pokojówkę, praczkę, ustawiaczkę mebli i kucharkę. Sinhazinha miała tak osobliwe nawyki, że nie pozwalała, by inna osoba poprawiła na przykład jej suknię balową, nawet jeśli znaleźliby się niewolnicy bardziej wprawni w takich pracach niż Lua.

Sinhá Eulália nie była złym człowiekiem. Obie młode kobiety były rówieśniczkami i znały się przez całe życie. Eulália miewała jednak czasami bardzo dziwne pomysły, na przykład takie, by co miesiąc przestawiać meble w swoim pokoju.

– Przepraszam, sinhá Eulália – powiedziała Lua jak najbardziej skruszonym głosem. – Stara Imaculada mnie zatrzymała, a wie panienka, co o niej mówią. Nie starczyło mi odwagi, by ją zignorować.

– Po pierwsze, to, co opowiadają o tej starej, to same wymysły i kłamstwa. Jest po prostu starą, złą kobietą. Po drugie, czy musisz zawsze wyrażać się w taki sztywny sposób? Mam niemal wrażenie, że rozmawiam z nauczycielką. Po trzecie, chodź, chcę ustawić sekretarzyk przy ścianie po lewej od okna.

Lua dygnęła grzecznie. Wiedziała, że pani nie oczekuje od niej odpowiedzi, lecz energicznego przystąpienia do pracy. Wiedziała również, że pracę, która na nią czekała, będzie musiała wykonać sama. Sinhazinha będzie się tylko przyglądać i komenderować. Tak to już jednak było. Tak było zawsze i tak na zawsze pozostanie. Na tym polegał naturalny porządek świata, świata, w którym Lua czuła się całkiem dobrze.

Prawie nigdy nie była bita i miała więcej swobody niż wielu innych niewolników. W zasadzie nie czuła się wcale mniej wolna od sinhy Eulálii, ponieważ nie była zmuszana przez rodzinę, by popisywać się śpiewem w towarzystwie, prowadzić rozmowy ze śmiertelnie nudnymi gośćmi czy znosić badawcze spojrzenia paskudnych chłopaków z dobrych domów, którzy byli brani pod uwagę jako kandydaci na męża. Los sinhazinhy nie był lekki i dlatego Lua wybaczała jej kaprysy i chętnie pomagała.

Często wykonywała za nią nienawidzone przez sinhę Eulálię robótki ręczne, oczywiście po kryjomu, ponieważ sinhá Eulália lubiła zbierać pochwały za piękne hafty. Lua bywała też pomocna przy pisaniu listów miłosnych, przy czym rozumiała niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, kilkakrotnie więc musiała powstrzymać się, by nie poprawić błędów ortograficznych sinhy Eulálii. Ta dziwiła się, jak świetnie Lua posługuje się portugalskim. „Skąd znasz wszystkie te słowa?" – pytała albo mówiła: „Gdybyś umiała pisać i czytać, na pewno zostałabyś pisarką". Nigdy nie przyszło jej jednak do głowy, że młoda niewolnica zna alfabet. Gdy jako dziecko Lua była obecna podczas lekcji sinhazinhy, nikt nie zwracał na nią uwagi. Siedziała w kącie cicho

i bez ruchu, widoczna dla każdego, a jednak niezauważana niczym stary mebel.

Gdy zostawała później sama, rysowała litery patykiem na ziemi albo kreśliła je na kamieniu kawałkiem węgla. Uczyła się o wiele szybciej niż sinhazinha i wkrótce zaczęła zakradać się do biblioteki, by czytać potajemnie stare tomy, których treści nie mogła jeszcze zrozumieć. W rezultacie nie straciła jednak zapału do czytania, wręcz przeciwnie – rozbudziło to jej ambicję, by jak najszybciej nauczyć się jak najwięcej, żeby zrozumieć te wszystkie książki. Dziś wiedziała, że kazania padre Antónia Vieiry lub poezje niejakiego Gregória de Matosa nie były dla dziecka najlepszym materiałem do nauki czytania i pisania, wówczas jednak przedzierała się dzielnie przez trudną lekturę. Nigdy nie została przyłapana; rodzina Oliveirów gromadziła książki dla ozdoby, ale ich nie czytała. Gdy ktoś wchodził do biblioteki, Lua udawała, że właśnie ściera kurz.

Z żalem zerknęła na zamknięte drzwi biblioteki, które mijały w drodze do pokoju sinhazinhy. Gdy dotarły na miejsce, na chwilę wstrzymała oddech. W pokoju panowało całkowite spustoszenie. Żaden mebel nie stał na swoim miejscu, ubrania leżały rozrzucone na podłodze, a biżuteria rozsypana na łóżku, które stało krzywo pośrodku pomieszczenia. Przesunięcie sekretarzyka okazało się więc najmniejszym problemem.

– Sama widzisz, co spowodowały te twoje przydługie pogaduszki – zganiła ją sinhá Eulália. – Gdybyś przyszła szybciej, nie przesuwałabym wszystkiego jak popadnie.

– Nic nie szkodzi, sinhazinha, wkrótce będzie tu ślicznie. Gdzie dokładnie ma stać sekretarzyk?

– Ach, Lua, nie udawaj głupszej, niż jesteś! Przecież to jasne, sekretarzyk ma stać tu, łóżko tam, komoda pod tą ścianą, a umywalka w rogu. – Mówiąc to, wskazywała miejsca, w których miały znaleźć się meble.

– W takim razie musimy przewiesić obrazki – ośmieliła się wtrącić Lua. – Ta piękna miniatura Świętej Dziewicy ma nadal wisieć nad sekretarzykiem, prawda? A krucyfiks nad łóżkiem?

– Tak, tak, tak. Zrób więc po prostu to, co powiedziałam. Zostawię cię teraz samą, bo matka już dwa razy mnie wołała. Pewnie obiad dawno wystygł.

Lua znów dygnęła. W głębi ducha cieszyła się, że zostaje sama, ponieważ sinhazinha dostała niedawno od adoratora mały tomik wierszy, a Lua chciała go „pożyczyć". Nowe lektury były rzadkością w tym domu, korzystała więc z każdej okazji, by zdobyć do nich dostęp.

Najpierw zabrała się jednak do przesuwania mebli i sprzątania. Poszło jej szybciej, niż się spodziewała, a gdy wszystko stało już na miejscu, usiadła swobodnie na łóżku i przyjrzała się swojemu dziełu.

Tak, wszystko wyglądało dobrze. Właśnie chciała otworzyć tomik wierszy, gdy przypomniała sobie o zeszycie w kieszeni spódnicy. Miała ochotę wyjąć go i przeczytać, co zapisała. Tu, w ciszy utrzymanego w przyjaznych barwach dziewczęcego pokoju, wszystko to, co opowiadała Imaculada niecałą godzinę wcześniej, wydawało się nierzeczywiste i bardzo odległe. Czy naprawdę przytrafiły się tej kobiecie tak straszne rzeczy? A może stara ubarwiła nieco opowieść, by uczynić ją bardziej ekscytującą albo wzbudzić litość?

Lua postanowiła jednak nie przeglądać zeszytu, co okazało się słuszną decyzją, bo wkrótce potem nadbiegła sinhá Eulália, cicho chichocząc. Lua nie usłyszała, jak nadchodzi. Gwałtownie wstała z łóżka, ale nie wydawało się, by młoda pani zauważyła, co Lua robiła wcześniej. Nawiasem mówiąc, nie zwróciła też większej uwagi na uporządkowany pokój.

– Szybko, Lua, musisz natychmiast upiąć mi włosy. Zobaczyłam, że nadjeżdża Rui Alberto. Właśnie zostawia na dole konia. Nie mamy dużo czasu, żeby mnie wyszykować, a więc zabieraj się od razu do pracy.

Rui Alberto był synem sąsiedniego fazendeiro. Lua uważała go za obiboka, jakich mało, ale jak na białego mężczyznę wydawał się bardzo atrakcyjny. Sinhá Eulália była w nim zakochana po uszy. Czasami do znudzenia opowiadała Lui o jego falistych czarnych włosach, męskiej sylwetce i bladych wytwornych dłoniach. Pewnego razu podczas balu w Casa Grande Lua widziała, jak ci dwoje tańczyli ze sobą, i musiała przyznać, że stanowią bardzo ładną parę. Być może wkrótce zostaną małżeństwem. Lua wiedziała, że dom Felipe i dona Ines byli przychylni związkowi dwojga młodych, bo przecież sąsiednia fazenda była zaraz po ich posiadłości najbogatszą i największą w całej Bahii. W Três Marias również uprawiano trzcinę cukrową, a dodatkowo kakao i tytoń. Obaj senhorowie nie traktowali się jako konkurenci, lecz sprzymierzeńcy. Wspólnie uzgadniali ceny, a wieczorami rozmawiali przy szklance koniaku o koronie portugalskiej i jej absurdalnej polityce podatkowej.

Lua szybko rozplotła warkocz sinhy Eulálii i mocno przeczesała włosy. Nie było czasu na wyrafinowaną fryzurę, ale luźny kok, upięty kilkoma grzebykami i wstążkami, będzie znacznie bardziej efektowny. Nie było łatwo ufryzować młodej pani, ponieważ wciąż się kręciła. Najpierw szukała medalionu, a potem sięgnęła po szkatułkę z kolczykami z pereł. Gdy młoda niewolnica skończyła wreszcie małe arcydzieło na głowie Eulálii, rozległ się dzwonek do drzwi.

– Szybko, jedwabny szal! – szepnęła Eulália.

Lua założyła jej szal na ramiona.

– A teraz trochę koloru na twarz. – Eulália uszczypnęła się w policzki i zagryzła wargi, żeby pięknie poczerwieniały. – Gdzie, do

diaska, schowałaś wodę różaną?! – ofuknęła Luę, która wcześniej uporządkowała wszystko i pochowała rzeczy w nowe miejsca, sama więc musiała się przez chwilę zastanowić.

– Lua, szybko, myśl!

– Hmm... Już sobie przypomniałam, na umywalce. – Pobiegła natychmiast po perfumy, otworzyła flakon i delikatnie skropiła szyję i dekolt Eulálii.

– Gotowe – westchnęła sinhá w tej samej chwili, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Sinhá Eulália – rozległ się głos Fernandy. – Ma panienka wizytę. Sinhô Rui Alberto czeka na panienkę w salonie.

– Och, cóż za miła niespodzianka! Powiedz mu, że zaraz zejdę.

Kroki Fernandy oddaliły się.

– Każę mu chwilę zaczekać – powiedziała sinhazinha i mrugnęła do Lui w lusterku. – Tak mnie przecież uczyłaś, prawda, Lua? Że trzeba kazać starać się o siebie.

– Właśnie tak – odparła Lua i mrugnęła do odbicia swojej pani w lusterku. – Mężczyźni to myśliwi. Nie można się im podawać na talerzu.

– Ach, co tam! – zawołała sinhá i nagle wstała. – Umieram z ciekawości, co go sprowadza! Może chce mnie w końcu prosić o rękę?

– Wtedy pewnie poprosiłby wcześniej o rozmowę z ojcem panienki – ośmieliła się zauważyć Lua, ale Eulália już jej nie słuchała.

Założyła eleganckie satynowe pantofelki, wygładziła spódnice i pospieszyła na dół, nie zaszczycając Lui nawet jednym spojrzeniem.

Lua była znacznie mniej zainteresowana tym, co może oznaczać niespodziewana wizyta. Podążyła za sinhazinhą i stanęła przy drzwiach do salonu, które ze względów przyzwoitości stały otworem. Miała świetny widok na parę gołąbków, siedzących bardzo grzecznie naprzeciw siebie – młody senhor na tapicerowanej ławie, sinhazinha na jednym z foteli, które dona Ines przywiozła z Francji. Ktoś, pewnie Fernanda, przyniósł już poczęstunek, ponieważ na intarsjowanym stoliczku stały szklanki, karafka z lemoniadą i ciasto.

– Chciałbym, żebyś dowiedziała się o tym pierwsza – zaczął Rui Alberto.

Lua nastawiła uszu.

– Rodzice Wyłupiastej organizują bal maskowy i...

Lua straciła ochotę, by przysłuchiwać się rozmowie. Zawsze chodziło o to samo – młodzi państwo rozmawiali tylko o spotkaniach towarzyskich, garderobie lub najnowszych koniach wyścigowych. O swoich rówieśnikach wypowiadali się zwykle w lekceważącym tonie. „Wyłupiastą" była niejaka Isabel, w rzeczy samej dziewczyna o wyłupiastych oczach, która uchodziła za bliską przyjaciółkę sinhazinhy, a ta spędzała z nią długie godziny na wyśmiewaniu innych

„przyjaciółek”.

Nagły huk sprawił, że Lua podeszła do drzwi wejściowych i wyjrzała przez witrażową szybę. Początkowo nie potrafiła zrozumieć sceny, jaka się przed nią rozgrywała. Dostrzegła czarnego mężczyznę, który musiał przybyć z senhorem Ruim Albertem, ponieważ z pewnością nie należał do São Fidélio. Zobaczyła także spłoszonego konia oraz najstarszego stajennego, który trzymał w ręku jeździecki pejcz. Potem ujrzała, jak obcy niewolnik celnym i akrobatycznym wprost kopnięciem wytrącił stajennemu pejcz z dłoni i błyskawicznie go schwycił. Oho! To zapowiadało się ciekawie. Lua cicho wykradła się z domu. Również inni niewolnicy zwrócili uwagę na niezwykłe wydarzenia na podwórzu i zaczęli gromadzić się wokół Antónia i obcego.

Im bliżej podchodziła, tym wyraźniej widziała rysy obcego niewolnika. Z daleka dostrzegła wyłącznie ciemnoskórego, szczupłego chłopaka, ale teraz zauważyła, że jest to człowiek wielkiej urody. Otworzyła aż usta, tak bardzo zafascynował ją widok tego czarnego boga! Był silnej, ale powabnej postury. Jego rysy świadczyły o inteligencji, dumie i uporze. Skóra miała kolor głębokiej czerni i błyszczała niczym jedwab. Włosy miał krótko ostrzyżone, wydawał się niemal łysy, ale to go nie szpeciło, lecz obdarzało niezwykle podniecającą aurą siły i zdystansowania. Zupełnie nie przypominał niewolnika pracującego w polu, choć jego odzienie świadczyło właśnie o tym, nosił bowiem wyłącznie proste lniane spodnie, podtrzymywane sznurkiem. Odsłonięty tułów był nieowłosiony, więc mięśnie tworzyły wspaniały zarys pod skórą. Och, wyglądał jak król!

– Kto to? – spytała szeptem gruba Maria.

– Nie wiem – odszepnęła zafascynowana Lua, nie odrywając wzroku od urodziwego mężczyzny.

– Wygląda niesamowicie, nie sądzisz? – Maria nadal przeszkadzała Lui podziwiać obcego.

– Aha.

– Cii! – ofuknęła je obydwie starsza robotnica. – Cicho, wy tam! Nie chcę stracić nic z tego przedstawienia.

Posłuchały, co wyraźnie świadczyło o tym, z jaką uwagą śledziły wydarzenia. W innych okolicznościach nie pozwoliłyby bowiem, żeby komenderowała nimi polowa niewolnica.

Tymczasem wokół stajennego Antónia i obcego zgromadziło się około dziesięciu niewolników i powoli rozeszła się wieść o tym, co zaszło. Obcy otrzymał zadanie, by pilnować konia swojego pana. W stajni jednak zakwestionował metody Antónia, który podobno niedbale wytarł zwierzę. Chciał sam zabrać się do pracy i tym samym podważył autorytet stajennego. Ten, najstarszy w latach służby niewolnik w São Fidélio, wyciągnął aroganckiego chłopaka na zewnątrz i świsnął nad nim pejczem, nie spodziewał się jednak, że obcy tak sprawnie

odbierze mu to narzędzie.

– Nie powinieneś wyładowywać złości na zwierzętach – powiedział przybysz cudownym basowym głosem, od którego Lui zmiękły kolana. – I na twoich pobratymcach też nie. – To mówiąc, rzucił Antóniowi pejcz pod nogi, odwrócił się i zniknął w stajni.

– Ty czarny śmieciu, co sobie wyobrażasz?! – ryknął António i pobiegł za nim.

Obserwatorzy wstrzymali oddech. Czy ci dwaj pobiją się w stajni? Lua miała taką nadzieję, bo António naprawdę zasłużył, by ukarać go za wszystkie utopione kocięta, bite psy i dręczone konie. Niestety, nie doszło do tego, bo z Casa Grande wybiegł Rui Alberto.

– Co tu się dzieje? Zé, co ty znowu wyczyniasz?! – zawołał i zniknął w stajni.

Wkrótce potem wyszedł, a niewolnicy za nim. Tymczasem do gapiów dołączyła sinhazinha i spoglądała pytająco to na Luę, to na swojego zalotnika.

– Właściwie chciałem ci go podarować jako prezent zaręczynowy – powiedział Rui Alberto. – Będę to jednak musiał jeszcze przemyśleć. Widać, że muszę go najpierw nieco... hmm... uformować.

– Ależ nie! – zawołała zachwycona Eulália. – Chcę go takiego, jaki jest. Dzikiego, silnego. Ach, jest wspaniały! Dziękuję ci, mój kochany.

Lua znała sinhazinhę na tyle dobrze, by wiedzieć, co nią kieruje. Niewolnik był jej najzupełniej obojętny, ale zawarta między wierszami zapowiedź zaręczyn już nie. Nie chciała żadnego opóźnienia, nawet jeśli prezent nie był jeszcze gotowy.

Piękny Zé stał tymczasem obok swojego senhora, z podniesionym podbródkiem, i celowo omijał wzrokiem sinhazinhę. Patrzył prosto w oczy Lui. Dziewczyna poczuła suchość na wargach, uszy ją paliły. Ze wzroku tego mężczyzny płynęła bezgraniczna arogancja i nieugięta duma, a mimo to jego oczy sprawiały zarazem wrażenie zamyślonych, smutnych i mądrych. Ich wyraz przypominał nieco spojrzenie Imaculady, choć wśród czarnych z pewnością nie było dwóch bardziej różnych par oczu. Jego były duże, czyste i o niezwykle jasnej, bursztynowej barwie. Otaczał je wieniec gęstych, pięknie wygiętych rzęs. Po bokach, przyglądając się uważnie, dostrzec można było malutkie zmarszczki, z których Lua wywnioskowała, że Zé jest nieco starszy od niej. Jej zdaniem mógł mieć około dwudziestu pięciu lat.

Nie była pewna, czy obcy patrzy na nią celowo, czy tylko przypadkiem znalazła się w zasięgu jego wzroku. Nie wyobrażała sobie nawet, by ten wspaniały mężczyzna wybrał spośród stojących wokół właśnie ją i łaskawie skierował na nią swe spojrzenie.

Została brutalnie przywrócona do rzeczywistości, gdy sinhazinha trąciła ją łokciem w bok.

– Hej, Lua, nie gap się tak na niego!

W bezgranicznym zmieszaniu Lui nie przyszło do głowy nic lepszego jak dygnąć, wymamrotać „nie, nie” i szukać schronienia w domu. Śmiech sinhazinhy i jej przyszłego narzeczonego brzmiał w uszach dziewczyny jeszcze długo potem, gdy uciekła przed przykrą sytuacją.

Przez resztę dnia nie było z niej żadnego pożytku. Nie potrafiła się skupić na pracy, a jej myśli krążyły daleko. Upuściła cenny wazon, rozlała połowę gorącej czekolady, którą – jak każdego popołudnia – niosła dla sinhy Eulálii, i wyciągnęła się jak długa w korytarzu, bo potknęła się o frędzle orientalnego dywanu. Dopiero późnym wieczorem, gdy w senzali zapanował spokój, udało się jej zebrać myśli.

Senzala była wspólnym pomieszczeniem dla niewolników. Graniczyła z głównym domem, ale stanowiła zupełnie inny świat. Przez całą noc szeleściło w niej i skrzypiało. Zawsze zdarzył się ktoś, kto kaszlał, chrapał albo niespokojnie przewracał się w hamaku. Również zakochani nie zawsze zachowywali się tak cicho, jak sądzili. Powietrze wypełniała ciężka mieszanina dymu, zapachów jedzenia i ludzkich wyziewów. Nigdy nie było też zupełnie ciemno. Co prawda niewolnikom nie wolno było po wybiciu godziny dziesiątej palić lamp, ale jeden czy drugi tlący się płomyk dawał tyle światła, by można było przynajmniej znaleźć drogę do wychodka.

Lua leżała w swoim hamaku i śniła na jawie. Jedno było dla niej jasne – miłość od pierwszego wejrzenia istniała! Nigdy dotąd w to nie wierzyła, ale teraz Zé udowodnił jej, że jest inaczej. Wreszcie doświadczyła, jakie to wrażenie być zakochanym. Gruchanie z Joãozinhem i umizgi Luísa nie znaczyły nic w porównaniu z uczuciami, jakie zalewały ją na samą myśl o Zé, niczym olbrzymia fala na morzu, z którym graniczyła fazenda. Lua opierała się temu. Jej rozum nie chciał pojąć, że można tak od razu zakochać się w obcym człowieku. Było to niezrozumiałe. Próbowała więc zejść z drogi tym emocjom, podobnie jak unikałaby huczącego morza. Serce mówiło jej jednak coś zupełnie innego.

Po raz pierwszy w życiu słuchała głosu serca chętniej niż głosu rozumu.

4

Lua obudziła się później niż zwykle. Na horyzoncie świeciło słońce, więc musiało już być po piątej. Pospiesznie udała się do Casa Grande, by dotrzeć tam, nim mieszkańcy obudzą się i od razu zadzwonią po niewolników. Sinhá Eulália była zaś nadzwyczaj wymagająca. Każdego ranka Lua szykowała kąpiel, szorowała i wycierała swoją panią, a następnie zanosiła jej śniadanie do pokoju, po czym ubierała ją. To ostatnie zadanie zawsze było męczące, ponieważ panienka nigdy nie mogła się zdecydować, czy lepiej założyć różową sukienkę, czy może kremową spódnicę i błękitną bluzkę. Koronkowy kołnierzyk czy jedwabny szal?

Jako dziecko Lua gorąco zazdrościła Eulálii wspaniałej garderoby. Wtedy zamieniały się czasem ubraniami, a Lua czuła się jak księżniczka w strojach z pachnących, kolorowych tkanin, podczas gdy sinhá paradowała w ziemistych fartuchach służącej, jakby to ją spotkało wielkie szczęście. Lua często płakała, ponieważ niewolnicy nie mogli mieć pięknych ubrań. Te łzy dawno już jednak wyschły. Pogodziła się z prostymi bawełnianymi sukniami, które wolno jej było nosić, i cieszyła się podniszczonymi dodatkami, które od czasu do czasu darowała jej sinhazinha – wytartym szalem, parą starych jedwabnych pończoch. Niezwykle skromny zestaw garderoby Lui miał przynajmniej tę zaletę, że nie musiała co rano rozpaczać przed szafą pełną cennych strojów, tak jak sinhá Eulália, która czasami wykrzykiwała poprzez łzy: „Zupełnie nie mam co na siebie włożyć!".

Lua włożyła niebieską sukienkę, obwiązała się czystym białym fartuszkiem i pobiegła do umywalni, by obmyć twarz i dłonie. Mokrymi palcami przejechała po kędzierzawych włosach, zaczesała je gładko do tyłu i upięła. Następnie nałożyła biały czepek i udała się do głównego domu. Wybrała drogę tak, by przejść obok dużego stołu, przy którym niewolnicy polowi jedli śniadanie złożone z placków tapiokowych i mocno słodzonej kawy. Zazwyczaj unikała tej drogi, ponieważ niektórzy młodzi niewolnicy rzucali pod jej adresem zaczepne uwagi,

a pozostali, w tym kobiety, wybuchali śmiechem. Niektóre z pracujących w domu niewolnic lubiły takie „komplementy", ale Lua, słysząc je, za każdym razem umierała ze wstydu. Dziś jednak miała nadzieję, że uda się jej zobaczyć Zé.

Dostrzegła go pomiędzy grubiańskim José Carecą a ospowatym Paulem, dwoma najbardziej ordynarnymi chłopakami w fazendzie. Zé wbił wzrok w talerz i zdawał się łamać sobie nad czymś głowę. Dopiero gdy jego dwaj sąsiedzi zaczęli prostacko zaczepiać dziewczynę, podniósł wzrok. Napotkał jej oczy i Lua odniosła wrażenie, że dostrzega przemykający po jego twarzy cień uśmiechu. Może jednak tylko to sobie wyobraziła, ponieważ Zé natychmiast ponownie spuścił głowę i zajął się skromnym posiłkiem. Lua poczuła silne bicie serca. Ignorując sprośne żarty, poszła dalej z podniesioną głową. Starała się kroczyć z największą gracją, na jaką było ją stać w tych okolicznościach.

– Zarozumiała gęś zadziera nosa! Wielka dama, co? – zawołał za nią ospowaty.

– Tak, ale ma taki apetyczny tyłeczek, że od razu sprośne myśli przychodzą do głowy – usłyszała ryk José Careki.

Ledwo skręciła za róg i znalazła się poza zasięgiem wzroku tych lubieżnych prostaków, zaczęła biec. Dotarła do kuchennego skrzydła Casa Grande zadyszana i spocona. Pozostali domowi niewolnicy siedzieli już przy wielkim kuchennym stole i jedli śniadanie. Bez tchu opadła na swoje stałe miejsce między Fernandą a grubą Marią. Obie spojrzały na nią pytająco, ale nie zważała na nie, tylko śmiało sięgnęła po koszyk z chlebem.

Jednym z przywilejów, jakimi cieszyli się domowi niewolnicy, było spożywanie posiłków w kuchni. Kucharka i jej pomocnice wydzielały im zawsze kilka smakołyków z zapasów państwa. Lua podejrzewała, że dona Ines dobrze wie, iż służba raczy się jej kaszanką i serem, ale toleruje to w milczeniu. Domowi niewolnicy jedli również beijús, placki z tapioki, jakie spożywali robotnicy, jednak w Casa Grande placki były z nadzieniem, w zależności od upodobania ostrym lub słodkim, na przykład z serem lub marmoladą. Od czasu do czasu dostawali też „studenckie kuleczki", wspaniałe, słodkie i lepkie kluseczki z tapioki i orzechów kokosowych z cynamonem i cukrem, a bardzo rzadko mogli rozkoszować się nawet prawdziwymi pszennymi bułkami. Dziś był taki dzień i Lua żałowała, że zjawiła się późno, bo w koszyku nie zostało już wiele bułeczek.

– Nie łykaj tak szybko jedzenia – zganiła ją najstarsza stażem domowa niewolnica, nazywana z szacunkiem tia, ciotka, Jacobina.

– Chodziłaś gdzieś po nocy, że jesteś taka głodna? – chciała wiedzieć Fernanda.

– Chodziła, dobre sobie! Sądzę, że spała dłużej, niż powinna, i to

u boku jakiegoś mężczyzny – odpowiedziała zamiast Lui gruba Maria i zaśmiała się głośno ze swojej niby-dowcipnej uwagi.

– Ty zawistna kobieto! – zdołała tylko rzucić Lua pomiędzy kolejnymi kęsami, łapczywie gryząc grubo posmarowaną bułkę.

– A więc to prawda! – wykrzyknęła triumfalnie Maria.

Lua pokręciła przecząco głową i wywróciła oczami.

– Założę się, że to ten nowy – dogadywała dalej Maria.

Lua poczuła, że jej policzki płoną. Jakże cieszyła się, że nie ma bladej cery sinhazinhy, bo pojawiłaby się teraz na niej zdradziecka czerwień!

– Wczoraj patrzył na nią jak zauroczony – uderzyła w ten sam ton mała Aninha.

– A na kogóż by innego miał patrzeć? – Fernanda próbowała bronić przyjaciółki. – Znacie jakąś dziewczynę w São Fidélio, która byłaby ładniejsza od naszej Lui? No właśnie. Żadna z nas nie może konkurować z tą anielską twarzą i grzesznym ciałem.

– Dość tych bzdur! – zawołała Lua, gdy już przełknęła ostatni wielki kęs. – Nic mnie nie łączy z tym nowym, a większość was widziała mnie zeszłej nocy śpiącą spokojnie w hamaku.

Spojrzała na Lulu. Przeraziła ją nienawiść, jaką wyrażał jego wzrok. Lulu był młodym domowym niewolnikiem, który zalecał się do Lui, odkąd przed czterema laty przybył do São Fidélio. Dziewczyna nie odwzajemniała jednak jego uczuć. Nie mogła ścierpieć tego typa, który ciągle zadzierał nosa. Był całkiem przystojny i wydawał się inteligentny, co zapewniło mu szybki awans w hierarchii domowych niewolników oraz adorację ze strony wielu młodszych dziewcząt. Lua jednakże uważała go za odpychającego, choć nie potrafiłaby powiedzieć, co czyniło go w jej oczach tak nieatrakcyjnym.

W tej chwili zabrzmiał jeden z dzwoneczków na tablicy. Z każdego pokoju prowadził sznur do osobnego dzwonka, więc niewolnicy od razu widzieli, dokąd ich wołano. Tym razem, jak można się było spodziewać, służący potrzebny był w pokoju sinhy Eulálii. Lua szybko przełknęła łyk kawy z mlekiem, westchnęła i wstała od stołu.

Dzień upłynął podobnie jak inne dni na fazendzie. Sinhá Eulália zlecała Lui kolejne niepotrzebne prace, a senhor zawołał ją do swojego gabinetu, żeby wypolerowała mu buty. Spoglądał wtedy na jej piersi i prawił nieśmiałe komplementy; nigdy nie bywał naprawdę natarczywy. Lui udało się dostać na chwilę do biblioteki i przeczytać kilka stron prastarego i śmiertelnie nudnego wierszowanego eposu pod tytułem *Prozopopeja*. W południe jedli fasolę i purée z manioku, a Lua pokłóciła się z grubą Marią o szklankę, którą ta upuściła i chciała zrzucić winę na Luę, oraz upiększała rogi eleganckich chusteczek dony Ines, która znała talent Lui do wyszywania. Dzień jak każdy inny, gdyby nie późne popołudnie, kiedy to Fernanda i Lua wymknęły się,

żeby zobaczyć, jak robotnicy wracają z pól. To Lua wyszła z tą propozycją. Fernanda mruknęła tylko:

– Czyli Maria miała jednak rację? – Ale chętnie przyłączyła się do Lui.

– Nie, Maria zmyśla bez umiaru. Prawdą jest tylko, że ten nowy ma coś w sobie...

Nie umiała tego czegoś opisać dokładnie. Fernanda, która w przeciwieństwie do niej miała już doświadczenia w sferze miłości, spojrzała z ukosa.

– Zadurzyłaś się? Uważaj tylko, żeby nie zrobił ci dziecka.

Lua zakryła usta dłonią. Dlaczego wszyscy muszą być tak wulgarni? Czy nie można po prostu marzyć o mężczyźnie bez wysłuchiwania nauk o niebezpieczeństwach, jakie niosło zespolenie fizyczne? Nawet we śnie nie myślała o tym, by oddać się Zé! Chciała tylko zobaczyć go raz jeszcze, mając nadzieję, że on także ucieszy się na jej widok.

Wśród niewolnic prawdziwą rzadkością było, by w wieku osiemnastu lat nadal zachować dziewictwo. Większość ich, gdy tylko widoczne stawały się pierwsze oznaki kobiecości, czyli w wieku dwunastu czy trzynastu lat, brali sobie panowie lub ich synowie. Tę czy inną padre nakłaniał do tego, czego w żadnym wypadku dziewczętom nie wolno było robić z niewolnikami. Gdy straciły dziewictwo, zazwyczaj nie miały oporów, by znaleźć sobie kochanka wśród czarnych mężczyzn. Wiele kobiet w wieku Lui miało już kilkoro dzieci, o jasnobrązowej i ciemnobrązowej skórze. Dzieci te dorastały jako własność senhora, dlatego nie było istotne, kim jest ich biologiczny ojciec. Lua także stanowiła owoc takiego związku. Nie znała swojego ojca, ale jej nieco jaśniejsza karnacja świadczyła o tym, że mógł to być ktoś z Casa Grande. Może nawet sam dom Felipe, nie daj Bóg! Matka Lui była podobno wielką pięknością, ale w tej kwestii córka zdana była wyłącznie na opowieści starszych niewolników, ponieważ kobieta zmarła, gdy Lua miała cztery lata. Dziewczyna nie pamiętała, jak wyglądała matka, przypominała sobie jednak dokładnie jej słodki, ciepły zapach.

Fernanda i Lua dotarły do wejścia prowadzącego na dziedziniec, przez które niedługo mieli wrócić na teren folwarku robotnicy z pól. Ukryły się za sękatą wianowłostką, zwaną płomieniem Afryki, która teraz, w grudniu, obwieszona była olbrzymimi strąkami. Wkrótce drzewo zalśni czerwonymi kwiatami, ale teraz sprawiało jeszcze wrażenie obumarłego, tak niewiele pozostało na nim zieleni. Z daleka zobaczyły pierwsze grupy niewolników – długie szeregi ludzi, mężczyzn i kobiet, wyczerpanych i brudnych maszerujących do domu. Gdy się zbliżyli, dostrzec można było szczegóły. Robotnicy nie nieśli narzędzi, ponieważ nadzorcy przezornie zabierali im po pracy maczety i motyki. Ubrania niewolników w Casa Grande nie nadawałyby się

nawet na szmatki do czyszczenia. Nagie nogi i stopy były czerwonożółte od pyłu pól, twarze zniszczone. Mimo to ludzi zmuszano do intonowania wesołych piosenek. Tak, był to smutny widok, ale Lua przywykła do niego i rozumiała, dlaczego niewolników należy tak traktować. Gdyby ich rozpieszczano, pola leżałyby odłogiem, a oni wszyscy nie mieliby co jeść. Tak to już było.

Fernanda rzuciła ledwo słyszalnie:

– Tam!

Lua podążyła za jej spojrzeniem i w napięciu przeczesywała wzrokiem pierwszą grupę, nadchodzącą z zachodu. W końcu rozpoznała Zé. Szedł pochylony niczym starzec. Nagle ogarnęło ją wielkie współczucie. Chciała pospieszyć ku niemu i podać mu owoce mango, które wcześniej pozbierała, ale Fernanda chwyciła ją za rąbek spódnicy.

– Zostań, ty głupia gąsko! – ofuknęła ją cicho.

Lua zrozumiała, że przyjaciółka ma rację. Gdyby pobiegła, sprowadziłaby tylko kłopoty, zarówno na Zé, jak i na siebie. Czekała zatem schowana za pniem wianowłostki, choć nie był na tyle gruby, by skryć ją całą.

Robotnicy mijający Fernandę i Luę nie dostrzegli ich jednak. Wszyscy wpatrywali się jak zniedołężniali starcy w ziemię, jakby kosztowało ich nieskończenie wiele wysiłku stawianie kolejnych kroków. Gdy Zé przechodził obok obu młodych kobiet, Fernanda celowo nastąpiła na jeden z leżących na ziemi ciemnych strąków. Zatrzeszczał cicho, a Zé podniósł głowę i popatrzył ku nim. Gdy dostrzegł Luę, ta najchętniej zapadłaby się pod ziemię, tak bardzo zawstydziła się swojego braku opanowania. Zé uśmiechnął się krzywo, mrugnął do niej, i już je minął. Lua umarła po tysiąc razy. Fernanda tymczasem triumfowała bezgłośnie. Uśmiechała się szeroko i podekscytowana kiwała głową. Miało to zapewne znaczyć: „Widzisz? Ty też mu się podobasz!”.

Gdy pochód robotników zniknął w senzali, dziewczęta celowo niespiesznie wróciły do Casa Grande. Usłyszały tam zwykłe zrzędzenie sinhazinhy na temat tego, gdzie też, na miłość boską, podziewa się Lua, gdy jest pilnie potrzebna. Po kolacji państwa Lua poszła do senzali, by zjeść trochę kaszy maniokowej z rakami, którą Fernanda przygotowała dla nich obu i jeszcze dwóch dziewcząt, ponieważ wieczorem zazwyczaj nie jadali w kuchni głównego domu. Głodna Lua zjadła całą miskę kaszy, a potem udała się na swoje miejsce do spania, by w spokoju oddać się rozmyślaniom.

Na swym hamaku spostrzegła skrawek papieru, który wyglądał jak oderwany z pożółkłej kartki książki. Chciała go właśnie strzepnąć, bo przypuszczała, że przyczepił się do jej ubrania i stąd trafił na hamak, gdy zauważyła odręczne pismo. Rozejrzała się bojaźliwie. Nie, nie było

niebezpieczeństwa. Wszyscy nadal siedzieli przy kolacji i słuchali śmiesznych historii, które opowiadała stara Maria João. Lua ukradkiem odszyfrowała skreślone węglem, stawiane niewprawnym pismem litery.

O wschodzie księżyca przyjdź do chlewu. Muszę z tobą porozmawiać. Zé

Serce podskoczyło jej w piersi. Zé umiał pisać! I chciał się z nią zobaczyć! Co takiego miał do powiedzenia? Czy należał do mężczyzn, którzy od razu chcieli każdą kobietę zaciągnąć w krzaki? Ależ nie, nie zaproponowałby wtedy spotkania w chlewie, trudno było bowiem o mniej romantyczne miejsce. Nadawało się jednak na schadzkę, ponieważ wieczorem nikt się tam nie kręcił. W jaki sposób Zé tak szybko zdołał się tego dowiedzieć? Przecież dopiero co tu przybył. I skąd wiedział, że Lua umie pisać i czytać? Ta kwestia skłoniła ją do zastanowienia.

Na pewno nie chciała zrezygnować z okazji do poznania Zé, nawet jeśli jego zamiary były dla niej niejasne. Odrzuciła wszelkie nakazy ostrożności, które do tej pory oszczędziły jej wielu zmartwień i pozwoliły zachować dziewictwo. Nie chciała biec do okna lub do drzwi, co przyciągnęłoby uwagę obecnych, dlatego aby sprawdzić pozycję słońca, wyjrzała przez szczelinę między dwiema belkami. Kiedy wreszcie wzejdzie księżyc? Gdy tylko zajdzie słońce, czy może później? No cóż, wkrótce będzie ciemno. Wtedy ruszy w drogę.

Wydawało się, że minęła wieczność, nim zapadła noc. Lua przewracała się w hamaku, przyciskała ręce do brzucha i mruczała: „O Boże, niedobrze mi”, na wypadek gdyby ktoś ją obserwował. W senzali mieli nocniki, ale kto cierpiał na poważne zaburzenia trawienia czy mdłości, najczęściej wychodził na zewnątrz i załatwiał potrzeby w krzakach za stajnią. Ledwo znalazła się na świeżym powietrzu, podkasała spódnicę – przezornie nie zdjęła wierzchniej odzieży – i cicho pobiegła do chlewu.

Zwierzęta już spały, scenerię oświetloną przez księżyc spowijała nienaturalna cisza. Odgłosy, które Lua sama powodowała, wydawały się jej ogłuszające. Rozejrzała się na wszystkie strony, ale nigdzie nie zobaczyła Zé. Czyżby coś źle zrozumiała? A może przyszła o złej porze? Czy Zé pozwolił sobie na złośliwy żart? Przeszła przez cuchnący chlew i zajrzała w każdy kąt, ale nigdzie nikogo nie dostrzegła. Zrezygnowana opuściła ramiona i ruszyła w drogę powrotną. Po długim oczekiwaniu chciało się jej płakać z rozczarowania, ze złości na samą siebie i ze smutku wobec faktu, że nowy niewolnik miał najwyraźniej podły charakter, zupełnie sprzeczny ze szlachetnym obliczem.

Nagle Zé stanął przed nią. Niczym duch wyłonił się z pustki, a Lua omal nie umarła ze strachu. Musiał zauważyć jej przerażenie,

ponieważ nim zdołała krzyknąć, przyłożył dłoń do jej ust.

– Cii... Musimy być bardzo, bardzo ostrożni – szepnął.

Nawet przyciszony, jego głos brzmiał intensywnie i zmysłowo. Był chrapliwy, męski i głęboki; na jego dźwięk dziewczynę przeszły przyjemne ciarki. Zé odsunął dłoń od jej ust i chwycił Luę za ramię, by poprowadzić w wybranym kierunku. Nie opierała się. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by miał złe zamiary. A jeśli nawet, to znajdowała się w takim stanie, że prawdopodobnie spodobałoby się jej, gdyby zrobił z nią coś, czego nie robiła jeszcze z żadnym mężczyzną.

Poszli w krzaki za stajnią.

– Gdyby ktoś nas zobaczył, udajmy, że źle się poczuliśmy – rzekł. Rozejrzał się uważnie na wszystkie strony, nim odezwał się znów: – Umiesz pisać i czytać?

Lua skinęła głową. Wobec niego, który także posiadł tę umiejętność, nie musiała skrywać swej tajemnicy.

– To dobrze – powiedział. – Potrzebujemy takich ludzi.

Nie zrozumiała, co ma na myśli, spytała więc:

– Ale ty też umiesz pisać i czytać, prawda?

Po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnął się nieśmiało.

– Nie, tę karteczkę napisał w moim imieniu przyjaciel.

Lua poczuła się nieco rozczarowana. Oczywiście, ani przez chwilę nie wątpiła w inteligencję Zé, mimo to zaimponowałby jej jeszcze bardziej, gdyby potrafił pisać. Aby nie okazać rozczarowania, spytała:

– A skąd wiedziałeś, że ja umiem? O tym nie wie nikt.

– Czy stara Imaculada to nikt?

– Och! – wyrwało się głupio Lui.

– Bez obaw, ona jest po naszej stronie.

– Co to wszystko ma znaczyć? – chciała wiedzieć.

Zmierzył ją wzrokiem, który jej przypomniał wcześniejsze jego spojrzenie. Wyrażał rozczarowanie, a zarazem niedowierzanie, zupełnie tak, jakby Zé nie mógł pojąć, że wbrew swoim oczekiwaniom ma do czynienia z głupią gęsią.

– Czy wierzysz w wolność? – spytał wreszcie.

– Jaką wolność?

Jego spojrzenie powiedziało jej, że to zła odpowiedź.

– Czarnego ludu.

– Och... e... nie. To znaczy, wiadomo przecież, że nie jesteśmy wolni. Ja, w mojej sytuacji... – Wzrok Zé sprawił, że zamilkła. Dlaczego ten człowiek tak ją fascynował, choć był tylko kolejnym zuchwalcem planującym ucieczkę? Najwyraźniej chciał wykorzystać w tym celu jej umiejętność pisania. Aby zachować odrobinę godności, uniosła podbródek i przybrała najbardziej lekceważący wyraz twarzy. – Nie umiem i nie chcę ci pomóc. Przysługują mi różne przywileje i tak powinno zostać. Nie chcę nawet wiedzieć, co właściwie planujesz, bo

i mnie naraziłoby to na niebezpieczeństwo. To przykre, że nie odpowiada ci twoje życie, ale moje odpowiada mi bardzo.

Zé wykrzywił piękne usta w drwiącym uśmiechu.

– Lua, Lua... nawet nie wiesz, co cię omija.

Na chwilę wytrącił ją z równowagi. Ta uwaga brzmiała bardzo dwuznacznie. Czy teraz, skoro „wolność" nie okazała się dostatecznie kusząca, chciał ją zauroczyć?

– I nie chcę wiedzieć. – Po tych słowach odwróciła się i odbiegła.

– Oszukali cię we wszystkim – zawołał za nią cicho. – Ukradli ci twoją przeszłość i przyszłość. Zabrali ci twoją mowę i twoje imię, i...

Więcej nie usłyszała, bo dotarła już do senzali.

Cieszyła się, że uciekła przed tym mężczyzną, który dosłownie przyciągał niebezpieczeństwo i kłopoty. Jednak zamiast od razu położyć się spać, jak tego pragnęła, stanęła w obliczu kolejnego zagrożenia. Przed domem niewolników siedziała Imaculada, która powitała ją bezzębnym uśmiechem, wypuszczając dym z cygara.

– Ty poznała Mbómbo?

– Kogo?

– Tutaj nazywa Zé.

Lua skinęła głową.

– Dobry mężczyzna. Silny mężczyzna. Syn wodza, jak Uanhenga.

– To głupi mężczyzna, Imaculado – zaprzeczyła Lua. – Sięga po gwiazdy, ale uda mu się schwytać tylko powietrze.

5

Na pokładzie statku wiozącego niewolników przebywało około czterystu osób, z czego jedną dziesiątą stanowiła załoga. Niewolników ułożono na niewielkiej powierzchni i skuto łańcuchami. O ile pierwsze dni naszej przeprawy wydawały się nie do zniesienia, o tyle dalsza podróż pokazała, że człowiek jest w stanie przetrwać znacznie więcej, niż przypuszcza. Raz dziennie dawano nam do jedzenia suchy chleb, a do picia mętną wodę. Potrzeby załatwialiśmy na miejscu, bo nie mogliśmy się przemieszczać. Już po kilku dniach dosięgły nas poważne choroby. Kto przez cały dzień siedzi lub leży we własnym brudzie, bez najmniejszych widoków na odrobinę ruchu i świeżego powietrza, tego dręczą cierpienia nie tylko fizyczne, ale i duchowe. Niektórzy z nas popadali w tak głęboką i mroczną melancholię, że poddawali się, zanim jeszcze uczyniły to ich ciała.

Kobieta obok mnie oszalała. Płakała i krzyczała od rana do wieczora, aż jakiś strażnik wybawił ją wreszcie i zabił. Przyznaję, że jej śmierć początkowo także mnie wydawała się wybawieniem, ponieważ nieustające krzyki bardzo mi dokuczały. Jednak jej ciało zostawiono na miejscu i wkrótce zaczęło śmierdzieć. Dopiero po kilku dniach przyszli mężczyźni, by zabrać te i inne zwłoki. Wrzucili je po prostu do morza.

Moja córeczka zaczęła gorączkować. Nie mogłam w żaden sposób jej ulżyć i było dla mnie niewypowiedzianą męką patrzeć bezradnie na umierające dziecko. Wiedziałam bowiem, że maleńka umrze. Mleko w mojej piersi wyschło, a bez niego los córeczki był przypieczętowany. Płakałam i szlochałam. Potem znowu przyszli mężczyźni, którzy zajmowali się zabieraniem zwłok, i odebrali mi ją. Krzyczałam, że dziecko wciąż żyje, trzymałam je mocno i błagałam, by zostawili córeczkę do końca w moich ramionach, ale oni nie znali litości. Jeden z mężczyzn wziął ją za nóżkę, więc zwisała główką w dół niczym martwy kurczak. Gdy wychodzili, widziałam, jak jej główka uderza o belkę, i na ten widok krzyknęłam przeszywająco. Nawet zwłoki nie zasługiwałyby na takie traktowanie, nie mówiąc już o żywym dziecku.

Pozostali więźniowie niewiele mieli dla mnie litości, gdyż sami doznali równie ciężkich strat. Poza tym uważali mnie za wariatkę, nie wierzyli bowiem, że w małym bezsilnym ciałku tliło się jeszcze życie. Byłam bliska utraty rozumu. Nawiedzały mnie straszne wizje, obrazy mojego dziecka, które z głośnym pluskiem wyrzucane jest za burtę, które macha nóżkami w zimnej wodzie i krztusi się, a wreszcie nieuchronnie zostaje wciągnięte w głębinę, gdzie olbrzymie potwory rozdzierają jego słodkie miękkie ciałko i odrywają rączki.

Straciłam wolę życia. Przestałam jeść i pić. Z nikim nie rozmawiałam, na nikogo nie patrzyłam i kołysałam tułowiem tam i z powrotem, jak to robią ludzie upośledzeni na umyśle. Z pewnością szybko bym umarła, gdyby – a stało się to po jakichś dwóch tygodniach na morzu – nie nadszedł wielki sztorm. Miałam nadzieję, że wzburzone morze pochłonie nas wszystkich, cały statek wraz z więźniami i strażnikami. Mało brakowało. Żaglowiec kołysał się i huśtał pod naporem wielkich fal, które się nad nim przetaczały. Nawet załogę ogarnął strach. Słychać było w głosach tych ludzi i widać po panicznej bieganinie tam i z powrotem, że boją się śmierci.

Cały ten zgiełk powodowany przez marynarzy zagłuszył naraz skrzypiący donośny dźwięk, przy którym huk sztormu zdawał się delikatnym mruczeniem, a nasze krzyki strachu szeptem. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech, bo sądziliśmy, że to już nasze ostatnie chwile na tym świecie. Potem jeden z więźniów krzyknął:

– Woda! Woda! Jest wszędzie! – I zaczął dziko szarpać swój łańcuch.

Trwało to chwilę, ale w pewnym momencie i ja dostrzegłam, co się dzieje. Statek został przedziurawiony, a jego olbrzymi brzuch niepowstrzymanie wypełniała śmiertelna toń. Nikt nie miał szansy uratować się przed utonięciem. Jako jedna z nielicznych zachowałam spokój. Czerpałam pewne pocieszenie z tego, że oto umrę w ten sam sposób co moja córka.

Gdy wszyscy staliśmy już w wodzie po kolana, przyszło kilku mężczyzn, którzy zdjęli nam łańcuchy.

– Wychodzić, wychodzić! – wołali i podali nam wiadra.

Pejczami zagonili nas do pracy. Cóż za ironia! Mieliśmy teraz uratować życie naszym oprawcom. Wszyscy byliśmy na wpół żywi z głodu, chorób, braku powietrza i ruchu. Żadne z nas nie było w stanie unieść pełnego po brzegi wiadra, nie pomagały uderzenia pejczów. Radziliśmy sobie jednak jakoś z wiadrami napełnionymi do połowy, ustawiliśmy się więc w długi szereg, podawaliśmy wiadro po wiadrze i wylewaliśmy wodę do morza przez otwór w dziobie statku. Wydawało się to trwać wieczność, jednak gdy wszyscy byliśmy już na wpół omdlali z wycieńczenia, poziom wody w środku się obniżył.

Gdy sztorm ucichł, załoga świętowała swe cudowne ocalenie. Dwóch mężczyzn przyszło na międzypokład, który został nieco oczyszczony

w wyniku zalania, i przyjrzało się nam uważnie. Wydawali się kogoś szukać.

– Hej, popatrz tu! Apetyczne piersi, dziarski tyłeczek, nada się – powiedział jeden i obmacał mnie szorstko.

Zrobiło mi się niedobrze. Czy chcieli mnie teraz zgwałcić?

– Znalazłem też samca! – zawołał drugi. Chodziło mu o mężczyznę, który opadł ciężko na deski w odległym końcu pokładu. – Udaje, że jest chory, ale z całego tego bydła wydaje mi się najsilniejszy.

Zdjęli łańcuchy temu człowiekowi i mnie i pognali nas.

– Dalej, brudne zwierzaki, naprzód! – wołali i świstali obok nas pejczami.

Mężczyzna i ja, potykając się, wspięliśmy się po wąskich schodkach. Na górze najpierw oślepiła nas jasność. Słońce stało wysoko na czystym, błękitnym niebie, powietrze było świeże i pachniało solą. Nie dano nam jednak czasu nacieszyć się widokiem i zapachem.

– Tańczyć! – nakazał nam jeden z nadzorców, najwyraźniej wyższy rangą, jednocześnie dając skinięciem znak dwóm muzykantom, by zaczęli grać.

Czarny niewolnik i ja spojrzeliśmy po sobie bezradnie. Gdy zabrzmiała muzyka – skrzypiec i bębenka – zupełnie nie wiedzieliśmy, co robić. Te wymęczone dźwięki niczym nie przypominały tego, co znaliśmy jako muzykę. Jeden z marynarzy zaczął wyczyniać śmieszne podskoki, by pokazać nam, co należy robić. Staliśmy jednak nadal ze zwieszonymi ramionami, bez ruchu.

Nagle świsnął obok mnie pejcz i przestraszona uskoczyłam w prawo. Marynarze ryknęli śmiechem i uderzali się po udach. Właściciel pejcza trzasnął nim z mojej drugiej strony i skoczyłam w lewo. Moim skokom towarzyszył głośny śmiech. Byłam naga, a ruchy moich piersi wydawały się fascynować te bestie. Tańczyłam. Tańczyłam według świstu pejcza, z prawej na lewo, do przodu, do tyłu, tam i z powrotem. Publiczność była zachwycona. Mojemu towarzyszowi niedoli wiodło się podobnie. Kazano mu wykonać groteskowy taniec według uderzeń pejcza, a widzowie śmiali się do łez z jego kołyszącego się członka. Od czasu do czasu pejcz trafiał w nasze ciała. Gdy kuliliśmy się z bólu, widzowie tym głośniej z nas drwili.

Było to niewiarygodnie poniżające widowisko. Kątem oka dostrzegłam jedynego z widzów, któremu to przedstawienie nie sprawiało radości i który najwyraźniej odbierał je jako tak wstrętne, jakie naprawdę było. Wszyscy pozostali wlepiali we mnie wzrok, który wyrażał mieszaninę pogardy i pożądania, natomiast na mojego towarzysza niedoli spoglądali z nieskrywaną zazdrością, miał bowiem wspaniałe ciało. Graniczyło z cudem, że po tych wszystkich cierpieniach i niedostatkach nadal wygląda tak muskularnie. Jedynie jego oczy wypełniała ropa; dolegliwość ta dotknęła bardzo wielu z nas.

Przypisywałam ją trującym wyziewom, które rozchodziły się w naszym ponurym więzieniu.

W końcu żałosnemu „tańcowi" położono kres. Zaprowadzono nas z powrotem na dół i zakuto w łańcuchy. Ponieważ mężczyzna leżał w innym kącie pod pokładem niż ja, mogłam komunikować się z nim wyłącznie spojrzeniami. Te spojrzenia obudziły we mnie chęć do życia.

Pomimo oddalenia i ciemności dostrzegałam błysk oczu mojego „tancerza", kryjącą się w nich wściekłość i nienawiść. Ciskał ją we mnie, jakbym to ja była winna jego nieszczęścia. Ta reakcja wywołała we mnie oburzenie, które na pewien czas przyćmiło wszystkie inne uczucia, dopóki nie zrozumiałam wreszcie, że ten gniew nie był skierowany na mnie, lecz żywił się mną, to znaczy moją wiedzą o tym, co się stało, i współudziałem w widowisku. Człowiek ten nie zwykł przyjmować biernie porażek. Fakt, że w godzinie swojego największego upokorzenia musiał mieć świadka, napawał go żądzą mordu. To samo widywałam u wszystkich wojowników w naszym plemieniu. Uanhenga także był takim mężczyzną. Z wściekłości czerpali siłę do następnej walki. Ze mną działo się zresztą podobnie, gniew na tę wielką niesprawiedliwość, jaką dzieliłam z dumnym więźniem, wzmocnił mnie i moją wolę życia. Przetrwałam resztę podróży, w przeciwieństwie do dwóch trzecich pojmanych. Gdy dotarliśmy do brzegu, liczba nas zmniejszyła się do około stu osób.

Nie wiedziałam wówczas, że ten kraj nazywa się Brazylia, że rządzą nim biali mężczyźni i że natura stworzyła tu taką obfitość wszystkiego, że aby zebrać plony, potrzebni są niewolnicy. W mojej ojczyźnie nad Kubango rzadko cierpieliśmy głód, ale nie było tak wspaniałej urodzajności jak tu. Zaraz po zejściu na ląd zobaczyłam drzewa mango, z gałęziami ciężkimi od owoców, które leżały także na ziemi. Zostaliśmy skuci łańcuchem w długi szereg i zaprowadzeni do wielkiego drewnianego budynku. Nie miałam możliwości, by pochwycić jeden z tych owoców, choć mogłam myśleć tylko o tym. Zęby zaczęły mi się już kiwać i nawet zgniły owoc wydawał mi się najwspanialszym przysmakiem na ziemi. Zanim weszliśmy do wielkiego domu, zdołałam rozejrzeć się wokół i uznałam, że musimy znajdować się na wyspie. Niedaleko widać było bowiem szerokie pasmo piasku, wzdłuż którego stały olbrzymie kamienne domy zwieńczone wieżami, lśniące w słońcu ostrą bielą. Dopiero później dowiedziałam się, że były to świątynie handlarzy niewolników. Na wzgórzu widziałam kolejne imponujące budowle, wszystkie murowane i pomalowane na wesołe barwy. Na wodzie stały niezliczone łodzie i statki najróżniejszych rozmiarów. Moje przypuszczenie, że była to stolica kraju i że przybiliśmy do leżącej w zatoce wyspy, okazało się później słuszne.

Na wyspie znów nas uwięziono. Dawano nam tu jednak lepsze jedzenie i dużo wody do picia, a także do umycia się. Miałam wrażenie,

że najpierw trzymano nas w odosobnieniu po to, żebyśmy nie roznieśli jakiejś zarazy. Tak też było. Po jakichś dwóch tygodniach kwarantanny ci, którzy przeżyli podróż statkiem, odzyskali siły i nie wyglądali już tak przerażająco jak bezpośrednio po przybyciu. „Towar" był gotowy do sprzedania. Nadszedł dzień, którego baliśmy się, ale za którym także tęskniliśmy, bo stanowił kres trudnego do zniesienia oczekiwania w lęku i niepewności. Zostaliśmy zabrani na targ.

Łodzią, którą wiosłowało kilku czarnych mężczyzn, zawieziono nas na stały ląd w grupach po dwadzieścia osób. Tam pognano nas, związanych i okrytych tylko przepaskami biodrowymi, przez wąskie uliczki, których fascynującą obcość dostrzegaliśmy jedynie mimochodem, bo ogarnięci byliśmy lękiem. Wciąż pamiętam jednak dokładnie, jakie wrażenie uczyniło wtedy na mnie São Salvador da Bahia de Todos os Santos. Użycie w tym mieście kamienia wydało mi się rozrzutne, nawet ulice były nim wyłożone. W mojej ojczyźnie nigdy czegoś takiego nie widziałam. Zaimponowała mi także wielość kolorów. Podczas gdy wioski w Ngola utrzymane były w barwach ziemi, tutejsze budynki pomalowano na zielono, niebiesko, różowo, żółto, a nawet fioletowo; miały kunsztowne balkony i okna przysłonięte przezroczystymi tkaninami, o powierzchni lustrzanej niczym jezioro, w którym u nas kąpały się hipopotamy.

Wspięliśmy się na strome wzgórze i dotarliśmy na plac, na którym panował wielki rozgardiasz. Widać tu było białych mężczyzn i kobiety w bogatych strojach, które najwyraźniej stanowiły coś na kształt ubiorów wodzowskich, oraz czarnych niewolników, półnagich i zagnanych za ogrodzenie, do którego bez wątpienia prowadziła i nasza droga. Dostrzegłam jednak także, co mnie bezmiernie zdumiało, ludzi o różnych odcieniach skóry, od czarnej po jasnobrązową, którzy poruszali się swobodnie, nienagabywani przez nadzorców. Wśród tych ciemnoskórych z kolei jedni odziani byli biednie, a inni bogato. Zdarzali się mężczyźni w prostych białych płóciennych spodniach oraz kobiety we wspaniałych turbanach i sztywnych szerokich spódnicach, były dzieci w łachmanach i takie, których odzienie przypominało miniaturowe stroje wodzów, widziało się młodzieńców w jaskrawych tkaninach i śliczne Mulatki z ciężkimi złotymi ozdobami. Czy ludzie ci byli niewolnikami? A może tubylcami? Do tej pory sądziłam, że ta obca Brazylia jest zamieszkana wyłącznie przez białych, ale właściwie dlaczego rodowici mieszkańcy nie mieliby być i ciemnoskórzy? Najbardziej zdziwił mnie jednak widok kilku osób, które nie wydawały się ani czarne, ani białe, ani nie stanowiły połączenia tych dwóch ras. Byli to niscy, chudzi ludzie o gładkich czarnych włosach, ciemnej skórze i skośnych oczach, jakich nie widziałam ani u Afrykańczyków, ani u Europejczyków.

Te wrażenia, niezwykłe, a zarazem napawające lękiem, płynęły ku

mnie, gdy, zgodnie z moimi przypuszczeniami, zamykano nas w zagrodzie, obok której znajdował się rodzaj sceny.

Już niebawem miałam się dowiedzieć, jaka rola przypadła mi w przygotowanym przedstawieniu.

6

– Lua! – zawołała Fernanda. – Wyglądasz jak duch!

– Jest mi niedobrze – powiedziała znużona.

Naprawdę tak się czuła. Najpierw rozczarowujące spotkanie z Zé, a potem straszne opowieści Imaculady... To wszystko dało się jej mocno we znaki. Opadła na hamak i od razu zasnęła. W nocy dręczyły ją koszmary, w których roiło się od dzikich zwierząt, czarnych umięśnionych mężczyzn i bezzębnych marynarzy. We śnie widziała bestie szczerzące zęby i wymachujące pejczami małpy, słyszała groźny pomruk złożony z potoku dziwnych wyrazów, którymi usiana była opowieść Imaculady i których sensu domyślała się czasami z kontekstu. Wokół unosił się zapach piekielnego ognia, a towarzyszyło temu przenikliwe dudnienie licznych bębnów, gniewny rytm, silny i napawający lękiem.

Ktoś potrząsnął ją za ramię.

– Lua, wstawaj, szybko! Pali się stodoła!

Wydostała się z hamaka, ale potrzebowała kilku chwil, by powrócić do rzeczywistości. Zapach spalenizny był tak ostry, że z trudem chwytała powietrze. Z zewnątrz dobiegały różne odgłosy świadczące, że próbowano gasić ogień. Między innymi uderzano lnianymi płachtami w płonące deski. Zrozumiała, że właśnie ten trzask i stukot przedarły się do jej snu.

Wypadła na dwór i zobaczyła, że ludzie ustawili się już w szeregu do gaszenia pożaru. Przyszedł jej do głowy epizod z przeciekającym statkiem wiozącym niewolników, jednak odepchnęła od siebie myśli o tej strasznej historii. Żyła tu i dziś, a nieszczęścia starej Imaculady nie powinny jej obchodzić. Zrobiła zatem to, czego od niej oczekiwano – pospieszyła do Casa Grande i uspokoiła sinhazinhę, która w gronie rodziny stała przy oknie i obserwowała pożar z bezpiecznej odległości. Stodoła nie płonęła już tak jasno, i powoli dotarło do świadomości wszystkich, że uniknęli tragedii. Z przyległych stajni zdołano wyprowadzić większość spanikowanych zwierząt, a stan samej szopy

pozwalał na jej szybką odbudowę.

Jedynym członkiem rodziny, który odważył się wreszcie wyjść, by dopilnować porządku, był młodszy brat sinhy Eulálii, sinhô Manuel. W wieku piętnastu lat zachowywał się już bardzo dojrzale i odpowiedzialnie. Fernanda go ubóstwiała, choć wyglądem chłopiec nie sprawiał wielkiego wrażenia. Niski wzrost i odstające uszy nadrabiał jednak spokojnym, roztropnym sposobem bycia, serdecznością i pracowitością, poczuciem sprawiedliwości i zainteresowaniem gospodarką. Obserwowali teraz, jak odesłał kilku niewolników po wodę do picia i chleb dla tych, którzy bliscy wyczerpania przykucnęli przy zwęglonej stodole. Poklepał kilku z nich z uznaniem po ramionach, a potem wyciągnął z kamizelki czyściutką chusteczkę i podał młodej kobiecie, żeby wytarła twarz brudną od potu i sadzy. Nie była to właściwie żadna pomoc, ale już sama obecność Manuela i jego przyjazne gesty dodały niewolnikom sił. Lua zauważyła, że na twarzy dony Ines pojawił się uśmiech. Senhora kochała najmłodszego syna najbardziej ze swoich dzieci, co jednak próbowała ukryć.

W kolejnych dniach ogień przysporzył im jeszcze wielu trosk. Dom Felipe gorączkowo szukał winnych, ponieważ wydawało się pewne, że przyczyna pożaru nie była naturalna. Wszyscy niewolnicy, nawet domowi, musieli ustawić się w szeregu i odpowiadać na pytania inspektora sprowadzonego specjalnie w celu wyjaśnienia zajścia. Chciał on wiedzieć, co tamtego wieczoru widzieli, co słyszeli, z kim spędzili czas. Lua nieco wiła się przy zeznaniach, bo nie mogła przecież wyznać inspektorowi, że najpierw spotkała się z wichrzycielem, a potem spisywała wspomnienia starej kobiety. Opowiedziała zatem, że owego wieczoru źle się czuła. Wersję tę potwierdziła i Fernanda, i inne dziewczęta. Inspektor zwolnił ją ostatecznie szorstkim machnięciem ręki, jakby był przekonany, że ma przed sobą sprytną kłamczuchę, której jeszcze kiedyś to udowodni. Być może jednak tylko nieczyste sumienie Lui sprawiło, że odebrała sytuację w ten sposób, ponieważ naprawdę ostro przesłuchiwano tylko młodych mężczyzn. Najwyraźniej dzieci, kobiet i starców nie podejrzewano o przestępcze działania.

Nie widziała już potem Zé. Dopiero kilka dni później dowiedziała się od Fernandy, która usłyszała od niewolnicy pracującej w polu, a tej z kolei przekazał to jej kochanek, że Zé zabrano do piwnicy. „Piwnica” była lochem pod Casa Grande. Według tego, co na ten temat przebąkiwano, panowały w niej ciemności i wilgoć, roiło się od szczurów, jadowitych pająków i karaluchów. Lua, która dobrze znała Casa Grande, nigdy nie widziała owej piwnicy. Znała jedynie piwniczkę na wino, która jednak nie wydawała się jej szczególnie posępna, ponieważ było w niej zawsze przyjemnie chłodno. Mimo to

współczuła Zé i pozostałym trzem mężczyznom, o których mówiono, że zostali uwięzieni. Dobrze pamiętała opis statku wiozącego niewolników i wyobrażała sobie, co też muszą znosić w zamknięciu ci biedacy.

Jakiś tydzień po pożarze pewna ładna robotnica wzięła Luę na bok, wcisnęła jej w dłoń srebrną monetę i poprosiła, by zaniosła jej ukochanemu trzymanemu w piwnicy coś do jedzenia i picia.

– Możesz tam zejść niezauważenie – powiedziała. – Uda ci się przecież przemycić dla niego coś ze stołu państwa.

Lua wpatrywała się z niedowierzaniem w monetę. Musiała to być najcenniejsza rzecz tej dziewczyny, która zapewne przechowywała ją przez długi czas niczym skarb, a teraz oddawała za odrobinę mleka i chleba dla swojego Zeki. Czuła się wzruszona tym dowodem wielkiej miłości i nie chciała przyjąć monety.

– Nie mogę – powiedziała. – Nawet nie wiem, gdzie znajduje się ta piwnica.

– Dowiedz się tego – błagała młoda kobieta.

Lua pokręciła głową, w głębi duszy wiedziała już jednak, że spełni prośbę. Zbyt silna była jej ciekawość, a także chęć, by znowu zobaczyć tego głupiego Zé. Postanowiła także, że za przysługę nie przyjmie od dziewczyny monety. Mimo to powoli wyciągnęła dłoń, bo nie chciała urazić dumy robotnicy. Kiedyś odda jej pieniądz.

– No dobrze – powiedziała z udawaną wyższością w głosie. – Niczego jednak nie gwarantuję.

Młoda kobieta spojrzała na nią z nienawiścią, jakby była przekonana, że wyniosła domowa niewolnica połasiła się na monetę, a gdy tylko pieniądz znajdzie się w jej posiadaniu, nawet nie kiwnie palcem, żeby spełnić prośbę.

– Przekaż mu ode mnie te słowa: „Ki fwa o dimi". Zrozumiałaś? Ki fwa o dimi. Zapamiętaj. Dasz mi znać, jaka była jego odpowiedź.

– Ki fwa o dimi? – powtórzyła Lua zdumiona. Cóż to miało być za tajne hasło? Brzmiało podobnie jak wyrażenia, którymi Imaculada ubarwiała swoją fascynująca opowieść.

– Właśnie tak. On da ci odpowiedź.

Lua czuła się nieco urażona nieufnością okazywaną przez kobietę. Z drugiej strony podziwiała ją za ten sprytny ruch. W ten sposób robotnica zyskiwała pewność, że Lua nie weźmie jej pieniędzy za nic, ale że nie pozwoli Zece sczeznąć tam na dole, w ponurym lochu. Skinęła głową, schowała monetę do kieszeni fartucha i odeszła. Nikt nie powinien zobaczyć, że stoją tu razem przez dłużą chwilę.

– Czego chciała od ciebie Maria Segunda? – spytała od razu, gdy tylko Lua wróciła do domu, gruba Maria, której imię brzmiało właściwie Maria Terceira.

Państwo nie byli pomysłowi przy wyborze imion dla niewolników,

więc wiele kobiet nazywano Marią, a mężczyzn José lub João. Niewolnikom wolno było skracać te imiona lub opatrywać je przydomkami, żeby od razu wiadomo było, o kim mowa. Grubą Marię Terceirę, trzecią Marię, złościło, że niewolnica z pola wyprzedza ją w kwestii imienia, ponieważ na tamtą wołano właśnie Maria Segunda, druga Maria. Zeca było skrótem od José Carlos, a Zé od José, przy czym w samym São Fidélio pracowało co najmniej dziesięciu Zé. Sama Lua pogodziła się ze swoim imieniem tylko dlatego, że było przynajmniej wyjątkowe. Oznaczało księżyc. Nie było innej Lui poza nią, tylko księżyc na niebie, i temu właśnie zawdzięczała imię, ponieważ podobno jej twarz kształtem przypominała księżyc w pełni. Jako dziecko była z tego powodu bardzo nieszczęśliwa, ale teraz podobało się jej zarówno samo imię, jak i kształt twarzy, który z biegiem lat stał się owalny.

– Ach, niczego takiego – odrzekła grubej Marii. – Chciała wiedzieć, czy Zeca ma się dobrze, ale nie potrafiłam jej udzielić informacji. Co nas zresztą obchodzą te czarnuchy z pola?

Maria Terceira zadowoliła się tym wyjaśnieniem, tak jak chciała Lua. Gdyby Lua odparła zadziornie: „A co cię to obchodzi?", gruba Maria drążyłaby temat i mogłaby nawet rozpuszczać o Lui jakieś paskudne plotki. Przy tej jędzy trzeba się było mieć na baczności.

Jeszcze tego samego dnia nadarzyła się okazja, by zejść do piwnicy. Sinhá Eulália oczekiwała wizyty i posłała Luę po wino dla gości. Wcisnęła jej w dłoń karteczkę, na której przesadnie wielkimi literami wypisała nazwę szlachetnego trunku.

– Tak wygląda etykieta, jasne? Obejrzyj dokładnie butelki, a jeśli znajdziesz na którejś takie litery, przynieś mi ją. Albo lepiej od razu kilka.

Lua dygnęła grzecznie i pobiegła na dół, mamrocząc pod nosem tajemnicze hasło podane przez Marię Segundę, aby go nie zapomnieć. Na schodach napotkała Lulu, którego imię było skrótem od Luís. Przystanął na środku stopni i tym samym zmusił ją, by przecisnęła się tuż obok niego. Miała wrażenie, że słyszy jego cichy śmiech.

– Co jest takie zabawne? – naskoczyła na niego.

– Myśl o tym, co mógłbym zrobić z tobą tu i teraz, gdybym tylko chciał – odparł.

– Dobrze zatem, że nie chcesz. W przeciwnym razie byłabym zmuszona zepchnąć cię ze schodów – syknęła i starając się zachować równowagę, zeszła na dół.

Słyszała, jak Lulu z zewnątrz zamyka drzwi do piwnicy. Poczekaj tylko, chłopaczku – pomyślała, ja ci jeszcze pokażę. Nie martwiła się. Ponieważ w korytarzu panował ożywiony ruch, nie będzie długo zamknięta. Poza tym Lulu mimowolnie dostarczył jej pretekstu do dłuższego pobytu w piwnicy.

Trzymała przed sobą napełnioną wielorybim tranem lampę i rozglądała się uważnie. Dziwne, że w ciągu tych wszystkich lat, podczas których poruszała się po Casa Grande niemal jak po własnym domu, nigdy jeszcze tego nie uczyniła. Ani spiżarnie, ani schowki, w których leżały stosy rupieci, nie wzbudzały do tej pory jej zainteresowania.

Teraz jednak owszem. Przypomniała sobie bowiem, że w pośpiechu zapomniała zabrać jedzenie dla więźniów. Udała się zatem do pomieszczenia, gdzie przechowywano płaty słoniny, sery, beczki z peklowanym mięsem i suszonymi rybami, worki fasoli i ryżu oraz słoiki z marynowanymi owocami i warzywami. Brała to, co nadawało się do zjedzenia od razu. Chwyciła doce de cajú, słodkie wekowane owoce nanercza, miód i kilka suchych kiełbasek. Więcej nie zdołałaby przenieść w fartuchu, który trzymała za koniuszki tak, że służył jako rodzaj torby. Było to zresztą dość skomplikowane, bo w jednej ręce musiała nieść lampę.

Ze swoim łupem ruszyła wąskim korytarzem. Zawołała cicho:

– Jest tu kto?

Zrobiła tak przede wszystkim po to, by przegonić ogarniający ją niepokój. Nie spodziewała się odpowiedzi i żadnej też nie otrzymała, z wyjątkiem stukotów i szelestów. Niepewnym krokiem szła dalej korytarzem, minęła piwniczkę z winem i wkroczyła w kolejne przejście, które prowadziło łukiem w prawo. Nigdy jeszcze nie zapuściła się tak daleko w tym podziemnym labiryncie. Ogarnął ją głęboki lęk.

Nie widziała jednak nic naprawdę strasznego. Jedno pomieszczenie wypełniały materiały budowlane, rozpoznała dachówki oraz kafle azulejo i deski, jakich używano w Casa Grande. W innym rogu ułożono aż po sufit stare meble, których Lua nigdy nie widziała w domu. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Dziewczyna odważyła się pójść dalej. Ponownie zawołała:

– Halo, jest tu kto?

Ponieważ również nie otrzymała odpowiedzi, zawołała raz jeszcze, głośniej. Najwyraźniej ktoś ją w końcu usłyszał, ponieważ bardzo słabo, jakby z wielkiej dali, dobiegło ją:

– Tutaj!

Serce Lui waliło głośno, jej oddech przyspieszył. Bała się tego, co odkryje, ale jeszcze bardziej bała się, że zostanie przyłapana. Jeśli ktoś zobaczyłby ją tu, na dole, jak niesie żywność dla więźniów, na długie miesiące wysłano by ją do pracy na polach trzciny cukrowej. Znów usłyszała:

– Tutaj! Tutaj, dobra kobieto! – A potem rozległ się metaliczny brzęk. Ktoś uderza o kraty – przemknęło jej przez głowę. Zaczęła biec. Smakołyki omal nie wypadły z fartucha, bo nie dostrzegła mokrej

plamy na posadzce i poślizgnęła się.

Wołanie stało się głośniejsze, więc podążała za nim. Dotarła do wąskich schodków i na drżących nogach zeszła siedem stopni w dół. Ogarniał ją coraz większy lęk, ale zebrała się na odwagę i z pochyloną głową ruszyła dalej. Nagle krzyki rozległy się znowu, tym razem zupełnie blisko. Najwyraźniej trafiła do „piwnicy" w piwnicy. Początkowo niewiele widziała, ponieważ wejścia do lochu nie zagradzała krata, tylko masywne żelazne drzwi. Zbadała je dokładnie i wreszcie na wysokości oczu znalazła klapę, którą dało się otworzyć. Postawiła lampę i jedzenie na ziemi, po czym zaczęła manipulować przy klapie. Wreszcie otworzyła ją z piskiem zawiasów.

Oblicze mężczyzny wypełniało cały otwór. Potrzebowała dłuższej chwili, nim rozpoznała Zé. Przestraszona, wciągnęła powietrze. Niewiele zostało z jego urody. Twarz miał opuchniętą i poranioną. Najwyraźniej ostro się do niego zabrano. Wargi mu popękały, na skroni widniała rana, a na policzku ropiało paskudne nacięcie. Jego oczy migotały jednak agresywnie.

– No proszę, kogóż tu mamy? Zadzierającą nosa senhoritę z Casa Grande – powitał Luę.

Jej współczucie błyskawicznie zmieniło się w gniew.

– Daj mi porozmawiać z Zecą! – nakazała szorstko. – Mam dla niego wiadomość.

Teraz, gdy jej oczy przywykły do panującej w lochu ciemności, dostrzegła, że sufit znajdował się nadzwyczaj nisko. Zé musiał poruszać się na czworakach. W otworze ukazała się zaraz twarz Zeki. Lua z trudem ją poznała, ponieważ Zeca wyglądał jeszcze gorzej niż Zé.

– Ki fwa o dimi – powiedziała bez żadnych wstępów. Nie chciała przebywać tu dłużej, niż to konieczne.

Westchnął głośno.

– Mwenyu u fwa we!

– Czy to odpowiedź, jaką mam przekazać Marii Segundzie? Mwenyu u fwa we?

– Tak – załkał. Potem zakrył twarz dłońmi. Zapewne wstydził się przed Luą i współwięźniami, że stracił panowanie nad sobą.

– Przyniosłam wam coś do jedzenia. – Podała mu skradzione przysmaki. – Spróbuję przynieść więcej.

– Dziękuję – szepnął.

– Mwenyu u fwa we? – upewniła się jeszcze raz.

– Właśnie tak.

Zatrzasnęła klapę. Nie mogła dłużej patrzeć na nieszczęście tych ludzi. Poza tym musiała zostawić to straszne miejsce tak, jak je zastała, żeby nikt nie nabrał podejrzeń. Drogę powrotną pokonała znacznie szybciej niż w przeciwną stronę, a z pośpiechu omal nie

zapomniała o butelce wina dla sinhy Eulálii. Dopiero w ostatniej chwili przypomniała sobie o jej poleceniu. Chwyciła wybrane wino i pobiegła ku drzwiom korytarza, te jednak były zamknięte.

Jeszcze i to! Zupełnie wyleciał jej z głowy głupi żart Lulu.

Waliła w drzwi i wołała najgłośniej, jak potrafiła. Wydawało się, że minęło nieskończenie dużo czasu, nim ktoś wreszcie zlitował się i otworzył. Lua jęknęła w duchu. Czy musiała to być właśnie dona Ines?

– Co robisz w piwnicy? – spytała dona Ines niepotrzebnie, ponieważ butelki wina mówiły same za siebie. – I dlaczego drzwi były zaryglowane? Kto cię tu zamknął, Lua? – chciała wiedzieć.

– Nie wiem, dona sinhá. Na pewno ktoś przez nieuwagę. – Spuściła głowę i próbowała przyjąć uniżoną postawę, co jednak najwyraźniej się jej nie udało.

Dona Ines uniosła jej podbródek i popatrzyła badawczo w oczy.

– Nie musisz nikogo chronić. Między wami, niewolnikami, panuje źle pojęte poczucie wspólnoty.

Być może miała rację, lecz Lua nie potrafiła donieść na Lulu. Jeżeli w senzali coś weszło jej w krew, to właśnie owo poczucie wspólnoty. Czarni trzymali się razem, przynajmniej wobec białych. Co prawda potrafili skakać sobie do gardeł, ale to już inna sprawa.

Dygnęła i powiedziała przesadnie skruszonym tonem:

– Jeśli pani pozwoli, pójdę do sinhy Eulálii. Na pewno czeka niecierpliwie na wino.

Dona Ines zwolniła ją szorstkim skinięciem i Lua pobiegła do salonu, gdzie słusznie spodziewała się zastać sinhazinhę i jej gości.

Następnie udała się do kuchni, wypiła kubek wody i pospieszyła na dwór. Długi pobyt w piwnicy oraz spotkanie z nieszczęsnymi więźniami obudziły w niej ogromną tęsknotę za słońcem i powietrzem. Przysiadła na schodach prowadzących do skrzydła gospodarczego i wpatrzyła się w nieokreślony punkt w oddali, gdy nagle ktoś pociągnął ją za rękaw.

– Ty pisze dalej historię – nakazała Imaculada, która z pewnością nie była wzorem uprzejmości ani taktu.

Lua czuła się zbyt oszołomiona, by wymyślić jakąś wymówkę. Poza tym chciała dowiedzieć się czegoś od sędziwej niewolnicy, mogła więc w zamian spisywać jej wspomnienia.

– Powiedz, Imaculado, czy wiesz, co to znaczy: „Ki fwa o dimi”? Albo „mwenyu u fwa we”?

– Moje imię Kasinda! – zdenerwowała się tamta.

– No dobrze, Kasindo. Wiesz czy nie?

Spojrzenie starej było zamyślone, gdy odpowiedziała.

7

Ki fwa o dimi, mwenyu u fwa we – gdy umiera mowa, umiera także dusza. Któż mógł wiedzieć to lepiej niż my, niewolnicy, którym pod groźbą drakońskich kar zabroniono porozumiewać się między sobą w ojczystym języku? Ponieważ nie znaliśmy portugalskiego, milczeliśmy.

Na plac przyprowadzano jeden po drugim przejmujące zgrozą szeregi niemych więźniów i zamykano z nami w zagrodzie. Pękała w szwach, gdy zaczął się spektakl. Pochwycono jakiegoś chłopaka i powiedziono na drewnianą scenę. Dwóch mężczyzn, również ciemnoskórych, przytrzymywało więźnia, a trzeci obchodził go i wychwalał jego zalety.

– Mamy tu wyjątkowo dobry okaz: męski, około dwudziestu lat, w nienagannym stanie zdrowia. Wszystkie zęby na miejscu. Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, siedemdziesiąt pięć kilogramów wagi. Długie, silne członki. Idealny do pracy w polu. Cena wywoławcza piętnaście milrejsów.

W tłumie rozległ się jęk niedowierzania; najwyraźniej była to bardzo wysoka cena. Oczywiście, nie rozumiałam wtedy ani słowa z tego, co mówił prowadzący, ale później tak często bywałam na pelourinho, targu niewolników, że jestem pewna, iż były to właśnie te lub bardzo podobne słowa.

Na placu utworzyło się zbiegowisko. W pierwszych rzędach przed sceną stali kupujący, którzy podnosili ręce, by licytować niewolników. Z tyłu widziało się jednak młode całujące się pary, dzieci, które sprzedawały cocadas, słodkie kokosowe przysmaki, i woźniców palących papierosy. Wałęsali się tam także kieszonkowcy i żebracy, prostytutki i oszuści, sprzedawcy losów na loterię i wróżbitki. Licznie przybyli również szacowni obywatele, w tym matrony, które na widok niemal nagich czarnych skrępowane, wbijały wzrok w ziemię, starsi panowie, flirtujący z Mulatkami przy straganach, oraz elegancko ubrane dzieci, które bawiło uciekanie przed czarnymi opiekunkami

i chowanie się w tłumie.

Zachwalany towar został sprzedany po znacznie wyższej cenie niż wywoławcza, w dodatku bardzo szybko. Więźniowie zostawali jeden po drugim zaciągnięci na podium. Gdy przyszła kolej na mnie, przygotowałam się już w duchu na to, co mnie czeka. Przede mną sprzedano około trzydziestu kobiet i widziałam, jak to się odbywa. Dwaj pomocnicy prowadzącego zaciągnęli mnie na podium, zerwali ze mnie skromną przepaskę biodrową i rozciągnęli moje ramiona tak, że nie mogłam osłonić piersi. Mogę tylko przypuszczać, jak zachwalał mnie licytator: „Towar bez zarzutu. Żeński, około dziewiętnastu lat. Wszystkie zęby, dobry stan zdrowia. Sto sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu, pięćdziesiąt kilogramów wagi. Niedawno rodziła, nadaje się na mamkę. Cena wywoławcza: sześć milrejsów".

Wielu mężczyzn podniosło ręce. Nie ośmieliłam się spojrzeć na nich. Pochyliłam głowę i próbowałam nie zwracać uwagi na to, co się dzieje. Nie miałam na nic żadnego wpływu. Wreszcie zostałam kupiona. Czarny mężczyzna, którego później nauczyłam się bać jako nadzorcy, zabrał mnie i zaprowadził do powozu, za którym uwiązanych było już kilku innych niewolników. Przywiązano mnie do nich. W ciągu dnia dołączono jeszcze innych. Żadne z nas nie ośmieliło się odezwać do pozostałych. Moi najbliżsi sąsiedzi, kobieta przede mną i mężczyzna za mną, zostali zresztą uprowadzeni z innych okolic niż ja, poznałam to po ich rysach i ozdobnych bliznach, więc nie moglibyśmy się porozumieć. Naszego właściciela widziałam tego dnia tylko przez chwilę, gdy przyszedł i wsiadł do powozu. Był to przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, którego miny nie umiałam odczytać, ponieważ wszyscy biali wydawali mi się tacy sami, ale którego władcze gesty wyraźnie świadczyły, że to on tu rządzi.

Powóz ruszył, a my musieliśmy biec za nim. Nadzorca i jego dwóch towarzyszy jechali obok i za pomocą pejczów pilnowali, by nikomu nie przyszło do głowy się ociągać. Bieg okazał się bardzo wyczerpujący. Wiele tygodni spędzonych w niewoli nadwerężyło nasze siły, w dodatku było gorąco i parno. Męka nie trwała jednak bardzo długo. Fazenda, do której nas przypędzono, leżała dość blisko miasta, na południowy zachód od jego zabudowań i tuż w pobliżu wielkiej zatoki, którą, jak się później dowiedziałam, nazywano Bahia de Todos os Santos, Zatoką Wszystkich Świętych.

Po przybyciu kobiety i mężczyzn rozdzielono. Kobiety zostały zlustrowane od stóp do głów przez starszą Murzynkę o paskudnym wyrazie twarzy. Potem wygłosiła ona przemowę, którą ledwie zrozumiałyśmy, bo tylko od czasu do czasu wtrącała słowa z różnych dialektów bantu. Pojęłyśmy jednak sens.

– Jesteście niczym. Mniej niż niczym. Jesteście brudnymi, leniwymi, chorymi, niechętnymi czarnuchami. Ale to się zmieni. Oczyścicie się

w tej kadzi. – Wskazała wielki ceber. – Będziecie ubierać się jak przyzwoici chrześcijanie i nauczycie się mowy waszego senhora. Otrzymacie nowe imiona. Wasza dawna ranga w kraalu nikogo tu nie obchodzi. Wszystko, co afrykańskie, należy już do przeszłości. Wszystko. Kto zostanie przyłapany na odprawianiu plemiennych rytuałów, mówieniu w rodzimym języku albo gotowaniu potraw, które dziwnie pachną, zostanie ukarany. Zapomnijcie zwłaszcza o waszych bóstwach i innych pogańskich obyczajach. Tutaj zostaniecie wychowani na dobrych katolików. Kto będzie przestrzegać zasad i podda się woli naszego Pana w niebie, temu będzie dobrze.

Kazano nam po kolei wchodzić do cebra z wodą, która nie wyglądała na czystą. Potem ogolono nam głowy, aby uchronić nas przed wszami. Następnie owinięto nas w proste bawełniane ubrania i każdej z nas podano hamak oraz paczkę odzieży, za której przechowywanie i pranie odpowiadałyśmy od tej pory same. Była tam bielizna, druga suknia, fartuch, chustka na głowę oraz kilka grubych lnianych płacht, których miałyśmy używać jako prześcieradeł, ręczników oraz opasek higienicznych. Poza tym każda z nas dostała mały kawałek mydła. Ugryzłam je, ponieważ nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego i sądziłam, że to mała przekąska. Od razu wyplułam odgryziony kawałek, na co ta zła Murzynka – nazywała się Maria da Graça – przejechała mi rózgą po twarzy.

– Mydła się nie je. A jeśli jeszcze raz spluniesz w mojej obecności, dostaniesz dwadzieścia razów.

Wpatrywałam się w zakurzoną podłogę. Choć nie zrozumiałam ani słowa, wiedziałam, że zrobiłam coś złego.

Podano nam także tobołki z najważniejszymi produktami spożywczymi: fasolą, ryżem i mąką maniokową, oraz drewnianą łyżkę i miskę zrobioną z połowy orzecha kokosowego. Następnie zaprowadzono nas do senzali.

Widok olbrzymiego, przypominającego stodołę budynku, w którym tylko cienka ścianka pleciona z liści palmowych oddzielała część męską i żeńską, bardziej mnie zdumiał, niż przestraszył. Nie było tam okien, tylko kilka lufcików. Dach zrobiono z dachówek ułożonych na surowo ociosanym szkielecie. Te dachówki fascynowały mnie, ponieważ znałam tylko dachy ze słomy lub liści palmowych. Już pierwszej nocy zrozumiałam jednak, że dachówki mają znaczne wady. W ciągu dnia gromadziły ciepło, więc w naszym schronieniu również nocą panował upał.

Na ziemi rozsypano trociny. Wszędzie wisiały tuż obok siebie hamaki. Często zgromadzone były w grupkach wokół paleniska. Wskazano nam nasze miejsca i poinformowano, że jak najszybciej powinnyśmy stawić się z powrotem przed wejściem do senzali. Przymocowałam swój hamak do kilku przeznaczonych do tego

drewnianych kołków i odłożyłam swoje rzeczy. Moich sąsiadek nie było widać, prawdopodobnie o tej porze wszystkie przebywały w pracy.

Przed senzalą zebrali się mężczyźni i kobiety wyglądający zupełnie inaczej niż wcześniej – byliśmy czyści, niemal łysi, ubrani w obce stroje. Wszystkich nas przepełniał lęk wobec niepewnej przyszłości. Większość spodziewała się pewnie w duchu, że zostaniemy zaprowadzeni przed oblicze plemiennego wodza i zabici. To, co naprawdę z nami uczyniono, było niewiele lepsze – zostaliśmy ochrzczeni w zbiorowej ceremonii i otrzymaliśmy nowe imiona.

Większość mężczyzn nazwano José, João lub Luís, a większość kobiet otrzymała podwójne imiona, wszystkie zaczynające się od Maria. Mnie nazwano Maria Imaculada. Ponieważ zupełnie nie rozumiałam, o co chodzi w tej ceremonii, przyjmowałam ją obojętnie. Podobnie jak pozostali, doszłam do wniosku, że chodzi o rytuał ofiarny, podczas którego my, biedni Afrykańczycy, zostajemy ofiarowani złemu czarownikowi, który wisiał w cierniowej koronie na swego rodzaju szubienicy i krwawił z dłoni oraz stóp.

Drewniany krzyż z owym czarownikiem – naszym zbawicielem Jezusem Chrystusem, jak się wkrótce dowiedziałam – stał przed kaplicą pośrodku placu, na którym nas chrzczono. Ksiądz skrapiał nasze czoła wodą, po czym wykonywał dziwne gesty i kończył je, mówiąc „amen". „Amen" było jednym z pierwszych słów, jakich nauczyłam się po portugalsku, i przez wiele miesięcy sądziłam, że oznacza tyle, co „umieraj". Gdy po dokonanym chrzcie nakazano nam uklęknąć i złożyć dłonie do modlitwy, byłam pewna, że zetną nam głowy, zwłaszcza że cały ten spektakl obserwowało wielu uzbrojonych jeźdźców. Gdy jednak nie wydarzyło się nic podobnego i pozwolono nam wstać, nie potrafiłam nawet się cieszyć; z głodu i wyczerpania miałam zawroty głowy i ciemno przed oczami. Dwie kobiety wsparły mnie i uchroniły przed upadkiem. Ksiądz, który obserwował to wszystko, był zachwycony. Sądzę, że powiedział coś w rodzaju: „Spójrzcie na tę biedną czarną istotę, w której członki Pan Bóg w niebie spłynął pod postacią Ducha Świętego! Nie wie jeszcze, co się z nią dzieje, ale wkrótce dowie się, że została ożywiona jedyną prawdziwą wiarą w miłość naszego Pana Jezusa Chrystusa!".

Ksiądz, jak się z czasem okazało, był na usługach fazendeira i nie miał pewności co do naszego statusu. Czy należało traktować nas na równi ze zwierzętami, tak jak uważał nasz właściciel i większość białych? A może teraz, gdy już zostaliśmy ochrzczeni, wypadało raczej widzieć nas jako ludzi? Padre posłużył się sprytnym wybiegiem. Stosował dziwny chrześcijański język obrazów, nazywał swego Boga pasterzem, a nas jego lub swoimi owieczkami.

Na szczęście tego dnia pozwolono nam odpocząć. Mogłyśmy udać się do senzali, poznać inne mieszkające tam kobiety, przygotować posiłek,

najeść się i odpocząć, by zebrać siły na kolejny dzień, pierwszy dzień pracy. Ze strachem czekałam na spotkanie z obcymi kobietami. Czy znajdzie się wśród nich taka, która zrozumie moją mowę? Czy będą przyjaźnie usposobione? Czy pomogą mi odnaleźć się w niewoli i na obczyźnie?

Gdy dotarłam na przyznane mi miejsce, ujrzałam, że tobołek z moim skromnym dobytkiem nie leży już na hamaku. Sześć kobiet, których maty wisiały wokół paleniska i które miały być niejako moją nową rodziną, obserwowało mnie nieufnie kątem oczu. Pewnie oczekiwały na płacze i krzyki w języku, który musiał się im wydawać śmiesznym bełkotem. Nie dałam im jednak tej satysfakcji. Nie pisnęłam ani słowa i przybrałam obojętną minę. Podeszłam do hamaka pierwszej kobiety, błyskawicznie zacisnęłam rękę na jej gardle i walczyłam z nią, aż spadła na ziemię. Nie trwało to długo. Potem podeszłam do drugiej, która obserwowała całe zdarzenie, a teraz obronnie uniosła ręce.

– Zostaw mnie w spokoju, ty bestio! – krzyknęła.

Nie miało najmniejszego znaczenia, o co mnie prosiła lub jak mnie znieważała. Chwyciłam ją za stopy i ściągnęłam z hamaka, którego chwyciła się jeszcze, spadając. Pozostałe cztery kobiety okrążyły mnie, jakbym była drapieżnym kotem, w każdej chwili gotowym do skoku. Żadna z nich nie znalazła się jednak nigdy oko w oko z lwem, od razu to zrozumiałam. Ich postawę cechowała opieszałość, słabość i tchórzliwość, cechy, które znacznie częściej spotyka się wśród więźniów niż wśród wolnych ludzi. Te kobiety nigdy nie zasmakowały wolności, zatraciły instynkt i brakowało im całej tej wiedzy, której my, Afrykańczycy, zawdzięczaliśmy swoje przeżycie w dziczy.

Gdy jedna z kobiet zamachnęła się do ciosu, błyskawicznie zanurkowałam pod jej ramieniem, trafiła więc w pustkę. Jednocześnie uderzyłam inną pod kolanami. Zachwiała się i upadła. Oczywiście, nie mogłam długo opierać się przeważającej liczbie atakujących, ale gdy wreszcie mnie pochwyciły, pocieszałam się myślą, że napędziłam im strachu. Tymczasem wokół naszej grupy zebrały się inne kobiety, a jedna z nich, sądząc po rysach, urodzona przywódczyni, szorstko ofuknęła moje przeciwniczki. Puściły mnie. Przywódczyni podeszła do mnie bardzo blisko i szepnęła w moim ojczystym języku:

– Jeśli tylko możesz, nie zwracaj na siebie uwagi. Jedynie w ten sposób zdołasz przeżyć.

Ze wzruszenia omal nie osunęłam się na kolana. Po raz pierwszy od bardzo dawna słyszałam swoją rodzimą mowę. Zbierało mi się na płacz. Z mojej postawy i wyrazu twarzy ustąpiła wrogość i wola walki.

– Kim jesteś? – spytałam starszą kobietę.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się do pozostałych mieszkanek senzali i wyjaśniła im po portugalsku, że już koniec przedstawienia i że nie życzy sobie następnych zajść. Potem syknęła do kobiet z mojej grupy,

że zabrania im kiedykolwiek jeszcze zgotować nowej niewolnicy takie powitanie. Jedną z nich przyciągnęła do siebie za włosy i powiedziała:

– A ty, złodziejskie nasienie, słuchaj uważnie. Jeśli ta nowa nie dostanie natychmiast z powrotem swojego tobołka, zostaniesz zesłana na całe lato do kopalni. Już ja się o to postaram.

Zbesztana wróciła na swoje miejsce, z drewnianej skrzyni, która stała pod jej hamakiem, wygrzebała mój tobołek i rzuciła mi go z pogardliwym uśmieszkiem.

– Musisz mieć na nią oko, Jojo – powiedziała do starszej kobiety. – Ona ściągnie na nas same kłopoty, od razu to po niej widać.

– To już moje zmartwienie. Jeśli jest choć w połowie tak cwana i podstępna jak ty, poradzi sobie.

– Trafiła tu prosto z buszu. To zwierzę, Jojo, wierz mi.

Stara zaśmiała się.

– Tobie mam wierzyć?

– Ach, do diabła, zostawcie mnie w spokoju! – krzyknęła złodziejka i rzuciła się na hamak.

– Pójdziesz ze mną – nakazała mi Jojo w moim języku. – I ani słowa – szepnęła. – Rozmawianie w języku kimbundu jest zakazane.

Skinęłam głową i poszłam za nią. Gdy dotarłyśmy do jej miejsca, ostrym spojrzeniem zmusiła wszystkie sąsiadki, by się odwróciły.

– Jak masz na imię? – spytałam moją wybawczynię.

– Naprawdę mam na imię Samba, ale w niewoli mówią na mnie Jojo, to skrót od Maria Joana. A ty jesteś Maria Imaculada, prawda?

– Nie! Mam na imię Kasinda!

– Cicho! Wszędzie znajdą się tacy, co nadstawiają uszu, by później sprzedać swoją wiedzę. A zatem słuchaj uważnie. Tutaj masz na imię Imaculada. Najlepiej od razu zapomnij o swoim starym imieniu. Panowie nie lubią, gdy nie używamy imion z chrztu.

– Skąd pochodzisz? – chciałam wiedzieć. – Jak trafiłaś do niewoli? Jak długo już tu jesteś? Masz rodzinę? Dzieci?

– Za dużo pytasz. To, kim byliśmy, zanim trafiliśmy do niewoli, nie ma już znaczenia. Od jutra będziesz starać się szybko nauczyć portugalskiego. Najpierw wbiję ci do głowy to zdanie: „Mam na imię Imaculada".

Chciałam się sprzeciwić, ale autorytet tej kobiety, jej mądrość i dobroć sprawiły, że zamilkłam. Postanowiłam zaufać jej radom, ponieważ bez nich przepadłabym. Cicho powtarzałam więc raz po raz to pierwsze portugalskie zdanie: Meu nome é Imaculada.

– Dobrze, a teraz wracaj na swoje miejsce. Kobiety nie będą ci się już naprzykrzać. Przygotuj sobie coś do jedzenia i połóż się spać. Jutro będziesz potrzebować dużo siły.

Byłam nieco przygnębiona tym, że odprawiła mnie tak szorstko. Mnóstwo moich pytań pozostało bez odpowiedzi. Wiedziałam jednak,

że mądrzej będzie posłuchać polecenia.

– Dziękuję, Samba – pożegnałam się.

Odchodząc, usłyszałam, jak parska z irytacją.

8

W ostatniej chwili Lua schowała zeszyt i rysik pod fartuchem. Tak bardzo pochłonęła ją historia Imaculady, że późno usłyszała zbliżające się kroki. Imaculada z pewnością była czujniejsza niż ona, ale w podeszłym wieku słuch ją już zawodził. Gdy zza rogu wyłoniła się jakaś postać, spłoszone uniosły głowy. Odetchnęły z ulgą, gdy przekonały się, że to Maria Segunda.

– Widziałaś go? Czy Zeca jest zdrowy? Co ci odpowiedział?

Imaculada zgasiła cygaro na schodach i wepchnęła ogarek do kieszeni spódnicy. Potem wstała i oddaliła się bez słowa.

– Dziwna stara – powiedziała Lua.

– Tak, nam może wydawać się dziwna, ale to bardzo mądra i odważna kobieta.

– Skoro tak mówisz... – Lua dała do zrozumienia, że mało ją to obchodzi.

– Powiedz, jak brzmiała odpowiedź, którą miałaś mi przekazać? – naciskała Maria Segunda.

– Mwe... – zaczęła Lua. – Boże, nie przypomnę sobie. Zaczynało się od „mwe".

Sama się sobie dziwiła. Jeszcze nigdy nie sprawiało jej trudności zapamiętanie nowych słów czy całych wierszy. Potrafiła wbić sobie do głowy nawet cytaty w obcych językach, jakie rzucała czasami senhora, choć Lua zazwyczaj ich nie rozumiała. Wstydziła się, że właśnie teraz zapomniała hasła. Marii Segundzie chyba to jednak nie przeszkadzało. Pokiwała radośnie głową.

– Powiedział: Mwenyu u fwa we?

– Tak, właśnie to powiedział!

– Dziękuję, Lua – wydusiła z siebie kobieta. Dało się zauważyć, że zostanie dłużniczką Lui budziło w niej niechęć. – A teraz powiedz, jak Zeca wygląda. Co jeszcze powiedział? Czy zdołałaś zanieść mu prowiant?

Choć Lua nie znosiła Marii Segundy, nie potrafiła jej opisać

poranionej twarzy ukochanego ani jego żałosnego pojękiwania.

– Na dole było ciemno, więc ledwo go poznałam. Miałam jednak wrażenie, że trzyma się dość dobrze. Tak, podkradłam w spiżarni mnóstwo smakołyków i zaniosłam je więźniom. Powinny wystarczyć im na kilka dni. Gdy tylko zdołam się wymknąć, znowu spróbuję pójść do piwnicy.

Oczy niewolnicy polowej zwilgotniały, jednak jej ton był szorstki, gdy rzekła:

– Daj mi znać zawczasu. Mam dla Zeki coś, co musisz mu zanieść.

– Niczego nie muszę – odparła Lua tym samym tonem i odwróciła się na pięcie.

Była zmęczona i niczego nie pragnęła bardziej niż odrobiny spokoju. Jednak w tak wielkiej fazendzie, a przede wszystkim w senzali, próżno by go szukać. Nigdy nie było się zupełnie samemu, zawsze ktoś przeszkadzał w odpoczynku. A to jakieś dziecko chciało, by Lua zaplotła warkocz szmacianej lalce z włosami ze słomy, a to któraś z kobiet musiała zwierzyć się jej ze swoich problemów. Czasami obchodzono jakieś święto i aby nie urazić zebranych, trzeba było dołączyć do rozradowanego tłumu, a z kolei w inne wieczory panowała atmosfera przygnębienia, na przykład gdy ktoś umarł i oczekiwano, że wszyscy wezmą udział w żałobie, nawet jeśli nie znało się dobrze zmarłego czy nawet go nie lubiło.

Niemiłe odgłosy i zapachy łatwiej było ignorować niż nastroje. Puszczającego bąki staruszka, wrzeszczące dziecko czy jęczących zakochanych w końcu przestawało się słyszeć, podobnie jak nie zwracało się uwagi na zapachy starców czy powietrze przesiąknięte wonią dendę, oleju palmowego. Ze względu na nadmiar bodźców zmysły niewolników były prawdopodobnie przytępione, jednak wrażliwości na zmianę nastrojów nie dawało się tak łatwo wykorzenić. Wszyscy wyczuwali panującą atmosferę, niektórzy wręcz zatrważająco dokładnie. Fernanda, przyjaciółka Lui, należała właśnie do takich osób. Gdy coś wisiało w powietrzu, zapowiedź kłopotów lub radości, wyczuwała to pierwsza.

– Te typy z tyłu coś knują – powiedziała kiedyś. – Na pewno nic dobrego.

Pozostali popatrzyli na wskazanych mężczyzn, ale nie dostrzegli niczego podejrzanego. Trzy dni później ludziom tym udało się uciec.

Wygląd Fernandy nie zdradzał jej szóstego zmysłu. Wręcz przeciwnie – była tęgą osobą o nieco głupawym uśmiechu, który od razu mówił o jej nadzwyczajnym umiłowaniu życia. Ponieważ stąpała twardo po ziemi i była pragmatyczna, wydawało się, że jest kobietą gruboskórną, tak mocno zakorzenioną w rzeczywistości, że nie umiałaby dostrzec drobnych zmian w emocjach zbiorowości. Niesłusznie! Kiedyś, gdy wraz z Luą polerowała srebra, oznajmiła nieoczekiwanie, że jej

zdaniem będzie to chłopiec.

– Kto? Co? – spytała Lua.

– No, dziecko Marii José.

– Jakie dziecko?

– Jest w ciąży. Nie wiedziałaś?

Lua pokręciła przecząco głową i poważnie zastanowiła się nad stanem umysłu przyjaciółki.

– Ona sama jeszcze o tym nie wie.

Osiem miesięcy później Maria José wydała na świat zdrowego chłopca.

Taka właśnie była Fernanda. Z tego względu bardzo wcześnie domyśliła się także, że Lua umie pisać i czytać, w jej oczach stanowiło to jednak całkowicie zbędną umiejętność.

Tego wieczoru siedziały obok siebie przy palenisku i patrzyły na gotującą się w garnku fasolę ze słoniną. Milczały przez dłuższy czas, aż wreszcie Fernanda zagaiła rozmowę:

– Nie wiem, co się z tobą dzieje, Lua. Jesteś inna niż zwykle. Czy chodzi o tego Zé? Czy ta wariatka Imaculada zawraca ci głowę swoimi szalonymi pomysłami? A może to sprawka twojej nowej przyjaciółki, Marii Segundy?

– To takie oczywiste?

– Dla mnie owszem. Coś się z tobą dzieje, a ja się o ciebie martwię. Dałaś się wciągnąć w sprawy, które nie powinny cię obchodzić?

Lua skinęła głową.

– Mój Boże, Lua, nie jesteśmy dziećmi. Dobrze nam w Casa Grande, mamy szczęście, że trafili nam się tacy właściciele, nie mamy zmartwień...

– Może ty.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że ja powoli zaczynam dostrzegać to, na co do tej pory byłam ślepa – odparła Lua.

– Och, tylko oszczędź mi tego twojego dalekosiężnego wzroku! – jęknęła Fernanda. Potem podskoczyła, zamieszała w garnku i oświadczyła: – Kolacja gotowa. Tia Jacobina dała mi dziś mnóstwo słoniny. A ty mówisz o jakichś zmartwieniach!

Lua uśmiechnęła się. Tak, treściwa feijoada rzeczywiście była powodem do radości.

Jadły, i Lua spostrzegła, że stopniowo rozwiewa się jej przygnębienie. To także był dar Fernandy – odwracanie uwagi od trosk i wywoływanie u innych dobrego samopoczucia dzięki samej jej bliskości.

W kolejnych dniach nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Pogoda była piękna, wszystko rosło i dojrzewało wspaniale, a właściciele mieli

dobry nastrój, ponieważ spodziewali się wysokich zysków. Dona Ines była tak zadowolona z pracy niewolników, że podarowała im garść dobrych cygar. W rzeczywistości zawdzięczała ten dobry nastrój swojemu panu małżonkowi, który po długim czasie zaszczycił jej łoże. Świadkami byli Lulu i gruba Maria – on podpatrywał przez dziurkę od klucza, a ona podsłuchiwała w sąsiednim pokoju.

Członkowie rodziny Oliveirów tak przywykli do nieustannej obecności usłużnych niewolników, że prawie już ich nie zauważali. Czasami dyskutowali głośno o sprawach, które powinny pozostać tajemnicą, ponieważ nie przychodziło im do głowy, że niewolnicy mogą być zainteresowani ich rozmowami lub w pełni je rozumieć. Tak też było w sobotni wieczór, gdy młody sinhô Carlos przyjechał z wizytą ze stolicy.

Podano tyle dań, że starczyłoby dla wielu gości, ale rodzina jadła tylko we własnym gronie. Na stole stała pieczona wieprzowina i wołowina oraz maślana farofa, prażona mąka maniokowa, a do tego obsmażane korzenie manioku, biały ryż, karmelizowana marchew i suflet z kolczochów. Fernanda, Lulu i Lua stali w drzwiach do jadalni i rozmyślali, ile zostanie z tych przysmaków i komu przypadnie lwia ich część.

Przy głównym daniu rozmawiano niewiele, ale gdy podano deser – tort kokosowo-ananasowy – zaczęła się dyskusja, do czego przyczyniło się także wino, które wszyscy obecni przy stole popijali w dużych ilościach.

– Za dużo pijesz – powiedział dom Felipe do córki. – Młodej damie to nie przystoi.

– Ach, daj spokój, papo – odezwała się Eulália z przekornym uśmiechem. – To przecież tylko jeden kieliszek.

– Ale trzykrotnie do niego dolewano – przypomniał Carlos. – Zostało zaś naukowo dowiedzione, że alkohol ma zgubny wpływ na kobiety. – Odkąd najstarszy syn państwa studiował w Salvadorze medycynę, zachowywał się niczym wielki uczony, choć był dopiero na drugim semestrze.

– A na mężczyzn nie? – postawiła się Eulália. – O ile wiem, za spory i bójki między niewolnikami odpowiadają niemal wyłącznie pijacy!

– Nie chcesz chyba porównywać nas do Murzynów! – oburzyła się dona Ines.

– Zdarzają się też wichrzyciele, którzy nie potrzebują alkoholu, żeby siać zamęt – odezwał się cicho młody Manuel.

W pokoju natychmiast zapadła cisza. Było fascynujące, że wszyscy obecni dawali posłuch najmłodszemu członkowi rodziny i w napięciu czekali na to, co ma do powiedzenia.

– Chodzi ci o tych podpalaczy? – spytał dom Felipe.

Manuel skinął głową, po czym przedstawił wydarzenia z minionego

tygodnia bratu, który zawołał z wściekłością:

– Powiesić ich wszystkich!

– Nie sądzę, żeby było to dobre rozwiązanie – odważył się sprzeciwić brat.

Wszyscy słuchali go uważnie. Nawet arogancki Carlos nie podważał osądu piętnastolatka.

– To czterech młodych, silnych mężczyzn. Ich śmierć, po pierwsze, oznaczałaby dla nas znaczne straty finansowe, a po drugie, nie poznalibyśmy przyczyny podpalenia. Gdzie jest czterech ludzi siejących zniszczenie, znajdzie się ich więcej. Jeśli pozbędziemy się tych czterech buntowników, niezadowolenie wzrośnie i szybko będziemy mieć w ich miejsce czterdziestu nieposkromionych i zdecydowanych na wszystko Murzynów. Musimy podejść do sprawy dyplomatycznie.

– W dodatku jeden z nich jest prezentem, to moja osobista własność – narzekała Eulália.

– No cóż, drogi Rui Alberto upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. Podrzucił nam swojego największego mąciwodę pod pozorem drogiego prezentu zaręczynowego – zauważył zaskakująco bystrze Carlos. – Kiedy właściwie będziemy świętować zaręczyny? – chciał wiedzieć.

Nastąpiła krótka wymiana zdań między rodzeństwem, pełna szeptów i chichotów. Rodzice i najmłodszy syn siedzieli w milczeniu nad pustymi talerzykami deserowymi i tylko wznosili oczy. Znali zamiłowanie dwojga starszych dzieci do wydarzeń towarzyskich, balów, intryg i swatów.

Żadne z trojga niewolników nie kwapiło się uprzątnąć ze stołu, ponieważ nie chcieli uronić ani słowa z tego, co zostanie powiedziane o czterech więźniach. Dopiero gdy dona Ines skinęła w stronę Lulu, ten ruszył po nakrycia. Pomogła mu Fernanda. Wychodząc z pokoju, rzuciła Lui wymowne spojrzenie, którego ta wcale nie potrzebowała. Sama dobrze wiedziała, że musi uważnie słuchać.

– Mam pomysł – powiedział młody Manuel.

– Tak? – spytali jednym głosem członkowie rodziny.

– Musimy ich rozdzielić. Potem każdemu z osobna damy do zrozumienia, że pozostali go zdradzili i obwinili o wszystko. Gniew rozwiąże im języki, wierzcie mi.

– Pejcz także rozwiąże im języki – wtrącił Carlos. – A o ile mi wiadomo, już dawno nie mieliśmy w São Fidélio pięknej publicznej chłosty. To wzmocni... morale czarnych.

Lua stała bez ruchu przy ścianie obok drzwi i próbowała nie zwracać na siebie uwagi. W przeciwnym razie sinhazinha mogłaby wpaść na pomysł, że Lua – i tylko ona – musi w specjalny sposób przygotować jej kawę. Często bowiem zdarzało się, że również podczas posiłków obarczała służącą dodatkowymi zadaniami. Teraz jednak zdawała się jej nie dostrzegać. Z podobnym napięciem co niewolnica czekała na to,

co odpowie ojciec na argumenty synów. Był przecież senhorem w São Fidélio, musiał więc mieć ostatnie słowo. Jednak jak to często bywało, dom Felipe wolał nie wdawać się w nieprzyjemne sprawy i pozostawił decyzję żonie.

– Obaj macie rację – rzekła wreszcie dona Ines. – W tym wypadku te dwa rozwiązania można łatwo połączyć. Proponuję zatem, o ile wasz ojciec nie ma nic przeciwko temu, żeby najpierw przeprowadzić przesłuchania, tak jak zaproponował Manuel. Jeśli odkryjemy winnego, a jestem pewna, że tak się stanie, zostanie wychłostany. Nie okażemy łagodności, uważam za wskazane co najmniej pięćdziesiąt batów.

– Ależ mãe! Pięćdziesiąt uderzeń pejczem może zabić! – zawołała przerażona Eulália.

– Słusznie – odparła sucho dona Ines.

To zakończyło temat. Zajęto się przyjemniejszymi sprawami, na przykład zaręczynami Eulálii i Ruiego Alberta, studiami Carlosa oraz długo wyczekiwaną dostawą weneckiego kryształowego żyrandola, zapowiedzianą na najbliższe dni. Rozmawiano o pogodzie, o sąsiadach i ich nawykach, o najnowszej modzie paryskiej i o młodym obiecującym artyście, który miał namalować portrety wszystkich członków rodziny. Dom Felipe włączył się żywo do rozmowy dopiero wtedy, gdy jej tematem stała się rasowa klacz, którą chciał nabyć. Manuel nic już nie mówił, tylko kreślił widelczykiem wzory na adamaszkowym obrusie.

Gdy wszyscy wstali i życzyli sobie dobrej nocy, sinhá Eulália szorstko wyrwała Luę z zamyślenia.

– Lua, nie stój jak księżycowe cielę! – Zaśmiała się ze swego mało śmiesznego dowcipu. – Pójdziesz ze mną na górę i nasmarujesz mi nogi maścią mentolową. Ten upał mnie zabija, mam wrażenie, że stopy mi zaraz popękają.

Lua uczyniła, jak jej nakazano. Maść mentolowa jej zdaniem tylko rozogniała skórę, ale sinhazinha była przekonana o skuteczności tego rzekomo chłodzącego środka. Nogi i stopy Eulálii wcale nie wyglądały na opuchnięte. Były szczupłe, delikatne, w kolorze lekko przezroczystej bieli. Lua ugniatała je, uciskała i wałkowała, aż jej dłonie stały się gorące. Przy paznokciu miała małą rankę, a maść piekielnie paliła. Nie dała jednak niczego po sobie poznać. Wkrótce umyje ręce i będzie mogła się wreszcie położyć, im szybciej, tym lepiej. Nie myślała o niczym innym, tylko o rozmowie przy stole. Czy zdoła w porę ostrzec więźniów? Czy mogli zrobić coś, by zapobiec chłoście? Czy powinna donieść Marii Segundzie to, czego się dowiedziała?

W senzali nie było okazji, by porozmawiać z nią tak, żeby nie usłyszeli wszyscy inni. Bardzo by się zdziwili, wiedzieli bowiem o niechęci panującej między niewolnikami domowymi a polowymi,

podobnie jak wiedzieli, że Lua czuje się bliższa Casa Grande niż senzali.

Lua kręciła się w hamaku. Jej myśli przypominały okruchy o ostrych brzegach, tak małe, że nie dawały się skleić w całość. Gdy wreszcie zasnęła, nie przyniosło jej to wytchnienia. Sny miała niespokojne i ponure. Obudziła się umęczona.

Dwa dni po tym, jak rodzina Oliveirów postanowiła wymierzyć złoczyńcy surową karę, nadarzyła się okazja, by Lua ponownie zajrzała do piwnicy. Maria Segunda dzień wcześniej wcisnęła jej do ręki kamień, okrągły, gładki i czarny. Najwyraźniej było to coś w rodzaju talizmanu. Lua wzięła go ze sobą, podobnie jak resztki pieczeni i ciasta, które schowała na oczach tii Jacobiny.

– To dla chłopca Any, był bardzo chory – wyjaśniła.

– No, jak na chorego ma teraz całkiem zdrowy apetyt – odparła staruszka, ale pozwoliła Lui zabrać jedzenie.

Pod pozorem, że poprzednim razem odkryła przypadkiem w piwnicy stary wózek, który byłby wspaniałą zabawką dla dzieci w senzali, Lua poprosiła sinhazinhę o pozwolenie na wyprawę do piwnicy.

– Pamiętam go! – zawołała zachwycona sinhazinha. – Carlos i ja wsadzaliśmy do niego Manuela i spychaliśmy go po stromym zboczu za drzewami papai.

Lua przyłączyła się do śmiechu, choć jej wspomnienia były zupełnie inne. Troje dzieci to właśnie ją spychało mnóstwo razy w wózeczku w dół wzgórza i wyśmiewało się z jej płaczu.

– Pokaż mi ten wózek, nim czarne dziewuchy doszczętnie go zniszczą – poleciła sinhazinha i odwróciła się z powrotem do lustra.

Lua szybko opuściła pokój, nim Eulálii przyszło do głowy nowe polecenie, którym mogłaby ją obarczyć.

Teraz piwnica wcale nie wydała się tak straszna jak za pierwszym razem. Lua bez wahania udała się prosto do lochu, otworzyła klapę i zawołała cicho:

– Przyniosłam wam znowu coś do jedzenia.

Nikt się nie poruszył.

Próbowała zajrzeć do ciemnej izby, ale światło lampy nie sięgało dość daleko.

– Jest tu kto? – zawołała.

Usłyszała ciche charczenie, potem jęk oraz szelest słomy. Ktoś próbował podpełznąć do otworu.

Gdy zobaczyła twarz więźnia, z trudem powstrzymała krzyk. Była to lepka masa krwi i strzępów skóry.

– Zeca? – spytała. Mógł być to jednak każdy z czterech więźniów, rysy twarzy ledwo dało się dostrzec.

Skinął głową.

– Jesteś sam? Gdzie pozostali? – spytała.

– Rozdzielono nas – wybełkotał. – I przesłuchano osobno. – Potem wybuchł żałosnym płaczem.

Lua uznała to za przyznanie, że zdradził wszystkich uwięzionych lub jednego z nich.

– To od Marii Segundy. – Podała mu kamień, na co Zeca zawył jeszcze głośniej. – A to ode mnie. – Podała jedzenie.

Potem odeszła. Nie mogła dłużej znieść jego wzroku, a tym bardziej myśli, że mógł wydać także ją. W piwnicy musieli znaleźć słoiki po przetworach i torturowany Zeca lub któryś z pozostałych więźniów z pewnością podał imię Lui.

Wracając, mruczała cicho:

– Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi...

9

Chłosta odbyła się w niedzielę.

Było bardzo wcześnie rano, lecz nad São Fidélio zaległ już upał, choć nie aż tak przytłaczający jak nastrój, który ogarnął wszystkich mieszkańców, czarnych i białych. Atmosfera panowała niesamowita. Zazwyczaj o tej porze słychać było radosne paplanie dzieci, tu i tam nucone piosenki i zaczepne odzywki chłopaków, teraz jednak rozlegało się jedynie ćwierkanie ptaków. Nawet ono brzmiało dziwnie smutno. Cisza, za którą Lua tak bardzo tęskniła, nagle wydawała się niczym zły omen.

Więzień został zaprowadzony na środek podwórza. Padre odmówił „Ojcze nasz", ale więzień nie przyłączył się do modlitwy, więc nawet ksiądz uznał wreszcie konieczność wymierzenia kary temu upartemu mężczyźnie. Wcześniej gorąco sprzeciwiał się chłoście, zwłaszcza że miała odbyć się w niedzielę.

– A kiedy by indziej? – naskoczył na niego dom Felipe. – Czy mamy stracić przez to dzień pracy? Poza tym wszyscy niewolnicy będą mieli w czasie mszy okazję, by zastanowić się nad swoim postępowaniem i podziękować dobremu Bogu za to, że ich nie spotkał ten los.

Sprowadzono wszystkich niewolników, aby byli świadkami chłosty. Nawet małym dzieciom i słabym staruszkom nie oszczędzono tego widoku. Musieli ustawić się półkolem wokół przywiązanego do pręgierza mężczyzny. Słońce paliło bezlitośnie, a wobec zbliżających się wydarzeń zgromadzeni przestępowali niepewnie z nogi na nogę. Trzech kompanów Zé, którzy wydali go na te tortury, stało związanych w pierwszym rzędzie. Z pewnością chciano w ten sposób pokazać im, na co się narażają, jeśli ponownie dopuszczą się występku. O ile Lua wiedziała, tym razem skazano ich tylko na miesięczną karę więzienia.

Rodzina Oliveirów przyglądała się z werandy domu, gdzie siedzieli w pięcioro w cieniu i pili kawę. Gdy wszystko już przygotowano, musieli wyjątkowo obsłużyć się sami, domowi niewolnicy stali bowiem także na podwórzu i przyglądali się haniebnej karze.

Widzieli tylko nagie, mokre od potu plecy Zé. Jego twarz zwrócona była do pręgierza. Postawa wyrażała bezgraniczną dumę i ani śladu skruchy. Lua obserwowała niektóre kobiety, pożądliwie wpatrujące się w jego boskie ciało i zapewne z żalem myślące o tym, jak będzie wyglądać niedługo – czarne, twarde mięso w strzępach, nieskazitelnie gładka, niezmieniona ani przez blizny, ani krosty skóra usiana krwawiącymi pręgami, wspaniałe mięśnie drgające w śmiertelnym bólu. Wszyscy dobrze wiedzieli, że Zé umrze. Pięćdziesiąt uderzeń bata znacznie przekraczało to, co mógł znieść zwykły śmiertelnik, a już na pewno nie wtedy, gdy uderzenia wymierzał António, stajenny, z którym Zé zadarł pierwszego dnia. António był strasznym człowiekiem, nawet gdy nie pałał chęcią zemsty.

Lua zamknęła oczy i zaczęła się modlić, a dom Felipe stanął przy balustradzie werandy i zapowiedział rozpoczęcie chłosty.

– Nikt z nas nie chce być świadkiem tego wydarzenia. Musimy jednak zapamiętać, że złe czyny pociągają za sobą poważne kary. Ten człowiek podpalił stodołę. Naraził tym samym życie nas wszystkich, również wasze. Czy chcecie okazać litość takiemu przestępcy? Nie. Czy chcecie wyznaczyć mu łagodniejszą karę, by następnym razem podpalił senzalę? Nie. Nie jest nawet jednym z was. Przybył tu niedawno i zamiast na kolanach dziękować swemu Stwórcy, że w São Fidélio trafił na tak dobre warunki, dopuścił się występku przeciwko nam wszystkim. Niech Pan Bóg w niebie zdecyduje o jego dalszym losie. – To mówiąc, dał Antóniowi znak dłonią. Chłosta mogła się rozpocząć.

Pierwsze uderzenie było tak silne, że pękła skóra na łopatkach. Zé drgnął, ale nie wydał żadnego dźwięku. To rozsierdziło Antónia, który w kolejne uderzenia włożył całą moc, aby wyrządzić więźniowi jak największą krzywdę. Niektórzy niewolnicy ze wstrętem odwracali wzrok. Wielu jednak było wprost zafascynowanych, wręcz podnieconych strasznym widowiskiem. U niektórych Lua dostrzegła szkliste oczy lub przyspieszony oddech, co było dla niej jeszcze wstrętniejsze niż niepotrzebne okrucieństwo Antónia.

Po dwudziestu uderzeniach Zé nadal stał, ale jego nogi zaczęły się powoli poddawać.

Po trzydziestu uderzeniach zawisł bezwładnie na linach, które utrzymywały go w pionie.

Po czterdziestu uderzeniach nadal nie wydał dźwięku; należało się obawiać, że już nigdy tego nie uczyni.

Po pięćdziesięciu uderzeniach wszyscy uważali go za zmarłego. Jego tył, od pleców po pięty, był jedną czerwoną miazgą. Niektóre dzieci i kobiety płakały, dwie nawet zemdlały. Dom Felipe nakazał Antóniowi zaprzestać bicia. Następnie zwrócił się do niewolników:

– Była to co prawda straszna, ale konieczna procedura. Mam nadzieję, że przypomnicie sobie o tym, kiedy znowu zaczniecie knuć

głupie plany. A teraz... – zwrócił się do dwóch pomocników Antónia – odwiążcie zwłoki. Pan Bóg wezwał go do siebie i urządzimy mu godny pochówek.

Słowa „godny pochówek" oznaczały, że zakopią Zé na cmentarzu dla niewolników, bez trumny i nagrobka czy krzyża. Padre wymruczy kilka modlitw, a na zakończenie udzieli małej grupie żałobników surowych napomnień. Zaraz potem niewolnicy będą musieli wrócić do pracy.

Lua dopiero teraz poczuła, że policzki ma mokre. Czekała, aż rodzina Oliveirów zniknie w domu, by podejść do zabitego i spojrzeć po raz ostatni na jego ciało. Maria Segunda i inna niewolnica polowa również to uczyniły.

– Zostawcie go nam – powiedziała Maria Segunda do jednego z mężczyzn, którzy odwiązali Zé. – Umyjemy go i przygotujemy do pogrzebu.

Mężczyźni byli zadowoleni, że nie muszą dłużej przyglądać się miazdze mięsa leżącej u ich stóp, i odeszli. Lua i dwie pozostałe kobiety uklękły przy ciele i modliły się. Gabriela przewróciła je na plecy, żeby spojrzeć na twarz Zé. Była wykrzywiona w grymasie, który wyrażał zarówno ból, jak i wściekłość. Patrzyły zasmucone na tę twarz, aż Gabriela wykrzyknęła:

– Widziałyście to? Jego oko mrugnęło!

– To tak jak kurczak bez głowy, który jeszcze przez chwilę biega. Nie sądzisz chyba, że wciąż żyje? – zapytała Maria Segunda.

Luę oburzała taka bezduszność, choć, niestety, sama myślała podobnie. Musiał to być pośmiertny odruch. Z drugiej strony uważała, że nie można go zlekceważyć. Sięgnęła po nadgarstek biedaka i próbowała wyczuć tętno.

– Hmm, nie czuję pulsu. Ale może... – Wstała. Przypomniała sobie o czymś, co wyczytała kiedyś w książce. Warto było spróbować. – Poczekajcie na mnie, zaraz wrócę. – Pobiegła do senzali. Tam przerzuciła swoje rzeczy i znalazła odłamek lusterka. Pospieszyła z powrotem. – Tu, trzeba mu to przytrzymać blisko ust. Jeśli zajdzie parą, oznacza, że Zé wciąż oddycha. A jeśli oddycha, może da się go uratować.

Obie kobiety popatrzyły na nią współczująco.

– Zapomnij o tym – powiedziała Maria Segunda. – Jest martwy.

– Jeśli tak, to tylko dlatego, że twój Zeca nie potrafił utrzymać swojego głupiego języka za zębami! – wyrwało się Lui.

Nie zauważyła reakcji Marii Segundy, ponieważ w napięciu wpatrywała się w małe lusterko przy ustach Zé. Na błyszczącej powierzchni pojawiła się wyraźnie widoczna delikatna mgiełka.

– On żyje! – zawołała. – Wciąż oddycha!

– Możliwe – odparła lakonicznie Maria Segunda. – Ale i tak umiera.

Luę ogarnął niepohamowany gniew wobec takiej obojętności i bezduszności.

– Jesteś winna mnie i Zé, żeby spróbować wszystkiego, co może uratować mu życie. Rusz się więc z łaski swojej. A ty – powiedziała, zwracając się do Gabrieli – pomóż go nieść. Zabierzemy go do senzali do części dla chorych.

Musiała przemawiać bardzo energicznie i zdecydowanie, ponieważ obie kobiety pomogły jej bez dalszych sprzeciwów, choć mimowolnie się krzywiły.

Mężczyźni, którzy mieli nieść zwłoki, popatrywali z niedowierzaniem, gdy kobiety wlokły nieruchome, duże, ciężkie ciało przez podwórze. W senzali ułożyły je na brzuchu na słomianej macie i spróbowały ostrożnie otrzeć krew. Było to niemal niewykonalne, ponieważ krew, skóra i mięśnie utworzyły jedną lepką masę.

– Czego mu potrzeba, to cudu – krakała Maria Segunda.

A tobie przydałyby się porządne cięgi – pomyślała Lua, ale nie powiedziała tego. Odezwała się natomiast:

– Dalej, biegnij i poszukaj Imaculady. Może ta stara czarownica ma pod ręką jakiś cudowny środek.

Wokół chorego umocowała kilka płacht płóciennych, żeby chronić go przed ciekawskimi spojrzeniami. Wiadomość, że przeżył, rozeszła się w błyskawicznym tempie, a teraz, gdy zakończyła się niedzielna msza, wszyscy chcieli na własne oczy zobaczyć cud. Lua nie mogła tego brać nikomu za złe, ale jednak wolała trzymać ludzi z dala od Zé. To ona poznała, że wciąż żyje, był więc pod jej opieką.

Gdy Maria Segunda wróciła z Imaculadą, Gabriela i Lua starły już tyle krwi z poranionego ciała, że można było rozpoznać właściwe obrażenia. Rozmiar urazów nawet na kamiennej zazwyczaj twarzy Imaculady wywołał poruszenie, choć tylko na krótką chwilę. Potem znów przybrała swoją zwykłą minę i odezwała się szorstko:

– Mbómbo chce żyć. Ty... – popatrzyła na Marię Segundę – przynieś mój kosz. – Wszystkie wiedziały, że chodzi o koszyk, który staruszka przechowywała na swoim miejscu w senzali i z którego wydobywał się dziwny zapach, co powodowało nieustanne narzekania sąsiadów. – Ty... – chodziło o Gabrielę – przynieś czysty ręcznik. A ty... – przyszła kolej na Luę – przynieś miód i wódkę z Casa Grande.

Lua pobiegła. Wiedziała, gdzie znaleźć obie rzeczy, ale zabranie ich na oczach państwa lub kucharki nie było łatwym zadaniem. W drodze do domu obmyśliła szereg kiepskich wymówek, lecz gdy weszła do kuchni i stanęła przed tią Jacobiną, wszystkie wyleciały jej z głowy:

– Szybko, Zé przeżył i potrzebuje opatrunków. Musimy mieć miód i wódkę – powiedziała wprost.

Choć staruszka bywała surowa, tym razem nie stawiała żadnych pytań i działała szybko. Podała Lui trzy słoiki miodu i całą butelkę

cachaça, wysokoprocentowego napoju z trzciny cukrowej, a gdy Lua chciała podziękować, wygoniła ją z kuchni. Kiedy dziewczyna przemierzała dziedziniec, usłyszała marudny głos sinhazinhy:

– Lua, ty leniuchu, jesteś mi potrzebna tu, na górze!

Spojrzała w stronę okna sinhazinhy, zamarkowała dygnięcie i zawołała:

– Tak, już, muszę tylko... Trochę źle się czuję. – I pobiegła dalej.

Usłyszała za sobą zupełnie niepasującą do damy tyradę, ale w tej chwili było jej obojętne, czy zostanie wychłostana za nieposłuszeństwo. W zasadzie nie wierzyła w możliwość otrzymania surowej kary, ponieważ jeszcze nigdy nie zasłużyła na więcej niż policzek.

W senzali panowała niespokojna, napięta atmosfera. Wielu ludzi, którzy zwykle o tej porze korzystali z wolnego dnia i siedzieli w cieniu drzew, grali w domino lub plotkowali, przebywało teraz w środku, drżąc o życie Zé. Wielu oferowało pomoc, i Imaculada lub Lua chętnie posyłały ochotników, by przynieśli świeżej wody lub wyprali przesiąknięte krwią szmatki, którymi obmywały chorego.

Zé był nieprzytomny, co z pewnością stanowiło dla niego błogosławieństwo. Imaculada ocierała jego rany gąbką, którą raz po raz polewała wódką. Dla przytomnej osoby zabieg musiałby być nieznośnie bolesny. Następnie stara niewolnica wymieszała miód z najróżniejszymi ziołami, posmarowała tym rany i okryła je lnianymi chustami. Mamrotała przy tym bezustannie niezrozumiałe słowa w swoim ojczystym języku. Słysząc to, Lua chciała się przeżegnać. Jej zdaniem chrześcijańskie modlitwy dałyby więcej niż afrykańskie zaklęcia. Z drugiej jednak strony zaawansowany wiek Imaculady przemawiał za jej metodami leczenia; kto dożywał późnej starości, i to pomimo niewyobrażalnych cierpień i trudów, ten z pewnością wiedział, jakie środki lecznicze są skuteczne. Gdy Imaculada wyjęła spomiędzy swoich pomarszczonych piersi amulet i przytrzymała go nad Zé, wymawiając przy tym pogańskie formuły, także nie odważyła się sprzeciwić.

– Mbómbo spać. Mbómbo gorący – oznajmiła Imaculada i wytłumaczyła następnie łamanym portugalskim, że należy zapewnić mu chłód, aby gorączka nie wzrosła. Następnie oddaliła się od łoża chorego.

W marcu w stanie Bahia było bardzo gorąco i wilgotno. W zamkniętych i źle wietrzonych pomieszczeniach temperatura przekraczała nawet czterdzieści stopni Celsjusza. Jak, do diaska, miały więc zapewnić choremu chłód? Jedyne, co przyszło im do głowy, to nieustanne wachlowanie cierpiącego. Podzielili się tym zadaniem, więc monotonną pracę wykonywały nie tylko Gabriela, Maria Segunda i Lua, ale także około dwudziestu innych niewolników. Przez cały czas ktoś siedział przy Zé i poruszał liściem palmowym, dopóki ramiona mu

nie osłabły i nie został zastąpiony. Lua obejmowała zazwyczaj dyżur we wczesnych godzinach porannych, żeby jej ciągła nieobecność w domu nie zwracała uwagi i żeby nikt nie zainteresował się tym, co dzieje się w senzali.

Do tej pory państwo nie dowiedzieli się bowiem, że Zé przeżył. Było to niezwykłe. Wśród około dwustu osób bywających w domu zawsze znalazła się co najmniej jedna, która donosiła, czy to dla własnej korzyści, czy z zemsty lub zazdrości. Teraz jednak żaden z niewolników nie pisnął nawet słówka o tym, co się działo w senzali – ani służący João, który zwykle nie umiał utrzymać języka za zębami, ani Lulu, choć Lua wiedziała, że zżera go zazdrość o Zé. Mężczyźni, którzy mieli pochować Zé, również nie puścili pary z ust, podobnie jak gruba Maria czy kucharka. Ta ostatnia bez słowa dawała wszystko, co było potrzebne Imaculadzie jako lekarstwo. Zdołali utrzymać tajemnicę przez trzy dni. Prawdziwy wyczyn, który napełniał wszystkich dumą i wzmacniał bardzo więzi między niewolnikami, którzy postanowili nie dopuścić, by sekret przeniknął do Casa Grande. Po raz pierwszy Lua poczuła siłę, jaką mogli stanowić wobec właścicieli, gdyby zawsze byli tak zjednoczoną wspólnotą. Być może o tej właśnie sile mówili czasami zbuntowani młodzi mężczyźni. Do tej jednak pory Lua nie rozumiała, co mieli na myśli.

Zé znajdował się teraz tylko w nieznacznie lepszym stanie. Wciąż żył, owszem, ale nadal wił się w strasznych gorączkowych spazmach. Aby się nie odwodnił, poili go po kropelce wodą kokosową. Myli i wachlowali jego ciało, zmieniali opatrunki i robili nowe okłady z miodowo-ziołowej pasty, która najwyraźniej działała. Rany rzeczywiście wydawały się dobrze goić.

Czwartego dnia po chłoście w senzali zjawiła się dona Ines.

Prawie nigdy tam nie zaglądała, w całym swoim życiu Lua widziała ją w pomieszczeniach dla niewolników najwyżej cztery lub pięć razy. Zakryli chorego zasłonami i przybrali znudzony wyraz twarzy.

– Coś się tu dzieje – powiedziała dona Ines i rozejrzała się ciekawie. Nie umiała ukryć wstrętu, choć próbowała. Prymitywna senzala, w której niewolnicy gnieździli się w niewiele lepszych warunkach niż zwierzęta w oborze i w której niewiele lepiej pachniało, stanowiła zupełnie inny świat niż przewiewne, jasne pomieszczenia w Casa Grande. – Ty... – Chwyciła Luę za rękaw. – Ty coś knujesz. Ty i wszyscy inni. Od kilku dni niewolnicy w domu zachowują się dziwnie. Ty masz worki pod oczami, Maria ziewa przez cały dzień, a Lulu wszystko leci z rąk. Czy wy nie śpicie? Co tu wyrabiacie? – Powiodła spojrzeniem wokół, po czym znów zwróciła się do Lui. Oczywiście. Zawsze to ona musiała odpowiadać, ponieważ biali uważali, że Lua jest najbardziej rozumną i najmniej sprytną z niewolników.

– Nic, dona sinhá – zapewniła Lua. – Nie robimy nic szczególnego.

Jesteśmy wszyscy tylko nieco... wzburzeni po tej strasznej chłoście.

– Kłamiesz. Wiem, że kłamiesz. Ale i tak się dowiem, co tu robicie. – Zamilkła na chwilę, by się zastanowić, po czym nakazała: – Lua, pokaż mi swoje miejsce.

Młoda niewolnica poprowadziła senhorę do swojego hamaka, gdzie pani przejrzała jej skromny dobytek. Potem zażyczyła sobie obejrzeć miejsca pozostałych, każdego osobno. Gdy przeszukała już niemal całą obszerną senzalę, nie wiadomo właściwie w jakim celu, spytała nagle:

– A co znajduje się za tymi zasłonami?

– To miejsce dla chorych – odparła pospiesznie tia Jacobina. Lua odetchnęła. Słowa tii Jacobiny znaczyły dla państwa więcej niż słowa innych niewolników. – Leżą tam zwykle dzieci z zaraźliwym kaszlem albo odrą. – Nie skłamała, nie zdradziła jednak najważniejszego.

– Ach tak. – Dona Ines nie wyglądała na przekonaną. – Odwiedźmy więc kochane maleństwa.

– Ależ dona sinhá! – wykrzyknęła Lua. – A jeśli coś pani złapie?

– Ty zaraz coś złapiesz, a raczej dostaniesz w twarz, jeśli jeszcze raz mi się sprzeciwisz! – ofuknęła ją dona Ines.

Potem skierowała się ku miejscom dla chorych, zerwała jedną z zasłon, po czym bezradnie stanęła w przejściu. Widać było, że potrzebowała chwili, by zorientować się w sytuacji i zrozumieć jej znaczenie. Choć twarz Zé nie była ku niej zwrócona, domyśliła się, kto leży tam od szyi po łydki pokryty opatrunkami. Głośno wciągnęła powietrze i uniosła brwi.

– To musi być nasz podpalacz... – wymruczała, kręcąc głową. – Nie przeżyje tego. – Nie potrafiła jednak ukryć, że wola życia tego mężczyzny wzbudziła w niej podziw.

Gdy odwróciła się, by skarcić niewolników wzrokiem, od strony Zé dobiegł ją szelest. Ranny poruszył się na słomianej macie i wyszeptał:

– Będę żyć. I będę wolny.

Dona Ines drgnęła i zapomniała o przemowie, którą właśnie miała wygłosić. W pozostałych również jakby piorun strzelił. Można było usłyszeć brzęczenie much, tak cicho zrobiło się nagle w senzali.

Lui serce zabiło mocniej w piersi. Poczuła nieskończoną ulgę, że Zé odzyskał świadomość, że ich starania najwyraźniej nie poszły na darmo. Jednocześnie ogarnął ją wielki strach przed tym, co czeka ich i rannego.

Wtedy ten wygłosił jeszcze jedno zdanie, głosem nieco silniejszym, żeby usłyszała go na pewno dona Ines:

– Będę żyć na wolności!

10

Meu nome é Imaculada, meu nome é Imaculada – powtarzałam wciąż w duchu, choć coś we mnie krzyczało: „Nie! Mam na imię Kasinda!".

Gdy rankiem musieliśmy ustawić się i odpowiedzieć na pytanie, którego nie zrozumiałam, powiedziałam:

– Mam na imię Imaculada.

Czarny nadzorca, któremu podałam tę odpowiedź, uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo ładnie – rzekł zapewne. – Wszyscy bierzcie z niej przykład.

Musiałam stanąć w szeregu wraz z dwiema innymi nowo przybyłymi kobietami oraz około dziesięcioma dłużej przebywającymi w tym miejscu. Prawe stopy skuto nam łańcuchem, po czym zawleczono nas na pole. Tam kazano nam wyciągać z ziemi wysokie, rzadko rosnące łodygi wraz z korzeniami. Te korzenie, jak się dowiedziałam, nazywano maniokiem. Oczyściłam jeden z ziemi i ugryzłam, ale nie był smaczny. Jedna z kobiet, która już dłużej przebywała w niewoli, wytrąciła mi bulwę z dłoni i gestami dała do zrozumienia, że to trujące.

Na tym samym polu rosła jeszcze inna roślina, która wyglądała niemal tak samo jak maniok. Nazywano ją aipim. Również miała wyższą od człowieka łodygę, na której zwisało kilka skromnych liści, a ceniono ją za korzeń, podłużną, dużą i ciężką bulwę w czarnej skórce. Tej już nie spróbowałam.

Później dowiedziałam się, że z manioku uzyskuje się przede wszystkim mąkę i tapiokę, skrobię, natomiast aipim po obraniu można zjadać w całości, ugotować, upiec w tłuszczu lub zemleć na purée. Z biegiem lat, z których wiele spędziłam w casa da farinha, „mącznym domu", stałam się wielką znawczynią – i miłośniczką – wszystkich form mąki z manioku oraz tapioki, którą pozyskiwaliśmy poprzez wyciskanie i suszenie korzeni. Moje beijús, naleśniki ze świeżej, papkowatej tapioki, były najsmaczniejsze w całym rejonie Bahia,

a ciastka z aipim z niczym nie mogły się równać.

Początkowo nie mogłam jednak zrozumieć, do czego służą uprawiane rośliny, co przede wszystkim wiązało się z ich zbiorem. Nie pojmowałam, dlaczego my, kobiety, mamy przez cały dzień wyrywać te korzenie. Już po krótkim czasie zebrałyśmy dość, by nakarmić nimi wszystkich w pomieszczeniu dla niewolników, jednak nadzorcy kazali nam pracować dalej. Kto nie poruszał się dość szybko lub pozwalał sobie na odpoczynek, był poganiany pejczem. A wszystko to odbywało się w ostrym, palącym słońcu. Cień był rzadkością, ale jeszcze bardziej brakowało nam wody. Po wielogodzinnej pracy nadzorca podawał nam jedną nabierkę wody z beczki. Była to czysta szykana.
W przeciwieństwie do mojej ojczyzny w Brazylii nie brakowało wody, a beczka starczyłaby, żeby każdy z nas wypił trzy lub cztery porcje. Nadzorca lubił nas jednak dręczyć. Ledwie upiłyśmy łyk, wylewał po prostu resztę na ziemię, gdzie woda wsiąkała tak powoli, że zdążył ją wychłeptać jego koń.

Wczesnym popołudniem, tuż przed końcem pracy, usłyszeliśmy nagle krzyk jednej z niewolnic. Zobaczyła węża i nie wiedziała, jak przed nim uciec, ponieważ była skuta łańcuchem z resztą kobiet. Nadzorca podjechał, ale jego koń wystraszył się na widok olbrzymiego gada. Omal nie wybuchłam śmiechem, ale powstrzymałam się w porę. Przestraszona kobieta i wąż znajdowali się niedaleko mnie, między nami stała tylko jedna osoba. Miałam wystarczającą swobodę ruchów, by dopaść węża i go zabić. Dziwiłam się bezradności krzyczącej kobiety. Czyż nie pochodziła z Afryki? Czego ją nauczono, skoro nie potrafiła poradzić sobie nawet z pełzającym gadem? Co prawda nigdy jeszcze nie widziałam takiego węża, ale nie bałam się. Nawet najbardziej jadowita żmija to tylko zwierzę i jako takie zawsze ulega człowiekowi.

Wzięłam zatem kamień, których bardzo dużo leżało na polu, i zbliżyłam się ostrożnie do wystraszonego węża, by nie sprowokować go do ataku. Potem uderzyłam błyskawicznie, zanim moja sąsiadka, która z powodu łańcucha musiała pójść kilka kroków za mną, zdążyła krzyknąć i nadzorca zdołał zareagować. Chwilę później bestia leżała nieruchomo na rozkopanej ziemi. Nie byłam ani szczególnie dumna ze swojego czynu, ani też nie wstydziłam się tej samowolnej akcji. Zrobiłam tylko to, co trzeba było zrobić. Chętnie ściągnęłabym od razu jad węża, ale do tego brakowało mi zarówno narzędzi, jak i czasu. Nadzorca bowiem zbliżył się i powiedział drwiąco coś, co uznałam mniej więcej za: „No, no, zabiłaś jararaca, ty mała dzikusko!".

Upuściłam kamień, wzięłam węża, by go później upiec, i wróciłam do łodygi manioku, przy której pracowałam wcześniej, aby wydobyć jej korzenie na światło dzienne.

– Stój, nie ruszaj się! – krzyknął na mnie mężczyzna.

Ton był jednoznaczny, dlatego przystanęłam.

– Ty afrykańskie ścierwo! Chciałaś, żeby inne czarnuchy uznały mnie za słabego, prawda? Nigdy już tak nie zrobisz. Macie zbierać maniok, to wszystko. A jeśli jeszcze raz podniesiesz kamień, by użyć go jako broni, dostaniesz dziesięć uderzeń batem! – Żeby nadać swoim pogróżkom większą moc, świsnął trzcinką po moich plecach.

Nie rozumiałam, co się dzieje. Czego on ode mnie chciał? Co zrobiłam źle? W jakim to pokrętnym świecie się znalazłam?

– A ten przeklęty wąż? Co chcesz z nim zrobić? Użyć do odprawiania czarów? Czegoś takiego tu nie tolerujemy. Daj mi go! – Wskazał trzcinką węża, więc pomyślałam, że mam go upuścić.

Zrobiłam, jak nakazał, ale to go rozjuszyło.

– Rzucasz go przede mną na ziemię, ty afrykańska małpo? Poczekaj, już ja nauczę cię pokory. – Zdjął mi łańcuch ze stopy, ale skrępował dłonie. – Teraz pójdziesz ze mną. – Zwrócił się do pozostałych: – Co się gapicie? Do roboty! Przez to zamieszanie będziecie dziś wszystkie pracować pół godziny dłużej.

Potem pognał mnie przed swoim koniem. Biegłam i słyszałam za sobą parskanie zwierzęcia. Mężczyzna wyrzucał z siebie niezrozumiałe gniewne słowa i popędzał mnie do szybszego biegu. Po pewnym czasie dotarliśmy do swego rodzaju schronienia, gdzie zatrzymaliśmy się. Mężczyzna przeciął sznur, który czynił z mojego workowatego odzienia sukienkę, i jednym szarpnięciem zerwał ze mnie ubiór, więc stałam zupełnie naga. Nadzorca dyszał i wydzielał ostry zapach. Zrobiło mi się niedobrze na myśl o tym, co teraz ze mną uczyni, gdy nagle usłyszeliśmy tętent.

– João Gordo, to ty? – zawołał ktoś.

Nadzorca jęknął rozczarowany. Podciągnął spodnie, które zdążył już spuścić do kolan, i podał mi moje podarte lniane odzienie. Owinęłam się nim, żeby nie było widać, co mnie spotkało, a raczej co mnie miało spotkać. Czułam się zhańbiona.

Nie wiem, co ten drugi mężczyzna miał do omówienia z Joã o Gordo, w każdym razie zostałam szybko zabrana do mojej grupy roboczej i ponownie przykuta do łańcucha. Tuż przed zachodem słońca wróciłyśmy do naszego więzienia.

Następnego dnia Samba oznajmiła, że wybrała mnie, aby mi zapewnić nieco mniej straszny los, niż zgotowano pozostałym nowo przybyłym kobietom. Te, jak mi powiedziała, były „ujeżdżane" przez potężnych mężczyzn z fazendy, białych i czarnych, którzy chcieli złamać ich wolę, by uczynić z nich potulne niewolnice. Bardzo pożądanym skutkiem ubocznym ich postępowania były ciąże, ponieważ im więcej niewolników posiadał senhor, za tym potężniejszego uchodził.

– Ty jesteś wyjątkowa, Imaculado – wyszeptała Samba w naszym

ojczystym języku. – Nie musisz poddać się tej nieznośnej procedurze, dlatego jutro zabiorę cię do syna naszego senhora. Jeśli napełni cię swoim nasieniem i urodzisz mu syna, zyskasz w senzali większą władzę niż inne kobiety. Nadzorcy będą musieli zostawić cię w spokoju.

Nie byłam ucieszona wizją, że stanę się zabawką jakiegoś białego. Jednak ze słów Samby wynikało, iż będzie to mniej wstrętne niż to, co mnie czeka tutaj. Poza tym według Samby kupiono mnie jako mamkę i było rozczarowujące, że nie mam już w piersiach mleka. Jeśli szybko zajdę w ciążę, wkrótce będę mogła służyć jako mamka, a to znacznie przyjemniejsza praca niż w polu.

– Junior nie jest wcale najgorszy. Lubi kobiety takie jak ty, które przybyły prosto z Afryki, w jego oczach są nadal dzikie – próbowała mnie pocieszyć.

– Ale ja jestem żoną Uanhengi! Jeśli urodzę dzieci innego mężczyzny, będzie to oznaczać wielką hańbę dla mnie i mojej rodziny!

– Uanhengi już nie ma. Twoje dzieci, twoja wioska, twoi przodkowie – to wszystko już dla ciebie nie istnieje. Im szybciej pogodzisz się ze swoim nowym życiem Imaculady, tym mniej bolesne ono będzie.

– Nie! – opierałam się.

Uważałam Sambę za kobietę o silnym charakterze. Fakt, że godziła się na działania tych przestępców, bardzo mnie rozczarował. Nie miałam jednak wyboru. Już następnego dnia zaciągnęła mnie do tylnego wejścia do Casa Grande, gdzie czekał na nas pulchny biały mężczyzna.

– Oto ona, sinhô Sebastião. Dokładnie taka, jak pan lubi, prawda?

Gruby młodzieniec wpatrywał się we mnie, jakby nigdy jeszcze nie widział kobiety. Potem uszczypnął mnie w pośladek i mruknął:

– Hmm, twarde, czarne mięso, świeżo z buszu.

Zaśmiał się gdacząco ze swoich słów. Potem przegonił Sambę, chwycił mnie za ramię i zaciągnął do szopy, w której przechowywano narzędzia używane w sadzie koło Casa Grande. Tam bez ceregieli podciągnął moje odzienie, grubymi łapami obrócił mnie do ściany i zabrał się do mnie od tyłu. Gdy grzebał przy swoich spodniach, przyszły mi do głowy co najmniej trzy sposoby uwolnienia się z tego położenia. Z tym zniewieściałym chłopaczkiem poradziłabym sobie bez trudu. Rozumiałam już jednak dobrze, że spotka mnie ciężka kara, jeśli będę się mu opierać. Postanowiłam więc na wszystko mu pozwolić. Mimo to instynktownie zacisnęłam nogi i miałam nadzieję, że wobec mojej niechęci sam straci ochotę. Stało się jednak inaczej. Poczułam na pośladkach jego twardy członek i drgnęłam, gdy brutalnie utorował sobie palcami drogę do mojego najskrytszego miejsca. Mężczyzna pachniał paskudnie, a jego członek roztaczał rybi odór. Dławiło mnie i musiałam powstrzymywać się, by nie zwymiotować i tym samym nie wydać na siebie kary śmierci.

Trwało pewien czas, aż we mnie wniknął, ponieważ zupełnie nie byłam gotowa. Proces był nieco bolesny, ale gdy już członek znalazł się we mnie, niewiele czułam. Był śmiesznie mały. Temu typowi najwyraźniej wcale nie przeszkadzała moja niechęć, ponieważ wkrótce jęknął i wytrysnął we mnie. Następnie podciągnął spodnie i opuścił szopę.

Pobiegłam do umywalni, uniosłam ubranie i stanęłam w rozkroku, aby spłukać nasienie napastnika. Myśl, że będę nosić w sobie potomka tego mężczyzny, napełniała mnie wstrętem.

– Oszalałaś?! – usłyszałam oburzony głos Samby. – Musisz szybko zajść w ciążę, dopiero wtedy zostawi cię w spokoju. Przestań!

Posłuchałam.

– Teraz zabiorę cię do pozostałych, na pole – ciągnęła.

Skinęłam głową.

– Nadzorca nie tknie cię palcem, bo jesteś zarezerwowana dla sinhô Sebastião.

Przynajmniej tyle – pomyślałam. Nadzorca był bowiem jeszcze wstrętniejszy niż młody grubas.

– Ile żon ma syn wodza? – spytałam Sambę.

– Oczywiście, jedną. Tak już jest u białych. Mogą mieć tylko jedną żonę. Ale ponieważ my, czarni, należymy do nich, mogą wziąć spośród nas tyle kobiet, ile się im spodoba. Nie mamy jednak takich praw jak żony.

– A ile ma dzieci?

– Dwoje. Syna i córkę, mają pięć lat i trzy. Poza tym ma też niezliczone bękarty, czyli dzieci niewolnic, ale one nie są traktowane jak jego potomstwo.

– Dlaczego żona urodziła mu tylko dwoje dzieci? Dlaczego nie pozwolą mu wziąć więcej żon, żeby jego plemię było duże i silne? I dlaczego inne dzieci, które pochodzą przecież z jego nasienia, nie są uważane za jego własne? – Nie rozumiałam tego wszystkiego. Sposób myślenia białych był mi zupełnie obcy.

– Przestań zadawać pytania. Kiedyś wszystko to pojmiesz. I niech ci nie przychodzi do głowy narzekać. Spotkał cię los znacznie lepszy niż kilka innych dziewcząt, które przybyły tu razem z tobą.

Dopiero wiele dni później dowiedziałam się, co miała na myśli. Niektóre kobiety zamknięto niczym zwierzęta w klatkach, gdzie przez całe dnie były brutalnie gwałcone przez wielu mężczyzn. Najbardziej niepokorne były bite, biczowane i prześladowane w najgorszy sposób tak długo, aż opadły z sił i złamano ich wolę. Ich spojrzenia były nieobecne, zwrócone do siebie, a ciała naznaczone poważnymi obrażeniami.

Tak – myślałam, wyraźnie miałam szczęście, że odpowiadałam gustom grubasa, który przynajmniej wsadzał we mnie tylko swój mały

członek, a nie kije w inne otwory ciała. Zastanawiałam się, dlaczego właśnie ja mu się spodobałam, ponieważ niektóre niewolnice były znacznie piękniejsze ode mnie.

– To dlatego, że jesteś wysoka i chuda – wyjaśniła Samba. – Nie lubi miękkich, giętkich kobiet, jakie wolą inni mężczyźni. Sinhô Sebastião lubi małe, twarde piersi i jędrne, młodzieńcze pośladki. Lubi żylaste ciała bez grama tłuszczu i głęboko czarną skórę, taką jak nasza, gdy jeszcze nie zmieszaliśmy się z białą rasą.

Pogodziłam się więc z tym, że młody biały mężczyzna co kilka dni pokrywa mnie w szopie. Przestałam się po nim myć, żeby szybko zajść w ciążę. Tylko w ten sposób bowiem, jak mówiła Samba, mogłam uzyskać pewne przywileje i dostawać prezenty.

– Wszyscy biali mężczyźni mają wśród niewolnic swoje faworyty. Często dają im złoto oraz klejnoty i publicznie pokazują te obwieszone ozdobami kobiety, żeby wszyscy mogli przekonać się o ich bogactwie. Jeśli sinhô Sebastião podaruje ci balangandã, będziesz wiedziała, że ci się udało. Musisz zbierać te ozdoby i nosić je dobrze widoczne dla wszystkich na pasku lub bransolecie. To honor nie tylko dla niego, ale i dla ciebie. To podobnie jak amulety w naszej ojczyźnie.

Tyle rozumiałam.

Postanowiłam zasłużyć na jak najwięcej takich amuletów, które z pewnością mogły otworzyć przede mną drogę do wolności. Zaczęłam także marzyć o powrocie do mojej ukochanej ojczyzny. Czy służyłam senhorowi, czy pracowałam na polach, czy kobiety w senzali mnie ignorowały, czy Samba udzielała mi kolejnej lekcji, zawsze myślami byłam przy Uanhendze i moich dzieciach, przy rodzicach i siostrach. W duchu przemierzałam ziemie nad rzeką Kubango, widziałam przechadzające się majestatycznie żyrafy i słonie oraz lwice rozganiające stada antylop. Czułam zapach niezrównanie świeżego powietrza po obfitym deszczu, słyszałam w oddali tętent tysięcy kopyt zebr i smakowałam pyszną pieczeń kudu.

Marzyłam, by znaleźć się z dala od obecnej niedoli.

11

Lua schowała brulion i węglowy rysik do kieszeni fartucha. Była pewna, że Imaculada zmyśliła trzy czwarte tego, co jej opowiedziała. Gdzie żyły zwierzęta o szyi długiej jak kościelna wieża? Albo różowe ptaki, które przez cały dzień stały na jednej nodze w płytkiej wodzie jeziora? W swoich zapiskach Lua pominęła wiele z tych fantastycznych obrazów, ponieważ nie wydawały się jej korzystne dla wiarygodności historii Imaculady. Zamieściła jedynie wzmiankę o słoniach, ponieważ przypominała sobie, że słyszała o tych zwierzętach podczas lekcji historii sinhy Eulálii, gdy mowa była o Aleksandrze Wielkim. Podobno słonie były wielkie jak dom i miały długie trąby, którymi mogły podnosić drzewa, a uszy tak ogromne jak liście palmowe. No cóż, ludzie zawsze lubili upiększać opowieści; być może dziejopisarze także przesadzali.

Wiadomo przecież, jak to jest ze starszymi osobami – często ubarwiają swoje wspomnienia. Jeśliby im wierzyć, dawniej wszystko było lepsze i piękniejsze. Pewnie zresztą mówili prawdę, ponieważ było piękniejsze dla nich. Starzy ludzie nie mieli bowiem wesołego życia. Po tym, jak przez dziesiątki lat ciężko pracowali, często w służbie jednej rodziny, gdy zaczynali opadać z sił, pozbywano się ich czasami jak starych, dziurawych butów. Skąpstwo przedstawiano przy tym jako hojność: „Darowaliśmy wam wolność, czego jeszcze od nas chcecie?”. Cóż jednak mieli uczynić starzy z taką wolnością, bez pieniędzy, bez woli życia i bez jakiejkolwiek pomocy?

W São Fidélio wiodło się im jeszcze stosunkowo dobrze. Pozwalano im zostać w posiadłości i dawano jedzenie. W senzali niektórzy z nich zajmowali się dziećmi, inni powoli dogorywali, ale opiekowali się nimi młodzi. Pewnego dnia każdego czekał ten sam los, nawet jeśli młodym ludziom trudno to było sobie wyobrazić; szacunek dla starszych stanowił jedną z podstawowych zasad obowiązujących w społeczności. Nie zawsze łatwo było jej przestrzegać. Gdy staruszkowie zapadali na przykre choroby, moczyli spodnie lub ślinili się, wymagało wiele

cierpliwości i wyobraźni, by wciąż widzieć w nich ludzi, którzy byli kiedyś w pełni sił. Część ich w porę robiła zatem to, o co podejrzewano starą donę Isabel – popełniała samobójstwo.

Środków i sposobów ku temu było dość. Można było rzucić się z brzegu w morskie fale, ponieważ prąd był silny i każdego, kto nie umiał świetnie pływać, wciągał w głębinę. Oczywiście, żaden niewolnik nie potrafił pływać. Można było także udać się do puszczy graniczącej z fazendą i wydać się na żer onça pintada, jaguara. Gdy dotarło się głęboko w zarośla i spłoszyło samiczkę z młodymi, istniało wysokie prawdopodobieństwo, że zwierzę nabierze apetytu na to, czego zwykle nie tykało. Można też było wybrać tradycyjny, choć nie zawsze pewny sposób – przecięcie żył lub skok z wysokiego drzewa wiązały się z możliwością przeżycia. Niektórzy odbierali sobie życie w nadzwyczaj widowiskowy sposób, by zwrócić na siebie uwagę. Pewien starszy mężczyzna przed laty swoim samobójstwem wywołał w São Fidélio wielkie wzburzenie, ponieważ celowo podpalił ul i został zaatakowany przez rozwścieczone pszczoły.

Pożar... Myśli Lui wciąż powracały do tego wydarzenia. Co też myśleli sobie Zé i jego kompani, gdy podpalali stodołę? Czy chcieli skorzystać z zamieszania i uciec? Dlaczego więc tego nie uczynili? Gdy tylko Zé będzie mógł mówić – jego wypowiedzi skierowane do dony Ines były tylko krótkim epizodem w gorączce – zapyta go o to.

*

Minęło kilka dni, w czasie których wszyscy niewolnicy byli nadzwyczaj spięci, ponieważ w każdej chwili oczekiwali kary ze strony dony Ines. Nic się jednak nie wydarzyło. Czyżby wybaczono im opiekę nad Zé? A może państwo nadal zastanawiali się, jaka kara była odpowiednia za tak poważny spisek? Kazanie dom Felipe czy atak gniewu dony Ines byłyby wszystkim tysiąc razy milsze niż to nienaturalne, napawające lękiem milczenie. Państwo nie mogli przecież zignorować problemu, ponieważ najpóźniej wtedy, gdy Zé całkowicie wyzdrowieje, należało postanowić, jak postąpić z nim i jego wybawcami.

Chwilowo jednak Lua nie musiała się o to martwić. Sinhá Eulália postanowiła odwiedzić Ruiego Alberta w sąsiedniej fazendzie, by omówić z nim szczegóły uroczystości zaręczynowej, a Lua miała jej towarzyszyć. Nie zdarzało się często, by opuszczała São Fidélio, więc cieszyła się, że będzie miała okazję zobaczyć coś innego niż wciąż te same twarze i pomieszczenia, zwierzęta i drzewa. Lua znała w swojej fazendzie niemal każde źdźbło trawy! Najwyższy czas gdzieś wyjechać. Pozostali niewolnicy także się cieszyli, ponieważ po powrocie Lua powinna mieć wiele do opowiadania, a wszyscy zawsze bardzo chętnie

słuchali plotek.

Było jeszcze bardzo wcześnie rano, gdy sinhazinha i Lua wsiadły do otwartego powozu, którym woźnica Luizinho miał zawieźć je do Três Marias. Słońce dopiero wstało i upał był jeszcze do wytrzymania. Niedawno spadł silny deszcz, wszystkich zbudziło bębnienie kropli o liście drzew i dachówki. Deszcz pachniał świeżo i korzennie, ale na drogach powstały kałuże. Jazda była z tego powodu nieco uciążliwa, lecz nie stanowiło to poważnej przeszkody – wkrótce cała ta woda wyparuje w słońcu.

Lua bardzo starannie przygotowała swój strój i zadbała o wygląd. Miała na sobie co prawda tylko prostą niebieską sukienkę bawełnianą, ale zawiązała na niej nowy, lśniący bielą fartuch, który poprzedniego wieczoru ozdobiła kilkoma bardzo ładnymi haftami. Włosy upięła w węzeł, wystający z misternie owiniętej wokół głowy chusty. Turban ten również był nowy i biały, więc korzystnie okalał jej twarz. W uszach miała duże drewniane kreole, a na szyi łańcuchy lśniących, kolorowych szklanych paciorków.

– Chcesz zawrócić w głowie wszystkim chłopakom z Três Marias? – spytała sinhá Eulália żartobliwie.

Lua widziała, że panienka jest zadowolona z wyglądu swojej służącej. Ładni, schludni niewolnicy ukazywali właścicieli w lepszym świetle niż zaniedbani i niechlujni. Sinhazinha także się wystroiła, ponieważ i dla niej podróż stanowiła miłe urozmaicenie codziennej monotonii, podobnie jak dla Lui.

Gdy usiadły w powozie, obie ze zmarszczonymi czołami przyjrzały się skrajom swoich sukni.

– Że też właśnie dziś musiało tyle padać! – narzekała sinhazinha. – Wszystkie nasze trudy poszły na marne.

– Ależ nie – uspokoiła ją Lua. – To bardzo szybko wyschnie, a ja wyszczotkuję suknie, zanim dojedziemy na miejsce.

– Ta wilgotna para, która unosi się z ziemi! Zwija mi włosy, a piękna fryzura przestaje ładnie wyglądać.

Na to Lua nie umiała zareagować. Gdy biali narzekali na swoje rzekomo kędzierzawe włosy, dla czarnych brzmiało to śmiesznie. Zdaniem Lui sinhá Eulália miała zawsze gładkie uczesanie, niezależnie od tego, czy powietrze było wilgotne czy suche.

– A na dekolcie zbierają mi się już pierwsze krople potu! – marudziła dalej sinhazinha. – Ach, cóż dałabym za to, żeby żyć w cywilizowanym kraju, gdzie jest przyjemnie chłodno, damy mogą nosić futrzane etole, aksamitne rękawiczki i mnóstwo pięknych rzeczy, i nie muszą w każdej chwili obawiać się udaru słonecznego!

– Tak, ja też uważam, że to byłoby pięknie – przyznała Lua. – Ale ten pan z Francji, który był u nas przed dwoma laty...

– Monsieur Laroche – podpowiedziała Eulália.

– Właśnie, monsieur Laroche, opowiadał, że zima w Europie jest straszna. Niech panienka sobie wyobrazi, jakie to okropne, gdy ciągle się marznie, gdy nie ma do jedzenia świeżych owoców i przez całe dnie trzeba palić ogień, żeby mieć ciepło.

– To by było niebiańsko! – rozmarzyła się Eulália. – To tak elegancko siedzieć przy kominku, popijać brandy, kiedy na dworze szaleje śnieżyca. Moim zdaniem monsieur Laroche chciał nam tylko zaimponować i dlatego przedstawiał nieprzyjemne aspekty zimy w przesadny sposób. Ach, Lua, wyobraź sobie tylko, jak byłoby wspaniale zobaczyć prawdziwy śnieg, poczuć go i spróbować!

– Spróbować? Chciałaby panienka go jeść? – spytała Lua zdumiona.

– Ależ tak. To przecież tylko zamarznięta woda. Na pewno smakuje cudownie, tak czysto... – Spojrzała na morze, które prześwitywało w dali między palmami. – Kiedyś Rui Alberto i ja jako małżeństwo udamy się w podróż po Europie i przysięgam ci, Lua, będzie to zimą, nawet jeśli wszyscy ci niewdzięczni Europejczycy by mi to odradzali. Wiesz co? Może zabiorę cię ze sobą. Miałabyś ochotę na taką podróż?

– Oczywiście! – zawołała Lua. Prawdę mówiąc, nigdy nie pozwalała sobie na tak ekscentryczne marzenia. Dla niej już podróż do Três Marias była prawdziwą przygodą.

Przez pewien czas jechały w milczeniu, każda zajęta własnymi myślami. Teraz, gdy sinhazinha podsunęła ten pomysł, Lua także zaczęła marzyć o podróży do odległego kraju. W przeciwieństwie do swojej pani, nie potrafiła jednak wyobrażać sobie egzotycznego zimna, które znały tylko z opowieści. Widziała raczej sceny, jakie w swoich opisach przywoływała Imaculada – olbrzymie fale, chcące połknąć statek, prostaccy marynarze, spoglądający pożądliwie na pasażerów, niezliczeni zmarli wyrzucani za burtę, nieskończone noce i dnie w ciemnym, dusznym brzuchu statku.

– Nie boi się panienka rejsu? – spytała w końcu sinhazinhę, która zapewne już od dawna była myślami zupełnie gdzie indziej.

– Wręcz przeciwnie! – zawołała tamta. – Wyobrażam sobie, że podróż statkiem jest wspaniała. Mieszka się w kabinach wykładanych mahoniem i mosiądzem, spogląda przez bulaje z grubego szkła na błękitne morze, je obiady z pozostałymi pasażerami i kapitanem... O, możesz zawiązać mi sznurówkę lewego buta?

Lua pochyliła się, by spełnić to życzenie, co w ciasnym powozie i przy ciągłym ruchu nie było proste. Korale nieco jej w tym przeszkadzały, ale udało się zasznurować delikatny bucik. Gdy już chciała się podnieść, kątem oka dostrzegła pod ławką jakiś błysk. Pochyliła się ponownie i spytała:

– Czy dla pewności mam poprawić sznurowanie i drugiego buta? – Jednocześnie przeszukiwała wzrokiem podłogę powozu. Rzeczywiście, leżała tam lśniąca, nowiutka złota moneta. Wyglądała, jakby była

warta majątek, choć Lua nie mogła tego wiedzieć z całą pewnością. Nie miała doświadczenia w obchodzeniu się z pieniędzmi.

Chwyciła skarb i dyskretnie schowała go do kieszeni fartucha. Nie czuła się jednak dobrze. To kradzież, prawda? Czy nie powinna raczej oddać monety i otrzymać za to pochwały, a jeszcze lepiej nagrody dla znalazcy? Co bowiem mogła zrobić ze złotą monetą? Nie brakowało jej przecież niczego, a nie bywała w mieście, żeby zamawiać kapelusze. Trzymała znalezisko w fartuchu tylko przez kilka chwil, ale i tak czuła się, jakby moneta wypalała w nim dziurę. Wyjęła ją zatem, jakby w zamyśleniu obracała w palcach, po czym odezwała się z udawanym zaskoczeniem:

– Proszę zobaczyć, sinhá Eulália, co znalazłam na podłodze powozu. Należy do panienki?

– Och, Lua! – wykrzyknęła Eulália i gwałtownie objęła niewolnicę.

Ta nie rozumiała, co się dzieje. Nie było to przecież jakieś fantastyczne znalezisko, przynajmniej nie w jej oczach.

– Wiedziałam, że nie masz nic wspólnego z tymi przestępcami! Ach, Lua, tak się cieszę!

– Co to ma znaczyć? – spytała dziewczyna beznamiętnie, ale świtało jej już, że właśnie uniknęła paskudnej pułapki.

Sinhazinha spojrzała na nią smutno, a zarazem z podekscytowaniem, jakby nie mogła się doczekać, by wreszcie powiedzieć, co leży jej na sercu. Musiało zresztą wymagać od niej nadludzkiego wysiłku, by zataić przed służącą perfidny plan.

– Mãe wpadła na ten pomysł. Mówi, że nie wie, czy można ci jeszcze ufać, bo od jakiegoś czasu przesiadujesz ze starą Imaculadą i należysz do tych, którzy pomagali temu wychłostanemu niewolnikowi. Utrzymuje, że na pewno obmyślasz plan ucieczki i że powinniśmy cię sprawdzić. Kazała mi więc źle zawiązać but i sprawić, że znajdziesz złotą monetę na podłodze powozu. Powiedziała, że jeśli chcesz uciec, potrzebne ci będzie każde centavo i schowasz monetę. Powiedziała też, że jeśli się myli i okażesz się uczciwa, bo oddasz mi pieniądz, będzie można uznać, że nie należysz do tych przestępców. Wiedziałam to, Lua! Zawsze wierzyłam w twoją niewinność!

Dziewczyna nie znalazła na to odpowiedzi. Jak zdołali ukryć przed nią ten mały spisek w Casa Grande? Kiedy Oliveirowie opracowali ten plan? Jak mogła nie zauważyć, że ją podejrzewają? Właśnie ją, która przecież nie była buntowniczką? Łzy nabiegły jej do oczu i pociągnęła nosem.

– Proszę – powiedziała Eulália, podając delikatną chusteczkę, którą Lua niedawno dla niej wyhaftowała. Głos sinhazinhy drżał, przez co Lua jeszcze bardziej się rozpłakała.

– Kocham São Fidélio, przecież panienka wie. To mój dom, tak samo jak panienki. Dlaczego miałabym chcieć odejść? Zawsze było mi tu

dobrze – łkała. – Dlaczego panienki matka wierzy w takie okropne plotki na mój temat?

– Uspokój się, Lua. Wiem, wiem o tym wszystkim, wiem przecież od dawna. To z powodu tego buntownika. Sprowadził do São Fidélio kłopoty, wszystkich denerwuje i podjudza do rzeczy, których bez niego nigdy by nie zrobili. Tak samo było w twoim wypadku.

– Nie! – zawołała Lua. – Miałam chrześcijański obowiązek pomóc mu. Przecież jeszcze żył. Czy mieli go wrzucić do grobu? Tak się nie godzi!

– Oczywiście, że nie. Ale wy, niewolnicy, powinniście byli nam o tym powiedzieć. Dlaczego nie wyznałaś mi, że pielęgnujecie tego człowieka w senzali?

– Nie wiem, ja... – jąkała Lua. – To było tak... To wydawało się złe. Sądziliśmy, że jeśli Bóg dokonał cudu i pozwolił mu przeżyć, nie możemy go skazywać na dalsze karanie. Bo tak by się przecież stało, prawda? Panienki ojciec kazałby wtrącić śmiertelnie rannego człowieka do lochu, gdzie bez naszej pomocy na pewno by zmarł.

– Hmm, zapewne tak – przyznała sinhazinha. – Ale mój ojciec jest przecież panem São Fidélio, a ja jestem właścicielką tego zdradzieckiego niewolnika. Zatem do nas i tylko do nas należała decyzja, jak należy z nim postąpić. Byliście bardzo zuchwali.

– Przepraszam – powiedziała Lua cicho. – Ma panienka rację. Jest mi nieskończenie przykro i obiecuję, że coś takiego już nigdy się nie powtórzy.

– Wiem, Lua. Fakt, że oddałaś mi monetę, wyraźnie dowodzi, iż jesteś uczciwa. Teraz musimy tylko przekonać moją matkę o twojej niewinności. Ona uważa cię za bardziej przebiegłą, niż jesteś w rzeczywistości. Ja znam cię najlepiej z nas wszystkich i wielokrotnie zapewniałam ją, że z ciebie zupełnie zwyczajna, prostoduszna niewolnica.

Lua była wstrząśnięta. Co wiedziała dona Ines na jej temat? Czy domyślała się, że ona umie pisać i czytać? Czy podejrzewała, że zakrada się do biblioteki? Czy przypuszczała, że to Lua nosiła więźniom prowiant do piwnicy? Czy dowiedziała się, że spisuje historię Imaculady? Dobry Boże, jeśli dona odkryje to wszystko, Lua powinna spodziewać się pięćdziesięciu batów! Z drugiej strony nigdy nie była arogancka, nie planowała ucieczki, zawsze zachowywała się uprzejmie i miło, dbała o wygląd i wywiązywała się sumiennie ze wszystkich obowiązków. Czego więcej można chcieć od domowej niewolnicy? Była wierna swoim państwu i mogła jeszcze przez długi czas być niezbędna w São Fidélio. W przyszłości urodzi dzieci, a kiedyś, za wiele lat, stanie się poważaną starszą kobietą, nazywaną przez młodszych z szacunkiem tia Lua, ciocią Luą, i pytaną o radę w ważnych sprawach. Może przydzielą jej nawet własną małą izbę, w której

mieszkałaby ze swoimi dziećmi, a dziewczęta z senzali stawiałyby ją sobie za wzór i starały się naśladować.

Tak wyglądały skromne marzenia Lui o przyszłości. Do tej pory nie pojawiał się w nich mężczyzna. Odepchnęła od siebie uporczywą myśl, że Zé w rzeczywistości znaczył dla niej więcej, niż życzyliby sobie tego Oliveirowie i ona sama.

12

Często śniło mi się, że jestem w Kambundi. Były to wspaniałe sny, w których wszyscy ludzie dobrze mnie traktowali, mówili moim językiem i śmiali się razem ze mną. Jeden z tych snów powtarzał się bardzo często, nie wiem dlaczego. Była to zwyczajna scena z życia, która naprawdę się rozegrała, w każdym razie do pewnego momentu.

Wracałam z wędrówki po lesie, z tobołkiem pełnym cennych ziół, kory, korzeni i liści. Moja mała córka spała spokojnie w chuście i byłam bardzo szczęśliwa, że czuję jej regularny oddech na swojej skórze. Chilala wybiegł mi na spotkanie, grubiutkie ramionka rozłożył szeroko, twarzyczkę miał roześmianą. Moja matka Nzinga spieszyła za nim, krzycząc, ale nie udało się jej dogonić malca. Nie wiedziałam, co tym razem zbroił, lecz nie mogło to być nic bardzo złego, bo w głosie matki słyszało się rozbawienie.

Moja siostra Thandeka podała mi tykwę z wodą, ponieważ po długim marszu byłam spragniona. Nieco później kobiety usiadły z dziećmi wokół paleniska. Zjedliśmy kaszę, którą nabieraliśmy palcami. Dopiero wieczorem, po powrocie mężczyzn, podawano obfity posiłek z mięsa lub ryb świeżo złowionych w Kubango. Wpatrywaliśmy się w zamyśleniu w niebo i zastanawialiśmy się, czy wzbudziliśmy czymś gniew duchów naszych przodków, ponieważ od dawna już nie padał deszcz. Należało ułagodzić duchy. Istniały pewne tańce i pieśni, które nastrajały je przychylnie. Jeśli to nie wystarczy, trzeba będzie złożyć ofiarę – krew kury zawsze działała.

Wczesnym wieczorem mężczyźni wrócili z polowania i przynieśli mięso antylopy. Gdy słońce lśniło głęboką czerwienią nad horyzontem, małpy i ptaki zaczęły dokazywać w koronach drzew i słychać było ich cowieczorny hałas. Powietrze pachniało gorącą ziemią i żarem ognisk. Uanhenga przyszedł do naszej chaty i objął mnie czule, czego nigdy nie robił w obecności innych mężczyzn. Tęskniliśmy za nocą, jakbyśmy nie widzieli się przez długie tygodnie, choć rozstaliśmy się zaledwie rankiem.

– Kasindo! – zwołała mnie siostra Mabuuda, stając w wejściu. – Chodź szybko, Ngônga wbił sobie dłuto w nogę!

Chwyciłam tobołek z najważniejszymi lekami, założyłam amulety i pobiegłam do chaty mężczyzny, który był co prawda zdolnym rzeźbiarzem, ale lubił sobie popić. Wszyscy obawialiśmy się, że pewnego dnia pod wpływem alkoholu nie przyłoży dłuta prawidłowo do rzeźbionego drewna i narzędzie się obsunie. W chacie Ngôngi zebrali się już jego najbliżsi oraz stara uzdrowicielka, za której pomocnicę się uważałam, choć obecnie radziłam już sobie dobrze sama i młodsi mieszkańcy wioski wzywali mnie chętniej niż moją nauczycielkę.

Wyglądało na to, że w chacie Ngôngi od dawna nie zamiatano. Jego dzieci były brudne i miały zaropiałe oczy, a jego żona wpatrywała się posępnie w ziemię. Wszyscy jej współczuliśmy, choć przecież to ona w dużej mierze była winna tej sytuacji. Gdyby lepiej zajęła się rodziną, chatą i samą sobą, jej mąż prawdopodobnie nie uzależniłby się od palmowego wina. We wszystkich sąsiednich wioskach nad rzeką Kubango to kobiety naprawdę sprawowały rządy i widać było, do czego może dojść, jeśli kobieta jest słaba.

Rzeźbiarz i snycerz, który wykonał jedne z najpiękniejszych masek i totemów naszego plemienia, leżał na ziemi z twarzą wykrzywioną bólem. Drewniane dłuto, które za pomocą młotka wbijał w miękkie drewno i w ten sposób nadawał mu pożądany kształt, tkwiło w jego udzie. Nikt nie odważył się wyjąć go z ciała, ponieważ w takim wypadku ranny mógłby się wykrwawić, nim nadejdzie pomoc.

Od tego momentu mój sen zaczynał nieuchronnie oddalać się od rzeczywistości. Stara uzdrowicielka wyrwała narzędzie z nogi Ngôngi, z rany trysnęła wysoką fontanną krew i całą mnie zbroczyła. Zachowałam spokój, jednak wszyscy obecni zaczęli pokazywać na mnie palcami i krzyczeć z wściekłością:

– Kasindo, sprowadziłaś hańbę i nieszczęście na swój ród! Ciebie złożymy w ofierze duchom zmarłych!

Tak też się stało. Przywiązano mnie do grubego pnia, na którym umieszczono kosz wypełniony owocami, miodem i winem palmowym, i zaprowadzono mnie do wody, gdzie miałam zostać poświęcona bogini rzeki. Jeżeli nurt porwałby mnie ze sobą, oznaczałoby to, że bogini przyjęła ofiarę. Jeżeli nie, ofiara zostałaby odrzucona, a mieszkańcy wioski musieliby mnie zabić. Ponieważ od dawna nie padał deszcz, a rzeka toczyła niewiele wody, byłam pewna, że pień nie popłynie daleko. Myliłam się jednak. Pociągnął mnie niewidzialny prąd i wyrzucił na brzeg bardzo daleko w dole rzeki. Dzięki koszykowi z jedzeniem, przeznaczonym dla bogini, udało mi się przeżyć w niegościnnej okolicy, do której trafiłam.

W tym miejscu sen zawsze się kończył. Gdy przyśnił mi się już dziesiątki razy, zrozumiałam jego prawdziwe przesłanie – moim

przeznaczeniem było przeżyć, nieważne gdzie, nieważne jak. Nawet jako niewolnica w tym strasznym kraju o nazwie Brazylia dam sobie jakoś radę, jeśli tylko bogowie będą dla mnie łaskawi. Zaczęłam więc potajemnie wyprawiać się nad morze, by powierzać falom swoją ofiarę. Nie mogłam być wybredna – czasami rzucałam do wody kilka związanych trzcin cukrowych, a raz udało mi się ukraść kurę i przeciąć jej szyję nad falami. Okazję ku temu zapewnił mi młody senhor Sebastião. Wybrał mnie na swoją faworytę, więc moja nieobecność podczas pracy stanowiła raczej regułę niż wyjątek. Wreszcie stało się także to, na co liczyła Samba – zaszłam w ciążę.

W przeciwieństwie do zapewnień mojej opiekunki, biały mężczyzna nie zostawił mnie w spokoju. Zupełnie oszalał na moim punkcie, a im bardziej byłam niechętna, tym mocniej się we mnie zadurzał. Zasypywał mnie prezentami, początkowo bezwartościowymi ozdobami, które dołączałam do moich ofiar, później cenniejszymi przedmiotami – to jedwabna wstążka, to srebrny łańcuszek, kiedyś podarował mi nawet małego psa z porcelany. Nie wiedziałam, co sobie przy tym myślał. Gdzie miałabym ustawić tę figurkę? Za pomocą gestów wytłumaczył mi, że pies służy jako ozdoba domu, że można go ustawić na kominku lub w kredensie, ale nie rozumiałam, o co mu chodzi. W Kambundi nie było ani kominków, ani kredensów, a w tym obcym kraju nigdy nie widziałam domostw ludzi, którzy posiadali coś takiego. Nadal nie miałam bowiem wstępu do Casa Grande. Do swojego najświętszego miejsca właściciele wpuszczali tylko „oswojonych Murzynów", a dzikuska taka jak ja ich zdaniem wyrządziłaby tylko szkody i naniosła brudu.

Udawałam wdzięczność, gdy młody sinhô Sebastiã o ofiarowywał mi kolejną bezużyteczną rzecz, ale wzbudzałam jego nieufność – i namiętność – ponieważ nigdy nie nosiłam tych błyskotek ani jedwabnych wstążek. Jego prezenty stawały się cenniejsze, a zazdrość coraz większa. Nakazał mi zawsze nosić łańcuszek, na którym miałam przyczepiać ozdobne zawieszki.

– Ale sinhô Sebastião – powiedziałam, bo po trzech miesiącach w tym strasznym kraju opanowałam już kilka słów po portugalsku. – My musieć pracować, łańcuch przeszkadzać.

Źle mnie zrozumiał i zadbał o to, by zdjęto mi okowy z nóg – znacznie wcześniej niż w wypadku moich współtowarzyszek.

Gdy moja ciąża stała się tak zaawansowana, że widać już było wydęty brzuch, gruby słabeusz padł przede mną na kolana i wyznał mi miłość. Wzmocnił swoje wyznanie dużą złotą zawieszką w kształcie serca. Było mi przykro widzieć mojego właściciela skamlącego przede mną, tym bardziej że nosiłam w łonie jego dziecko. W domu, w Ngola, umiałabym sobie poradzić. Znałam się na ziołach i potrafiłabym pozbyć się niechcianego potomka. Nie znałam jednak jeszcze tutejszych

leśnych roślin i nie wiedziałam, jakie zioło lub kwiat były trujące.

Pozostałe niewolnice zazdrościły mi. Były zawistne o prezenty od senhora, o moją ciążę i przywileje, które się z nią wiązały, i oburzały się na rzekomą przebiegłość, z jaką zabierałam się do dzieła. Sądziły, że celowo traktuję młodego pana chłodno, by rozniecić w nim żar. Tak jednak nie było. Po prostu nie potrafiłam zachowywać się jak niewolnica i zwyczajnie zapomnieć o swojej przeszłości. Byłam przecież córką wodza, żoną wielkiego wojownika i matką przyszłej głowy plemienia! Nigdy nie wątpiłam bowiem, że mały Chilala miał wszystko, co w przyszłości uczyni z niego dumnego, mądrego i poważanego mężczyznę. Miał wszystko oprócz matki.

A teraz, w znienawidzonym dalekim kraju, ponownie zostałam matką, matką dziecka, którego nie chciałam i którego już teraz nienawidziłam, choć nie było przecież winne okoliczności swego poczęcia. Wyobrażałam sobie paskudną małą istotę, która miała kluchowatą skórę swojego ojca i kleiła się do mnie z tą samą psią miłością. Z całego serca nią pogardzałam i przysięgłam sobie w duchu, że najpóźniej po porodzie pozwolę jej umrzeć. Nic się jednak nie wydarzyło. Dziecko rosło i rozwijało się, mój brzuch stawał się coraz większy, a ja, przynajmniej fizycznie, czułam się świetnie.

Poród także przebiegł bez komplikacji. Niemowlę było silne i zdrowe, a ja już po kilku godzinach wstałam. Położono mi małego robaczka przy piersi i choć przysięgałam sobie, że nie spojrzę na niego ani go nie dotknę, ogarnęło mnie ciepłe, głębokie poczucie macierzyństwa. To natura stworzyła nas, kobiety, w ten sposób. Nie można się temu opierać. Kołysałam dziecko w ramionach i podziwiałam od stóp do głów. Wydałam na świat prześliczną dziewczynkę o jasnobrązowej skórze, gęstych czarnych włosach i skośnie ułożonych oczach w zielonkawym odcieniu brązu.

Wiedziałam, że złamie mi serce. Wiedziałam, że nie wolno mi będzie jej kochać, ponieważ zabiorą mi ją, będą ją poniżać, zniewalać i dręczyć jak mnie. Nie potrafiłam jednak inaczej. Szeptałam jej do ucha czułostki w moim języku i powtarzałam wciąż imię, które nadałam jej na cześć mojej matki: Nzinga. Było to także imię wielkiej królowej mojego ludu.

Gdy Samba, czyli Jojo, jak brzmiało jej niewolnicze imię, to usłyszała, wymierzyła mi siarczysty policzek.

– Oszalałaś?! To córka młodego senhora. Jest Brazylijką i wybierzesz dla niej dobre, katolickie imię. Proponuję, żebyś nazwała ją Maria das Dores. Będziemy mogli nazywać ją Dodo.

Oczywiście nie była to propozycja, tylko rozkaz. Posłuchałam. Dodo wydawało mi się jeszcze brzydszym imieniem niż Maria das Dores, co oznaczało Marię Bolesną, ale nie mogłam przeciwstawić się Jojo. Przy

każdej nadarzającej się okazji nazywała moją córkę tym głupim przezwiskiem, aż w końcu wszyscy zaczęli go używać. Ja sama najczęściej, jak mogłam, szeptałam dziecku do ucha jego prawdziwe imię, tak samo jak potajemnie próbowałam nauczyć je języka naszych przodków, języka wolnych ludzi.

Narodziny Nzingi nie wzmocniły mojej pozycji w takim stopniu, w jakim przepowiedziała to Samba, ponieważ sinhô Sebastião był rozczarowany, że nie urodziłam mu syna. Aby to zrekompensować, dokładał starań, by zrobić mi kolejne dziecko. I znowu znosiłam jego niezgrabne ruchy, odpychające ciało i wstrętne zachcianki – pił nawet mleko z mojej piersi! – bez wyraźnego poruszenia, co zdawało się go tylko dodatkowo podniecać. Narodziny Nzingi przyniosły mi jednak znaczną korzyść – zostałam zatrudniona w senzali jako mamka. Pozostałe niewolnice, które miały niemowlęta, musiały wrócić do pracy w polu lub w pralni, w casa de farinha albo w kuchni, przy prasie do trzciny cukrowej czy na zagonach warzyw. Ich dzieci pozostawały pod moją opieką i karmiłam je własną piersią. Czasami karmiłam nawet pięcioro. Choć wcześniej zawsze pragnęłam, by młody pan Sebastião częściej odwiedzał swoją żonę, a oszczędzał mnie, cieszyłam się teraz, że najwyraźniej tego nie czyni. Nie wiem bowiem, co bym zrobiła, gdybym musiała karmić także dziecko tej kobiety. Może nasłałabym na nie złego ducha albo obłożyła klątwą bojaźni.

Ludzie nie doceniają władzy mamki. Nie wiedzą o bliskiej więzi, jaka rodzi się w kontakcie ssącego głodnego dziecka z tryskającym źródłem najczystszego soku życia. Ja jednak czułam dobrze, jak bardzo przywiązują się do mnie dzieci, jak bardzo ulegają mojemu wpływowi i moim nastrojom. Byłam dla nich matką bardziej, niż mogły nimi być ich matki biologiczne. Jeszcze wiele lat później, gdy moi podopieczni dorastali, jako starsze dzieci i młodzi dorośli okazywali mi znacznie silniejsze przywiązanie i szacunek niż własnym matkom. Było dla mnie jasne, że taki właśnie cel przyświeca wczesnemu rozdzielaniu matek i dzieci. Gdzie nie istnieją więzi rodzinne, jednostka jest słaba i zależna od swoich właścicieli. Niewielu ludzi przypuszcza jednak zapewne, że karmienie również może stworzyć bliską więź między dzieckiem a obcą kobietą. Czy w przeciwnym razie biali dawaliby swoje dzieci do karmienia czarnym?

To bowiem robili, te potwory, które nas nazywały dzikusami. Każde zwierzę okazuje swoim młodym więcej czułości niż ci jasnoskórzy „właściciele". Znacznie bardziej oburzające były jednak powody, dla których to czynili – kobiety nie chciały zniszczyć swoich ciał. Jędrne piersi były dla nich ważniejsze niż szczęśliwe niemowlęta. Czyż można to pojąć? W Ngola kobiety były dumne ze znamion, jakie ich ciała nosiły po porodach. Rozstępy na brzuchu i zwisające piersi traktowałyśmy jak wyróżnienie, ponieważ stanowiły widoczny dowód

naszej płodności, a więc i przydatności dla wspólnoty. Fakt, że po czterech ciążach miałam wciąż szczupłe, silne ciało dziewicy, wydawał mi się wówczas karą losu.

To jednak w końcu minęło. Po piątym porodzie widać było już po mnie macierzyństwo, a praca mamki sprawiła, że piersi zaczęły mi obwisać. Po pewnym czasie zauważył to także sinhô Sebastião i wreszcie zostawił mnie w spokoju.

13

Minęło wiele miesięcy, w czasie których Lua unikała towarzystwa Imaculady i trzymała się z dala od wszelkich zajęć, które choćby pośrednio można by powiązać z buntowniczymi nastrojami. Rzadko odważała się postawić stopę w bibliotece. Fernanda wyrzucała jej, że nie jest już taka jak dawniej.

– Mniej się śmiejesz, wieczorami nie śpiewasz już z nami i nie słuchasz opowieści starszych. Nie podkradasz nawet mango. Co się z tobą dzieje? Czy to z powodu Zé? – pytała.

Zé, dobre sobie! Wyzdrowiał bardzo szybko. Dom Felipe i dona Ines zastanawiali się, czy go nie sprzedać, najlepiej do jakiejś odległej fazendy, aby wymazać wspomnienia o niemiłym epizodzie. Jednak sinhá Eulália przypominała, że niewolnik należy do niej, a ona chce go zatrzymać. Można byłoby kazać mu tańczyć przed gośćmi, ponieważ fenomenalnie panuje nad ruchami ciała. Poza tym blizny na jego plecach budziły grozę, co w fascynujący sposób podkreślałoby elegancję jego tanecznych pokazów. Lua nie wiedziała, że sinhazinha zdolna jest do takiej argumentacji. Może pomysł ten podsunął jej sinhô Rui Alberto, który za kilka dni miał stać się jej narzeczonym także przed resztą świata – w najbliższy piątek odbywało się oficjalne przyjęcie zaręczynowe.

Lua nie opowiedziała Fernandzie o złotej monecie i podstępnym sprawdzianie, któremu ją poddano i który ledwo zdała. Sama nie wiedziała, dlaczego przemilczała to zdarzenie. Nie ośmieliła się na szczerość nawet przy spowiedzi, choć padre był oczywiście znacznie bardziej gadatliwy i mniej godny zaufania niż Fernanda. Być może powodował nią strach, że mogłaby zdradzić swoje uczucia do Zé, do których niechętnie przyznawała się nawet przed samą sobą, a które w ten sposób stałyby się niejako prawdziwsze. Nie chciała kochać tego człowieka. Nie chciała mieć żadnych problemów. Nie chciała zmieniać swego wygodnego życia w São Fidélio, a już na pewno nie dla mężczyzny, który zaryzykował wszystko dla głupiego marzenia

o wolności. Co zresztą Zé wiedział o wolności? Na pewno nie więcej niż ona. Czyli nic.

Podczas wycieczki do Três Marias, w czasie której wydarzyła się historia z monetą, Lua miała okazję porozmawiać z kilkoma miejscowymi niewolnikami, gdy sinhazinha zajęta była w głównym domu. W ten sposób dowiedziała się, że Zé cieszył się wśród tamtejszych niewolników wielkim poważaniem, ponieważ pracował w Três Marias już od wielu lat, i że był synem dwojga niewolników, którzy przyszli na świat jeszcze w Afryce. Ta okoliczność tłumaczyła, dlaczego uważał się za syna wodza i dlaczego znał kilka słów w języku kimbundu. Naprawdę był jednak Brazylijczykiem, tak jak Lua, chrześcijaninem. Mówił świetnie po portugalsku. Nie znał Afryki. Nie znał też wolności. To była tylko mrzonka.

W Casa Grande w São Fidélio trwały gorączkowe przygotowania do przyjęcia zaręczynowego. Zaproszono ponad stu pięćdziesięciu gości, niektórzy z nich przyjeżdżali aż z Rio de Janeiro, przyszłej stolicy kolonii. Cidade de São Salvador, jak dowiedziała się Lua z rozmów państwa, było zbyt oddalone od dochodowych kopalni złota w Vila Rica i w pobliskim rejonie zwanym Minas Gerais, podczas gdy Rio de Janeiro z wielkim naturalnym portem świetnie nadawało się do transportu złota do ojczystej Portugalii. Kwitnące miasto bogaciło się także coraz bardziej na uprawie kawy, więc São Salvador da Bahia traciło na znaczeniu. Lui było obojętne, które miasto będzie stolicą, nie sądziła też, by państwo Oliveirowie uznawali to za bardzo ważne.

– Pozbędziemy się wreszcie portugalskich biurokratów, którzy żądają najlepszych ziem dla siebie albo dla korony – cieszył się młody sinhô Manuel i od razu zaczął wyliczać, na jakich spekulacjach ziemią osiągnie się największy zysk.

Lua pomyślała, że najwięcej można by zarobić, gdyby posiadało się ziemię w Rio de Janeiro, ale przezornie nic nie powiedziała.
W ostatnim czasie była w ogóle bardzo milcząca, ponieważ bała się, że jej impertynenckie uwagi nie będą przyjmowane z taką wyrozumiałością jak w przeszłości. Nieufnie obserwowała kątem oka donę Ines, sądząc, że przyłapie ją na tym samym, ale senhora ignorowała ją, co dziewczynę jeszcze bardziej niepokoiło.

– Tutaj ma stać orkiestra, a przed nią powinno być miejsce dla tancerzy – instruowała właśnie sinhá Eulália służących. – Tu możecie ustawić krzesła, najlepiej w półkolu.

Weszła do dużej sali, gdzie Fernanda, Lulu i Lua przesuwali krzesła tam i z powrotem. Luę denerwowało nieco, że jej pani zdaje się mieć lepszy ogląd całej sytuacji niż niewolnicy. Oddawali się swoim zajęciom ze znużeniem i bezmyślnością, ponieważ wielki upał tłumił ich zapał do pracy. Choć minęły już majowe i czerwcowe deszcze, powietrze wcale

nie stało się bardziej świeże. Było ciężkie, parne i tak gorące, że należało ograniczać się wyłącznie do niezbędnych ruchów.

Od tego dnia, gdy zamknął ją w piwnicy, Lulu zostawił Luę w spokoju. Obserwował ją jednak podejrzliwie i sprawiał wrażenie osoby, która knuje podły plan i czeka tylko na odpowiedni moment, by go zrealizować. W spojrzeniu Lulu zawsze coś się czaiło. Jeśli jednak liczył na to, że przyłapie Luę na jakimś zaniedbaniu, będzie musiał długo czekać. Wzorowo wywiązywała się z obowiązków i nie pozwalała sobie na najmniejsze nawet niedopatrzenie.

– Tu – zwróciła się do niej sinhá Eulália. – Będziecie stać tu. Stąd wszystko dobrze widać, a gdy zauważę, że nie pilnujecie gości, tylko sobie gruchacie, będziecie mieć kłopoty, jasne?

– Tak, sinhazinha.

– Będziecie odgadywać życzenia gości, zanim zdążą je pomyśleć, prawda, Fernando?

– Oczywiście, sinhazinha.

– Zadbacie, żeby wszystko przebiegało gładko i żeby każdy gość zawsze miał coś do picia, tak, Lulu?

– Oczywiście, sinhazinha, może panienka na mnie polegać, sinhá Eulália.

Odpowiedź Lulu niezmiernie rozgniewała Luę. Równie dobrze mógłby powiedzieć: „Wszyscy inni niewolnicy do niczego się nie nadają, ale na mnie zawsze można liczyć".

– Bardzo dobrze – ciągnęła młoda pani. – Założycie specjalne odświętne stroje, które przygotujemy w najbliższych dniach. Nie chichotać mi zatem, gdy będziecie spoglądać po sobie albo zobaczycie się w lustrze. Myślcie tylko o swoich obowiązkach.

– Tak jest, sinhazinha – odpowiedzieli we troje chórem.

Owe odświętne stroje, jak okazało się kilka dni później, były barwnymi chustami w dzikie wzory, w które mieli owinąć się niewolnicy. Wyglądali w nich niczym Hotentoci i dokładnie taki był też cel.

– Chcemy nadać naszemu przyjęciu afrykański charakter – wyjaśniła sinhazinha.

Do chust dobrano turbany oraz liczne kolie, które znacznie utrudniały ruchy głowy. Mężczyźni także mieli założyć chusty, ale zawiązać je tylko z jednej strony, odsłaniając pierś. Ich twarze ozdobiły swego rodzaju wojenne malunki. Gdyby nie wykonywali prac, do których potrzebne były obie ręce, z pewnością wyposażono by ich również we włócznie czy inne dziwaczne akcesoria.

Choć wyraźnie zakazano im podśmiewania się, nie mogli nic poradzić na to, że skrycie rzucali sobie ironiczne spojrzenia. Czuli się bowiem śmiesznie. Poza tym trudno im było się poruszać. W tych

strojach stale mieli wrażenie, że pasmo materiału gdzieś się poluzowało, więc wciąż skubali i poprawiali brzegi. Czy w Afryce naprawdę noszono takie stroje? Jak można czuć się dobrze w czymś takim? No cóż, może to kwestia wprawy. Lua zapyta o to kiedyś Imaculadę. O nieba, nie! – pomyślała jednak. Jeśli chciała oczyścić się z wszelkich zarzutów, nie wolno jej już nigdy spotykać się ze starą.

Kapela, która miała zapewnić muzykę do tańca, również wystąpiła w afrykańskich strojach, a przynajmniej w czymś, co za nie uznano. Składała się z robotników z São Fidélio, a nie profesjonalnych muzyków. Grali jednak na swoich instrumentach bardzo dobrze. Często wieczorami przygrywali w senzali na prymitywnych berimbaus, caxixis, agogos i atabaques, i zdumiewające było, ile tonów potrafili wydobyć z samodzielnie wykonanych trąbek, grzechotek, instrumentów strunowych, dzwonków, fletów i piszczałek. W Casa Grande wolno im było grać na cennych instrumentach sprowadzonych z Europy i pomimo braku doświadczenia muzykowali bardzo harmonijnie. W domu państwa były dwie pary skrzypiec, wiolonczela, fagot, a nawet klawesyn, na których grę mogli czasami poćwiczyć przed uroczystościami.

Na wieczorze afrykańskim wskazane było jednak, aby muzycy przynieśli własne instrumenty i zabawiali gości rytmami, które zazwyczaj uważano za nieco nieprzyzwoite. Do tego wystąpić miała grupa tancerzy pod przewodnictwem Zé. Również oni przebrani byli za Afrykańczyków, przy czym ich kostiumy więcej odsłaniały, niż zasłaniały.

– Czyż on nie jest wspaniały, ten mój zbuntowany niewolnik? – zawołała Eulália zachwycona, gdy Zé pojawił się na próbie w salonie.

– Hmm, tak, nieźle tańczy – przyznała Lua. Cóż innego mogła zrobić? Wyszydzić go jako złego tancerza? Nikt by w to nie uwierzył, ponieważ mężczyzna był prawdziwym akrobatą. Entuzjastyczne pochwały mogłyby jednak zostać zinterpretowane na jej niekorzyść.

– Nieźle? – Sinhazinha wywróciła oczami. – To prawdziwy bóg, Lua! Przyjrzyj się tylko, proszę, sama zobacz. Czy widziałaś już kiedyś kogoś, kto potrafiłby zrobić taki szpagat w podskoku? Albo gwiazdę, nie podpierając się rękoma?

Lua musiała więc uczynić to, czego pilnie unikała. Patrzyła na Zé i jego akrobatyczne popisy. Ich spojrzenia spotkały się. Jego wzrok trudno było odczytać. Krył się w nim cień rozbawienia, zarazem jednak wyrażał gniew i nieposkromioną dumę.

– Tak, jest bardzo dobry – szepnęła zamyślona.

Często widywała mężczyzn tańczących w senzali, choć gdy nie znajdowali się w pobliżu biali, nie był to czysty taniec, lecz raczej kunsztownie zakamuflowana walka. Nazywali ją capoeira. Podlegała ścisłym regułom, których Lua jako kobieta nie mogła oczywiście znać,

i wykonywano ją zawsze w roda, kręgu innych tancerzy, żeby obu walczących – którzy sami siebie nazywali grającymi – nie można było zobaczyć z zewnątrz. Ten środek ostrożności stosowano na wypadek, gdyby w pobliżu wykonujących capoeirę zjawił się nieproszony widz.

Lua wiedziała, że tancerze celnymi kopniakami i wymachami rąk potrafiliby zabić przeciwnika. Sama widziała, jak kopnięciem lub uderzeniem pozbawiali kogoś przytomności albo rozbrajali, co uczynił Zé swojego pierwszego dnia w fazendzie, gdy odebrał Antóniowi pejcz. W capoeirze chodziło zarówno o sprawność i szybkość, jak i o giętkość oraz umiejętność zwiedzenia przeciwnika. Komu udało się zataić przed partnerem swój kolejny krok lub udać, że postąpi się inaczej niż w rzeczywistości, ten zdobywał wyraźną przewagę. Nikt, kto miał oczy, nie mógł nie zauważyć, że Zé był w tym mistrzem.

Niewątpliwie odbierał jako wielkie poniżenie fakt, że musi uprawiać swoją sztukę nie w kręgu roda, lecz na otwartej scenie, gdzie wystawiony był na pokaz przed białymi jako dzikus. Przypominał schwytanego drapieżnego kota – ruchy sprężyste, w spojrzeniu żądza mordu. Sinhazinha zdawała się tego jednak nie zauważać, podobnie jak nie dostrzegała, że taniec Zé coraz bardziej przeradza się w prowokację. Poruszał biodrami w obscenicznej parodii aktu kopulacji, a muzycy uderzali w tamburyny i bębenki w coraz szybszym, równomiernym takcie.

Lua zaczerwieniłaby się, gdyby mogła. Również Fernanda i Lulu byli zakłopotani, lecz sinhazinha jeszcze niczego nie zauważyła. Dopiero gdy dona Ines weszła do pokoju, przyciągnięta rytmicznym, choć niemelodyjnym bębnieniem, spektakl gwałtownie się zakończył.

– No, no... To nie musi być tak... hmm... animalistyczne – skrytykowała pokaz.

– Jak sobie pani życzy, senhora – powiedział Zé z idealnym ukłonem, z którego przemawiała bezgraniczna arogancja.

Jak też temu typowi udawało się pomimo całej uniżoności zaznaczać swoją wyższość?

Dona Ines opuściła pokój w towarzystwie córki, ponieważ właśnie przyjechała krawcowa i przywiozła suknię na wieczór zaręczynowy. Lua chciała ruszyć za sinhą Eulálią, jak zawsze to robiła, jednak dona Ines zatrzymała ją w drzwiach.

– Ciebie chwilowo nie potrzebujemy. Lepiej zostań tu i dopilnuj wszystkiego. Po południu przyjeżdża z Salvadoru dekorator i do tego czasu meble muszą stanąć tak jak na uroczystości, żeby mógł upiąć girlandy w odpowiednich miejscach.

Dekorator – proszę bardzo! Lua wiedziała, że istnieją tacy specjaliści, do tej pory jednak żadnego nie widziała. Podczas uroczystości, które do tej pory odbywały się w São Fidélio, to niewolnicy wykonywali dekoracje z kwiatów, gałązek, bibuły

i jedwabnych wstążek.

Dygnęła, obróciła się i szybko wróciła do salonu, by okazać posłuszeństwo. Choć ciekawa była sukni sinhy Eulálii i choć denerwowało ją nieco, że jej umiejętności plastyczne uznano za niewystarczające i sprowadzono profesjonalnego dekoratora, w duchu radowała się – wreszcie będzie mogła obejrzeć taniec Zé, nie narażając się na czujny wzrok państwa.

Zé już jednak nie tańczył. Kapela wciąż grała, więc poza salonem wydawało się, że próba toczy się dalej, lecz tancerze zeskoczyli z podestu, który stanowił scenę. Zé przechadzał się leniwie po salonie i z krzywym uśmiechem oglądał wyposażenie. O ile Lui było wiadomo, jako niewolnik polowy nigdy wcześniej nie był on w domu białych, więc wszystkie te obrazy oraz witryny ze srebrem i porcelaną musiały wydawać mu się egzotyczne. Przystanął przed wielkim wazonem, który sięgał mu do biodra, i ostrożnie pogładził pofalowany brzeg.

– Hej, ty brudny polowy czarnuchu! – zawołał Lulu. – Trzymaj paluchy z dala od kryształowego wazonu sinhy Ines!

Zé ani drgnął, nawet nie podniósł wzroku. Z całym spokojem podziwiał dalej piękny przedmiot, który z okazji uroczystości mieli wypełnić kwitnącymi gałązkami drzewa ipe, o ile dekorator nie zarządzi inaczej.

Lulu rozgniewał się, że Zé wyraźnie lekceważy jego autorytet, ale nie miał odwagi zbesztać go ostrzej. Może chodziło o to, że Zé był starszy, a może o to, że promieniał siłą i dumą, i dlatego Lulu nie umiał powstrzymać niższego rangą niewolnika przed aroganckim zachowaniem. Lua przez krótką chwilę poczuła nawet litość dla Lulu, który nie mógł wyjść z tej sytuacji z twarzą. Musiał się przeciwstawić Zé, ale nie potrafił. Postanowiła interweniować.

– Zé, proszę, nie ruszaj niczego. Jeśli coś się zniszczy, my, niewolnicy domowi, zostaniemy za to ukarani.

Obdarzył ją na wpół ironicznym, na wpół uwodzicielskim spojrzeniem, na widok którego ugięły się pod nią kolana. Nagle wydała się sobie mała i biedna, a zarazem kobieca i godna pożądania. Zé zdjął dłoń z kryształowego wazonu. Potem podszedł do Lui, pochylił głowę i szepnął jej do ucha:

– Dziękuję.

Była poirytowana. Czy dziękuje, że udzieliła mu wskazówek, jak ma się zachowywać w Casa Grande? Co to właściwie miało znaczyć? Najwyraźniej po Lui widać było jej bezradność, ponieważ Lulu podszedł energicznie do Zé i krzyknął na niego:

– Ty gówniarzu! Zostaw Luę w spokoju albo będziesz miał ze mną do czynienia!

Zé tylko uniósł brew, ale w tym małym geście kryła się wyraźna groźba. Fernanda chrząknęła cicho, a gdy Lua na nią spojrzała,

dostrzegła, że przyjaciółka dostała napadu śmiechu. Lulu cofnął się o krok i zmierzył Fernandę wściekłym spojrzeniem. Potem wyszedł z pokoju.

Lua miała nadzieję, że nie słyszał śmiechu, który rozległ się po jego zawstydzającym wystąpieniu. Fernanda i Lua były niezwykle ubawione, śmiały się, aż łzy pociekły im po policzkach. U Lui ten śmiech rozładował napięcie, które wywołały w niej znaczące spojrzenia Zé.

Próbowała zerknąć na niego ukradkiem i sprawdzić, jakie wrażenie wywarł na nim ten wybuch wesołości. Straszna była myśl, że może uzna go za dziecinny. Gdy popatrzyła na Zé, ich spojrzenia spotkały się. Obserwował ją. Tym razem nie odwróciła wzroku, lecz wpatrywała się w niego równie bezczelnie, co on w nią. Na jego pięknej twarzy pojawił się uśmiech i stawał się coraz szerszy, aż usta otwarły się, ukazując idealne zęby, i rozległ się głęboki, dudniący, ciepły śmiech.

Lua była tak porwana tym widokiem, że zbyt późno dostrzegła pojawienie się w salonie sinhy Eulálii i nie od razu skierowała na nią całą uwagę, jakiej wymagała nowa suknia panienki.

Cóż jednak znaczyła najpiękniejsza nawet suknia na świecie przy tym niewiarygodnym Zé?

14

– Lua, musisz uważać. To wszystko po prostu nie może się dobrze skończyć. Mężczyźni tacy jak Zé przynoszą same kłopoty, wierz mi. Najlepiej od razu wybij go sobie z głowy. – Rady Fernandy, których udzieliła jej wieczorem przed przyjęciem zaręczynowym, Lua uznała za zabawne. Dlaczego przyjaciółce przyszło do głowy odgrywanie roli jej opiekunki?

– Skąd wiesz, co sądzę o Zé? Nie myślisz chyba naprawdę, że chcę zadawać się z polowym niewolnikiem? – odparła ostro.

– Z daleka widać, że zwrócił na ciebie uwagę. Ostatnio na próbie wprost pożerał cię wzrokiem...

– Do tego trzeba dwojga.

– Szczerze mówiąc, Lua, tobie też niewiele brakowało, byś się na niego rzuciła.

– Fernando, nie sądź innych po sobie. Nie jestem tak puszczalska jak ty. – W chwili gdy wymknęła się jej ta uwaga, już jej pożałowała. Nazwanie najlepszej przyjaciółki puszczalską było niewybaczalne.

Na szczęście Fernanda zignorowała te słowa, zachowując się tak, jakby Lua nie powiedziała nic niemiłego.

– No cóż, trochę przyjemności w życiu, zwłaszcza z mężczyznami, by ci nie zaszkodziło – odparła zadziornie. – Ale nie z tym typem. Poszukaj sobie innego i bądź z niego zadowolona, a wtedy szybko zapomnisz o Zé. Może Lulu? Chłopak zakochał się w tobie po uszy, a pomimo wad jest ładnym i sprytnym młodzieńcem, w dodatku pracuje w domu. Albo Luca, nie chciałabyś go?

Lua wzdrygnęła się.

– Przestań, Fernando! Nie chcę żadnego z nich, wiesz przecież.

– Aha. Chcesz tylko Zé. Wiedziałam!

– Nie! Przekręcasz moje słowa. Nie chce żadnego. W każdym razie jeszcze nie teraz. Kiedyś pojawi się ten właściwy.

Nie wiedziała, dlaczego tak gwałtownie zaprzecza, że Zé jej się podoba. Fernanda zawsze umiała czytać w jej myślach, a nawet gdyby

nie umiała, była przecież jej przyjaciółką i zasługiwała na to, by znać prawdę. Jeszcze nie tak dawno obserwowały wspólnie powrót niewolników z pola, by zerknąć na Zé, a teraz Lua udawała, że ten człowiek jest jej obojętny. Było to zupełnie bezsensowne, nie umiała jednak inaczej. Miała wrażenie, że jeśli opowie o swoich uczuciach, jej fascynacja Zé stanie się w jakiś sposób publiczna i przez to prawdziwsza.

– Nie ma sensu zaprzeczać. – Fernanda rzeczywiście czytała w jej myślach. – Prawda jest taka, że cierpisz z powodu swojego dziewictwa i chciałabyś wreszcie wiedzieć, na czym polega spółkowanie. W tym celu wybrałaś sobie Zé.

– Nie! – Tym razem oburzenie Lui było prawdziwe. Nigdy nie podeszłaby do tej sprawy tak chłodno, nie dokonałaby z czystej ciekawości czegoś, co nie bez powodu nazywało się aktem miłosnym. Fernanda mogła uważać zjednoczenie dwojga ludzi za spółkowanie, ale dla Lui wiązało się ono z miłością. Oczywiście, fascynowało ją, jakie to uczucie być z mężczyzną, i owszem, doskwierał jej dziewiczy stan, za który była przez wszystkich wyśmiewana. Ale oddać się z tego powodu pierwszemu lepszemu? To nie wchodziło w grę.

Z Zé mogłaby to pewnie zrobić. No cóż, może nie wszystko, ale o pocałunku i czułym objęciu zdarzało się jej już marzyć. Wyobrażała sobie także, jak on swoim pięknym głosem szepcze jej do ucha czułości. W nielicznych chwilach dnia, gdy mogła sobie pozwolić na sny na jawie, dawała się ponieść myślom o cudownych rzeczach, jakie by z nią uczynił. Jednak gdy tylko rozum na powrót dochodził do głosu, wypominała sobie, że jest głupią gęsią. Chłopak zamienił z nią ledwo trzy zdania, skąd więc, do diabła, przyszło jej do głowy, że mógłby coś do niej czuć?

Gdy stało się wreszcie to, o czym ośmielała się marzyć, była zupełnie zaskoczona. Działo się to nocą podczas uroczystości zaręczynowych. Wielu gości już odjechało, a pozostali byli mocno podpici, podobnie jak gospodarze. Zebrano się przy wielkim stole w jadalni. Przed każdą z blisko dwudziestu osób stała cała bateria kieliszków. Kieliszki do wina, wódki, sherry, koniaku – większość pusta. Gdy Lua chciała część ich uprzątnąć, sinhá Eulália ją powstrzymała.

– Zostaw kieliszki, Lua, będą nam jeszcze potrzebne – wybełkotała, chichocząc.

Lua wycofała się zatem. Była zmęczona i niczego nie pragnęła bardziej, niż by towarzystwo wreszcie się rozeszło, a ona mogła położyć się spać. Musiała jednak zaczekać, aż ostatni goście odjadą lub udadzą się do swoich pokoi, ponieważ niektórzy nocowali w São Fidélio.

Usiadła na schodach przed kuchennymi drzwiami, które wychodziły na sad. Noc była przepiękna. Wiał lekki wietrzyk, który co prawda z powodu upału nie przynosił orzeźwienia, ale szeleścił wśród palm

i drzew owocowych, a księżyc rysował czarowne wzory na lśniących, poruszających się w podmuchach liściach. Ciężki, słodki zapach jaśminu i anielskich trąbek mieszał się z aromatem wilgotnej ziemi. Zapach dostarczał upajających doznań zmysłowych. Lua zamknęła oczy i wciągnęła głęboko powietrze.

Była tak zmęczona, że pewnie zdrzemnęłaby się na schodach, gdyby nagle nie poczuła na uchu łaskotania. Przestraszyła się i już chciała odgonić dłonią owada czy pająka, gdy ktoś chwycił ją za rękę.

– Nie bój się, Lua.

To był Zé. Podkradł się bezgłośnie, i to tak blisko, że pomimo ciemności mogła dostrzec pojedyncze krople potu nad jego górną wargą.

– Trudno cię spotkać – wyszeptał.

– Zaraz muszę wracać. – Natychmiast zawstydziła się swej głupiej odpowiedzi. Co takiego miał w sobie ten mężczyzna, że wstydziła się wszystkiego, co robiła, mówiła, a nawet myślała? Nie była osobą bardzo wstydliwą i nie uważała się także za szczególnie nieśmiałą.

– Zaczekaj chwilę, proszę. – Zé nadal trzymał ją za rękę i głaskał kciukiem wnętrze jej dłoni. Było to łagodne dotknięcie, choć jego dłoń była olbrzymia i pełna odcisków. – Chciałbym ci podziękować.

– Za co? – wyrwało się jej i ponownie zawstydziła się głupiego pytania. Rzeczywiście był jej winien podziękowania, zarówno za opiekę, którą nad nim sprawowała, jak i za to, że przyniosła jedzenie do piwnicy. Wzruszyła jednak ramionami i ciągnęła, nim zdołał odpowiedzieć: – Ach, nieważne. Nie jesteś mi nic winien. Nie zdradziliście przecież, że odwiedziłam was w piwnicy.

Spodziewała się, że Zé zdawkowo skwituje własne dokonanie lub opowie, co działo się wówczas z czterema więźniami. Tak jednak się nie stało. Wpatrywał się w nią tylko przenikliwie i milczał. Jego spojrzenie trudno było odczytać. Lui wydawało się, że dostrzega w nim sympatię, ale równie dobrze mogła to być znudzona uprzejmość, co wyprowadziło ją z równowagi. Paplała więc dalej, dobrze wiedząc, że nie ukrywa w ten sposób swojego zdenerwowania, wręcz odwrotnie.

– No cóż, dziwiłam się nawet, że żaden z was czterech nic nie powiedział. Ciebie przecież pozostali najwyraźniej zdradzili, czyż nie? Nie powiedziałeś nam ani słowa o tym, co działo się z wami w więzieniu, więc sami się tego domyśliliśmy. Musisz jednak wiedzieć, że od tamtej pory nasi państwo stale mnie obserwują, nie byłoby więc dobrze, gdyby zobaczyli nas razem, dlatego... – Chciała wstać i wrócić do domu.

Zé przytrzymał ją jednak za rękę i pociągnął z powrotem na stopień, na którym również przysiadł. Nadal milczał, ale nagle objął policzki Lui obiema dłońmi, spojrzał jej głęboko w oczy i przyciągnął jej głowę ku swojej twarzy.

Lua wstrzymała oddech. Czy ją pocałuje? Zamknęła oczy i skierowała ku niemu lekko rozchylone usta, ale on zamarkował tylko pocałunek w kącik warg.

– Jesteś bardzo piękna, Lua – wyszeptał. – I bardzo odważna. Spotkaj się ze mną jutro wieczorem pod płomieniem Afryki.

Nim zdążyła udzielić odmownej odpowiedzi, zniknął w ciemności. Nie miała czasu, by przemyśleć to, co się zdarzyło, bo z domu usłyszała przebijający się przez gwar głos sinhazinhy, która najwyraźniej jej szukała. Prawdopodobnie lekko podpita nie potrafiła sama dojść do swojego pokoju.

Cały następny dzień minął na sprzątaniu. Lua była niespokojna, jej myśli krążyły daleko, ale tym razem nikt nie zwrócił na to uwagi. Zarówno państwo Oliveirowie, jak i nocujący goście oraz niewolnicy rozmawiali tylko o jednym, mianowicie o udanym przyjęciu. Biali pochwalnie wyrażali się o afrykańskich strojach służby, kapeli i tancerzy.

– Murzyni zawsze powinni nosić taką odzież, po prostu lepiej im pasuje – brzmiała zgodna opinia.

Bufet, muzyka i dobór gości zdobyły wielkie uznanie, ale do prawdziwych okrzyków zachwytu skłaniała przede wszystkim dekoracja.

Dekorator był wolnym Murzynem z Salvadoru, właściwie malarzem i rzeźbiarzem, który początkowo zdobył lokalną sławę dzięki swoim pomysłowym dekoracjom, gdy przepięknie ozdobił kościół z okazji ślubu. W São Fidélio dokonał podobnego dzieła, trzeba to było przyznać. Domowi niewolnicy nie zdołaliby tak wspaniale przystroić wnętrz. Luę najbardziej fascynował jednak w tym człowieku jego status. Był dobrze ubrany i nosił buty, co stanowiło wyraźny znak, że nie służy żadnemu panu. Nie zachowywał się też poddańczo. Sprawiał wrażenie pewnego siebie i wyglądało na to, że dobrze zarabia na swoich usługach. Lua chętnie spytałaby go, w jaki sposób zaszedł tak daleko, jednak obie białe damy towarzyszyły mu nieustannie, więc nie miała możliwości z nim porozmawiać.

Głównym tematem rozmów służących był stos prezentów, którymi obsypano narzeczonych. Gdy Fernanda, Lulu i Lua przesuwali meble, a sprzątaczki szorowały podłogi na klęczkach, by nie przegapić żadnej plamy po winie ani pyłku popiołu, mieli okazję dokładnie obejrzeć rzeczy, które znalazły się na stole na prezenty. Należały do nich srebrne ramki i marmurowe pudełeczka, porcelanowe figurki i alabastrowe dzbany, jedwabne bieżniki i świeczniki. Były to bardzo cenne przedmioty, ale nie miały wartości użytkowej. Dopiero z okazji wesela goście przyniosą podarki, które przydadzą się młodej parze w przyszłym wspólnym domu, przede wszystkim porcelanowe nakrycia

i srebrną zastawę. Z okazji zaręczyn zgromadzono tylko ozdoby i bibeloty, niewiele warte dla państwa, ale w oczach niewolników stanowiące szczyt elegancji i wytworności.

– Widziałaś tę etażerkę? – spytała Fernanda nabożnym tonem. – Te delikatne pędy kwiatów, szlachetne złocone brzegi... Ach, oddałabym lewą nogę za coś takiego!

– I co byś na tym układała? Fasolę i ryż? – Tym razem to Lua była wyraźnie rozsądniejsza z nich dwóch. Działo się tak jednak zawsze, gdy chodziło o zdobione złotem lub misternie wykonane akcesoria, zdrowy rozum Fernandy odmawiał jej wtedy posłuszeństwa. – A całą kompozycję ustawiłabyś pod swoim hamakiem w senzali, wprost na surowych deskach...

– Już dobrze, zrozumiałam – broniła się Fernanda. – To jednak niesprawiedliwe, że sinhazinha dostaje takie piękne rzeczy w prezencie, a potem chowa je w najdalszym kącie kredensu, podczas gdy my, którzy umiemy docenić te eleganckie przedmioty, w całym naszym życiu nie będziemy mieć niczego podobnego.

Lua otworzyła szeroko oczy i spojrzała na Fernandę tak przenikliwie, aż ta zrozumiała, o co chodzi. Nie było bezpiecznie wygłaszać tego rodzaju uwagi. Fernanda nie miała zresztą takiego zwyczaju. Oczywiście, często pożądała rzeczy, których nie mogła mieć, ale nigdy wcześniej Lua nie słyszała, by przyjaciółka użyła w tym kontekście słowa „niesprawiedliwe". Ta zdumiewająca zmiana nie zajmowała jej jednak długo. Również obfitość prezentów ani wystawne stroje z poprzedniego wieczoru – jej drugi ulubiony temat – nie angażowały myśli Lui tak bardzo jak spotkanie z Zé. Przezornie zachowała to jednak dla siebie. Fernanda znowu zaczęłaby ją wypytywać, a poza przyjaciółką nikt nie wydawał się Lui na tyle godny zaufania, by mogła zwierzyć się ze swych sprzecznych uczuć.

Z wytęsknieniem oczekiwała wieczoru i ponownego spotkania z Zé. Wiedziała, że znowu może odbyć się między nimi rozczarowująca rozmowa, podobnie jak podczas pierwszej schadzki. Zé zapewne i tym razem poczęstuje ją politycznymi hasłami połączonymi z afrykańskimi plemiennymi bajkami. Nie chciała słuchać ani jednego, ani drugiego. Tym bardziej jednak spragniona była komplementów, jakie mężczyźni prawili nieraz kobietom, marzyła o prawdziwym pocałunku, liczyła na tęskne spojrzenia. Chciała być blisko Zé, i owszem, jeśli miało to oznaczać, że się mu odda, była na to gotowa. Jej dziewictwo powoli stawało się uciążliwością. Ona, która miała przecież znacznie większą wiedzę i lepsze wykształcenie niż większość niewolników, wiedziała na ten ważny temat tyle, co mała dziewczynka. Tak nie mogło już dłużej być.

Udało się jej przetrwać pracowity dzień, nie zdradziwszy swego podniecenia, choć mogła przez nie na przykład zbić talerz lub upuścić

wazon. Wieczorem w senzali udało się jej również przygotować do wyjścia, tak by nikt tego nie zauważył. Włożyła świeżą sukienkę, uczesała się i skropiła dekolt odrobiną wody kolońskiej – dla Lui był to szczyt elegancji – którą senhora podarowała jej kilka miesięcy temu, ponieważ flakon był wyszczerbiony i już w trzech czwartych pusty.

Większość niewolników zebrała się wokół pewnej staruszki, która opowiadała dla śmiechu historie ze swojej młodości, przyprawiane strasznymi anegdotami o wężach boa, jaguarach i krokodylach. Wszyscy śledzili opowieść w takim skupieniu, że nikt nie zauważył wyjścia Lui.

Przemknęła ostrożnie przez podwórze, rzuciła stróżującemu psu kawałeczek słoniny, który przezornie wyłowiła wcześniej z garnka z zupą, i bez przeszkód dotarła pod płomień Afryki. Na podwórzu i w okolicy można było poruszać się w miarę swobodnie. Dopiero gdy dotarło się w pobliże granicy posiadłości, zaczynało być niebezpiecznie ze względu na regularne patrole strażników z tresowanymi psami. Komu udałoby się jednak pokonać i tę przeszkodę, znalazłby się albo nad otwartym morzem, albo w nieprzebytej puszczy – wszędzie czyhały śmiertelne niebezpieczeństwa. Mógłby też wbiec prosto na teren sąsiedniej fazendy, gdzie strażnicy byli znacznie surowsi niż w São Fidélio. Szanse, że wyjdzie się z takiej eskapady bez szwanku, były nikłe, a kary bardzo ciężkie. Niewielu próbowało więc uciekać. Przypadki zbiegów, których od razu złapano i surowo ukarano, były znacznie liczniejsze niż udane ucieczki. Mimo to podejmowano takie próby i przyciszonym głosem opowiadano emocjonujące historie o losach uciekinierów na wolności.

Zé stał niedbale oparty o drzewo i obserwował Luę. Od razu poczuła niepokój i wątpliwości. Czy ładnie wygląda? Czy porusza się z gracją? Czy widać po niej zdenerwowanie? Nawet przez sekundę nie zastanawiała się jednak, czy Zé wygląda odpowiednio.

Przystanęła przed nim na wyciągnięcie ręki.

– Olá – powitała go.

– Nie musisz używać wody kolońskiej białych – powiedział zamiast przywitania. – Biali śmierdzą, dlatego jest im potrzebna. Nam nie. Poza tym zwierzęta leśne z daleka poczują, że się zbliżasz.

Lua wywróciła oczami. Doprawdy, świetnie się zaczęło. Potwierdziły się jej najgorsze przewidywania. Zé zrobi jej wykład o wolności i o wyższości afrykańskich ludów.

– Cieszę się, iż zwierzęta zwietrzą na czas, że się zbliżam. Będą mogły uciec.

Zé zaśmiał się cicho.

– Poza tym nie zamierzam udawać się do lasu, a już na pewno nie po ciemku. A tutaj, w São Fidélio, kury, kozy, konie, krowy, świnie, psy, koty, myszy, szczury, ptaki i owady mogą śmiało narzekać na mój

zapach. – Mówiła w gniewie. Uważała za niesłychane, że Zé powitał ją tak raniącymi słowami. – Chyba nie było dobrym pomysłem, żebym tu przychodziła. – To powiedziawszy, odwróciła się i odeszła, z trudem powstrzymując łzy.

Zé pobiegł za nią i chwycił ją za ramię.

– Przykro mi, Lua. Nie chciałem cię dotknąć. Wyglądasz prześlicznie... przede wszystkim, gdy jesteś wściekła. Proszę, zostań przez chwilę.

Uwolniła rękę z jego uchwytu.

– Wiesz co, Zé? Nie jesteś wcale taki atrakcyjny i szarmancki, żebym się z tobą zadawała. Jesteś nieokrzesany i zuchwały. Uważasz się za kogoś lepszego, jakby twoje afrykańskie pochodzenie i dążenie do wolności cię uszlachetniały. Ale co jest w tym szczególnego? Wielu marzy o wolności, a afrykańskich przodków mamy wszyscy.

– Ach tak? – Nie było to pytanie, raczej objaw triumfu, że przyłapał ją na błędzie. – A ja sądziłem, że uważasz się za „białą Murzynkę".

– Bzdura! – syknęła. W gruncie rzeczy miał jednak rację. Nigdy nie postawiłaby się na równi z „czarnymi Murzynami" w rodzaju Imaculady, aż do teraz.

– Tym lepiej... – szepnął znacząco, objął ją i przyciągnął do siebie.

Lua sięgała mu tylko do ramion, a te były szerokie i mocne, i nie znalazła siły, by bronić się przed nim. Dłonie Zé powędrowały po jej plecach, spoczęły na chwilę na łopatkach, a potem ruszyły w górę, ku szyi. Dotyk był stanowczy, a zarazem delikatny, i Lui zrobiło się od niego gorąco, zaczęło kręcić się jej w głowie. Zé pochylił się i szepnął jej do ucha coś, co mogło wydawać się najsłodszym zaklęciem miłosnym, tak zmysłowo jego oddech łaskotał płatek ucha i tak aksamitny był jego głos. Trwało chwilę, nim to, co powiedział, dotarło do jej świadomości:

– Chodź ze mną, Lua. Bądźmy wolni, wolni, by się kochać.

Nie pojmowała tego. Nawet w tak intymnej chwili miał czelność wracać do tej swojej głupiej wolności! Z ciężkim sercem uwolniła się z jego objęć.

– Nie – powiedziała tak zdecydowanie, jak tylko zdołała. – Nigdzie z tobą nie pójdę. I nie chcę wiedzieć niczego o twoich planach ucieczki. Jeżeli zamierzasz się na to poważyć, proszę bardzo, ale trzymaj mnie od tego z daleka. Jeżeli rzeczywiście planujesz uciec, oszczędź mi, proszę, prób zbliżenia. Nie mielibyśmy razem przyszłości. A zatem, Zé, żyj szczęśliwie. – Po tych słowach odwróciła się i z bijącym mocno sercem pobiegła w stronę senzali.

Łzy płynęły jej po twarzy i pomimo smutku z powodu niespełnionych marzeń cieszyła się przynajmniej z tego, że Zé nie widzi jej płaczącej.

15

Łkała i dlatego nie usłyszała zbliżających się kroków. Zé dogonił ją przy południowym rogu senzali.

– Zaczekaj, Lua – szepnął z naciskiem. Chwycił jej ramię i tym samym zmusił do zatrzymania.

– Nie mamy już sobie nic do powiedzenia, Zé.

– Och, sądzę, że jednak mamy – szepnął i przyciągnął ją bliżej ku sobie. – Może w ten sposób? – Pochylił głowę i przycisnął wargi do jej warg.

Nie stawiała silnego oporu. Bo i jak? Była obezwładniona słodkością pocałunku, miękkością ust Zé i namiętnością objęcia. Właśnie za tym tęskniła, i okazało się to dokładnie takie, jak wyobrażała sobie w snach na jawie. Z pewnym ociąganiem odpowiedziała na czułości Zé. Otoczyła rękoma jego talię i ośmieliła się nawet przesunąć dłonią po jego plecach. Pod cienką koszulą wyczuwała każdy mięsień, a budowa jego ciała – mocna, a zarazem gibka – wywołała w niej drżenie. Jeszcze nigdy nie dotykała w ten sposób mężczyzny. Jeszcze nigdy zresztą nie dopuściła mężczyzny tak blisko siebie.

Zé przyciskał się do niej, więc ich ciała dotykały się przez ubrania. Lua była podniecona, a jednocześnie zupełnie spokojna. Dziś to się zdarzy. Jej początkowa niechęć ustąpiła równie szybko, jak wzrastało pożądanie. Chciała go, teraz. Rzadko była czegoś tak pewna jak tego.

– Chodź ze mną – szepnął ochrypłym głosem. Odsunął się nieco i ujął jej dłoń. – Tutaj może się ktoś zjawić. Znam lepsze miejsce.

Lua chętnie pozwoliła się poprowadzić. Dokąd zmierzali? Sądziła, że zna São Fidélio lepiej niż większość mieszkańców, ale nie przychodziło jej do głowy miejsce, gdzie naprawdę nikt by im nie przeszkadzał i gdzie nie pachniałoby stajnią lub kurnikiem.

Przekradli się obok senzali, przemknęli przez podwórze i przekupili psa kawałkiem mięsa, który Zé trzymał w kieszeni zawinięty w chusteczkę. Potem pobiegli do Casa Grande. Serce Lui niemal stanęło. Zatrzymała się na chwilę. Zé pociągnął ją jednak na schody

werandy.

– Nie możemy tu tego zrobić!

– Dlaczego? Nie ma tu nikogo, bo szacowni państwo najwyraźniej poszli już spać, a nie wydaje mi się prawdopodobne, by naprzykrzali się nam tu inni niewolnicy.

– Jesteś szalony.

Zaśmiał się cicho.

– Poza tym to najpiękniejsze miejsce w okolicy, jakby stworzone do tego, by całować piękną dziewczynę w świetle księżyca.

O Boże. Spokój ją opuścił. A jeśli ktoś z Oliveirów wyszedłby na zewnątrz? Albo postanowił posiedzieć nocą w salonie i otworzył duże przeszklone drzwi, aby wpuścić łagodne nocne powietrze? Skamieniała ze strachu.

– Nie martw się, moja księżycowa piękności – wyszeptał Zé. – Nikt nas nie nakryje. – Jego oddech łaskotał ją w ucho, a tembr jego głosu przyjemnie odbijał się echem w jej głowie.

Pociągnął ją w najciemniejszy kąt werandy. Bezwolnie pozwoliła mu przycisnąć się do muru, który był jeszcze nagrzany od słońca. Pachniało intensywnie i słodko, powietrze gładziło ją niczym jedwab. Mimo to słyszała gdzieś w duchu głos rozsądku, który odradzał jej pomysł, by oddać się Zé tu i teraz. On na pewno wkrótce odejdzie, a nie chciała tylko krótkiej przygody. Z kolei zmysły nakazywały jej zostać, właśnie dlatego, że Zé niedługo podejmie próbę ucieczki, a następna sposobność nie nadarzy się szybko. Poza tym zostanie jej piękne wspomnienie, którym będzie mogła się cieszyć.

Usta Zé znalazły drogę do jej ust. Odchyliła głowę i lekko rozwarła powieki. Jego wargi drgały na jej wargach, zanurzały się na chwilę, niczym koliber w głąb kwiatu, by zaraz unieść się nad jej ustami. Mruczał cicho: „Lua", gryzł jej górną wargę, delikatnie obrysowywał językiem kontury jej ust, a następnie jęczał miłosne zaklęcia, takie jak: „Lua, meu amor", „chcę kosztować cię całą, moja piękna", które odbierały jej rozum i oddech.

Ona sama nie była w stanie wydobyć z siebie słów. Cicho pojękiwała, co jednak zdawało się go tylko zachęcać. Przejechał językiem po wnętrzu jej ust i połączył się z jej językiem w intensywnej grze o upajającej lekkości. Jednocześnie przysunął się do niej bardzo blisko i nieco ją uniósł, więc stała przy ścianie na palcach, ale wspierana jego ciałem. Potarł o nią swoim członkiem i ugiął nieco kolana, by poczuła go między nogami. W zespoleniu przeszkadzały im już tylko ubrania. Nogi Lui drżały, przebiegały ją gorące i zimne dreszcze rozkoszy. To było wspaniale, czuć w ten sposób jego podniecenie, położyła więc dłonie na pośladkach Zé, by dać mu do zrozumienia, że może przycisnąć się do niej jeszcze mocniej.

Jęknął cicho i ten dźwięk skruszył resztki oporu dziewczyny. Być

może nie doszłoby do niczego więcej niż tylko tego udawanego aktu miłosnego, gdyby nie to, że jęk Zé przeszył ją na wskroś. Wprawił ją w stan, w którym pragnęła tylko jednego. Jego namiętność rozbudziła w niej żądzę, która była znacznie bardziej realna niż wszystkie erotyczne sny, tak cielesna, jak nie zdarzyło się Lui doświadczyć nigdy wcześniej. Jej podbrzusze pulsowało i poczuła, że między nogami jest mokra i gorąca.

Zé musiał czuć podobne podniecenie. Drobne westchnienia rozkoszy Lui dodatkowo rozniecały w nim ogień. Nagle, niecierpliwie i z przyspieszonym oddechem, zapragnął natychmiastowego spełnienia. Pospiesznie podciągnął w górę spódnicę Lui i dłonią torował sobie drogę przez jej bieliznę, aż dotarł do miejsca, gdzie znajdował się kwiat jej namiętności, esencja kobiecości. Potarł ją delikatnie, lecz pożądliwie, aż Luę zalała fala rozkoszy, przez którą niemal opadła na kolana. Pragnęła więcej.

I dostała więcej. Zé szybko rozpiął spodnie. Tylko przez chwilę dostrzegła jego wspaniale sterczącą męskość, która zarówno podniecała ją, jak i przerażała. Często widywała już nagich mężczyzn, ale nigdy z erekcją. Jego penis był co najmniej dwukrotnie większy niż w zwykłym stanie! Nie powiedziała jeszcze Zé, że jest dziewicą, a mężczyzna powinien w takiej sytuacji zachować nieco większą ostrożność, prawda? Nie potrafiła jednak zakłócić tej chwili wzajemnej rozkoszy. Pozwoliła mu zatem na wszystko.

Uniósł ją tak, że kolanami obejmowała jego talię, a plecy przyciśnięte miała do muru. Oparł się jedną ręką o ścianę, a drugą utorował drogę dla swojego członka. Nagle Lua poczuła go częściowo w sobie, zbyt dużego, by wsunąć się w nią od razu. Zé ostrożnie poruszał się tam i z powrotem, i rzeczywiście, jej szparka poszerzyła się, i wszedł w nią.

Luę przeszył nagle ostry ból i z jej ust wydarł się cichy okrzyk. Zé zatrzymał się w połowie ruchu.

– Och nie! Nie wiedziałem. – To mówiąc, wysunął się z niej.

Lua czuła się winna, jakby jej zatajone dziewictwo zepsuło mu przyjemność. Jej namiętność całkowicie minęła. Wcale nie było tak wspaniałe, jak wszyscy opisywali. Czuła się w pewien sposób zdradzona. Zaczęło się bardzo obiecująco – pocałunki, objęcia i tak, również intymne dotknięcia były nadzwyczaj zmysłowe i podniecające. Ale sam akt, który zakończył się bólem, wydawał się czymś, co mogło zaspokoić tylko mężczyznę, ale nie kobietę.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś jeszcze... nietknięta?

Mała przerwa, jaka nastąpiła przed słowem „nietknięta", sprawiła, że jej dziewiczy stan wydał się Lui czymś nieprzyzwoitym, czymś, o czym niechętnie się mówi.

– Czy to by coś zmieniło? – spytała napiętym głosem.

– Hmm, tak, być może. Byłbym ostrożniejszy i...

– ...i nie wziąłbyś mnie na stojąco, lecz ułożył na posłaniu z róż? – przerwała mu. Jej głos brzmiał płaczliwie, co zawstydziło Luę jeszcze bardziej niż gwałtowny koniec ich zjednoczenia i ciepła ciecz, która spływała jej po nogach. Nie była już uwięziona między ścianą a jego miednicą; znów stała na własnych nogach, choć jeszcze niezbyt pewnie. – Ale ja tak nie chciałam. Pragnęłam tego właśnie w ten sposób, tu i teraz.

– Ofiarowałaś mi wielki dar, Lua – szepnął Zé. Najwyraźniej nie był wcale rozczarowany. – Niezapomniany dar. Pozwól, żebym i ja dał ci niezapomnianą rozkosz.

Usiadł na parapecie i wciągnął ją między swoje rozłożone nogi. Jej nagość była na szczęście zakryta przez długą spódnicę, Zé prezentował się jednak w całej okazałości i to, co Lua widziała, świadczyło tylko o jednym – jego pożądanie nie zostało zaspokojone. Ujął jej dłoń i położył na sztywno sterczącym penisie. Objęła go i była zaskoczona, jak delikatna jest skóra i jak twarde okryte nią ciało. Pogłaskała go, choć zapewne nieco niezdarnie, ponieważ Zé zamknął oczy i od czasu do czasu pojękiwał, jakby robiła mu krzywdę. Lua czuła zafascynowanie tą częścią ciała, którą trzymała w dłoni, jej wielkością i wrażliwością. Wyglądała po prostu przepięknie, tak głęboko czarna w jasnym wnętrzu jej dłoni.

Tymczasem Zé dotarł rękoma do nóg Lui. Obiema dłońmi objął mocno jej pośladki, niemal boleśnie, i przyciągnął ją do siebie.

– Usiądź na nim – nakazał tonem, który mógłby być ordynarny, gdyby nie brzmiał tak żarliwie.

Lua uklękła na parapecie, uważając, by nie uderzyć kolanami o okno i nie wywołać zamieszania w całym domu. Potem zostawiła dowodzenie Zé.

Tym razem wsunął się w nią bez trudu. Choć była jeszcze obolała, wrażenie, gdy czuła go całego w sobie, nie dałoby się opisać. Zé był ostrożny i delikatny, unosił i opuszczał jej pośladki w powolnym rytmie. Nie spuszczał przy tym wzroku z twarzy Lui, jakby szukał oznak bólu czy przykrości. Ona także patrzyła mu w oczy, ale jej wzrok rozmywało pożądanie. Usta miała rozchylone, jej oddech przyspieszał w tym samym tempie co ruchy Zé. Wchodził w nią coraz głębiej, pchnięcia stawały się mocniejsze i coraz bardziej natarczywe. Namiętność kazała Lui zapomnieć o bólu, więc teraz i ona zaczęła na niego napierać.

Wbiła palce w łopatki Zé, a on prowadził jej biodra w tak dzikim rytmie, że kręciło się jej w głowie. Zrobiło się jej gorąco, dosłownie płonęła z pożądania. Wygięła plecy i odrzuciła głowę do tyłu. Zbierało się jej na krzyk. Chciała, by to nigdy się nie skończyło, a zarazem wyczekiwała momentu najwyższego spełnienia, które zapowiadało się

w jej ciele niczym nadciągająca tropikalna burza – gwałtownie, dramatycznie i wściekle. Zé jakby wpadł w trans, sapał, pocił się i drżał, aż nagle przeszył go skurcz, i wydał głęboki, chrapliwy jęk, który nie przypominał ludzkiego głosu. Jednocześnie Luę ogarnęła ta sama wyzwalająca burza z silnym grzmotem i jasno strzelającymi piorunami. Wyładowała się z intensywnością, która nie wydawała się Lui możliwa, i zostawiła ją szczęśliwą i wyczerpaną, zupełnie tak, jak tropikalna ulewa pozostawia po swoim przejściu spokojną, przyjemną pogodę.

– To było... cudowne – szepnęła, wciąż jeszcze nie mogąc złapać tchu.

– Cii – przerwał jej Zé i pocałował ją. Jego twarz, podobnie jak twarz Lui, jak zresztą całe ich ciała, była mokra od potu.

Lua uwolniła się z objęć. Czuła spływającą po nogach ciecz i była zadowolona, że może zasłonić ten dowód żądzy długą spódnicą. Zé podciągnął spodnie. Był to dziwny widok, wywołujący z jednej strony głębokie zadowolenie, a z drugiej pewien wstyd. Przynajmniej ona tak czuła. Zapach ich zjednoczenia nadal unosił się w powietrzu, a banalne czynności sprawiały, że to, co się wydarzyło, wydawało się nierzeczywiste, przypominało sen, który blaknie w świetle dnia.

Następnego dnia mogła przekonać się, że nie był to sen, lecz rzeczywistość. Na jasnych kamiennych płytach werandy odkryła plamę krwi, a na oknie, o które Zé oparł się z podciągniętą koszulą, widać było odcisk jego pleców. Lua omal nie umarła ze wstydu. Poprosiła Fernandę, którą oczywiście wtajemniczyła w swe nocne przeżycia, by ukradkiem usunęła zdradzieckie ślady, ponieważ gdyby sama zajęła się sprzątaniem, a ktoś by ją zagadnął, z powodu wyrzutów sumienia pewnie przyznałaby się do wszystkiego.

Fakt, że Zé i Lua zrobili to na werandzie Casa Grande, wzbudził respekt nawet u Fernandy, która wypróbowała już z różnymi kochankami wiele miejsc nadających się na schadzkę.

– Masz mój pełen szacunek, mnie taki pomysł nie przyszedł do głowy. A to wcale niegłupie. Zacisznie, niewolnicy tu nie zaglądają, a gdy państwo położą się spać...

– Chcesz może tego spróbować? – spytała Lua przerażona.

– Dlaczego by nie? Zakazany owoc smakuje przecież najlepiej, prawda?

Lua pokręciła głową. Fernanda naprawdę była nieprzewidywalna. Wypytała ją o wszystkie szczegóły, ale ponieważ Lui brakowało doświadczenia, trudno jej było powiedzieć, jak „dobry" był Zé albo czy weranda jako miejsce zdarzenia przyczyniła się do powodzenia ich aktu miłosnego.

– Czy przynajmniej wycofał się, nim rozlał swoje nasienie? – chciała także wiedzieć.

– Mój Boże, Fernando!
– Zrobił to czy nie?
– Jesteś wstrętna!
– Nie tak wstrętna jak ciąża.

Te słowa były niczym cios w żołądek. Do tej pory Lua zupełnie się nad tym nie zastanawiała. Czy za pierwszym razem można w ogóle zajść w ciążę? Na pewno nie – uspokajała się.

Mimo to ta niemiła myśl tygodniami wisiała nad nią niczym ciemna chmura.

16

Kilka dni po miłosnej schadzce Zé zniknął. Jego ucieczkę zauważono dopiero wczesnym rankiem i wywołała takie zamieszanie, że poważnie zakłóciła wszystkim cały dzień. Nadzorcy podzielili mężczyzn na oddziały poszukiwawcze, którym w razie sukcesu obiecano wysoką nagrodę. Miało to zagwarantować pochwycenie zbiega przez polowych niewolników, którzy nie pozwolą mu się wymknąć. Senhor i jego najmłodszy syn udali się na polowanie na Zé konno i z psami, w towarzystwie kilku niewolników, których lojalność nie budziła żadnych wątpliwości.

Kobiety zostały w domu. Niewolnice polowe ze względu na nieobecność nadzorców dostały dzień wolny, natomiast domowi niewolnicy w Casa Grande mieli pełne ręce roboty. Przygotowywali kosze z prowiantem dla mężczyzn, zajmowali się obiema paniami domu, które były wstrząśnięte wydarzeniami, jak też pocieszali się nawzajem. Oczywiście, ucieczka zdenerwowała ich wszystkich. Mieli nadzieję, że Zé uda się zniknąć, ale też bali się o niego, ponieważ było jasne, że jeśli zostanie złapany, przypłaci to życiem.

Nocą padał silny deszcz. Lua zastanawiała się, czy było to korzystne dla zbiega, ponieważ psy nie mogły łatwo odnaleźć jego śladów, czy też może niekorzystne, jak uważały niektóre kobiety, bo po rozmokłej ziemi z trudem można było się przemieszczać i szybko traciło się siły. Podobnie jak pozostali zastanawiała się także, jak Zé pokonał przeszkody, które miały zapobiec ucieczkom. Czy poważył się na nocny marsz przez puszczę, ignorując jadowite pająki, olbrzymie węże i jaguary? A może ruszył na wschód, nad morze, gdzie wzburzone fale mogły roztrzaskać ciało nawet silnego mężczyzny o skały niczym zbutwiałą gałązkę? Obie możliwości wzbudzały jej niepokój. Z wielkim bólem wyobrażała sobie śmierć Zé w szponach drapieżnika lub w bezdennych odmętach. Im mniej chciała o tym myśleć, tym częściej pojawiały się w jej głowie te przykre wizje. Wyobrażała sobie jeden straszny scenariusz po drugim, każdy bardziej przerażający od

poprzedniego, a lęk o Zé wprost ją zżerał. I nie mogła nic na to poradzić.

Gdy o zachodzie słońca mężczyźni wrócili z poszukiwań, zmęczeni, brudni i niepocieszeni, ponieważ nie odnieśli sukcesu, wizje Lui nie ustąpiły, stały się nawet jeszcze bardziej ponure. Jeżeli nie znaleziono Zé, mogło to tylko oznaczać, że umarł, prawda? Czyżby udusił go, a potem pożarł gigantyczny wąż, więc nie został po nim nawet ślad?

Senhor Felipe i młody Manuel pomimo zmęczenia byli bardzo rozmowni. Najwyraźniej nadal przepełniały ich emocje związane z poszukiwaniem zbiega. Przy kolacji opowiadali o tym tak szczegółowo, że musieli wspomnieć o każdym niemal zgiętym źdźble trawy, każdym wgnieceniu w ziemi i każdej uszkodzonej muszli na plaży.

– Już myśleliśmy, że go mamy – mówił senhor Felipe, kręcąc głową. – Był tam odcisk ludzkiej stopy, a psy wychodziły z siebie, ponieważ zwietrzyły ślad. Podążyliśmy za nimi przez gęstą mata, spójrzcie tylko, Ines i Eulálio. – Tu pokazał zadrapania na ręce. – Brnęliśmy przez kłujące zarośla, pod nisko zwisającymi gałęziami, nie dbając o konie i o nas samych. A potem... – Zwiesił bezsilnie ramiona. – ...znaleźliśmy tylko opuszczone schronienie, w którym niedawno musiał mieszkać jakiś dziki. Ach, do diabła!

– Felipe, mój drogi, pohamuj się! – wtrąciła senhora.

– Czegóż miałby szukać jakiś dziki w naszych lasach? – spytała sinhá Eulália.

– No cóż, pewnie kłusował – odparł jej brat.

– Tak, ale na co? Od kiedy to można jeść termity i pająki?

Lua przypomniała sobie, co opowiadała jej Imaculada, ale nie odważyła się odezwać.

– W mata żyją capivaras i tatus, które mają bardzo smaczne mięso. A oprócz kapibar i pancerników jest też wiele ptaków i małych ssaków, na które często się poluje. – Manuel wyglądał na zadowolonego z siebie. – Węże, jak słyszałem, także są dość smaczne.

Eulália skrzywiła się ze wstrętem.

– Już dobrze, ty mały profesorze. A więc jakiś dziki. Może był to jednak nasz uciekinier, który zatrzymał się, żeby napchać sobie brzuch?

– Na pewno nie. Nie uciekł przecież bez prowiantu, a pierwszej nocy nie miał czasu na dłuższy odpoczynek – odparł senhor. – Tak czy siak zawiadomiliśmy wszystkich sąsiadów, a także urzędy w Salvadorze. Jeśli ten typ pojawi się gdziekolwiek, gdzie jest cywilizacja, zostanie schwytany. A wcześniej czy później będzie przecież musiał udać się między ludzi. Nasi brazylijscy Murzyni nie nauczyli się bowiem, jak przetrwać w dziczy. Są tam bezradni niczym dzieci.

– Lua! – Usłyszawszy nagle swoje imię, dziewczyna skamieniała ze

strachu. – Nie podoba mi się, że stoisz tu tak po próżnicy i nadstawiasz uszu. Czy masz coś do powiedzenia na ten temat? – Dona Ines spojrzała na nią ostro.

– Nie, dona Ines, nic nie wiem. Przysięgam na własne życie, że gdybym wiedziała coś o zbiegu, powiedziałabym pani!

Oczywiście, nie było to całkiem zgodne z prawdą. Gdyby coś wiedziała, zachowałaby to dla siebie, choćby dlatego, by się nie narażać. Mogła jednak przysięgać, ponieważ naprawdę nie miała nic do ukrycia. Nie było jej przecież o niczym wiadomo, choć... mogła żywić pewne podejrzenia.

Stara Imaculada wyrażała się o Zé bardzo pochlebnie. Wydawała się także wiedzieć o nim więcej, niż powinna; znała na przykład jego afrykańskie imię, Mbómbo, jak przypomniała sobie Lua. Imaculada zaś na pewno nie była w dziczy bezradna niczym dziecko. Czy pomogła Zé? Czy udzieliła mu dobrych rad lub dopuściła go do swej tajemnej wiedzy? Możliwe. Jednak tym podejrzeniem Lua z pewnością nie zamierzała dzielić się ze swoimi państwem.

– O co chodzi? Dlaczego patrzysz tak dziwnie? Czyżbyś zobaczyła ducha? – naskoczyła na młodą niewolnicę dona Ines.

– Nie, sinhá dona Ines – odparła Lua. Spuściła pokornie głowę i dygnęła. – Przykro mi, jeśli nie spełniam pani wymagań.

– Już dobrze, Lua – wtrąciła się Eulália. – Pobiegnij na górę i przygotuj mój pokój. Niedługo się położę.

Lua ponownie dygnęła, a potem jak najszybciej wyszła, zanim senhora zdążyła rzucić kolejną uwagę. Była dziś poirytowana, to łatwo dało się zauważyć. Czyżby ucieczka niewolnika tak ją zdenerwowała? Lua nie mogła sobie tego wyobrazić. Dona Ines nie interesowała się przecież w najmniejszym stopniu sprawami finansowymi fazendy, a zbiegły niewolnik stanowił przede wszystkim stratę materialną.

Poszła do pokoju Eulálii i zajęła się swoimi wieczornymi obowiązkami. Posłała łóżko, rozłożyła na kołdrze nocną koszulę i czepek, przygotowała na umywalce wszystkie przybory toaletowe i przewietrzyła pokój przy zgaszonej lampie, aby wpuścić chłodniejsze nocne powietrze, ale nie komary. Potem zaciągnęła ciężkie zasłony i cicho zeszła z powrotem na dół. Koniecznie chciała usłyszeć, co jeszcze powiedzą państwo Oliveirowie o ucieczce i poszukiwaniach Zé.

Lulu już podsłuchiwał przy drzwiach. Z właściwą sobie wyższością dał Lui znak, aby zachowywała się cicho. Co też ten chłopak sobie wyobrażał? Czy sądził, że Lua zacznie krzyczeć? Doprawdy! Dziewczyna dołączyła do niego i przyłożyła prawe ucho do drzwi, więc musieli spoglądać sobie z Lulu w oczy. Nie było to miłe, ale lepsze niż przyłożyć do drzwi lewe ucho i odwrócić się do służącego plecami.

– Ten typ nie mógł uciec daleko – oznajmił właśnie dom Felipe.

– Ale jakby zapadł się pod ziemię – powiedział młody Manuel. –

Może to oznaczać dwie rzeczy. Albo został pożarty przez jakieś zwierzę ze skórą i włosami, w przeciwnym razie psy znalazłyby zwłoki, albo ucieczka mu się udała. To z kolei świadczyłoby, że miał pomocników.

– Dlaczego? – spytała sinhazinha. – Może poważył się na to samemu. Ostatnim razem kompani najwyraźniej bardziej mu przeszkodzili, niż pomogli.

– To był wypadek – wyjaśnił ojciec. – Okazali się zbyt głupi, by prawidłowo trzymać pochodnię. I takie coś chciałoby wolności!

– A zatem miał pomocników. – Manuel wrócił do swego wywodu, nie wdając się w dyskusję z siostrą ani z ojcem. – Proponuję, żebyśmy dowiedzieli się, kto uczestniczył w przygotowaniach do ucieczki, aby nie doszło do kolejnych takich wypadków.

– Nie ufam już Lui – włączyła się do rozmowy dona Ines. – Zachowuje się inaczej niż zwykle, a ten José z krótką szyją mówił mi, że widział ją niedawno z Zé w czułym uścisku!

– Nie! – wykrzyknęła Eulália.

– No ładnie – syknął senhor.

– Ach tak? – wyraził zdziwienie Manuel.

Lua tkwiąca przy drzwiach poczuła, że oblewa ją zimny pot. Spojrzała prosto w rozszerzone oczy Lulu. Jego twarz wyrażała niewiarygodne zdumienie połączone z wściekłością. Opanował się jednak i nie powiedział nic. Nie chciał przecież zostać przyłapany na podsłuchiwaniu pod drzwiami.

– Nie wierzę, by Lua miała z tym coś wspólnego – rzekł Manuel. – Jest domową niewolnicą. Co wie o dżungli, o życiu na wolności? Jeśli w ogóle brała w tym udział, mogła mu najwyżej dostarczyć prowiant albo nasze stare ubrania, bo do tego ma dostęp.

Lua chciała już gwałtownie otworzyć drzwi i wykrzyczeć, że nie ma z tą sprawą nic, absolutnie nic wspólnego, ale Lulu, który zauważył jej gniew, pociągnął ją za rękaw i miną dał do zrozumienia, że ma nad sobą panować. Później była mu za to wdzięczna, ale w tamtej chwili mogłaby go zabić.

– Do tego mają dostęp i inni. Fernanda także miała możliwość zabrania z Casa Grande żywności czy starej odzieży – zauważyła Eulália. – Lulu również. Jeżeli miałabym kogoś podejrzewać, to właśnie jego. Zawsze patrzy mi na... na dekolt.

Słuchacze wybuchli śmiechem, a Lua musiała zdławić złośliwe parsknięcie. Lulu rzucił jej gniewne spojrzenie, lecz zdołał wytrwać nieruchomo na swym miejscu.

– To taki wiek – wyjaśnił dom Felipe. – Może powinniśmy niebawem wybrać mu żonę, wtedy na pewno przestanie się gapić na inne kobiety.

– Niezły pomysł – orzekła dona Ines. – Lua by się nadawała. Najwyraźniej odkryła niedawno zainteresowanie płcią przeciwną, więc nie byłoby źle wydać ją za mąż. Jest młoda i na pewno urodzi nam

wielu małych niewolników.

Lulu spojrzał lubieżnie na Luę. Przejechał językiem po wargach i przewrócił oczami, a potem poruszył podbrzuszem tam i z powrotem. Najchętniej by go spoliczkowała, ale w tej chwili nie mogła tego zrobić. Zamierzała się jednak zemścić za obsceniczność jego gestów.

– Nie Lua! – zawołała sinhazinha. – Nie możecie tego zrobić! Jest moją osobistą pokojówką i po ślubie zamierzam zabrać ją ze sobą do Três Marias, oczywiście bez męża i dzieci. Powinna zajmować się tylko mną.

Tym razem Lua wyjątkowo była wdzięczna losowi za dziecinną samolubność swojej młodej pani.

– Lua wciąż należy do nas. To ojciec zdecyduje, co stanie się z nią po twoim zamążpójściu – pouczyła dona Ines córkę.

– Ale nie możecie przecież oddać jej temu odpychającemu typowi – obstawała sinhazinha przy swoim.

– Dlaczegóż by nie? Wygląda całkiem przyjemnie i jest bardzo zręczny.

– Czemu kobiety muszą zawsze odchodzić od tematu? – poskarżył się Manuel. – Wcześniej czy później niezmiennie udaje wam się skierować rozmowę na śluby. Jeśli wolno mi przypomnieć, straciliśmy cennego niewolnika. Zastanawialiśmy się, kto mógł pomóc mu w ucieczce.

– Tak, i co w związku z tym? Zdradzisz nam wreszcie, do jakiego doszedłeś wniosku? – spytała zadziornie sinhá Eulália.

– Tak. Jestem przekonany, że mogła to być tylko ta stara czarownica, ta...

– Imaculada – uzupełniła dona Ines.

– Właśnie, ma na imię Imaculada. To na pewno ona, dam sobie głowę uciąć.

Lulu zmarszczył brwi, a Lua zastanawiała się gorączkowo, jak Manuel, jeszcze niedawno małe chłopię, zdołał dojść do tego samego zaskakującego wniosku, do którego doszła i ona. W przeciwieństwie do młodego fazendeiro, Lua znała jednak umiejętności starej Imaculady i jej niezłomną dumę.

Z jadalni dobiegały teraz liczne głosy, ponieważ każdy z zebranych chciał skomentować tę śmiałą teorię. Dopiero gdy dona Ines zapytała zagniewana: „Gdzie się właściwie podziewa ta leniwa czarna hołota? Już całe wieki siedzimy przy pustych talerzach!", Lulu i Lua przypomnieli sobie o swoich obowiązkach. Gestami porozumieli się, że Lulu wejdzie pierwszy i uprzątnie talerze. Lua miała nieco później przynieść kawę, która, jak wiedziała, od dawna stała na kuchence, przez co pewnie musiała już smakować gorzko i cierpko. Poda ją po prostu z nieco większą ilością cukru niż zwykle.

W ciągu wieczoru nie dowiedziała się już innych ciekawych rzeczy. To, co usłyszała, musiało jej wystarczyć. Nie mogła liczyć na to, że

wreszcie spokojnie położy się w hamaku i przemyśli sobie wszystko. Groziły jej dwa bezpośrednie niebezpieczeństwa. Po pierwsze, mogą ją wydać za Lulu. To było nie do pomyślenia i zamierzała przeciwstawiać się temu związkowi ze wszystkich sił. Po drugie, państwo nie byli w pełni przekonani o jej niewinności, ponieważ widziano ją z Zé. Mogli poddać ją przesłuchaniu, na co nie czuła się gotowa. To także było wykluczone, zdecydowanie musiała uniknąć przepytywania.

Gdy sinhazinha wreszcie wstała od stołu, by udać się do swojego pokoju, Lua była już bardzo zdenerwowana, wyobrażała sobie bowiem wszystko najgorsze, co może ją spotkać. Ruszyła za Eulálią i w milczeniu zabrała się do pracy. Pomogła swojej pani zdjąć suknię i gorset, rozplotła jej warkocz i uczesała włosy, założyła nocną koszulę i wysłuchała bezsensownej paplaniny. Po pewnym czasie Eulália zwolniła ją wreszcie.

– Podsłuchiwałaś pod drzwiami, prawda? – spytała, gdy Lua miała już wyjść.

– Ja... nie, nie!

– Już dobrze, Lua, przede mną nic nie ukryjesz.

– Dobranoc, sinhazinha. I... dziękuję.

Nie spała przez pół nocy. Ze strachem zastanawiała się, jak odsunąć od siebie trzecie grożące jej niebezpieczeństwo. Jeśli prawdą było, że sinhá Eulália zna ją lepiej, niż ona sama przypuszczała, wtedy przez resztę swych dni byłaby zdana na jej łaskę i niełaskę.

Ale czy już tak nie było?

Po raz pierwszy w życiu zapragnęła być wolna.

Część II

17

Mbómbo bał się odetchnąć. Nad głową słyszał poszczekiwanie zdenerwowanych psów, władcze pokrzykiwania dom Felipe, polecenia wydawane przez nadzorców. Organizowano oddziały poszukiwawcze, które miały wytropić jego, zbiegłego niewolnika. Gdyby nie drżał ze strachu, za co dogłębnie sobą pogardzał, pewnie wybuchnąłby śmiechem. Podstęp najwyraźniej się udał.

Tygodniami kopał dziurę w twardej jak kamień ziemi przy ścianie stodoły, graniczącej z kurnikiem. Noc po nocy rył w suchej glinie, posługując się jedynie zardzewiałą kielnią, którą podkradł z szopy i której braku nikt nie powinien zauważyć. Gdy dziura była już na tyle duża, by mógł się w niej schować mężczyzna jego wzrostu, zwierzył się starej Kasindzie. Bez jej pomocy plan byłby skazany na niepowodzenie. Musiała położyć nad kryjówką kratkę splecioną z liści bambusa, a następnie przykryć ją sianem. Musiała również zadbać, by kury nie rozgrzebały przykrycia i żeby nikt za bardzo nie zbliżył się do tego miejsca. W przeciwnym razie jakieś dziecko mogłoby przypadkiem wpaść do środka.

Mbómbo wiedział, że po kilku dniach zaprzestaną poszukiwań. Opublikują wtedy ogłoszenia w gazecie w Salvadorze oraz wywieszą plakaty w innych miejscowościach. Obiecana nagroda zazwyczaj przynosiła pożądany skutek – uciekinierów odnajdywano często nawet po wielu tygodniach, gdy poczuli się już bezpiecznie, i odprowadzano ich do właścicieli.

Zamierzał wydostać się z dziury i wyruszyć na północ, gdy tylko oddziały przestaną prowadzić poszukiwania. Puszcza była mniej groźna niż psy i broń uczestników pogoni. Mbómbo był przekonany, że w lesie uda mu się przeżyć. Kasinda udzieliła mu licznych rad, i jeśli będzie się do nich stosował, powinno mu się powieść.

Tkwił nieruchomo w kryjówce, czując palącą potrzebę, by się podrapać. Cały pokryty był krowimi odchodami, które zaschły w twardą skorupę. Kasinda utrzymywała, że tylko w ten sposób psy

nie zdołają go odkryć, bo zapach nawozu przyćmi jego własny. Podążą fałszywym tropem, jaki pozostawił na dzień przed ucieczką, która w rzeczywistości jeszcze się nie odbyła. Wybiegł głęboko w las, przyczepił do kolczastej gałązki strzępek swoich przepoconych spodni i wycisnął z palca kilka kropli krwi, które otarł o pnie drzew. Psy podniosą zatem fałszywy alarm.

Mbómbo miał w kryjówce wiadro, do którego mógł załatwiać swoje potrzeby i które, zgodnie z radami Kasindy, przykrył drewnianym wiekiem, aby nie zdradził go zapach. Zaopatrzył się także w zapas wody oraz prowiant, który mógł wystarczyć na tydzień. Postępował przezornie. Z pomocą Kasindy zebrał tylko taką żywność, która nie zajmowała dużo miejsca, ale była sycąca – przede wszystkim wędzone kiełbasy, słoninę i orzechy cajú, a na początek również awokado i banany. Musiał mieć siłę na czas prawdziwej ucieczki.

Nie przewidział jednak, że ciasnota i ciemność panujące w kryjówce będą mu tak doskwierać. Sądził, że zdoła wytrzymać bez ruchu w jednym miejscu przez wiele dni, tak jak w opowieściach udawało się to afrykańskim myśliwym. Jednak już po jednym dniu spędzonym w uciążliwej ciasnocie nie mógł tego dłużej znieść i wymagało od niego nadludzkiej siły woli, by nie odrzucić przykrycia, nie wyjść i nie rozprostować kości. Był jednak silny zarówno ciałem, jak i duchem. Wytrzymał, ponieważ w myślach przenosił się w inne miejsce – wyobrażał sobie quilombo, które planował założyć.

Wzór stanowiło dla niego Quilombo dos Palmares, którego przywódcą był Zumbi. Tego ostatniego spotkał co prawda straszny koniec, ale sukcesy odnoszone przez niego w ciągu kilkudziesięciu lat, gdy przeciwstawiał się portugalskim żołnierzom, uczyniły z niego symbol oporu przeciw białym. Gdy został schwytany, ścięto mu głowę i zawieziono ją do Recife, gdzie wystawiono ją na widok publiczny. Chciano w ten sposób zdusić w zarodku legendę o nieśmiertelności Zumbiego.

Palmares leżało daleko w głębi lądu i zajmowało obszar wielkości Portugalii. Przez pewien czas mieszkało tam trzydzieści tysięcy czarnych, którzy uciekli z niewoli. Mogli wreszcie prowadzić godny żywot i sami decydować o sobie. Mbómbo miał jednak plany na znacznie mniejszą skalę. Marzyła mu się wioska na wzór afrykański. Nie musiała liczyć więcej niż stu czy dwustu mieszkańców. Ustanowiliby radę starszych, która rozstrzygałaby spory między sąsiadami lub małżonkami i karała przestępców. Grupa mądrych i doświadczonych mężczyzn wydawałaby wyroki sprawiedliwsze niż pojedynczy właściciel posiadłości, któremu zależało tylko na własnych korzyściach. W osadzie założonej przez Mbómbo chłopcy i dziewczęta byliby wychowywani odpowiednio do swojej płci, przy czym priorytetem byłoby, aby nauczyć ich myśleć tak, jak myślą wolni ludzie. Mężczyźni

polowaliby i ćwiczyli się w sztuce wojennej, ponieważ w każdej chwili należało być przygotowanym na najazd Portugalczyków. Kobiety zajmowałyby się domem. Młodzi ludzie mogliby poślubiać, kogo by chcieli – pod warunkiem, że rada starszych wyraziłaby zgodę – a także zatrzymywać swoje dzieci i samodzielnie je wychowywać.

Dzięki wizji tego idealnego quilombo, którą miał przed oczami, udawało mu się wytrzymać w zamknięciu, gdy ze względu na uciążliwe warunki skłaniał się do przedwczesnego opuszczenia kryjówki. Znosił szczury i robactwo, upał i deszcz, który przeciekał do środka przez siano, smród i samotność. Wreszcie doczekał chwili, gdy zawieszono poszukiwania. Tej nocy Kasinda zakradła się do niego, podała mały tobołek i kazała mu uciekać, a sama dokładnie zakryła dziurę. Mbómbo zatrzymał się na chwilę i mocno przycisnął staruszkę do siebie.

– Powiadomię cię, gdy tylko dotrę do celu. Dziękuję za wszystko, Kasindo. Cieszę się, że zobaczę cię kiedyś w naszym quilombo.

Kasinda wysunęła się z jego objęć.

– Ty głupi mężczyzna! Ucieka szybko! Nie traci czas z bezużyteczna stara.

Mbómbo skinął głową i ruszył, nie oglądając się za siebie.

Zatrzymał się dopiero tuż przed wschodem słońca.

Wędrował bez odpoczynku, pospiesznie, ale nie biegiem. Starał się poruszać tak cicho jak Afrykańczycy, którzy, przemieszczając się, podobno nie łamali żadnej gałązki i posuwali się naprzód bezgłośnie. Nie udało mu się to. Trzaski i szelesty, które rozlegały się w gęstych zaroślach, jemu samemu przypominały odgłosy grzmotu. Miało to jednak tę zaletę, że leśne zwierzęta mogły go zawczasu usłyszeć i umknąć. Żywił nadzieję, że żaden jaguar nie jest tak głodny, by go zaatakować, ponieważ Kasinda nie zdołała rozwiać w nim obawy przed tym zwierzęciem, mówiąc:

– Jaguar być mądry. Lepiej jeść tatu niż człowiek, smakuje bardziej dobrze i być mniej niebezpieczny.

Gdy niebo, które w puszczy było ledwo widoczne ponad gęstymi koronami, zaczęło przybierać czerwonawy odcień, Mbómbo po raz pierwszy przystanął na odpoczynek. Był tak wycieńczony, że oparł się o przewrócone drzewo i natychmiast zasnął. Obudził się po kilku godzinach i początkowo nie wiedział, gdzie się znajduje. Przez chwilę jeszcze trwał w świecie snu, dopóki nie potarł oczu i nie wrócił do rzeczywistości. Rozejrzał się uważnie na wszystkie strony. Nikogo nie ujrzał. Czy ucieczka się udała? Czy był wolny? Myśl o tym towarzyszyła mu tak często, że teraz, gdy stała się prawdziwa, wydawała się zupełnie absurdalna. Wolność. Kosztował to słowo, wypowiedział je głośno i przeraził się na dźwięk własnego głosu. Las miał w sobie coś niesamowitego i Mbómbo niemal zatęsknił za

straszną kryjówką, w której przynajmniej za dnia słyszał głosy innych ludzi.

Mężczyźni wyruszający na poszukiwania robili dużo hałasu, podobnie jak dzieci, które biegały po podwórzu, goniąc psy i kury. W pewnej odległości Mbómbo słyszał również inne głosy, między innymi głos Lui. Lua, tajemnicza i odległa niczym księżyc, jedyna kobieta, o której wyobrażał sobie, że ją poślubi. Siedziała w pobliżu kurnika i rozmawiała z przyjaciółką. Dotarły do niego tylko strzępy tej rozmowy: „Lulu na męża", „prędzej ucieknę", „nienawidzę ich" – dość, by zakiełkowała w nim nadzieja. Czy Lua zaczęła wreszcie podawać w wątpliwość swoją egzystencję w niewoli? Ach, byłoby pięknie, gdyby zechciała razem z nim założyć quilombo. Była mądra, przepiękna i odważna, nawet jeśli z powodu ograniczonego światopoglądu nie dążyła jeszcze za wszelką cenę do wolności. Według Kasindy była to jednak tylko kwestia czasu.

Poza tym wydawała się stworzona do miłości. Była dziewicą, a mimo to okazała się zaskakująco otwarta i zmysłowa. Mbómbo rozkoszował się wspomnieniem każdej sekundy ich gry miłosnej, i dręczył go jedynie fakt, że nie potrafił się kontrolować. Co, jeśli zrobił jej dziecko? Teraz musiał jednak odrzucić od siebie tę myśl, wyrzuty sumienia przeszkodziłyby mu w ucieczce.

Przeciągnął się. Leżał w niewygodnej pozycji. Poza tym wszystko go swędziało. Czy zaczęły go kąsać owady? Według Kasindy krowi nawóz miał chronić również przed tym, mimo to Mbómbo zamierzał umyć się przy najbliższej okazji. Wcześniej musiał jednak coś zjeść. Przypomniał sobie o tobołku z surowego lnu, który dała mu Kasinda i do którego nie miał jeszcze czasu zajrzeć. W środku na pewno znajdowało się kilka smakołyków. Otworzył tobołek i odskoczył. Cóż to? Czy dała mu jakieś przedmioty do odprawiania czarów? Och, ci Afrykańczycy! Przeżegnał się szybko, zanim przypomniał sobie, że nie jest już związany z religią chrześcijańską. Gesty i rytuały zdążyły się jednak w nim zakorzenić.

– Do diabła! – powiedział głośno i wyjął po kolei z tobołka przedziwne przedmioty: kurze pióro, wysuszony koguci grzebień, muszle, złote serduszko, garść miedzianych monet, ząb drapieżnego zwierzęcia, skórę węża, buteleczkę z nieznaną zawartością. Na dnie tobołka znajdowała się ziemia – suche kawałki żółtej gliny, jakiej nigdy nie widział na fazendzie.

Dokładnie przyjrzał się złotemu sercu. Czy było z prawdziwego złota? Jeśli tak, miało wielką wartość i na pewno ułatwi mu życie. Schował wszystko z powrotem do tobołka i zajął się własnym, w którym miał prowiant. Zjadł kawałek słoniny, ale nieugotowana i bez fasoli lub zupy okazała się za słona. W tych okolicznościach nie mógł jednak wybrzydzać. Następnie spakował rzeczy, zatarł ślady

i ruszył w dalszą drogę w kierunku, który uznał za północ, co przy wiecznym półmroku panującym w puszczy trudno było z pewnością stwierdzić.

W końcu dotarł do rzeczki. Ukląkł w zaroślach na brzegu i spragniony zaczerpnął wody w dłonie. Smakowała cudownie. Zanurzył głowę i od razu poczuł się odświeżony. Postanowił się wykąpać. Rzeka była nieco zamulona, więc nie widział dna, ale zabezpieczył się sznurkiem, którego jeden koniec zamocował do drzewa, a drugi obwiązał wokół pasa. Gdyby się poślizgnął lub gdyby porwał go prąd, zdoła się uratować.

Kąpiel okazała się wspanialsza, niż sobie wyobrażał. Przyjemnie ciepła woda zmyła skorupę brudu i napełniła go ogromną energią. Wolność! – triumfował w duchu, aż nie mógł się już dłużej powstrzymać i wykrzyknął głośno:

– Wolność!

Gdy minął pierwszy moment euforii, przypomniał sobie o długiej drodze, która go jeszcze czekała, nim będzie mógł naprawdę nazwać się wolnym człowiekiem.

Musiał odbyć co najmniej dziesięciodniowy marsz, by dotrzeć w rejony, które nie należały jeszcze do żadnego fazendeiro. Tam będzie musiał ułożyć się z Indianami i zaoferować im coś w zamian za teren, który zamierzał zasiedlić. Miesiącami, a może latami będzie zmuszony żywić się owocami lasu oraz dziczyzną, ptasimi jajkami i rybami. Z powodu braku krów nie będzie mógł cieszyć się mlekiem czy masłem, podobnie jak kawą, cukrem, alkoholem i innymi wyrobami, które nie były co prawda niezbędne, ale za to smaczne.

Cóż jednak znaczyły te drobne przykrości wobec największego dobra, jakie człowiek mógł posiadać, czyli wolności? Nic. Mbómbo zamierzał bez skargi przyjąć każde niepowodzenie, każdą przeszkodę i każdą chwilę zwątpienia. Za nic w świecie nie straci z oczu swojego celu. On sam nie miał tego szczęścia, by traktować wolność jako oczywiste dobro, co było możliwe tylko dla prawdziwie wolnych ludzi. Zawsze już będzie musiał zachowywać czujność i wypatrywać łowców niewolników. Swoją małą wolność przyjdzie mu może opłacić bezsennością i ciągłym napięciem. Była jednak warta tego wszystkiego, jeżeli kiedyś jego dzieci dorastać będą jako wolni ludzie.

Tak, pewnego dnia zapytają go: „Pai, co to jest niewolnik?", a on odpowie pytaniem: „Gdzie usłyszałyście to dziwne słowo?". Zaśmiał się po cichu. To było marzenie, które warto urzeczywistnić, nieważne, ile musi kosztować. Przyspieszył kroku, jeszcze bardziej zdecydowany, by jak najszybciej dotrzeć do miejsca, gdzie to marzenie się spełni.

Wędrował przez jedenaście dni. Nie napotkał w tym czasie żywego ducha. Aby łatwiej znieść samotność, śpiewał. Złościło go, że zna tylko przyśpiewki polowych niewolników albo chrześcijańskie pieśni, które

przywieźli Portugalczycy. W uszach brzmiała mu jedna tylko afrykańska melodia, jaką nuciła mu matka, gdy był jeszcze bardzo mały. Zapomniał jednak tekstu.

Gdyby nie leśne zwierzęta, zapewne nie zniósłby samotności. Małpki skakały jednak wokół niego figlarnie i zrzucały gałązki, aby mu dokuczyć, liczne ptaki co rano dawały przecudowny koncert, aż Mbómbo rosło serce, a uderzenia skrzydeł kolibrów składały się na melodię, która w jego uszach brzmiała jak pieśń o wolności. Przy drzewach odpoczywały leniwce, których pyszczki wyglądały przyjaźniej i bardziej pokojowo niż większość ludzkich twarzy widzianych podczas minionych lat. Na olbrzymich pajęczynach lśniły o świcie krople rosy, tworząc grę świateł piękniejszą niż ta, gdy słońce wpadało przez witraże do kaplicy. Bardzo rzadko Mbómbo udawało się dostrzec większego ssaka lub oposa; zwierzęta bały się go bardziej niż on ich. Nie widział jeszcze żadnego ze słynnych groźnych jaguarów, jedynie stos odchodów, którego nie mogło zostawić żadne mniejsze zwierzę. Przypomniało mu to, że nie może nawet na chwilę stracić czujności.

Przez całe dnie żywił się niebieskimi rakami, które mnożyły się w strumieniu i które pomimo braku doświadczenia mógł łatwo schwytać. Nocą rozpalał małe ognisko – co nie było łatwe ze względu na stale wilgotne drewno – i piekł nad nim raki. Były delikatne w smaku, ale do doskonałości brakowało im soli. Mbómbo nie pomyślał o tym. Na wybrzeżu sól nie była towarem deficytowym i nikt nie traktował jej jako nadzwyczaj cennej. Tutaj jednak będzie musiał przyzwyczaić się do braku soli w pożywieniu albo na tyle zaprzyjaźnić się z Indianami, żeby zdradzili mu swoje przepisy. Na pewno umieli przygotować smaczne jedzenie z miejscowych roślin i mięsa zwierząt, na które polowali, prawda? Jednak gdy myślał o smażonych szarańczach, o których opowiadała mu Kasinda...

Wędrował dalej, nie dbając o poranione nogi i liczne ukąszenia komarów. Najlepiej było po prostu je ignorować. Nie wiedział, kiedy dotrze do celu i po czym go pozna, ale nie wątpił, że zorientuje się, gdy zajdzie już odpowiednio daleko. Tak też się stało.

Pewnego ranka obudził go dźwięk wydawany przez tukana, który przysiadł na drzewie brazyliowym i nucił melancholijną piosenkę. Mbómbo, który spał właśnie pod tym drzewem, zarzucił tobołek na plecy i pomaszerował dalej na północ. Gdy słońce stało już wysoko na niebie, dotarł do małej polany porośniętej trawą. Usłyszał plusk rzeczki i pospieszył ku niej, by się napić. Woda była kryształowa i smakowała równie czysto, jak wyglądała. W małym nurcie pływały setki srebrnych rybek.

Rzucił tobołek na trawę, położył się obok niego i wystawił twarz do słońca, którego nie czuł na skórze od jedenastu dni. Czuł się wspaniale. To miejsce przypominało raj! Postanowił tu zostać.

Zerwał gałąź z drzewa jakaranda, które rosło na skraju polany, i wbił ją pionowo w ziemię. Przyczepił do gałęzi swoją koszulę, tak że całość przypominała flagę. Tak, tutaj była jego wytęskniona ziemia obiecana – Iriuanu.

Nim jednak mógł spożyć swój pierwszy posiłek w Iriuanu – nazwa ta oznaczała cud – przyszło mu modlić się o cud.

Otoczyło go bowiem kilkunastu spoglądających ponuro i pomalowanych w barwy wojenne Indian.

18

Imaculada, która czuła, że nadchodzi jej kres, dosłownie kwitła. Każdy, kto miał z nią bliższy kontakt, choć nie było takich osób wiele, zauważył jej niewytłumaczalną przemianę. Odpowiadać za nią mogło tylko jakieś afrykańskie zaklęcie. Od czarownicy należało trzymać się z daleka. Oczy starej błyszczały jak u młodej dziewczyny, a jej sylwetka była wyprostowana i dumna. O ile wcześniej ze względu na swój wiek Imaculada wykonywała czasami tylko najprostsze prace w sadzie lub w kurniku, teraz widywano ją pełną zapału w casa da farinha, domu mąki, gdzie z furią nakładała maniok do prasy i kręciła tłuczkiem, jakby brała udział w konkursie z nagrodami.

Także Lua zauważyła tę zmianę. Była pewna, że wiąże się ona z ucieczką Zé. Nie chciała jednak pytać o to starej niewolnicy. Nadal unikała jej towarzystwa, a brulion z zapiskami leżał zapomniany pod deską podłogową tuż pod hamakiem Lui, przykrytą plecionym dywanikiem. Lua wiedziała, że nie wolno jej popełnić żadnego błędu, a pokazywanie się z Imaculadą byłoby błędem bardzo poważnym. Prawdopodobnie od razu poddano by ją przesłuchaniu i uznano jej udział w ucieczce Zé za niepodważalny fakt. Choć dręczyła ją ciekawość, nie zamierzała iść do Imaculady i wypytywać ją – zwłaszcza że staruszka i tak niczego by nie zdradziła.

Imaculada tymczasem obserwowała Luę uważnie. Czy dziewczynie można było ufać? Czy teraz, gdy chciała przedstawić jej niezawodny plan ucieczki, Lua okaże się osobą, za jaką uważała ją Imaculada? A może skapituluje wobec szykan ze strony białych? Czy stała się zbyt bezwolna, by odważyć się na to przedsięwzięcie? A może potrzebowała tylko silnego bodźca, by wreszcie zacząć działać i postąpić słusznie? Czy ona, Kasinda, zbierze dość sił, by uknuć intrygę, która stanie się takim bodźcem?

W Casa Grande nie zapomniano o ucieczce cennego niewolnika, młodego mężczyzny w pełni sił. Choć polowanie na niego do tej pory nie przyniosło skutku, kiedyś zostanie przecież złapany. Najnowsza

historia rejonu Bahia dowodziła, że dziewięciu na dziesięciu zbiegłych niewolników zostawało znalezionych. Wcześniej czy później zdradzały ich przechwałki lub ubóstwo. Jeśli w jakiś cudowny sposób udawało im się przetrwać i dojść do pieniędzy, zazwyczaj byli tak dumni ze swojego dokonania, że zaczynali postępować lekkomyślnie. Nauczali o wolności i gromadzili wokół siebie zwolenników, aż, czasami wiele lat po ucieczce, zostawali pojmani. Większość zbiegłych niewolników nie umiała jednak poradzić sobie na wolności. Kryli się w lasach, dopóki głód lub samotność nie zagnały ich na powrót do miast, gdzie natychmiast przyciągali uwagę i trafiali do aresztu, gdzie przebywali, dopóki nie ustalono ich właściciela.

Dom Felipe powiadomił już wszystkich właścicieli posiadłości w prowincji. Żandarmerii przekazano dokładny rysopis Zé, a dzięki wysokiej nagrodzie, którą wyznaczono za schwytanie uciekiniera, szukało go wielu łowców głów, którzy byli nieporównanie lepiej wyposażeni niż zbieg. Mieli konie i psy myśliwskie, broń i namioty. Torby przy ich siodłach wypełniały po brzegi przydatne akcesoria: linki do wędek, noże, alkohol do dezynfekcji ran i na pokrzepienie ducha, świece oraz lusterka i szklane paciorki, którymi można było przekupić Indian.

Wysokość nagrody była przedmiotem zaciętych dyskusji w domu Oliveirów.

– Dlaczego w ogóle wyznaczać nagrodę? – pytał Manuel. Mężczyzna został im przecież podarowany, a w fazendzie i tak żyło się lepiej bez tego buntownika.

– Dlaczego pozwolić mu uciec? – oburzała się Eulália. Był przecież jej prezentem zaręczynowym i ma prawo go odzyskać.

– Dlaczego rezygnować z cennego towaru? – pytali zgodnie dona Ines i dom Felipe.

Gdy tylko zostanie schwytany, zabiorą go na targ niewolników na Pelourinho i dostaną za niego ładną sumkę, bo oczywiście nie poinformują nowego właściciela, jaki to gagatek mu się trafił.

W pierwszych dniach po ucieczce Zé w senzali nie rozmawiano o niczym innym. Łamano sobie głowę nad tym, jak sprawił, że nie wytropiły go psy. Krążyły fantastyczne teorie. Jedni podejrzewali Zé o czary, inni o kochankę z wyższych sfer. Niektórzy posuwali się nawet do tego, że posądzali uciekiniera o zbratanie się z handlarzami niewolników, którzy chcieli zatrudnić go jako wolnego naganiacza lub nadzorcę. Wszyscy byli jednak zgodni, że w tym przedsięwzięciu musiała maczać palce Imaculada. Stara nieustannie mamrotała pod nosem zaklęcia i rozkruszała przy tym w palcach ziemię lub zapalała maleńkie ogniska, z których dym kierowała kurzymi piórami na północ. Jej postępowanie wszystkim bez wyjątku niewolnikom São Fidélio wydawało się niepokojące i niechrześcijańskie, więc ten

i ów powiedział o nim wreszcie na spowiedzi.

Padre przywykł słyszeć dziwne historie od tych biednych duszyczek. Niektórzy wykazywali niewyczerpaną wyobraźnię, gdy chodziło o opisywanie męczarni, na jakie rzekomo byli nieustannie skazywani. Ponieważ jednak padre znał rodzinę fazendeiro już bardzo długo i nie miał wątpliwości co do jej postawy moralnej, nie wierzył czarnym ani na jotę. Kłamali, by przedstawić własne występki jak obronę konieczną. Zwykle jednak to diabelski alkohol skłaniał mężczyzn do bicia kobiet, a kobiety do nieobyczajnych zachowań. Tego, co przedstawiali mu tym razem, w ogóle nie potraktowałby poważnie, gdyby opowieści nie były tak liczne i zgodne; ludzie bali się Imaculady, ponieważ sprzymierzyła się ze złymi duchami.

Padre również żywił takie podejrzenia, choć nie chciał się do tego przyznać. Stara uparcie odmawiała przystąpienia do spowiedzi, i to już od dziewiętnastu lat. Tak długo bowiem padre opiekował się rodziną Oliveirów i jej owieczkami. Imaculada przychodziła co prawda do konfesjonału, w przeciwnym razie nadzorca smagnąłby ją pejczem, ale uparcie milczała. Niestety, co musiał przyznać padre, sam nie był tu bez winy, bo początkowo przekazywał wyznania czynione przez nią przy spowiedzi bardzo wówczas jeszcze młodemu senhorowi. Imaculada musiała w jakiś sposób dowiedzieć się o tym, ponieważ w kolejnych miesiącach drwiła jawnie ze świętego sakramentu:

– Padre, Imaculada być bardzo zła. Ukraść z ziemi zgniłe mango – mówiła, albo: – Padre, Imaculada być bardzo zła. Wziąć z szopy stare miotły, jeździć na nich jak wiedźma. – Po pewnym czasie przestała mówić cokolwiek.

To jednak musiało się skończyć. Jeśli stara rzeczywiście miała udział w ucieczce krnąbrnego Zé, za wszelką cenę należało wymusić na niej zeznanie. Było niedopuszczalne, żeby jeszcze więcej Murzynów pozostawało na wolności i żyło z kradzieży. Ze swymi dziecinnymi umysłami znaleźli się w świecie, w którym nie potrafili funkcjonować i którego złu nie umieli się przeciwstawić, nieuchronnie więc podupadali na duchu i ciele. Widać to było przecież po bezwstydnych czarnych mieszkających w mieście.

Gdy nadeszła niedziela, w którą niewolnicy z São Fidélio mieli się wyspowiadać w prowizorycznym, plecionym z bambusa konfesjonale, ustawionym pod gołym niebem przed kaplicą, padre postanowił wypytać Imaculadę, i to pod groźbą drakońskich kar. Zdziwił się bardzo, gdy stara podeszła do konfesjonału, uklękła potulnie, jak ostatni raz zrobiła to przed piętnastu laty, i odezwała się:

– Padre, Imaculada być stara, niedługo umrze. Ma życzenie, to jest ślub Lulu i Lui. Ja nie umrze, nim oni się pobrać. To wielka miłość, ja wie, ale oni dwa jeszcze nie wiedzieć.

Ksiądz początkowo zaniemówił, ponieważ nie był przygotowany na

taki potok słów. Gdy odzyskał mowę, pouczył starą kobietę:

– Imaculado, musisz powierzyć czas swej śmierci dobremu Bogu, twojemu pasterzowi.

– Tak, padre.

– A jeśli chodzi o ślub tych młodych ludzi, czy to dlatego recytujesz dziwne afrykańskie zaklęcia i odprawiasz pogańskie czary?

– Tak, padre. Imaculada wie, że to zabronione. Ale afrykańskie czary może pomóc?

Padre poczuł niewymowną ulgę, gdy to usłyszał. Nie chciał wydawać starej niewolnicy na bolesne przesłuchanie, którego zapewne by nie przeżyła. Mógł przyjąć, że jej abrakadabra miała pomóc nie uciekinierowi, tylko parze sekretnych kochanków. Mimo to musiał ją oczywiście zbesztać.

– Imaculado, natychmiast przestaniesz odprawiać te czary. Straszysz innych niewolników. Mądrze postąpiłaś, zwierzając mi się ze swoich pragnień. Będę prosił naszego Pana w niebie, aby wskazał drogę obojgu zakochanym.

Kasinda zaśmiała się w duchu. „Pana w niebie", dobre sobie! Padre poprosi pana na Casa Grande, by coś przedsięwziął, a ona właśnie to chciała osiągnąć.

– Tak, padre. Imaculada być głupia. Dobry Bóg i padre być mądrzy. Imaculada odmówi pięć Ave Maria, tak?

– Bardzo dobrze, Imaculado, zrób to. – Padre poczuł ulgę, gdy stara odeszła od konfesjonału. Czuł się przy niej nieco nieswojo, zupełnie tak samo jak niewolnicy.

W Salvadorze utworzono tymczasem oddział łowców głów. Już dawno nie została wyznaczona za jednego zbiega tak wysoka nagroda, więc nie szczędzono ludzi ani materiałów. Liczono, że inwestycja się opłaci. Przywódcą zgrai ogłosił się niejaki Paulo Barbudo, Paulo Brodaty. W jego żyłach płynęła afrykańska krew, ale zmieszała się już bardzo z krwią portugalską, więc miał nie tylko gęstą brodę, ale także owłosienie na całym ciele jak biali. Paulo Barbudo nie był głupim człowiekiem. Wiedział, że wysokie koszty ekspedycji mogą się nigdy nie zwrócić, bo przecież ów Zé mógł dawno być martwy i mogły go zjeść ryby w morzu. Rozwiązał ten problem, pobierając od kompanów opłatę za uczestnictwo w poszukiwaniach.

– Jeżeli chcesz otrzymać trzydziestą część nagrody, musisz pokryć trzydziestą część kosztów wyprawy – wyliczył i podał wymaganą sumę.

Każdy z ochotników zapłacił, bo każdy chciał należeć właśnie do tego oddziału, którym dowodził Paulo Barbudo, ponieważ jego sława jako niestrudzonego łowcy była wprost legendarna. W ten sposób Barbudzie udało się zgromadzić mały majątek. Tylko część zamierzał zainwestować w polowanie, a resztę ulokował w złocie, które ukrył

u swojej „żony”, godnej zaufania, podstarzałej burdelmamy. Cieszył się, że wszyscy jego towarzysze byli brutalni i nierozgarnięci, ponieważ nie będą umieli doliczyć się, jak dużo ich pieniędzy wydał na wyposażenie. Byli wręcz tak głupi, że ufali mu bezgranicznie, i to wyłącznie ze względu na jego piękną brodę, która wyglądała tak samo jak broda dobrego Boga na obrazkach ze świętymi.

Trzy tygodnie po zniknięciu Zé oddział poszukiwawczy wyruszył w drogę.

Cztery tygodnie po zniknięciu Zé padre w zaufaniu zwrócił się do dom Felipe, aby zdradzić mu pewną tajemnicę i prosić, by przedsięwziął coś w tej sprawie. Związek Lulu i Lui przyniósłby przecież same korzyści dla domu Oliveirów, gdyby młodzi zaczęli się rozmnażać i płodzić dużo ślicznych, zręcznych dzieci.

Pięć tygodni po zniknięciu Zé Lua zastanawiała się, czy nie pójść do starej Imaculady i nie poprosić jej o radę. O ile ewentualna ciąża wydawała się jej wielkim nieszczęściem – do czasu, gdy nie dostała miesięcznego krwawienia – o tyle perspektywa wyjścia za Lulu była jeszcze gorsza. Małżeństwo, samobójstwo czy ucieczka? Każde rozwiązanie wydawało się jej równie niewyobrażalne, co pozostałe. Jak powinna postąpić? Lua była tak zrozpaczona, jak zachwycona była Imaculada.

Jej plan zaczynał się stawać realny.

19

Mbómbo wymyślał sobie od głupców. Indianie siedzieli wokół niego i trzymali się za brzuchy ze śmiechu. Wódz plemienia, który najwyraźniej znał kilka słów po portugalsku, celowo przeinaczył imię intruza, nazywając go Bombom, czyli cukierkiem, co przekazał pozostałym. Nawet ci tubylcy wiedzieli, czym jest cukierek, ponieważ sami wyrabiali podobne słodycze z miodu i ziół.

Mbómbo był wściekły na własną głupotę. Dlaczego uważał, że jego afrykańskie imię jest godne przyszłego założyciela quilombo? Powinien był wiedzieć, że wręcz zachęca do takich żartów. Czy powinien zatem mówić o sobie Zé? Nie, to było niewolnicze imię, a wraz ze swoim dawnym życiem chciał odrzucić wszystko, co o nim przypominało. Jak jednak powinien mieć na imię mężczyzna, który miał wzbudzać szacunek i zaufanie? Może powinien dodać sobie jakiś przydomek? Zé Valente, Zé Mężny? W obecnym położeniu nie wykazywał jednak wielkiej odwagi, ponieważ Indian nie należało prowokować. W niektórych plemionach, jak wiedział, żyli kanibale.

Od dwóch tygodni znajdował się we władzy tubylców i obawa, że zostanie zjedzony, w zasadzie powinna już dawno ustąpić. Ludzie ci mieli przecież dość czasu, by się nim uraczyć. Może nie wyglądał na dość smacznego i chcieli go najpierw nieco podtuczyć, zanim go zarżną? Karmili go bowiem obficie. Przygotowywali potrawy o dziwnym smaku i czasami Mbómbo mógł je przełknąć, tylko wstrzymując oddech, na przykład gdy były to larwy owadów lub termity.

Zdumiewało go, jak sprytnie jego gospodarze korzystają z zasobów lasu. Obserwował ich bardzo dokładnie, by wszystkiego się nauczyć. Ponieważ pozwalano mu poruszać się swobodnie po małej osadzie – najwyraźniej w przekonaniu, że nie odważyłby się na ucieczkę ani też by jej nie przeżył, w co zresztą sam nie wierzył – i wystawiano go na pokaz jako rodzaj straszydła dla kobiet i dzieci, często miał okazję przyglądać się ludziom przy pracach domowych. Śmiali się zawsze, gdy

do nich dołączał i obserwował ich zajęcia, ale pozwalali mu na to.

W ten sposób nauczył się na przykład, że termity nie tylko wzbogacają jadłospis, lecz stosuje się je także w leczeniu jako zaciski na rany. Pewien mały chłopiec w wyniku upadku miał otwartą ranę na nodze. Jej brzegi złączono, a następnie przykładano do nich termity, które ściskano za odwłok, żeby w panice wgryzły się w ciało. Potem odwłok odrywano. Kleszcze tych dużych owadów zamykały ranę lepiej niż jakakolwiek nić.

Nauczył się także, że również pajęczyny mają działanie lecznicze, ponieważ stosowano je jako opatrunki. Filigranową siatkę ostrożnie zdejmowano z gałęzi, aby jej nie zniszczyć, w czym pomagało niekiedy kilka kobiet. Pajęczynę przykładano następnie na rany o dużej powierzchni, na przykład przy poparzeniach. Struktura opatrunku, lekka i przepuszczająca powietrze, a zarazem niezwykle elastyczna i trwała, była znacznie skuteczniejsza niż muślinowa opaska.

Mbómbo fascynowała także broń mężczyzn. Zazwyczaj do zdobywania pokarmu używali łuków i strzał. Jeśli chcieli schwytać wroga, na przykład intruza takiego jak on, albo zranionego i dlatego niebezpiecznego jaguara, zanurzali czubki strzał w truciźnie, którą pozyskiwali z różnych roślin oraz ze skóry malutkich żabek. Zatrute strzały stosowano również w dmuchawkach, a Mbómbo nie mógł uwierzyć, że mała kropelka żabiego jadu wystarcza, by w sekundę zabić wielkiego drapieżnego kota. Tak jednak było, jak zapewniali go mężczyźni, nie widział tego, niestety, na własne oczy, ponieważ nie zabierali go na polowania.

Roślinne trucizny przydawały się również przy połowie ryb. Odurzone ryby wypływały na powierzchnię wody i wystarczało je pozbierać. Metodę tę stosowano tylko wtedy, gdy potrzebowano wielu ryb, zazwyczaj jednak zabijano je, strzelając z łuku. Nawet mali chłopcy, zaledwie sześcio- czy siedmioletni, wspaniale opanowali tę sztukę.

Pewnego dnia, gdy poznał już plemię na tyle, by sądzić, że może sobie na to pozwolić, poprosił o rozmowę z wodzem. Ten miał na imię Apoenã i wydawał się rozsądnym człowiekiem, choć miewał co jakiś czas ataki niedorzecznego rozbawienia, na przykład gdy nazywał swego gościa Bombom i zaśmiewał się do rozpuku.

– Wodzu Apoenã – zaczął swą przemowę Mbómbo. – Przyjęliście mnie tu jak przyjaciela, dzieliliście się ze mną jedzeniem jak z bratem. – Zamilkł na chwilę, z nadzieją, że po wyrazie twarzy rozmówcy pozna, czy utrafił we właściwy ton. Mina Apoeny była jednak nieprzenikniona. – Chciałbym okazać wam swoją wdzięczność. Pozwólcie mi z wami polować albo zbierać maniok razem z kobietami, robiłem to przez połowę życia. Umiem także dobrze wyplatać kosze i kapelusze z liści palmowych.

Na kamiennej twarzy wodza ukazał się przebłysk uśmiechu.

Zachęcony tym Mbómbo ciągnął:

– Od biedy mógłbym także karmić kury albo prać bieliznę...

Nie spodziewał się grzmiącego wybuchu śmiechu, który nastąpił po tych jego słowach.

– Kobieca praca! – wołał wódz, śmiejąc się do łez. – Jesteś duży i silny.

Oczywiście, że jestem – pomyślał Mbómbo. Naturalnie, chciałby wykonywać typowo męskie zajęcia, w tej sytuacji jednak podjąłby się wszystkiego, nawet najprostszych prac, którymi obarczano dzieci, żeby tylko nie być dłużej skazanym na bezczynność. Nie było bowiem nic gorszego niż przez cały dzień nie mieć niczego do roboty i wałęsać się jako atrakcja dla Indian. Czasami czuł się jak uwiązany na łańcuchu pies, któremu bez obaw można robić głupie psikusy, ale na którego przez większość czasu nie zwraca się uwagi i który leży przez pół dnia na ziemi, drzemiąc.

Apoenã sam wiedział, że nie może w nieskończoność trzymać więźnia w roli osobliwości. Należało go zabrać do miasta i odebrać pieniądze, jakie na pewno oferowano za zbiegłego niewolnika, ponieważ sam Bombom przyznał, że nim jest. Można też było wymyślić dla niego sensowne zajęcie. Apoenã nie rozważał nawet możliwości puszczenia go wolno.

Żadne z tych dwóch rozwiązań nie odpowiadało jednak wodzowi. Czuł głęboką odrazę przed udaniem się do miasta i sprzedaniem człowieka białym bestiom, które bezlitośnie niewoliły i mordowały Indian. Zatrzymanie go wszakże w wiosce, gdzie miałby żyć jako jeden z nich, również nie wchodziło w grę. Pod tym jednym względem biali, Indianie i czarni wcale się nie różnili – własny kolor skóry był dla nich najpiękniejszy i najszlachetniejszy, a zmieszanie go z innym traktowano jak hańbę.

– Wódz Apoenã pomyśli o tym – usłyszał Mbómbo po chwili i wódz odszedł w milczeniu.

Mbómbo także rozmyślał. Cóż jeszcze mógł zrobić? Wyjaśnił już Indianom swoje położenie, zaoferował im, że za ziemię, którą oddaliby mu do dyspozycji, zapłaci w naturze, ci jednak go wyśmiali. Jego los wśród tubylców wydawał mu się jeszcze gorszy niż ten, którego doświadczył u Portugalczyków. Pewnego dnia jednak wpadł na zbawienny pomysł.

Indianie przygotowywali się do ważnego święta, podczas którego młodzi mężczyźni sprawdzali swoje umiejętności jako wojownicy i myśliwi. Miały odbyć się pokazy walk, i Mbómbo postanowił za wszelką cenę wziąć w nich udział i zdobyć poważanie plemienia. Być może jeśli zabłyśnie na ringu, zaczną traktować go z większym szacunkiem i nie jedynie jako nieprzydatnego Bomboma. Poczekał na

stosowną okazję, by przedstawić wodzowi swój plan.

Apoenã ponownie nie potrafił opanować rozbawienia.

– Czy jesteś wprawny w obchodzeniu się z łukiem i strzałami? Jak szybko umiesz wiosłować w kanu? I czy potrafiłbyś stawić czoło naszym zapaśnikom, którzy należą do najlepszych po tej stronie horyzontu?

– Tak! – zawołał Mbómbo. – Jestem dobry w zapasach i we wszystkim, co wymaga siły i opanowania ciała. – Nie przyznał, że nigdy nie posługiwał się łukiem i strzałami, nie mówiąc już o tym, że nawet nie siedział w kanu.

Wódz uśmiechnął się. Nie było złym pomysłem wyrażenie zgody na wzięcie przez tego dużego czarnego mężczyznę udziału w zawodach. Dzięki temu także najmłodsi chłopcy z plemienia będą mogli odnieść zwycięstwo, a poza tym wszyscy będą mieli powód do śmiechu.

– Wódz Apoenã pomyśli o tym – znów zabrzmiała odpowiedź.

Tym razem wódz szybko podjął decyzję, którą oznajmił następnego dnia.

– Możesz wziąć udział. Jeśli przegrasz, musisz umrzeć. Jeśli będziesz lepszy niż co najmniej jeden z moich mężczyzn, będziesz musiał wykonywać kobiece prace, dopóki nie postanowimy, co się z tobą stanie. Jeśli wygrasz, możesz wziąć sobie ziemię nad rzeką, gdzie cię schwytaliśmy, i gospodarować na niej.

Mbómbo nie posiadał się z radości. Był przekonany, że wygra. Poprosił o pozwolenie na potrenowanie różnych dyscyplin, aby mieć większe szanse. Jak trudne mogło być wiosłowanie w dłubance? Wyglądało na dziecinnie proste. Będzie walczyć tak zażarcie, że opowiadać o tym będą jeszcze kolejne pokolenia Indian. Dlatego otrzyma swoją ziemię.

Pozwolono mu udać się w leśną gęstwinę ze źle napiętym łukiem i tępymi strzałami i polować na ptaki. Oczywiście, ani na chwilę nie spuszczano go z oczu, ale obserwatorzy czasami nie mogli powstrzymać się od śmiechu, przez co trudno im było zachowywać się tak cicho, by czarny mężczyzna nie zauważył ich obecności. Postępował niewyobrażalnie głupio; każda kobieta sprawniej posługiwała się bronią! Pozwolono mu także wiosłować w spróchniałej dłubanej łodzi. Również wtedy obserwatorom z rozbawienia napływały do oczu łzy. Temu człowiekowi nie udało się nawet wsiąść do kanu i utrzymać na wodzie! Wielokrotnie wywracał łódź i ślizgał się w przybrzeżnym mule. Ach, to było wspaniałe! Wieczorem przed całym zgromadzeniem opowiadali, co też widzieli w ciągu dnia, a rozbawione plemię nie mogło opanować uciechy.

Mbómbo wiedział, że się z niego śmieją, ale było mu to obojętne. Postanowił sobie, że nie zrażą go niepowodzenia i że zrobi wszystko, aby w krótkim czasie nauczyć się jak najwięcej. O ile dobrze zrozumiał

wodza, zostało mu jeszcze około dwóch tygodni, gdyż zawody miały odbyć się podczas najbliższej pełni.

Gdy nadszedł ten dzień, Mbómbo, podobnie jak pozostali uczestnicy, został pomalowany czarną, białą i czerwoną farbą, choć czerń owocu genipapo była ledwo widoczna na jego skórze, natomiast czerwone urucum wręcz lśniło, co nadawało Mbómbo niesamowity wygląd, a biel gliny tabatinga odcinała się od jego ciemnej skóry znacznie wyraźniej niż u Indian. Co prawda nie rozumiał znaczenia wzorów, jakimi ozdobiono jego ciało, łącznie z twarzą, ale dziwnym sposobem wydawały się one zapewniać mu siłę, jakiej istnienia wcześniej sobie nie uświadamiał. Tak musieli czuć się w Afryce jego przodkowie, którzy również nosili barwy wojenne.

Zaczęło się od skomplikowanego układu tańców i czynności, które Mbómbo śledził obojętnie. Zbyt był skoncentrowany na zbliżających się zawodach, by zastanawiać się nad sensem owych rytuałów.

Wreszcie zaczęło się, od wyścigu kanu. Do zawodów przystąpiło łącznie około dwudziestu młodych mężczyzn. Wszyscy mieli dopłynąć do określonego miejsca w dole rzeki, odebrać tam od obserwatorów pewien przedmiot i powiosłować z powrotem. Mbómbo poniósł sromotną klęskę. Potrzebował bardzo wiele czasu, by spuścić swoją dłubankę na wodę, i choć wiosłował ze wszystkich sił, jeszcze zanim dotarł do punktu zawracania, zobaczył już nadpływających z przeciwka pierwszych rywali. Gdy zrozumiał, że nie ma szansy wygrać z Indianami, którzy praktycznie dorastali na łodziach, zwolnił tempo. I tak przybędzie jako ostatni, nie musi więc dodatkowo tracić sił, których będzie rozpaczliwie potrzebować przy następnych konkurencjach.

Przy strzelaniu z łuku również nie miał szczęścia. Uznał, że poszło mu całkiem dobrze, jeśli wziąć pod uwagę, że niedawno nie trafiał nawet w szeroki pień olbrzymiego cedru. Teraz jednak wcelował w sam środek czterech z pięciu nieruchomych celów. Poległ jednak na celach ruchomych. Podczas gdy młodzi Indianie kładli jedną papugę po drugiej, Mbómbo ustrzelił tylko jednego żałosnego ptaszka. Gdy wrócił z nim na pole walki, gdzie sędziowie oceniali łupy i ogłaszali zwycięzców, wszyscy uśmiali się serdecznie z jego nieumiejętności.

Zaczynał się denerwować. To, co go spotykało, nie było sprawiedliwe, ale wyśmiewanie się z jego braku doświadczenia wyglądało na celowe poniżanie. Wiedział jednak, że należy powściągnąć gniew. Nie pozwalał mu się skupić, a jeśli Mbómbo chciał zwyciężyć w choćby jednej dyscyplinie, musiał zachować chłodny umysł i wykorzystać każdą, najmniejszą nawet słabość przeciwnika. Wszystkie nadzieje kierował na zapasy, ponieważ był nie tylko roślejszy i silniejszy od Indian, ale także dzięki ćwiczeniu capoeiry na pewno szybszy. Jeszcze pokaże tym

przypominającym dzieci wesołkom!

Niestety, stało się inaczej, niż przewidywał. W zapasach przegrał z poszczególnymi przeciwnikami, nawet z najmniejszym i najsłabszym, ponieważ nie przestrzegał reguł. Nie miało znaczenia, że nikt nie pokwapił się, by mu je wyjaśnić. W każdej walce łamał rzekomo inną regułę, nie mógł więc nawet uczyć się na własnych błędach. Widzowie ryczeli i tupali na widok pokonanego, stojącego na środku placu z mięśniami drżącymi z wysiłku i odsłoniętymi zębami, niczym jaguar gotowy do ataku.

Nie widział innego sposobu niż wyzwać najlepszego zawodnika do walki, której ten nie mógł nie przyjąć. Mbómbo rzucił mu bowiem kij i gestem nakazał, by Indianin go uderzył. Początkowo ten człowiek, umięśniony i niezwykle zręczny, mniej więcej w wieku Mbómbo, wzbraniał się. Nie wydawało mu się właściwe, by bić bezbronnego przeciwnika, który przecież i tak już przegrał, stając się pośmiewiskiem. Mbómbo jednak obstawał przy swoim.

Widzowie wstrzymali oddech. Czy obcy chciał przyspieszyć własną śmierć i wywalczyć ją w możliwie godny sposób? Wzbudziło to w nich pewien respekt, więc śmiech powoli przycichł. W pewnej chwili na wioskowym placu zrobiło się tak cicho, że słychać było świst kija, który młody Indianin spuścił nagle na Mbómbo. Słychać było również ruch stóp na ziemi, szybki obrót czarnego i jego kopnięcie, które trafiło zaskoczonego przeciwnika w ramię. Przez tłum przebiegł jęk współczucia.

Potem młody wojownik był już nie do powstrzymania. Zamachnął się gniewnie kijem, cofnął go, spróbował wprowadzić przeciwnika w błąd i uderzył... w pustkę. Mbómbo był bowiem równie wygimnastykowany, co szybki. Zakręcił się z nogami rozciągniętymi pionowo w szpagat i wyraźnie zaskoczył Indianina tą akrobacją. Robił salta w przód i w tył, dosłownie latał i wciąż udawało mu się uniknąć ciosów. Młody Indianin był jednak nie mniej sprytny i szybki. Mbómbo nie udało się drugi raz kopnąć go ani uderzyć we wrażliwe miejsce.

Im zacieklej walczyli, tym bardziej publiczność otrząsała się z początkowego zdumienia. Teraz zagrzewano przeciwników, a na widok szczególnie zręcznego ciosu lub skoku wołano „ach” i „och”. Również wódz Apoenã podszedł na skraj ringu, by przekonać się, czy jego synowie opowiadali prawdę. W zasadzie bowiem zawody zostały już zakończone i rozstrzygnięte, a śmierć czarnego została przesądzona. Przed uroczystością na cześć zwycięzców pozwolono wszystkim na krótki odpoczynek, więc przed dalszymi obchodami wódź położył się na słomianej macie i rozmyślał. Jego spokój rozwiał się jednak błyskawicznie, gdy dwaj najmłodsi synowie donieśli mu, co odbywa się na placu. Apoenã nie mógł uwierzyć, że obcy tak źle zniósł przegraną, by wywołać bójkę. Poczuł gniew.

Gdy jednak obserwował walkę, mimo woli ogarnął go podziw dla opanowania ciała, jakie demonstrował czarny. To była czysta magia! Nigdy wcześniej nie widział człowieka, który potrafiłby wykonywać takie ruchy, i to tak płynnie, bez widocznego wysiłku, tak że przypominały taniec. Apoenã nie przestawał się dziwić. Bombom skakał jak jaguar, latał jak papuga i przeprowadzał wyrafinowane manewry zwodzące niczym mico-saguí, małpiatka. Pokaz ten miał w sobie wspaniałą elegancję, ponieważ nic nie zdradzało siły, jaka kryła się w kopniakach i uderzeniach, które obcy wykonywał oszczędnie, ale celnie. Choć z powodu braku broni powinien znajdować się w niekorzystnym położeniu, zwłaszcza wobec sprawdzonego wojownika, jakim był Cauã, nie zapowiadało się na szybkie zwycięstwo tego ostatniego.

A potem, niczym grom z jasnego nieba, w środku pełnego gracji obrotu w powietrzu, stopa czarnego trafiła na kij przeciwnika. Kij poleciał wysokim łukiem i omal nie uderzył widzów w pierwszym rzędzie. Wszyscy wstrzymali powietrze. Czy przypominający zręcznego zwierza tancerz zamierzy się do ostatniego, śmiertelnego kopnięcia? Cauã był przerażony utratą broni tak samo jak członkowie jego plemienia. Bez kija niewiele mógł zdziałać przeciw technice i sile czarnego. Stanął sztywno na środku ringu i odważnie spojrzał na przeciwnika, choć ogarnął go strach, że ten bez trudu może go teraz zabić.

Mbómbo nie miał jednak takiego zamiaru. Chciał jedynie dowieść, że nie jest aż tak bezużyteczny, jakim widzieli go Indianie. Udało mu się to. Ukłonił się najpierw przed przeciwnikiem, a potem przed widzami. Dopiero teraz dostrzegł wodza, który stał z otwartymi ustami i najwyraźniej nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Mbómbo podszedł do niego statecznym krokiem i skłonił się.

– Wodzu Apoenã, dziękuję ci, że dałeś mi szansę zmierzyć się z twoimi ludźmi. Zdecyduj teraz, czy zasłużyłem na śmierć, ponieważ nie zwyciężyłem nawet z jednym twoim wojownikiem.

Apoenie podobała się duma przemawiająca z postawy i głosu mężczyzny. Nie błagał o życie, lecz pełen godności oczekiwał na wyrok. Ponieważ Apoenã, podobnie jak wszyscy Indianie, wyznawał głęboko zakorzenioną wiarę w przyrodę, w której ważną rolę odgrywają zwierzęta, był przekonany, że wyrok śmierci sprowadziłby na niego i jego plemię nieszczęście. Człowiek, który łączył w sobie spryt małpy, elegancję węża, siłę jaguara, cierpliwość pająka i lekkość motyla, zasługiwał na uznanie, niezależnie od reguł zawodów.

– Ponieważ pokonałeś najlepszego z naszych ludzi, dam ci ziemię, o którą prosiłeś.

Mbómbo upadł przed starszym mężczyzną na kolana. Z trudem powstrzymywał łzy, tak wielką poczuł ulgę.

– Pod jednym warunkiem – dodał wódz.

– Tak? – szepnął Mbómbo i popatrzył Indianinowi głęboko w oczy.

– Musisz nauczyć się wiosłować w kanu i obchodzić się z łukiem. Cauã będzie twoim nauczycielem. W zamian pokażesz mu kilka z tych zręcznych skoków z twojego zwierzęcego tańca.

Mbómbo z wdzięcznością pochylił głowę.

20

Wszyscy sprzysięgli się przeciwko niej. Lua nie mogła uwierzyć w to, co ją spotyka. Nigdy wcześniej nie dano jej tak wyraźnie odczuć, że jest tylko niewolnicą, i nie ma żadnego prawa głosu w sprawie, która przecież decydująco odmieniłaby jej życie – w kwestii własnego ślubu.

Oczywiście, nie byłby to ślub w zwykłym tego słowa znaczeniu, ponieważ niewolnicy nie mieli prawa oficjalnie się pobierać. Można ich było w każdej chwili sprzedać i w ten sposób oddzielić od „małżonka". Odmawiano im także prawa do własnych dzieci. Mimo to biali lubili, gdy niewolnicy prowadzili życie pobożne i moralnie bez zarzutu, a to oznaczało również zawieranie małżeństw przez ludzi, którzy byli sobie oddani i pragnęli założyć rodzinę. Oczywiście, wierności małżeńskiej oczekiwano tylko od niewolników, a nie od senhorów ani białych nadzorców, którzy sypiali ze swoimi ciemnoskórymi faworytami.

Lulu natomiast był w siódmym niebie. Sam nie wiedział dobrze, czym zasłużył na to „małżeństwo", ale był na tyle sprytny, by nie dać nic po sobie poznać. Gdy dom Felipe wezwał go pewnego dnia do siebie, początkowo spodziewał się nagany. Senhor spytał go jednak:

– Czy to prawda, że chciałbyś poślubić Luę?

Lulu stał jak rażony gromem, lecz senhor musiał uznać zmieszanie na jego twarzy za zakłopotanie, ponieważ ciągnął:

– Doszło do moich uszu, że Lua i ty... no cóż, że coś was łączy. Nie musisz się tego wstydzić, nie zrobiliście nic złego. Wszyscy to znamy. – Zaśmiał się znacząco, po czym dodał poważniejszym tonem: – Ponieważ oboje, ty i Lua, jesteście dobrymi i wiernymi niewolnikami, pozwolimy wam na ślub.

– Sim, senhor, obrigado, senhor – wyjąkał zupełnie zaskoczony chłopak.

– Bardzo proszę, mój chłopcze. A teraz przyślij mi tu Luę, żebym sam przekazał jej dobrą wiadomość.

Lulu wypadł z pokoju, wyciągnął Luę z kuchni i dopiero, gdy dotarli przed drzwi gabinetu, powiedział jej, o co chodzi:

– Senhor ma co do nas wielkie plany, dla ciebie i mnie. Nie wiem, skąd przyszło mu to do głowy, ale uważa nas za parę zakochanych.

Lua przybrała najbardziej godną minę, na jaką ją było stać, wygładziła fartuch i zapukała.

– Śmiało, Lua, wejdź.

Nie odezwała się ani słowem.

– Może Lulu już ci o tym wspomniał, choć właściwie to ja chciałem powiedzieć ci pierwszy... Krótko mówiąc, wolno wam się pobrać.

Lua była oszołomiona. Przerażona wpatrywała się w mężczyznę, który mógł nawet być jej biologicznym ojcem, i zastanawiała się, jak on może, znając ją przez całe jej życie, nagle nią rozporządzać jak towarem.

– Nie wyjdę za tego typa! – wyrzuciła wreszcie z siebie.

– Co to ma znaczyć?

– Skąd przyszło panu do głowy, że łączy mnie z nim coś więcej niż praca?

– Uważaj no, impertynencka dziewucho! Nie ty zadajesz tu pytania. Nie wolno ci także podważać moich decyzji, a już na pewno nie wtedy, jeśli są to decyzje korzystne dla ciebie. Jako małżeństwo dostaniecie własną małą chatkę albo izbę w Casa Grande. Gdy zostaniesz żoną, regularnie będziesz cieszyć się... hmm... cielesnymi rozkoszami i wkrótce zostaniesz matką. Wszystkie młode kobiety przecież o tym marzą.

– Nienawidzę Lulu!

Felipe Oliveira, właściciel São Fidélio i dwustu niewolników, który zawsze uważał się za sprawiedliwego pana, wobec takiej niewdzięczności popadł w gniew. Dał tej murzyńskiej dziewczynie dach nad głową, żywność, odzienie i zapewnił jej opiekę. Pozwalał jej bawić się z własną córką, a potem pracować na uprzywilejowanej pozycji pokojówki. Bez jego wsparcia już dawno byłaby wyniszczoną polową niewolnicą z czterema bachorami albo rynsztokową dziwką w stolicy. Był to najlepszy dowód, że czarni po prostu nie potrafią docenić tego, co się dla nich robi.

Kosztowali dużo i byli jeszcze drożsi w utrzymaniu, a czym się odwdzięczali? Lenistwem, arogancją i zakłamaniem! Wszyscy tacy byli, niezależnie od tego, jak ładnie wyglądali, jak posłusznych udawali albo jak długo już przebywali w posiadłości. Sim sinhô tu, sim sinhô tam, ale w swych czarnych głowach nieustannie knuli podstępy. Lua nie była wyjątkiem. Stała się niemal członkiem rodziny, zaufaną jego Eulálii. A teraz coś takiego!

– Nie obchodzi mnie, kogo nienawidzisz. Wyjdziesz za tego chłopaka, i basta.

– Nie.

– Co?! Czy powiedziałaś „nie”? To nie do... – Dom Felipe doskoczył do

Lui i uderzył ją mocno w twarz. Nigdy wcześniej tego nie uczynił, i ta gwałtowna reakcja przestraszyła jego samego. Bicie zostawiał nadzorcom, a siebie widział jako surowego, ale dobrodusznego pana, który brzydzi się karami cielesnymi i stosuje raczej upomnienia niż razy.

Również Lulu przestraszył się tak bardzo, że drgnął i niemal uderzył głową o drzwi, pod którymi podsłuchiwał. Nie wiedział, dlaczego senhor wbił sobie do głowy, by wydać za niego Luę, ale fakt, że ta zaciekle się przed tym broniła, zranił go. Czyż był aż tak złą partią? Inne niewolnice gwałcono i rodziły białym jasne dzieci. Lui przeznaczono lepszy los, a ona broniła się przed nim rękami i nogami. Doprawdy, to z jej strony wielka niewdzięczność! A przecież nie wie nawet, z czego rezygnuje. Gdy myślał o tym, co robiliby we dwoje po nocach... W tym momencie poczuł, że silna dłoń chwyta go za kark i odciąga od drzwi.

– Cokolwiek tam się dzieje i cokolwiek podsłuchałeś, nikogo to nie obchodzi! – zagrzmiała kucharka wezwana przez Fernandę. – I zachowasz to dla siebie, zrozumiałeś, chłopaczku?

Lulu skinął głową. Jednak jeszcze tego samego wieczoru pochwalił się przed swoimi nielicznymi przyjaciółmi, że niedługo zostanie mężem i ojcem i zamieszka w Casa Grande. Nikt mu nie uwierzył.

Zajście to stało się dla rodziny Oliveirów powodem próby sił. Eulália nie rozmawiała z ojcem, ponieważ ten tak władczo zdecydował o losie jej niewolnicy. Dom Felipe był wściekły, gdyż jego córka przez całe lata była zbyt łagodna w stosunku do Lui. Dona Ines zgadzała się z mężem, że buntowi Lui można było zapobiec, gdyby odpowiednio wcześnie zareagować. Zaproponowała, by wysłać dziewczynę na kilka tygodni na pola trzciny cukrowej, ponieważ nadchodziły żniwa i potrzebna była każda para rąk do pracy. Dom Felipe uznał, że to świetny pomysł; w ten sposób Lua nauczy się pokory. W rezultacie Eulália przestała rozmawiać także z matką, i to zaledwie kilka tygodni przed swoim ślubem z Ruim Albertem.

– Uważam, że wokół tej dziewczyny robi się za dużo zamieszania – powiedział pewnego dnia Manuel, jak zawsze najrozważniejszy w rodzinie. – Wprowadza tylko niepokój w Casa Grande, a także w senzali. Według tego, co się słyszy, utworzyły się tam dwa fronty, jeden za przymusowym ślubem, a drugi przeciw.

– Co to ma znaczyć „przymusowy ślub”?! – zawołał oburzony dom Felipe.

– Nieważne, jak to nazwiemy. Niech to będzie nawet zamążpójście z miłości. W każdym razie całe to zamieszanie jest niepotrzebne i szkodliwe. Ja sprzedałbym zarówno Luę, jak i Lulu.

– Nie! – krzyknęła Eulália głosem zduszonym od łez.

– Nie denerwuj się tak, kochana siostro. Twój małżonek może ci ją przecież kupić.

– Ma mi kupić coś, co i tak należy do mnie? A ty, pai, wziąłbyś od swojego zięcia pieniądze za niewolnicę?

– Oczywiście, że by to zrobił – odpowiedział Manuel. – Przecież i tak wnosisz nadzwyczaj wysokie wiano...

– Czy sugerujesz, że bez tego wiana Rui Alberto by mną pogardził? – syknęła Eulália.

Jej brat to właśnie chciał zasugerować, ale nie odważył się powiedzieć tego głośno. Siostra pogniewała się jednak na niego. W ten sposób pokłóciła się ze wszystkimi członkami rodziny i przestała z nimi rozmawiać.

Starszy brat, który w Salvadorze w pełni korzystał z uroków beztroskiego życia studenta z bogatego domu, nie wiedział o tych zajściach. Od miesięcy nie pokazywał się w São Fidélio. Nie chciał częściej, niż to konieczne, znosić pytań ojca o przebieg studiów ani inkwizytorskich spojrzeń matki, która za każdym razem wypytywała go o życie prywatne. Carlos był już w takim wieku, że mógł żyć, jak mu się podobało! A podobało mu się zadawanie z gorącokrwistymi Mulatkami, szwendanie po podejrzanych spelunkach i trwonienie swojej niezwykle hojnie wyznaczonej pensji przy stole do gry lub na walkach kogutów.

Właśnie podczas walki kogutów zawarł znajomość z Paulem Barbudą, który w szybki i prosty sposób pomógł mu wybrnąć z kłopotów, ponieważ pożyczył mu pieniądze, które trzeba było spłacać z wysokimi odsetkami. Carlos zastanawiał się, czy powinien znowu zaryzykować ostatnie grosze przy stole do gry – jedyną szansą, by możliwie szybko dojść do własnych pieniędzy, byłaby bowiem wysoka wygrana – czy też pojechać do São Fidélio i prosić o jałmużnę. Nie miał ochoty wysłuchiwać umoralniających kazań ojca, a już na pewno nie chciał znosić przeszywających spojrzeń matki. Ostatnim razem na okrągło wypytywała go, czy zagląda do kieliszka, ponieważ ma obrzękłą skórę, ciemne worki pod oczami i czerwone żyłki wokół nosa. Odpowiadał na to wyniosłym tonem, że lekarzem w tej rodzinie jest tylko on i wie, iż jego niekorzystny wygląd wynika z letniej grypy, którą złapał podczas obiadu na przewiewnej werandzie wicegubernatora.

Na pewien czas zapewniło mu to spokój.

Podobnie dobre kłamstwo musiał wymyślić teraz dla Paula Barbudy, aby poprosić go o przedłużenie kredytu. Carlos bynajmniej nie cierpiał na brak wyobraźni, było jednak nieporównanie trudniejsze, by okłamać tak twardego typa jak Barbudo, niż rodziców. Nigdy nie wiadomo, na jaki pomysł mogą wpaść takie nieokrzesane rzezimieszki,

żeby odzyskać swoje pieniądze. Musiał przygotować jakąś naprawdę dobrą historyjkę.

Gdy wreszcie obmyślił wersję, z którą mógł poważyć się na spotkanie z lichwiarzem, poszedł do domu publicznego, w którym ten prowadził swoje interesy, i poprosił starą burdelmamę o rozmowę z Paulem.

– Nie ma tego drania od tygodni! – zawołała kobieta. – Jak pan go znajdzie, niech mu pan przekaże, że nie ma tu już czego szukać. Moje dziewczęta uprowadzają inni sutenerzy. Klienci unikają naszego domu, bo bez Brodacza nie jest tu już tak bezpiecznie jak dawniej. A ten cholerny niewolnik, którego ściga, i tak już dawno nie żyje.

– Ach, Paulo jest łowcą niewolników? – zapytał Carlos, szczerze zainteresowany.

– No cóż, tylko wtedy, gdy nagroda jest odpowiednio wysoka. Ale tym razem nie ma go już za długo, zbyt długo zaniedbuje swoje interesy, a jego klienci... – Tu spojrzała na Carlosa przenikliwie. – ...powoli zaczynają się niecierpliwić.

– To prawda – odparł Carlos i przybrał arogancką minę, co umiał doskonale. – Gdy wróci, przekaż mu, że doutor Carlos chciał się z nim widzieć.

Kobieta skinęła głową, najwyraźniej pod wrażeniem tytułu doktora, który przypisywał sobie Carlos, choć jeszcze nie zdał nawet połówkowych egzaminów.

Młody Oliveira również skinął głową, poważnie i z namysłem, zupełnie jak prawdziwy doutor. W głębi ducha uradował się. Stara wywłoka przekaże Paulowi Barbudzie, że on, Carlos, go odwiedził, i Paulo będzie musiał uznać, że zjawił się, aby uregulować dług.

Carlos natomiast umiejętnie wykorzysta to niespodziewane odroczenie spłaty.

Brodacz tymczasem polował na niewolnika, który zbiegł z Sã o Fidélio, i powoli kończyły mu się pomysły. Było po prostu niemożliwe, by ktoś, kto rzekomo nie dysponował ani pieniędzmi, ani wpływowymi pomocnikami, zapadł się pod ziemię. Albo dom Felipe zataił przed nim kilka ważnych informacji, albo uciekinier już nie żył.

Początkowo poszukiwacze podążali bardzo obiecującym tropem, który prowadził prosto na północ, coraz głębiej w puszczę. Znaleźli ugaszone, źle ukryte paleniska, jakich nie zostawiłby po sobie żaden Indianin ani też ktoś, kto nie jest ścigany. Sądząc po odchodach, które nie należały do żadnego leśnego zwierzęcia, ścigali człowieka. Ludzie Paula Barbudy byli pełni zapału. Im dalej się zapuszczali w puszczę, z tym większą determinacją tropili Murzyna, a wysoka nagroda wydawała się już niemal w zasięgu ręki.

Potem jednak trop się urwał, tak po prostu, ni stąd, ni zowąd. Oddział natrafił na małe indiańskie plemię, które sprawiało wrogie

wrażenie. Na polecenie Barbudy jego ludzie zostawili Indian w spokoju, choć wściekłość i rozczarowanie wzbudzały w nich mordercze instynkty i mieli ochotę nieco podrażnić dzikich. Jednak, jak każdy rozsądny człowiek, Paulo wiedział, że tu, w lesie, nie mieli szans z Indianami. Ci byli w przewadze i znacznie lepiej obeznani z warunkami panującymi w dżungli niż jego horda, złożona przeważnie z miejskich śmieci, pijaczków, złodziei i morderców.

Wódz Indian zniżył się mimo wszystko do tego, by w zamian za małe lusterko, które Paulo zabrał ze sobą, dać im kilka ryb i owoców. Po tygodniach wyprawy wszyscy cieszyli się, że mogą znowu zjeść coś świeżego, zamiast wciąż żywić się wędzoną kiełbasą i mącznymi plackami. Wódz opowiedział przy okazji, że od lat nie widział w lesie obcych i nie życzy sobie w przyszłości żadnych intruzów, ani białych, ani czarnych. Wzmocnił swoje żądanie licznymi splunięciami, które celnie wymierzał pod stopy Paula Barbudy. Oddział wycofał się.

W drodze powrotnej na wybrzeże Paulo musiał coś wymyślić, aby utrzymać swoich ludzi w dobrym nastroju. Wszyscy, on także, byli wściekli i rozczarowani. Każdy inny trop, którym mogliby podążyć, dawno już wystygł. Z taką pewnością skoncentrowali się na tym jednym śladzie, że stracili nań zbyt dużo czasu. Barbudo wiedział lepiej niż inni, że nie stawia się wszystkiego na jedną kartę. Tak często udzielał przecież kredytu nieostrożnym graczom i oskubywał naiwnych chłopaków przy stole do gry!

Zachęcał swoich ludzi, by łowili węże, krokodyle i jaguary, ponieważ ich skóry i zęby przynosiły pewien zysk, choć nie tyle, ile wynosiła „opłata za udział" w wyprawie. W drodze powrotnej do Salvadoru zamierzał poprowadzić ich przez fazendę Sã o Fidélio, gdzie musiał przekazać senhorowi złą wiadomość, że nie udało się odnaleźć jego Murzyna. Przy tej okazji wszyscy będą mogli napchać sobie brzuchy do pełna i może uwieść jedną czy drugą niewolnicę.

Jednak w São Fidélio czekało ich coś znacznie lepszego.

Uciekła pewna niewolnica. I to zaledwie przed kilkoma godzinami.

21

Mbómbo o mały włos nie wpadł w ręce oprawców. Gdyby mężczyźni dotarli choć pół mili dalej, odkryliby jego chatę. Teraz jednak cieszył się życiem jak rzadko kiedy wcześniej. Nie istniało duże prawdopodobieństwo, że inny oddział poszukiwawczy dotrze tak daleko w głąb puszczy. Mbómbo był tego tak pewien, jak tylko mógł w tych okolicznościach.

Oprócz prostej chaty w jego przyszłej wiosce nie znalazłoby się jeszcze wiele do oglądania. Przed chatą umieścił duże palenisko, służące nie tylko do przygotowywania potraw, ale także do ochrony przed wszechobecnymi komarami – jeśli paliło się świeże gałązki, ostry dym odganiał paskudne owady – oraz do odstraszania wszystkich innych zwierząt.

Na krzakach i gałęziach drzew wisiały nieliczne ubrania, które Mbómbo zdołał zabrać, uciekając. Prał je w rzeczce, ale nie miał ani mydła, ani kamieni, którymi mógłby trzeć tkaninę. Zanurzał je zatem tylko w bieżącej wodzie i wyżymał. I tak było obojętne, w co się ubierał, ponieważ nikt go nie oglądał. Gdyby nie komary, chętnie chodziłby nago.

Samotność dokuczała mu bardziej, niż chciał sam przed sobą przyznać. Co pewien czas zaglądał do Indian, ale ci najwyraźniej nie cenili bliskiego sąsiedztwa tak samo jak on. Wódz Apoenã za każdym razem zachowywał się niezwykle uprzejmie, ale był dziwnie zdystansowany. Mbómbo ograniczył zatem swoje odwiedziny u plemienia do niezbędnego minimum, a nie zdarzało się to często. Zaskakująco dobrze radził sobie zresztą w dziczy. Co prawda jego umiejętności w zakresie gospodarstwa domowego pozostawiały nieco do życzenia – po „praniu" na ubraniach widniały plamy, w chacie panował pewien nieporządek, posiłki zaś były mdłe – jakoś jednak mu się udawało. Miał dach nad głową i dość pożywienia. Poza tym nie miał jednak nic. A to, jak uznał, zdecydowanie mu nie wystarczało.

Potrzebował towarzystwa. Stara Kasinda nakazała mu, by wyraźnie

oznaczył drogę do swojego quilombo – albo tego, co miało nim kiedyś zostać – aby inni uciekinierzy mogli do niego trafić. Uzgodnili znak, który wtajemniczeni mieli od razu rozpoznać, a na który nikt inny nie zwróciłby uwagi – przebiegające w umówiony sposób nacięcie na pniu drzew. Jeśli kolejni zbiegli niewolnicy przedostaliby się na północ, przy odrobinie cierpliwości i szczęścia powinni kiedyś natrafić na ten szereg nacięć. Taki w każdym razie był plan.

Obecnie Mbómbo wątpił, by plan okazał się równie niezawodny, jak uważała Kasinda. Nikt się bowiem nie zjawił. Wykonał nacięcia na drzewach w odległości wielu mil od swojej chaty, w polu stanowiącym ćwierć okręgu. Zwężało się ono na kształt lejka, kończąc się tuż przed schronieniem Mbómbo. Każdy, kto maszerował na północ, wcześniej lub później musiał natknąć się na oznaczenia, nawet jeśli jego droga prowadziła nieco na prawo lub na lewo od celu. Niezależnie jednak od tego, jak dokładnie Mbómbo nasłuchiwał i obserwował okolicę, nic się nie działo. Czyżby nikomu nie udało się wydostać z okolic fazendy, ponieważ wszystkich wcześniej schwytano? A może nikt nie chciał uciec? Czy w swoim nieokiełznanym dążeniu do wolności Mbómbo przypisywał innym niewolnikom coś, czego nie czują?

Im bardziej samotny się czuł i im dłużej rozmyślał, tym bardziej zaczynał być przekonany, że wmówił sobie coś, co nie odpowiadało rzeczywistości. Wyobrażał sobie wolność w najpiękniejszych barwach. Bycie wolnym musiało przecież znaczyć więcej niż możliwość chodzenia nago i życia w spokoju. Wolność powinna smakować lepiej niż niesolona kukurydziana papka i na wpół surowe ryby. Czasami jednak wydawała mu się gorzka.

Oczywiście zdarzały się chwile, gdy mógłby płakać ze szczęścia, że udała mu się ucieczka, że znalazł to miejsce i że zyskał ochronę ze strony Indian. Były to jednak tylko pojedyncze przebłyski w monotonnych dniach, które różniły się od jego starego życia tylko tym, że teraz pracował jeszcze ciężej.

Musiał bowiem się uwijać od świtu do zapadnięcia zmroku. Samo zbudowanie chaty kosztowało go wiele wysiłku i potu, czego jednak nie było widać po rezultatach. Pracował nad prostym schronieniem zdany wyłącznie na siebie i wyposażony jedynie w tępy nóż, który ukradła dla niego Kasinda. Było to olbrzymie wyzwanie, wymagające sił i pomysłowości. Założenie małych grządek, na których mógł posiać zabrane ze sobą nasiona, było równie męczące, zwłaszcza że nie mógł poświęcić na to wiele czasu, ponieważ zdobywanie pożywienia okazało się pracochłonne i nużące.

Codziennie ruszał na polowanie z łukiem i strzałami, które sam wykonał. Gdy po wielu godzinach udawało mu się wreszcie ustrzelić jakiegoś ptaka, nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Mężczyzna jego budowy potrzebował więcej pożywienia. Jeśli miał szczęście, udawało

mu się zabić kapibarę, i wtedy jedzenia wystarczało na kilka dni. Nie jadł jednak tylko mięsa. Wspinał się na drzewa, by podbierać jaja z ptasich gniazd, i zbierał dzikie owoce oraz korzonki roślin. To wszystko robił często w niezwykle trudnych warunkach, ponieważ w lesie deszczowym bywało tak gorąco i parno, że każdy ruch wymagał wiele siły.

Gdy nazbierał i upolował dość pożywienia, musiał jeszcze wszystko ugotować. Zbierał drewno i rozpalał ogień. Z powodu wiecznej wilgoci nie było to łatwe. Od czasu do czasu przyłapywał się na myśli, że tęskni za São Fidélio, gdzie po całym dniu pracy mógł wieczorem pochłonąć zawartość wielkiego talerza dobrze doprawionego dania z fasoli i carne seca, suszonego mięsa, i nie zastanawiać się nad tym, skąd weźmie pożywienie na następny dzień. Nie! – upominał się za każdym razem, nie, osolone potrawy, choć bardzo za nimi tęsknił, nie były warte pozwolenia na szykanowanie, znieważanie i poniżanie. Tutaj wiodło mu się niezrównanie lepiej.

A jednak... łaknął ludzkiego towarzystwa. Miał przemożną ochotę na wieczorną pogawędkę przed senzalą i na odrobinę rozrywki w postaci muzyki lub tańca, a jego tęsknota za Luą była tak silna, że wywoływała ból. Jak długo jeszcze musiał tu wegetować w samotności? Czy był skazany na los pustelnika? Czy jego marzenie o samostanowieniu sprowadzi się do zupy bez smaku, której składniki sam wybrał?

Potem jednak przypominały mu się obrazy z przeszłości, tak wyraźnie, iż przysięgał sobie, że raczej samotnie sczeźnie w dżungli, niż raz jeszcze pozwoli się wychłostać prawie na śmierć. Lepiej stawić czoło niebezpieczeństwom natury niż brutalności nadzorców i lepiej radzić sobie z trudami życia w puszczy niż być zdanym na łaskę senhora.

Ci „panowie", ha! Nie byli niczym więcej niż poszukiwaczami przygód, którzy znaleźli się w nieokiełznanej dawniej kolonii, z dala od rodzinnej Portugalii, i czerpali sute wynagrodzenie za swoje usługi. A co to były za usługi? Mordując i plądrując, Portugalczycy podbili Indian, zawładnęli ich krajem, a w dodatku z dumą nazywali samych siebie odkrywcami. Jakie prawo miał Felipe, pan na São Fidélio, by kazać się tytułować „dom"? O ile Mbómbo wiedział, jego były właściciel nie pochodził ze szlacheckiego rodu ani nie zasłużył się dla swego kraju. Umiał wyłącznie pomnażać odziedziczony majątek, i to dzięki niewoleniu czarnych oraz wykorzystywaniu naturalnych zasobów. Nadano mu tytuł wyłącznie za to, że płacił wysokie podatki na rzecz korony i nie narzekał.

Jakże inne było drzewo rodowe Mbómbo. Z cudem graniczyło, że w ogóle je znał. Jeżeli przez pokolenia matki i ojcowie byli oddzielani od dzieci, które sprzedawano do odległych fazend, nim nauczyły się

mówić, nie istniała możliwość podtrzymywania tradycji przekazu ustnego. Tylko bardzo nieliczni niewolnicy wiedzieli, skąd pochodzą, i właśnie tego chcieli biali. Mbómbo stanowił jeden z niewielu przypadków, gdy linię matki można było prześledzić aż do praprzodków, choć Mbómbo nie był całkiem pewien, czy wszystko sobie dobrze przypomina.

Jego matka, z którą został rozdzielony dopiero w wieku ośmiu lat, przyszła na świat w Afryce. Opowiadała synowi historie swoich przodków, wciąż na nowo, żeby nigdy nie zapomniał, kim jest i skąd pochodzi. Była prawdziwą księżniczką, pierwszą córką pierwszej córki przywódcy plemienia Shungu, który władał terenem ciągnącym się od jeziora Kiwu, gdzie mieszkały śmiercionośne duchy, po majestatyczne szczyty Ruwenzori. Książęcy przodek, pradziadek Mbómbo, chętnie opowiadał wnuczce o licznych podróżach, jakie odbył w młodości jego dziad. Mówił o legendarnych bogactwach Mali i bibliotece w stolicy Timbuktu, którą zniszczyli jednak marokańscy zdobywcy. Opisywał piramidy na dalekiej północy i sawanny w sercu kontynentu, karawany na nieskończonej Saharze oraz wspominał o zapierających dech w piersiach stadach zwierząt w żyznych dolinach południa, opowiadał o dumnych Tuaregach i upartych Buszmenach. Krótko mówiąc, kładł do głowy małego Shungu, że Afryka jest pępkiem świata, kolebką ludzkości i kultury, a ten po latach przekazywał te informacje wnuczce, która z kolei uczyła małego Mbómbo.

Gdy Mbómbo osiągnął wiek, w którym dzieci zazwyczaj zaczynały pracować, jego matkę sprzedano. Nigdy więcej jej nie zobaczył. Został wysłany na pola, by wachlować nadzorców albo podawać robotnikom wodę i nikogo nie interesowała jego smutna historia. Wszystkich spotkał podobny los. Tak więc Mbómbo przyzwyczaił się, że ma na imię Zé, że jest teraz brudnym polowym Murzynem i że jako dziecko ma jeszcze mniej praw niż dorośli niewolnicy. Wiedzę o swoim pochodzeniu i wielkości Afryki zamknął w najdalszym kącie pamięci, skąd wydostała się gwałtownie, gdy miał około czternastu lat.

W ojczyźnie matki musiałby w tym wieku poddać się rozmaitym próbom i wyjść z nich jako mężczyzna. W Brazylii został zwierzęciem roboczym, od którego ze względu na młodość wymagano więcej niż od starszych. W czasie żniw prasa do trzciny cukrowej musiała działać nawet dwadzieścia godzin na dobę, a przez około dziesięciu godzin poruszał nią Zé wraz z innym silnym chłopakiem. Była to najbardziej monotonna praca na świecie – od rana do wieczora chodzenie w kółko. W innych miejscach używano młynów napędzanych siłą wody, ale na fazendzie, gdzie mieszkał Zé, która nie leżała ani nad rzeką, ani blisko morza, tę niegodną człowieka pracę musieli wykonywać niewolnicy.

Później Zé zatrudniono jako żniwiarza. Praca była nie mniej ciężka, oznaczała bowiem, że przez cały dzień stał schylony na błotnistym

polu, z plecami wystawionymi na bezlitosne słońce, i maczetą ścinał trzcinę jak najbliżej ziemi. Robotnikom pozwalano jedynie na kilka krótkich przerw, by się napili i naostrzyli maczety. Gdy nadzorca nie patrzył uważnie, pracującym udawało się czasem wycisnąć trzcinę dłońmi i wlać słodki sok bezpośrednio do ust. Oczywiście, było to surowo zabronione, zmniejszało bowiem dochody senhora, choćby tylko o kilka centavos.

Gdy Zé po raz pierwszy usłyszał, ile jego ówczesny właściciel zarabia na arroba trzciny cukrowej, jego tlące się niezadowolenie przeszło w otwarty bunt. Tylko on, Zé, wypracowywał swoją własną wartość rynkową w ciągu zaledwie półtora roku! Ponieważ robotnik polowy przy „dobrej opiece" był w pełni zdolny do pracy nawet przez piętnaście lat, łatwo dało się obliczyć zysk senhora. A nie on przecież zarabiał najwięcej na „białym złocie". Interes oparty na zabliźnionych od uderzeń pejcza plecach czarnych był znacznie zyskowniejszy dla hurtowników i importerów w Portugalii, ponieważ w Europie cenny towar uzyskiwał najwyższe ceny i był bardzo pożądany w wytwornych salonach wyższych sfer.

Tego jednak Zé nie wiedział jako młody człowiek. Nie umiałby nawet wyobrazić sobie świata kawiarni i salonów, a dużą odległość między kolonią a rodzinnym krajem wyobrażał sobie tylko dlatego, że matka dokładnie opisała mu, jak długo trwała podróż statkiem. Dla większości niewolników Portugalia mogłaby równie dobrze leżeć na księżycu, tak odległa się wydawała i tak daleka od rzeczywistości. Zé wiedział jednak, że cukier umieszczony w jednym z przewożonych do Europy pojemników z drewna jequitibá był wart dla senhora więcej niż życie niewolnika. Trudy nie miały się skończyć, jak długo niewolnik, który padał martwy z wycieńczenia, wywoływał u swojego właściciela ledwo wzruszenie ramion. W każdym razie, jeśli jego wartość już się zwróciła.

Mbómbo oderwał się nagle od tych gorzkich rozważań. Co to za hałas? Czyżby odwiedziła go jedna z indiańskich dziewcząt, które czasami przynosiły mu coś do jedzenia? Czy do jego pustelni przybłąkało się jakieś zwierzę? A może nareszcie zdarzyło się to, za czym tak długo tęsknił, i inni zbiegli niewolnicy szukali tu schronienia? Chwycił łuk i kołczan, ukrył się za omszałym, porośniętym bromélias pniem drzewa i wstrzymał oddech.

Gdy usłyszał trzask kolejnych gałązek i szelest zarośli, jego podejrzenie, że nie jest to Indianin ani zwierzę, przerodziło się w pewność. Istniała możliwość, że znaleźli go sprytni łowcy niewolników.

Na wszelki wypadek naciągnął strzałę i wpatrzył się w miejsce, z którego dobiegały dźwięki.

Dochodziły ze wschodu.

Potem zobaczył zbliżające się postacie.

22

Jakże była głupia! Jak mogła sądzić, że ona, delikatna domowa niewolnica, poradzi sobie wśród dzikiej przyrody? Brzydziła się pająków i węży, niechętnie stąpała boso po bagnistym podłożu, a od dzieciństwa nie musiała wystawiać się na bezlitosne południowe słońce na dłużej niż kilka minut.

A jednak posłuchała idiotycznego impulsu, by po prostu wziąć nogi za pas, i uciekła. Pobiegła przez szeroki, otoczony palmami podjazd, udała się drogą w stronę Salvadoru, ponieważ wydawała się jej najłatwiejsza do pokonania. Szła pospiesznie tak długo, aż straciła oddech i zaczęła ociekać potem. Dopiero wtedy zatrzymała się na chwilę, by obejrzeć się za prześladowcami. Jak okiem sięgnąć, nie było widać nikogo. Nie zdziwiło jej to. Nawet jeśli zauważono jej nieobecność, początkowo nie powinna nikogo zaniepokoić. „Gdzie też podziewa się znowu ta leniwa murzyńska dziewucha?" – pomyśli pewnie sinhazinha albo wymruczy poirytowana: „Nigdy nie ma jej, gdy jest potrzebna!". Mogły upłynąć całe godziny, nim zaczną jej szukać.

Przy odrobinie szczęścia zdoła w kilka godzin dotrzeć do miasta. Tam, jak uznała, będzie jej łatwiej ukryć się w tłumie czarnych i Mulatów, w każdym razie łatwiej, niż przeżyć w dżungli. Nie przewidziała jednak, że drogi rozmiękną po deszczu i że na przeszkodzie stanie jej bujna wegetacja. Co kilka kroków na drogę wystawała długa gałąź, którą musiała omijać, a wiele drzew miało tak gęste i szerokie korony, że tworzyły prawdziwy dach. W zasadzie był to powód do zadowolenia, ponieważ liście zapewniały cień. Jednak na myśl o tym, jakie zwierzęta mogą się w nim kryć i w każdej chwili rzucić się na nią podstępnie, Lua dostawała ze strachu gęsiej skórki. Biegła więc coraz szybciej. Dyszała ciężko i czuła ostre kłucie w boku, nie odważała się jednak przystanąć, by pozwolić sobie na chwilę wytchnienia.

Tylko wtedy, gdy zobaczyła kogoś na drodze, padała na poszycie, gdzie jej strach przed zwierzętami był niemal silniejszy niż przed

prześladowcami. Któż mógł wiedzieć, co też roi się na ziemi, co mogło ją ugryźć albo ukłuć w nagie stopy? A ile mnożyło się tu wstrętnych owadów? Lua słyszała o komarze przenoszącym jednym ukłuciem robaka, który z kolei przemieszczał się przez ludzkie ciało i wypełzał oczami. Na myśl o tym, że taki potwór mógłby się w niej zadomowić, łzy obrzydzenia napływały jej do oczu. Gdyby miała pojęcie o ludzkiej niegodziwości, której rozmiarów nie mogła jeszcze pojąć, zapewne jej łzy popłynęłyby strumieniami. Jednak w swoim do tej pory spokojnym i bezpiecznym życiu tylko niekiedy miała powody, by wierzyć w zło tkwiące w ludziach. Do niedawna.

Wędrowała dalej. Gdy słońce stało już tak nisko, że oślepiały ją promienie, dostrzegła w oddali sylwetki kościołów, których było w Salvadorze wiele. Serce jej podskoczyło, zarówno z radosnego oczekiwania, jak i dręczącego niepokoju. Czy ucieczka się powiedzie? Czy zdoła bez przeszkód dotrzeć do miasta i ujść przed groźbą poślubienia Lulu? Dopiero teraz zaczęła zastanawiać się, dokąd pójdzie i gdzie spędzi noc. Nie znała tu żywej duszy, nie miała pieniędzy i była zupełnie niedoświadczona. Nie orientowała się w obyczajach mieszkańców miast, a labirynt ulic nie wydawał się jej bezpieczny. Jak mogła uciec tak bez zastanowienia? Czyżby postradała zmysły?

Nachodziły ją coraz większe wątpliwości, czy pospieszna ucieczka była mądrym posunięciem. Napotykała ludzi o różnych kolorach skóry i miała wrażenie, że wszyscy spoglądają na nią nieufnie. Czy była ubrana inaczej niż miastowi? Czy inaczej wyglądała? Czy pachniała wsią? Zachowywała się inaczej? Spojrzała po sobie, ale pomimo nieco zaniedbanego wyglądu nie dostrzegła dużej różnicy między sobą a kobietami, które widziała wokół. Jedno mogło ją jednak zdradzić – szła boso. Wolni czarni mogli nosić buty, niewolnicy nie. Ale czy bose stopy musiały świadczyć, że jest uciekinierką? Mogła być przecież niewolnicą, którą państwo wysłali z jakąś wiadomością, prawda? Wielu niewolników, zwłaszcza w mieście, cieszyło się takimi swobodami, jeśli okazali się godni zaufania i wierni.

Słońce właśnie zachodziło, gdy Lua dotarła do wąskich, brukowanych uliczek w centrum Salvadoru. Była zmęczona, a wzgórza, na których zbudowano miasto, dawały się jej we znaki. Niektóre uliczki były tak strome, że musiała raz po raz przystawać, by złapać oddech i otrzeć pot z czoła.

– Hej, coś taka sama dziś wieczorem? – zagadnął ją nagle jakiś plugawy typ, Mulat, który, sądząc po ubraniu, mógł być zamożnym rzemieślnikiem. Lua wbiła wzrok w ziemię i pospiesznie poszła dalej. – Wytworna domowa niewolnica, co? – zawołał za nią mężczyzna. – Za dobra dla takiego ciężko pracującego człowieka jak ja...

Nie słyszała reszty jego słów. Weszła do pierwszej lepszej gospody, ale nie okazało się to dobrym pomysłem. Przy dużym stole, usianym

zaschniętymi plamami, siedzieli, wisieli i leżeli mężczyźni w różnych stadiach upojenia. Pachniało intensywnie alkoholem i moczem. Niektórzy obecni, znudzeni, podnieśli wzrok, inni rzucili jakieś sprośne uwagi, po których wybuchli wulgarnym śmiechem. Ciemnoskóra dziewka naskoczyła ostro na Luę:

– Znikaj stąd. To nie twój rewir!

O Boże! Czyżby trafiła do domu publicznego? Lua słyszała tylko, jak szeptem rozmawiano o takich przybytkach, i nigdy nie umiała sobie ich wyobrazić. Wyprostowała się dumnie i szybko opuściła podejrzany lokal. Na zewnątrz niebo przybrało już ciemnofioletowy odcień. Odetchnęła. Uff, udało się! Uczucie ulgi nie trwało jednak długo. Alejką spacerowała grupa młodzieńców. Zachowywali się prowokująco swobodnie, szli niedbale, ubrani w nazbyt jaskrawe stroje. Zagapili się na Luę, jakby ujrzeli nadzmysłowe zjawisko, a ona odwzajemniła spojrzenie, choć, jak się obawiała, przypominała raczej przestraszonego zajączka wpatrującego się w węża, niezdolnego do innej reakcji.

– No, no, nowa twarz w Pelourinho – powiedział przywódca grupy celowo znudzonym tonem.

– Raczej nowe ciało – poprawił go drugi. – Nie wygląda wcale źle.

– Nie, nie, mylicie się – wyjąkała Lua i odbiegła, goniona drwiącym śmiechem nieokrzesanych chłopaków.

Zdyszana, zatrzymała się w wejściu do kościoła. Och, w jakie kłopoty się wpędziła! W tej dzielnicy w żadnym razie nie mogła zostać, ale o powrocie do domu nie miała nawet co myśleć. Czy pomogą jej w kościele? Nacisnęła klamkę i naparła na olbrzymie drewniane drzwi, jednak najwyraźniej były zamknięte. Ostrożnie obeszła budynek z nadzieją, że znajdzie księdza albo przynajmniej kościelnego, który udzieli jej pomocy. Może znajdował się tu jakiś żeński klasztor, gdzie zapewniono by jej schronienie?

Gdy jednak dotarła do niepozornej przybudówki kościoła, straciła wszelką nadzieję. Wszystko było ciemne i wydawało się opuszczone. Czuła się tu jeszcze niepewniej niż wcześniej. Postanowiła wrócić na niebezpieczną co prawda, ale przynajmniej nie tak pustą ulicę. Wyjrzała ostrożnie za róg, by sprawdzić, czy nie zbliżają się jakieś podejrzane postacie. Po krótkiej chwili, gdy zbierała się na odwagę, uznała, że jest dość bezpiecznie, by wyłonić się z cienia przy murze, i wpadła na dwóch strażników, którzy właśnie skręcili za róg.

– No, no, kogóż tu mamy? – spytał jeden i popatrzył na nagie stopy Lui. – Chyba zbiegłą niewolnicę?

– Nie, sinhó, co też panu przychodzi do głowy?! – zawołała z udawanym oburzeniem. Cieszyła się, że zachowała przytomność umysłu. – Sinhá dona Isabel posłała mnie, żebym wezwała doutora Azevedo. – Wiedziała, że gdzieś w mieście mieszka doktor Azevedo.

A jakaś dona Isabel także musiała istnieć, było to bardzo popularne imię.

– A co robisz w tym ciemnym zaułku? – spytał drugi strażnik, wyraźnie sceptycznie.

– Zgubiłam się. Potem nagle zrobiło się ciemno i nadeszli dziwni mężczyźni, a później... – Lua załkała szczerze, ponieważ z wyjątkiem powodu jej przebywania w tym miejscu wszystko było prawdą. – Chciałam poszukać schronienia w kościele, ale drzwi są zamknięte. – Po twarzy pociekły jej łzy.

– Czy masz przepustkę?

Przepustkę! Lua chciała wymierzyć sobie policzek za to, że o tym nie pomyślała. Sama mogła przecież sobie ją wystawić, ponieważ wątpiła, żeby ci dwaj potrafili czytać na tyle dobrze, by zauważyć, że mają do czynienia ze sfałszowanym dokumentem.

– Nie. – Załkała. – Spieszyłam się, bo sinhá dona Isabel przewróciła się nagle i wszyscy ogromnie się przestraszyliśmy. Nikt nie pomyślał o przepustce.

– No, no... – Drugi strażnik wciąż wpatrywał się w Luę uważnie. Czyżby jej nie wierzył?

Serce Lui biło w piersi tak mocno, że bała się, iż ci dwaj zobaczą, jak podskakuje. Do diaska! Co będzie, jeśli ją aresztują? Wieść, że z São Fidélio zbiegła niewolnica, wcześniej czy później dotrze również do Salvadoru. A wtedy będzie z Luą naprawdę źle. Musiała szybko wymyślić coś naprawdę przekonującego, by ci dwaj puścili ją wolno. Ze zdenerwowania paplała jednak gorączkowo i bez namysłu, więc z każdym słowem wzrastało niebezpieczeństwo, że prawda wyjdzie na jaw.

– Sinhô, tak było, jak mówię. Sinhá dona Isabel nagle zrobiła się czerwona na twarzy i chwytała powietrze jak ryba na brzegu, a potem tak dziwnie się trzęsła, a potem upadła, a jej biedna głowa uderzyła głośno o piękny lśniący parkiet, który jeszcze wczoraj wyfroterowałam z Fernandą...

– Cisza! – zagrzmiał surowszy z dwóch strażników. – Powiedz nam, jak masz na imię i kim są twoi państwo. Odprowadzimy cię do doktora, bo powinien szybko zająć się twoją senhorą, prawda?

– Tak, panie strażniku, bardzo dobrze. Przepraszam, jestem tylko głupią niewolnicą, ale jedynie do mnie mają tyle zaufania, by posłać mnie do miasta, bo woźnica akurat jest w drodze, więc poszłam zupełnie sama...

– Zamknij się teraz. Zabieramy cię do doktora. Opowiesz mu tę całą historię, gdy będziesz jechać z nim powozem. Skąd w ogóle przychodzisz?

– Z Santa Clara, to jest...

– Wiemy, gdzie to jest. A teraz chodź.

Lua poszła za strażnikami. Cieszyła się, że tak szybko przyszła jej do głowy nazwa dużej fazendy, która leżała bliżej miasta niż São Fidélio, więc jej opowieść wydawała się prawdopodobna. Mimo to nie mogła przecież stracić czujności i musiała nadal wykazywać się wyobraźnią. Wydawało się, że jej uwierzyli, i to była jedyna szansa, by zdołać im uciec.

Dom lekarza stał niedaleko. Gdy znaleźli się przed drzwiami i zadzwonili, Lua nadal zastanawiała się gorączkowo, jak przekonać doktora do swej naprędce zmyślonej bajki. Okazało się to jednak niepotrzebne. Jakiś przechodzień, brodaty, postawny jak szafa Mulat, zatrzymał się i obejrzał Luę od stóp do głów, gdy stała między strażnikami. Znał najwyraźniej ich dwóch, bo przywitał ich jowialnie:

– No, Luís! Kopę lat, stary druhu! A ty, José, jak ci się wiedzie? Dawno już nie byłeś w Czerwonym Salonie, co? Zajrzyj kiedyś do nas, gdy znajdziesz czas.

– Witaj, Paulo. Ty też się tam nie pokazywałeś ostatnio.

– Goniłem zbiegłego Murzyna, tego z São Fidélio, ale już po nim, możecie mi wierzyć. Gdyby jeszcze żył, dopadlibyśmy go.

Wstrząśnięta Lua z trudem utrzymała się na nogach, gdy usłyszała nazwę swojej fazendy.

– A kogóż tu macie? – Brodacz skinął na Luę. – Pacjentkę dla doktora, ha, ha?

– Twierdzi, że się zgubiła – odparł jeden ze strażników. Wydawał się niemal zawstydzony, że gotów był pomagać młodej Murzynce.

– Niech cię obejrzę dokładniej, dziewczyno. – Paulo Barbudo chwycił Luę za podbródek i uniósł go w górę.

Lua spuściła wzrok i modliła się, by ktoś z domowników wreszcie podszedł do drzwi i otworzył. Tak się jednak nie stało. Wszyscy najwyraźniej byli poza domem.

– Wiecie co? – zaproponował Paulo. – Sądzę, że znam tę małą. Zostawcie ją pod moją opieką, a będzie jej lepiej niż w więzieniu.

Obaj spojrzeli po sobie i lekko skinęli głową. Mieli długi u Paula Barbudy. Oto nadarzała się niepowtarzalna okazja, by wyświadczyć mu przysługę, która nic nie kosztowała i która zdjęłaby z nich wielki ciężar. Choć kolekcjonerzy długów brodacza nie wywierali szczególnego nacisku na policjantów, od pewnej kwoty, jeśli człowiek nie mógł uregulować swoich zobowiązań, zaczynało mu towarzyszyć niemiłe uczucie. Co się stanie z Murzynką, było im zupełnie obojętne. W domu publicznym „żony" Paula nie będzie jej gorzej niż w Santa Clara, która uchodziła za jedną z najgorszych fazend dla niewolników.

– No dalej, ruszaj! – nakazał Paulo szorstko dziewczynie.

Lua nie wiedziała, czy została uratowana, czy trafiła z deszczu pod rynnę. Cóż jednak mogła uczynić? Nie mogła przecież prosić strażników, żeby nie zostawiali jej pod opieką łowcy niewolników,

ponieważ naprawdę jest uciekinierką. Opornie ruszyła za Barbudą, który wylewnie i serdecznie pożegnał się z urzędnikami.

Ledwo znaleźli się poza zasięgiem wzroku policjantów, Paulo przystanął.

– A więc, Lua... – zagadnął dziewczynę i uważnie obserwował jej reakcję.

Lua, wciąż bardzo zdenerwowana w wyniku nieszczęśliwego ciągu wydarzeń, które ją spotkały, oraz wieści, że Zé najwyraźniej zniknął, dygnęła i odpowiedziała głupio:

– Tak, sinhó? – W tej samej chwili zrozumiała, jaki błąd popełniła. Brodacz nie mógł przecież znać jej imienia!

– Masz wybór. Zabiorę cię do pięknego, zadbanego burdelu, gdzie będziesz dobrze zarabiać i za kilka lat będziesz mogła się wykupić, albo pojedziemy do São Fidélio, gdzie za twoją głowę wyznaczono ładną sumkę. Mnie jest obojętne, co zdecydujesz.

Lua z przerażenia zmieniła się w słup soli. Mnóstwo pytań krążyło jej po głowie. Jak ten mężczyzna zdołał tak szybko odkryć, kim była? Dlaczego, gdy przyszło co do czego, poniosła taką porażkę? A przede wszystkim co powinna teraz zrobić? Powrót do São Fidélio był wykluczony, jeszcze gorsze było jednak wyobrażenie, że będzie musiała pracować w burdelu. Chciała rzucić się przed tym człowiekiem na kolana i skomleć o łaskę. Została jej jednak resztka dumy i godności, próbowała więc dalej grać.

– Myli się pan, sinhô. Nie jestem tą, za którą mnie pan bierze. Muszę wezwać lekarza do Santa Clara. Jeśli zna pan tę fazendę, może pan wiedzieć, co mi grozi, jeśli nie wrócę jeszcze w nocy.

– A zatem dom rozpusty – odparł Paulo niewzruszony. – Wyglądasz całkiem nieźle. Jeśli zdejmiesz fartuch i czepek... – Chwycił czepek Lui, by go zdjąć i obejrzeć jej włosy.

Lua instynktownie odtrąciła jego dłoń.

– Co panu przychodzi do głowy? – Odwróciła się i chciała uciec, ale postawny mężczyzna był zręczniejszy, niż wyglądał.

Błyskawicznie chwycił Luę za nadgarstek i przytrzymał w żelaznym uścisku. Gdy odezwał się, jego ton był teraz znacznie bardziej szorstki.

– Nie toleruję nieposłuszeństwa. Będziesz robić, co ci każę, w przeciwnym razie pożałujesz.

Potem pociągnął ją ulicą, coraz głębiej w straszny labirynt nieoświetlonych uliczek, wzdłuż podejrzanych szynków, skąd dolatywały paskudne wyziewy, mrocznych bram, w których ściskały się pary, i stosów śmieci usypanych w rynsztoku.

Gdy dotarli do celu, Lua poczuła niemal ulgę, że grubianin wreszcie przestał ją ciągnąć i że pijacy nie spoglądają już na nią pożądliwie. Weszli do domu rozpusty tylnymi drzwiami. Została najpierw zaprowadzona do kuchni, gdzie Paulo przekazał ją ślicznej, jasnoskórej

Mulatce.

– Przyprowadziłem świeże mięso. Daj jej coś do jedzenia i picia, dziewczyna jest wyczerpana. Pokaż jej, gdzie jest wychodek i gdzie może się umyć, a potem zamknij ją gdzieś, gdzie będzie mogła odpocząć. Później zobaczymy.

To powiedziawszy, wyszedł z kuchni.

Lua, łkając, opadła na stołek i nie powstrzymywała już potoku łez. Skrzyżowała ręce na kuchennym stole, oparła na nich głowę i tak w końcu zasnęła.

23

Przyszli we troje, dwóch mężczyzn i kobieta. Dopiero po chwili Mbómbo ich rozpoznał – byli to niewolnicy z Três Marias. Dawniej nie utrzymywał z nimi bliskich stosunków, ale teraz, po tygodniach samotności, wydali mu się najlepszymi przyjaciółmi, jakich kiedykolwiek miał. Oni czuli podobnie; byli wycieńczeni, ale przeszczęśliwi, że tu dotarli.

– Zé! Nie śmieliśmy nawet marzyć, że cię znajdziemy! – zawołał jeden z nich, który, jak przypomniał sobie teraz Mbómbo, miał na imię Luizinho.

– O Boże! – wysapała kobieta, niejaka Maria Luisa, zwana Marilu. – Nie zaszłabym już ani kroku dalej. Spójrz tylko na moje stopy! – Pokazywała swoje zaczerwienione odciski niczym trofea.

– Czy jest tu coś do jedzenia? – chciał wiedzieć trzeci, który miał na imię João. – Od trzech tygodni jesteśmy w drodze i żywilimy się wyłącznie rybami i mięsem leniwca.

Mbómbo powitał przybyszów radośnie, poprosił, by usiedli przy palenisku, i przygotował im herbatę z kory drzewa catuaba, posłodzoną dzikim miodem. Napój miał ożywcze działanie i na pewien czas pozwoli nowo przybyłym zapomnieć o głodzie. Mbómbo obawiał się, że jego mały zapas suszonego mięsa tatu nie wystarczy dla wszystkich, nie nazbierał także dość owoców. Później wszyscy więc będą musieli wyruszyć, by coś ubić i uzbierać.

– Co was spotkało? Jak udało się wam uciec? – spytał. Nie wyobrażał sobie, by we troje posłużyli się tym samym wybiegiem co on. Gdyby musiał całymi dniami siedzieć w ciasnej dziurze w ziemi z dwojgiem innych ludzi, chybaby umarł.

– To było ekscytujące – powiedziała Marilu.

– Ach, nawet łatwiejsze, niż przypuszczaliśmy – wtrącił João. – Dzięki tej starej wiedźmie z São Fidélio.

– Ma na imię Kasinda – przypomniał Mbómbo.

– Nie, Imaculada – poprawił go Luizinho.

– Jej afrykańskie imię to Kasinda. Tak jak moje Mbómbo. Teraz, kiedy jesteśmy wolni...

Nie dokończył. Trójka nowych przybyszy wybuchła głośnym śmiechem.

– Bombom! – wołali raz po raz. – Bombom – jak wspaniale! – I parskali śmiechem.

– No cóż, Zé, sądzę, że zbyt długo już byłeś sam – rzekł João. – Możesz się cieszyć, że w końcu tu dotarliśmy.

On jednak się nie cieszył.

Ogarnęło go niejasne przeczucie nadchodzącego nieszczęścia, niedobre wrażenie, że nadszedł kres spokojnych dni.

Niecały tydzień później doszło do pierwszej poważnej sprzeczki między czworgiem mieszkańców młodej osady. Poszło o to, jak ją nazwać. Zé – który przywykł już, że znowu wołają na niego niewolniczym imieniem – powiedział, że ma już nazwę, która brzmi Iriuanu, co w języku Indian oznacza cud. Pozostali pokręcili głowami i zarzucili mu, że tej indiańskiej nazwy nie da się wymówić.

– Z całym szacunkiem dla twojego Iriniri, Zé, ale czy nie powinniśmy raczej wybrać przyzwoitej portugalskiej nazwy?

– Może Santa Ursula? – spytała Marilu.

I ta nazwa nie znalazła uznania większości, ponieważ nie chcieli sprowadzić na siebie śmierci od strzały, co spotkało tę świętą.

– Ja jestem za ródłem Szczęścia – rzekł João.

– Raczej ródłem Nieszczęścia – skomentował Luizinho.

Padło wiele innych propozycji, niektóre sensowne, inne głupie. Dyskutowali tak długi czas, aż wesoła na początku rozmowa zaczęła przeradzać się w kłótnię.

Zé postanowił postawić na swoim i zakończyć tę dziecinną sprzeczkę.

– Liberdade. Wolność. Tak je nazwiemy. Quilombo da Liberdade.

– Ach tak?

– Tak. Uważam, że jako wasz przywódca mam prawo ochrzcić naszą osadę. A ta nazwa jest piękna. Co macie przeciwko niej?

– Nic – odparł João. – Ale od kiedy to jesteś naszym przywódcą?

– Odkąd tu przybyliście. Beze mnie nie dalibyście sobie rady.

– Bzdura! – syknął Luizinho. – To przecież ty nam zawdzięczasz ratunek. Niewiele brakowało, a postradałbyś tu zmysły. Bombom, to mi dopiero!

– Jeśli wam to nie odpowiada, ruszajcie dalej. Załóżcie swoje własne quilombo.

– Zwariowałeś?! – zawołał João. – Może nam się udać tylko wtedy, jeśli zostaniemy razem.

– Nieprawda. Wam może się udać tylko wtedy, jeśli dołączycie do mnie. Ja natomiast wcale was nie potrzebuję.

– Za kogo właściwie się uważasz? Bombom, król Hotentotów? Rany, to przecież chore!

Zé popatrzył na Luizinha z nieprzeniknioną miną. Miał wielką ochotę sprać tego typa na kwaśne jabłko. Najpierw zjawiał się, błagając o pomoc. Potem okazał się równie leniwy, co tchórzliwy, więc nie brał udziału w polowaniach, ale miał największy apetyt z nich wszystkich. W dodatku obrażał go i wyśmiewał Afrykę, ich rodzinną ziemię. Ten głupiec naprawdę niczego nie pojmował.

Im dłużej Zé milczał, tym większą niepewność wyrażała mina Luizinha. Czy pozwolił sobie na zbyt wiele? Czy Zé go teraz odeśle? Ale nie, nie zrobi tego przecież tylko przez głupi żart, prawda? Zé nadal milczał.

– No dobrze – westchnął Luizinho. – Więc jesteś naszym przywódcą. Wszystko mi jedno. Możesz też nazwać naszą nędzną wioskę Liberdade. Jest mi to obojętne.

– Ale mnie nie – oświadczył João. – Jeśli on chce żyć tak jak małpy w Afryce, powinien trzymać się ich zasad. A tam decydują najstarsi, prawda, Zé?

Zé niemal krew zalała. Afrykańskie małpy?! Co ten głupiec sobie wyobrażał? Że kim byli jego przodkowie?

– Wystarczy, João. Możecie żyć tu według moich zasad, ale nie oczekujcie, że pozwolę dowodzić sobą komuś, kto uważa się za potomka małp.

– Nazywasz mnie małpą? Tak? – W głosie João wyraźnie słychać było groźbę. – Więc to tak? Poczekaj no, pokażemy ci, kto tu jest małpą. – Zamachnął się do ciosu. Jednak gdy jego prawa ręka wylądowała tam, gdzie powinien być podbródek Zé, natrafiła tylko na powietrze. Rozejrzał się zdumiony i ledwo poczuł lewą stopę Zé na swoim ramieniu, a już leżał na ziemi.

Wściekły, wstał i sięgnął obiema rękoma do gardła Zé. Jego przeciwnik jednak ponownie wywinął się szybko i wymierzył teraz celny kopniak w brzuch przeciwnika. João pochylił się i z jękiem opadł na kolana. Jego twarz była tak wykrzywiona z gniewu i bólu, że trudno w niej było dostrzec ludzkie rysy.

– Przestańcie! – krzyknęła Marilu. – Na miłość boską, przestańcie! Na razie jesteśmy tylko we czworo. Jeśli nie potrafimy się teraz porozumieć, co będzie, gdy dołączą do nas inni?

Trwało chwilę, nim treść jej słów dotarła do świadomości rozjuszonych walczących. Potem jednak zrozumieli, że argument Marilu jest nie do podważenia. Zé wstydził się nieco za swój brak opanowania, natomiast João wydawał się raczej odczuwać ulgę, że nie musi dłużej się bić, bo całkowicie by się skompromitował.

– Masz rację – powiedział Zé do Marilu.

João mruknął coś niechętnie, ale nie zaprzeczył jego słowom.

Luizinho skinął głową.

– Tak, musimy się tolerować. Może zagłosujemy, kto powinien być przywódcą?

– Może być – powiedziała Marilu, a dwaj pozostali pokiwali głową. – Ja zatem głosuję za Zé – ciągnęła. – Najlepiej zna tutejsze warunki i zaprzyjaźnił się z Indianami. To więcej, niż możecie o sobie powiedzieć wy dwaj. – Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, by samej ubiegać się o stanowisko. – Kto jeszcze głosuje za Zé?

Zé i Luizinho unieśli ręce.

– No, to sprawa wyjaśniona – stwierdziła zadowolona Marilu. – A teraz ruszajcie, wy trzej bohaterowie, na polowanie! Przynieście mi tłuste łupy, żebym wieczorem mogła was nakarmić do syta.

Nikt nie wątpił, że Marilu jako jedyna kobieta w grupie powinna zająć się gotowaniem, i wszyscy byli z tego zadowoleni, bo pomimo braku zwykłych składników udawało się jej przygotowywać w miarę smaczne posiłki. Również ubrania ich wszystkich wyglądały znowu czyściej, a wokół paleniska zrobiło się niemal wygodnie. Marilu regularnie zamiatała placyk, na którym mężczyźni ustawili pień przewróconego drzewa jako ławkę. Poza tym zrobili daszek z liści, ponieważ często padał silny i niespodziewany deszcz.

Troje nowych przybyszów zbudowało sobie podobne chaty jak wcześniej Zé, każdy dla siebie. Marilu wydawała się co prawda bliżej zaprzyjaźniona z Luizinhem, ale nie żyli ze sobą jak małżeństwo. Zé martwił się nieco, że brak innych kobiet zacznie po dłuższym czasie niekorzystnie wpływać na nastroje. Miał jednak nadzieję, że Kasinda skieruje tu więcej osób, w tym również kobiety. Z drugiej strony potrzebowali oczywiście mężczyzn, bo gdy tylko rozejdzie się wieść o istnieniu quilombo w tej okolicy, usłyszą o tym także urzędy, i prawdopodobnie wyślą żołnierzy. Wobec przewagi liczebnej i bagnetów małe, przyjaźnie nastawione do uciekinierów indiańskie plemię nie mogło nic wskórać. Nie zostawało im nic innego, jak uzbroić się po zęby i wykorzystać swoją wiedzę oraz znajomość okolicy.

Dopóki mieszkają tylko we czworo, władze nie zorganizują wielkiej wyprawy, by ich pojmać. Kiedyś wszakże, gdy spełni się marzenie Zé o dużej wiosce, trzeba będzie się liczyć z atakiem żołnierzy. Do tej pory zarobią jednak na handlu nieco pieniędzy, które będą musieli zainwestować w broń, najlepiej palną. A może lepsze będą łuki, toporki i dzidy? Wtedy przynajmniej nie zamoknie im proch, a łuki i dzidy były znacznie łatwiejsze w użyciu niż strzelby. Żadne z nich nie miało przecież nigdy w ręku broni palnej, ponieważ jako niewolnicy nie mogli nawet używać noży, chyba że potrzebowali ich do wykonywania pracy.

Przydałby się kowal – pomyślał Zé. W senzalach w Recôncavo, rejonie wokół stolicy, było wielu dobrych rzemieślników i należało ich tu przyciągnąć. Jak osada zdoła kiedykolwiek stać się czymś więcej niż

prymitywnym zbiorowiskiem chat, jeśli nie było tu kowali i murarzy, garbarzy i stolarzy, młynarzy, bednarzy i tkaczy? Polowi niewolnicy nie wystarczą, a już na pewno nie wtedy, gdy są tak pozbawieni wyobraźni jak João i Luizinho. Samą siłą fizyczną daleko nie zajdą.

Takie myśli krążyły stale po głowie Zé i żałował, że nie może poświęcić na nie więcej czasu i opracować dokładnych planów. Czasu jednak nie miał. Z wyjątkiem nocy pracowali bowiem nieustannie, dwanaście godzin dziennie, przez siedem dni w tygodniu. Wieczorami Zé był zbyt zmęczony, by jasno myśleć. Zastanawiał się jednak wciąż nad kwestią, jak zdobyć wykwalifikowanych rzemieślników. Wielu z nich cieszyło się poważaniem swoich właścicieli, niektórym pozwalano nawet zarabiać drobnymi dodatkowymi pracami. Jaki bodziec mieli więc niewolnicy, którzy wcale nie czuli się zniewoleni, by uciekać w dzicz? Co czekało ich tu poza pracą, głodem i samotnością? Ach, muzycy! Tych też potrzebowali – przyszło mu nagle do głowy. Cóż było bowiem milszego, niż siedzieć wieczorem wokół ognia i słuchać pięknej pieśni lub śpiewać! Potrzebowali również lekarza. Roje komarów i wilgotny klimat dawały się im bardzo we znaki i powoli potwierdzało się podejrzenie Zé, że Marilu zapadła na paskudną tropikalną gorączkę.

Zaczęło się od dreszczy i bólu w stawach, na które młoda kobieta nie zważała. Potem wyglądało na to, że przetrwała chorobę, aż nagle tak bardzo osłabła i zaczęła gorączkować, że pomimo najlepszych chęci nie mogła wykonywać żadnej pracy. Gdy zaczęła pluć krwią, mężczyźni starali się trzymać się od niej z daleka, bo nikt nie mógł sobie pozwolić na to, by zachorować. Marilu słabła coraz bardziej, Zé udał się więc do Indian, choć znał ich sceptyczne nastawienie wobec małej osady. Dali mu proszek, który miał rozpuszczać w gorącej wodzie i podawać pacjentce, ale Zé nie wierzył, że ten środek zadziała.

Tak się wszakże stało. Po tygodniu Marilu zaczęła zdrowieć i wszyscy odetchnęli z ulgą. Nie byłby to dobry omen, gdyby stracili kogoś na tak wczesnym etapie nowego życia. Stale towarzyszyło im jednak takie ryzyko. Do tej pory mężczyznom nie przytrafiło się nic gorszego niż na przykład zerwanie paznokcia u nogi, gdy potknęli się o korzeń, albo swędząca wysypka po dotknięciu trującego krzewu, a trzeci z nich, właśnie Zé, padł ofiarą całej gromady pijawek. Takie rzeczy zdarzały się tu ciągle i gdyby wszyscy czworo nie byli młodzi i silni, z pewnością mieliby więcej powodów do trosk.

Naprawdę martwiły jednak Zé inne zajścia. João spotkał kiedyś w lesie indiańską dziewczynę i napastował ją, co położyło się cieniem na relacjach zbiegów i plemienia.

– Ale ta mała była ostra jak chili – wspominał João. – I chciała tego.

Na szczęście nie zgwałcił jej, ale tylko dlatego, że w ostatniej chwili pojawiło się kilka innych dziewcząt i wspólnie odpędziły napastnika.

Innym razem Luizinho wrócił z polowania ze wspaniałą, grubą kapibarą.

– Leżała w dziurze, musiałem ją tylko wyciągnąć – chwalił się. Głupawy typ nie wpadł na to, że „dziura" była pułapką wykonaną przez Indian, którym ukradł łup. – Ależ skąd! Zwierzę leżało tam na pewno już długi czas. Gdybym go nie zabrał, zdechłoby.

Zé zaniósł wielkiego gryzonia do wodza Apoeny i serdecznie prosił o wybaczenie. Dobre stosunki z Indianami Tupinambá były decydujące dla przetrwania mieszkańców murzyńskiej osady.

On sam oczywiście też popełniał błędy. Długo nie mógł sobie wybaczyć, że z głodu ustrzelił z łuku małpkę, której mięso, jak wiedział z doświadczenia, nie było smaczne, ale którą umiał trafić. Nie mogli być wybredni. Była to jednak samiczka w zaawansowanej ciąży, a gdy Marilu patroszyła zwierzę i odkryła płód, o mało nie zemdlała. Posiłek nie smakował nikomu, a następnego dnia musieli w dodatku poradzić sobie z odpędzeniem agresywnego samca.

Do tych wszystkich trudności, jakie wiązały się z życiem w dżungli, dochodziły pragnienia, nad którymi wszyscy chętnie i długo lamentowali.

– Dużo bym dał za kawę z mlekiem i cukrem! – marzył głośno Luizinho.

– I za piękne cygaro! – dodał João.

– Mnie brakuje muzyki – wyznał Zé.

– A mnie pogawędek z innymi kobietami – zwierzyła się Marilu.

Brakowało im poza tym soli, chleba, nabiału, płótna i przędzy, narzędzi, sprzętów domowych, czyli garnków, talerzy czy choćby tary do prania. Tęsknili za słodkimi owocami, które dojrzewały na słonecznych polach, ale nie w wiecznym półmroku lasu. Chętnie pocieszaliby się w smutne wieczory wódką z trzciny cukrowej i oddaliby dużo za słodkie, soczyste ciastko kokosowe.

Również Zé z trudem znosił wyrzeczenia. Oczywiście, można tu było przeżyć. Ale cóż to za życie, gdy nie mieli nic oprócz dachu z liści nad głową, przepaski na biodra jako ubrania i bardzo ograniczonych produktów spożywczych? Któż wytrzymałby tak przez dłuższy czas? Gdy Marilu pewnego dnia porozmawiała z nim w cztery oczy, Zé nie zdziwił się wcale tym, co usłyszał.

– Nie wiem, czy wolność bardzo mi się podoba – powiedziała. – Chciałabym znowu porozmawiać z Aną, wypalić fajkę i wychylić kieliszeczek. Skręca mi się żołądek, gdy tylko pomyślę o pysznej moquece albo bolo de banana, a nocą chcę spać spokojnie w moim hamaku i nie budzić się na każdy dźwięk, ze strachu, że atakuje mnie jaguar. Chcę znowu nosić biały, wykrochmalony fartuch i szczerze mówiąc, chciałabym nawet zobaczyć popisy ślicznej senhory z Casa Grande, mimo że miała dla nas tylko krytyczne słowa.

Zé wpatrywał się z zamyśleniem w swoje dłonie i milczał.

– Jesteś oburzony? – dopytywała się Marilu. – Sądzisz, że nie zasługuję na wolność?

– Ach, Marilu – westchnął Zé. Nie wiedział, co odpowiedzieć młodej kobiecie. Że ją rozumie? Że smuci go to, co życie w niewoli, w połączeniu z minimalnymi wygodami, robiło z ludźmi? Że choć uważał się za silnego i niezłomnego, również u siebie dostrzegł podobne oznaki? Czy miał jej raczej przemówić do sumienia, przedstawić wolność w pięknych barwach i namalować świetlaną przyszłość? Czy mógł to zrobić z czystym sumieniem? – Wiesz, Marilu – rzekł w końcu – mnie też brakuje wielu rzeczy z dawnego życia.

Poczuł, że odetchnęła z ulgą i opuściła napięte ramiona.

– Wiem, że tu jest dość ciężko. Ale zawsze, gdy już wydaje mi się to nie do wytrzymania, wyobrażam sobie, jak jedno z nas stało przy pręgierzu czy było chłostane. A wtedy mówię sobie, że wolę umrzeć w paszczy dzikiego zwierza, bo wtedy moja śmierć przynajmniej będzie miała sens, napełnię żołądek innej istoty. Ale jaki sens ma ofiarowywanie własnego życia bogatemu senhorowi, którego brzuch i tak jest napchany?

– Hmm... – Teraz Marilu nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Przemyśl to. Jeżeli nadal będziesz uważać, że chcesz wrócić do domu, idź. Masz moje błogosławieństwo. Zastanów się jednak, co cię czeka po powrocie. Kara będzie surowsza niż wszystko to, co może nam się przydarzyć w lesie. Na pewno nie będziesz mogła już palić fajki z Aną.

Kobieta wybuchła płaczem. Nie miała odwagi wyznać Zé tego, co on i tak od dawna przypuszczał – że ucieczki nie przemyślała, że nie umiała wcześniej ocenić jej skutków. Teraz nie było już odwrotu. Wszyscy byli zależni od powodzenia eksperymentu Liberdade; stali się niewolnikami wolności.

24

Gdy Lua się obudziła, początkowo nie wiedziała, gdzie się znajduje. Potarła oczy, a potem nagle wszystko sobie przypomniała. Siedzi przy kuchennym stole w domu publicznym!

Miała obolałe plecy, bo spała w niewygodnej pozycji, na siedząco. Oczy ją piekły, ponieważ płakała tak długo, aż zasnęła. Stopy jej zesztywniały, gdyż pokonała bardzo długą drogę, tylko po to, by skończyć w tym miejscu. Znowu poczuła napływające łzy. Płacz jednak męczy, a Lua chciała zachować jasność umysłu. Potrzebowała wszystkich sił, by znaleźć wyjście z tragicznej sytuacji.

Rozejrzała się po zaskakująco porządnej i czystej kuchni. Była tu sama, ale jak długo jeszcze? Znajdowało się tu okno, które, jak się przekonała, wychodziło na małe podwórze. Czy mogła wydostać się tędy, a potem wziąć nogi za pas? Ale gdyby to było takie proste, czy zostawiliby ją tu samą? Obeszła pomieszczenie i odkryła obficie zaopatrzoną spiżarkę. Wyjęła napoczęty bochen chleba, odłamywała duże kawałki i łapczywie wpychała do ust. O Boże, jaka była głodna! Chwyciła kawał słoniny, położyła na stole, na którym leżała deska i nóż, odkroiła plaster i błyskawicznie połknęła.

Nóż! Początkowo potraktowała go wyłącznie jako narzędzie kuchenne. Nagle przyszło jej do głowy, że może służyć także do innych celów. Wsunęła go szybko od góry za spódnicę i miała nadzieję, że nie wypadnie przy byle ruchu. Z zewnątrz dobiegła ją cicha pogawędka i śmiech. Puls Lui przyspieszył. Liczyła na to, że upłynie trochę czasu, nim ktoś nadejdzie i zacznie jej szukać. Może ta śliczna Mulatka, którą widziała tu zaraz po przybyciu, wyszła tylko za potrzebą? Chwyciła szybko kilka produktów spożywczych, zawiązała ścierkę w tobołek, który wypełniła żywnością, i otworzyła okno. Wyrzuciła tobołek i nóż, aby mieć swobodę ruchów przy schodzeniu. Nóż uderzył o ziemię, wydając ogłuszający brzęk. Och, teraz, byle szybko! – upomniała samą siebie, bo ze strachu na moment zamarła.

Wyskoczyła, chwyciła tobołek i pobiegła do bramy, przez którą

wpadała poświata księżyca. Wydawało się, że to jedyne wyjście z podwórza. Gdy wyszła przez bramę, zobaczyła elegancki powóz, który zatrzymał się przed domem rozpusty. Obok stał brodacz! Przywitał klienta niczym starego, dobrego przyjaciela i zaczął zachwalać swój przybytek.

– Zdobyłem dziś coś nowego. Śliczna, schludna, czysta. Świetne maniery, w sam raz dla takiego cavalheiro jak pan. Będzie jednak kosztować ładną sumkę.

Lui zrobiło się niedobrze na myśl, że mowa właśnie o niej.

– Trzeba ją jednak trochę... hmm... przygotować – ciągnął Paulo Barbudo. – Może pan ją wziąć najwcześniej jutro, gdy już się wypłacze i będzie ładniej wyglądać.

Klient zaśmiał się lubieżnie. Wydawało się sprawiać mu przyjemność, że dziewczyna przeżywa męki, ponieważ znalazła się tu wbrew własnej woli i zmuszano ją do pewnych rzeczy, rzeczy, których Lua nie potrafiła sobie wyobrazić we wszystkich odrażających szczegółach.

– Założę się, że jest dziewicą. Stara Dora to sprawdzi. W takim wypadku cena byłaby oczywiście bardzo wysoka, co jednak dla człowieka pana klasy na pewno nie stanowi problemu. To przecież wielka przyjemność ujeżdżać takie młode, niedoświadczone stworzenie, prawda? Gdy się kryguje i krzyczy...

Klient oblizał wargi i chwycił się za krocze. Odpowiedział coś, zbyt jednak cicho, by Lua zrozumiała. Miała w głowie tylko jedno – uciec stąd, i to natychmiast! Na pewno nie odda się temu wstrętnemu lubieżnikowi, prędzej umrze. Pocieszała ją odrobinę jedynie myśl, że ów straszny człowiek nie mógł jej już rozdziewiczyć.

Obaj mężczyźni znikli w domu, jednak powóz nie odjechał od razu, ponieważ woźnica sprawdzał podkowę konia, w której najwyraźniej utkwił kamień, powodując ból zwierzęcia. Lua dostrzegła swą jedyną szansę. Podkradła się do powozu, ostrożnie i jak najciszej wdrapała się na występ, na którym zwykle przymocowywano bagaże, i chwyciła się mocno. Minęła nieskończenie długa chwila, nim woźnica wreszcie ruszył. Gdy powóz skręcał za róg, Lua usłyszała okrzyk dobiegający z domu:

– Gdzie się podziała ta nędzna szmata? Łapcie ją!

Zauważono jej zniknięcie.

Powóz zatrzymał się dopiero wtedy, gdy dawno zostawili za sobą miasto. Lua ledwo zdołała się utrzymać, ręce miała kurczowo zaciśnięte, nogi drżały jej z napięcia. Woźnica zsiadł i pociągnął za dzwonek przy bramie wejściowej do budynku, przed którym się znaleźli. Najwyraźniej był to klasztor. Woźnica zamienił kilka słów z zakonnicą, wyciągnął zza pazuchy mały tobołek i podał jej, a następnie wrócił do powozu. Gdy ruszył, Lua zeskoczyła. Mężczyzna

nie zauważył wcale pasażerki na gapę, więc nie będzie mógł zdradzić, gdzie Lua przebywa, jeśli go zapytają.

Gdy odjechał, na podjeździe przed klasztorem zapanowała zupełna cisza. Nie było nikogo widać i nie dało się niczego słyszeć, nawet przyroda wydawała się milczeć, aby nie przeszkadzać siostrom w pobożnej kontemplacji. Księżyc rozjaśniał piaszczystą drogę, a Lua miała wrażenie, że sama roztacza blask, tak wyraźnie musiała rzucać się w oczy w tym miejscu, w środku nocy. Podeszła do bramy i pociągnęła za dzwonek.

Trwało chwilę, nim ze środka dobiegło ją szuranie stóp. Odsunięto zasuwę, a potem drzwi uchyliły się nieco i najwyraźniej zagniewana kobieta spytała ponuro:

– Co się znowu stało, że zakłócasz naszą ciszę nocną?

– Och, ja... Bardzo przepraszam. – Lua spojrzała na zakonnicę, która z niedowierzaniem otwarła szerzej drzwi i wpatrywała się w nieproszonego gościa.

– Kim jesteś?

Lua postanowiła zaprezentować się z jak najlepszej strony. Dygnęła grzecznie i spuściła wzrok.

– Nazywam się Maria Fernanda – skłamała. – Ja... uciekłam z domu publicznego, gdzie... gdzie chcieli ze mną robić niewypowiedziane rzeczy.

– Och, biedne stworzenie! Wejdź do środka. – Zakonnica, która początkowo wydawała się nieżyczliwa, okazywała teraz niemal macierzyńską troskę wobec biednej upadłej dziewczyny, jaką sądziła, że ma przed sobą. Zaprowadziła ją do kuchni, kazała usiąść przy dużym stole i przygotowała dla niej kubek ciepłego mleka z miodem. – Jeszcze przed wschodem słońca chcę udać się na prymę, naszą pierwszą modlitwę, więc nie zostało mi dużo czasu na sen. Proponuję zatem, żebyś swoją smutną historię opowiedziała rano przełożonej.

Lua potaknęła gorliwie. Jak najchętniej – pomyślała. Gdy się wyśpi i nabierze sił, opowie dobrym siostrzyczkom piękną, wzruszającą bajkę.

Zakonnica zaprowadziła ją do malutkiej, surowej izby, życzyła spokojnej nocy i wyszła. Lua odetchnęła z ulgą, po chwili jednak przeraziła się, gdy usłyszała odgłos zamykania izby z zewnątrz. Czy ta dobra kobieta coś podejrzewała? Czy będą ją tu trzymać w zamknięciu, aż sprawdzą, czy jej historia jest prawdziwa? A może po prostu chodziło o to, żeby nikt z zewnątrz nie miał nocą okazji obrabować klasztoru? Kto wie, jak wiele niecnych kobiet dostawało się w ten sposób w klasztorne mury, by okraść siostry?

Nie zastanawiała się jednak długo nad tą kwestią. Ledwo wyciągnęła się na słomianym materacu, a już zasnęła.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Ponieważ okiennice były zamknięte,

nie potrafiła odgadnąć, jaka jest pora doby. Usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Do izby weszła zakonnica. Inna niż nocą.

– Wstawaj, wkrótce będzie tercja. Potem dostaniesz śniadanie.

Lua skinęła głową. Nie wiedziała, co to tercja, ale ponieważ siostra mówiła też o śniadaniu, domyśliła się, że jest ranek.

– Tu masz czyste ubranie – powiedziała tamta i położyła na łóżku ubiór złożony w porządny stosik. – Nocnik musisz opróżnić sama, potem pokażę ci gdzie. Umyć możesz się na dole, jest tam pompa i miska.

Lua znowu skinęła głową.

Zakonnica również kiwnęła głową i opuściła izbę, nie zamykając jej na klucz.

Lua przeciągnęła się i nie spieszyła ze wstawaniem. To słomiane posłanie było tysiąc razy wygodniejsze niż wszystko, na czym do tej pory spała. Czuła się wypoczęta i pełna energii. Na powrót nabrała odwagi. Na pewno jej los przybierze lepszy obrót. Siostry wydawały się mieć serce po dobrej stronie. Gdy założy świeże ubranie, umyje się i posili, opracuje porządny plan, przemyślany i sprytny. Wczorajsza ucieczka bez zastanowienia nie okazała się najlepszym pomysłem.

Gdy spojrzała po sobie i zobaczyła się w prostej białej sukni, którą otrzymała, poczuła się onieśmielona. Jak należało się zachowywać w klasztorze? Dokąd powinna się teraz udać? Obawa, że może się zgubić, była niepotrzebna. Gdy Lua ostrożnie otworzyła drzwi, zobaczyła, że czeka na nią młoda zakonnica. W milczeniu poprowadziła ją przez długie, pozbawione ozdób kręte korytarze, w których rozlegało się echo, a biały tynk był pokryty pleśnią i w wielu miejscach odpadał od sklepienia. Budynek sprawiał wrażenie zaniedbanego, choć kamienne posadzki były wyfroterowane i lśniły czystością.

Dotarły do dużej sali, gdzie około pięćdziesięciu zakonnic w milczeniu spożywało skromne śniadanie. Lui wskazano miejsce przy stole ustawionym nieco z boku. Jedna z zakonnic postawiła przed nią, milcząc, miskę z papką oraz szklankę wody. Lua jadła z wielkim apetytem, choć posiłek nie był zbyt smaczny. Pomyślała o produktach, które poprzedniego wieczoru zabrała z kuchni w burdelu, ale przecież będzie mogła spożyć je później.

Ledwo przełknęła ostatni kęs, ponownie podeszła do niej zakonnica i dała do zrozumienia, żeby udała się za nią. Poprowadziła dziewczynę przez szereg dalszych korytarzy, aż dotarły do otwartych drewnianych drzwi.

– Siostra przełożona na ciebie czeka – powiedziała przewodniczka i odwróciła się ze spuszczoną głową.

Lua zapukała, ponieważ nie śmiała wejść bez zaproszenia.

– Wejdź.

Zobaczyła starszą kobietę, która siedziała przy olbrzymim biurku i za stosami książek sprawiała wrażenie małej i zagubionej. Jej twarz była bardzo biała i gładka, choć kobieta musiała mieć co najmniej sześćdziesiąt lat. Ani surowy ubiór zakonny, ani zupełny brak ozdób nie mogły ukryć, że była to prawdziwie wytworna dama. Może zresztą właśnie brak błyskotek podkreślał jej dostojność.

Lua dygnęła i powiedziała cicho:

– Dzień dobry, matko przełożona.

– Dzień dobry, Mario Fernando.

Lua drgnęła. Słusznie! Przypomniała sobie, że po przybyciu tu podała takie imię. Spojrzała na przełożoną i zauważyła, że kobieta przygląda się jej bacznie. Będzie musiała być ostrożniejsza, ponieważ tej zakonnicy nie wyprowadzi łatwo w pole.

– Nie wyglądasz jak ladacznica.

– Och, nie! Niech Bóg uchowa, nie jestem ladacznicą!

– A zatem kim jesteś?

– Jestem... – „domową niewolnicą", wyrwało się niemal Lui, ale szybko się opanowała. – ...szwaczką – zakończyła.

– Ach tak. A gdzie pracujesz?

– W stolicy, oczywiście. Jestem wolna. Mój ojciec był kowalem i się wykupił.

– To dobrze dla ciebie. Jak się nazywa twój ojciec?

– José dos Santos, siostro.

– A dlaczego cię nie pilnował?

– Szłam do klientki, sinhy dony Isabel na Rua dos Sete Milagres, było już późno, zapadł zmrok, i nagle chwyciło mnie dwóch mężczyzn, którzy zaciągnęli mnie do tego strasznego domu, gdzie usłyszałam, jak pewien wstrętny, bardzo owłosiony mężczyzna mówi, że mnie... O Boże, to było okropne! – Lui udało się załkać szczerze, tak bardzo przejęła się swoją opowieścią.

Przeorysza patrzyła na nią zamyślona. Nie, na pewno nie miała przed sobą prostytutki. Coś się jednak w tej opowieści nie zgadzało. Dlaczego dziewczyna po ucieczce z burdelu nie pobiegła do domu? Dlaczego nie wezwała policji albo nie opowiedziała wszystkiego ojcu, żeby dał nauczkę porywaczom?

Być może – pomyślała, ojciec sam maczał palce w tej podejrzanej historii. Zdarzali się tacy, którzy z biedy oferowali swoje córki temu, kto da najwięcej. Młoda kobieta mogła więc być uciekinierką. Mimo to w takim wypadku nie można jej było pomóc. Rodzice mieli prawo do opieki nad dzieckiem, zakonnicom nie wolno się wtrącać. A może owa Maria Fernanda to sprytna oszustka albo zbiegła niewolnica? Takim ludziom przełożona w żadnym wypadku nie powinna oferować schronienia.

Było im i tak dość ciężko, nawet jeśli nie przyjmowały kobiet czy

dziewcząt, które sprowadzały tylko kłopoty na siebie i na innych. Klasztor zależny był od wsparcia finansowego szczodrych dam, przeważnie senhor z okolicznych fazend. Często zdarzało się, że szukali tu schronienia potrzebujący, na przykład zbiegli niewolnicy, ale w takich wypadkach przełożona musiała, jak to nierzadko bywało, zapomnieć o swoich osobistych odczuciach i działać dla dobra wspólnoty klasztornej. Jeżeli siostry oddawały uciekinierów ich prawowitym właścicielom, mogły liczyć na pokaźną nagrodę, a w przyszłości na hojność białych państwa.

Nie była jednak pewna, czy ta dziewczyna, która niewątpliwie nie miała na imię Maria Fernanda, to niewolnica. Młoda kobieta pod cienką warstwą uniżoności wykazywała zdrową pewność siebie, jaka przeważnie nie cechowała niewolników. Wydawała się także wykształcona, wyrażała się poprawnie i pomimo nieco mętnej wypowiedzi budowała składne zdania. Na pewno zdobyła nieco wykształcenia, a to z kolei mogło dotyczyć tylko czarnej dziewczyny z rodziny wolnych rzemieślników. Czy jej historia była zatem prawdziwa?

– Czy umiesz pisać i czytać? – spytała wreszcie.

Lua była zdumiona. O co chodzi? Czy zakonnica nie ma ważniejszych spraw na głowie? I co, na Boga, powinna odpowiedzieć? Że potrafi czytać? A może wolnym Murzynom też tego zabraniano? Nie wiedziała. Postanowiła podjąć ryzyko.

– Tak, trochę.

– Bardzo dobrze. Przeczytaj mi to zatem. – Podała Lui jakieś pismo. – Możesz zacząć od drugiego akapitu, to, co napisano wcześniej, nie jest ważne.

Lua wzięła kartkę. Charakter pisma wydał się jej znajomy. Przeskoczyła początek, który stanowił zbiór napuszonych biurokratycznych frazesów. Doszła do drugiego akapitu i niemal straciła oddech.

Kobieta osiemnastoletnia, o średniej budowie ciała i jasnobrązowej skórze. Odpowiada na imię „Lua". Ma dobre maniery, jest uprzejma w obyciu i pewna siebie. W czasie ucieczki miała na sobie niebieską perkalową sukienkę i biały fartuch, do tego biały czepek, a poza tym srebrne kolczyki i kilka sznurów kolorowych szklanych koralików. Za ujęcie Murzynki wyznaczono nagrodę w wysokości 10 milrejsów.

Jąkając się, przeczytała tekst. Gdy skończyła, nie odważyła się unieść powiek. Stała ze spuszczonymi ramionami przed siostrą przełożoną niczym uosobienie winy. W jaki sposób list mógł dotrzeć tu tak szybko?

– Dotarł do nas już wczoraj wieczorem – powiedziała przełożona,

jakby odczytując myśli dziewczyny. – Rodzina Oliveirów rozesłała pewnie po okolicy przez gońców około dwudziestu takich odręcznie napisanych zawiadomień. Zawsze jesteśmy jednym z pierwszych miejsc, gdzie szuka się zbiegłych niewolników.

Lua milczała.

– Obawiam się, że musimy odesłać cię do twoich państwa.

– Nie, proszę, nie! W São Fidélio chcą mnie wydać za mężczyznę, którego nie znoszę. Nie mam pojęcia, dlaczego mnie tak dręczą. Całe życie służyłam Oliveirom, byli dla mnie rodziną, nigdy im w niczym nie zawiniłam.

– Tak? – spytała zakonnica z drwiąco uniesionymi brwiami. – A czy pochwalali fakt, że umiesz czytać?

– Hmm... nie. Nikt o tym nie wie. Nauczyłam się mimochodem, ponieważ byłam zawsze obecna podczas lekcji sinhazinhy, nikt nie zwracał na mnie uwagi.

– Jesteś mądrym dzieckiem. Szkoda, że nie pochodzisz z bogatej białej rodziny, wtedy przyjęłybyśmy cię tu z pocałowaniem w rękę.

– Czy nie możecie wziąć mnie i tak, to znaczy jako niewolnicę? Umiem haftować i dziergać, umiem ładnie nakrywać do stołu i polerować srebra, umiem upinać piękne fryzury i... – Zamilkła. Sama zauważyła, że wszystkie te umiejętności nie były przydatne w klasztorze.

Przeorysza smutno pokręciła głową.

– Zauważyłam już, że dużo potrafisz. Zdradź mi jednak, proszę, jak to się stało, że przybyłaś tu w powozie doutora Azevedy?

– Powóz zatrzymał się przed burdelem. Gdy pasażer wysiadł, a powóz ruszył, wskoczyłam na tył. Nie wiedziałam, dokąd jedzie. To czysty przypadek, że się tu znalazłam.

Przeoryszy przemknęło szybko przez głowę, co doktor ofiaruje jej jako „pokutę", gdy wspomni o jego rozwiązłym życiu. Tymczasem do świadomości Lui dotarło nazwisko właściciela powozu. Był to ten sam doutor Azevedo, którego wczoraj chciała rzekomo znaleźć i do którego domu zaprowadzili ją strażnicy. Poczuła, że zbiera się jej na śmiech. Broniła się przez chwilę, lecz wkrótce wybuchła głośnym chichotem, połączonym ze łzami i histerycznym łkaniem. Nie potrafiła się uspokoić i śmiała się tak bardzo, aż dostała czkawki, co wywołało kolejną falę śmiechu.

Zakonnica uśmiechała się łagodnie. Czasami decyzje, które podejmowała z obowiązku, nie były wcale najgorsze. Nie chciała mieć do czynienia z osobą niespełna rozumu.

25

Zé usłyszał to pierwszy – ktoś zbliżał się do ich skromnej osady. Bezgłośnie dał znać pozostałym, którzy szybko uzbroili się w łuki i strzały, po czym ukryli się na drzewach lub w zaroślach. Mieli wrażenie, że upłynęła wieczność, nim zobaczyli nadchodzących ludzi – dwie obszarpane, wychudzone i brudne postacie, z trudem trzymające się na nogach. Gdy wyszły z gęstwiny, okazało się, że to mężczyzna i kobieta.

– Jest tu kto? – zawołał mężczyzna. Jego głos łamał się ze zmęczenia.

– O Boże, na pewno wszystkich pożarli już dzicy! – jęczała kobieta.

Zé zeskoczył z gałęzi, mimowolnie wystraszając dwoje przybyszów niemal na śmierć.

– Nie pożarli – rzekł. – Bardzo dobrze nam się tu wiedzie. Witajcie. Jestem Zé.

Kobieta opadła z płaczem na kolana, tak wielka była jej ulga, że wreszcie dotarli na miejsce. Nie znała Zé osobiście, ale przez całą drogę powtarzała jego imię, jakby wzywała Mesjasza. Na jej fazendzie przebąkiwano, że u Zé zbiegowie będą bezpieczni. Nie wiedziała, kto puścił w obieg tę plotkę, ale podążała za tym maleńkim promykiem światła, jedynym blaskiem nadziei w swoim smutnym życiu, niczym za pochodnią wskazującą drogę.

Nadal łkała żałośnie, ale mężczyzna szybciej się opanował.

– Jjjestem Caca Jąkała, a ttto mmmoja siostra Bebel. Przychchchodzimy z Sssolar do Cacacastelo. Jesteśmy w dddrodze od tttrzech tttygodni.

Tymczasem wyszli z ukrycia także João, Luizinho oraz Marilu i przywitali nowo przybyłych, choć dość wstrzemięźliwie. Z pewnym współczuciem orzekli:

– O rany, jesteście wycieńczeni! – I dodali dość zimno: – Nie wyglądacie na sprawnych robotników.

Choć wszyscy rozpaczliwie tęsknili za nowymi twarzami, za odmianą

i za rozwojem osady, teraz, gdy tak się stało, poczuli niejakie obawy. Czy zdołają porozumieć się z przybyszami? Czy nie będą oni chcieli żyć ich kosztem i nie przysporzą im tylko dodatkowej pracy?

Zé zdziwił się.

– Z Solar do Castelo? To bardzo daleko od naszych dawnych fazend. Skąd dowiedzieliście się o tym miejscu?

– Dostaniemy najpierw coś do jedzenia? – spytała Bebel. – Potem opowiemy wam wszystko spokojnie.

Gdy Caca i Bebel napchali sobie brzuchy, a wkrótce potem zwrócili większość posiłku, ze zmęczenia spadali niemal z ławki. Postanowiono tymczasowo umieścić ich w chacie Zé, który miał spać u Luizinha.

O ile rodzeństwo było kompletnie wyczerpane, pozostali bardzo się rozemocjonowali. Gdy nowo przybyli spali już głęboko, głośno chrapiąc, pozostała czwórka paplała przy ognisku, nie posiadając się z radości. Liberdade wreszcie rosło! Dwoje młodych ludzi, którzy wkrótce będą w stanie energicznie zabrać się do pracy! Kobieta, z którą Marilu mogła rozmawiać o babskich sprawach! A przede wszystkim nowiny z zewnętrznego świata!

Wszyscy nienawidzili swojego dawnego życia tak bardzo, że bez namysłu zostawili je za sobą. Brakowało im jednak tak wielu rzeczy! Cóż daliby za to, żeby mieć przy sobie przyjaciół i krewnych, spędzać wieczory w miłym towarzystwie i otrzymywać wieści o wszelkich wydarzeniach. Odcięcie od świata było im trudniej znieść, niż się spodziewali. Z radosnym podnieceniem czekali zatem ranka, by wreszcie wypytać rodzeństwo o wszelkie, najdrobniejsze nawet sprawy, które tylko przyjdą im do głowy.

Potok pytań, jaki spadł na tych dwoje po wschodzie słońca, zmieszał Bebel i Cacę. Czuli się wciąż słabi, zmęczeni i brudni, a jedzenie, które otrzymali, nie służyło im. Po pierwszej od dawna spokojnej nocy również oni jednak poczuli entuzjazm i chęć dowiedzenia się wszystkiego, co wydarzyło się do tej pory w nowo założonym quilombo. Rozmowa sześciorga osadników przebiegała zatem chaotycznie i głośno.

– Co to znaczy, że nie macie tu tapioki? – zawołała Bebel.

– Trzeba poczekać, aż urośnie maniok – odparła Marilu. – Ale to nieważne. Opowiedz raczej, jak uciekliście.

– Właśnie, jak wam się udało? – chciał wiedzieć Luizinho.

– To wcale nie było trudne. Opowiemy później. Powiedzcie raczej, jak to jest z dzikimi. Czy chcieli was zjeść?

– Nie, są nieszkodliwi. Macie wieści z São Fidélio?

– Słyszeliśmy, że uciekła stamtąd niewolnica, ale ją złapali. Nie była tak sprytna jak my. Jak się tu bronicie?

– Głównie strzałami z łuków. Oraz ogniem, bo... – chciał wyjaśnić João.

Zé wszedł mu w słowo:

– Jak miała na imię?

– Kto taki?

– Ta niewolnica, którą schwytali, ta z São Fidélio?

– Dobry Boże, skąd mielibyśmy to wiedzieć? Och nie, znowu mi niedobrze. Gdzie właściwie macie wychodek?

– Nie mamy. Chodzimy w krzaki, robaki i inne żyjątka szybko się tym zajmują.

– O leśnych stworzeniach moglibyśmy opowiadać całe historie. Komary to prawdziwa plaga!

– Chciałem wam to wytłumaczyć, ale nie słuchaliście – rzekł João urażony. – Można je przegonić ogniem albo raczej dymem z gałęzi pewnych krzaków.

– Gdyby równie łatwo było z dzikusami!

– Oni nie robią nic złego.

– Skąd wiecie? Kiedyś jeszcze przyjdzie im do głowy, że możemy być smaczni.

– Czy macie wieści z Três Marias?

– Nie, nikogo tam nie znamy. Ojej, teraz muszę już biec! – Bebel zniknęła w krzakach, gdzie zwymiotowała, czego odgłos wyraźnie dobiegł do ich uszu.

Rozmowa się urwała, ponieważ brat Bebel, Jąkała, nie był zdolny do szybkiej wymiany zdań i skakania po tematach.

– To naprawdę twoja siostra? – spytał Luizinho.

Caca skinął głową.

– Całkiem niezła.

Marilu uderzyła go energicznie w żebra.

– Mało ci jeszcze?

– Nie bądź taka.

– Goniono was? – spytał Zé.

Caca ponownie skinął głową.

– Aaale szszszybko się ich pppozbyliśmy. Czczczarownica pppowiedziała nam jjjak.

– Jaka czarownica?

Tymczasem wróciła Bebel, która odpowiedziała zamiast brata:

– Taka stara afrykańska czarownica. To ona opowiedziała nam o tobie i twoim planie. Wskazała nam także kilka sztuczek, jak wywieść w pole oddziały poszukiwawcze i psy. Trzeba na przykład natrzeć się od stóp do głów odchodami bydła albo iść dłuższy czas po wodzie, bo wtedy psy gubią trop.

– Wiem, jak to się robi – zapewnił Zé niecierpliwie. – Ale wróćmy do tej starej czarownicy. Jak ma na imię? Jak wygląda?

– No cóż, stara, niska i pomarszczona i spoglądała przebiegle. Fatalnie mówiła po portugalsku. Powiedziała, że ma na imię

Carminda czy jakoś tak.

Zé zaniemówił. Jak Kasinda alias Imaculada zdołała dotrzeć z São Fidélio do Solar do Castelo? Nie pokonałaby przecież tej odległości pieszo. Czy namówiła woźnicę, by zabrał ją ze sobą, gdy jechał z jakąś przesyłką? Czy jej nieobecność w São Fidélio mogła pozostać niezauważona? Z drugiej strony stare kobiety nikogo przecież nie obchodziły. Zarówno młodsi niewolnicy, jak i nadzorcy, a już na pewno sami senhorowie byli zadowoleni, gdy oszczędzano im widoku starych i schorowanych ludzi. Ponieważ nie istniało w ich wypadku ryzyko ucieczki, w praktyce cieszyli się pełną wolnością. Ale Kasinda, która czuła się bliska śmierci? Skąd wzięła siły na takie przedsięwzięcie? I skąd wiedziała, gdzie rozsiać wieści o quilombo Zé? Zachodziła przecież obawa, że opowie o nim niewłaściwej osobie. Czy zdała się wyłącznie na swoją znajomość ludzi? A może naprawdę miała magiczną moc?

– Ccco tttu pppoza tttym jjjecie? – spytał Caca.

– Pyta, kiedy będzie coś do jedzenia – przetłumaczyła Bebel.

– No cóż, kiedy tylko coś ubije. Polowanie z łukiem to ciężka praca, jeśli trzeba zabić dość zwierzyny, by najeść się do syta. Musicie się tego szybko nauczyć. W dobre dni trafiamy tatu albo kapibary, w złe tylko łykowate papugi – odparł Luizinho.

– Smakują gorzko – dodał João. – Ale to i tak lepiej, niż jeść larwy i mrówki jak tubylcy. Zé ich próbował, prawda?

Zé skinął głową. Myślami był bardzo daleko. Fakt, że jakaś niewolnica odważyła się na ucieczkę z São Fidélio i została schwytana, poruszył go bardziej, niż był skłonny przyznać. A jeśli to chodzi o Luę? Jego słodką, sprytną Luę? Czy wychłostają ją równie brutalnie, jak to uczynili z nim? O Boże, już na samo wyobrażenie tego czuł, że blizny na plecach palą go niczym otwarte rany. Czy Luę sprzedadzą? Czy ją upokorzą, skażą na pracę w polu albo zatrudnią jako „klacz rozpłodową", jak to czyniono na niektórych fazendach z najsilniejszymi, najzdrowszymi i najładniejszymi czarnymi, żeby rodziły senhorowi nowych niewolników z dobrymi genami? Jak wiedział z własnego doświadczenia, dla mężczyzn przymusowe łączenie w pary było nieprzyjemne, a dla kobiet musiało być prawdziwym piekłem.

– Dlaczego tak nagle ucichłeś? Nie chcesz odpowiedzieć Bebel? – Marilu go szturchnęła.

– Tak, oczywiście. O co pytałaś?

– Hej, Zé, miałeś pewnie ukochaną na São Fidélio? I teraz się o nią martwisz, co? – drwił Luizinho.

– W Três Marias był przecież dla wszystkich za dobry. Na pewno myśli o tej zwariowanej staruszce. Jest z tobą spokrewniona? To ona ochrzciła cię Bombomem? – João nie mógł sobie odpuścić. Przy każdej

nadarzającej się okazji drażnił Zé, przekręcając jego afrykańskie imię.

– Jjjak? Bbbombom? – dopytywał się Caca.

– Nieważne – odparł Zé szorstko.

– Jest naprawdę słodki – wyszeptała Bebel na ucho Marilu.

– Pozory – odparła tamta. – Ten facet to twardy orzech do zgryzienia, prawda, Zé?

– Zostawcie mnie w spokoju.

Takie rozmowy toczyły się przez cały ranek. Nikt nie miał ochoty opuścić zgromadzenia i zająć się pracą. Wszyscy bali się, że ominie ich jakaś ciekawa nowina, choć wiadomości nie było wiele.

Po jakimś czasie kobiety oddaliły się od mężczyzn. Chciały w spokoju porozmawiać o sprawach, z których tamci i tak nic by nie rozumieli. Marilu i Bebel wymieniały porady i plotki, jakby były starymi przyjaciółkami. Poruszały tematy od problemów z comiesięczną higieną po przepisy na beijupirá, morską rybę, o której tu, w głębi lądu, mogły tylko marzyć. Opowiadały sobie o zaletach i wadach mężczyzn, przede wszystkim tych czterech, w których towarzystwie się znalazły. Rozmawiały o przyjaciołach, których opuściły, a gdy tak przez pewien czas skakały z tematu na temat, odkryły, że mają wspólnych znajomych i że wykarmiła je nawet ta sama mamka. Radość obydwu kobiet była olbrzymia.

– Co? Gruba Mariazinha była także twoją mamką? Nie do wiary! Caca i ja kochaliśmy ją ponad wszystko.

– Czy jeszcze żyje? Gdy sprzedano ją z Três Marias, wydawała mi się już stara, a to musiało być jakieś dwadzieścia lat temu.

– Tak, żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Jest stara, ale jeszcze nie zgrzybiała.

– Ach, muszę o tym zaraz powiedzieć Luizinhowi, on także był przez nią karmiony.

– No to jesteśmy prawie rodzeństwem – oświadczyła uroczyście Bebel i kobiety padły sobie w ramiona, na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc.

Mężczyźni wyliczali tymczasem obowiązki, które czekały Cacę. Nieco przesadzali, po pierwsze, żeby Jąkała nie dochodził zbyt często do słowa, ponieważ trudno im było go słuchać, a po drugie, ponieważ chcieli przy tej okazji podkreślić własną wartość i pracowitość.

– Musisz nauczyć się obchodzić z łukiem i strzałami. Gdy już to opanujesz, będziesz codziennie chodzić na polowanie. To męczące i bardzo niebezpieczne, ponieważ w lesie są pająki wielkie jak koła od wozu i węże grubsze od twojego uda. Musisz zabić co najmniej tyle zwierzyny, ile zjesz ty i twoja siostra, ale jeśli uda ci się więcej, oczywiście nie zaszkodzi. – João chrząkał, by nadać swoim słowom większą wagę.

Zé powstrzymał się od złośliwego komentarza. Do tej pory

João nigdy jeszcze nie przyniósł tyle mięsa, ile sam zjadał.

– To jeszcze nie wszystko – odezwał się Luizinho. – Musisz też nauczyć się łowić ryby w naszej rzeczce. Z wędką trwa to bardzo długo, ale gdy użyjesz zaostrzonego patyka niczym dzidy i będziesz się w tym pilnie ćwiczyć, dość szybko zdobędziesz dobrą kolację. To także bywa jednak niebezpieczne. Rzeka jest w niektórych miejscach głęboka, a z powodu zarośli nie można łatwo dotrzeć na jej brzeg. Jeśli zatem nie umiesz pływać ani wiosłować w dłubance, lepiej się do tego nie zabieraj.

Zé uśmiechnął się na wspomnienie tego, jak Luizinho próbował zaprzyjaźnić się z wodą. Przypomniał sobie także swoje własne żałosne doświadczenia, nabyte u Indian. Podobnie jak oni wszyscy Caca będzie musiał się długo uczyć, nim okaże się w pełni przydatny.

– Aaale uuumiem zzza ttto... – ośmielił się przerwać trzem pyszałkom Caca, ci jednak byli zbyt niecierpliwi, by dać mu skończyć.

– Nie, skoro nie żyłeś w puszczy, nic jeszcze nie umiesz – powiedział João.

– Nnnie, uuumiem... – zaczął ponownie Jąkała.

– Nie umiesz, ale możesz nam towarzyszyć, przynajmniej na początku, aż opanujesz podstawy – rzekł łaskawie Luizinho.

Caca, zniechęcony, pokręcił głową, a trzej mężczyźni uznali to za wyraz poddania się i rozpaczy. Było przykre, że przygłupi człowiek staje wobec takich wyzwań. Wszyscy uważali bowiem, że Caca nie jest najbystrzejszy.

Po pewnym czasie do grupy wróciły kobiety.

– Hej, leniuchy! – zawołała Marilu. – Co mam dziś ugotować, skoro siedzicie tu i nie przynieśliście nic do jedzenia?

– Masz rację – przyznał Zé. On także uległ pokusie, by zaniedbać obowiązki, co wobec jego pozycji „przywódcy" było niewybaczalne. Musiał nie tylko świecić przykładem, ale także dbać, by wszystkim dobrze się wiodło. – Ruszajmy. Caca, pójdziesz ze mną, wyjaśnię ci to, co najważniejsze.

Caca, zrezygnowany, pokiwał głową.

– Dlaczego? – wtrąciła się Bebel.

Mężczyźni spojrzeli na nią skonsternowani i nawet Marilu uznała za zuchwałość już pierwszego dnia uchylanie się od pracy lub chronienie przed nią najwyraźniej opóźnionego w rozwoju brata. Caca wyglądał przecież na silnego mężczyznę, więc i on musi pracować.

– Nie gapcie się tak! – broniła się Bebel, która zauważyła nagłą zmianę nastroju. – Na pewno nie daliście mu dojść do słowa, zawsze tak jest, gdy ludzie go jeszcze nie znają. A on chciał wam zapewne opowiedzieć, że nie był polowym Murzynem.

– Nie? – spytali chórem.

– Nie. – Dumnie poklepała brata po ramieniu. – Ten biedny głupi

Jąkała potrafi coś znacznie ważniejszego. W Solar do Castelo był kowalem, tak dobrym, że senhor wypożyczał go innym. Przynosiło mu to ładny dodatkowy zarobek.

Czworo obecnych wpatrywało się w Cacę z niedowierzaniem.

Bebel śmiało mówiła dalej:

– Jest świetnym rzemieślnikiem. Potrafi nie tylko kuć, ale także zajmować się stolarką i dobrze radzi sobie z gliną. A jak widzę... – Wskazała na prymitywną osadę. – ...potrzebujemy wszystkiego, od talerzy po garnki i od mebli po oszczepy.

– I ten głupek potrafi to wszystko zrobić? – spytał João.

– Nie jest głupkiem – parsknęła Bebel. – Nie potrafi tylko ładnie mówić, wszystko inne umie.

Zé pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia.

– To prawda, Caca?

Caca skinął głową.

– Tak – powiedział zdecydowanym tonem i bez najmniejszego zająknięcia. – Tak!

Zé nie mógł w to uwierzyć, ale uznał, że należy spróbować.

– No dobrze, zostań więc tu i zrób... – Co powinien zlecić chłopakowi? Jakimi dysponowali materiałami, z których wykorzystaniem mógłby pracować?

– Mmmam jjjuż pppewien pppomysł – powiedział Caca.

Pozostali popatrzyli po sobie z niepokojem. Nie brzmiało to bardzo obiecująco.

– A zatem do pracy!

Mężczyźni wyruszyli na polowanie, a kobiety zabrały się do prania, sprzątania i zbierania drewna na opał.

Gdy wieczorem zmęczeni zasiedli przy ognisku i z wielkim apetytem zjedli skromny posiłek, nikt nie odważył się zagadnąć Cacę o jego pracę. Czegóż wielkiego mógł bowiem dokonać?

Jednak po jedzeniu Caca nagle zniknął i chwilę później wrócił z przedmiotem, który w ciągu dnia wykonał z nielicznych materiałów, jakie znalazł.

– Co to ma być? Miska? – spytał Luizinho rozczarowany.

Caca nic nie odpowiedział. Wiedział, że próbami tłumaczenia nadweręży tylko cierpliwość pozostałych, jeśli będzie się jąkać. Włożył jednak przedmiot między nogi i wybił rytmiczny takt.

– Bęben! – zawołał João zachwycony.

– Zatańcz ze mną! – nakazała Marilu Luizinhowi, a Zé chwycił Bebel, by wesoło zakręcić się z nią w kółko.

Odkąd zamieszkali w puszczy, był to najradośniejszy wieczór, jaki przeżyli.

26

Oliveirowie siedzieli przy późnym śniadaniu. Ucieczka Lui wzburzyła ich wszystkich, a tląca się w rodzinie niezgoda zaczęła powoli przeradzać się w otwartą nienawiść.

– Wy jesteście temu winni! – płakała Eulália. Patrzyła na rodziców z wściekłością. – Gdybyście nie byli tacy nieczuli, nie doszłoby do tego. Kim my jesteśmy? Czy chcecie być tacy jak wszyscy pozostali fazendeiros, którzy hodują sobie Murzynów jak krowy? To wstrętne!

– Miarkuj się, dziecko! – Dom Felipe najwyraźniej czuł, że w słowach jego córki kryło się ziarno prawdy. Nie przyznałby jednak tego głośno za nic w świecie. – Lua to niewolnica, towar na sprzedaż, nic więcej. Traktowałaś ją jak równą sobie i dlatego zaczęły jej przychodzić do głowy głupie pomysły. Lepiej by było, gdybyś sprawiła sobie pieska do głaskania.

Carlos, najstarszy brat, także był obecny przy rozmowie. Od czasu do czasu musiał pokazywać się w São Fidélio, jeśli chciał korzystać z hojności rodziców. Uważał całą tę dyskusję za zupełnie niepotrzebną i pod każdym względem zgadzał się z ojcem. Wolał się jednak nie mieszać. Im więcej zatargów wybuchnie między pozostałymi członkami rodziny, tym mniej rodzice będą go męczyć uciążliwymi pytaniami. Matka i tak rzucała zresztą zawsze na niego badawcze spojrzenia.

Dona Ines martwiła się bowiem o dzieci. Carlos wydawał się nie traktować studiów tak poważnie, jak powinien, Eulália nie okazywała rodzicom należnego szacunku, Manuel zaś, który wkrótce obchodzić miał szesnaste urodziny, jak na młodzieńca w tym wieku był zdecydowanie za poważny. Lepiej by było, gdyby bardziej interesował się dziewczętami, a mniej gospodarką. Jakie błędy popełniła, wychowując ukochane potomstwo? Ach, co tam! Odsunęła od siebie przykre myśli. Wszyscy troje byli zdrowi, ładni i udani, w każdym razie bardziej niż większość dzieci sąsiadów. To tylko kwestia wybujałej młodości; pewnego dnia wszystko się ułoży.

Otrząsnęła się z zamyślenia, gdy rozmowa przy stole ucichła.

Wszyscy wyglądali przez okno.

– Kto to może być? – spytała.

Nieczęsto mieli niezapowiedziane wizyty, a żadne z nich nie rozpoznało nadjeżdżającego powozu.

– Nie! – wykrzyknęła Eulália, która pierwsza zobaczyła, kogo wypchnięto w kajdankach z pojazdu. – Lua! – Zakasała spódnicę i wybiegła na dwór.

Pozostali członkowie rodziny ruszyli za nią wolniejszym krokiem.

– Przywożę zgubę państwa, z najlepszymi pozdrowieniami od siostry przełożonej z klasztoru benedyktynek – powiedział woźnica. – Dała mi także list do państwa. – Wyjął z kieszeni płaszcza kopertę i podał ją panu domu.

Ten wcisnął mu do ręki monetę i podziękował.

– Jedź do stajni – polecił. – Tam nakarmią i napoją ciebie oraz twojego konia. Potem przyjdziesz tu i odbierzesz moją odpowiedź.

Czarny woźnica nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Nie czuł się pewnie, widząc przed sobą białą rodzinę wraz z kobietami. Czemu robili takie zamieszanie z powodu jednej murzyńskiej dziewczyny?

Lua stała przed Oliveirami ze spuszczoną głową.

– Wiesz, co cię teraz czeka? – spytał dom Felipe.

– Sim, sinhô – odparła skruszona. – Ale proszę nie myśleć o mnie źle, stało się tak, bo...

– Cicho bądź! – nakazała jej dona Ines. – Chcesz nam jeszcze opowiadać bajki, co? Znamy to, wierz mi, nie damy się łatwo zwieść tobie i twoim pobratymcom.

– Sim, sinhá dona Ines.

– Nie bądź bezczelna!

Lua pokornie patrzyła w ziemię.

– Ależ pai, mãe, dlaczego jej nie wysłuchacie? Na pewno spotkał ją tylko jakiś przykry wypadek. – Eulália spojrzała błagalnie na swoją służącą. – Wszystko wyjaśni się ku waszemu zadowoleniu.

– Najpierw przeczytam list siostry przełożonej – oznajmił władczo dom Felipe. – Wtedy będziemy wiedzieć więcej. – Z ważną miną wszedł do domu, zamknął się w swoim gabinecie i przystąpił do lektury.

Manuel i tym razem jako jedyny pomyślał o tym, co najważniejsze, polecił więc biegającemu niedaleko półnagiemu dziecku, które zupełnie nie rozumiało sytuacji, by sprowadziło stajennego Antónia. Gdy ten się zjawił, Manuel udzielił mu krótkich wskazówek, jak należy postąpić z Luą.

– Załóż jej łańcuch na nogi i zamknij w szopie na narzędzia.

Lua i Eulália załkały jednocześnie.

– Uspokój się, siostro – powiedział Carlos. – Na razie nic się jej nie stanie. – Z przyjemnością wyobrażał sobie natomiast to, co czeka ją później. Zanim do dziewczyny dobierze się jakiś Murzyn, on sam się

z nią zabawi. Wygląda naprawdę apetycznie, tak rozkosznie, niewinnie i bezradnie.

Gdy zabrano Luę, wszyscy weszli z powrotem do Casa Grande. Dom Felipe przeczytał tymczasem list i zaczął pisać odpowiedź. Chcąc nie chcąc, będzie musiał wypłacić siostrze przełożonej nagrodę, choć nie uważał tego za słuszne. Ta kobieta spełniła przecież jedynie swój chrześcijański obowiązek. Z drugiej strony mogło tylko pomóc bycie na przyjaznej stopie z Panem Bogiem, a któż nadawał się lepiej na pośrednika w tej sprawie niż przełożona klasztoru?

Gdy wrócił do salonu, zastał tam całą rodzinę.

– No i co? – spytała Eulália.

– Nic. W każdym razie nic, co byłoby przeznaczone dla twoich uszu. Pójdziesz teraz do swojego pokoju, żebyśmy nie musieli dłużej znosić twojej bezczelności i płaczów.

– A Manuel może zostać i wysłuchać, co macie do powiedzenia? Jest przecież znacznie młodszy ode mnie! – poskarżyła się Eulália.

– To już młody mężczyzna i rozsądniejszy od ciebie. A zatem koniec dyskusji.

– Ale... – Eulália w żadnym wypadku nie zamierzała się poddawać.

– Nie wiesz, kiedy należy zamilknąć? – naskoczył na nią starszy brat.

– Pójdziesz na górę, i to zaraz! – powiedziała dona Ines rozkazującym tonem.

Eulália wyprostowała się dumnie i wyszła. Gdy znikła, dom Felipe zwrócił się do żony i do synów:

– Zakonnica pisze, że Lua opowiedziała jej, jakoby przetrzymywano ją w burdelu, skąd uciekła.

Przerażona dona Ines zakryła usta dłonią. Choć tak bardzo denerwował ją upór Lui, dziewczyna nie zasłużyła na taki los. Manuel wpatrywał się zakłopotany w podłogę, a Carlos spytał:

– Czy napisała, w którym domu publicznym?

– Jaki to ma związek ze sprawą? – chciała wiedzieć dona Ines i spojrzała na starszego syna badawczo. – Czy wszystkie ladacznice są twoimi znajomymi?

– Mãe, proszę cię! – oburzył się Carlos. – Nie, interesuje mnie to dlatego, że kilka tych... hmm... dam przyszło się leczyć na uczelni, ponieważ tam to nic nie kosztuje. – Było to gładkie kłamstwo, coraz łatwiej przychodziło Carlosowi umiejętnie kłamać.

– Czy traktujecie ulicznice jak króliki doświadczalne? – spytał Manuel.

– Och, to nie ma żadnego znaczenia! – przerwał tę wymianę zdań dom Felipe. I jemu przychodziły na pewno do głowy grzeszne wizje. – Skoro jednak pytasz, Carlos, to tak, siostra przełożona pisze, że Lua opowiadała o jakimś brodaczu, który najwyraźniej był właścicielem

lokalu.

– Hmm – mruknął Carlos i przybrał znudzoną minę. – Nic mi to nie mówi.

– Byłby to dziwny zbieg okoliczności, gdyby chodziło o Paula Barbudę, łowcę niewolników.

– Nieskutecznego łowcę niewolników – dodała dona Ines.

– O czym mówicie? – zdumiał się Carlos.

– No cóż, gdy uciekł Zé, a nasze własne starania okazały się bezowocne, wyznaczyliśmy wysoką nagrodę, na którą ten typ chciał zapracować – poinformował brata Manuel. – Podejrzany człowiek o nieciekawej renomie, jak się słyszy. Podobno jednak najlepszy łowca niewolników w całej okolicy. Ponieważ nie udało mu się odszukać Zé, musimy uznać, że Murzyn nie żyje.

Carlos z trudem starał się nie okazywać ekscytacji. To były niezwykle ciekawe nowiny! Będzie musiał przemyśleć je w spokoju, by z tych nieoczekiwanych wieści wyciągnąć dla siebie jak największe korzyści. Mógł na przykład oskarżyć Barbudę o bezprawne zagarnięcie jego własności, a potem łaskawie zrezygnować z dochodzenia swoich praw, jeśli ten umorzyłby mu dług. Byli przecież prawdziwymi cavalheiros, czyż nie? Humor Carlosa wyraźnie się poprawił. Uciążliwa wizyta u rodziców mu się opłaciła.

Ktoś inny był tymczasem dogłębnie wstrząśnięty tym, co usłyszał. Lulu, który przy dziurce od klucza śledził każde słowo Oliveirów, musiał się bardzo opanować, by powstrzymać głośne łkanie. Jego eksnarzeczona ladacznicą! To było tysiąc razy gorsze niż mieć coś wspólnego ze zbiegłą niewolnicą. Ucieczka Lui bardzo go wzburzyła, gdyż, paradoksalnie, podejrzewano go o współudział, a po drugie, ponieważ musiał przyznać, że to on był przyczyną tego jej desperackiego kroku. Nieskończenie bardziej poruszył go jednak fakt, że Lua uciekła z domu rozpusty, gdzie na pewno wymagano od niej samych najgorszych rzeczy. Dla mężczyzny jego klasy, o jego inteligencji i z jego wyglądem było szkodliwe, by choćby pośrednio kojarzono go z nierządnicą. Za wszelką cenę musiał zapobiec temu, by rozeszła się wieść o skandalu.

Fernanda również usłyszała to, co najważniejsze. Łzy nabiegły jej do oczu, a ponieważ nie mogła oczyścić nosa – bo usłyszano by ją w salonie – otarła policzki i nos rękawem. Patrzyła na Lulu i miała wrażenie, że słyszy jego myśli. Co za podły typ! Najpierw bez skrupułów wykorzystywał sytuację dla swojej korzyści, a potem okazywał pogardę dla swej ofiary. Fernanda była przekonana, że małżeństwo, które chciano zaaranżować między tymi dwojgiem, było kompletną pomyłką lub jednym wielkim nieporozumieniem, znała bowiem stosunek Lui do Lulu – jej przyjaciółka czuła wstręt do tego chłopaka!

Nie minęły dwie godziny, a już nawet każde dziecko w senzali wiedziało, co się stało. Wielu ludzi płakało, ponieważ współczuli Lui, która, jak przebąkiwano, była strasznie maltretowana. Nawet ci, którzy dawniej niezbyt ją lubili, gdyż w ich oczach była zarozumiałą domową niewolnicą, okazywali zmieszanie i smutek, bo żadnej dziewczynie nie życzono przecież, aby została zaciągnięta do burdelu.

Tylko jedna osoba siedziała całkiem sama i nie brała udziału w nerwowym poszeptywaniu. Imaculada była zatroskana. Jej plan co prawda zadziałał, bo chciała skłonić dziewczynę do ucieczki poprzez pogorszenie jej warunków życiowych, najwyraźniej nie umiała jednak właściwie ocenić Lui. Nie wyobrażała sobie, że inteligentna i opanowana osoba może postąpić tak pochopnie. Och, dlaczego Lua nie zwróciła się do niej po radę?! Kasinda powiedziałaby jej, co należy robić. Mogłaby jej również zdradzić, gdzie przebywa Mbómbo, miała bowiem pewność, że założył swoje quilombo gdzieś na północnym zachodzie. Gdyby tak nie było, łowcy znaleźliby zwłoki lub przynajmniej ich szczątki. Poza tym na pewno schwytano by uciekinierów z Três Marias i z Solar do Castelo. Musiało być po prostu tak, że gdzieś tam grupa sześciu osób walczyła teraz o przetrwanie. Imaculada nie obawiała się, że może się im nie powieść. Im więcej ludzi do nich dołączy, tym większe prawdopodobieństwo, że spełni się marzenie Mbómbo. Wtedy będzie mu brakować do szczęścia tylko jednego – Lui. A zatem ona, Kasinda, musi postarać się, by głupia dziewczyna jakimś sposobem uwolniła się z tej sytuacji na pozór bez wyjścia.

Jej położenie wyraźnie się pogorszyło. Lua przebywała w zamknięciu przez pełne dwie doby, nim podjęto decyzję, jak należy z nią postąpić. Wyłącznie wstawiennictwu sinhy Eulálii należało zawdzięczać, że nie odbyła się publiczna chłosta, jednak Lua czuła się niemal jeszcze bardziej upokorzona, gdy zatrudniono ją jako robotnicę polową.

Nastała pora zbiorów trzciny cukrowej i potrzebowano każdej pary rąk do pracy. Najbardziej doświadczeni mężczyźni ścinali trzcinę, ponieważ było to ciężkie zajęcie, które w dodatku należało wykonać szybko. Kobiety zbierały ścięte rośliny, wiązały je i zanosiły na głowach we wskazane miejsca, gdzie ładowano trzcinę na taczki. Lua bardzo się starała, jednak zarówno upał, jak i ciężka praca oraz brak doświadczenia dawały się jej we znaki. Inne kobiety potrafiły utrzymać na głowie wiązkę tak dużą, jaka mieściła się w szerokim objęciu, Lui natomiast udawało się związać i unieść ledwie trzy czy cztery trzciny, nie mówiąc już o noszeniu ich na głowie. Za każdym razem, gdy docierała do miejsca zbiórki i oddawała swój skromny plon, nadzorcy zaśmiewali się do rozpuku, po czym traktowali ją pejczem.

– Ty leniuchu, musisz pracować lepiej!

Polowe niewolnice uśmiechały się tylko. Ha, ta zarozumiała gęś przekona się wreszcie na własnej skórze, jak to jest naprawdę pracować. Jedynie Maria Segunda pomagała Lui, gdy nadzorca akurat nie patrzył, układała na przykład trzciny na jej głowie tak, że znajdowały się w równowadze i dawały się łatwo przenieść. Po trzech dniach w polu Lua nabawiła się odcisków na stopach i dłoniach, a także licznych zacięć, ponieważ liście trzciny, które odrywano od łodyg, miały ostre brzegi. Na nosie miała oparzenia słoneczne, gdyż jej stosunkowo jasna skóra dotychczas rzadko była wystawiona na ostre południowe słońce. Spleciony ze słomy cienki kapelusz niewiele pomagał, zwłaszcza że najczęściej zsuwał się przy nieudanych próbach obciążenia głowy. Dobrze tylko, że pot spływał z Lui strugami, dzięki czemu nie widać było płynących po twarzy łez.

Gdy po wielu dniach wciąż nie potrafiła pracować wydajniej – bolało ją bowiem każde ścięgno i osiągała nawet mniej niż pierwszego dnia – nadzorca poprosił senhora, by znalazł inne zajęcie dla „leniwej uciekinierki", bo on nie potrzebuje takich ludzi. Lua ucieszyła się, gdy oznajmiono jej, że nie musi już chodzić w pole. Jej ulga przerodziła się jednak w przerażenie, kiedy zrozumiała, jakie „lżejsze" prace jej wyznaczono. Posyłano ją po kolei do czyszczenia latryn, patroszenia ryb i obierania krewetek. Do tej pory nigdy nie zastanawiała się nad tymi czynnościami. Ryby zawsze docierały do kuchni oskrobane i wypatroszone, prawda? Przez cały czas była też uważnie obserwowana, a spojrzenia lubieżnego Antónia budziły w niej wstręt jeszcze większy niż rybie wnętrzności, zostawiane na brzegu w postaci oślizgłego, cuchnącego stosu.

Przeklinała dzień, w którym się urodziła.

Tymczasem jeszcze głośniej przeklinał Paulo Barbudo. Ucieczka nowej dziewczyny nadzwyczaj go zirytowała. Co gorsza, Paulo złapał paskudną zimnicę, zapewne podczas polowania na tego głupiego zbiegłego niewolnika z São Fidélio. Całe dnie spędzał w gęstych zaroślach i w parnym, wilgotnym powietrzu, wystawiony na pastwę rojów głodnych komarów, a jedna z tych bestii najwyraźniej zaraziła go malarią. Przeklęta choroba była nieuleczalna, choć niekoniecznie śmiertelna. Paulo znał ludzi, którzy pomimo zimnicy dożyli zaawansowanego wieku, tyle że co jakiś czas powalały ich kolejne ataki. Paskudna sprawa. Został skazany na opiekę, którą zapewniała mu jego stara, a to wywoływało w nim wściekłość. Nie mógł już nawet bić tej szmaty, gdy tylko miał ochotę. A może powinien ćwiczyć ją jeszcze częściej niż dawniej, żeby nie przyszły jej do głowy głupie pomysły, taki na przykład, by zostawić Paula własnemu losowi i otworzyć własny burdel?

Najgorszego wstydu doznał jednak podczas wizyty tego fircyka

Carlosa Oliveiry. Czyż São Fidélio nie przyniosło mu już dość nieszczęść? Najpierw nabawił się diabelskiej choroby, szukając polowego Murzyna z tej fazendy, potem stracił klienta w osobie doutora Azevedy, ponieważ nie zdołał dostarczyć mu zachwalanego towaru, właśnie z São Fidélio, a teraz zjawiał się jeszcze ten wymuskany próżniak i ośmielał się mu grozić.

– Miałeś u siebie naszą Murzynkę – rzekł Carlos, a pomimo jego słodkiego tonu Paulo Barbudo zauważył, że szczeniak zaczął zwracać się do niego na „ty".

– Oczywiście – odparł grzecznie. – Chciałem zawieźć ją z powrotem do São Fidélio.

– Na pewno – odparł Carlos. – Dlatego też zaoferowałeś ją swojemu klientowi.

– To haniebne pomówienie! I skąd to niby wiesz? Od tej dziewczyny? Wierzysz uciekinierce bardziej niż swojemu staremu przyjacielowi Paulowi, który pomagał ci w każdej potrzebie?

– Nie jesteśmy starymi przyjaciółmi i wypraszam sobie taki ton. Więcej szacunku.

– A może doutor Azevedo uskarżał się na mnie przed tobą?

Carlos uśmiechnął się szeroko, a Paulo zbyt późno zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Carlos tylko zgadywał, a on, przebiegły Paulo Barbudo, okazał się tak głupi, że mimowolnie potwierdził te przypuszczenia. Winna była ta paskudna gorączka! Osłabiała jego umysł jeszcze bardziej niż ciało.

– Jestem gotowy nie karać twojego występku przeciw naszej rodzinie i naszej własności... – powiedział Carlos.

– Tak? – Brodacz wiedział, do czego zmierza jego gość, ale chciał to usłyszeć.

– Tak. Zastanów się dobrze, jaką przysługą mi się zrewanżujesz.

Paulo chciał sprać Carlosa na kwaśne jabłko. Chłoptaś nie dał mu nawet tej satysfakcji, żeby błagać. Do diaska!

– Hmm, no dobrze. Zastanowię się. Przyjdź za tydzień, wtedy pewnie obmyślę już rozwiązanie.

– Jutro – odparł Carlos ostro. – Jutro rano zjawię się tu znowu, a ty będziesz miał przygotowany dokument, który zwalnia mnie z wszelkich długów u ciebie wraz z narosłymi odsetkami.

– Zobaczymy.

– Przygotujesz też dla mnie twoją najczystszą i najmłodszą dziewczynę.

Paulo Barbudo wywrócił oczami, udał ciężki atak gorączki i zapragnął rzeczywiście popaść w omdlenie, które wyzwoliłoby go od trosk.

27

Caca Jąkała okazał się najlepszym, co mogło spotkać małą osadę. Bebel nie przesadzała, gdy wychwalała rzemieślniczy talent brata. Mężczyzna ten potrafił po prostu wszystko, a czego nawet się nie nauczył, nadrabiał wyobraźnią i pracowitością. Niestrudzenie piłował, heblował i szlifował za pomocą prymitywnych narzędzi, które ze sobą przyniósł, i z wielkim zapałem wykonywał ostro zakończone strzały lub wyplatał z cienkich, przypominających liany roślin i powietrznych korzeni kołczany, kosze i stołki. Żadne zadanie nie było dla niego zbyt banalne ani kobiece, jeżeli tylko wymagało zręczności i pomysłowości. Tak długo eksperymentował z leśnymi owocami, aż odkrył, że niektóre świetnie nadawały się jako barwniki. Poplamione ubrania zostały ufarbowane, a w rezultacie nie tylko plamy przestały być widoczne, ale także wszystkim wyraźnie poprawiły się humory. Chodzili teraz w lśniącej czerwieni i zieleni, co wyglądało znacznie przyjemniej niż wieczne brązy i szarości.

Pierwszy bęben, który wykrzywił się z powodu wilgotnego drewna, był otaczany wielką czcią przez mieszkańców osady. Stał się niemal fetyszem, symbolem nadejścia nowych, lepszych czasów w Liberdade, osadzie wolności. Caca zdołał wykonać także inne instrumenty z wysuszonych łupin olbrzymich owoców, z drewna i pasm kory. Wyrzeźbił liczne piszczałki i zrobił grzechotki wypełnione nasionami roślin, więc co wieczór rozlegał się wesoły, nieharmonijny, ale tym radośniejszy koncert.

Również siedziby stały się znacznie wygodniejsze, odkąd na pozór opóźniony w rozwoju mężczyzna zabrał się do ich wyposażania. W każdej chacie były teraz dywany z futer, wygodne materace splecione z liści i wypełnione pierzem, kilka prostych drewnianych mebli, plecionki oraz barwne maty, którymi można było zasłaniać otwory okienne i które chroniły przed niepożądanymi spojrzeniami i przed komarami.

Caca nie potrafił jednak czarować.

– Pppotrzebuję żżżelaza, żżżeby... – chciał wyjaśnić, ale Zé nie dał mu skończyć.

– Wiem. Jeśli miałbyś wykuć broń, narzędzia i gwoździe, potrzebujemy metalu. W tym celu jednak jeden z nas musiałby wybrać się do najbliższej miejscowości zamieszkanej przez białych, a kto miałby to zrobić? Wszyscy jesteśmy poszukiwani.

– Ttty. – Caca spojrzał wyzywająco na Zé, jakby chciał powiedzieć: „No, mów za mnie, brakuje ci przecież cierpliwości, by dać mi skończyć, i wydaje ci się, że wiesz, co chcę powiedzieć".

– Jako zbiegłego niewolnika łatwo można mnie rozpoznać po bliznach na plecach.

– Aaale Jjjoão...

– João by się upił i pewnie nigdy nie wrócił, to prawda. Luizinho dałby się oszukać przy sprzedaży naszych nielicznych wyrobów i wrócił z pustymi rękoma. Ciebie też łatwo poznać po jąkaniu. Zostają kobiety. Nie chciałbym jednak puścić żadnej z nich samej, a gdyby poszły we dwie, nie mielibyśmy tu nikogo, kto by prał i gotował.

– Wwwłaśnie. Dddlatego mmmusisz iiiść ttty.

– No nie wiem. Czy dalibyście sobie beze mnie radę?

Caca pokiwał głową, zamyślony, jakby miał co do tego pewne wątpliwości. Oczywiście, świetnie poradziliby sobie przez pewien czas bez Zé, ale nie chciał tego wprost powiedzieć, aby go nie urazić.

Zé zastanawiał się nad propozycją. Wiedział, że najlepiej ze wszystkich nadawał się do tego zadania. Nie wahał się także przez brak odwagi czy zdecydowania. Chętnie zostałby jednak na miejscu, ponieważ czekał na kogoś, choć nie przyznawał się do tego głośno. Co by było, gdyby Lua wreszcie się zjawiła i go nie zastała?

Nie dawała mu spokoju wiadomość, którą przekazali po przybyciu Caca i Bebel, mianowicie że z São Fidélio uciekła niewolnica, ale została schwytana. A jeżeli chodziło o Luę? Czy ukarzą ją tak surowo, że złamią jej wolę, czy też poważy się na ponowną ucieczkę? Czy z czasem przestaną jej uważnie pilnować i zyska kolejną szansę, by zbiec? Czy następnym razem lepiej się przygotuje? Czy dotrze sama przez dżunglę do quilombo? Zé był bardzo zaniepokojony, ale powtarzał sobie, że prawdopodobieństwo, iż uciekinierką była Lua, wynosi zaledwie jeden do pięćdziesięciu, ponieważ w São Fidélio mieszkało około pięćdziesięciu dziewcząt i kobiet dość dorosłych, ale nie za starych na takie przedsięwzięcie. Dokładniej rzecz biorąc, prawdopodobieństwo to było jeszcze mniejsze, ponieważ niedola Lui była niczym w porównaniu z losem polowych niewolnic.

A co, gdyby – tak jak zaproponował Caca – Zé wybrał się ze skromnymi wyrobami mieszkańców osady: koszami, matami, przedmiotami z drewna do najbliższej miejscowości, by je sprzedać? Mógłby skorzystać z okazji i spieniężyć również złote serduszko, które

podarowała mu Kasinda. Miałby także możliwość wypytać o Luę. A może był to zbyt śmiały plan? Czy nie narazi w ten sposób Liberdade na niebezpieczeństwo? Jego małe quilombo stało na bardzo jeszcze chwiejnych nogach.

– Zastanowię się nad tym – oznajmił i odwrócił się gwałtownie od Cacy, żeby nie wysłuchiwać dalszych jąkanych argumentów.

Nie musiał jednak rozmyślać długo. Właściwie postanowił już, że uda się w drogę. Strach o Luę sprawiał, że wszelkie niebezpieczeństwa wydawały mu się nieistotne.

Planowaną wyprawę Zé do „prawdziwego" świata przyjęto z mieszanymi uczuciami. João i Luizinho nie skrywali zawiści, ponieważ i oni chętnie odbyliby tę podróż, aby choć raz jeszcze doświadczyć wszystkich tych rzeczy, które nie były im tu dane – zjeść solidny, tłusty posiłek, wypić kilka kieliszków i spędzić wesoły wieczór w większym gronie. Marilu z kolei obawiała się, że jeśli ktokolwiek z nich odejdzie, zagrozi to życiu pozostałych mieszkańców quilombo. Jedynie Bebel rozumiała, że wyprawa do miasta jest konieczna, i zgadzała się, że powinien iść właśnie Zé.

– Zé jest najsprytniejszy z nas wszystkich. Dotarł tu o własnych siłach i również tę podróż zdoła odbyć samotnie. Poza tym w jego wypadku jestem pewna, że nie przepuści pieniędzy w szynkach, tylko wyda je na sensowne sprawunki.

– Chce odwiedzić swoją ukochaną i tyle! – zawołał João.

– Jeżeli zobaczą go w pobliżu São Fidélio, schwycą go, a potem i nas – wyrażał obawę Luizinho.

– Aaa ttty zzza ttto... – zaczął Caca.

– ...ty za to wcale nie zwracałbyś na siebie uwagi, gdybyś po pijanemu zaczął opowiadać o Liberdade? – zakończyła jego siostra.

– Dlaczego wszyscy uważają, że bym się spił? – spytał Luizinho oburzonym głosem.

– A nie zrobiłbyś tego? – zapytał uszczypliwie João.

– Przestańcie! Nie rwę się przecież do tego, by iść. Sądzicie, iż nie obawiałbym się, że mnie schwycą i zachłostają na śmierć? Jeśli o mnie chodzi, może iść ktoś inny.

Wszyscy zamilkli. Do tej pory myśleli tylko o przyjemnych stronach podróży, a nie o ryzyku. Żadne z nich nie chciało trafić do więzienia, stanąć pod pręgierzem albo wręcz zostać skazanym na śmierć.

– No dobrze – zgodził się Luizinho, zawsze bardziej układny z dwóch mężczyzn z Três Marias. – Idź więc. Pamiętaj jednak o nas i przynieś przynajmniej sól i cachaçę.

– Jjak zzzdoła... – Caca miał pewne zastrzeżenia.

– ...to wszystko unieść? – uzupełniła pytanie Marilu. – Jeżeli ma zabrać metal, i tak będzie miał sporo do dźwigania.

– Przydałaby się krowa – powiedziała Bebel. – Mogłaby wszystko unieść, a poza tym dawałaby mleko.

– Prawda – zgodził się Zé. – Ale czy zdołam pognać krowę przez gęsty las? Mogłyby minąć miesiące, zanim utorowałbym dla niej drogę.

– W takim razie nie bierz krowy – rzekła Bebel z rozczarowaniem, bo cieszyła się już na wszystkie smakołyki, jakie można by przygotować z mleka.

– Czy zatem wszyscy zgadzają się, żebym wyruszył? – spytał Zé dla porządku. Dla niego sprawa była już dawno przesądzona.

Pozostała piątka pokiwała głowami lub wymruczała potwierdzenie.

– Zabierzmy się zatem do pracy. Czeka nas mnóstwo przygotowań.

Trzy dni później Zé udał się w drogę. Kobiety połatały i wyczyściły jego ubranie tak, by zniszczenia nie rzucały się w oczy. Caca sporządził stabilny plecak, w którym Zé niósł skromny towar na sprzedaż oraz prowiant. W plecaku znajdowała się także para prostych skórzanych sandałów, które zrobił João i które Zé miał założyć, gdy tylko wyjdzie z lasu, by przybrać wygląd wolnego człowieka. Plecak ważył więcej niż tobołek, z którym tu przybył, ale Zé niósł go, jakby był lekki jak piórko. Z pewnością to zniecierpliwienie dodawało mu energii i sprawiało, że wszystko wydawało się łatwiejsze, niż miało okazać się w rzeczywistości.

Pierwszy etap podróży pokonał szybko w kanu. Złożył krótką wizytę Indianom Tupinambá, by spytać, czy przynieść im coś z „cywilizacji". Uważał, że tyle przynajmniej może im zaoferować w zamian za okazaną pomoc. Indianie byli jednak samowystarczalni i sceptyczni wobec większości rzeczy, które przywieźli ze sobą biali. Poprosili tylko o trochę kolorowych koralików, a Zé obiecał, że je dla nich nabędzie.

Popłynął w kanu dalej na południowy wschód. Jego plan był taki, że najpierw po stronie Zatoki Wszystkich Świętych, która leżała naprzeciw Salvadoru, zajmie się sprzedażą przygotowanych rzeczy, by uwolnić się od ciężaru. Było tam kilka miejscowości, na przykład Nazaré czy São Félix, gdzie na pewno nie wypatrywano zbiegłych niewolników tak uważnie jak w stolicy. Gdy tylko zdobędzie nieco pieniędzy, będzie musiał zadbać o nowe ubranie, żeby jego wygląd nie zdradzał go jako uciekiniera. Na ten cel zamierzał przeznaczyć sumę, jaką miał nadzieję otrzymać za złote serduszko.

Gdy dotarł rzeką do terenów zamieszkanych przez białych, udał się dalej pieszo. Na brzegu zawsze można było spotkać ludzi, którzy robili pranie, łowili ryby lub czerpali wodę, z dala od rzeki natomiast łatwiej było się ukryć. Zé dawno już przestał się obawiać niebezpieczeństw kryjących się rzekomo w lesie, ponieważ potrafił poradzić sobie z większością trudów, na jakie był narażony w puszczy. Nadal bał się jednak obcych ludzi. Mimo to wędrował lekko i na równi cieszył się

z powrotu do ludzkich skupisk, jak i się tego obawiał. Czy widać będzie po nim, że tak długo przebywał z dala od gęsto zaludnionego pasa wybrzeża? Czy rzeczywiście wezmą go za wolnego człowieka? Musiał nauczyć się odpowiednio zachowywać i nie spuszczać głowy, gdy tylko ktoś spojrzy na niego podejrzliwie.

Gdy dotarł do pierwszego miasta, São Félix, i odważył się wreszcie stanąć na bitej drodze, jego serce biło jak oszalałe. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na nieco zaniedbanego czarnego mężczyznę, wędrującego z dużym plecakiem. Wszyscy mieli własne sprawy. Zé zbliżył się do centrum miejscowości, nie zamieniając z nikim słowa. Obawiał się, że jego głos po długim milczeniu w czasie podróży mógł stać się chrapliwy. Nagle jednak zagadnęła go starsza czarna kobieta, która spytała, czy ma coś na sprzedaż, a on odpowiedział pewnym głosem:

– Tak. Jak dostanę się na targ?

– Dziś nie ma targu – odparła kobieta. – Tylko w poniedziałki, środy i soboty.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że stracił poczucie czasu. W lesie każdy dzień mijał tak samo. Nie było kaplicy, do której chodziłoby się w niedziele, a pożywienia i opału potrzebowali codziennie, także w święta. Jedynie pozycja słońca i pełnia księżyca wskazywały w ich odosobnieniu upływ czasu, a nie potrzebowali w zasadzie odmierzać go dokładnie. Nie wiedział nawet, jaki jest miesiąc!

– Och, coś musiało mi się pomylić! – zawołał.

– No cóż, do jutra twój towar się nie zepsuje. Masz coś ładnego na sprzedaż? – Kobieta najwyraźniej miała nadzieję, że złowi jakąś okazję.

Zé zastanawiał się przez chwilę, czy jest niedziela, wtorek, czy może piątek. Niedzielę wykluczył, ponieważ wokół wrzała praca, nikt nie był ubrany jak do kościoła i nie słychać było dzwonów. Musiał być zatem wtorek lub piątek. Odpowiedział:

– W plecaku mam wyroby z wikliny i drewna. Zanim jednak sprzedam towar, chciałbym znaleźć nocleg.

– Za vintéma mogę dać ci pokój. Woda do mycia i śniadanie w cenie.

– Brzmi to dobrze – odrzekł i naprawdę tak uważał. Był zmęczony i brudny. Najrozsądniejsze, co mógł zrobić, to wypocząć i się odświeżyć. – Czy jest pani właścicielką pensjonatu?

Kobieta zaśmiała się głośno.

– Czy na taką wyglądam? – Gdy się uspokoiła, dodała: – Nie, jestem wdowa Moreira, mój mąż José był szewcem. Możesz mi mówić Mariana.

– Miło mi, tia Mariana, jestem Zé.

Udał się za kobietą do małego domku na obrzeżach miasta, dziwiąc się jej nadmiernej ufności. W rozmowie okazało się jednak, że Mariana

miała nie tylko w bliskim sąsiedztwie wielu adoratorów, uważających się za jej opiekunów, ale także psa, który nad nią czuwał. Czasami wynajmowała malutką izbę, jeżeli goście wydawali się jej uczciwi. Była co prawda biedna, ale wystarczająco przedsiębiorcza, by jakoś wiązać koniec z końcem. Często zdobywała towar po korzystnej cenie, na przykład od ludzi takich jak Zé, a potem odsprzedawała go drożej. Poza tym dorabiała, piekąc ciasta, które wystawiała na sprzedaż w dni targowe.

Jej ciekawość była jednak nie mniejsza niż zaradność, Zé musiał więc uważać, aby się nie zdradzić.

– Jestem wędrownym sprzedawcą. Dziś tu, jutro tam, jeśli mnie pani rozumie, tia Mariana. – Pozostał przy zwrocie grzecznościowym i nie przeszedł na „ty", ponieważ starsza kobieta miała prawo do szacunku. – Tak, tia Mariana, czasami odwiedzam indiańskie plemiona, ponieważ można u nich dostać tanie i dobre towary. W zamian chcą tylko trochę szklanych paciorków. Ależ ten pani rosół jest wyborny, proszę mi wierzyć! Och, słuszne pytanie, tia Mariana. Tak, rzeczywiście, czasami zatrzymują mnie patrole i wypytują. Ale tak między nami, czy wyglądam na tyle głupiego, tia Mariana, że pokazywałbym się wtedy w miastach, w dodatku w dni targowe?

Wdowa Mariana Moreira nie dawała się łatwo oszukać, a opowieść gościa miała wiele luk. Nie chciała jednak dochodzić prawdy, ponieważ przybysz był zbyt atrakcyjny i szarmancki, żeby szybko miała się go pozbyć. Jej starsi adoratorzy będą cudownie zazdrośni, choć oczywiście nie powinni sądzić, że przystojny młody mężczyzna pokroju Zé chciałby z damą w zaawansowanym wieku, taką jak Mariana, mieć coś wspólnego, co wykraczałoby poza relacje między gospodynią a gościem.

Zé został u niej przez dwa tygodnie. Cieszył się towarzystwem i dobrą kuchnią przyjaznej wdowy, która także dla niego prała. Sprzedał wszystkie towary, nabyte rzekomo u Indian, i zebrał siły oraz odwagę na przedsięwzięcie, które mogło okazać się znacznie trudniejsze.

– Zapraszam cię, gdy znowu będziesz w okolicy – pożegnała go dona Mariana. – Nie każ mi długo czekać. – Mrugnęła do niego figlarnie i przez krótką chwilę Zé widział Marianę taką, jaka musiała być przed wieloma laty – śliczną, kokieteryjną i przyciągającą tłumy młodych adoratorów.

– Postaram się – odparł i również przymrużył oko.

Myślami był już jednak daleko.

28

Lua ostrożnie uniosła deskę i rozejrzała się na wszystkie strony. Jutro wraz z sinhazinhą Eulálią oraz trzema innymi niewolnikami, którzy zostali jej ofiarowani w wianie, miała wyruszyć do Três Marias. Nie wiedziała, czy nadarzy się jeszcze okazja, by niezauważenie zabrać brulion oraz kilka cennych drobiazgów, ukrytych pod podłogą. Lepiej już teraz nosić przy sobie najważniejsze przedmioty, ponieważ należało obawiać się, że dona Ines przeszuka jej bagaż. Gdzie jednak może to wszystko ukryć? Praca wymagała od niej ciągłego ruchu i zazwyczaj Lua zakasywała spódnicę, by mieć większą swobodę dla nóg. Będzie zatem musiała na razie zostawić rzeczy w schowku.

Poza tym jeśli dona Ines znalazłaby teraz książeczkę, to czy istniała kara gorsza niż ta, którą już teraz Lua musiała znosić? Tylko śmierć, a tej prawie przestała się bać. Zjadła nędzne śniadanie w postaci suszonych beijús i opuściła senzalę wraz z pozostałymi robotnicami – z pochyloną głową, skulonymi ramionami i złamanym duchem. Sinhazinha nie zostawiła bowiem wątpliwości, że również w nowym domu jej służąca będzie początkowo wykonywać prace polowe.

– Zawiodłaś nas wszystkich, Lua – powiedziała do niej przed kilkoma dniami, przy czym Lua nie mogła się pozbyć wrażenia, że to starannie wyćwiczona przemowa. Sinhazinha wydawała się bowiem nie tyle rozczarowana, ile raczej współczująca i wyrozumiała. A może Lua tylko tak to sobie wyobrażała? – Przykro mi, że cię to spotkało – ciągnęła Eulália. – Mimo to ani ja, ani mój małżonek nie możemy tolerować takiego nieposłuszeństwa i udawać, że nic się nie stało. Będziesz zatem musiała dalej wykonywać ciężkie prace. Wierz mi jednak, że gdy tylko wszystko zostanie zapomniane, postaram się, byś znowu mogła pracować w domu i być w pobliżu mnie. Wiesz, że mi ciebie brakuje.

Kiedy to jednak nastąpi? Jak szybko wszystko zostanie zapomniane? Za tydzień, za miesiąc, za rok? Na myśl o tym, że przez kolejny rok będzie musiała wykonywać najbardziej poniżające prace, Lua traciła

nadzieję na poprawę swego życia. Rok to przecież wieczność!

Sama nie wiedziała, dlaczego właśnie brulion z historią Imaculady uważała za tak cenny, że chciała go zabrać ze sobą. Czy mogła czerpać pociechę ze smutnych losów staruszki? A może spodziewała się, że ponowna lektura stanie się dla niej swego rodzaju nauką? Imaculadzie udawało się bowiem nie tracić nigdy woli życia, nawet w pozornie beznadziejnych sytuacjach. W zasadzie – myślała Lua, to wielka szkoda, że nie dowie się już, co działo się później ze starą niewolnicą. Imaculada nie miała udać się do Três Marias.

Korzystne było przynajmniej to, że Lua opuszczała Sã o Fidélio. Na fazendzie przyszłego męża Eulálii nikt nie wiedział, co jej się przytrafiło lub nie przytrafiło. Pomimo licznych zaprzeczeń utrzymywała się uparta pogłoska, że Lua podczas ucieczki zmuszona była do prostytucji, a to wiązało się z zupełną utratą szacunku. Jakby to kobiety winne były takiego losu! Luę oburzała obłudna logika kryjąca się za tą postawą, uznająca tylko męski punkt widzenia. W wypadku gwałtu winę zawsze ponosiła rozwiązła dziewczyna, a sprawcę uznawano tylko za bezwolną ofiarę kobiecych uroków. Lua zastanawiała się, czy i ona nie wyznawała dawniej takich poglądów. Gdy zaledwie dwunastoletnia Joaninha zaszła w ciążę, czyż wszyscy po cichu nie przypisywali winy przedwcześnie dojrzałej dziewczynie? Cóż, Lua dostała teraz za swoje, padając ofiarą podłych pomówień. Odpowiadał za nie przede wszystkim Lulu, który na całe szczęście nie należał do niewolników sinhy Eulálii i nie zabierano go do Três Marias. Jeden problem mniej – myślała Lua.

Z drugiej strony nie wiedziała, co czeka ją w nowym domu. Podczas gdy tu musiała tylko bronić się przed napastowaniem przez Lulu oraz niezdarnymi próbami zbliżenia ze strony senhora, tam spotkać mogła mężczyzn, czarnych i białych, którzy uważali, że wolno im do woli zabawiać się z nowymi niewolnicami. Robotnice polowe jako niższe rangą w hierarchii były narażone na znacznie więcej napaści niż niewolnice domowe, często znajdujące się pod ochroną senhora czy poszczególnych członków rodziny. Lua także dawno już zostałaby zgwałcona przez robotników lub nadzorców, gdyby nie łączyły jej tak bliskie stosunki z sinhazinhą. Dlaczego dopiero teraz to sobie uświadomiła? Czy nie chciała wcześniej dostrzegać tego, co dla innych było oczywiste? Nagle zawstydziła się swojej ignorancji.

Poważne wątpliwości dręczyły także Kasindę, czyli Imaculadę. Co stanie się z dziewczyną, którą wybrała na powierniczkę swojej historii, jeżeli ta odejdzie z São Fidélio? Na Três Marias Imaculada nie będzie mogła czuwać nad nią ani pomóc jej w ucieczce. Co prawda miała na sąsiedniej fazendzie starych przyjaciół, ale nie wiedziała, czy sprzyjają jej planom. Pomoc w ucieczce trojgu młodym ludziom, których znali od

dawna, to przecież coś zupełnie innego niż wsparcie obcej dziewczyny w poszukiwaniach ukochanego.

Oczywiście, nie był to jedyny cel Imaculady. Połączenie Mbómbo i Lui oraz umożliwienie im życia na wolności miało także zupełnie egoistyczne powody. Imaculada chciała, by jej historia przetrwała. Inaczej niż w Afryce, gdzie istnieli kronikarze, którzy wyłącznie dzięki ustnym przekazom znali wydarzenia sprzed wielu wieków, a nawet potrafili wyrecytować drzewa genealogiczne całych wiosek, ludzie w Brazylii słuchali tylko słowa pisanego. To, co zostało zapisane, było ważne i mogło przetrwać. Wszystko inne nie.

Widać to było choćby po niewolnikach w São Fidélio. Niewielu z nich znało swoich rodziców, nie mówiąc już o dziadkach. Jak można było godnie żyć, jeśli nie wiedziało się niczego o własnych przodkach i w związku z tym nie okazywało się im należnego szacunku? Dopóki zaś niewolnicy nie potrafili czytać i pisać, a więc nie mogli utrwalać na piśmie swego rodowodu ani historii cierpień, pozostawali na zawsze pozbawieni korzeni. Większość ich zaprzeczała wręcz swemu afrykańskiemu pochodzeniu, nawet jeżeli ich dziadkowie przyszli na świat w Afryce!

Imaculada przerwała te rozmyślania, gdy usłyszała, jak ktoś nadchodzi energicznym krokiem. Zbliżał się ku niej dom Felipe we własnej osobie. W mgnieniu oka przemieniła się w ogłupiałą staruszkę, która całymi dniami przesiaduje przed senzalą i śliniąc się, śledzi wydarzenia zamglonym wzrokiem. To zawsze działało. Gdy ktoś sprawiał wrażenie zgrzybiałego i mało bystrego, nikt nie zwracał na taką osobę uwagi. Równie dobrze mogła być niewidzialna. Odkąd Imaculada się o tym przekonała, często stosowała tę sztuczkę. Czasami nie była pewna, czy naprawdę nie staje się niewidzialna, tak dobrze sprawdzała się ta metoda. Od starej uzdrowicielki, do której przed wiekami poszła na naukę, dowiedziała się, że ludzka wola może mieć niezmierzoną siłę i że uskrzydlony i odpowiednio wyszkolony duch potrafi pokonać wszelkie przeszkody fizyczne. Imaculada sądziła, że z powodu życia w niewoli jej duch i wola są zbyt słabe, by mogła w ten sposób uciec przed cierpieniem. Uprowadzono ją zbyt wcześnie. Gdyby została w afrykańskiej wiosce i przysłuchiwała się dalszym naukom uzdrowicielki, z pewnością udałoby się jej duchowe zapanowanie nad sferą fizyczną. Teraz jednak uwierzyła, że wtedy była po prostu zbyt młoda. Czyżby na starość rzeczywiście otrzymała moc, jaką przypisywali jej inni niewolnicy?

Dom Felipe maszerował dziarskim krokiem do pralni. Gdy mijał senzalę, zobaczył przykucniętą szaloną staruszkę. Odwrócił wzrok. To wstrętne, co działo się z niektórymi Murzynami na starość. Jako dobry chrześcijanin musiał w dodatku karmić te bezużyteczne stworzenia!

Żona nigdy nie pozwoliłaby mu wypuścić starców na wolność, jak uczyniłby każdy rozsądny fazendeiro. Ach, do diabła z nią! Powinien raczej skupić się na tym, co zaplanował.

Był to również niechrześcijański zamiar, ale im dłużej dom Felipe na ten temat rozmyślał, tym większą czuł potrzebę, by to uczynić. Tak, był niemal opętany myślą, że musi posiąść Luę. Na samo wyobrażenie jej gładkiego jasnobrązowego ciała sztywniał z podniecenia! Przez wszystkie minione lata obserwował tę dziewczynę, a odkąd się opierzyła, pożądał jej. Obawiał się jednak nie tylko wymówek małżonki, która nie przyzwalała na stosunki między czarnymi i białymi. To kary, które zesłałby na niego Bóg, powstrzymywały dom Felipe przed wzięciem młodej niewolnicy, do czego przecież miał prawo jako jej właściciel. Lua była najprawdopodobniej owocem związku jego i matki dziewczyny. Ale czy z tego powodu można było ją nazywać jego córką? Skąd! Gdy Murzyni się rozmnażali, czynili to jak zwierzęta. Jego cenne białe nasienie przypadkowo spadło na żyzną glebę, to wszystko. Nie miało to nic wspólnego z tym, co działo się między małżonkami, którzy otrzymali błogosławieństwo świętej matki Kościoła.

Teraz jednak, gdy Lua miała wkrótce odejść, dom Felipe nie chciał dłużej rezygnować ze swoich przywilejów fazendeira. Dom Afonso i jego próżniaczy syn Rui Alberto, czyli jego własny zięć, zrobiliby przecież to samo! Zanim wszyscy oni wezmą tę dziewczynę, która to wizja niepokoiła, a zarazem podniecała Felipe, on sam się z nią zabawi. I to zaraz.

Poza tym nie była przecież niewinna. Trzymano ją w domu rozpusty... Kto wie, może się tam czegoś nauczyła, kilku brudnych sztuczek, jakich nigdy nie mógłby zażądać od swojej żony. Felipe przeszedł dreszcz w oczekiwaniu na rozkosze, które go czekały. Nadarzyła się dobra okazja. W Casa Grande znacznie trudniej było na dość długo zostać z dziewczyną sam na sam. Tu jednak, koło pralni, nie istniało niebezpieczeństwo, że przypadkowo nadejdzie jego żona lub dzieci. Pozostałych niewolników po prostu odeśle i zupełnie nie obchodziło go, co na ten temat pomyślą.

Zobaczył Luę z daleka. Przystanął na chwilę, by nacieszyć się jej widokiem i zapowiedzią przyjemności. Można ją było schrupać, nawet teraz, gdy w najprostszym odzieniu i z ponurą miną stała w słońcu i wyżymała prześcieradła. Druga niewolnica, która jej w tym pomagała, była zupełnie zwyczajna. Między obiema młodymi kobietami istniała przepaść. Czy było grzechem – pomyślał Felipe w krótkim przypływie wyrzutów sumienia – kazać pięknej i mądrej młodej kobiecie wykonywać tak prymitywne prace, które niszczyły delikatną skórę i stanowiły kpinę z jej inteligencji? No cóż, uznał, że być może to i grzech, jednak Lua sama sobie na to zasłużyła. Nie musiała przecież

uciekać, gdy chcieli spełnić jej ukryte życzenie. Niewdzięczna pannica! Już on jej pokaże!

Lua nie zauważyła nadejścia dom Felipe. Denerwowała ją niezręczność drugiej praczki, wyraźnie tępej młodej kobiety, której nie chciano powierzać trudniejszych prac niż wyżymanie płacht tkaniny. Głuptaska była bowiem silna.

– Uważaj, ty głupia krowo! – ofuknęła dziewczynę. – Końce prawie dotykają ziemi!

– Przepraszam, Lua.

– I nie powtarzaj wciąż: „Przepraszam, Lua"! Doprowadza mnie to do szału.

– Przepraszam, Lua.

Lua najchętniej udusiłaby tę pomocnicę. Miała jednak dość rozumu, by zdawać sobie sprawę, że dziewczyna nie jest niczemu winna. To nie ta prostaczka była przyczyną nieszczęść Lui. Wyłącznie ona sama odpowiadała za swoje położenie. Okazała się jeszcze głupsza od tej tępej niewolnicy, gdy uciekła, nie zastanawiając się ani przez chwilę nad konsekwencjami swego czynu!

Od tamtej pory minęło wiele tygodni i życie, które prowadziła wcześniej w Casa Grande, powoli zaczęło wydawać się jej nierzeczywiste. Posyłano ją na pola trzciny cukrowej i plantacje manioku, kazano jej skubać kury, patroszyć ryby i czyścić chlewy, obecne zajęcie okazało się jednak najgorsze ze wszystkich. A tak cieszyła się przecież, gdy oznajmiono jej, że nie musi dłużej grzebać w świńskich odchodach! Dobre sobie!

Pranie należało do najcięższych i najbardziej niewdzięcznych prac. Lua nie miała o tym pojęcia! Od żrącego ługu krwawiły jej palce, a gdy długo pochylała się nad kotłem i mieszała gotujące się pranie, jej oczy nabiegały krwią. Musiała usuwać paskudne zabrudzenia. Prała bieliznę Oliveirów, a także pościel, obrusy, a nawet miesięczne opaski higieniczne kobiet należących do rodziny. Czy nie wstydziły się oddawać niewolnicom do prania wszystkich tych szmatek przesiąkniętych naturalnymi wydzielinami? Najwyraźniej nie.

Jeśli na płótnie został choćby cień plamy, trzeba było ją wybielić. Także to zajęcie bardzo nadwerężało skórę i drogi oddechowe. Poza tym trzeba było wszystko wykrochmalić, wysuszyć i wygładzić, graniczyło więc z cudem zapanowanie nad stosami prania, zwłaszcza że wiele rzeczy zdążyło się zabrudzić, jeszcze nim wyschły, ponieważ zsuwały się ze sznurka, spadały na nie kwiaty, ptasie odchody lub brudziły je dzieci bawiące się w pobliżu.

Przeszkadzały też baraszkujące małpki. Sznurki na pranie rozciągnięte były między drzewami owocowymi, które rosły w południowej części fazendy, za warzywnikiem. Obok palm

kokosowych i kakaowców rosły tam także nanercze, drzewa mango i melonowce, a zwierzątka lubiły ich owoce tak samo jak ludzie. Małpy często skakały zatem po gałęziach, podjadały coś to tu, to tam, i trzeba było przepędzać je, jeśli nie chciało się stracić całego zbioru.

Lua strzepywała teraz prześcieradło z pomocą Głuptaski, aby jak najszybciej je rozwiesić. Gdy dostrzegła, że róg materiału zwisa nad czerwoną, pylistą ziemią, przestała zupełnie zważać na to, co działo się wokół. Całą uwagę skupiła na praniu, zwłaszcza że niedojrzałe owoce nanercza wciąż spadały na prześcieradło i mogły je poplamić.
A przecież kobiety nie stały bezpośrednio pod drzewem! To mogła być tylko sprawka małp. Nagle na czole Lui wylądował mały, twardy, niedojrzały owoc. Szczyt wszystkiego! Te bestie stawały się coraz bardziej zuchwałe.

Lua była pewna, że to bezczelna małpka mico-saguí siedzi na pobliskim drzewie i jej dokucza. Podała Głuptasce swój koniec prześcieradła, aby odpędzić niesforne zwierzątko.

– Potrzymaj to przez chwilę, sprawdzę, kto ciągle nam przeszkadza.

Powiodła wzrokiem po gęstej koronie nanercza. Na widok tego, co w niej odkryła, omal nie krzyknęła z przerażenia i z radości. Do gałęzi przykleił się Zé, tak sprytnie i tak dobrze był zamaskowany dzięki dobranemu kolorystycznie ubraniu, że zauważyła go dopiero, gdy przyjrzała się uważniej.

Wrócił.

Musiała się powstrzymać, by głośno nie okazać radości. Zé dał jej znak, żeby była cicho, i wskazał na kogoś, kto się zbliżał, a kogo widział tylko Zé ze swego ukrycia wysoko na drzewie. Lua rozejrzała się, ale nie dostrzegła nikogo oprócz Głuptaski.

– Co tam jest na górze, Lua? – spytała dziewczyna.

– Ach, nic takiego. Tak jak myślałam, tylko bezczelna mico-saguí.

– Mam pomóc ci ją przegonić? – Niestety, głupia niewolnica była także uczynna.

Lua wywróciła oczami.

– Sama sobie poradzę. – W żadnym wypadku nie mogła dopuścić, by ktoś spojrzał na koronę drzewa, bo oznaczałoby to zdemaskowanie Zé.

– Z czym sobie poradzisz? – usłyszała nagle głos senhora.

Z przerażenia zaniemówiła. Jeszcze i to! Czy dom Felipe, który przecież nigdy nie zjawiał się w pobliżu pralni, musiał właśnie tego dnia wybrać się na wycieczkę? Co za pech!

– Co jest? Odebrało ci głos ze strachu? – spytał.

– Sim, sinhô, to znaczy nie, senhor, nie przestraszył mnie pan. – Serce biło jej tak mocno, że czuła, jak podskakuje jej klatka piersiowa.

– To dobrze. Chciałem bowiem zamienić z tobą kilka słów w cztery oczy.

– Och... – To nie oznacza niczego dobrego – pomyślała Lua.

Z pewnością otrzyma teraz wskazówki, jak ma zachowywać się w Três Marias, albo znowu usłyszy zarzuty na temat wielkiej niewdzięczności.

– Ty tam... – Dom Felipe wskazał na Głuptaskę, której imienia najwyraźniej nikt nie znał. – Idź sobie. Odpocznij nad rzeką. Nie spiesz się.

– Sim, sinhô – wyszeptała onieśmielona dziewczyna i oddaliła się w mgnieniu oka.

Dom Felipe przyjrzał się Lui. Powiódł wzrokiem po jej nagich stopach i łydkach, na chwilę zatrzymał się na zaokrąglonych biodrach, podziwiał szczupłą talię, a potem długo wpatrywał się w dekolt. Nie spojrzał jej w twarz. Czuł się nieco niepewnie. Inną rzeczą było wyobrażać sobie, jak to będzie posiąść niepokorną niewolnicę, a zupełnie inną stanąć przed dziewczyną z krwi i kości, którą znał przez całe jej życie. Nie mógł traktować jej tylko jak ciało. To była Lua! Zwlekał, ale potem przywołał się do porządku i chwycił ją za pierś.

– Ależ dom Felipe! – zawołała Lua i odtrąciła jego dłoń.

– Nie udawaj niewinnej – powiedział i szorstko przyciągnął ją do siebie. – Wszyscy już wiedzą, że byłaś w burdelu, a nietrudno wyobrazić sobie, co tam z tobą robili. Okażesz swemu senhorowi te same względy. – Felipe zupełnie zapomniał o swych wcześniejszych zahamowaniach. Sprzeciw Lui tylko go rozochocił, a teraz chciał wreszcie wziąć sobie to, co już dawno mu się należało.

– Nie! – krzyknęła Lua, gdy podciągnął jej spódnicę.

Nie musiała nawet spojrzeć błagalnie w koronę drzewa, by Zé przystąpił do działania. Młody Murzyn spadł na Felipe i warcząc, chwycił go mocno, tak jak zrobiłoby to dzikie zwierzę ze swoją ofiarą.

– Ty! – wyrwało się sparaliżowanemu strachem fazendeiro, gdy dostrzegł napastnika. Nic więcej jednak nie zobaczył, bo Zé celnym uderzeniem pięści obezwładnił swojego byłego właściciela.

Felipe nieprzytomny padł na ziemię.

– Chodź – nakazał Zé Lui, która przerażona pokręciła głową. Nie mogła znowu uciec bez namysłu. Boleśnie przekonała się, jak to się kończy.

– Nie możesz tu zostać. Chodź ze mną szybko. Mam ze sobą wszystko, czego będziemy potrzebować w drodze. Przy odrobinie szczęścia potrwa jeszcze godzinę albo nawet dłużej, nim dom Felipe odzyska przytomność czy też go znajdą. Wtedy będziemy już daleko stąd. – Ze słów Zé przemawiała większa pewność siebie, niż czuł ją naprawdę. Godzina to było bardzo mało, zwłaszcza jeśli spuszczą na nich psy. Na pewno jednak nie mogli tu zostać.

Lui chodziły po głowie podobne myśli. Oszołomiona, wyraziła zgodę.

– Dobrze więc.

Po raz pierwszy uśmiechnęli się do siebie.

Potem pobiegli.

29

Zé biegł przodem. Znał drogę do Três Marias lepiej niż Lua, a obszar sąsiedniej fazendy nie krył przed nim żadnych tajemnic. Wiedział, że mają szansę tylko wtedy, jeśli zachowają zimną krew, zastanawiał się więc w czasie biegu, jak zdołają zapewnić sobie bezpieczeństwo. W jego głowie wciąż pojawiały się jednak myśli, które teraz tylko mu przeszkadzały.

Gdy zobaczył Luę, jej wygląd głęboko go poruszył – była wychudzona, wyniszczona i nieszczęśliwa. Zabronił sobie rozmyślać o wszystkich poniżeniach, które ją spotkały, a których szczytem najwyraźniej było to, że trafiła do domu rozpusty. Gdy siedząc na drzewie, usłyszał słowa dom Felipe, z wściekłości i przerażenia zrobiło mu się niemal czarno przed oczami. Mimo to nie mógł w tej chwili pozwolić sobie na uleganie uczuciom i zajęcie się pocieszaniem Lui. Stawką było wszystko. Śmierć i życie.

Przyszedł mu do głowy plan tak zuchwały, że miał szansę się powieść. Decydujące było jednak, żeby również Lua wykazała się spokojem i brakiem skrupułów. Czy zdoła to zrobić po wszystkim, co ją spotkało?

Zatrzymał się. Lua uczyniła to samo.

– Co się dzieje? – spytała zalękniona.

– Mam pomysł. Konieczne jest jednak, żebyś idealnie odegrała rolę wiernej niewolnicy Lui. Czy potrafisz to zrobić?

Skinęła głową. Mina Zé powiedziała jej, że on nie w pełni jej wierzy.

– Z pewnością! – potwierdziła.

– Dobrze. Pobiegniemy więc z powrotem do Casa Grande w São Fidélio i tam weźmiemy powóz. Tak po prostu, bez żadnego zamieszania, jakby to było najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. Nikt jeszcze nie wie, że uciekasz. Nikt nie podejrzewa także, że ja tu jestem. Poza tym wyglądam inaczej niż wtedy, gdy uciekłem; przy odrobinie szczęścia nikt nie zwróci na mnie uwagi. Woźnicę musimy, niestety, unieszkodliwić, ale zostanie mu po wszystkim zaledwie spory

siniak. Albo zabierzemy go ze sobą i każemy powozić.

– To jest... szalone! Nigdy się nie uda!

– Uda się! Ponieważ nikt nie uwierzy, że moglibyśmy postąpić tak zuchwale. Zupełnie spokojnie pojedziemy główną drogą, a ja znam miejsce, gdzie będziemy mogli się na pewien czas ukryć, nim wyruszymy do Liberdade.

– Liberdade?

– Tak nazwaliśmy nasze małe quilombo.

– Czyli naprawdę ci się udało? I jest tam więcej osób?

– Tak. Teraz idź wolniej, w przeciwnym razie zwrócimy na siebie uwagę.

Dotarli tymczasem w pobliże wozowni. Wokół nie było widać żadnych dorosłych, bawiło się jedynie kilkoro krzyczących dzieci, pochłoniętych pogonią za małym wężem, który wił się w pyle i którego uderzały patykami i gałązkami. Zé szybko wepchnął Luę do budynku będącego raczej szopą i służącego jedynie do odstawiania rodzinnego powozu.

Woźnica ucinał sobie drzemkę. Zé zbudził go kopniakiem w bok.

– Do roboty, stary!

Mężczyzna wstał przestraszony.

– Zé? To ty? Co... jak... O mój Boże, jestem skończony!

– Nie jesteś. Zaprzęgniesz teraz konie, a potem zawieziesz nas oboje do Salvadoru.

– Och nie, na pewno tego nie zrobię!

– Ależ tak. – Zé wyciągnął pistolet i wymierzył w pierś starego niewolnika. Broń nabył za pieniądze, które zgromadził dzięki donie Marianie i sprzedaży złotej zawieszki.

– Lua, dziewczyno, czy chcesz uciec z tym podłym przestępcą? Nie rób tego!

– Zrobię to. – Jej słowa zabrzmiały twardziej, niż zamierzała, bo stary woźnica był przyzwoitym człowiekiem i zawsze traktował ją serdecznie, nawet w ostatnich tygodniach, gdy wszyscy inni się od niej odwrócili. – Co mam do stracenia?

– Życie, dziecko!

– Dość tego! – wtrącił się Zé. – Koniec gadania. Zawieziesz nas, i to szybko. Będzie wyglądało na to, że zmusiliśmy cię do tego. Nic ci się nie stanie.

Woźnica ze zmarszczonym czołem poddał się swemu losowi. Już wcześniej podejrzewał, że działania Imaculady nie doprowadzą do niczego dobrego. Nie miał jednak siły, by sprzeciwić się jej życzeniom. Kochał ją od dawna, więc gdy chciała przekazać wiadomości do Três Marias lub osobiście odwiedzić kogoś w fazendzie, zawsze służył jej pomocą. Ale jakie były skutki? Młodzi ludzie ryzykowali życie, a Imaculada traktowała go równie mało przychylnie co na początku.

Wkrótce wyruszyli. W pobliżu nie było widać ani senhora, ani

Głuptaski, a nieliczni ludzie, którzy w środku dnia przebywali w pobliżu domu, nie zdziwili się wcale, że stary José odjeżdża dokądś powozem. Często załatwiał jakieś sprawy senhora albo jeździł z poleceniami senhory, która teraz właśnie odbywała sjestę w chłodnym północnym pokoju.

Lua nie odważyła się wyjrzeć przez okno powozu ani też spojrzeć na Zé. Wbiła wzrok w podłogę pojazdu i była boleśnie świadoma swojego zupełnie niewłaściwego stroju. W surowej lnianej spódnicy i brudnej bluzce będzie rzucała się w oczy zarówno w mieście, jak i w dżungli. Nie założyła czepka, fartucha ani biżuterii, ponieważ wszystkie te dodatki przeszkadzałyby w ciężkiej pracy w pralni. Była ponadto przekonana, że nie tylko wygląd, ale także zachowanie mogą ją zdradzić. To tylko kwestia czasu, nim ją pojmą, a wtedy w najlepszym razie czeka ją śmierć na stryczku. Jeżeli dom Felipe był bardzo zagniewany, możliwe było również, że publicznie ją wychłoszczą.

W milczeniu siedziała obok Zé. Łzy ciekły jej po policzkach. Zé chciał objąć ją ramieniem, ale odsunęła się i dała mu do zrozumienia, że woli być sama. Zé także czuł strach. Gdy zakradał się do São Fidélio, nie planował tak nagłej ucieczki. Czy miał się jednak przyglądać, jak Felipe gwałci Luę? Stało się inaczej, niż zamierzał, ale może to wcale nie najgorsze rozwiązanie. Na przedmieściach Salvadoru zostawią José i jego powóz, i kupią wołu, a jeszcze lepiej mleczną krowę i wózek. Będą wtedy wyglądać na parę porządnych wolnych Murzynów. Spokojnie dotrą do dony Mariany, a ta zapewni im schronienie. Gdy tylko strach i zdenerwowanie Lui nieco ustąpią, wyruszą w podróż do Liberdade. Zé niezmiernie się cieszył z tej perspektywy.

Wydarzenia nie potoczyły się co prawda dokładnie tak, jak przewidywał, ale też niewiele inaczej. Gdy postrzelił woźnicę w udo, by jak najbardziej wiarygodnie upozorować napad, Lua krzyknęła:

– Ty potworze! Przestań!

– To mu uratuje życie – odparł chłodno.

Nie mógł teraz zważać na kobiece uczucia. Nie przyszło mu łatwo wyrządzić krzywdę przyjaznemu José. Gdyby jednak tego nie zrobił, tamtego czekałyby znacznie gorsze cierpienia, ponieważ oskarżono by go o współudział w ucieczce Zé i Lui.

Również zakup krowy i byka – ponieważ parka przysłużyłaby się im bardziej niż tylko wół – nie przebiegł tak, jak Zé by sobie tego życzył. Nie starczyło mu pieniędzy i dopiero po zaciekłych targach, podczas których Lua przestępowała nerwowo z nogi na nogę, przez co oboje sprawiali podejrzane wrażenie, udało mu się nabyć skromny zaprzęg.

Przyjęcie dony Mariany także nie okazało się tak serdeczne, jak to sobie wyobrażał. Być może Marianie nie spodobała się młoda kobieta, która towarzyszyła Zé i mówiła tak niewiele, że graniczyło to z nieuprzejmością, a brak apetytu Lui stanowił obrazę dla talentów

kucharskich gospodyni.

– To Lua, moja żona – przedstawił Zé swą towarzyszkę.

Dopiero wtedy Lua otrząsnęła się z otępienia. Spojrzała na Zé zamyślona. Nie była pewna, czy chciałaby zostać żoną tego mężczyzny. Oczywiście, kochała go i spędzona z nim miłosna noc była upajająco zmysłowa. Mimo to Lua miała dość rozumu, by wiedzieć, że życie u boku rebelianta i bojownika o wolność nie będzie tym, na co liczyła. Czy jednak mogła liczyć na coś lepszego? Powinna przecież cieszyć się, jeżeli zdoła ujść cało z tej eskapady. Życie z człowiekiem, który opiekował się nią i pożądał jej, to przecież więcej, niż mogła wymagać.

Dona Mariana ucieszyła się, gdy po dwóch dniach goście wyjechali. Nie lubiła młodej kobiety i uważała, że Zé nie wybrał dobrze. Ta delikatna osóbka do niego nie pasowała. Cóż mogło ją to jednak obchodzić? Przygotowała im kosz z prowiantem, życzyła wszystkiego dobrego i miała nadzieję, że szybko ich nie zobaczy.

Zé i Lua potrzebowali wielu dni, by zostawić za sobą gęsto zaludnione obszary, a tym samym groźbę, że zostaną zdemaskowani. Na nieprzebytych bezdrożach czyhały jednak inne niebezpieczeństwa. Bydło, które kupili, musieli gnać z wielkim trudem przez las, a maczeta Zé, służąca do torowania drogi, szybko się stępiła. Gdy tylko zapadł zmrok, odpoczywali pod gołym niebem, ponieważ w ostatniej odwiedzonej miejscowości wymienili zaprzęg na kilka zardzewiałych narzędzi. Nie w głowie im były czułości. Wyczerpani, z miejsca zasypiali.

Na długo przed dotarciem do Liberdade Lua miała serdecznie dość puszczy i leśnych zwierząt. Jej wstręt do owadów jeszcze się nasilił, a nie osłabł w wyniku przyzwyczajenia. Pewnego razu opędzała się tak histerycznie od wielkiego chrząszcza, że Zé musiał wymierzyć jej policzek, żeby się opanowała.

Potem rozmawiali ze sobą jeszcze mniej. Przedzierali się zaciekle przez las, a im rzadziej się do siebie odzywali, tym bardziej rósł ich gniew na siebie nawzajem.

Lua nie potrafiła zapomnieć, że Zé wymierzył jej policzek, gdy zasługiwała na pocieszenie i współczucie. Zé nie mógł natomiast pojąć, że tak rozpieszczoną i marudną kobietę ciągnie ze sobą, choć przecież wcześniej oceniał ją zupełnie inaczej. Zastanawiał się, czy warto było ryzykować dla niej życie. Z pewnością nie okaże się wielką pomocą dla Liberdade, a raczej będzie dla wszystkich ciężarem.

Czasami obserwował ją kątem oka i wciąż wydawała mu się porywająco piękna, choć była brudna i obszarpana, a jej mina świadczyła o głębokiej pogardzie i dla Zé, i dla uciążliwej sytuacji, w jakiej oboje się znaleźli. Szła jednak dalej, zdecydowana i silna, nie dając po sobie poznać, że jest zmęczona i bolą ją nogi oraz wszystkie kości. To mu imponowało. Być może była jeszcze dla nich nadzieja, być

może czekała ich jednak wspólna przyszłość na wolności. W Lui kryło się więcej, niż ona sama przypuszczała.

Gdy tylko dotrą do Liberdade i Lua nieco przywyknie do lokalnych warunków, Zé będzie zabiegać o nią zgodnie ze wszystkimi regułami zalotów. Tym razem jednak postąpi delikatniej. Kobiety takie jak Lua potrzebują pięknych słów, romantyzmu, tęsknych pieśni miłosnych przy ognisku i czułych poszeptywań przy świetle księżyca. Zé zamierzał pamiętać o tym wszystkim, zanim spyta Luę, czy zechciałaby zostać jego żoną.

Tymczasem ona przeklinała roje komarów i wilgotny upał, w którym ciężko było oddychać. Przeklinała także tego obcego człowieka u swojego boku. Dziwne, że mogła się mu oddać, nic o nim nie wiedząc. Gdyby wtedy podejrzewała, jakim jest wyrachowanym, zimnym mężczyzną, nigdy nie spędziliby razem nocy.

Jak bezlitosny i pozbawiony skrupułów potrafi być, przekonała się, gdy postrzelił starego woźnicę. Również metody, jakimi zmuszał ją, by szła dalej, nie cechowały się delikatnością. Tu docinek, tam popchnięcie, policzek był tylko zwieńczeniem serii podłości, jakimi Zé dawał jej odczuć, że uważa ją za uciążliwy ciężar, na pewno mniej cenny niż dwie sztuki bydła, które męczyły się tak jak ona.

Po niecałych trzech tygodniach dotarli do celu. Po drodze zamienili ze sobą może z dziesięć zdań i z dnia na dzień coraz trudniej przychodziło im przełamywać milczenie.

– Zé! – zawołała Bebel, która pierwsza ich zobaczyła. – O Boże, żyjesz! Niech cię uściskam! – Pobiegła i rzuciła się mu na szyję. Nie zauważała przy tym urażonych spojrzeń Lui. – Straciliśmy już prawie nadzieję. Ach, Zé, to wspaniale! A kogo to ze sobą przyprowadziłeś?

– To jest Lua, moja... żona. – Zé nie wiedział, jak inaczej ma ją przedstawić. Jako kochankę? Przyjaciółkę? Nie była ani jedną, ani drugą, teraz już nie. Jednak ze względu na Luę uznał, że powinien przedstawić ją jako swoją żonę. Pozostali z pewnością będą okazywać jej wtedy więcej szacunku niż obcej samotnej młodej kobiecie.

– Och... – wyjąkała Bebel, która nie wiedziała, że Zé jest żonaty. – Witamy, Lua! – Chciała uściskać ją serdecznie, lecz ta cofnęła się o krok.

– A ty kim jesteś?

– Mam na imię Bebel. Razem z moim bratem Cacą uciekłam z Solar do Castelo.

– Miło mi, Bebel. – Lua zmusiła się do uśmiechu, choć zupełnie nie miała na to ochoty. – Nie jestem jednak żoną Zé.

– Ach tak, no cóż, tutaj i tak nie ma to znaczenia. Zawołam szybko pozostałych. Ach, Zé, oszaleją ze szczęścia, że wracasz cały i zdrowy!

– Ja też się cieszę.

Gdy Bebel odeszła, Lua zwróciła się do Zé:

– Macie tu coś do jedzenia i picia? Możliwość umycia się? Jakieś miejsce, gdzie mogłabym odpocząć?

Zé poczuł się urażony, ale starał się nie dać tego po sobie poznać. Całymi tygodniami chronił tę kobietę i żywił ją. Z pewnością nie zasłużył na to, by traktowała go jak niewolnika.

– Jest rzeka z czystą wodą. I dużo zwierząt. Możesz od razu sobie jakieś ustrzelić. – Po tych słowach odwrócił się i poszedł do swojej chaty, pozostawiając Luę tam, gdzie stała.

Gdy nadeszli pozostali mieszkańcy osady, Zé wyszedł z chaty, pozwolił się obejmować i witać okrzykami radości. Nawet João, z którym tyle razy się spierał, szczerze ucieszył się z jego powrotu.

– Brakowało mi ciebie, stary druhu – rzekł.

– Mnie ciebie też – odparł Zé i zdziwił się, bo naprawdę tak było.

Pomimo wszystkich sprzeczek mała wspólnota stała się bowiem jak rodzina. Okazywano w niej sobie szacunek, zaufanie i traktowano jej członków jak braci i siostry, którym można co prawda wytykać błędy, ale których się akceptuje. Dopiero teraz Zé poczuł, jak bardzo tęsknił za towarzystwem każdego z członków tej rodziny.

– To jest Lua – przedstawił swoją towarzyszkę. – A to Caca, João, Luizihno i Marilu.

– Bardzo mi miło – odparła Lua. Nic innego nie przyszło jej do głowy. Sama zauważyła, jak sztywno i oficjalnie to zabrzmiało, ale pomimo najlepszych chęci nie umiała powitać serdeczniej tej bandy zaniedbanych niewolników polowych.

– Czy to twoja ukochana? – spytał Luizinho, a Zé odpowiedział tylko wzruszeniem ramion.

– Jestem jego żoną – odparła Lua pewnym głosem. Przy tych wszystkich zdziczałych typach chyba lepiej było podawać się jednak za zamężną kobietę.

Bebel spojrzała na nową dziewczynę ze zmarszczonym czołem. Cóż za dziwna osoba! Czy jest żoną Zé, czy nie? Co tu się dzieje? I czy taki porządny mężczyzna jak Zé naprawdę mógł zadawać się z tą zmanierowaną damulką, która w dodatku była znacznie za szczupła i za delikatna, by nadawać się na dobrą robotnicę i przyszłą matkę licznych dzieci? Co on w niej widział?

– A to pech – rzekł João. – Mogłabyś mi się podobać, gdybyś miała nieco więcej ciała.

– Dobrze, że o tym wspominasz – odparła Lua chłodno. – Czy w tym waszym wspaniałym Liberdade oferujecie gościom coś do jedzenia?

Cała szóstka wpatrywała się w nią wrogo. Co też ona sobie wyobraża, mówiąc o ich quilombo tak lekceważącym tonem? I skąd przyszło jej do głowy, że tu jest gościem? Czyżby zamierzała niedługo ruszyć w dalszą drogę? Marilu otrząsnęła się pierwsza. Oczywiście,

dziewczyna była głodna; po długiej ucieczce wszyscy czuli głód.

– Chodź ze mną, Lua. Dam ci czystą sukienkę i pokażę, gdzie możesz się umyć. Potem odbędzie się mała uroczystość na waszą cześć.

– Co to w ogóle za imię Lua? – usłyszały, odchodząc, mruczenie Bebel. – Pewnie wzięło się stąd, że jest lunatyczką.

Wtedy Lua straciła panowanie nad sobą. Ledwo znalazły się z Marilu poza zasięgiem wzroku pozostałych, wybuchła niepohamowanym płaczem. Była wycieńczona. Padała z nóg. Dręczył ją głód. Minione tygodnie dały się jej we znaki bardziej, niż sama to przed sobą przyznawała. Najpierw nieudana ucieczka, potem wydarzenia w Salvadorze i późniejsza kara w São Fidélio, następnie druga ucieczka z tym przygnębiającym milczeniem między nią a Zé – to wszystko zostawiło w niej głęboki ślad. Fakt, że ratunkiem okazała się nędzna wioska w dżungli, w której mieszkało kilku zawszonych polowych niewolników, przelał czarę goryczy. Rozczarowanie Lui było tak wielkie, otrzeźwienie tak bolesne, że najchętniej rzuciłaby się w nadbrzeżny muł i została tam, łkając nieustannie. Co gorsza, Marilu okazała się wyrozumiała.

– Ciii – szeptała, jakby Lua była małym dzieckiem. – Wszystko będzie dobrze.

Po tych słowach wszelkie tamy puściły. Byłoby łatwiej – pomyślała Lua, gdyby także Marilu okazała się odpychająca albo po prostu zignorowała jej histerię. Teraz Lua łkała i szlochała w godny politowania sposób, aż zakrztusiła się i nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Dopiero gdy ostrożnie weszła do rzeki, a chłodna toń opłynęła jej nogi, powoli odzyskiwała spokój.

– Rozbierz się. Poza mną nie ma tu nikogo, kto by ci się przyglądał. Nie musisz się bać, w rzece nie żyją krokodyle ani inne paskudne zwierzęta. Gdy się odświeżysz, załóż to – powiedziała Marilu pocieszającym tonem i pokazała Lui sukienkę wyglądającą jeszcze gorzej niż ta, którą dziewczyna miała na sobie. Był to raczej worek, na domiar złego ufarbowany na lśniącą czerwień.

– Później zjesz coś i położysz się spać – ciągnęła Marilu celowo radosnym tonem, choć wcale nie było jej tak wesoło, jak udawała.

Lua skinęła głową, zadowolona, że ktoś mówi jej, co powinna zrobić. Zdana sama na siebie zapewne utonęłaby w rzece.

Zdjęła zniszczone odzienie i rzuciła je na brzeg. Zanurzyła się po szyję, ponieważ nie chciała stać naga przed zupełnie obcą osobą. Potem nabrała powietrza i zanurkowała. Uczucie było tak wspaniale odświeżające, że całe jej ciało przeszedł dreszcz rozkoszy. Ach, jak bardzo tęskniła za chłodem i czystością! Brodziła w mule tam i z powrotem, bacząc, by nie trafić na głębinę, gdzie straciłaby dno pod nogami

– Wszędzie jest płytko. Możesz poruszać się swobodnie – zawołała do

niej Marilu.

Sama została na brzegu i przyglądała się kąpiącej. Owszem, gdyby Lua nabrała nieco ciała, miło byłoby na nią patrzeć. Gdyby jej oczy nie były opuchnięte od łez, a twarz wykrzywiona z wysiłku i napięcia, biedaczka na pewno okazałaby się pięknością. Nic dziwnego, że Zé wziął ją za żonę.

Marilu nie była jednak głupia. Obawiała się, że Lua stanie się przyczyną niesnasek w Liberdade. Bebel, która miała oko na Zé, będzie zazdrosna. Mężczyźni przy pięknej dziewczynie zapomną o swoich obowiązkach i zamiast poświęcać czas na pracę, zaczną zabiegać o względy Lui. Będą zabawiać ją najróżniejszymi drobiazgami, które nie były niezbędne dla przetrwania w buszu, dawać jej na przykład w prezencie piękne pióra albo śpiewać serenady. A Lua i Zé? No cóż, trzeba poczekać.

Marilu miała jednak złe przeczucia.

30

Ponieważ Lua powiedziała, że jest żoną Zé, dla niej i dla pozostałych oczywiste było, iż będzie dzielić z nim chatę. Oboje byli wycieńczeni po podróży i wcześnie położyli się spać. Zé oddał jej swój wygodny materac, a sam zwinął się na słomianej macie na klepisku. Od razu zapadli w głęboki sen, w którym nic im się nie śniło. Sytuacja nie była dla nich nowa – przez wiele tygodni kładli się nocą obok siebie, nie dotykając się ani nie rozmawiając. Tym razem jednak, w małej chacie, pobudka okazała się zupełnie inna.

Lua otworzyła oczy pierwsza. Na zewnątrz nadal panował mrok, tylko księżyc dawał odrobinę światła. Nie miała pojęcia, która godzina, czuła się jednak wypoczęta i przypuszczała, że niedługo zacznie świtać. Ze swojego materaca obserwowała Zé, który leżał obok, odwrócony do niej nagimi plecami. Rozpoznawała tylko zarysy, wiedziała jednak, jakie blizny pokrywają te plecy. Poczuła głęboką litość, uczucie, którego nie zaznała od tygodni, choć widywała te ślady wiele razy. Przestraszyła się, gdy Zé odwrócił się i mruknął, jakby przyłapał ją na czymś zakazanym. W półmroku nie mógł jednak rozpoznać, na co Lua patrzy.

– Już nie śpisz? – spytał zaspanym głosem.

– Hmm.

– No i?

– No i co?

– Jaka była twoja pierwsza noc w Liberdade, na wolności?

– Dobra. – Po krótkim wahaniu zmusiła się do podziękowania: – Miło z twojej strony, że dałeś mi materac.

– Nie ma za co dziękować. Mąż chętnie robi takie rzeczy dla swojej żonki.

– Zé, wiem...

– Nic nie wiesz.

– Dobrze, nie wiem. – Lua poczuła się bezradna. Ośmieliła się rozpocząć rozmowę, chciała podziękować Zé, a on rzucał zdawkowe

odpowiedzi, które zduszały rozmowę w zarodku. Czy mogła więc zareagować inaczej niż również okazać dystans?

– Odwróć się. Chcę wstać – nakazała szorstko. Nie chciała pokazywać mu się nieubrana.

Odwrócił się i czekał, aż po odgłosach poznał, że naciągnęła już sukienkę, którą dała jej Marilu.

– Czy zakryłaś już przede mną swoje kościste ciało?

Lua powstrzymała się od podobnie złośliwej odpowiedzi. W milczeniu opuściła chatę, walcząc ze łzami.

Przy ognisku zastała obie kobiety, które przygotowywały wspólne śniadanie. Zarówno Bebel, jak i Marilu wydawały się w nadzwyczaj dobrych humorach, wręcz radosne. Przywitały Luę serdecznie i zaczęły rozmawiać o udanej wyprawie Zé.

– Cudownie, że pamiętał o kawie. Nie piłam kawy, odkąd tu przybyliśmy. To musiało być już... sześć, może nawet siedem miesięcy temu. Siedem miesięcy! Marilu, czyż można to pojąć?

– Naprawdę? W moim wypadku musiało upłynąć jeszcze więcej czasu. A cukier! Wspaniale!

– Mąka!

– Sól!

– Cachaça!

– Mleko! Powiedz, Lua, potrafisz wydoić krowę? Ja próbowałam, ale albo jestem za głupia, albo to chude bydlę jest suche jak Chapada Diamantina w sierpniu.

– Hmm, nie. To znaczy wydaje mi się, że krowa nie ma mleka – odparła Lua, która nie potrafiła zrozumieć, dlaczego te dwie kobiety uważały codzienne produkty, takie jak: cukier, mąka maniokowa czy mleko, za tak godne pożądania. Czy ona sama, gdy spędzi więcej czasu w tym miejscu, stanie się równie dziwaczna? Uchowaj Boże!

– Musimy ją zatem pokryć tym wychudzonym bykiem i mieć nadzieję, że stary łykowaty zwierzak ma w sobie jeszcze dość sił – rzekła Bebel trzeźwo.

Lua odwróciła się zawstydzona.

– Proszę. – Marilu podała jej skórzany miech, zrobiony przez Cacę. – Rozdmuchaj ogień. Te wilgotne gałęzie niezbyt dobrze się palą.

Lua cieszyła się, że otrzymała zadanie, któremu umiała sprostać. Gdyby ktoś zażądał od niej, żeby zdjęła skórę z zabitego zwierzęcia, pewnie by zemdlała.

Mogła także zajmować się praniem oraz małym poletkiem warzyw, na którym wschodził powoli maniok, aipim i trzcina cukrowa. Miał pewną zaletę fakt – myślała Lua gorzko, że jej pierwsza ucieczka skończyła się tak nieszczęśliwie. Teraz bowiem potrafiła wykonywać prace, o których jeszcze przed kilkoma tygodniami sądziła, że nie są jej godne.

Wkrótce dołączyli do nich mężczyźni i w milczeniu spożyli śniadanie, które składało się ze smażonego kawałka mięsa i malutkiego kleksa maniokowej papki, podanych na dużym liściu bananowca. Przełknęli posiłek, chrząkając, a ich pożądliwe spojrzenia i pełne zadowolenia pomruki zdradzały, że im smakował. Wreszcie solone mięso i sycący maniok!

Poprzedniego wieczoru nie spróbowali wódki z trzciny cukrowej, ponieważ Zé i Lua byli zbyt zmęczeni, by wziąć udział w małej uroczystości. Dziś zamierzali jednak wychylić nieco cennego trunku, więc wyraźnie czuło się nastrój oczekiwania. Miło będzie po tak długim czasie znowu świętować i cieszyć się wszystkim, co stanowiło o świątecznej atmosferze: cachaçą, muzyką, tańcem i kobietami, smacznym jedzeniem oraz satysfakcjonującym uczuciem, że Liberdade się rozwija.

Choć nikt nie miał ochoty zabrać się do pracy, mężczyźni wkrótce wyruszyli na polowanie. Wieczorem chcieli przecież zjeść coś wyjątkowego. Nie zamierzali wracać do kobiet z żylastą papugą. Ich ambicja została połechtana, planowali przynieść co najmniej tatu lub nawet kapibarę. Kobiety były w podobnie radosnym nastroju. Choć miałyby ochotę posiedzieć w spokoju i wypytać Luę o wszelkie plotki, wypełniała je nadzieja i energia do działania. Zamierzały pięknie wysprzątać małą wioskę i zabrać się wreszcie do długo odkładanego łatania odzieży, bo Zé pomyślał nawet o igłach i przędzy! A chciały wyglądać ładnie dla mężczyzn.

Caca jako jedyny z mężczyzn nie poszedł na polowanie. Znacznie bardziej przydawał się w osadzie, a tego dnia również zamierzał przysłużyć się Liberdade swoją pomysłowością i rzemieślniczą zręcznością.

– Pppotrzebny nnnam pppług.

– Owszem – przyznała Bebel. – Wtedy bydło mogłoby orać za nas. Ale czy musisz zabierać się do tego właśnie dziś?

Caca skinął głową i przekazał mimiką, że nie chce spędzać dnia w towarzystwie nowej kobiety. Jego siostra przejrzała go od razu. Caca zadurzył się w Lui, i teraz wolał zająć się w spokoju swoim najnowszym pomysłem niż narażać się na upokorzenie związane z tym, że jąkałby się jeszcze bardziej niż zwykle.

Lua obserwowała tych dwoje, których przedstawiono jej jako rodzeństwo. Biedna Bebel – myślała, musi troszczyć się jeszcze o swojego upośledzonego brata. W porównaniu z nią ona sama była w lepszym położeniu, choć wcale się tak nie czuła. Mizerna wioska, twarde mięso o dziwnym smaku, obszarpani mieszkańcy, a przede wszystkim niejasne relacje z Zé sprawiały, że widziała wszystko w czarnych barwach. Optymizm pozostałych nie działał na nią zaraźliwie. Wywierał raczej odwrotny skutek. Lua dziwiła się, jak

nisko ci ludzie upadli, skoro cieszyły ich najprostsze wygody. Miała nadzieję, że ona tego uniknie.

– Co to za mina? – spytała Bebel wyzywająco, gdy tylko jej brat odszedł.

– Przykro mi, że ci się nie podoba – odparła Lua zadziornie.

– Czy zrobiliśmy ci coś złego?

– Nie.

– To dlaczego tak patrzysz?

– Niby jak?

– Psujesz nam wszystkim humor naburmuszoną gębą.

Lua mocno wciągnęła powietrze. Czy takie panują tu obyczaje? Wcale by jej to nie zdziwiło, najwyraźniej ludzie ci pochodzili z najniższej warstwy głupich polowych niewolników. A może Bebel chciała ją zdenerwować takimi prostackimi odzywkami? Dlaczego to robiła? Czym Lua jej zawiniła? Czy ta zachwalana wolność polega na tym, że nie można nawet myśleć tego, co się chciało?

– Zostaw ją w spokoju – wtrąciła się Marilu. – Będzie potrzebowała kilku dni, żeby do wszystkiego przywyknąć.

– To tylko rozpieszczona domowa niewolnica. Nie jesteśmy dla niej dość dobrzy. Popatrz tylko, jak tam siedzi z zarozumiałą miną.

– Nie wszczynaj kłótni – poprosiła Marilu. – A ty, Lua, mogłabyś zająć się praniem. Wiesz już, gdzie jest rzeka.

Lua skinęła głową. Była wdzięczna starszej z kobiet za ingerencję. Jeżeli zostałaby dłużej w pobliżu Bebel, mogłoby dojść do rękoczynów. Zabrała wskazany jej stos prania oraz wykonaną własnoręcznie, nieco dziwną tarę i poszła na brzeg rzeki. Nie zadawała pytań i nie prosiła o rady. Wolała raczej uprać rzeczy ku ogólnemu niezadowoleniu niż narażać się dłużej na złośliwości Bebel. I pomyśleć, że wcześniej jej współczuła. Dobre sobie! Ta głupia krowa nie zasługiwała na nic lepszego niż opóźniony w rozwoju brat.

Ponuro zabrała się do góry prania. Podkasała niekształtną sukienkę powyżej kolan i podwiązała ją w pasie. Potem podłożyła pod kolana złożony kilkukrotnie kawałek materiału i zaczęła prać. Nie miała pojęcia, że Caca stoi kilka metrów za nią i z ukrycia obserwuje szeroko otwartymi oczami, jak pośladki Lui poruszają się przy wykonywanej przez nią pracy.

Gdy Lua wróciła do kobiet, przekonała się, że wrogość Bebel minęła. Uznała, że z pewnością był to wynik rozmowy tej ostatniej z Marilu. Czuła coraz większą sympatię do starszej kobiety. Jej nieco szorstki, ale macierzyński sposób bycia oraz szeroki uśmiech, który z powodu krzywych zębów wydawał się jeszcze bardziej serdeczny, sprawiały, że Lua czuła się nieco bardziej pogodzona z losem.

Kobiety kroiły właśnie dziczyznę i nacierały mięso solą, by wywiesić je do suszenia. Dzięki soli nie tylko wytrzyma dłużej, ale także będzie

znacznie smaczniejsze.

Dołączyła do nich z ociąganiem. Nie wiedziała przecież, czy jej towarzystwo jest pożądane.

Bebel zapytała prosto z mostu:

– Jesteś żoną Zé czy nie?

Lui cisnęła się na usta arogancka odpowiedź, ale dla świętego spokoju się powstrzymała.

– No cóż, trudno powiedzieć. Nie braliśmy ślubu, ale dawniej byliśmy, hmm... kochankami.

– Bebel chciała raczej wiedzieć, czy Zé jest nadal wolny, czy nie – powiedziała Marilu bez ogródek.

Och. A zatem o to chodziło! Lua nie wiedziała, jak elegancko wybrnąć z sytuacji, nie urażając Bebel ani nie wyświadczając niedźwiedziej przysługi sobie. Nie zamierzała oddawać Zé tej kobiecie. Nawet jeśli sama go odtrącała, nie chciała, by związał się z inną. Poczuła ukłucie zazdrości, co ją samą zdziwiło.

– No więc Zé i ja jesteśmy teraz jakby parą – odparła Lua, starając się przybrać neutralny ton. – Mieliśmy tylko kilka drobnych nieporozumień.

– Wybij go sobie z głowy – poradziła Marilu Bebel.

– Ale...

– Żadne ale. Każde dziecko widzi, że on jest zadurzony w tej biedaczce, nie wiedzieć czemu.

Lua zastanawiała się, czy to prawda. Czy Zé jest w niej zadurzony? Dlaczego zatem zachowywał się tak odpychająco? Miała wrażenie, że odkąd przybyli do Liberdade, wziął stronę tych, którzy uważali ją za bezużyteczną, zadzierającą nosa pannicę. A co miało znaczyć „biedaczka" i „nie wiedzieć czemu" w ustach Marilu? Mogła być wychudzona i nieszczęśliwa, ale na pewno wyglądała ładniej niż każda z tych dwu kobiet.

– Co mam teraz zrobić? – spytała, by zmienić temat. – Skończyłam pranie. Rzeczy zawiesiłam tam z tyłu, pod drzewami, gdzie rozciągnięto sznurki. Tam wieszacie pranie, prawda?

– Dobrze, dziecko. Tak, to sznurki do prania. Tutaj nic nie powinno wydawać ci się oczywiste. Żeby je wykonać, Caca potrzebował wielu dni. Najpierw musiał znaleźć w lesie nadający się materiał i go odpowiednio obrobić. Pierwsze sznurki się porwały, a następne zafarbowały pranie.

– Już dobrze, Marilu. To wspaniałe sznurki. Co mam teraz robić?

Bebel wywróciła oczami. W zachowaniu Lui było coś, co wywoływało w niej ochotę, by ją uderzyć. Jedno spojrzenie w stronę Marilu wystarczyło jednak, by Bebel się przed tym powstrzymała.

– Idź zatem tam, weź miotłę i zamieć placyk – powiedziała Marilu do Lui, ponieważ wiedziała już, że ta wolała słuchać konkretnych

wskazówek niż siedzieć bezczynnie.

Tak minęło wiele godzin. Lua pozamiatała, potem posłano ją po drewno na opał, później pozwolono jej zrobić przerwę, w czasie której ucięła sobie drzemkę, a następnie mogła zająć się sobą.

Po kąpieli w rzece wróciła w zaskakująco dobrym nastroju. Zapadł już zmrok i zjawili się mężczyźni. Wszyscy odnieśli sukces na polowaniu i cieszyli się na wieczorną ucztę, która miała składać się z grubej kapibary oraz zaimprowizowanej farofa z jajka papugi i podsmażonej na sadle leniwca maniokowej mąki.

Zé wyjął butelkę wódki i nalał wszystkim po troszkę do kubków wykonanych przez Cacę z wysuszonych skorup niewielkiego owocu przypominającego dynię.

– Za wolność. Za Liberdade. – Najpierw popatrzył Lui głęboko w oczy, a potem powiódł spojrzeniem po pozostałych zgromadzonych.

– Za Liberdade! – przyłączyli się tamci.

Wszystkie twarze wyrażały radość i dosłownie lśniły w blasku ognia.

– Och, jakie to dobre! – westchnął Luizinho i wylizał kubeczek, by nie stracić ani kropli.

– Nie pamięta chyba, jaką ten napitek ma moc – zauważył João.

– Odwykliśmy od alkoholu. Po jednym kubeczku sam będziesz pewnie pijany jak bela – drażniła go Bebel.

Nie odbiegało to zbytnio od prawdy. Lua w każdym razie od razu poczuła działanie trunku.

– Nie bądź taki skąpy, Zé. Nalej nam jeszcze kolejkę. Kto wie, kiedy następnym razem trafią się nam takie smakołyki i kiedy tak miło uda się spędzać czas? – Marilu mrugnęła do Zé, udając, że z nim flirtuje.

On odpowiedział wzruszeniem ramion, jakby mówił: „Jestem bezradny wobec twojego uroku".

Pili, jedli i cieszyli się wyjątkowym wieczorem. Skończywszy posiłek, wyjęli dziwaczne instrumenty muzyczne i zaczęli dobywać z nich zdumiewająco harmonijne dźwięki. Nawet Lua poczuła się na wpół pogodzona z losem. Gdy Zé zaprosił ją do tańca, zesztywniała, potem jednak poddała się rytmowi.

To tylko niewinny taniec – powtarzała sobie, nie powinna się opierać. Tańczyła przecież także z João, Luizinhem i Cacą. Ale czy pozostali mężczyźni wpatrywali się w nią w ten sposób? Obejmowali tak władczo? Przyciskali do siebie tak mocno? Było to równie cudowne, jak niepokojące. Dlaczego w tygodniach podróży nie czuli z Zé tej bliskości? Co się z nimi działo? Czy to trzcinowa wódka usunęła teraz wszelkie przeszkody, jakie ich oddzielały?

Nagle Lua poczuła na sobie spojrzenia niczym ukłucia igieł. Wszyscy ją obserwowali. Właściwie dlaczego? Gdy Bebel tańczyła z João, a Marilu z Luizinhem – a Zé i Caca im przygrywali – nikt nie przyglądał się im tak uważnie. Czy to dlatego, że była tu nowa?

A może chcieli lepiej zrozumieć charakter jej związku z Zé? Niezależnie od przyczyny Lua poczuła się niepewnie wystawiona na baczne spojrzenia. Po krótkiej chwili wywinęła się z objęć Zé i usiadła na ławce.

Czy mogła przypuszczać, że widzowie byli tylko bezmiernie zafascynowani widokiem, jaki tworzyli Lua i Zé? Żadne z nich nie widziało wcześniej tak pięknej pary. On z atletycznym ciałem i dumną twarzą, ona delikatnej budowy i o anielskim obliczu, oboje zjednoczeni w tańcu o niepowtarzalnej harmonii i dziwnie podniecającej sile; u obserwatorów wywoływało to zarazem podziw i zazdrość. Wszyscy poza Luą mimo woli zastanawiali się, jak mogą wyglądać intymne zbliżenia tych dwojga, skoro już ich taniec był tak namiętny.

Po pewnym czasie alkohol się skończył, repertuar muzyczny został wyczerpany i wszystkich ogarnęło zmęczenie. Uznali, że był to wspaniały wieczór, który koniecznie muszą wkrótce powtórzyć, po czym poszli spać.

Zé objął ręką biodra Lui i poprowadził ją, przyciśniętą do siebie, do swojej chaty.

Nie słyszał gwałtownego bicia jej serca, ale swojego – tak.

31

Eulália Maria Catarina Almeida de Oliveira, jak brzmiało jej pełne imię i nazwisko po ślubie, wylewała gorzkie łzy na poduszkę o zapachu lawendy. Z pewnością nie tak wyobrażała sobie swoje życie jako mężatki. Rui Alberto, jej młody małżonek, co noc dopadał ją z tak zwierzęcym zapałem, że czuła się jak krowa, która cierpliwie i sztywno znosi szaleństwa byka. Nikt jej na to nie przygotował. Delikatnie przekazano jej, że mężczyźni mają określone potrzeby i jako żona jest obowiązana je zaspokajać. Nigdy nie uświadomiono jej jednak, że mąż zachowywać się będzie jak bestia. Nie o tym marzyła. Wyobrażała sobie, jak ją całuje i pieści, ale nie sądziła, że będzie wbijać się w nią jak oszalały, szczypać, gryźć i ciągnąć za włosy. To było wstrętne.

Noce okazały się jednak niczym w porównaniu z dniami. Rui Alberto zazwyczaj był nieobecny, ponieważ jako świeżo upieczony mąż czuł się w obowiązku przejąć rządy w Três Marias. Eulália zostawała w Casa Grande, bezbronna wobec złośliwości teściowej. Wcześniej z wielką radością wyobrażała sobie, jak to będzie, gdy zostanie senhorą i przestanie być sinhazinhą. W Três Marias jednak liczyła się jeszcze mniej niż dawniej w Sã o Fidélio. Tam była przynajmniej córką pana domu, tutaj – tylko synową. Tam znała wszystkich i cieszyła się szacunkiem służby, tu była obca, a dopóki dona Filomena nie da jej więcej swobody, stan rzeczy nie mógł się zmienić. Nie otrzymała własnego pęku kluczy, nie wolno jej było wchodzić samej do piwniczki na wino ani spiżarni – jakby była złodziejką! – nie mogła też decydować o praniu, niewolnikach ani żadnych innych sprawach. Traktowano ją jak głupią dziewczynę, która przyjechała z wizytą, a nie jak przyszłą panią domu.

Mogło jeszcze długo potrwać, nim dona Filomena i dom Afonso ustąpią młodym miejsca. Byli dopiero po czterdziestce i mogli rządzić Três Marias jeszcze dobrych dwadzieścia lat. Na tę myśl Eulálii napłynęły do oczu łzy i zrozpaczona ukryła głowę w poduszce. Gdyby przynajmniej była z nią Lua! Miałaby wtedy choć jedną sojuszniczkę,

kogoś, komu mogłaby się zwierzyć.

Dona Filomena przydzieliła jej jedną ze swoich służących, owszem, miłą dziewczynę, ale Eulália z pewnością nie mogła rozmawiać z nią o swych troskach. Niewolnica, która na domiar złego miała na imię Maria Imaculada, choć Eulália wołała na nią Mariaíma, prawdopodobnie szpiegowała bowiem dla pani domu. Było upokarzające wiedzieć, że o każdej krostce, o każdym niedomaganiu, a także o każdej naturalnej wydzielinie, która znalazła się na prześcieradle czy gdzie indziej, natychmiast informowano donę Filomenę.

Teściowa z pewnością chciała mieć najświeższe informacje w sprawie poczęcia wnuka. Eulália chętnie wyświadczyłaby teściowej tę przysługę i szybko zaszła w ciążę, ponieważ oznaczałoby to, że jej zdziczały mąż dałby jej na pewien czas spokój. Możliwe także, że umocniłaby się jej pozycja w Três Marias. Jako młoda matka Eulália z pewnością cieszyłaby się większymi prawami i swobodami niż teraz. Nic się jednak nie działo. Ale była mężatką dopiero od kilku tygodni, tygodni, które wydawały się wiecznością. Powoli zaczynała rozumieć Luę i inne kobiety, które znajdowały się w tak rozpaczliwym położeniu, że podejmowały ryzyko ucieczki. Ona sama chętnie spakowałaby manatki i z miejsca wyjechała do São Fidélio. Niestety, obecnie nie panował tam najlepszy nastrój i Eulália wątpiła, by tęskniono za jej obecnością.

Po napaści na ojca i ponownym zniknięciu Lui doszło między nią a rodzicami do poważnej kłótni, w czasie której padły ostre słowa, jakich nie da się prędko zapomnieć. Matka nazwała córkę głupią gęsią, a ojciec hańbą dla São Fidélio. Wszystko tylko dlatego, że broniła Lui.

– Ta twoja Lua to tania ladacznica, nic więcej. Rzuca się pierwszemu lepszemu czarnuchowi na szyję i ucieka z nim.

Próżność dom Felipe, czego oczywiście nie mógł wyznać głośno, bardzo ucierpiała. Niewybaczalne, że zamiast niego Lua wybrała tego dzikusa. Jeszcze bardziej oburzało go, że ów dzikus go pobił. Szczytem wszystkiego było zaś, że oboje wyjechali spokojnie na oczach wszystkich jego własnym powozem, i nie dało się ich już pochwycić. To niedopuszczalne! Musiał być jakiś sposób, by wytropić dwoje głupich Murzynów!

Wszystkie ślady prowadziły jednak donikąd. Woźnica, który wrócił tamtego wieczoru z poważną raną, nie okazał się pomocny. Zaklinał się, że pistoletem zmuszono go, by zawiózł dwoje uciekinierów do miasta, gdzie ci natychmiast wzięli nogi za pas. Dom Felipe skłonny był w to wierzyć. Mimo to skazał tego człowieka na dziesięć dni więzienia w „piwnicy"; odstraszających przykładów nigdy dość.

– Pistoletem! – zawołała dona Ines. – To świadczy o tym, co może się stać, gdy czarnuchy zdobywają pieniądze i nikt ich nie kontroluje. Są zupełnie pozbawieni skrupułów! Strzelają nawet do własnych ludzi...

– Ja wypytałbym starą Imaculadę – powiedział Manuel. – Mam wrażenie, jakby w ostatnim czasie rozkwitła, choć wciąż siedzi na pozór bezmyślnie w kącie i udaje zupełnie zgrzybiałą.

– Jest zupełnie zgrzybiała – odparł dom Felipe. – Była stara już wtedy, gdy ja byłem w twoim wieku, teraz więc musi zbliżać się do setki. Zastanawiam się, dlaczego już dawno nie obdarzyliśmy jej wolnością.

– Doprawdy, mój drogi, nie będziemy znowu dyskutować na ten temat. Zostawianie starych Murzynów samym sobie to niemal zabójstwo. Miłość bliźniego nakazuje nam żywić ich aż do naturalnego końca.

– Tak robiliście ze swoim ulubionym ogierem – wtrąciła urażona Eulália. – Koniom dajecie chleb z litości, a Murzynom nie.

– Ależ tak! Czy kiedykolwiek odesłaliśmy stąd jakiegoś starca? No właśnie. A poza tym wypraszam sobie ten ton – rzekł ojciec.

– Od kiedy właściwie tak troszczysz się o Murzynów? – spytał Eulálię młodszy brat. Wydawał się szczerze zainteresowany; w pytaniu nie kryła się ironia ani złośliwość.

– Odkąd tak podle potraktowano Luę – odparła Eulália.

– Zatem znowu do tego wracamy – westchnęła zrezygnowana dona Ines. – Dobrze, że niedługo wyjedziesz. W Três Marias będziesz mogła realizować te swoje postępowe idee.

– Cieszycie się, że się mnie pozbędziecie? Podnosicie większy krzyk, gdy ucieknie wam niewolnik.

– Jesteś głupią gęsią! – zawołała oburzona dona Ines.

Eulália była tak zaskoczona tymi niespotykanie ostrymi słowami, że z trudem przełknęła ślinę.

– Szczerze mówiąc, moje dziecko, z takim nastawieniem przynosisz hańbę São Fidélio. Potrzebujemy Murzynów, a oni potrzebują nas. Co w tym złego? – spytał ojciec.

Eulália nie mogła mu jednak odpowiedzieć. Wybiegła z salonu urażona, z trudem powstrzymując łzy.

– To na pewno znowu kobiece dolegliwości – orzekł trzeźwo Manuel i tym samym zakończył fatalną rozmowę.

Dolegliwość zupełnie innej natury dotknęła tymczasem najstarszego syna w rodzinie Oliveirów. Odkąd zaczął studiować w Salvadorze medycynę, po raz pierwszy godzinami ślęczał nad książkami, próbując postawić sobie diagnozę. Odkrył na intymnej części swego ciała wrzód, który miał czerwonawe zabarwienie i z którego sączył się bezbarwny płyn. Czyżby złapał chorobę francuską? Wertował specjalistyczne książki, ale w każdej z nich podawano inne objawy i inne metody leczenia. Wszystkie źródła były jednak zgodne co do tego, że syfilis prędzej czy później prowadzi do śmierci.

Gdy po kilku tygodniach wrzód się zagoił, Carlos poczuł nieskończoną ulgę. Z pewnością nie była to choroba francuska, może zatem dalej cieszyć się różnymi przyjemnościami, teraz jeszcze bardziej niż wcześniej. Tak bardzo się przestraszył, że obecnie uznał, iż życie jest za krótkie, by trwonić je na pilną naukę i zachowywanie wstrzemięźliwości. Chciał się bawić!

Ponieważ wizyty w burdelach stawały się zbyt kosztowne, zaczął poważnie zastanawiać się, czy nie znaleźć sobie żony. Miałby wtedy zawsze kobietę do dyspozycji, i to za darmo. Gdyby w dodatku wniosła ładne wiano, tym lepiej. Zainteresowanych młodych dam z dobrych domów nie brakowało. Jego rodzice również pochwaliliby małżeństwo. Tak – myślał Carlos, właściwie to dobry moment, by pozornie wrócić na ścieżkę cnoty, a naprawdę jeszcze więcej pić, grać i oddawać się rozpuście. Co bowiem miała do powiedzenia żona? Gdy tylko zrobi jej dziecko, i tak zajmie się macierzyństwem.

Zastanawiał się, o którą młodą kobietę powinien zacząć zabiegi, aby jak najszybciej zaskoczyć rodziców dobrą nowiną. O grubiutką Florindę? Nie. Była co prawda bogata, ale, niestety, niezbyt urodziwa. Może o kokietkę Isabelinhę? Czemu nie? Dosyć mu się podobała. Jej rodzice nie byli wprawdzie bardzo bogaci, ale zamożni na tyle, by dać jedynej córce porządne wiano. Miałby u niej duże szanse. Już dawno robiła do niego słodkie oczy. Niestety, rodzice Isabelinhy zwracali baczną uwagę na kwestie moralne. Gdyby dowiedzieli się o trybie życia Carlosa, z miejsca odrzuciliby go jako kandydata na zięcia.

Być może – kalkulował Carlos, opłaciłoby mu się, gdyby przez kilka dni mniej pił. Wyglądałby wtedy znacznie zdrowiej i mógłby stanąć przed tymi ludźmi z podniesioną głową, by prosić o zgodę na zabieganie o względy Isabelinhy. Te przeklęte konwenanse! Na takie rzeczy potrzeba było zawsze bardzo dużo czasu, czasu, gdy należało się odpowiednio zachowywać i pilnować. Musiał przekonać do siebie rodziców, zawrócić dziewczynie w głowie, wciąż siedzieć z Isabelinhą w salonie, bacznie obserwowany, i słuchać wierszy czy śpiewu. Zanudziłby się na śmierć, zanim jeszcze wolno by mu było poprosić o rękę młodej kobiety. Potem minęłoby wiele tygodni, nim ogłoszono by zaręczyny, a później miesiącami czekałby na ślub. Dobry Boże! To wszystko znacznie za długo trwało! Gdyby już dziś zaczął wprowadzać swój plan w życie, najwcześniej za rok mógłby liczyć na wiano i rozkosze małżeńskiego życia. To zbyt trudne. Nigdy by tego nie wytrzymał. Nie. Musi wymyślić inny sposób, aby zapewnić sobie regularne przyjemności cielesne i zdobyć pieniądze. Potrzebował kieliszka wina. Albo kilku. Potem dokładnie przemyśli tę sprawę.

W rodzinnej fazendzie jego młodszy brat Manuel ślęczał tymczasem nad trudnymi do rozszyfrowania kolumnami liczb. Nie mógł nie

zauważyć, że w wyniku ucieczki dwojga niewolników poniesiono znaczne straty. Nie tylko brak cennego ludzkiego towaru – dwoje młodych, zdrowych, silnych niewolników wartych było mały majątek – odbijał się negatywnie na bilansie, ale także brak siły roboczej. Nie dało się łatwo zastąpić mężczyzny w rodzaju Zé, który jako żniwiarz zbierał najwięcej trzciny cukrowej ze wszystkich, a świetnie wykształcona domowa niewolnica taka jak Lua również nie trafiała się często. Potrzeba było lat, żeby wychować czarnych na tyle, aby wypełniali wszystkie zadania ku zadowoleniu swojego senhora. W gospodarstwie od razu dał się we znaki brak najlepszych robotników. Oczywiście nadal mieli pod dostatkiem jedzenia, a Casa Grande wciąż był idealnie zadbany – rąk do pracy ciągle było dość – jednak liczne drobne problemy, jakie pojawiły się w niedawnym czasie, wyraźnie wynikały z nieobecności Lui.

Arogancki Lulu na przykład zostawiał zawsze kwiaty w wazonach tak długo, aż zwiędły i zbrązowiały. Lua dbała o to, by żaden opadły listek ani zaschnięty kwiat nie raził oczu państwa, i w porę układała w wazonach świeże rośliny. Fernanda przy podawaniu jedzenia nie była nawet w połowie tak zręczna i dyskretna jak Lua. Gdy wnosiła potrawy, Fernandę było widać, słychać i czuć, co według dony Ines stanowiło niewybaczalny mankament. Oburzała się, choć dobrze zdawała sobie sprawę z braku gracji Fernandy. Ostatnio narzekała wciąż na nierówno złożone serwetki, niedoczyszczone srebra, niewłaściwie ustawione kieliszki do wina. Krótko mówiąc, nieobecność Lui powodowała zły nastrój zarówno wśród czarnych, jak i białych.

Manuel nie potrafił pozbyć się podejrzenia, że Imaculada miała coś wspólnego z ucieczką Zé i Lui. Była stara, ale nie oznaczało to jeszcze, że jest niewinna. Nie rozumiał, dlaczego nikt go nie słucha, a wręcz odrzuca się jego podejrzenia jako śmieszne i nieuzasadnione. Co szkodziło przesłuchać tę starą? Jeżeli nie miała nic wspólnego z ucieczką, tym lepiej dla niej. A jeśli miała, mogła dostarczyć cennych wskazówek na temat miejsca pobytu zbiegów. W każdym razie nie zaszkodziłoby jej przesłuchać. Aby nie narażać się dłużej na śmieszność, Manuel postanowił sam się tym zająć.

Poczekał, aż ojciec wyjdzie z domu, a matka położy się w czasie sjesty. Na Eulálię, która wyjechała, nie musiał już zważać. W takich chwilach cieszył się, że wyszła za mąż, choć tęsknił za siostrą, jej kaprysami i popisami, bardziej, niżby przypuszczał. Celowo niedbałym krokiem skierował się teraz przez podwórze do senzali. Wszędzie panował spokój. W południowym upale tylko dzieci dobrowolnie przebywały na dworze, ale nawet one wydawały się nie mieć energii do dokazywania. Grupa starszych niewolników siedziała ospale w cieniu pod wystającym dachem senzali. Jeden z mężczyzn przysnął na stołku, z plecami opartymi o ścianę. Strużka śliny ciekła mu z półotwartych,

bezzębnych ust. Dwóch innych grało w kości, a jakaś staruszka szydełkowała, mamrocząc coś do siebie. Tylko Imaculady nie było widać. Czy ucinała sobie drzemkę wewnątrz budynku?

Manuel postanowił zapytać o to starszą kobietę, nim wejdzie do schronienia niewolników i przestraszy tych, którzy mogli tam przebywać.

– Powiedz no, tia Joaninha, widziałaś gdzieś Imaculadę?

– Nie, sinhô Manuel. Nie zadaję się z nią.

– Jest w środku? – pytał dalej. Złościło go, że czarni nigdy nie odpowiadali na pytania wprost, tylko zawsze musieli najpierw zapewnić o swojej niewinności, nawet jeśli nie podawano jej w wątpliwość.

– Nie, sinhô Manuel, na pewno nie ma jej w środku. Jest niespokojna, wciąż na nogach, na pewno znowu biega po sadzie.

– No dobrze, dziękuję. Sprawdzę zatem w sadzie.

Udał się niespiesznie we wskazanym kierunku. W bezlitosnym słońcu wczesnego popołudnia nagle bardzo wyraźnie dostrzegł wiele rzeczy – popękane belki w senzali, zardzewiały płot wokół kurnika, owoce cajú podziobane przez ptaki i gnijące na ziemi. Dlaczego raptem wszystko wydało mu się tak zaniedbane? Czy zawsze takie było? A może jego postrzeganie zmieniło się w wyniku przykrych zajść w ciągu minionych tygodni? Niezależnie od przyczyny należało coś przedsięwziąć, i to szybko. Jutro poleci kilku mężczyznom wyszlifować i naoliwić belki, naciągnąć nowe ogrodzenie i zebrać opadłe owoce oraz wykonać najróżniejsze inne prace, jakie okażą się potrzebne.

Znalazł Imaculadę za Casa Grande. Przykucnęła z podciągniętymi nogami – kolana miała niemal na wysokości uszu – na pniu drzewa i dłubała sobie patykiem w zębach. Manuela zdumiało, jak ta kobieta jest wciąż sprawna. Zdziwiło go także, iż w tak dobrym stanie ma zęby. Do tej pory nie zwracał na to uwagi. Czy może miało to coś wspólnego z jakimś niezwykłym sposobem ich pielęgnacji? No cóż, nie zamierzał teraz poruszać tej kwestii.

– Tu jesteś, Imaculado. Szukałem cię.

– Sim, sinhô, stara Imaculada być tu. Za stara, żeby uciekać.

Czyżby z niego kpiła? W każdym razie dała mu dobrą okazję, by od razu przejść do właściwego tematu.

– Czy chciałaś uciec, gdy byłaś młodsza?

– Sim, sinhô, młoda Imaculada biegać jak antylopa. Ale teraz stara, niedługo umrzeć.

Manuel pokręcił głową. Nie wiadomo, czy ta kobieta cierpi na starcze otępienie, czy tylko udaje głupią.

– Nie wygląda wcale na to, żebyś była w stanie agonalnym, Imaculado.

– Agonogalnum! Być agonogalnum. Imaculada zawsze szczera!

– W takim razie zdradź mi, co wiesz o ucieczce Zé. Oraz o ucieczce Lui.

– Imaculada nie znać młodzi czarni. Młodzi bać się Imaculada, iść daleko, gdy ją widzieć.

– To nie całkiem prawda. Wielokrotnie widywano cię w towarzystwie Lui. Jakież to ważne sprawy omawiałyście?

– Ładna domowa niewolnica? Chcieć wiedzieć środek na kobieca choroba.

– Och! – wyrwało się Manuelowi i głęboka czerwień pokryła jego policzki.

Imaculada ledwo powstrzymywała śmiech. Agonogalnum, ha! Kobieca choroba! Ludzie zawsze reagowali tak samo, gdy rzucało się słowa o pozornie afrykańskim brzmieniu lub wspominało o kobiecych przypadłościach. W pierwszym wypadku to zabobony, a w drugim zawstydzenie nie pozwalały białym ciągnąć tematu. Imaculada uważała młodego Manuela w zasadzie za dobrego chłopca, nieco mniej obłudnego niż jego pobratymcy. Zdumiało ją jednak, że i on poczuł się skrępowany.

– A jaka to była choroba? Czy zdołałaś jej pomóc? Dlaczego nie przyszła do nas? Wezwalibyśmy doktora. – Manuel szybko się opanował. Nie zamierzał zadowolić się tak ogólnikowym wyjaśnieniem.

Imaculada naprawdę się przestraszyła. Nie spodziewała się, że młodzieniaszek będzie wypytywać ją dalej. Musiała przyznać, że miał więcej rozumu niż cała reszta jego rodziny razem wzięta.

– Dużo krew, dużo zawroty głowy – zmyślała swobodnie. Nie będzie mógł przecież jej udowodnić kłamstwa. – Imaculada znać stary przepis, afrykański sekret.

– Wiesz przecież, że nie wolno wam tu uprawiać waszych afrykańskich czarów.

– Nie czary! Leczyć lepiej niż młody sinhô Carlos!

Manuel wybuchnął głośnym śmiechem. Stara miała tupet, musiał to docenić. Powiedzieć bez ogródek, że uważa jego brata za złego lekarza czy też marnego studenta medycyny, było niezrównaną bezczelnością, ale, niestety, także prawdą. Mimo to Manuel nie mógł pozwolić, by rosnąca sympatia do staruszki odwiodła go od istoty sprawy.

– A zatem, droga Imaculado, ponieważ jesteś stara, potrzebujesz może trochę więcej czasu do namysłu. Jutro o tej samej porze oczekuję odpowiedzi na pytanie, jak powiodła się ucieczka Zé i Lui. Nie waż się jednak udawać przede mną staruszki niespełna rozumu!

– Tak, jutro stara Imaculada na pewno sobie przypomnieć. Szybko jak antylopa! – odparła.

Pomimo żartów ogarnęło ją jednak niedobre przeczucie. Czyżby jej gra została przejrzana?

32

Lua nie wiedziała, dlaczego tej nocy chata wydała się jej znacznie przytulniejsza niż poprzedniego wieczoru, kiedy to proste schronienie sprawiało opłakane wrażenie. Czy dziś ona sama była bardziej wypoczęta? Może zaczęła powoli przyzwyczajać się do nietypowych warunków? A może to wódka z trzciny cukrowej nastroiła ją bardziej optymistycznie? Ach, wszystko jedno! Najważniejsze, że ponownie rozgorzał ogień między nią a Zé i że wchodzili teraz do wspólnej chaty, żegnani spojrzeniami pozostałej piątki.

Lua była opanowana i podekscytowana zarazem. Czy to możliwe? Z jednej strony zupełnie naturalnie przylgnęła do Zé, jakby już od lat była jego żoną i dzieliła z nim łoże. Z drugiej strony czuła na całym ciele mrowienie na myśl o tym, co teraz nastąpi. Nie miała bowiem wątpliwości, że coś nastąpi. Cieszyła się z tego, choć jednocześnie miała obawy. Znowu te sprzeczne emocje. Podczas gdy jej ciało dokładnie pamiętało zmysłowość, jaką rozbudził w niej Zé, umysł nie zapomniał obcości, która panowała między nimi podczas ucieczki.

Na szczęście Zé był dość zdecydowany i czuły, by wyrzuciła z pamięci wątpliwości. Gdy opadła za nimi słomiana zasłona, służąca jako drzwi, Zé wziął Luę w ramiona, przycisnął ją do siebie i okrył jej głowę niezliczonymi pocałunkami. Lua zapomniała o obawach i skrępowaniu. Wyszła Zé naprzeciw i objęła go w pasie, gładząc po plecach i delikatnie całując w szyję; wyżej nie sięgała, jeżeli się ku niej nie schylił. Stali tak przez chwilę pośrodku chaty. Lua zaczęła się już zastanawiać, kiedy Zé zaprowadzi ją do łóżka, gdy nagle wyszeptał ochryple:

– Chcesz zostać moją żoną, Lua? Tu i teraz, przed Bogiem i przed nikim więcej?

Lua gwałtownie oprzytomniała. Czy to były oświadczyny? Co też przyszło mu do głowy? Czy chciał być z nią tylko jako mąż? Przy ich pierwszym zespoleniu nie miał przecież takich skrupułów. Cóż to miało znaczyć? Świadczyło o honorze Zé, ale także niszczyło nastrój,

który właśnie między nimi zapanował. Lua z radością oddałaby się temu mężczyźnie. Ale zgodzić się na małżeństwo? To była decyzja, której nie podejmowało się w chwili namiętności.

– Zé... – jęknęła. – Pragnę cię. Muszę decydować właśnie teraz, czy chcę cię poślubić?

To była zła odpowiedź. Zé zesztywniał i odsunął się. W ciemności trudno było ujrzeć wyraz jego twarzy, ale Lui wydawało się, że dostrzega gorzki grymas wokół ust.

– Nie jestem dla ciebie dość dobry, o to chodzi? Jako wytworna domowa niewolnica na pewno nie chcesz za męża prostego polowego czarnucha, tak?

– Zé, przestań...

– A Liberdade też ci nie odpowiada.

– Proszę cię, Zé...

– Powinienem był to przewidzieć. Zawsze uważałaś się za kogoś lepszego.

– Zé!

Lua była przerażona. Jak mógł tak szybko zmienić nastrój? Najpierw był czuły i kochający, w tańcu z nią zawarł obietnicę niewiarygodnych radości i posunął się nawet tak daleko, by poprosić ją o rękę. Chwilę potem zaś stał się wrogi i agresywny. Czy wynikało to z działania cachaçy? Jeżeli tak, to Lua wreszcie rozumiała wszystkie te kobiety, które potępiały spożywanie alkoholu przez mężów. To było wstrętne. Napawało ją lękiem.

– Zé! – powtórzył drwiąco. – Zé to imię więźnia, nic niemówiące i łatwe do zmiany. Moje prawdziwe imię, które wybrali dla mnie rodzice, brzmi Mbómbo. Zapamiętaj to sobie, Lua. Nie jestem już niewolnikiem. Jestem buntownikiem i przywódcą quilombo.

Nagle, działając pod wpływem impulsu, którego sama w pełni nie rozumiała, zamachnęła się i wymierzyła Zé głośny policzek.

Zapadła cisza, która sprawiła, że dziewczyna zadrżała, mimo iż powietrze było ciepłe. Wściekłość, jaka emanowała z Zé, dawała się niemal dotknąć. Jeśli Lua sądziła, że policzek przywoła go do rozsądku, bardzo się pomyliła.

Zbliżył się do niej, pełen agresji. Potem chwycił nagle Luę, uniósł ją i rzucił na matę.

Nie miała czasu, by uciec czy choćby się odsunąć. Błyskawicznie znalazł się nad nią. Zadarł jej sukienkę, brutalnie rozsunął nogi i dotarł palcami do najintymniejszego miejsca. Lua zesztywniała. Udało się jej wyszlochać „nie!". Jej błaganie nie zostało jednak wysłuchane. Zé wpychał w nią palce tak długo, aż uznał, że jest odpowiednio szeroka, by mógł wsunąć członek. Lua jednak wcale nie była na to gotowa. Siłą umieścił swój wielki penis w jej wąskiej, suchej szparce i gdy Lua cicho płakała, on mruczał z rozkoszy.

Nie cierpiała długo. Po chwili, gdy leżała bez ruchu, znosząc tę hańbę, ból ustał. Nienawidziła swojego ciała za to, że ją zdradza. Jak mogło pozwalać na to, czego rozum nie mógł pojąć? Pchnięcia Zé stawały się coraz szybsze i mocniejsze. Sapał i pocił się jakby w transie, w którym składał się tylko z pożądania. Potem wyprężył się i jęknął głośno. Jego ciało przebiegło drżenie, a raczej wstrząs, po czym Lua poczuła wpływające w nią gorące nasienie. Wszystko to odbierała niczym sparaliżowana, choć jej ciało płonęło, a przez podbrzusze przechodziło niepokojące, przyjemne pulsowanie. Bardziej pogardzała więc sobą niż Zé. Umierała wprost ze wstydu.

Gdy Zé opadł na nią, nie wyjmując członka, okrył szyję Lui pocałunkami, mrucząc czułe słowa. Sądziła, że się przesłyszała, gdy cicho wyszeptał w jej piersi, że bardzo ją kocha, bardzo jej pożąda i bardzo chce ją pojąć za żonę, że tak długo czekał na tę chwilę zjednoczenia i że trudno było mu powstrzymywać się od tego w ciągu minionych tygodni.

Miłość? Jeżeli tak rozumiał miłość, Lua wcale nie chciała, by ją kochał! Poczuła na policzkach łzy i nagle zapragnęła ukryć przed nim, że płakała. Chciała uciec stąd jak najszybciej, ale nie odejść poniżona, tylko z dumą.

– Skończyłeś? – spytała chłodno, z resztką godności, jaka jej została. – W takim razie wychodzę. – Wstała, opuściła sukienkę i szykowała się, by opuścić chatę.

– Zaczekaj! – zawołał Zé błagalnym tonem. – Lua, proszę, zaczekaj. Przepraszam. Nie chciałem sprawić ci bólu.

– Nie sprawiłeś mi bólu – odparła bez drżenia w głosie. Potem szybko przemknęła przez wyjście i odbiegła od chaty.

Nie zastanawiała się nad tym, dokąd się oddali. Bezwiednie ruszyła nad rzekę, gdzie mogła obmyć łzy i ubrudzoną sukienkę. Nigdy jednak nie była w tym miejscu w ciemnościach i dopiero gdy dotarła nad brzeg, przyszło jej do głowy, że wchodzenie samotnie do wody nie było bezpieczne. Jednak tak właśnie zrobiła. Atak krokodyla nie mógł być straszniejszy niż to, co właśnie przeżyła. Na samo wspomnienie łzy znowu napłynęły jej do oczu. Mężczyzna, którego kochała, wziął ją wbrew jej woli!

A może była po części sama winna? Przecież jeszcze kilka minut przed napaścią tęskniła za zespoleniem z Zé i wyraźnie mu to okazywała. Czy to nie ona pierwsza sięgnęła po przemoc fizyczną, gdy wymierzyła mu policzek? I czy wreszcie jej ciało nie zareagowało pożądaniem i wyraźną przyjemnością na brutalność Zé? Skąd miał wiedzieć, że ona w głębi serca czeka na coś zupełnie innego? Ach, sama już nie wiedziała, co o tym myśleć.

Wyszła z rzeki, wygładziła sukienkę i udała się tam, gdzie po południu wywiesiła pranie. Dotknęła tkanin i z ulgą stwierdziła, że

uprane rzeczy wyschły. Zdjęła ze sznura duże prześcieradło i poszła z nim do ogniska. Owinęła się od stóp do głów płachtą materiału, położyła się i naciągnęła czubek prześcieradła na twarz, by uchronić się przed robakami i komarami. W okamgnieniu zapadła w głęboki sen, podczas którego nic się jej nie śniło.

To Marilu obudziła się pierwsza i znalazła ją przy palenisku, zwiniętą na ziemi i otuloną prześcieradłem, które rozpoznała jako własne. Obudziła dziewczynę delikatnym kopnięciem w bok.

– Wstawaj. Czy chcesz, żeby wszyscy cię tu zobaczyli?

Przestraszona Lua potrzebowała chwili, nim przypomniała sobie, gdzie się znajduje i co wydarzyło się w nocy. Wyplątała się z prześcieradła i wstała.

– Ja... – zaczęła.

– Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz. Zazwyczaj jednak pomaga, gdy można się zwierzyć.

Lua zaczęła płakać. Wyrozumiałość Marilu to było więcej, niż potrafiła znieść. Wolałaby teraz radzić sobie z prostactwem Bebel, żartować z jej jąkającego się brata czy nawet dogryzać Zé. Wszystko, wszystko byłoby lepsze niż współczucie i wyrozumiałość!

Odwróciła się od Marilu i pobiegła nad rzekę, by umyć i ochłodzić twarz. Nie chciała, żeby inni widzieli ją zapłakaną. Gdy się uspokoiła, wróciła, usiadła przy ogniu i wyciągnęła rękę po drewnianą łyżkę, którą Marilu podała jej bez słowa. Starsza kobieta rozumiała potrzebę Lui, by czymś się zająć, i pozwoliła jej mieszać papkę, którą przygotowywała. Wkrótce wszyscy wstaną i zażądają śniadania.

Niedługo rzeczywiście zaczęli wychodzić z chat, zmęczeni i skacowani. Żadne z nich nie powiedziało więcej niż mrukliwe „dzień dobry" i w milczeniu zabrali się do jedzenia.

– Gdzie się podziewa nasz Cukierek? – spytała Bebel i spojrzała na Luę.

Ta wzruszyła ramionami.

– Pewnie odsypia pijaństwo.

– Idź go obudzić. My przecież zebraliśmy się z łóżek.

– Sama go obudź. – Lua nie mogła znieść rozkazującego tonu Bebel i nie zamierzała pozwolić, by ta wulgarna kobieta traktowała ją jak służącą, którą można komenderować.

– Ty potworze! – parsknęła tamta. – Jak śmiesz się tak do mnie odzywać?

– A ty sądzisz, że wolno ci mną pomiatać? Uważasz się może za poganiacza niewolników? Ha, w takim razie trafiłaś we właściwe miejsce.

– Jeżeli nie podoba ci się Liberdade, możesz sobie wracać do swojego pięknego Casa Grande. Wyobrażam już sobie ciebie w wykrochmalonym czepku i pięknych białych halkach, pod które

czasami zagląda senhor.

Pozostali w napięciu przysłuchiwali się tej wymianie zdań, ale do tej pory się nie wtrącali. Jednak na ostatnią uwagę Bebel jej brat, Caca, zareagował oburzeniem.

– Nnnie wwwolno ccci tttak mmmówić dddo Lllui!

– Dziękuję, Caca – powiedziała Lua, uśmiechając się łaskawie. Wzruszyło ją, że właśnie ten biedny, upośledzony chłopak chce bronić jej honoru.

– Ach, ona jest tylko zazdrosna, bo pod jej surową lnianą kieckę nigdy nie chciał zajrzeć elegancki senhor, jedynie cuchnący nadzorca – zauważył ze śmiechem João.

Lua uznała tę uwagę za równie niestosowną jak wcześniejszą wypowiedź Bebel, jednak nikomu poza nią wydawały się nie przeszkadzać takie odzywki. Utwierdziła się w przekonaniu, że ma do czynienia z bandą polowych Murzynów, wulgarnych, głupich i podłych.

– Co się z wami wszystkimi dzieje?! – krzyknęła Bebel. – Ledwo zjawia się ta rozpieszczona panienka, delikatna laleczka, wszystkim mężczyznom przewraca się w głowach i zapominacie, komu powinniście być wdzięczni. – Przepełniała ją wściekłość i gdyby Lua nie była tak zagniewana, mogłaby ją nawet zrozumieć. Nie było zbyt miłe ze strony mężczyzn, by tak jawnie brać jej stronę, zwłaszcza że prawie jej nie znali.

– W takim razie ja pójdę obudzić Zé – mruknął Luizinho, jakby to budzenie stanowiło prawdziwy powód sprzeczki.

Dość szybko zjawił się z powrotem.

– Nie ma go. Co z nim zrobiłaś, dziewczyno? – zwrócił się do Lui.

– Nic, a nawet mniej, niż zasłużył! – odfuknęła.

– Nocą brzmiało to zupełnie inaczej – orzekł João.

Lua była niewymownie zawstydzona, ale opanowała się i odparła zimno:

– Jeżeli już podsłuchujesz, powinieneś mieć chociaż tyle przyzwoitości, by nie chwalić się tym przed innymi. Podsłuchiwanie jest wstrętne.

– Do roboty, ludzie! – pogoniła wszystkich Marilu. Gdyby bowiem rozmowa dalej toczyła się w tym kierunku, mogłoby dojść do bójki. – Zé na pewno od dawna jest już na polowaniu. A ty, Lua, zajmij się praniem. Dużo rzeczy trzeba też ponaprawiać. Szyć i haftować również potrafisz, prawda?

Lua i tym razem była wdzięczna za interwencję i łagodne przewodzenie Marilu. Bez tej kobiety cała ta zawszona banda dawno by zginęła.

Wieczorem jednak sprzeczka wybuchła na nowo. W kolejnych dniach też nie było lepiej, napięta sytuacja jeszcze się pogorszyła. Każdy atakował każdego, wszyscy mieli wobec pozostałych jakieś zarzuty,

a najdrobniejsze niedociągnięcie kwitowano złośliwymi uwagami. Kobiety krytykowały skąpą zdobycz przynoszoną przez mężczyzn, mężczyznom nagle przestało smakować jedzenie i wyśmiewano nawet wynalazki Cacy. Najpopularniejszymi celami agresji stali się jednak Zé i Lua. Jakim nędznym przywódcą jest Zé, skoro sprowadził tu tę kobietę, która tylko sieje niezgodę? Czego szuka tu ta arogancka gęś, która poza szyciem i haftowaniem nie umie porządnie wykonać żadnej pracy?

Wrogość przerażała Luę bardziej, niż dawała po sobie poznać. Czuła się winna. Zniszczyła spokój w Liberdade, choć nie miała przecież takich intencji. Obawiała się, że jeszcze długo będzie ponosić tego konsekwencje. Pozostali nigdy nie zaakceptują jej jako jednej z nich, a w zasadzie ona sama także tego nie chciała. Nienawidziła tego miejsca i tych ludzi. Jedynym powodem, dla którego się tu znalazła, był Zé, a on trzymał się ostentacyjnie z daleka od niej, co również było jej na rękę. Po owej strasznej nocy nie chciała mieć z nim nic do czynienia.

Nie umiała jednak w pełni wyzwolić się spod jego uroku. Zé przez wiele dni sprawiał wrażenie skruszonego i w jednej z rzadkich chwil, gdy znaleźli się sam na sam, błagał Luę o wybaczenie. Ofiarowywał jej drobne prezenty i robił wszystko, co w jego mocy, by ją ułagodzić. Prawie mu się to udało, ponieważ Lua bardzo pragnęła mieć choć jedną osobę po swojej stronie. Nie dała się jednak przebłagać. Zé nie mógł przecież cofnąć swego wstrętnego czynu.

Nawet jeśli Lua początkowo wierzyła, że kiedyś zdoła polubić Liberdade i zaprzyjaźnić się z jego mieszkańcami, nadzieja ta szybko uleciała. Sytuacja z każdym dniem stawała się coraz bardziej nieznośna. Problemem było również, że Zé wciąż wydawał się Lui niezwykle pociągający. A nie chciała go kochać!

Gdy pewnego dnia podszedł do niej Caca i jąkając się, wyznał jej miłość, była to kropla, która przelała czarę. Lua zrozumiała już co prawda, że Caca wcale nie jest słaby na umyśle, tylko mówienie sprawia mu trudność, ale nie zmieniło to jej uczuć. Przerażała ją wizja, że w przyszłości będzie musiała znosić jego tęskne spojrzenia, w dodatku codziennie, a także patrzeć, jak biedny chłopak cierpi. Doprawdy, sprowadziła same nieszczęścia na tę nędzną wioskę! Dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby odeszła.

Dwa dni później opuściła Liberdade. Pożegnała się tylko z Marilu, ponieważ mężczyźni byli na polowaniu, a z Bebel nie rozmawiała. Marilu zapakowała jej żywność oraz niezbędne rzeczy na drogę i życzyła dużo szczęścia. Więcej nic. Nie było serdecznych pożegnań ani łez. Nie musiały przed sobą udawać. Ulga, że Lua odchodzi, była równie wielka po obu stronach.

33

Eulália zrobiła coś, czego nie robiła nigdy wcześniej, coś, za co już na zawsze zostałaby uznana za wariatkę, jeżeliby się wydało – poszła na spacer na plażę. W dodatku boso i z podwiniętą spódnicą. Było cudownie! Nastąpił odpływ, a woda cofnęła się tak daleko, że w odsłoniętych formacjach skalnych na plaży powstały małe zbiorniki, tak płytkie, że można było nie tylko zobaczyć piaszczyste dno, ale także bez obaw stanąć w wodzie po kolana. Fale załamywały się na odległej rafie, a dziko kipiąca piana w oddali tworzyła piękny kontrast z idyllą w bezpośredniej bliskości plaży.

Droga do naturalnych basenów okazała się nieco utrudniona, trzeba było bowiem miejscami wspinać się po bardzo śliskich skałach o ostrych krawędziach. Eulália znalazła jednak dobre miejsce, gdzie mogła bez trudu wejść do wody. Uniosła spódnicę jeszcze nieco wyżej i brodziła ostrożnie w jednej z niecek. Ach, jak cudownie! Woda była odświeżająca, ale nie zimna, a piasek przyjemnie wsuwał się między palce u stóp. Po skałach biegały niezliczone kraby, w basenie zaś roiło się od lśniących, kolorowych ryb, które pływały zaciekawione wokół nóg Eulálii.

Widok również był niezwykły. Do tej pory Eulália zaledwie dwa razy widziała pasmo piasku, wzdłuż którego rosły palmy, i to zawsze od strony wody, z łodzi znacznie oddalonych od wybrzeża. Podziwianie z bliska kawałka turkusowej wody i plaży stanowiło wielką przyjemność dla zmysłów.

Łzy Eulálii wyschły szybko wobec wspaniałego piękna i nieokiełznanej siły przyrody oraz pocieszającej świadomości, że wszystkie jej troski na tle tej scenerii stają się małe i nieznaczące. Jeszcze za sto, a nawet za tysiąc lat palmy będą kołysać się w ciepłym powiewie, fale będą uderzać o rafę, a kraby biegać po plaży. W porównaniu z tym cóż było warte nędzne życie Eulálii? W najlepszym wypadku dzieci i wnuki będą ją wspominać, regularnie usuwać mech z jej nagrobka i powieszą jej portret w salonie. Pewnego

dnia prawnuki staną może zdumione przed obrazem i spytają, kim była ta dziwnie ubrana kobieta o smutnym wyrazie twarzy?

Na tę myśl Eulálii ponownie nabiegły do oczu łzy. Dlaczego tak haniebnie ją okłamano? Dlaczego wszystkie młode kobiety oszukiwano w równie podły sposób? Wychowano ją w przekonaniu, że najwyższym szczęściem jest wyjść za mąż, prowadzić własny dom, urodzić dzieci. Kto jednak mówił o tym, jak sobie radzić, gdy mąż cię zaniedbuje, teściowie nie traktują poważnie i mieszka się w obcym domu, w którym nie ma się nic do powiedzenia? Nikt! Nikt nie mówił prawdy. Wszyscy opowiadali wciąż bajki o poczuciu spełnienia płynącym z małżeństwa i macierzyństwa.

A co, jeśli nie mogło się mieć dzieci? Eulália obawiała się, że tak jest w jej wypadku. Była trzy miesiące po ślubie i już dawno powinno coś się zdarzyć. Według teściowej była dziwolągiem, ponieważ nie mogła począć.

– W moim wypadku wystarczyły niecałe trzy dni – chwaliła się dona Filomena. – Coś jest z tobą nie tak, Eulálio. Może powinnaś udać się do lekarza.

Eulália umiała liczyć, choć doszła do wniosku, że nie należy kwestionować historii dony Filomeny o szybkim poczęciu i porodzie rzekomo w siódmym miesiącu ciąży. Nie było to dla niej żadnym pocieszeniem.

Również Rui Alberto uznał po pewnym czasie, że z Eulálią coś jest nie w porządku.

– Leżysz ze mną jak martwa ryba. To nie jest normalne. – Tak, ale jak powinna z nim leżeć? Jak żywa ryba? Nie miała pojęcia, co robi źle, a jedyny człowiek, którego mogłaby o to zapytać, czyli mąż, zbywał ją obraźliwymi uwagami: – Skoro sama tego nie wiesz, nie można ci pomóc.

Eulália zastanawiała się, czy to jej nieumiejętność zachowania się w łóżku powodowała, że nie mieli potomstwa.

Nawet teść Eulálii zaczął powoli wypominać jej rzekome niedociągnięcia. Matka i syn coraz częściej narzekali na nią przy stole, więc to negatywne nastawienie przejął również dom Afonso. Dona Filomena i Rui Alberto nie wstydzili się nawet opowiadać nieprawdy, na przykład, że Eulália rozrzutnie gospodaruje żywnością.

– Powinnaś lepiej pilnować, co Murzyni dostają do jedzenia. Za dużo mięsa sprawia, że robią się tłuści i leniwi – zarzucił jej pewnego dnia dom Afonso, łagodnym co prawda, ale wyraźnie ganiącym tonem. Nie zostało jednak powiedziane, że Eulália nie miała żadnego wpływu na jadłospis niewolników.

To wszystko było niesprawiedliwe! Czym zawiniła, że tak źle ją traktowano? Jak ma uwolnić się z tej pułapki? Nie mogła znieść myśli, że będzie musiała pogodzić się z tym psychicznym maltretowaniem

jeszcze przez kilkadziesiąt lat.

Jak piękna musiała być wolność – wolność podejmowania decyzji, wolność od nadzoru rodziców, męża czy teściów. Eulália była w rzeczywistości znacznie mniej wolna niż niewolnicy, ponieważ ci mogli się przynajmniej wykupić. Jej nie dano takiej możliwości. Ucieczka także nie miała sensu. Niezależnie od tego, dokąd by się udała, jako młoda kobieta podróżująca bez rodziców, męża lub przynajmniej starszej ciotki, naraziłaby się na poważne przykrości. Wyraźnie dowiodła tego nieudana próba ucieczki Lui.

Ach, co tam! Właściwie wcale nie chciała uciekać. Pragnęła tylko, by mąż trochę bardziej się o nią troszczył, rozpieszczał ją i ochraniał. Byłoby też miło uciec wreszcie ze znienawidzonego Três Marias, choćby na kilka miesięcy. Podróż poślubna do Europy jednak się nie udała, ponieważ statek, którym mieli popłynąć, osiadł na mieliźnie, a chwilowo nie było możliwości, by zarezerwować miejsca na innym żaglowcu. Eulália podejrzewała, że nikt naprawdę się o to nie starał, dzięki małemu przekupstwu bowiem na pewno w cudowny sposób zwolniłaby się jakaś kabina.

Przyjrzała się swoim łydkom i stopom zanurzonym w wodzie. Wydawały się blade i dziwnie zniekształcone. Najchętniej zrzuciłaby całą odzież i wykąpała się w morzu, ale nie starczyło jej na to odwagi. Nadeszła już zresztą pora, by wracać na plażę. Z minuty na minutę słońce paliło coraz mocniej. Eulália założyła co prawda słomiany kapelusz, ale nie osłaniał on całego ciała. Gdyby dona Filomena odkryła na jej dłoniach piegi, Eulálię znowu czekałoby kazanie, nie mówiąc już o poważnych zarzutach, jakie usłyszałaby, gdyby opaliła sobie nos. Gdy więc znalazła się na powrót na plaży, niechętnie ruszyła w stronę palm. Piasek był tam suchy i trudno się po nim stąpało, ale z powodu słońca bała się pozostawać dłużej na twardym, mokrym piasku w pobliżu wody.

Podczas tej małej wycieczki Eulália nie widziała żywego ducha i nagle przyszły jej do głowy straszne myśli. A gdyby tak spadł na nią orzech kokosowy? Albo gdyby dostała udaru słonecznego i straciła przytomność? Czyby ją tu znaleźli? Czy zapewniliby jej opiekę? A może raczej zadręczaliby kolejnymi oskarżeniami, zarzucali nieodpowiedzialność i bezmyślność?

Spacer zmienił się w marsz. Po miękkim piasku Eulália poruszała się jednak powoli i już po pokonaniu krótkiego odcinka drogi pot ciekł z niej strumieniami. Boże – myślała, jakim głupim pomysłem była ta ryzykowna wyprawa! Zapomniała o chwilach przyjemności w wodzie, myślała już tylko o drodze, którą miała do pokonania, o wysiłku oraz spojrzeniach mieszkańców Três Marias, czarnych i białych, gdy wkroczy na dziedziniec rozczochrana, spocona i zmęczona. Było już dość późno, wokół Casa Grande panował duży ruch. Czy zdąży na

śniadanie? Teściowa ściśle przestrzegała pory wspólnych posiłków.

Z ponurych rozmyślań wyrwało nagle Eulálię ciche gwizdnięcie. Na pewno nie był to ptak! Zamarła ze strachu. A jeśli czaił się tu złoczyńca? Rozejrzała się na wszystkie strony i wpatrzyła w gęstą zieleń za palmami, ale niczego nie dostrzegła. Zdecydowanym krokiem ruszyła dalej. Całe zmęczenie nagle z niej uleciało. Opuściła nieco spódnicę, którą przez cały czas miała podkasaną do kolan – nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie patrzy. Któż mógłby to jednak być?

Ciężko oddychając, szła dalej. Teraz wszędzie słyszała podejrzane dźwięki. Szum liści palmowych na wietrze, daleki odgłos fal, a nawet szelest własnej spódnicy wydawały się jej niepokojące. Zaczęła biec. Nagle znowu usłyszała ten gwizd! Tym razem rozległ się bliżej i sprawiał wrażenie groźniejszego. A może tylko to sobie wyobraziła? Może był to głos jakiegoś rzadkiego ptaka?

– Proszę się nie bać, sinhazinha!

Eulálii wydało się, że słyszy te słowa. Ale to przecież niemożliwe, prawda? Wyobraźnia płata jej brzydkie figle, i tyle.

– Proszę zaczekać, sinhazinha Eulália, to tylko ja.

– Lua? – spytała. Przystanęła i rozejrzała się. W listowiu coś się poruszało.

– Tak, sinhazinha, to ja. – Lua wyszła z zarośli.

Eulália poczuła ulgę, że to nie żaden zbój, choć przestraszył ją opłakany wygląd Lui. Jej dawna służąca przypominała ducha – wychudzona do kości, w obszarpanej odzieży, z rozczochranymi włosami i niezliczonymi zadrapaniami.

– O mój Boże! – wyrwało się jej.

Podeszła do Lui, objęła ją i razem wybuchły płaczem. Minęło kilka minut, nim uspokoiły się na tyle, by móc porozmawiać.

– Jak to się stało, że...? – zaczęła Eulália.

Jednocześnie Lua również zadała pytanie:

– Dlaczego chodzi tu panienka sama...?

Spojrzały na siebie i roześmiały się. Nie był to radosny śmiech, lecz wyraz rozpaczy i strachu.

– Ty pierwsza – powiedziała wreszcie Eulália. – Co tu robisz?

– Ja... uciekłam przecież – wyjąkała Lua, po czym ponownie zalała się łzami. – Och, sinhazinha, tak bardzo mi przykro!

– Już dobrze, uspokój się. Opowiadaj dalej. Uciekłaś...

– Tak i poszłam z Zé do puszczy, a tam... – Kolejny szloch przerwał jej opowieść. – ...tam było strasznie. Tak strasznie, że sama pokonałam całą drogę powrotną. Teraz...

– Teraz...?

– No więc teraz jestem tu i... miałam nadzieję, że panienka mi wybaczy i przyjmie na powrót do służby. Och, sinhazinha, proszę! Zrobię dla panienki wszystko, nigdy już nie będę się buntować i z

wdzięcznością zniosę każdą karę!

Eulália w zamyśleniu pokręciła głową. Niezmiernie ucieszył ją powrót Lui. Wreszcie mogła z kimś porozmawiać, miała kogoś, przed kim nie musiała niczego udawać i przy kim mogła się swobodnie wypłakać. Czuła wielką ochotę, by od razu zabrać Luę do domu, pozwolić biedaczce wziąć kąpiel i nakarmić ją najlepszymi smakołykami. Była jednak dość rozsądna, by wiedzieć, że nie pozwolono by jej na przyjęcie przyjaciółki. Teściowie i Rui Alberto obstawaliby przy tym, że Lua musi otrzymać zasłużoną karę, a zasłużyła co najmniej na chłostę. Poza tym odesłaliby ją do São Fidélio, a wtedy Eulália nie tylko kolejny raz straciłaby przyjaciółkę, lecz także stałaby się winna tego, że opuściła ją w potrzebie. Nie, to nie było dobre rozwiązanie.

Lua w napięciu obserwowała każde drgnienie na twarzy sinhazinhy. Potrafiła czytać w niej jak w książce, znały się przecież przez całe życie. To, co odczytała, sprawiło, że jęknęła rozczarowana. Przyglądając się uważniej, zwróciła jednak uwagę na coś jeszcze – jej dawna pani była głęboko nieszczęśliwa. Wróciła zatem do pytania, które chciała zadać już wcześniej:

– Sinhazinha, co sprowadza panienkę rano na plażę zupełnie samą? Czy wszystko w porządku?

Eulália nie zdołała powstrzymać łez.

– Nie, Lua, nie. Nic nie jest w porządku! – Łkała. – W Três Marias jest strasznie, moi teściowie są okropni i małżeństwo też. Ach, gdyby tylko dało się cofnąć czas! Jak pięknie było jeszcze przed kilkoma miesiącami. Obie mieszkałyśmy na São Fidélio, miałyśmy dobre życie, a nasze największe zmartwienie polegało na tym, czy jedwabne poduszki w kolorze miedzi będą pasować do zielonego fotela.

Lua skinęła głową. Oczywiście, nie było naprawdę jej zmartwieniem, który materiał pasuje do obicia fotelu. Prawdą jednak było, że obu im wiodło się dobrze, nie miały większych trosk. Także Lua chętnie cofnęłaby czas o kilka miesięcy. Przygnębiało ją, że najwyraźniej Eulálii wiodło się równie źle co jej samej, choć jej troski nie miały wymiaru materialnego.

– Co się stało? Dona Filomena i dom Afonso zawsze wydawali się miłymi ludźmi. A świeżo upieczony małżonek? Kocha go przecież panienka, prawda?

– I co z tego, skoro on nie kocha mnie? – wyjęczała Eulália.

– Skąd to panienka wie? Na pewno tylko nie umie panience okazać uczucia.

Lua nie mogła uwierzyć, że oto stoi na plaży i pociesza swoją panią, choć to przecież ona sama potrzebowała pocieszenia, a przede wszystkim opieki. Tygodniami błąkała się samotnie po lesie, nabawiła się niezliczonych obrażeń i była u kresu sił. Dręczył ją głód

i pragnienie i pilnie potrzebowała bezpiecznego schronienia. Teraz nie mogła jednak zgłaszać swych potrzeb. Wytrzyma jeszcze trochę. Wszystko zależało przecież od tego, czy Eulália jej wybaczy i przyjmie ją.

– Ach, Lua, to długa historia. Chętnie ci ją opowiem, ale nie tu, na plaży. Muszę wracać, w przeciwnym razie zauważą moją nieobecność, i muszę wrócić sama. Wątpię, by w Três Marias przyjęli cię z otwartymi ramionami.

– Ale dokąd mam pójść?

– Nie wiem. Może do São Fidélio?

– Po mojej pierwszej ucieczce wysłano mnie tam na pola, a dom Felipe... – W ostatniej chwili przypomniała sobie, że to ojciec Eulálii miał wobec niej złe zamiary, przed którymi ledwie udało się jej umknąć. Nie mogła zniszczyć przekonania Eulálii, że jej rodzic to prawy, dobrotliwy senhor.

– Tak? Co dom Felipe?

– No cóż, dom Felipe obszedł się ze mną bardzo surowo.

– Nie zasłużyłaś przecież na lepsze traktowanie.

– Och... – Lua poczuła znowu zbierające się pod powiekami łzy. Miała nadzieję, że Eulália okaże się bardziej wyrozumiała.

– Nie płacz, Lua, nie miałam tego na myśli. Gdyby to ode mnie zależało, wróciłabyś po prostu, i jak za dawnych czasów przemeblowałybyśmy mój pokój. Niestety, moje słowo nic nie znaczy, w Três Marias jeszcze mniej niż w São Fidélio. Chwilowo nie przychodzi mi nic lepszego do głowy niż to, żebyś przez jakiś czas pozostała w ukryciu, a ja będę przynosić ci prowiant, gdy tylko uda mi się wykraść z tego okropnego domu. Przynajmniej zarzuty, które wciąż mi tam czynią, będą wtedy usprawiedliwione.

– Co to znaczy?

– Nic, Lua, opowiem ci wszystko innym razem, na spokojnie. Teraz muszę już iść. Wytrzymaj! Uda nam się znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Ale...

– Adieu, Lua. Do zobaczenia wkrótce.

Eulália odeszła znacznie energiczniej, niż szła wcześniej. Lua patrzyła za nią długo, aż widać ją było tylko jako punkt na horyzoncie.

Poczuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek dotąd.

Część III

34

Miała wrażenie, jakby nagle ucichły wszystkie odgłosy, i szum morza, i szelest palm. Ogarnęła ją dziwna głuchota, gdy patrzyła, jak postać Eulálii staje się coraz mniejsza. Czuła się bezradna i opuszczona jak jeszcze nigdy. Ratunek był już tak blisko! Ale... nie nastąpił. Nadal pozostawała zdana wyłącznie na siebie. Płakała bez opanowania, aż łzy się skończyły i ledwo łapała oddech. Co teraz się z nią stanie? Sinhazinha nie wydawała się jednak bardzo zagniewana na Luę, która dostrzegła w jej oczach współczucie, a nawet zrozumienie. To lepsze niż nic. Może dawnej pani uda się w jakiś sposób uchronić niewolnicę przed drakońską karą.

Dziwny przypadek sprawił, że Eulália przebywała na plaży właśnie wtedy, gdy ona się tam zjawiła. Dziewczyna modliła się teraz, by okazało się to dobrym znakiem. Po rozmowie z Bogiem zajęła się bardziej przyziemnymi sprawami – gdzie powinna się schronić? Które miejsce nadawało się do tego, by rozbić prymitywny obóz, bezpieczny przed wzrokiem rybaków lub innych osób, które mogłyby trafić na takie odludzie? Jak zdoła przeżyć, jeśli Eulália szybko nie wróci?

Postanowiła, że najpierw weźmie kąpiel. Nadal panował odpływ, a kałuże, które powstały między skałami, wydały się jej bezpieczne i dość płytkie, by się w nich zanurzyć. Plaża sprawiała wrażenie nieskończonej. Gdyby ktoś się zbliżał, Lua dostrzegłaby go już z daleka. Rozebrała się do naga i ostrożnie weszła do niecki. Uczucie było boskie! Basen okazał się na tyle głęboki, że mogła usiąść, utrzymując głowę nad powierzchnią wody. Przysiadła więc i rozkoszowała się uczuciem szczypania na skórze pokrytej skorupą brudu. Potem sięgnęła na dno, nabrała garść piasku i natarła się nim. Powtórzyła tę czynność tyle razy, aż oczyściła każdy fragment ciała. Było to upajające uczucie, choć rozmaite otarcia, zadrapania i zacięcia piekły ją po starciu strupów. Lua nie dbała jednak o to. Wkrótce obrażenia powinny się zagoić.

Na końcu zanurzyła głowę. Wstrzymała oddech na tak długo, jak

tylko zdołała, a potem wydostała się na powierzchnię, by nabrać powietrza i znów zanurkować. Jej włosy unosiły się na wodzie i łaskotały skórę głowy, co sprawiało Lui niezwykłą przyjemność. Kąpała się tak długo, aż opuszki palców u rąk i nóg pomarszczyły się, a potem wyszła z letniej wody i wróciła pod palmę, przy której pniu zostawiła swój nędzny tobołek i cuchnącą odzież. Nie chciała jej zakładać świeżo po kąpieli, wzięła zatem ubrania i wróciła nad wodę, by je uprać. Rzeczy nie dało się dokładnie wyczyścić, ale morska woda zmyła kurz i pot. Potem Lua rozwiesiła odzież w słońcu na jednej z palm.

Wszystko to robiła nago. Po raz pierwszy w życiu dłużej niż przez chwilę przebywała na powietrzu bez odzienia. Ogarnęło ją wspaniałe, wyzwalające uczucie. Mimo to nie opuszczała jej obawa, że ktoś może obserwować ją z cienia drzew. Lęk ten najprawdopodobniej nie miał podstaw, któż bowiem czekałby tu w nadziei, że na plaży zjawi się naga Mulatka? Lua wyjęła jednak z tobołka płachtę, którą przykrywała się nocą i osłaniała przed komarami, i owinęła się nią. Pokryta solą skóra zaczęła drażniąco swędzieć.

Lua usiadła z podciągniętymi kolanami na piasku, oparła się o pień drzewa i zaczęła rozmyślać. Wkrótce będzie musiała zdobyć coś do jedzenia i picia, ponieważ dawno już zużyła resztkę zapasów. Powędrowała spojrzeniem ku grubym zielonym orzechom kokosowym, które wisiały pod koroną drzewa, i ślinka pociekła jej do ust. Jak jednak miała dostać się do owoców? Wstała i przeszła kawałek plażą w poszukiwaniu rosnącej krzywo palmy, na którą łatwiej byłoby się wspiąć. Odkryła drzewo rosnące niemal równolegle do ziemi i dopiero od połowy łagodnym łukiem wznoszące się do góry. Tak, na tę palmę na pewno zdoła wejść. Płachtę, którą była okryta, zrzuciła na ziemię, aby mieć większą swobodę ruchu. Następnie rozpoczęła wspinaczkę. Nie okazała się ona wcale uciążliwa, jednak gdy orzechy znalazły się już w zasięgu jej rąk, napotkała trudności. Powinna mieć cztery ręce: dwie, by się przytrzymywać, i dwie do zrywania orzechów. Musiała przedstawiać dość śmieszny widok, gdy tak wisiała i wyginała się, by dosięgnąć owoców, nie spadając przy tym. Wreszcie udało się jej strącić na ziemię trzy okazałe owoce.

Potem czekała ją kolejna trudność. Jak miała otworzyć orzechy? Gdyby, używając całej siły, rozbiła je o pień drzewa, rozlałaby cenne mleko kokosowe, którego była tak spragniona. Nie dysponowała zaś odpowiednim narzędziem, którym mogłaby najpierw wywiercić w orzechu otwór. Omal się nie rozpłakała, ponieważ smaczny sok i miąższ kokosa były tak blisko, a zarazem wydawały się nieosiągalne. Opanowała się jednak; dawno już zrozumiała, że płacz w niczym nie pomaga, a jedynie przeszkadza. Udała się na skały odsłonięte w czasie odpływu. Poszukała kamienia, którym mogłaby rozbić orzech. Po

pewnym czasie znalazła wreszcie taki, który wydał się jej odpowiedni, wielkości pięści, o ostrych krawędziach. Wróciła z nim do orzechów i zabrała się do pracy tak gorączkowo, że prawie nie zauważała, gdy kamień wrzynał się jej w dłonie. Po pewnym czasie udało się jej zrobić niewielki otwór w pierwszym orzechu. Łapczywie przyłożyła owoc do warg i wlała słodki płyn prosto do ust. W całym życiu jeszcze nic tak bardzo jej nie smakowało.

Gdy wypiła mleko, z całej siły rzuciła kokosem o pień drzewa. Rzucała tak raz po raz, aż wreszcie skorupa pękła i ukazała wilgotny, lekko połyskujący miąższ. Jakże chciwie zabrała się do jedzenia! Wyskrobała skorupę do ostatniej odrobinki, a następnie zaczęła postępować tak samo z drugim kokosem. Z trzecim poradziła sobie już znacznie łatwiej i nieco się uspokoiła. Na mleku i miąższu kokosowym zdoła przeżyć kilka dni. Nie brakowało tu także ryb, krabów i małżów.

Gdyby była śmielsza, mogłaby podejść do pól uprawnych. Znajdowała się na obszarze Três Marias, a plantacje trzciny cukrowej musiały leżeć dość blisko. Za pomocą kamienia lub ostrej skorupy małża potrafiłaby ściąć trzcinę, by ją wyssać. Było to nie tylko pożywne, ale także smaczne. Nie zdobyła się jednak na odwagę. Nie. Tam gdzie pola, byli również ludzie, a obecnie wolała unikać ich towarzystwa.

Ledwo napełniła żołądek, poczuła zmęczenie. Otuliła się płótnem i położyła w cieniu palm, na tyle daleko od nich, by nie uderzył jej spadający orzech kokosowy. Podłoże było piaszczyste, więc obracając się i przesuwając, zrobiła zagłębienie dokładnie odpowiadające swej sylwetce. Potem zamknęła oczy.

Gdy się obudziła, słońce stało wysoko na niebie. Cień palm przesunął się i nie zapewniał już osłony ani chłodu. Trwało chwilę, nim uświadomiła sobie, gdzie i w jakim położeniu się znalazła. Gdy wreszcie odzyskała jasność myślenia, rozejrzała się na wszystkie strony, ale nikogo nie zobaczyła. Sprawdziła ubrania. Wyschły już, choć tak zesztywniały od soli, że musiała strzepnąć je mocno kilka razy, nim się ubrała. Nagość była znacznie przyjemniejsza, ale Lua czuła się pewniej w odzieniu.

Co dalej? Nie zwykła siedzieć i próżnować. Jakże często tęskniła dawniej za chwilą taką jak teraz! Gdy jednak została sama, a wokół, z wyjątkiem odgłosów przyrody, panowała cisza, czegoś jej brakowało. Gdyby miała przynajmniej coś do czytania albo jakąś robótkę ręczną! Nie chciała drzemać wygodnie na plaży, była przecież zbiegłą niewolnicą.

W każdej chwili groziło jej pojmanie. Gdyby ktoś ją odkrył, zanim sinhá Eulália zdecydowałaby się udzielić jej pomocy, Lua powędrowałaby prosto pod pręgierz. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie przedostać się do São Fidélio. Imaculada mogłaby udzielić jej dobrej rady. Staruszka miała najwyraźniej więcej rozumu i możliwości

działania, niż wszyscy uważali. Mieszkańcy tego okropnego małego quilombo Liberdade wyrażali się o niej z najwyższym uznaniem i zastanawiali się, jak okazać jej wdzięczność za pomoc w ucieczce. Z pewnością Imaculada ucieszyłaby się z wieści o tym, co dzieje się z jej podopiecznymi. Lua postanowiła jednak zostać na razie na plaży. Jeżeli Eulália zdecydowałaby się pomóc swojej dawnej służącej, a nie znalazłaby jej, mogłaby zmienić zdanie.

Mimo to Lua planowała wcześniej czy później odszukać Imaculadę. W pewien sposób czuła się jej bliższa, odkąd na własnej skórze doświadczyła, jak to jest być zdanym wyłącznie na łaskę i niełaskę innych ludzi. Chciała także dowiedzieć się, jak toczyły się dalej losy staruszki, które tak ją kiedyś wciągnęły. Czy brulion nadal leży schowany pod deską? A może odkryto go i za to, że Lua ośmieliła się spisać tę historię, ukarano Imaculadę? Myśl o tym przerażała Luę. Jeszcze gorsza była jednak myśl, że stara kobieta może nie żyć. Już przed miesiącami była przecież przekonana, że jest bliska śmierci. A jeśli miała rację? Jeżeli umarła, nie dowiedziawszy się o sukcesie zbiegów?

O ile Liberdade można nazwać sukcesem. Lua uważała ten eksperyment za zdecydowanie nieudany, ale najwyraźniej była w tym przekonaniu osamotniona. Prawdopodobnie również Imaculada byłaby zdania, że lepiej żyć na wolności w nędzy niż radzić sobie jakoś w niewoli. To mogła być prawda, jeżeli tylko wolność byłaby prawdziwą wolnością. Jednak żyć nieustannie w ukryciu i obawiać się pojmania? Doprawdy, nie tak wyobrażała sobie Lua wolność.

Ach, dość już tych ponurych rozmyślań! Postanowiła zbadać dokładniej swoje otoczenie. Przy odrobinie szczęścia znajdzie jakieś drzewo, którego owocami mogłaby się pokrzepić, może nawet kakaowiec? W dzieciństwie największą przyjemność sprawiało jej wysysanie słodkiego, białego miąższu z nasion kakaowca, a na samo to wspomnienie ślinka nabiegła jej do ust. Niespiesznym krokiem Lua udała się na południe, trzymając się wciąż w cieniu drzew. Pilnowała, by nie przejść po paśmie piasku oświetlonym przez słońce. Piasek palił ją bowiem w stopy jak rozżarzone węgle. Oczywiście, wypatrywała także innych ludzi, ale nie wydawało się prawdopodobne, by ktoś mógł się tu błąkać.

Przeszła kawałek, po czym zawróciła. Tuż przy plaży nie rosło nic oprócz palm kokosowych i gęstych krzewów. Od czasu do czasu widziała pojedyncze drzewa cajú, ale ich owoce jeszcze nie dojrzały. Zastanawiała się, co mogłaby jeść oprócz orzechów kokosowych. Rozmaite dary morza tylko w największej potrzebie spożyłaby na surowo, a nie odważyłaby się ich ugotować, nie opanowała bowiem sztuki rozpalania ognia bez dymu. Rozpalenie zaś dymiącego ogniska nie wchodziło w grę. W mgnieniu oka zjawiliby się ludzie, aby ugasić

rzekomy pożar. Lua wielokrotnie była tego świadkiem w São Fidélio. Gdy tylko wśród roślinności pojawiła się choćby najmniejsza smużka dymu, oddział gaśniczy wyruszał, by zapobiec rozprzestrzenieniu się ognia.

Nie pozostawało jej zatem nic innego niż dalej żywić się orzechami kokosowymi. Odkryła kolejną krzywo rosnącą palmę, na którą łatwo było się wspiąć, i zabrała się do pracy. Gdy zebrała naręcz orzechów, otworzyła je sprawdzonym sposobem i nasyciła się miąższem. Potem usiadła na piasku, oparła się plecami o pień palmy i patrzyła, jak słońce niezwykle powoli przesuwa się po niebie. Rzekomo to Ziemia się poruszała, a Słońce stało nieruchomo na firmamencie, lecz Lua nie mogła w to uwierzyć. Czyż wszyscy nie pospadaliby z Ziemi, gdyby była to kula, która stale się kręci?

Siedziała tak, aż nadciągnęły niewielkie chmury. Było to najciekawsze, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin, i wywołało jej radosne podekscytowanie. Wpatrywała się w obłoki, zafascynowana ich lekkim, eleganckim ruchem i wciąż nowymi kształtami, jakie przybierały. Wyobrażała sobie tu brodatego mężczyznę, tam mysz, gdzie indziej zaś fantazyjny kwiat lub okrągłą rybę. Zabawa ta sprawiała jej przyjemność, dopóki z przerażeniem nie spostrzegła, że chmury coraz bardziej gęstnieją i kłębią się coraz wyżej. Wyglądało na to, że zbliża się burza, a nie miała ochoty doświadczyć jej pod gołym niebem.

Przeżyła już więcej tropikalnych burz, niż mogłaby zliczyć, mimo to nigdy nie pozbyła się lęku przed nimi, wręcz przeciwnie, bo przecież przed kilkoma laty młody pastuch z São Fidélio, naprawdę miły chłopak, zmarł trafiony piorunem. Co jednak miała zrobić na plaży, gdy rozpęta się burza? Wiedziała, że drzewa nie dawały schronienia. W wodzie również nie było bezpiecznie. W zasadzie mogła tylko schować się pod jak najniższym drzewem lub krzakiem i modlić się, by zawierucha minęła tak szybko, jak nadeszła.

To właśnie uczyniła, gdy niebo pokryła groźna ciemność. Przykucnęła pod rozłożystym, kolczastym krzewem, rozwiesiła nad głową płótno, które utworzyło nad jej skulonym ciałem rodzaj namiotu, i odmawiała jedno Ojcze Nasz po drugim. Ciemność otoczyła ją opiekuńczo, a powtarzana modlitwa nieco uspokoiła myśli. Lua usłyszała uderzenia kropli deszczu, potem poczuła metaliczny zapach wilgoci, a wreszcie dobiegł ją odgłos grzmotu. Miała jednak wrażenie, że pod namiotem jest nieco bezpieczniejsza, a gdy grzmoty zaczęły przypominać trzaśnięcia bata i przez zamknięte oczy dostrzegała strzelające błyskawice, kołysała się jak w transie, tam i z powrotem, prawie nie czując strachu.

Metoda zadziałała. Burza przeszła, a Lua przetrwała ją bez szwanku. Powietrze pachniało świeżo i było wyraźnie chłodniejsze. Za

grubymi chmurami, które kłębiły się teraz w pewnym oddaleniu, pojawiło się fioletowoturkusowe niebo, a zachodzące słońce rzucało na nie wspaniałe światło. To było cudowne!

Mniej cudowne było jednak, że Lua dostrzegła nagle jakąś postać, która szła wzdłuż plaży prosto ku niej. Z tej odległości i pod światło nie potrafiła rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta, czarny czy biały. Był to jednak wyraźnie człowiek, a nie na przykład zwierzę, które w burzy zabłąkało się na brzegu. Lua przeklinała własną beztroskę. Wokół „jej" palmy leżały, stały lub wisiały różne rzeczy i choć nie było ich wiele, wystarczały, by przekonać niepożądanego gościa, że przebywał tu jakiś człowiek.

Modliła się do wszystkich świętych, żeby nadchodzącą osobą okazała się sinhazinha, jednak w głębi serca sama w to nie wierzyła. Eulália za nic nie wystawiłaby stopy za próg w czasie tropikalnej burzy, a nie minęło dość czasu, by mogła wyjść z domu później. Casa Grande w Três Marias musiało znajdować się w odległości co najmniej półgodzinnego marszu, w przeciwnym razie widywałoby się tu ludzi.

Najszybciej, jak zdołała, pozbierała manatki i wrzuciła je w zarośla. Sama także wczołgała się tam i ukryła. Prawdopodobieństwo, że ją zauważono, było wysokie, ponieważ wcześniej stała dobrze widoczna w złotym blasku słońca. Serce biło jej jak oszalałe ze zdenerwowania. A jeżeli sinhazinha zmieniła zdanie i posłała kogoś, aby pojmał Luę? Ależ nie! Wtedy na pewno zjawiłoby się wielu mężczyzn. A może był to biedny rybak, którego burza zaskoczyła tak samo jak Luę? Spojrzała przez gałązki, ale nie miała dobrego widoku. Będzie mogła przyjrzeć się nadchodzącej osobie dopiero wtedy, gdy ta znajdzie się naprzeciwko kryjówki. Lua wahała się między chęcią, by pobiec w głąb lądu i tam się ukryć, a pragnieniem, by już nigdy nie opuszczać tego miejsca. Było to niezwykłe wrażenie. Podczas gdy jej nogi dosłownie drżały z napięcia, jakby wkrótce musiały wykonać sprint życia, głowa wobec zbliżającego się zagrożenia była zupełnie pusta i lekka.

Została. Słyszała kroki osoby, która z trudem przemieszczała się po mokrym piasku. W pewnej chwili usłyszała sapanie. A potem... słowa:

– Ty być głupia, głupia dziewczyna!

Lua krzyknęła z ulgą, wyskoczyła z kryjówki, omal nie przewracając Imaculady, gdy podbiegła ją uściskać.

– Imaculada! Skąd wiedziałaś...

– Kasinda! Moje imię Kasinda!

– Tak, tak, Kasinda. Skąd wiedziałaś, że mnie tu znajdziesz?

Staruszka pokręciła z niezadowoleniem głową, jakby Lua zadała zupełnie niewłaściwe pytanie.

– Ty być głupia dziewczyna od głupia senhorita.

Aha. Czyli Eulália w jakiś sposób zadbała, by Ima... Kasinda dowiedziała się o miejscu pobytu Lui. Jak jej się to udało? I w jaki

sposób staruszka zdołała tu tak szybko dotrzeć? Tysiące pytań cisnęły się Lui na usta, ale na widok ponurego wyrazu twarzy Kasindy nie odważyła się odezwać.

– Tutaj, jeść słonina i chleb. – To mówiąc, staruszka wyjęła prowiant z tobołka, który związała z nawoskowanego lnianego płótna.

Otrzymane pożywienie wydało się Lui najbardziej wyszukanymi przysmakami, choć jeszcze niedawno uważała te produkty za codzienne i najzwyczajniejsze pod słońcem. Oprócz słoniny i chleba Kasinda przyniosła suszone kiełbasy, ser i goiabada, twardą galaretkę z guawy. Słowem, czekała ją prawdziwa uczta! Lua zabrała się łapczywie do jedzenia i nie przeszkadzały jej w tym uważne spojrzenia starej kobiety. Dopiero gdy zaspokoiła pierwszy głód, uznała takie przypatrywanie się za uciążliwe i niegrzeczne.

– O co chodzi? Nigdy jeszcze nie widziałaś głodnej kobiety?

– Ty mieć dziecko? – spytała staruszka.

– Oczywiście, że nie mam dzieci, wiesz przecież o tym.

– Ty mieć dziecko w brzuch. – Tym razem nie brzmiało to jak pytanie.

Kasinda nie zostawiła Lui czasu, by zastanowić się nad tym strasznym oznajmieniem ani by odpowiedzieć cokolwiek. W milczeniu i z uśmieszkiem podała jej natomiast brulion i rysik.

35

Moja córka Nzinga pozostała jedynym dzieckiem, jakie urodziłam senhorowi. Rozwijała się wspaniale, ale serce krwawiło mi, gdy tylko na nią spojrzałam. Była zbyt ładna, by jako niewolnica móc prowadzić w tym kraju szczęśliwe życie. Wyobrażałam sobie wszystkie podłości, jakie ją czekają, wstrętnych typów, którzy wyrządzą jej krzywdę. Odmalowywałam to sobie dokładnie i w żaden sposób nie mogłam temu zapobiec. Czasami myślałam, że mojej małej wiodłoby się lepiej, gdybym chowała ją surowiej i już wcześnie przygotowała na to, co miało ją spotkać. Nie potrafiłam jednak się do tego zmusić. Okazywałam jej wiele miłości, nie umiałam inaczej. Całowałam ją i tuliłam, gdy tylko miałam okazję. Co wieczór, zanim zasnęła, gładziłam jej tłuściutkie nóżki i co rano witałam ją łaskotaniem. Piszczała wtedy z rozkoszy i w ogóle była bardzo radosnym dzieckiem.

Każda matka uważa swoje dzieci za najcudowniejsze na świecie, natura tak to już urządziła. Moim zdaniem Nzinga naprawdę jednak była wyjątkowa. Wszyscy niewolnicy cieszyli się na widok mojej córki i nawet biali szczypali ją czasem w policzek lub głaskali po głowie ze śmiesznie odstającymi, sztywnymi warkoczykami, jakie zawsze jej zaplatałam. Była pięknym dzieckiem i miała dar wywoływania uśmiechu u wszystkich ludzi w swoim otoczeniu. Stała się ulubienicą całej fazendy.

Gdy miała około czterech lat, zaczęła naśladować tańce niewolników, które wykonywali co wieczór przed senzalą. Ja sama nie brałam udziału w tym głupawym podskakiwaniu, które nie miało nic wspólnego z tańcami, jakie znałam z mojej ojczyzny. Inni czarni bawili się jednak dobrze i tańczyli wesoło przy muzyce bębenków, grzechotek, fletów i instrumentów strunowych, których nazwy nie znałam. Nzingę fascynował ten spektakl i naśladowała wyzywające poruszanie biodrami przez kobiety tak zręcznie, że zachęcano ją do tego. Dobrze wyczuwała rytm, a ruchy jej stóp były szybkie i pewne.

– Patrzcie tylko na małą Dodo! Ma naprawdę talent! – słyszało się

okrzyki.

Byłam zaniepokojona, a zarazem dumna.

Oczywiście, również w Casa Grande zauważono, jaką utalentowaną tancerką jest moja córka. Pewnego dnia podeszła do mnie senhora we własnej osobie i oznajmiła mi, że chcą, by Dodo wystąpiła przed gośćmi. Przypomniałam sobie nagle straszne dni na statku niewolników, gdy musiałam tańczyć w takt bata, i najwyraźniej widać było po moim wyrazie twarzy, co sądzę o tym pomyśle.

– Nie spoglądaj tak ponuro, Imaculado – rzuciła senhora. – Dziecku się to spodoba i nie stanie się mu nic złego. – Przypatrywała mi się przy tym tak czujnie, że zakiełkowało we mnie podejrzenie, iż wybrała moją Nzingę do tego występu tylko po to, by zemścić się na mnie i na swoim niewiernym mężu. Sama nie miała bowiem dzieci.

Byłam wstrząśnięta tym rozwojem wydarzeń, ale moja mała Nzinga się cieszyła. Lubiła występować przed publicznością, a biali z Casa Grande zawsze byli dla niej mili. Cóż mi zatem pozostało innego jak pozwolić jej zatańczyć? Miałam tylko nadzieję, że w Casa Grande nie oddali się ode mnie jeszcze bardziej, ponieważ już teraz wolała swoje niewolnicze imię, Dodo, niż królewskie afrykańskie imię, które jej nadałam. Mówiła też po portugalsku bez śladu akcentu, a znajomość rodzinnej mowy ograniczała się do kilku słów. Ze strachem obserwowałam ten rozwój wypadków, ale nie mogłam w żaden sposób interweniować.

Występ Nzingi w domu państwa okazał się tak wielkim sukcesem, że postanowili ją tam zatrzymać. W piąte urodziny Dodo oznajmiono mi, że moja córeczka wraz z trojgiem innych dzieci zostanie wychowana w Casa Grande na domową niewolnicę, a w tym celu konieczne jest rozstanie z matką.

– Ale ona jest jeszcze mała! – łkałam.

– Tak, dlatego chcemy już teraz zrobić z niej porządną służącą. Afrykańskie brednie, które jej opowiadasz, by w tym zaszkodziły. – Na twarzy senhory ukazał się wyraz triumfu, gdy ciągnęła: – Poza tym przecież i w Afryce to ojcowie podejmują decyzje. A mówiąc między nami, Dodo jest naprawdę zaskakująco podobna do sinhô Sebastião...

– Nie córki. Córki zostawać z matki w Afryka – ośmieliłam się wtrącić, ale senhora już odeszła, trzymając za rękę moją ukochaną Nzingę.

Mała poszła chętnie. Nie była mądrzejsza niż pies, któremu pod nos podetknie się kość. W jej wypadku kością były ładne stroje i różne przysmaki.

Byłam niepocieszona. Inne niewolnice nie rozumiały, co się ze mną dzieje, ponieważ za największe szczęście matki uważały sytuację, w której dzieci mają szansę na lepszy los niż ona sama. Oczywiście, i dla mnie byłoby to największym szczęściem, gdybym tylko mogła być

pewna, że Nzindze w Casa Grande rzeczywiście wiedzie się lepiej niż przy matce. Miałam jednak wątpliwości. Już na samą myśl o tym, że nikt nie głaszcze jej po brzuszku i nóżkach, łzy napływały mi do oczu, a wyobrażenie, że zimna biała kobieta stanie się bliższa mojemu dziecku niż matka, napawało mnie rozpaczą.

Moje obawy wydawały się jednak nieuzasadnione. W pierwszych miesiącach, które mała spędziła w domu państwa, wszystko przebiegało dobrze. Nzinga była szczęśliwa, że poświęcają jej tyle uwagi, gdy tańczy. Przynajmniej raz dziennie przybiegała do mnie, promieniejąc radością, obejmowała mnie i opowiadała zdyszana o wszystkich ekscytujących rzeczach, jakie widziała i jakich doświadczyła w Casa Grande. Udawałam, że cieszę się razem z nią, ale w rzeczywistości bardzo mnie przygnębiało, że podobają się jej takie bezsensowne przedmioty jak kryształowe żyrandole czy jedwabne rękawiczki senhory. Wszystkie te błyskotki rozbudzały w niej tylko pożądanie, którego później nie będzie mogła zaspokoić.

Nadal pracowałam jako mamka. Zdumiewające, jak długo kobiece piersi mogą dawać pokarm, jeśli tylko je do tego pobudzać. Karmiłam dwa czarne noworodki, których matki tuż po połogu musiały wrócić na pola. Był to wielki przywilej pracować jako mamka, ponieważ dostawałam lepsze pożywienie niż większość niewolników, aby dzieci rosły duże i silne. Pewnego dnia jednak jedno z niemowląt umarło nagle, tak po prostu, w środku nocy. Matka, głupia, nieokrzesana i grubiańska osoba, oszalała z rozpaczy, napadła na mnie wulgarnie i obciążyła winą za śmierć dziecka. Krzyczała, że odprawiałam nad nim afrykańskie czary. Były to oczywiście bzdury, ale im bardziej gorączkowała się ta kobieta, tym większy znajdowała posłuch wśród innych niewolników. Po pewnym czasie złośliwa plotka dotarła do Casa Grande i senhora wezwała mnie do siebie.

– Słyszeliśmy, że z żalu o to, iż wychowujemy twoją małą Dodo, pozwoliłaś umrzeć innemu dziecku...

– Nie, senhora, nieprawda! Inne dziecko słabe, Imaculada niewinna! – zapewniłam. Patrzyła na mnie sceptycznie, ciągnęłam więc: – Imaculada pięć lat dawać mleko, dużo silne dzieci niewolników. Inna Murzynka tylko głupia i nieszczęśliwa, bo dziecko umrzeć.

– Możliwe – odparła senhora. – Mimo to lepiej będzie, jeżeli zatrudnimy inną kobietę jako mamkę. Niewolnicy nie chcą już powierzać tobie dzieci pod opiekę.

Tym samym skończyły się dla mnie stosunkowo dobre czasy w fazendzie. Wysłano mnie do casa da farinha, „domu mąki", gdzie przez cały dzień w nieznośnym upale musieliśmy ubijać korzenie manioku i smażyć papkę na mąkę, co zwłaszcza latem było bardzo męczące. Biedna kobieta, która straciła dziecko, nie dała mi jednak spokoju. Nadal rozpowiadała o mnie złośliwe plotki, między innymi tę,

że zatruwam mąkę czarami, by ściągnąć na wszystkich śmierć.

Tym razem nasi biali właściciele pomimo groźby buntu nie ustąpili. Senhor Sebastião we własnej osobie udał się wreszcie do casa da farinha i w obecności wszystkich spróbował mąki, którą zrobiłam. Poprosił nawet o beijú, tapiokowy placek, i zjadł go z wielkim apetytem. Potem stanął przed zebranymi niewolnikami i wygłosił krótką przemowę:

– Nie życzymy sobie zabobonnych plotek. Imaculada stała się przydatną niewolnicą i wzorowo wykonuje swoją pracę. Możecie brać z niej przykład, zamiast marnować czas na narzekanie na naszą dobrą mąkę.

Potem odszedł, nie zaszczycając mnie ani jednym spojrzeniem. Zapewne zapomniał, że byłam kiedyś jego faworytą. Od tamtej pory zapłodnił wiele dziewcząt, co uważał za swoje prawo.

Jego aktualna wybranka miała czternaście lat i obnosiła się ze swoim dużym brzuchem tak dumnie, jakby była panią fazendy. Współczułam jej. Czuła się lepsza od innych, ponieważ była młoda, ładna i nosiła dziecko fazendeiro. Najwyraźniej uważała, że nie grozi jej los taki jak mój, gdyż zostanie na zawsze młoda i będzie cieszyć się względami senhora. Pewnego dnia, gdy jej piersi obwisną, a dzieci jej odbiorą, pozna prawdę.

Przypomniałam sobie, jaka byłam w wieku czternastu lat – młoda żona Uanhengi, ślepa na uczucia innych, przepełniona dumą i głęboko przekonana o tym, że nie można mnie pokonać. Nie różniłam się wcale od tej dziewczyny. Świadomość, że było to już dobrych dziesięć lat temu, uderzyła mnie z gwałtowną siłą. Miałam dopiero dwadzieścia pięć lat, lecz czułam się jak staruszka! Afryka została gdzieś w niezmierzonej dali, a moje wspomnienia o ojczyźnie coraz bardziej zacierały się z każdym dniem spędzonym w niewoli. Byłam tym wstrząśnięta. Postanowiłam codziennie przywoływać w pamięci co najmniej jeden epizod z dawnego życia, choćby najdrobniejszy. Zaczęłam zapominać Ngolę, a nawet Uanhengę i moje dzieci, co było nierozważne. Z braku słuchaczy nikomu nie opowiadałam mojej historii, choć przecież wcześnie nauczyłam się, jak ważny dla pamięci o przeszłości, a tym samym dla ducha, jest ustny przekaz.

W naszej wiosce był mądry człowiek, który miał tak fenomenalnie wyćwiczoną pamięć, że potrafił wyrecytować całe kroniki rodzinne. Robił to za niewielką opłatą w naturze, ponieważ jego pamięć była pamięcią całej wioski. Wszyscy na nim polegali i o ile wiem, nigdy się nie mylił, choć przedstawiał drzewa rodowe setek ludzi, ciągnące się przez setki lat. Oczywiście, nie znaliśmy wtedy takiego sposobu liczenia lat, jakim posługują się Portugalczycy, których historia zaczyna się od jednej daty, mianowicie dnia narodzin ich rzekomego zbawiciela. U nas jako punkty odniesienia wybierano działania natury

lub niezwykłe wydarzenia. Mówiło się zatem na przykład: „w roku wielkiej powodzi" albo „gdy biali barbarzyńcy po raz pierwszy popłynęli naszą rzeką". Znaczyło to dla nas znacznie więcej niż jakaś liczba.

Tradycja ustnego przekazu, dzięki której mogłabym zapoznać córkę z jej korzeniami, miała zatem umrzeć razem ze mną. Nzinga coraz bardziej mi się wymykała, a ja nie chciałam jej zaszkodzić, opowiadając o zakazanych sprawach w zakazanym języku, co mogłaby przez przypadek komuś wypaplać. Postanowiłam zatem stać się jednocześnie opowiadającą i słuchającą. To bowiem coś zupełnie innego widzieć historię tylko w głowie niż ubierać ją w słowa; dopiero język zmienia rozmyte wspomnienia w opowieść, którą warto zachować.

Od tamtej pory pozostali niewolnicy zaczęli uważać mnie za wariatkę. Widzieli, jak rozmawiam sama z sobą, co stanowiło dodatkową pożywkę dla ich przekonania, że jestem czarownicą. Sądzili, że wypowiadam pod nosem zaklęcia, a ja pozwalałam im w to wierzyć. Jedyna osoba, która mogłaby mnie zrozumieć, ponieważ znała mój ojczysty język, mianowicie moja dawna opiekunka Samba, nosząca niewolnicze imię Jojo, udawała, że mnie nie dostrzega. Być może nie podobało jej się, że tak ją rozczarowałam. Obiecywała sobie znacznie więcej po mnie i moim wpływie na senhora.

Opowiadałam sama sobie historie, jakie chciałabym przekazać Nzindze lub mojemu pierworodnemu Chilali, który musiał już mieć dziesięć lat. W tym wieku zostałby posłany wraz z innymi chłopcami z wioski do pasania kóz, a potem ojciec wtajemniczyłby go w sekretne męskie rytuały. Tłumiłam łzy napływające mi do oczu na wspomnienie naszego spokojnego życia na brzegu Kubango. Postanowiłam przy najbliższej okazji prosić mojego oriszę o szczęście i zdrowie dla mojej rodziny w Afryce, która z pewnością była przekonana, że już dawno znalazłam się wśród przodków. Cóż dałabym za to, by móc przynajmniej przekazać im wieści o sobie! To było jednak niemożliwe.

Istnieli czarni, którym udało się wrócić do Afryki, słyszałam takie pogłoski. Zdarzało się to jednak niezmiernie rzadko, a według mojej wiedzy jeszcze nigdy nie dokonała tego kobieta. Ludzie ci byli Afrykańczykami o wątpliwej moralności, którzy po latach mordęgi kupili sobie wolność, by w starej ojczyźnie wykorzystywać dla zysku swoją znajomość języka portugalskiego i nawyków białych, pracowali bowiem dla handlarzy niewolników. Tak przynajmniej przebąkiwano. Gdybym poznała takiego człowieka, nigdy nie powierzyłabym mu wiadomości dla mojego małżonka czy rodziców. Pobrałby tylko słoną zapłatę za swoje usługi, a potem na pewno nawet nie zajrzał do naszej wioski. Poza tym nie chciałam kierować żadnego czarnego naganiacza w pobliże mojej rodziny. Skoncentrowałam się więc na tym, by nawiązać kontakt z najbliższymi drogą duchową.

Składałam bogini morza ofiary, do których dołączałam sekretne wiadomości, aby dobre prądy zaniosły je aż do naszej wioski. Zapalałam małe ogniska i paliłam w nich mistyczne korzenie, by korzystne wiatry wypowiadane prośby zabrały z dymem do Afryki. To wszystko czyniłam w ukryciu, udając pojętną i zręczną niewolnicę. Musiałam tak robić, ponieważ za nic w świecie nie chciałam ryzykować, iż zabronią mi kontaktów z moją córką tylko dlatego, że buntowałam się lub byłam uparta.

Gdy Nzinga skończyła siedem lat, biali zdążyli już tak ją ukształtować, że zaczęła wstydzić się własnej matki, czyli mnie.

– Zawsze tak dziwnie mówisz – powiedziała, gdy pogratulowałam jej w języku kimbundu. – Ludzie mówią, że jesteś czarownicą. Boję się afrykańskich czarów. Nie chcę, żebyś mnie zaczarowała.

Wymierzyłam jej policzek. W naszym rodzimym języku oznajmiłam:

– Jeśli ktoś obłożył cię klątwą, to biali panowie. Rodziców trzeba szanować i czcić. Kto tego nie robi, tego później nawiedzają złe duchy.

Wyrwała mi się i pobiegła z płaczem do Casa Grande.

Byłam nie mniej wstrząśnięta niż moja córka całym tym zajściem, choć mogłam je przecież przewidzieć. Na tym polegała najbardziej wyrafinowana i najpewniejsza metoda białych, by nas zniewolić. Jeszcze gorsze od nieludzkiej pracy było bowiem rozdzielanie rodzin, co doprowadzało nas do rozpaczy i pozbawiało chęci do życia.

Nie pozwalałam jednak złamać swej woli życia. Trwałam przy skromnej nadziei, że córce będzie wiodło się lepiej niż mnie i że przynajmniej czasami będę mogła ją widywać. To było więcej, niż w wypadku innych czarnych matek, którym niekiedy odbierano wszystkie dzieci i sprzedawano do odległej fazendy.

Potem, pewnego dnia, zdarzyło się coś tak nieoczekiwanego, że przywróciło moją wiarę w niespodziewane zrządzenia losu. Do naszej fazendy przybył nowy niewolnik. Biali ochrzcili go Luís Inácio, co niewolnicy od razu zmienili na Lula.

Znałam go. Zdarzyło mi się już nawet z nim tańczyć.

36

Lua odłożyła rysik. Powoli stawało się za ciemno, by pisać.

– Musisz już wracać, Kasindo – powiedziała do starej niewolnicy. – W przeciwnym razie nie odnajdziesz po nocy drogi do domu.

Kasinda prychnęła urażona, jakby wędrówki po ciemku były czymś, z czym potrafi sobie z łatwością poradzić.

– A może i ty uciekłaś? – spytała Lua z niedowierzaniem. Myśl ta zaniepokoiła ją. Jeżeli bowiem musiałaby troszczyć się teraz nie tylko o siebie, ale także o tę staruszkę, prawdopodobnie oznaczałoby to jej koniec.

Stara pokręciła głową i parsknęła gniewnie, jakby Lua posądziła ją o ciężki grzech.

– Kasinda nie uciekać. Kasinda umierać.

– Nie wyglądasz na umierającą. Właściwie jesteś bardzo sprawna jak na swój wiek. Powiedz jednak, jak to się stało, że się tu znalazłaś.

– Głupia senhorita opowiedzieć woźnica José, że potrzeba koce, jedzenie, koń wcześnie rano. Kasinda ukryć w stajni José. Wszystko słyszeć, wszystko wiedzieć.

– A co robił José w Três Marias?

– Jeździć prawie każdy dzień. Przywozić listy od senhora dla senhorita i od senhorita dla senhora. Sinhô nie wiedzieć.

Aha – pomyślała Lua. Matka i córka potajemnie przesyłały sobie zatem wiadomości, które przekazywał woźnica. Kasinda zaś korzystała z okazji, by jeździć z José do sąsiedniej fazendy. Ani dom Felipe, ani nikt inny nie zwracał uwagi na nieobecność staruszki. Nie budziło także zdziwienia, że José stale wyjeżdża, aby załatwiać sprawunki dla dony Ines. Czy w ten sposób Kasinda zdołała przekazać wiadomość innym uciekinierom, którzy znaleźli schronienie w Liberdade? Czy wykorzystywała dobroduszność José – oraz to, że był w niej zakochany – aby pomóc Zé w realizacji jego marzenia? Było to możliwe, ale wymagało wiele śmiałości.

– Nie musisz wracać z José do São Fidélio?

Kasinda uśmiechnęła się krzywo.

– Burza bardzo silna. José musieć spać w Três Marias.

No, no. Kasinda zostanie zatem na noc. Prawdopodobnie nawet to nie zwróci niczyjej uwagi. Cowieczornego liczenia niewolników w senzali nie przeprowadzano przecież bardzo dokładnie.

– Zostaniesz ze mną tu, na plaży? – dopytywała się Lua. Nie była pewna, czy powinna cieszyć się z nieoczekiwanego towarzystwa, bo nie była już sama, czy raczej przeklinać je, gdyż przez całą noc będzie wysłuchiwać przygnębiającej historii Kasindy.

– Och, nie! – zawołała Kasinda. – Ty zostać, ja wracać. Nie bać się nocy.

– Proszę, zostań! – usłyszała swoje błaganie Lua, jeszcze zanim zdołała zastanowić się nad tym nagłym posunięciem, które zdradzało jej prawdziwe uczucia. Jednak gdy już wypowiedziała prośbę, zrozumiała, że nie zniosłaby, gdyby musiała spędzić noc samotnie na plaży. Wolała godzinami słuchać opowieści Kasindy, niż do bladego świtu rozmyślać nad własnym losem. Stopniowo bowiem do jej świadomości przenikało to, co powiedziała Kasinda, gdy się zjawiła – że Lua oczekuje dziecka. Chwilowo nie miało znaczenia, czy była to prawda. Lua i tak rozmyślałaby nad tym dłużej, niż było dla niej dobre. Potrzebowała odwrócenia uwagi.

– Ty tu bezpieczna. Jeść, potem spać. Jutro przyjść głupia senhorita.

– Nie nazywaj jej głupią senhoritą! – naskoczyła Lua na staruszkę. – Sinhá Eulália to moja jedyna szansa ratunku. Choć sprawia może wrażenie niemądrej, w głębi serca jest dobrym człowiekiem!

Kasinda pokiwała głową, uśmiechając się łagodnie, a potem wstała. Poruszała się tak gibko, że Lua przez chwilę wyobrażała ją sobie jako młodą kobietę. Na ogół trudno było skojarzyć bohaterkę opowieści ze staruszką, którą widziała przed sobą, ale tym razem dostrzegła jej cień, choć chwila ta szybko minęła.

– Ty dobry sen! – życzyła Kasinda, a potem znikła w wieczornym mroku.

Dobry sen, doprawdy! Skąd niby miał nadejść? Najpierw Kasinda zaskoczyła Luę oznajmieniem, że uważa ją za ciężarną, a potem opowiadała straszne historie o tym, co przydarzyło się jej małej córce. Jak można po czymś takim zasnąć spokojnie i mieć przyjemne sny? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej się denerwowała. Musiała położyć kres opowieściom z przeszłości. Dramatyczne przeżycia Kasindy szkodziły jej i zakłócały spokój duszy. Szkodziły też dziecku, które nosiła pod sercem.

Dziecku?

Och, nie! W tej kwestii staruszka na pewno się myliła. Lua nie chciała jej wierzyć. A może w głębi ducha już uwierzyła? Przesunęła dłonią po brzuchu, jakby dotykiem mogła stwierdzić, czy znajduje się

w nim żywa istota. Nie wyczuła jednak niczego, ani też nie ogarnęło jej macierzyńskie uczucie. W zasadzie nie czuła nic. Czy to dobrze, czy źle? Jeżeli, wbrew swojemu przekonaniu, spodziewa się jednak dziecka, to czy ta pustka, jaka ją wypełniała, mu nie zaszkodzi? Czy powinna je kochać już od pierwszej chwili, od poczęcia?

Lua dobrze pamiętała noc, gdy mogło się to zdarzyć. Dlaczego była wtedy taka odpychająca? Teraz, gdy prawdopodobnie miała już nigdy nie zobaczyć Zé, nieskończenie go jej brakowało. Tęskniła za jego objęciami i pocałunkami, za jego siłą i optymizmem. To te cechy czyniły z niego urodzonego przywódcę, w którego obecności nikt się nie lękał i nie tchórzył. Gdyby Zé siedział teraz obok niej, potrafiłaby cieszyć się rozgwieżdżoną nocą, cichym szumem fal i szeptem palmowych liści. Ach, Zé! Zaczęła płakać.

Musiała zasnąć, płacząc, ponieważ gdy otworzyła oczy, nocne niebo przybrało już niebieskofioletowy odcień. Latem w rejonie Bahia słońce wstawało bardzo wcześnie, więc Lua oceniła, że musi być około piątej rano. Spała głęboko i mocno, a życzenia Kasindy w sprawie dobrego snu sprawdziły się, choć Lua nie potrafiła sobie przypomnieć, co właściwie jej się śniło. Było to jednak przyjemne i zostawiło po sobie miłe uczucie.

Potrzebowała chwili, by powrócić do rzeczywistości. Znajdowała się na bezludnej plaży, siedziała samotna i nieszczęśliwa na drobnym piasku, a na jej dobytek składały się tylko obszarpana odzież i cienka płachta do osłony ciała. Czuła się jak rozbitek statku, przy czym ten ucieszyłby się na widok ludzi, ponieważ nieśliby mu pomoc. Lua natomiast musiała w każdym człowieku widzieć wroga.

Umyła się w morzu, co teraz, gdy nastąpił przypływ, było nieco uciążliwe. Skały przykryła woda, więc aby dotrzeć do naturalnego basenu, trzeba było iść po kamieniach. Te okazały się śliskie i o ostrych brzegach. Lua zrezygnowała więc z zamierzeń, ponieważ obawiała się, że mogłaby upaść, a nawet utonąć. Przyklękła tylko na brzegu i nabrała wody w dłonie. Plaża skurczyła się do bardzo wąskiego pasa, który wcale nie przypominał wspaniałej, rozległej scenerii z czasu odpływu. Luę nieco przygnębiało, że jej wolność została znowu ograniczona.

Wspięła się na palmę, by zdobyć orzechy kokosowe. Gdy je otworzyła, zasiadła do śniadania. Z wielkim apetytem spożyła resztę smakołyków, które przyniosła Kasinda. Modliła się, by okazało się prawdą, że sinhá Eulália odwiedzi ją wkrótce, najlepiej obładowana przysmakami z Casa Grande. Trwało to co prawda długo, ale wreszcie istotnie nadeszła.

Po marszu po piasku, który tuż za linią roślinności stawał się suchy i miękki, Eulália była spocona i zdyszana. Jej twarz promieniała jednak zachwytem. Przypominała małą dziewczynkę, której udało się

spłatać psikusa dorosłym, co w rzeczy samej odpowiadało prawdzie.

– Jezusie, Maryjo! – jęknęła. – Nawet wczesnym rankiem jest za gorąco na takie eskapady. W dodatku ten głupi przypływ! Miękki piasek wygląda ładnie, ale nie wtedy, gdy trzeba po nim brnąć! Do tego z tymi wszystkimi pakunkami! – To mówiąc, upuściła na ziemię wielki tobół, który niosła wcześniej na plecach, z końcami przerzuconymi przez ramię.

Lua niezbyt jej współczuła. Dawna pani mogła przecież spytać o jej samopoczucie, bo ona pokonała znacznie dłuższą drogę i w dodatku samotnie spędziła noc pod gołym niebem. Powiedziała jednak:

– Tak mi przykro! Proszę usiąść, sinhazinha, wymasuję panience stopy.

Eulália posłuchała po pewnym wahaniu, jakby miała opory przed pozwoleniem Lui na wykonywanie tej czynności. Młodej Mulatce wydało się to dziwne, ponieważ dawniej jej pani nigdy nie miała takich skrupułów. Wreszcie jednak Eulália wyciągnęła stopę, a Lua położyła ją sobie na kolanach i zaczęła delikatnie ugniatać.

– Nie chcesz najpierw czegoś zjeść? – spytała Eulália, jakby nagle przypomniała sobie, że przyszła na ratunek Lui, a nie dla własnych wygód.

– Nie, dziękuję, sinhazinha. Już jadłam.

– Ale zobacz tylko, co udało mi się zdobyć. – Odwróciła się, by sięgnąć po tobołek, przy czym jej stopa zsunęła się niemal z kolan Lui. Widać było, że Eulália jest dumna ze swojego dokonania i spragniona pochwał. – Proszę, kawa i cukier! Fasola, farinha i ryż! I... O co chodzi? Dlaczego masz taką nieszczęśliwą minę?

– To cudownie, że zdołała panienka przynieść te rzeczy. Proszę nie zrozumieć mnie źle, sinhazinha, ale jak mam to przygotować? Bez garnka, bez słodkiej wody, bez możliwości rozpalenia ognia?

Eulália wpatrywała się w Luę osłupiała.

– Jeszcze narzekasz?!

– Nie, sinhazinha, chodzi tylko o to, że...

– Może moi rodzice mają jednak rację i wszyscy jesteście tylko gromadą rozpuszczonych dzieciuchów. Naprawdę spodziewałam się czego innego. – Po tych słowach wybuchła łzami.

Płakała przez pół godziny tak gwałtownie, że trudno było zrozumieć strzępki zdań, które wyrzucała z siebie pomiędzy szlochami. Lua zrozumiała jednak, że ubiegłej nocy mąż potraktował ją bardzo szorstko, a rano teściowie poddali poniżającemu przesłuchaniu, żeby wybadać, dokąd to wybiera się o tak niesłychanej porze.

– Najważniejsze, by jak najdalej od was! – odparła bezczelnie i wybiegła z domu, goniona krzykami teściowej, że jej niewłaściwe zachowanie będzie miało konsekwencje.

– Niewłaściwe zachowanie, Lua! Jestem przez nich pouczana jak

dziecko przez nauczyciela.

– Cii, sinhazinha – szeptała Lua i kołysała ją w ramionach. – Wszystko będzie dobrze.

Sama jednak w to nie wierzyła. Niepokoiło ją, że sinhá wyruszała na wycieczki tak jawnie. Kiedyś ktoś uda się za nią i wtedy niechybnie znajdzie także Luę. Suchego piasku, po którym trzeba było przejść podczas przypływu, nigdy nie obmywała woda, a ślady utrzymywały się na nim w nieskończoność. Ze względu na długość całego odcinka zacieranie ich nie miałoby sensu, nie mówiąc już o tym, że nieudolnie zatarte ślady byłyby równie zdradzieckie.

Eulália pochlipywała i narzekała dalej:

– Lua, dłużej tego nie wytrzymam! Najchętniej obozowałabym razem z tobą tu, na plaży, tylko my dwie, bez uciążliwych teściów i mężów. Codziennie brałybyśmy odświeżającą kąpiel w morzu, podczas odpływu chodziłybyśmy na miłe spacery i żywiłybyśmy się tym, co daje natura.

– Orzechami kokosowymi i surowymi rybami – podpowiedziała Lua, ale jej rozmówczyni nie zastanawiała się nad tym.

– À propos! – zawołała entuzjastycznie. – Przyniosłam też miodowe cukierki i doce de leite!

Zabrały się do słodyczy, jakby od tygodni nic nie jadły, a Eulália z wypchanymi policzkami opowiadała, co wydarzyło się w São Fidélio i w Três Marias podczas nieobecności Lui. Paplała bez tchu, tak samo jak wcześniej płakała, bezładnie i rozwlekle. Choć opowieść nie zawierała wiele treści, powiedziała jednak Lui dużo o stanie ducha Eulálii – jej pani była głęboko nieszczęśliwa.

– Carlos przedstawił nam swoją narzeczoną, wyobraź sobie. Nie wiedziałam nawet, że stara się o czyjąś rękę, to było zupełne zaskoczenie. No cóż, może ta dziewczyna go okiełzna, bo on prowadzi w Salvadorze niezdrowy tryb życia, to widać. Utył i ma na ciele dziwne czerwone plamy. Moi rodzice byli bardzo ujęci tą młodą kobietą, która jest dość niepozorna i wcale nie w typie Carlosa. Manuel od razu powiedział, że ciekawy jest w niej tylko posag. To typowe dla mojego małego braciszka, nie potrafi myśleć o niczym innym niż o pieniądzach. No cóż, właściwie nie jest już taki mały. Komu to jednak mówię? Znasz go przecież. W ciągu tych kilku tygodni, gdy cię nie było, nie zdążył dużo urosnąć. Mój ojciec o mało go nie spoliczkował za tę bezczelną uwagę, ale jakoś się powstrzymał. Za to Lulu dostał porządne cięgi, bo przyłapano go na podsłuchiwaniu. Ojciec wytargał go za uszy, dosłownie, bo na lewym uchu Lulu ma pęknięty płatek. Ryczał, jakby go obdzierali ze skóry, więc żeby wreszcie przestał, i Fernanda mu przyłożyła. To było brutalne, ale podziałało. Głupi chłopak zasłużył na jedno i na drugie. Nie mogę go znieść. Chcieli ofiarować mi Lulu jako prezent ślubny, ale zdołałam temu zapobiec. Ach, Lua, jak bardzo chciałabym zabrać cię do Três Marias! O ile

łatwiej byłoby tam żyć, gdybym miała przyjaciółkę! Po nocy poślubnej nie miałam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć, a wierz mi, potrzebowałam wtedy wypłakać się na czyimś ramieniu. To było okropne. Komu to jednak mówię? Sama już przecież oddałaś się jakiemuś mężczyźnie, prawda?

Popatrzyła na Luę oczekująco. Ta nie wiedziała, czy Eulália naprawdę uważa, że Lua jest w nastroju do zwierzania się z intymnych przeżyć. Nagle zrobiło się jej czarno przed oczami i usłyszała głos Eulálii jakby z oddali. Zdołała jeszcze wstać i przejść kilka kroków w krzaki, gdzie zwymiotowała wstrętną papkę. Od razu poczuła się lepiej. Wstydziła się bardzo, że w obecności sinhazinhy musiała wykonać tak wstrętną czynność, ale przecież nie mogła już tego cofnąć.

– To chyba te słodycze – usprawiedliwiała się. – Od tygodni nie jadłam cukru.

– Może zrobiło ci się niedobrze od mojej opowieści? – spytała Eulália uszczypliwie.

Lua, zawstydzona, opuściła wzrok.

– Przepraszam, sinhazinha.

– Jesteś w odmiennym stanie?

– Słucham?

– Dobrze mnie zrozumiałaś. A więc jesteś czy nie?

– Nie wiem – przyznała Lua i zrobiła nieszczęśliwą minę. – To... to możliwe.

Sinhazinha znowu się rozpłakała.

– To takie niesprawiedliwe! Ja jestem podglądana i szpiegowana, mam przepisaną specjalną dietę i zasypują mnie dobrymi radami, co noc pozwalam temu zwierzęciu Ruiemu Albertowi leżeć ze sobą, ale nic się nie dzieje. A wam, Murzynom, udaje się za pierwszym razem.

– Wiele bym dała, żeby było odwrotnie – odparła Lua. – W moim obecnym położeniu ciąża nie jest pożądana.

Eulália spojrzała na Luę z mieszaniną zazdrości i przerażenia.

– Och, wybacz mi, Lua. Czasami jestem taka bezmyślna. A więc na czym to stanęłyśmy? Chyba na tej okropnej kucharce z Três Marias, która...

Lua słuchała jednym uchem, gdy sinhazinha ciągnęła swą opowieść. Błahostkom nadawała tę samą wagę co naprawdę ciekawym wiadomościom, rozwodziła się w nieskończoność nad niepoprawnym słowem, którego użył teść, i pospiesznie kwitowała sprawy, które mogłyby zainteresować Luę, na przykład fakt, że o Fernandę stara się wolny Murzyn z miasta, zajmujący się ostrzeniem nożyc i naprawianiem garnków.

– A gdzie go poznała? – przerwała Lua.

Eulália odparła szorstko:

– Skąd mam wiedzieć? Przypuszczam, że na jednej z tych waszych murzyńskich potańcówek w São Fidélio. No cóż, ale właśnie chciałam ci opowiedzieć to, co powiedziałam potem do Florindy, mianowicie że ten niebieski kapelusz...

Lua masowała stopy Eulálii, a ta paplała i paplała. Wydawało się, jakby pękła w niej jakaś tama, jakby wszystko to trzymała w sobie nieskończenie długo, a teraz, gdy mogła rozmawiać swobodnie, po prostu słowa same z niej wytryskały, śmieszne i tragiczne, wzniosłe i niskie w jednym zdaniu. Lua zmusiła się do cierpliwości i wyrozumiałości. Być może i ona gadałaby bez ustanku, gdyby tylko znalazła słuchacza.

Nie miała jednak nikogo. W przypływie lekkiego żalu nad sobą łzy nabiegły jej do oczu, otarła je więc ukradkiem i celowo niedbałym gestem, jakby jakieś ziarnko piasku lub owad wpadł jej do oka.

– Nie było to aż tak straszne – usłyszała sinhazinhę. – Widzę jednak, że moje towarzystwo nie sprawia ci przyjemności.

Lua, zmęczona, pokręciła głową. Być może za długo musiała wysłuchiwać Kasindy i Eulálii. Kim była, że wszyscy odsłaniali przed nią serca? Czy ludzie uważali, że otwartość Lui na opisywane cierpienia jest nieograniczona? No cóż, nie chciała być jednak niesprawiedliwa, a Eulália nie mogła wiedzieć o historii Kasindy. Było także dość pochlebne, że czarni i biali traktowali Luę jako osobę godną zaufania i powierzali jej swoje tajemnice, problemy i smutki.

– Po prostu chwilowo mam tyle spraw na głowie – odparła Lua słabo. – Moja przyszłość jest niepewna i...

– ...przyszłość twojego dziecka też – dodała Eulália.

– Ach! – krzyknęła Lua zdenerwowana. – Nie wiem nawet, czy na pewno spodziewam się dziecka. Może naprawdę poczułam się źle, bo odwykłam od cukru.

– Tak czy siak muszę już iść. Żebyś jednak nie uważała mnie za egoistyczną plotkarę, zbyt głupią, żeby zapakować przydatne rzeczy, spójrz, co jeszcze ci przyniosłam. – Eulália sięgnęła do tobołka, który zwisał teraz prawie pusty, i wyłowiła ostatni przedmiot.

Puls Lui wyraźnie przyspieszył, gdy zobaczyła, że jest to książka.

– Pomyślałam, że tej na pewno jeszcze nie znasz – powiedziała Eulália, odwróciła się i odeszła.

37

Lula, jak nazywali nowego niewolnika, był tym samym mężczyzną, który na statku musiał tańczyć ze mną w takt bicza. To on patrzył na mnie z nienawiścią po tym upokarzającym przedstawieniu i w ten sposób rozbudził we mnie gniew, a wraz z nim wolę przetrwania. W zasadzie zawdzięczałam mu życie.

Poznałam go od razu, choć w ciągu tych ośmiu lat, gdy żyliśmy w niewoli, bardzo się postarzał. Ponieważ zapędzono go z targu niewolników do fazendy w łańcuchach, ubranego tylko w proste lniane spodnie, zobaczyłam na jego odsłoniętym tułowiu straszne pasy, których wcześniej nie miał. Musiał być chłostany mnóstwo razy. Był chudy, ale muskularny, a jego twarz poryły bruzdy zgorzknienia. Kąciki ust zwisały mocno w dół, lecz oczy błyszczały gniewem, który wciąż pamiętałam.

Również on od razu mnie poznał. Skinęliśmy sobie niezauważenie głowami, aby nikt tego nie dostrzegł. Zrodziło się między nami milczące porozumienie, rodzaj tajnego paktu, choć nie zamieniliśmy ani słowa. Lata niewoli zbliżyły nas bardziej, niż mogła to sprawić dręcząca ciasnota na statku wiozącym niewolników. Gdy odebrano nam nasze imiona, nasz język, nasze obyczaje i naszą przeszłość, spotkaliśmy wreszcie inną osobę pochodzącą z Afryki, kogoś, kto rozumiał poniżenia życia w niewoli lepiej niż wszyscy brazylijscy niewolnicy, którzy nigdy nie zaznali wolności.

Minęło kilka tygodni, nim wreszcie miałam okazję porozmawiać z Lulą w cztery oczy. Nie było to łatwe, ponieważ mówił innym dialektem niż ja, ale mimo wszystko zdołaliśmy się porozumieć.

Jego prawdziwe imię brzmiało Muhongo. Żył na wybrzeżu i był rybakiem. Łowcy ludzi schwycili go, gdy pewnego wieczoru wracał łodzią później niż pozostali, ponieważ zasnął na morzu. Nadal przeklinał się za ową niewinną drzemkę. Muhongo opowiedział mi także w prostych, ale poruszających słowach, że podejmował niezliczone próby ucieczki, ponieważ uważał, iż umiejętność pływania

i sterowania łodzią zapewni mu niezbędną przewagę. Biali mieli jednak broń palną, z której mogli trafić do celu ze znacznie większej odległości niż za pomocą najlepszej nawet afrykańskiej dzidy. Dysponowali także szybkimi łodziami oraz skuteczną siecią punktów strażniczych. Na pobliskich wyspach założyli forty, których nie dało się ominąć niezauważenie. Dlatego też Muhongo zawsze zostawał schwytany.

Bardzo mu współczułam, ale nie dałam tego po sobie poznać. Afrykańczycy to dumni ludzie i nic nie uraża ich dumy bardziej niż współczucie. Także Muhongo próbował ukryć swoje emocje, gdy opisałam mu w skrócie własne przeżycia i pokazałam z daleka moją słodką córkę o zdradziecko jasnobrązowej skórze. Dla Afrykanki uchodziło za wielką hańbę urodzenie dziecka białego przestępcy. Również Muhongo nauczył się jednak stosować w niewoli inne miary niż w ojczyźnie. Wiedział, że nie byłam winna swego losu.

Czułam pociąg do Muhongo. Nie wiem, czy żywiłabym wobec niego te uczucia, gdybyśmy spotkali się w mniej tragicznych okolicznościach. Być może moja sympatia do niego wynikała jedynie z pragnienia, by mieć przy sobie kogoś o podobnym światopoglądzie, towarzysza, który tak samo jak ja odczuwał uprzedzenia Brazylijczyków wobec ludzi pochodzących z Afryki. W każdym razie cudownie było porozmawiać wreszcie o wszystkim i nie znosić złośliwych spojrzeń, w dodatku w naszych dialektach, tak do siebie zbliżonych. Czułam nieopisaną ulgę, że także Muhongo uważał wiele zwyczajów białych za śmieszne, ich ubrania za głupie, język za wstrętny, a religię za odpychającą. Po tym, jak przez lata wszyscy wyśmiewali mnie, gdy lekceważąco wyrażałam się o takich rzeczach jak złote domowe ołtarzyki, zaczęłam już niemal wątpić w samą siebie. Teraz jednak znalazłam pokrewną duszę.

Spędziliśmy wiele wieczorów, dzieląc się ze sobą obserwacjami. Ignorowaliśmy fakt, że tak częste spotkania sam na sam nie były zgodne z afrykańskimi obyczajami. W niewoli obowiązywały inne prawa niż w domu, gdzie mężczyzna i kobieta, którzy nie byli małżeństwem, w żadnym wypadku nie mogli tak długo przebywać razem. Pod tym względem prawa białych były bardzo bliskie naszym. Opisałam Muhongo epizod, gdy zabiłam na polu węża, przed którym wszyscy uciekli przestraszeni, a on przedstawił bardzo podobną sytuację, kiedy to gołymi rękoma uśmiercił krokodyla, którego inni ośmielali się dotknąć tylko kijem. Śmialiśmy się serdecznie z białych tchórzy i zniewieściałych Murzynów, wypierających się swoich afrykańskich korzeni. Jeszcze bardziej bawiły nas jednak śmieszne rytuały, jakie odprawiali na swoich mszach, choć pozostawały w sprzeczności z ich własnymi poglądami. Zjadali kawałek chleba, który ofiarowano im jako „ciało Chrystusa", ale zarazem pogardzali

indiańskimi plemionami kanibali. Czcili mężczyznę, który nauczał o ubóstwie, ale dekorowali swoje kaplice i kościoły wspanialej niż pałace. Uczyli nas, że cielesne zespolenie mężczyzny i kobiety powinno odbywać się tylko w ramach uświęconej instytucji małżeństwa, ale wzruszali ramionami na to, że zasada ta nie dotyczyła właściciela fazendy i jego synów. Najbardziej absurdalna wydawała się jednak Muhongo i mnie spowiedź. Jeżeli popełniło się grzech, wystarczyło tylko opowiedzieć o nim, i już wielki, łaskawy, łagodny Bóg wszystko wybaczał. Nie dodawano jednak, że zależnie od wagi przewinienia wkrótce spadał na winnego bat senhora.

Wiele rzeczy, które początkowo wydawały nam się śmieszne, po długich latach w niewoli zaczęliśmy jednak uważać za mniej lub bardziej zwyczajne. Należały do nich stroje białych – dziwne kapelusze, które ich oszpecały, i niewygodne buty, nieodpowiednie na upalną pogodę. Tak bardzo przywykliśmy do tego widoku, że nie wydawało nam się nawet śmieszne, iż mężczyzna nosi trójkątny kapelusz z pawimi piórami, a kobieta gorset, w którym nie może oddychać.

Muhongo i ja musieliśmy także przyznać, że wiele naszych własnych zwyczajów, za którymi początkowo bardzo tęskniliśmy, porzuciliśmy w końcu w wyniku okoliczności i nie odczuwaliśmy specjalnie ich braku. O ile w pierwszych dniach niewoli wierzyliśmy jeszcze, że nie poradzimy sobie bez naszych amuletów, teraz wiedzieliśmy, że łatwo można się bez nich obejść, jeśli zdobędzie się kilka zastępczych akcesoriów. Początkowo rozpaczaliśmy z powodu przytłaczającej ciasnoty senzali, nauczyliśmy się jednak, że człowiek nie potrzebuje dla przeżycia wspaniałego widoku wschodu słońca nad sawanną lub nad oceanem, lecz zadowoli się także ćwierkaniem kilku ptaków czy zapachem kwiatów. Choć przed kilkoma laty byliśmy przekonani, że bez naszych rodzin będziemy czuć się żałośnie, teraz przekonaliśmy się, że potrafimy dać sobie nawzajem niemal tyle samo wsparcia, ile dawała rodzina.

Zostaliśmy kochankami. Pozostali niewolnicy kręcili na to nosem, ponieważ nas nie rozumieli. Już wcześniej trzymaliśmy się na uboczu, ale jako para, która nagle przestała ukrywać swą odmienność, tylko okazywała ją z dumą, znaleźliśmy się poza nawiasem społeczności niewolników. Muhongo i ja nie mieliśmy przed sobą tajemnic, a poczucie wstydu straciliśmy tego dnia, gdy marynarze na statku kazali nam tańczyć. Wstydziliśmy się tylko naszych portugalskich imion, choć nie mogliśmy nic na to poradzić. Gdy ktoś w obecności Muhongo zawołał na mnie „Imaculada", w duchu kuliłam się z upokorzenia, a po spojrzeniach Muhongo widziałam, że czuł się podobnie, gdy wołano na niego „Lula". Nie były to imiona dumnych, wolnych ludzi. Biali mogliby tak nazwać swoje zwierzęta – to kolejna rzecz, z której zaśmiewaliśmy się z Muhongo do łez. Jak można było

nadawać imię królikowi czy krowie?

Moja córka nie widziała w tym nic dziwnego. Należała do pierwszych osób, które oglądały nowo narodzone cielątko lub szczenię i dobierały mu imię.

– Patrz tylko, ma nogi białe do kolan – powiedziała kiedyś do mnie podekscytowana Nzinga, gdy urodziło się źrebię. – Powinniśmy nazwać je Botinhas, „Bucik".

O tym, jak duży był jej wpływ w Casa Grande, świadczył fakt, że źrebię rzeczywiście otrzymało imię Botinhas. Miało, niestety, jakąś wrodzoną wadę, której niewprawna osoba nie mogła rozpoznać, więc bardzo szybko zostało sprzedane. Moja córka była niepocieszona, a ja, bez większego zastanowienia, uznałam, że muszę wbić jej do głowy straszną prawdę:

– Z tobą zrobią to samo, jeśli nie będziesz rozwijać się tak, jak im się spodoba.

Jej odpowiedź wstrząsnęła mną jednak bardziej, niż przeraziły mnie własne nieprzemyślane słowa.

– No i co z tego? Jestem ich własnością, mogą ze mną robić, co chcą. – I odbiegła z płaczem.

W głębi ducha Nzinga podejrzewała już może, że tak właśnie się stanie.

Początkowo nasze życie przebiegało stosunkowo spokojnie. Muhongo i mnie pozwolono się pobrać. Była to prosta ceremonia, która nic nie znaczyła, ponieważ w każdej chwili i tak mogli nas rozdzielić. W senzali nie odbyła się uroczystość, jak przy ślubach innych niewolników, ponieważ nie mieliśmy wśród Brazylijczyków wielu przyjaciół. Przyszła jedynie moja córka, by nam pogratulować, choć opornie. Widać było, że to senhora kazała jej być uprzejmą i grzecznie złożyć najlepsze życzenia. Mimo to byłam wzruszona i podziękowałam jej:

– Jak to miło z twojej strony, Nzinga.

Na to wybuchła płaczem.

– Mam na imię Dodo! Dlaczego zawsze musisz zawstydzać mnie tymi afrykańskimi bzdurami? A teraz jeszcze poślubiłaś dzikusa... Wstydzę się, że jestem twoją córką!

Strasznie było usłyszeć te słowa. Czy jednak mogłam mieć jej to za złe? To biali mieli moją małą na sumieniu. Złamali jej ducha i pozbawili szacunku dla własnych korzeni. Muhongo, który zauważył moje wzburzenie, otoczył mnie opiekuńczo ramieniem i powiedział łagodnie do mojej córki:

– Ty mieć tylko jedna matka.

Wiedziałam, że chciał załagodzić sytuację, ale skutek był druzgocący. Nzinga rozpłakała się jeszcze głośniej i wykrzyczała:

– Nie umiecie nawet poprawnie mówić! – Odbiegła z powrotem do

złudnej serdeczności swoich białych państwa.

Niecały rok później znów zostałam matką. Muhongo i ja nazwaliśmy naszego syna Uanhenga, po moim pierwszym mężu i dziadku Muhongo. Oficjalnie chłopiec nosił oczywiście inne imię, José Alberto, a Brazylijczycy ze swoim głupim nawykiem przekręcania wszystkim imion, wołali go Betinho. Był to dziarski chłopiec, smoliście czarny jak jego ojciec i ja, zdrowy jak ryba i obdarzony silnym głosem, przez który wraz z pozostałymi mieszkańcami senzali odchodziliśmy niemal od zmysłów. Muhongo i ja bardzo go kochaliśmy. Tym razem to ja musiałam oddać dziecko do karmienia innej kobiecie, by pracować. Mamką okazała się owa dziewczyna, która jeszcze niedawno była faworytą senhora i tak bardzo zadzierała nosa. Nasz „właściciel" odprawił ją szybciej niż inne wcześniej, bo z upływem lat i wiotczeniem policzków coraz częściej brał sobie nowe niewolnice, coraz młodsze.

Nzinga miała jedenaście lat, gdy zauważalne stały się u niej pierwsze kobiece krągłości. Niezwykle się o nią martwiłam, pocieszałam się jednak myślą, że senhor jest jej biologicznym ojcem, a więc nie targnie się na własną córkę. Nie zrobił tego. Uczynił jednak coś znacznie gorszego.

Pewnego dnia odwiedził go przyjaciel z czasów studenckich. Obaj mężczyźni rozmawiali do późnej nocy, pili i zaczęli grać. Im bardziej się upijali, tym wyższa była stawka. Przyjaciel, który widział wcześniej Nzingę tańczącą, przebił kwotę o tyle, że nasz senhor nie mógł jej wyrównać.

– Ach, stary druhu, nie psuj zabawy. Masz tu mnóstwo cennych niewolników. Jako twój wkład przyjąłbym tę tańczącą dziewczynę.

Nasz senhor przegrał.

Dowiedziałam się o tym od samej Nzingi, która podsłuchiwała i następnego dnia opowiedziała mi wszystko.

– Mam iść z tym starym typem! – oburzała się przez łzy. – Wygrał mnie. Wygrał! Wyobrażasz to sobie? Jak jakiś puchar!

Oczywiście, mogłam sobie wyobrazić to, a nawet znacznie więcej. Nie chciałam jej jednak mówić, że zawsze wiedziałam, iż pewnego dnia tak się stanie.

– Czy nie możesz czegoś zrobić? Obłożyć go jakąś afrykańską klątwą? Zatruć? Proszę, matko, zrób coś!

Ze smutkiem pokręciłam głową. Zauważyłam, że po raz pierwszy od lat nazwała mnie matką.

– Nie umiem czarować – powiedziałam w języku kimbundu. Zastanawiałam się, czy doradzać jej ucieczkę, ale nie zrobiłam tego. Dokąd miałaby uciec jedenastoletnia dziewczyna? Zbyt wysokie było prawdopodobieństwo, że spotkałby ją jeszcze gorszy los niż u boku tego mężczyzny. – Twoją jedyną szansą jest senhora. Poproś ją o pomoc.

Może ma kilka klejnotów, które zaoferuje temu mężczyźnie w zamian za ciebie.

Nzinga odeszła, parskając z wściekłością. Uważała, że ją zdradziłam i odmówiłam jej pomocy. Co jednak mogłam zrobić? Gdybym tylko dostała się do tego przyjaciela naszego senhora, własnoręcznie bym go udusiła. Jako prosta robotnica nie miałam jednak wstępu do Casa Grande, a dramatyczny szturm na dom, by obezwładnić jego mieszkańców, nie pomógłby Nzindze. Zastanawiałam się, czy błyskotka, jaką przed laty podarował mi senhor, wystarczyłaby na wykup Nzingi. Być może. W każdym razie warto było spróbować.

Poszłam do Casa Grande i poprosiłam o rozmowę z senhorem, na co pozwolono mi dopiero, gdy zaczęłam głośno płakać.

– Pan nie dawać Dodo ten mężczyzna. Ona za bardzo młoda, żeby...

– Bzdury! – ofuknął mnie. – Jest w odpowiednim wieku. Popatrz tylko na nią. Okrągłe piersi, jędrny tyłeczek i usta, które aż proszą o pocałunki.

Zrobiło mi się niedobrze na te słowa, ale zebrałam całą siłę woli, by nie narazić na szwank swojej misji.

– Imaculada mieć złoto. Dać mężczyzna złoto, zatrzymać Dodo tutaj.

– Tak? – Na twarzy senhora odbijały się wątpliwości i łagodne ubawienie. – Skąd niby masz złoto? Chyba nie ukradłaś?

W milczeniu wyciągnęłam ręce i pokazałam, co się w nich kryje. Były to liczne małe zawieszki oraz duże złote serce, które mi kiedyś podarował. Wpatrywał się z niedowierzaniem w mój skarb, a potem zaczął się śmiać.

– Sądzisz, że możesz zapłacić za młodą, zdrową dziewczynę tymi nędznymi błyskotkami? Nie, jest warta znacznie więcej. – Tarzał się ze śmiechu.

Nie rozumiałam, co go tak bawi.

Do pokoju niezauważenie weszła senhora. Dopiero gdy stanęła obok nas i ze zmarszczonym czołem spojrzała na moje złoto, haniebny śmiech senhora ustał.

Rzuciłam się przed nią na kolana.

– Proszę zatrzymać Dodo. Ona jeszcze mała. – Zaczęłam płakać i widziałam, że również senhorze łzy nabiegły do oczu. Pokręciła jednak głową i tłumiąc emocje, powiedziała sztywno:

– Nie, Imaculado. Jeżeli senhor chce ją oddać, musisz się z tym pogodzić. Jest jego własnością, i tylko on może decydować o jej losie. Poza tym masz teraz twojego małego Betinha.

Jęczałam głośno i płakałam wobec tej bezduszności. Jakby jedno dziecko mogło zastąpić drugie! Co za diabły!

– Koniec tych wrzasków! – nakazał senhor. – Wracaj do pracy. Dodo będzie dobrze u mojego starego przyjaciela. To bardzo zamożny człowiek, i wszyscy jego niewolnicy są dobrze odżywieni i zadowoleni.

Spuściłam głowę, ale nie zamierzałam wyjść. Zastanawiałam się gorączkowo, co jeszcze mogę uczynić, by uchronić Dodo przed złym losem, ale senhor popchnął mnie ku drzwiom.

– No dalej, na co czekasz?

Wybiegłam i w holu o mało nie przewróciłam mojej córki, która prawdopodobnie słyszała każde słowo. Łzy ciekły jej po policzkach, a ja przytuliłam ją mocno do siebie.

– Moja kochana Nzinga – szeptałam do niej w kimbundu. – Próbowałam wszystkiego.

Chwytała się mnie i jęczała:

– Nie! Nie!

Potem sehnor wyszedł z pokoju i rozdzielił nas przy pomocy domowego niewolnika.

Ponieważ zaczęłam bić i kopać dziko wszystko wokół siebie, związano mnie i wyprowadzono. Nzinga nie stawiała oporu, tylko padła na podłogę, łkając. Był to widok, którego nigdy nie zapomnę, jednak nie tak druzgocący jak ostatni jej obraz, który wciąż mam w pamięci. Siedziała skulona obok woźnicy, zabierającego przyjaciela naszego senhora do domu, i była wyszykowana jak nierządnica – jedenastoletnia dziewczynka, z uróżowanymi policzkami i pomadką na ustach, ubrana w lalkowatą, różową sukienkę z dużym dekoltem, którą biali uważali pewnie za słodką, ale która nie zostawiała wątpliwości co do przeznaczenia mojej ukochanej córki.

38

Opowieść Kasindy wstrząsnęła Luą do głębi. Staruszka mówiła monotonnym głosem i właśnie dlatego historia wywoływała takie wrażenie. Gdyby Kasinda płakała, rozpaczała i krzyczała, jej opis byłby może wyrazistszy, ale nie tak przejmujący. Brak emocji w głosie świadczył o zastygłej rozpaczy. Lui chciało się płakać na myśl o małej córce Kasindy i krzywdach, jakie prawdopodobnie jej wyrządzono, ale opanowała się jakoś. Być może opowieść miała szczęśliwe zakończenie. Czekała na kolejną wizytę Kasindy, ponieważ koniecznie chciała się dowiedzieć, co było dalej.

Musiała jednak uzbroić się w cierpliwość. Między pierwszymi a drugimi odwiedzinami Kasindy na plaży, gdzie Lua urządziła sobie tymczasem prawdziwe małe gniazdko, upłynęły trzy dni, trzy wyjątkowo przyjemne dni, miała bowiem lekturę. Fakt, że sinhazinha przyniosła jej książkę i tym samym dała do zrozumienia, iż wie o jej umiejętności czytania, w pierwszej chwili śmiertelnie Luę przeraził. Później, gdy się uspokoiła, udało się jej dostrzec pozytywny aspekt tej sprawy. A nawet kilka pozytywnych aspektów. Po pierwsze, przemawiało to za sinhą Eulálią i jej zdolnością do dochowania tajemnicy, skoro przez te wszystkie lata nie opowiedziała nikomu o zakazanej umiejętności Lui. Pomimo młodzieńczych wygłupów i niepoważnego, dziewczęcego sposobu bycia wcale nie była głupia i najwyraźniej miała serce po właściwej stronie. Po drugie, Lua cieszyła się ogromnie, że sinhazinha potrafiła wyciągać wnioski – ona, Lua, była samotna i nudziła się przez pół dnia, a jak lepiej umilić sobie czas niż lekturą? Po trzecie, ten nieoczekiwany prezent w jeszcze większym stopniu czynił z Eulálii osobę wtajemniczoną, a więc wspólniczkę Lui. Zaopatrywanie głodującej uciekinierki w żywność to jedno, a karmienie strawą duchową to drugie. Jeżeli przyłapano by na tym Eulálię, czekałaby ją surowa kara.

W ciągu kolejnych czterech dni, gdy Lua ukrywała się na plaży pod palmami, poza Kasindą i Eulálią nie widziała żywego ducha. Raz

dostrzegła łódź rybacką, która przepływała daleko na morzu, ale nic więcej. O ile wcześniej bardzo tęskniła za samotnością, teraz, gdy mogła do woli z niej korzystać, zaczęła jej przeszkadzać. Dla duszy nie było zdrowo, jeśli godzina po godzinie, dzień po dniu człowiek wypatrywał zagrożenia, a zarazem tęsknił za tym, by usłyszeć ludzki głos. Lui nie opuszczało wrażenie, że towarzystwo żółwi morskich na dłuższą metę jej nie wystarczy.

Żółwie były jednak naprawdę zabawnymi stworzeniami. Co noc wychodziły na plażę, czołgały się na płetwach przez piasek, po czym wygrzebywały głębokie dziury, w których składały jaja. Jaja miały miękką skorupkę, więc wpadając do dołka nie doznawały szkody. Często cała plaża usiana była rano śladami żółwi, równomiernymi odciskami ich płetw, ciągnącymi się wzdłuż głębszych rowków, wyżłobionych przez ich masywne ciała. Lua kilkukrotnie czuła pokusę, by podebrać kilka jaj i wypić je. Zostawiła je jednak w spokoju. Nie wiedziała, czy jaja żółwi nadają się do jedzenia. Poza tym, choć sama uznawała to za śmieszne, czuła litość wobec zwierząt, które w ten sposób pozbawiłaby potomstwa.

Ona nie chciałaby przecież, żeby ktoś ukradł jej dziecko, a była coraz bardziej przekonana, że Kasinda miała rację i że naprawdę jest w odmiennym stanie. Rankami czuła mdłości, a miesięczne krwawienie się nie pojawiało. Oczywiście, obie te rzeczy mogły wynikać z trudnych warunków bytowania, jednak Lua coraz mniej w to wierzyła i powoli przyzwyczajała się do myśli, że zostanie matką.

Targały nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony ogarniała ją głęboka miłość do nienarodzonego dziecka. Potrafiła godzinami marzyć i wyobrażać sobie, jak będzie ono wyglądać. Wymyślała imiona dla chłopca i dla dziewczynki i widziała już promieniejącą radością twarz Zé, gdy ten dowie się, że został ojcem. Jeżeli kiedykolwiek miał się o tym dowiedzieć. To była bowiem druga strona medalu – dziecko będzie dorastać bez ojca. W najgorszym wypadku wychowa się także bez matki, ponieważ gdyby Luę schwytano, dom Felipe bez wątpienia uznałby jej dziecko za swoją własność. Obca kobieta przykładałaby je do piersi i nikt nie ofiarowałby mu ciepła ani poczucia bezpieczeństwa, jakie mogła zapewnić mu tylko Lua. Gdy myślała o cierpieniach Kasindy, przychodziło jej do głowy, że dla dziecka lepiej byłoby może, gdyby się nie narodziło.

Ależ nie! Niezależnie od tego, co ją spotka, zadba o to, by ta nieznana jej jeszcze istota otrzymała swoją szansę. Zasługiwała na życie.

Im dłużej rozmyślała samotnie na plaży, tym bardziej wątpiła w słuszność swojej decyzji o opuszczeniu Liberdade. Czy naprawdę było tam nie do wytrzymania? Teraz miejsce to nie wydawało się jej wcale takie straszne. Czy cierpiała tam tak bardzo, że lepiej było

znosić zagrożenia, samotność oraz ryzykować poniesienie strasznej kary? Czy przedwcześnie podjęła decyzję, której miała teraz gorzko żałować? Nie było jeszcze za późno na powrót. Żyłaby co prawda w nędzy, ale wolna. Byłaby razem z Zé, a ich dziecko cieszyłoby się tak rzadkim dla czarnych przywilejem dorastania przy obojgu rodzicach, doświadczania ich miłości i czułości.

Zakryła twarz dłońmi i łkała zrozpaczona. Ależ była głupią gęsią! Jak mogła tak łatwo zmieniać zdanie? Biali mieli prawdopodobnie rację, utrzymując, że czarnych należy traktować jak bezradne dzieci. Na jej przykładzie najlepiej widać, do czego prowadzi swoboda podejmowania decyzji. Na tę myśl Lua rozpłakała się jeszcze gwałtowniej. Och, jak mogła! To było niewybaczalne, by rozumować w ten sposób. To przecież biali ponosili winę za jej cierpienia. Gdyby nie odbierano czarnym samodzielności, przywykliby myśleć samodzielnie i nauczyli się decydować o sobie. Wtedy na pewno umieliby korzystać z wolności tak samo jak wszyscy inni ludzie.

Poza tym białe dziewczęta, które znalazły się w sytuacji podobnej jak Lua, wcale nie radziły sobie lepiej. Przypominała sobie przypadek dalekiej znajomej sinhy Eulálii, która w wieku piętnastu lat zaszła w ciążę i odebrała sobie życie, ponieważ ojciec dziecka zaprzeczył, by kiedykolwiek miał z nią coś wspólnego. Czarni nie musieli przynajmniej posuwać się do takich drastycznych kroków, gdyż traktowano ich jak zwierzęta i nikogo nie obchodziły dzieci z nieprawego łoża. Wręcz przeciwnie, senhorowie cieszyli się z każdego noworodka, ponieważ powiększał „stado", a tym samym bogactwo i status ich samych.

Lui przyszła do głowy cyniczna myśl, że mogłaby sama się poddać i uniknąć drakońskiej kary dzięki temu, że przyniosłaby kolejnego, nienarodzonego jeszcze niewolnika. Nie! Wstrząsnęła się ze wstrętem. Te głupie myśli wynikały z tego, że zbyt długo już przebywała samotnie na tej przeklętej plaży, miała za dużo czasu na rozmyślania i obawiała się przyszłości.

Liczyła na to, że sinhazinha podejmie jakieś kroki, by ją uratować. Wydawało się jednak, że słowa Eulálii nie miały wcale znaczenia większego niż słowa Lui. Sinhazinha cieszyła się małymi wycieczkami, upajała się swoim rzekomym buntem i uważała się za bohaterkę, ponieważ robiła coś zakazanego. Czy jednak mogła naprawdę pomóc Lui? Im dłużej Lua nad tym rozmyślała, tym mniej prawdopodobne to się jej wydawało. Kasinda również nie miała możliwości uwolnić jej z tego nieszczęsnego położenia. Choć Lua niechętnie to przed sobą przyznawała, nabierała coraz silniejszego przekonania, że musi działać sama, w przeciwnym bowiem razie będzie siedzieć na tej plaży przez jeszcze długie lata. Nawiedzała ją wizja rozczochranej pustelniczki, wyniszczonej wariatki, która z małym dzieckiem błąka się po plaży

i nie umie już nawet sklecić pełnego zdania. Na to wyobrażenie śmiała się i płakała zarazem. Zostało jej jeszcze tyle rozumu, że dostrzegała, jak mało brakuje, by postradała zmysły.

Postanowiła następnego ranka spakować manatki i wyruszyć, nieważne dokąd. Próżnowanie wyniszczało ją bardziej niż niepewność co do przyszłości. Położyła się spać przepełniona optymizmem i wiarą, że wszystko dobrze się ułoży. W nocy jednak nawiedziły ją straszne sny, obudziła się więc zlana potem i nie potrafiła otrząsnąć się z przygnębiających wizji. Była nadal głęboka noc. Wiatr ustał i zapanowała niezakłócana niczym cisza, nie słychać było nawet szumu palm. Jedynie odległe uderzanie fal o rafę przypominało Lui, gdzie się znajduje. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz i ogarnęło ją złe przeczucie.

Gdy zaczęło świtać, zobaczyła, jak jeden z potężnych żółwi wraca po piasku do wody. Do tej pory widok tych spokojnych zwierząt przynosił jej pocieszenie, ale tym razem Lua wcale nie poczuła się lepiej. Żółw przypominał jej raczej niebezpiecznego baśniowego stwora ze skórzastą głową, złośliwie wyglądającą spod pancerza, i z potężnym dziobem, służącym do zadawania poważnych ran wrogom. Stało się tak, jakby zmienił się nagle cały obraz świata w oczach Lui – to, co wcześniej było białe, stało się naraz czarne, a co dawniej wydawało się ciepłe, teraz sprawiało, że drżała z zimna.

Otuliła ramiona płachtą i oddała się rozpaczy. Było jej zimno i niedobrze. Zobaczyła nagle samą siebie taką, jaką widziałby ją postronny obserwator – samotną, smutną, oczekującą dziecka i bez żadnych widoków na poprawę sytuacji. Istotę, która na pewno znalazłaby więcej spokoju w śmierci i u Pana Boga niż na ziemi.

Zaczęła się modlić. Początkowo mechanicznie mamrotała modlitwy, które dawniej często przynosiły jej ulgę, gdy była zatroskana. Wszystkie „Ojcze Nasz" i „Zdrowaś Mario" jednak nie zdały się na nic. Jeżeli w ogóle coś spowodowały, to jeszcze większą rozpacz. Lua widziała samą siebie klęczącą na piasku i poruszającą ustami jak pomylona. Zaśmiała się gorzko. Zatem doszło już do tego, że straciła rozum. W ostatniej próbie walki z szaleństwem zwróciła się do Syna Bożego. Zawołała głośno w stronę nieba:

– Pomóż mi, Jezu, wybaw mnie od cierpienia! – Zaraz jednak wybuchła smutnym śmiechem, ponieważ echo własnego głosu wydało się jej nienaturalne i brzmiące chorobliwie. Zakryła twarz dłońmi i pozwoliła płynąć łzom. – Proszę, Jezu Chryste, powiedz mi, co mam robić. Dokąd iść? Czym zasłużyłam na taki los? – szeptała.

Wszystkie skargi i pytania pozostały jednak bez odpowiedzi. Nawet Zbawiciel o niej zapomniał.

Słońce wzeszło, a woda się cofnęła. Wieczny cykl przypływu i odpływu, dnia i nocy, życia i śmierci w swojej prostocie i nieubłaganej

potędze przytłaczał Luę. Zafascynowana, przyglądała się spektaklowi przyrody. Potem, gdy morze opadło do najniższego poziomu, zrozumiała nagle, co musi uczynić. Było to tak proste, że dziwiła się, dlaczego wcześniej na to nie wpadła.

Zrzuciła płachtę i naga, jak ją Pan Bóg stworzył, ruszyła wolnym, ale zdecydowanym krokiem ku skałom, między którymi utworzyły się kałuże. Tym razem nie podziwiała kłębiących się w nich kolorowych rybek. Niemal w magiczny sposób przyciągała ją biała wzburzona piana, strzelająca tam, gdzie rafa wystawała z wody. Lua ostrożnie wspinała się na odsłonięte skały. Niektóre porośnięte były wodorostami i bardzo śliskie. Po kamieniach spacerowały małe kraby i leżały przyczepione małże. Nie zaszczycając ich nawet jednym spojrzeniem, poszła dalej i bez przeszkód dotarła do miejsca, gdzie załamywały się fale, a które do tej pory oglądała tylko z oddali.

Widok zapierał dech w piersiach. Powietrze było wilgotne i słone. Fale wzbijały się wysoko i z hukiem spadały na rafę. Niektóre miały taki impet, że biała piana przedostawała się daleko za skały i obmywała stopy Lui. Nadchodzące wielkie fale oraz cofająca się woda, gdy zostały rozbite, tworzyły widowisko o niezwykłym uroku. Nieustannie powtarzający się cykl wprowadził ją w trans. Stała tak niczym ogłuszona i miała nadzieję, że jakaś szczególnie potężna fala zabierze ją ze sobą. Wystarczyło przejść jeszcze tylko kilka kroków, a zjednoczy się z tą pierwotną siłą przyrody, z wiecznym rytmem boskich praw.

Uniosła twarz do słońca, które stało już na wschodzie niczym jaskrawa piłka, i pomyślała o odległym kontynencie, leżącym po drugiej stronie wielkiego morza – o Afryce. Przypomniała sobie straszne porwanie Kasindy oraz jej wielokrotnie powtarzane zapewnienia, że przodkowie czuwają nad swoimi żyjącymi potomkami. Czy gdzieś za horyzontem leżeli pochowani także przodkowie Lui, którzy w tej chwili się nią opiekowali? Czy tu, w Brazylii, miała krewnych? Czy gdzieś daleko stąd pewna starsza kobieta szukała swojej córki i wnuczki? Czy dziadkowie lub pradziadkowie Lui zostali dawno temu pojmani w Afryce i doświadczyli tego samego, co Kasinda? Na pewno tak, ponieważ wszyscy, którzy mieli ciemną skórę, pochodzili od mieszkańców Afryki. Dlaczego nigdy wcześniej nie zastanawiała się, czyje dziedzictwo w sobie nosi?

Niewidoczny kontynent, będący ojczyzną jej przodków, przyciągał ją z magiczną siłą. Zrobiła krok do przodu. Woda pluskała teraz wokół jej stóp przy każdej fali. Było to wspaniale odświeżające uczucie. Wiatr przybrał na sile i zwiewał jej loki z czoła, jednak wschodzące słońce grzało już na tyle silnie, że Lua nie marzła. Przepełniała ją tęsknota za tym, by rzucić się w toń, ochłodzić w ożywczej wodzie, dać się ponieść falom i odnaleźć w nieznanym królestwie, które obiecywało powrót do

domu.

Jakby z wielkiej dali usłyszała wołanie:

– Lua, Lua!

Miała wrażenie, że to morze ją woła, że docierają do niej głosy przodków i nakazują rozpocząć wreszcie drogę do domu. Zrobiła kolejny krok naprzód. I jeszcze jeden.

Nagły koniec rafy i upadek do wody wywołały w niej przerażenie, w którym jednak kryła się zarazem ulga. Zrobiła to. Podjęła decyzję i tym razem była ona nieodwołalna. Fala załamała się nad nią i obróciła jej ciałem. Luę rzuciło na skały. Choć jej umysł i dusza rozkoszowały się uczuciem, że jest wydana na pastwę żywiołu, ciało stawiało opór. Lua nie zamierzała bronić się przed nieuniknionym końcem, a jednak to czyniła. Pragnęła oddać się morzu, chciała, by ją pochłonęło i by wszystkimi zmysłami mogła cieszyć się chwilą przejścia w inny byt. Nie zdołała tego jednak osiągnąć.

Instynkt okazał się silniejszy niż wola. Gdy wir wypluł ją na powrót na powierzchnię, mimowolnie nabrała powietrza. Biła wokół rękoma, zachłystując się wodą. Opierała się sile fal, choć wiedziała, że to beznadziejne i że tak naprawdę nie pragnie wcale życia, o które walczy ciało. Już nie. Teraz chciała tylko spokoju. Zauważyła, że opada z sił, i ucieszyło ją to. Nie mogła prowadzić z morzem godnej walki.

W końcu znalazła się na krawędzi. Poczuła łagodne objęcia śmierci, szepczącej jej czule do ucha: „Lua”. Miała wizję Zé, który wraz z nią unosił się na falach szczęścia, obejmował ją, całował i był najlepszym towarzyszem podróży, jakiego można by sobie życzyć. Ogarnęło ją tak głębokie poczucie spokoju, tak przemożna lekkość, że bezwolnie oddała się granatowej toni, która się nad nią zamknęła.

Była szczęśliwa.

39

Wrażenie nieważkości skończyło się równie nagle, jak wcześniej ogarnęło Luę. Harmonia, w jakiej znajdowały się jej ciało i duch i którą odbierała jako dobroczynną, została gwałtownie zakłócona przez dysonans. Krzyk, policzek, potrząsanie, i Lua otworzyła oczy.

Zé klęczał nad nią, z twarzą blisko jej twarzy. Czuła jego oddech i widziała punkciki w źrenicach.

– O Boże! – jęknął. Łzy ciekły mu po policzkach. Potem okrył jej mokrą twarz niezliczonymi drobnymi pocałunkami. – Lua! – szepnął z żarliwością, której nie rozumiała. – Lua, udało ci się!

Nie wiedziała, co miał na myśli. Żyje, prawda? To znaczy, że jej się nie udało, znowu minęła się z celem. Najwyraźniej nie dane jej było niczego doprowadzić do końca. Jej ciało przeszedł skurcz. Obróciła się na bok i wypluła potok słonej wody. Czuła mdłości i śmiertelne zmęczenie. Chciała zamknąć oczy i spać, ale Zé jej na to nie pozwolił. Przemawiał do niej bezustannie i gładził po twarzy.

– Nie zasypiaj, Lua, bo umrzesz.

Ależ tak, ukochany, właśnie tak.

– Proszę, otwórz oczy. Powiedz coś. Dlaczego to zrobiłaś? Na miłość boską, Lua, wytłumacz mi to!

Co tu było do tłumaczenia? Chciała umrzeć, a teraz pragnęła tego bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, tak podle się czuła.

– Możesz się poruszyć? Boli cię? Słyszysz mnie? Widzisz mnie wyraźnie? Ile to palców? Odpowiedz mi, Lua!

Pokazał jej cztery palce lewej dłoni, wszystkie oprócz kciuka. Lua wpatrywała się w nie i zastanawiała się, czego on właściwie od niej chce. Co to za głupie pytania? Dlaczego nie mógł po prostu zostawić jej w spokoju?

– Ile palców, Lua? Odpowiedz!

– Cztery – szepnęła apatycznie, tylko po to, żeby przestał ją wreszcie dręczyć.

Jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech.

– Dobrze.

Czuła nieskończoną ulgę, że odpowiedziała ku jego zadowoleniu i że teraz wolno jej będzie wreszcie zasnąć. Poczuła jednak, że Zé ją podnosi, z jedną ręką pod jej kolanami, a drugą pod plecami. Przeszył ją kłujący ból i z gardła wyrwał się jęk.

– Coś cię boli? Nie ruszaj się. Zaniosę cię do cienia i tam opatrzę twoje rany.

Czy coś ją bolało? Całe ciało wydawało się strzaskane. A raczej było strzaskane. Graniczyło z cudem, że Lua przeżyła wobec siły, z jaką fale ciskały nią o skały. Zé zaniósł ją do obozowiska i ostrożnie położył na ziemi. Nie miała siły mówić, nawet podziękować mu za troskę. Ostatnie, co dostrzegła, nim ponownie straciła przytomność, to szramy oraz otarcia na piersi i ramionach Zé. Przeszło jej przez głowę, że zaryzykował życie i rzucił się w fale, by ją z nich wyrwać, przy czym poranił się o skały. Cieszyła się niezmiernie, że nie utonął. Nigdy nie wybaczyłaby sobie jego śmierci.

Minęło wiele dni, podczas których tylko drzemała, i niewiele docierało do niej z tego, co działo się wokół. Zé karmił, mył i pielęgnował ją z pełnym poświęceniem. Poza nim nie widywała nikogo, ale to nic nie znaczyło. Może sinhazinha i Kasinda przyszły, ale Zé je odesłał? Chętnie poddawała się słabości, nie dlatego, że opieka Zé sprawiała jej wielką przyjemność, ale dlatego, że nie czuła się na siłach stawić czoło rzeczywistości. Pod względem fizycznym zdrowiała bowiem szybko. To jej duch roztrzaskał się o skały, w każdym razie takie miała wrażenie. A może był strzaskany już wcześniej? Nie chciała nikogo widzieć i z nikim rozmawiać. Pragnęła tylko zamknąć oczy i zostać sama z ciemnością w głowie.

Zé nie potrafił znieść tego braku woli życia. Bezustannie przemawiał jej do sumienia i nakazywał walczyć z pragnieniem śmierci. Gdyby to było takie proste!

– Wstań, Lua. Pójdziemy razem do wody. Zobaczysz, że gdy weźmiesz miłą, chłodną kąpiel, poczujesz się lepiej.

Ach, Zé – myślała, nie masz o niczym pojęcia!

Wykonywała jego polecenia, ponieważ była zbyt słaba, by się opierać. Pożądany skutek jednak nie nastąpił. Nawet po odświeżającej kąpieli w naturalnym basenie między skałami pozostała dziwnie zdystansowana i obojętna, jakby to wszystko przydarzało się komuś innemu. A jeszcze przed dwoma tygodniami kąpiel sprawiłaby jej przyjemność. Sama nie rozumiała, co się z nią dzieje.

Czasami Zé znikał na kilka godzin, a potem wracał z czymś do jedzenia.

– Patrz, Lua, co zdobyłem!

Żadna feijoada na świecie nie mogła jej jednak pocieszyć, niezależnie od tego, ile mięsa, słoniny i kiełbasy zawierała. Lua nie miała apetytu

i pewnie by umarła, tym razem z głodu, gdyby Zé nie zmuszał jej do jedzenia.

Pewnego razu przebudziła się w środku nocy. Zé siedział obok i czuwał nad nią. Zauważyła, że cicho płacze. Poczuła się strasznie, jakby przyłapała go na czymś zakazanym. Obróciła się zatem na bok i udała, że śpi głęboko. Nie powinien wiedzieć, że stała się świadkiem jego słabości, której przyczyną była przecież ona.

W tej chwili jednak obojętność Lui po raz pierwszy nieco pękła. W głębi ducha bolało ją, że widzi płaczącego mężczyznę, którego zwykle nic nie wzruszało, i niezmiernie żałowała, że przysporzyła mu zmartwień. Była to pierwsza oznaka, że jej dusza może się uleczyć.

Proces zdrowienia przebiegał dręcząco powoli. Inaczej niż przy przeziębieniu lub innej chorobie fizycznej, kiedy pewnego ranka człowiek czuje wyraźną poprawę, Lua czyniła tak niewielkie postępy, że trudno je było zauważyć. Po pewnym czasie stały się jednak widoczne. Po kilku tygodniach znowu zaczęła jeść z apetytem. Doceniała piękno zachodów słońca. Cieszyło ją towarzystwo Zé. Wróciła też jej próżność.

Przypadkowo zobaczyła swoje odbicie w kałuży i cofnęła się przestraszona. Włosy sterczały w nieładzie, policzki były zapadnięte, wydawało się jej nawet, że dostrzega ciemne kręgi pod oczami, choć w odbiciu na powierzchni wody nie dało się przecież rozpoznać takich szczegółów.

Poprosiła Zé, żeby zdobył dla niej grzebień. Codziennie znikał na długi czas, by wrócić z żywnością, kocami lub ubraniami. Prawdopodobnie chodził do Três Marias, gdzie dawniej mieszkał i gdzie z pewnością znał wiele osób, które mu pomagały. Lua nigdy nie zapytała go o to jednak. Do tej pory nie pomyślał o grzebieniu, ale gdy o niego poprosiła, z udawaną rozpaczą uderzył się w głowę i przeklinał swoją bezmyślność. Widziała, że jej prośba go ucieszyła, i to nie z egoistycznych pobudek. Nie chciał kobiety pięknej, tylko zdrowej na duchu, a najbardziej wyraźną oznaką budzenia się w Lui normalnych ludzkich odruchów była właśnie próżność.

– Dlaczego sinhazinha Eulália już nie przychodzi? – spytała go pewnego dnia.

Zé nieoczekiwanie zareagował gniewem.

– Być może znowu przestała się tobą interesować ta twoja wytworna sinhazinha. – Wypluł ze wstrętem ostatnie słowo. – Dla niej jesteś jak ptaszek, który złamał skrzydełko. Troszczy się o ciebie, dopóki jesteś bezbronna, żeby potem na powrót zamknąć cię w klatce.

– To nieprawda!

– Więc dlaczego przestała przychodzić?

– Nie wiem. Na pewno dałeś jej do zrozumienia, że nie życzysz tu sobie jej obecności, teraz, gdy ty mi się narzuciłeś.

– Narzuciłem? Uratowałem ci życie!

– Właśnie.

Popatrzył na nią smutno. Nie rozumiał jej, tak jak ona nie mogła jego zrozumieć. Nie wiedział o przyjaźni, jaka nawiązała się między nią a sinhą Eulálią. Nie uwierzyłby w nią, dlatego Lua uznała, że lepiej mu o tym nie opowiadać.

– A czy nie obawiasz się, że ona cię zdradzi? – spytała. – Ty nie jesteś bezbronnym ptaszkiem, tylko zbiegłym niewolnikiem, za którego głowę wyznaczono wysoką nagrodę.

– Obawiam się. Nawet bardzo, ponieważ nie dowierzam białym, a już na pewno nie twojej Eulálii. To zepsuta gęś, która zawsze dostawała to, czego chciała. Tym razem chciała ciebie, w roli zabawki, tyle że jej na to nie pozwoliłem.

– To znaczy, że naprawdę ją odesłałeś?

– Owszem – przyznał. – Od tamtej pory żyję w strachu, że w każdej chwili mogą się tu zjawić łowcy niewolników.

– Nie musisz zostawać. Nikt cię o to nie prosił. Poza tym jestem pewna, że bardzo tęsknią za tobą w Liberdade.

– Tak – odparł krótko, jakby było najbardziej naturalne na świecie, że mieszkańcy nędznego quilombo w puszczy tęsknią za nim, swoim przywódcą. Jego arogancja była nieznośna.

– Dlaczego zatem już dawno nie wyruszyłeś z powrotem? Mnie nie zdołasz już bardziej pomóc.

– Nie jesteś jeszcze gotowa do podróży.

– Czy to znaczy...?

– Ależ tak. Bez ciebie nie pójdę.

– No cóż, nie będziesz miał innego wyjścia. Ja tam bowiem nie wrócę.

– Wolisz zostać tu, na plaży, i zdziczeć? Albo oddać się białym i pozwolić się wychłostać? Nie bądź uparta, Lua! Liberdade to nasza jedyna szansa na odrobinę godności i swobody decydowania o sobie. Wiem, że życie tam nie zawsze jest słodkie. Czy jednak mamy jakiś wybór? Jeżeli tylko będziemy trzymać się razem, reszta świata nie powinna nas obchodzić. Czego nam trzeba więcej niż siebie nawzajem i naszej miłości?

Popatrzyła na Zé ze zmarszczonym czołem. Chyba nie mówi poważnie?! Czego potrzebowali więcej niż siebie nawzajem? Z miejsca przyszło jej do głowy tysiąc rzeczy, których ona potrzebowała, jednak wypełniony namiętnością wzrok Zé powstrzymał ją przed ich wyliczeniem. Zmieniła nagle temat.

– A co z Kasindą? Ją także przegnałeś?

– Nie, sama miała na tyle przyzwoitości, by przestać się pojawiać. Nie chciała zakłócać naszego bycia we dwoje. – Ton Zé był drwiący, brzmiał jednak nieco fałszywie.

– Oddaliłeś jedyne dwie osoby, którym choć trochę na mnie zależało. Czy uważasz, że powinnam to przyjąć ze szczęśliwym uśmiechem jako oznakę twojej wielkiej miłości?

– Dlaczegóż by nie?

– A nie uważasz, że ja też mam prawo do decydowania o sobie, prawo, które wciąż rościsz sobie dla „nas"? Mam wrażenie, że to ty chcesz podejmować decyzje, również te dotyczące mojego losu.

Zé przepraszająco uniósł dłonie.

– Decyzje, które podejmowałaś do tej pory samodzielnie, nie odznaczały się wielką dalekowzrocznością.

Niestety, musiała w duchu przyznać mu rację. Mimo to nie miał prawa uważać się za jej opiekuna.

– Czy zatem nie wszyscy mają prawo do wolności? Na przykład głupie kobiety, niemądre gęsi takie jak ja, powinno się raczej chronić przed nimi samymi? Najlepiej, jeśli zajmą się tym przezorni, mądrzy mężczyźni jak ty. Czyż nie tak, Zé? Wolność przysługuje tylko temu, kto umie ją wykorzystać, prawda? Wszyscy inni muszą podporządkować się przywódcy.

Zé wybuchł śmiechem. Zaczęło się od cichego pomruku, potem jednak głośny śmiech wyrwał się mu z gardła. Luę ogarnęła niepohamowana wściekłość.

– Co ci przychodzi do głowy, żeby mnie jeszcze wyśmiewać? Zejdź mi z oczu, ty potworze!

Śmiał się coraz głośniej. Łzy pociekły mu z oczu.

– Ach, wspaniale, Lua, wspaniale! Taka mi się podobasz.

– Przestań! – krzyknęła.

To nie ukróciło jednak jego niesłychanego wybuchu wesołości.

– Znowu taka jak dawniej! Ach, jak bardzo za tobą tęskniłem, moja ukochana! Wróciłaś do życia!

Podskoczył, podniósł ją i zawirował w udawanym tańcu. Nie wydawało się mu przeszkadzać, że Lua wcale nie miała ochoty świętować. Wyrwała się z jego objęć i odbiegła kilka kroków. Nagle zobaczyła Kasindę.

Staruszka ukrywała się za krzakiem, skąd obserwowała parę młodych. W tej chwili Lua nienawidziła jej za to. Nie chciała, by Kasinda była świadkiem scen, które nie powinny jej obchodzić. Jak powiedział Zé? „Nie chciała zakłócać naszego bycia we dwoje"? Śmiechu warte. Kasinda nie okazała nawet śladu zawstydzenia wobec swego wścibstwa.

– Ty powiedzieć Mbómbo o twoje dziecko? – spytała. – On cieszy się być ojciec, tak? A ty? Dobrze mieć rodzina.

O Boże, Lua mogłaby ją uderzyć.

– Zamknij się, Kasindo! – odparła szorstko i zaraz zawstydziła się swojego aroganckiego tonu. Starsi ludzie zasługiwali na szacunek,

niezależnie od tego, czy sami umieli go okazywać.

Tymczasem podszedł do nich Zé. Przywitał Kasindę uniżonym spuszczeniem głowy i jakimś wymamrotanym afrykańskim zdaniem. Potem wesołym tonem zwrócił się do nich obu po portugalsku:

– Tak, dobrze mieć rodzinę. Niestety, Lua jest innego zdania. Lubi tylko rodzinę białych właścicieli.

Kasinda popatrzyła na zmianę na Luę i Zé, po czym skrzywiła twarz w grymasie niechęci i wstrętu, gdy jej spojrzenie spoczęło dłużej na młodej kobiecie.

– Mbómbo nie wiedzieć?

– Nie, do diabła! Mbómbo nie wiedzieć! A ty nie mówić!

– Czego...? – Zé popatrzył na Luę przenikliwie, jakby w ten sposób mógł zmusić ją do udzielenia odpowiedzi.

– Niczego, Zé. To zwykła kobieca sprawa.

Ta odpowiedź go zadowoliła. Skłonił ponownie głowę przed Kasindą, wypowiedział kolejną afrykańską formułę, a potem zostawił je, by w spokoju omówiły swoje „kobiece sprawy".

Lua odciągnęła Kasindę od obozowiska i trzymając ją za łokieć, zaprowadziła na plażę. Zé nie musiał słyszeć, o czym rozmawiają, choć Lua nie miała często okazji, by się do kogoś odezwać. Kasinda obrzuciła ją stekiem wyzwisk, w połowie po portugalsku, w połowie w afrykańskim bełkocie, przez co stały się jeszcze bardziej dobitne. Lua dobrze rozumiała, co stara jej zarzuca – postępowała nieodpowiedzialnie. Nie wolno jej było zatajać ciąży przed Zé, który miał prawo dowiedzieć się, że zostanie ojcem, dziecko było bowiem tak samo jego, jak i Lui.

Lua próbowała wytłumaczyć Kasindzie, że nie miała jeszcze okazji, by przekazać tak ważną wiadomość, ale tej nie zadowoliło takie wyjaśnienie.

– Nigdy dobry czas, zawsze trudno mówić. Ale trzeba zrobić!

– Wiem, Kasindo – przyznała wreszcie Lua. – Masz rację. Powiem mu, wkrótce. Proszę, nie mieszaj się jednak więcej. Pozwól mi samej wybrać odpowiednią chwilę.

Staruszka nie wyglądała na przekonaną, ale skinęła głową.

– Teraz ty pisać dalej – nakazała. – Historia Kasinda – kobieca sprawa. – Zaśmiała się serdecznie, odsłaniając szereg żółtych, lecz wciąż nienaruszonych zębów, które wyglądały jak zęby w czaszce ze względu na mocno cofnięte dziąsła. Luę przerażał ten widok. Aby ukryć swe odczucia, sięgnęła po brulion i rysik i pochyliła się nad nimi. Była gotowa do notowania.

40

Gdy nasz mały Uanhenga – który wolał, gdy wołano na niego Betinho – skończył siedem lat, musiał udać się z Muhongo na pola trzciny cukrowej. Mój mąż był jednym z najlepszych żniwiarzy, a syn wkrótce stał się niestrudzonym małym pomocnikiem. Dzieci musiały przynosić robotnikom wodę i wykonywać inne drobne prace. Początkowo smuciłam się głęboko, że mój kochany malec musi się trudzić już od tak młodego wieku. Sam Uanhenga czuł się jednak bardzo dumny, że posyłano go na pola razem z mężczyznami. Jak na swoje siedem lat był duży i bardzo silny, tylko śmieszna luka w zębach zdradzała jego prawdziwy wiek.

– Uanhenga ma dobrą rękę do zwierząt – opowiedział mi pewnego dnia Muhongo. – Koń nadzorcy płoszył się dziś jak szalony i dopiero nasz syn zdołał go uspokoić.

Zrobiło mi się słabo na myśl, że nasze dziecko stanęło naprzeciw szalejącego ogiera, jednak skinęłam głową, jakbym i ja była dumna z dokonania syna.

– Moglibyśmy poprosić senhora, żeby oddał go pod opiekę Gorduchowi. Mógłby się wtedy czegoś nauczyć.

Gorducho, Tłuścioch, był Murzynem, który jak żaden inny radził sobie z bydłem. Cieszył się znacznie większymi swobodami niż pozostali niewolnicy, a kiedy zaganiał stado na wybrane pastwisko, często przez całe dnie podróżował samotnie. Zazdrościliśmy mu gorąco możliwości przebywania w odosobnieniu, co nam nigdy nie było dane. Tak, trudno było o lepsze zajęcie dla naszego syna, w każdym razie w ramach ograniczonych możliwości dostępnych w niewoli. Uznałam, że należy najpierw spytać Gorducha, czy chciałby przyjąć ucznia, ponieważ jeśli uznałby on, że działamy za jego plecami, mógłby zachować się bardzo nieprzyjemnie.

Gorducho był wyraźnie ujęty pomysłem, że mógłby otrzymać małego pomocnika.

– Tam jest zbyt samotnie – rzekł sucho i tym samym sprawa została

postanowiona.

Również senhor nie miał nic przeciwko naszej propozycji, więc Uanhenga wkrótce po ósmych urodzinach został oddany pod opiekę Gorducha, który uczył go na poganiacza bydła.

Nasz chłopiec początkowo smucił się, ponieważ sądził, że chcieliśmy się go pozbyć. Gdy jednak nauczył się jeździć konno i pozwolono mu dosiąść własnego konia, był uszczęśliwiony. Czuł się dobrze u Gorducha i wśród zwierząt i rzeczywiście wykazywał nadzwyczajny talent w obchodzeniu się ze wszystkimi żywymi istotami. Stał się swego rodzaju weterynarzem. Gdy sytuacja była poważna, zawsze wołano naszego syna, bo choć nie miał pojęcia o medycynie, to wiedział, jak należy karmić kąsającego psa albo uspokoić kwiczącą świnię. Byliśmy dumni z naszego małego, który wkrótce przestał być mały. W wieku trzynastu lat wystrzelił w górę i szybko mnie przerósł.

Gdy miał czternaście lat, zmarł Gorducho. Wszyscy, w tym Uanhenga, byliśmy przekonani, że odpowiedzialność za bydło przejmie teraz nasz syn, co oznaczałoby ogromny awans w hierarchii niewolników. Stało się jednak inaczej. Senhor znowu narobił długów. Za młodego, silnego Murzyna, który w dodatku radził sobie w danej specjalności tak dobrze jak Uanhenga w roli poganiacza bydła – a o jego umiejętnościach wiedziano nawet w sąsiednich fazendach – można było uzyskać znaczną sumę. Mój mąż Muhongo próbował interweniować, osiągnął jednak tylko tyle, że i on miał zostać sprzedany. Rzuciłam się przed senhorem na kolana i błagałam, żeby sprzedał także i mnie, aby nie rozdzielać rodziny.

– Ciebie? Co dostanę za taką zniszczoną staruszkę jak ty? – zadrwił.

Skończyłam czterdzieści cztery lata. Wciąż miałam wszystkie zęby i gładką skórę, w przeciwieństwie do senhora, i wcale nie czułam się stara pod względem fizycznym. W umyśle jednak zbliżałam się już do setki. Groźba utraty męża i syna doprowadziła mnie na skraj szaleństwa. Ile jeszcze razy? – zastanawiałam się. Jak często miałam żegnać się z najbliższymi i czuć ten nieznośny ból? Żadne cierpienie nie jest gorsze od tego, jakie odczuwa matka, która traci dziecko, a ja straciłam rodzinę w Afryce, potem Nzingę, a teraz miałam oddać najmłodszego syna. Początkowo krzyczałam i płakałam z rozpaczy, później siedziałam tylko niemo w rogu i próbowałam nie myśleć.

Muhongo pocieszał mnie na swój afrykański sposób, w którym nie potrzeba wielu słów. Jedyne, co powiedział, to:

– Uanhendze będzie lepiej w innej fazendzie niż tu.

Na te słowa znowu chwycił mnie płacz. Ile już razy to słyszałam? Kto mógł wiedzieć, czy gdzie indziej będzie lepiej? Kto myślał o tym, jak się czułam, tracąc szóste dziecko? Czy i dla mnie było lepiej, gdy odbierano mi wszystko, co kochałam?

Pewnego dnia nadeszła ta straszna chwila. Uanhengę odebrał nowy

nadzorca. Stałam sztywna jak pień i z kamienną twarzą przy wjeździe na dziedziniec patrzyłam, jak dwa konie oddalają się coraz bardziej, aż stały się tylko kropkami na horyzoncie. Nie machałam ręką, nie powiedziałam słowa pożegnania. Gdybym otworzyła usta, wydobyłoby się z nich tylko żałosne łkanie. Muhongo czuł się podobnie jak ja. Przynajmniej nasz syn był w dobrym nastroju, a mężczyzna, który go odebrał, sprawiał wrażenie przyjaznego. Może była to prawda i Uanhendze miało w przyszłości powodzić się lepiej niż w naszej fazendzie.

Trudno bowiem, by spotkał go gorszy los. Nasz pan prowadził nieprzemyślane spekulacje i stracił na nich majątek, musiał więc sprzedać rozległe tereny oraz połowę niewolników. Senhora stała się cieniem kobiety i widziało się po niej wstyd z powodu utraconego poważania i postępującego zubożenia. Senhor uległ pijaństwu i stał się popędliwy, a w fazendzie zapanował ponury nastrój. Niemal wszyscy musieli przyglądać się, jak odsyłano ich krewnych, a ci, którzy oddawali najbliższych do kopalni, tak jak ja męża, wiedzieli, że już nigdy ich nie zobaczą.

Kopalnie kamieni szlachetnych w głębi rejonu Bahia nazywano pożeraczami ludzi. Kto tam trafił, nigdy nie wracał. Praca była ciężka, codziennie zdarzały się śmiertelne wypadki, a dzikie obyczaje dopełniały dzieła. Kto nawet przeżył pracę, mógł zostać skrytobójczo zamordowany we śnie dla kilku odłamków szmaragdów. Posyłano tam tylko bardzo młodych chłopców, jeszcze na wpół dzieci, oraz dojrzałych mężczyzn, ponieważ silnych młodych ludzi w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat bardziej potrzebowano gdzie indziej. Poza tym byli zbyt dużo warci, by opłacało się zatrudnianie ich w kopalni, umierali tam bowiem po kilku latach.

To, że mojego Muhongo miał teraz spotkać najgorszy dla niewolnika los, doprowadzało mnie do szaleństwa. O ile moje „brazylijskie" dzieci mogły sobie jakoś poradzić – w głębi serca byłam bowiem przekonana, że się im uda – Muhongo był beze mnie sam na świecie. Przeżył kilka pięknych lat ze mną i z Uanhengą, ale fakt, że teraz posyłano go na śmierć w kopalniach, z dala od ojczyzny i rodziny, uważałam za szczególną parszywość losu. Chciałam być przy nim, jeżeli miało mu to pomóc, chciałam dać mu na drogę do królestwa przodków afrykańskie zaklęcia i zadbać, żeby gdy już nastąpi koniec, nie zakopano go jak psa.

Postanowiłam uciec.

To, na co nie zdobyłam się w ciągu dwudziestu lat, ponieważ ze względu na dzieci wydawało mi się zbyt niebezpieczne, teraz uznałam nagle za słuszne i proste. Pójdę. Sama i pieszo trafię do kopalni. Jeżeli udawało się to mężczyznom w łańcuchach, poradzę sobie i ja. Nasza osierocona fazenda nie miała już porządnych nadzorców, stróżujące psy

były stare i zmęczone, podobnie jak nasi właściciele, a pozostali niewolnicy tak mało warci, że zbiegów nie ścigano by za wszelką cenę. Byłam w pełni przekonana, że ucieczka mi się powiedzie.

Aby nie narażać mojego biednego męża, nie powiedziałam Muhongo ani słowa o moich planach. Pożegnałam się z nim niemal tak oficjalnie, jak zrobiłam to wcześniej w wypadku syna.

On sam był podobnie sztywny i wpatrywał się w zakurzoną ziemię, gdy powiedział do mnie po portugalsku:

– Imaculada dzielna kobieta. Myśleć o Betinho i Dodo, nie o stary mąż.

Użył naszych niewolniczych imion i mowy przestępców, ponieważ w pobliżu stał senhor. Zrozumiałam jednak, że chciał, bym troszczyła się nie o niego, lecz o dzieci. Podejrzewał zapewne, co chodzi mi po głowie.

Lekki uśmiech pojawił się na moich wargach, gdy odparłam, również łamanym portugalskim:

– Lula dobry mężczyzna. Zawsze słuchać sinhô, pilnie pracować.

Skinął głową. Miałam nadzieję, że zrozumiał. Chciałam, żeby nie uciekał i nie robił niczego, czym naraziłby życie. Pragnęłam go znowu zobaczyć, nieważne kiedy i gdzie.

Potem szereg skutych łańcuchem mężczyzn ruszył. Dopiero gdy znaleźli się daleko, pozwoliłam sobie na płacz.

Minęło około trzech tygodni, w czasie których z powodu natłoku pracy nie miałam kiedy opracować planu ucieczki. Ponieważ zostało już niewielu niewolników, każdy z nich musiał wykonywać zajęcia trzech osób. Pracowałam w polu, prałam, prażyłam mąkę, karmiłam bydło, zamiatałam dziedziniec i załatwiałam wszystko, co nie miało związku z Casa Grande. W domu państwa nadal nie byłam bowiem mile widziana. Choć dwie trzecie życia spędziłam w Brazylii, w oczach właścicieli, a także innych niewolników nadal byłam Afrykanką, dzikuską, Hotentotką. Takiego stworzenia, bardziej zwierzęcia niż człowieka, biali nie mogli wpuścić do swojego domu.

Nieoczekiwanie nadarzyła się okazja, na którą bardzo czekałam, ale na którą zupełnie nie byłam przygotowana. Senhor i senhora wyruszyli w podróż do stolicy, Rio de Janeiro. Wyjechali na co najmniej cztery tygodnie, ponieważ sam rejs statkiem trwał tydzień. Na czas swojej nieobecności zatrudnili dodatkowego nadzorcę, żebyśmy nie zaczęli się buntować. Nie istniało jednak takie niebezpieczeństwo. Większość niewolników była już stara lub dotknięta kalectwem, które uniemożliwiało ich sprzedaż. Ja sama moim zdaniem byłam nadal warta ładną sumkę, ponieważ dopisywało mi zdrowie i miałam dużo siły. Sądzę, że zatrzymali mnie z czystej złośliwości, zamiast pozwolić mi udać się za mężem.

Nowy nadzorca okazał się pijakiem. Ledwo senhorowie wyjechali, spił się i na wiele godzin legł w cieniu wielkiego drzewa tamarineiro, by odespać odurzenie. Nie zwlekałam długo. Przygotowałam tobołek, zgromadziłam dużo prowiantu i kilka przydatnych narzędzi, a potem położyłam się spać, by zebrać siły na nadchodzący dzień. Postanowiłam wyruszyć, gdy tylko nadzorca znowu się spije.

Tak też zrobiłam. Poza nieco niedorozwiniętą służącą nikt nie zauważył, że wychodzę w biały dzień, a gdyby nawet ktoś zwrócił na mnie uwagę, na pewno by mnie nie wydał. Sam nadzorca dopiero przy wieczornym liczeniu stwierdzi, że kogoś brakuje. Wiedziałam, że wtedy ktoś okaże się na tyle przytomny, by podsunąć mu jakieś kłamstwo.

Okazało się to tak proste, że pogardzałam sama sobą, iż nie odważyłam się na ucieczkę wcześniej. Byłam w dobrej kondycji, a kraj, który w przeciwieństwie do mojej ojczyzny porastała gęsta tropikalna roślinność, sprzyjał wędrowcom. Żyły tu węże, krokodyle i pumy, owszem, ale bały się ludzi bardziej niż oni ich. Wszędzie było dużo wody, na drzewach dojrzewały liczne owoce i dziecinnie proste było pokonanie pieszo dużego odcinka drogi. Nie zatraciłam dawnych instynktów. Trwało co prawda kilka dni, nim odzyskałam je w dawnym stopniu, ale w końcu wróciły. Słuch miałam wyostrzony, podobnie jak węch, a wzrok bardzo dobry nawet w ciemności. Szłam i szłam, aż wreszcie zostawiłam za sobą gęsto zaludnione rejony wybrzeża. Kiedy las się przerzedził, teren stał się bardziej górzysty, a klimat suchy. Wiedziałam, że kopalnie muszą być blisko.

Gdy do nich dotarłam, nikt nie dziwił się mojemu przybyciu ani wyglądowi. Ludzi ogarniało takie poczucie beznadziejności, że obojętnieli na wszystko. Kogóż obchodziła jedna obszarpana osoba więcej? Było tam też kilka nierządnic, przerażających, wyniszczonych postaci, które oferowały resztki swoich wdzięków temu z biednych skazańców, który zaoferował najwięcej. Ich dzienna płaca nie starczała na więcej niż ciepłą zupę. Nikt nie pytał o moje imię ani pochodzenie, tylko kilka starych ladacznic obrzuciło mnie obelgami, ponieważ podejrzewały we mnie konkurencję. Gdy wyjaśniłam nieporozumienie, większość ich okazała się chętna do pomocy.

– Przed kilkoma tygodniami przybyła cała gromada z południa. Większość mężczyzn, jak sądzę, posłali do kopalni Oprawcy. Głównie akwamaryna.

Było mi zupełnie obojętne, jakie kamienie tam wydobywają, natomiast bardzo interesowało mnie, dlaczego właściciela nazywano Oprawcą. Oczywiście, nietrudno było się tego domyślić.

– Nikt nie przeżywa tam dłużej niż rok. Jeśli chcesz zobaczyć męża żywego, lepiej się pospiesz.

Zrobiłam to. Powędrowałam dalej i pytałam o drogę na teren Oprawcy, który był najwyraźniej bogatym i znanym człowiekiem, bo

wszyscy o nim słyszeli. Gdy po wielu dniach wreszcie przybyłam na miejsce, znajdowałam się u kresu sił. W tej niegościnnej krainie niewiele było żywności, a pieniędzy nie miałam. Posiadałam jedynie ozdoby, pochodzące z czasów, gdy byłam faworytą senhora, ale nigdy nie oddałabym cennego złotego serca za talerz fasoli. Tyle bowiem otrzymałabym w zamian, ponieważ złoto i kamienie szlachetne nie były tu warte więcej niż muszle na wybrzeżu.

Znalezienie pracy okazało się łatwe. Był tam szynk, gdzie wolni Murzyni pracujący w kopalniach przepijali swoje głodowe płace. Chętnie zatrudniono mnie za wyżywienie i nocleg jako kobietę do wszystkiego, bez zadawania wielu pytań. Powiedziałam, że jestem wolna, ale zgubiłam w drodze potwierdzające to dokumenty. Nikogo to szczególnie nie obeszło. Gospodarz ucieszył się, że znalazł pracowitą kobietę, która umiała gotować, sprzątać i prać, a nie była na tyle młoda, by goście tracili dla niej głowy. Nazywał się Sopa, „Zupa", ale nigdy nie dowiedziałam się, skąd wziął się ten przydomek. Był Mulatem w średnim wieku, który po śmierci żony i dwóch córek zgorzkniał i nie miał już celu w życiu. Dzięki złotemu pyłowi i odłamkom kamieni szlachetnych, jakimi płacono mu w gospodzie, mógłby prowadzić beztroskie życie w Salvadorze, ale chyba czuł się dobrze w towarzystwie innych straconych dusz.

Niewolnicy Oprawcy, jak zdradził mi Sopa, byli najbiedniejsi ze wszystkich. Dostawali niewiele jedzenia i mieszkali w nieszczelnych namiotach, znacznie za małych na liczbę mężczyzn, których do nich wtłaczano. Od rana do nocy harowali w kopalniach, bez żadnych zabezpieczeń. Gdy zapadł się podziemny chodnik, znajdującym się w nim ludziom pozwalano po prostu umrzeć, ponieważ szkoda było wysiłku na ratowanie kilku „zepsutych Murzynów". W duchu żywiłam nadzieję, że Muhongo trafił jednak do innego pana.

Kilka dni później nadzieja ta się rozwiała. Obserwowałam różne kopalnie, aż w końcu w szeregu skutych łańcuchem, udręczonych mężczyzn rozpoznałam twarz męża. Odbijało się na niej nieskończone cierpienie.

Złamano jego dumę, a mnie serce.

41

– Jesteś... w odmiennym stanie? – spytał Zé wprost, gdy Lua się obudziła.

Musiał wstać już dawno, ponieważ miał mokre włosy. Najwyraźniej wykąpał się w morzu.

Lua ziewnęła, by zyskać na czasie, choć nagle w pełni oprzytomniała. Pytanie błyskawicznie przegoniło wszelkie myśli o dalszym śnie.

– Co? – spytała matowym głosem.

– Czy spodziewasz się dziecka?

– Skąd przyszło ci to do głowy?

Milczał przez chwilę, jakby poważnie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Ponieważ wiele na to wskazuje: twoje sekrety z Kasindą, poranne mdłości, brak okresu.

– Proszę cię, Zé! – Luę paliły uszy. Mężczyźni nie powinni wiedzieć o procesach zachodzących w kobiecym ciele. Było w najwyższej mierze nieprzyzwoite mówić o tym.

– Twój wstyd jest zupełnie nie na miejscu, Lua. Przywróciłem cię do zdrowia i znam twoje ciało niemal równie dobrze jak własne. Odpowiedz mi zatem, proszę.

– Ja... nie wiem. – Wiedziała jednak bardzo dobrze. Było tak, jak powiedział – oznaki ciąży mnożyły się i obecnie była już przekonana, że nosi dziecko pod sercem.

Zé patrzył na nią przez chwilę w milczeniu. Domyślała się, co chodzi mu po głowie. Jeżeli rzeczywiście spodziewa się dziecka, ich niełatwe położenie stałoby się jeszcze trudniejsze. Zé nigdy nie zdałby dziecka – swojego dziecka – na łaskę senhora. Nie chciałby również, żeby dorastało w Liberdade. Nawet w korzystnych okolicznościach śmiertelność noworodków była bardzo wysoka. W puszczy zaś, przy rojach komarów, dusznym powietrzu i niskim poziomie higieny, szanse na przeżycie dziecka były bardzo niewielkie.

– Indianie mają dzieci – rzekł sucho, jakby czytał w myślach Lui i próbował obalić jej argumenty.

– Indianie mają dzieci, i wiele z nich tracą. – Nie wiedziała tego na pewno. Czy Indianie byli lepiej przygotowani fizycznie do życia w puszczy? Czy ich dzieci z mlekiem matki wsysały wewnętrzną osłonę, która czyniła je odpornymi na komary i inne niebezpieczeństwa?

– Czy dlatego weszłaś do wody? Ponieważ nosisz dziecko? – Głos Zé brzmiał nieskończenie smutno, jakby Lua celowo i z premedytacją próbowała zamordować jego potomka.

– Powtarzam ci, że nie wiem, czy naprawdę jestem w odmiennym stanie.

– Ale Kasinda uważa, że tak, prawda? W takich sprawach nigdy się nie myli.

– Oczywiście! Stara Kasinda zawsze wie wszystko lepiej, tak samo jak ty. Ha, powinieneś się usłyszeć! Stara kobieta i mężczyzna, co wy o tym wiecie? Jeżeli nie ufasz nawet, że mam tę pierwotną kobiecą wiedzę, to naprawdę jesteś bardziej arogancki, niż sądziłam.

– Pierwotną wiedzę? – dopytywał z niedowierzaniem.

– Oczywiście.

– Nie sądzisz, że ojciec dziecka też ma coś do powiedzenia?

– Jakiego dziecka?

– Boże, Lua! Kręcimy się w kółko. Nie rozumiem, dlaczego robisz z tego tajemnicę. Nie chcesz zostać matką? Nie cieszyłoby cię, gdybym cię rozpieszczał? Gdybyśmy wspólnie patrzyli, jak rośnie ci brzuch, i wybierali imię dla naszego dziecka?

– Na pewno myślisz o czymś w rodzaju „Umba-Umba" albo „Ngagadmebele".

– Nieźle – uśmiechnął się. – A ty wolałabyś pewnie „José" albo „Maria"?

– Oczywiście. Nasze dziecko nie powinno iść przez życie jako „Bombom".

– Nasze dziecko? Czyli to prawda?

Lua wzruszyła ramionami. Czy miało sens dłużej zaprzeczać?

– Sądzę, że tak.

Objął ją mocno i pocałował w czoło oraz czubek głowy.

– To cudownie, Lua – wyszeptał. – Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym mężczyzną na ziemi!

Cieszyła się, że ją objął. Miło było przytulić głowę do silnego ramienia Zé, czuć ciepło jego ciała i miękkość skóry. Do tej pory nie wiedziała nawet, jak bardzo za nim tęskniła, jak bardzo potrzebowała takiej czułości. Nie przypuszczała także, jak wyzwalające będzie wyznanie, które tak długo odwlekała. Nagle nie rozumiała już powodów, które skłoniły ją do tej zwłoki. Okazało się to przecież

całkiem proste. A reakcja Zé była milsza, niż Lua zasługiwała. Czuła tak wielką ulgę, że chętnie by się rozpłakała. Wreszcie nie była już dłużej sama z dzieckiem w brzuchu i lękiem przed przyszłością. Miała Zé. Razem stawią czoło nieznanemu losowi.

A może ogarnął ją tylko taki nastrój? Czy może dać się uśpić wyrozumiałości Zé i jego czułej trosce? Czy samo objęcie przez niego rozwiązywało wszystkie problemy? Zé zauważył jej wątpliwości, sygnały sceptycyzmu, które musiała podświadomie wysłać. Zamiast jednak na nie zareagować wziął Luę za rękę i powiedział:

– Wejdźmy do morza. Jest odpływ, a znalazłem przepiękne miejsce, gdzie możemy wykąpać się bez obaw.

Pozwoliła mu się poprowadzić. Cieszyła się, że to pierwsze nieśmiałe zbliżenie między nimi nie zostało zniszczone dalszą dyskusją nad problemem. Spacerowali po plaży, trzymając się za ręce niczym para beztroskich kochanków.

– To tutaj – powiedział Zé ochrypłym głosem. Zrzucił chustę, którą owinął biodra.

Lua musiała powstrzymać się, by nie przyglądać się długo jego ciału, a zwłaszcza podbrzuszu. Jakże był piękny! Popatrzyła Zé w oczy i dostrzegła w nich drwiące iskierki. Poczuła się przyłapana.

Poluźniła węzeł mocujący chustę nad piersiami i również rzuciła okrycie na piasek. Było dziwne, by z pełną świadomością tego, co się czyni, stanąć nago przed drugim człowiekiem. Oczywiście, Zé znał jej ciało, ale gdy była chora, nie miała takiego poczucia wstydu. Teraz czuła się, no cóż... naga. Było to kłopotliwe wrażenie. Nie pomagało wcale, że Zé nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem.

Wziął ją za rękę i biegnąc, pociągnął do wody.

– Ale skały... – ośmieliła się zaprotestować.

Roześmiał się.

– Dlatego to miejsce jest tak wspaniałe, że jest tu tylko piasek. Możemy wbiec bez obaw. Chodź!

Odegrali dziecinny spektakl. Opryskiwali się i śmiali przesadnie głośno, jakby musieli sobie udowodnić, że swoją nagość i intymność tej sytuacji uważają za najbardziej naturalne pod słońcem. Czuli jednak głębokie zawstydzenie.

Brodzili dalej, aż woda sięgnęła im kolan. Zé zatrzymał się, usiadł i dał Lui do zrozumienia, by uczyniła to samo. Było tam pięknie. Na tej głębokości można było siedzieć niczym w cebrze do kąpieli, w wodzie do ramion, z głową na powietrzu. Słona woda unosiła ich, więc czuli się znacznie lżejsi niż na lądzie. Lua miała wrażenie, że wzlatuje. Wokół pływały stada kolorowych ryb, a niemal gładka powierzchnia wody, opływająca ich w łagodnych falach, lśniła w blasku słońca. Promienie poruszały się równie leniwie po twarzach. Lua zamknęła oczy i rozkoszowała się grą światła na skórze. Była to magiczna chwila.

Najwyraźniej również Zé był nią oczarowany. Przysunął się do Lui i objął jej talię. Dotyk ten pod wodą wydawał się znacznie łagodniejszy niż na lądzie. Lui przebiegł po plecach dreszcz, pienisty i podniecający. Poczuła, że jej sutki ściągają się i twardnieją, Zé również to dostrzegł. Dotknął jej piersi, objął je łagodnie i masował. Lua zamknęła oczy i poddała się uczuciu rozkoszy, jakie wywoływał w niej jego dotyk. Potem Zé zmienił pozycję, co Lua usłyszała jako plusk wody. Nadal nie otwierała oczu. Musiał klęknąć tuż przed nią, ponieważ przesuwał teraz obiema dłońmi po jej piersiach, a potem po brzuchu aż do talii, którą objął, i przyciągnął Luę do siebie.

Jego usta smakowały słono, a zarazem słodko. Pocałunek, najpierw lekki jak piórko, stawał się coraz gorętszy, usta Zé coraz bardziej natarczywe. Ich języki odnalazły się i kosztowały nawzajem, pieściły się w zniewalającym naśladowaniu gry miłosnej. W pocałunku tym kryła się tak wielka obietnica, że Lua także objęła Zé i przesuwała dłońmi od jego szyi przez ramiona i plecy do bioder. Poczuła, że bardzo mu się to podoba, ośmieliła się zatem na więcej. Dotykała jego pośladków, wyczuwając jego mocne mięśnie pod gładką skórą, i głaskała uda, skąd powędrowała do przodu. Usłyszała, jak Zé na chwilę wstrzymuje oddech. Podnieciło ją to i zachęciło, by sięgnąć do jego członka.

Tym razem Lui zaparło dech w piersiach. Jego penis był sztywno wyprostowany i drgał pod jej dotknięciem. Sprawiał cudowne wrażenie, twardy, duży i wyprężony pod aksamitną skórą, która dawała się bez trudu przesuwać. Lua otworzyła oczy. Jeszcze nigdy nie widziała go w świetle dnia i zawsze brakowało jej odwagi, by przyjrzeć się uważniej. Teraz jednak nic jej w tym nie przeszkadzało. Nie było to wcale nieprzyzwoite. Uważała, że jego członek jest przepiękny – nabrzmiałe żyłki pod ciemną skórą, różowa żołądź, która ukazywała się i chowała w rytm jej ruchów. Dostrzegła, że teraz Zé zamknął oczy, i usłyszała jego ciche jęki. Podnieciło ją to niemal jeszcze bardziej niż jego boskie ciało.

Zé badał tymczasem palcami jej szparkę. Pocierał ją łagodnie, ale zdecydowanie i nakazująco, i znalazł punkt, przy którego dotknięciu Lua poczuła nieskończoną rozkosz. W jej podbrzuszu wszystko ścisnęło się w tak rozkoszny sposób, że teraz to jej wyrwał się cichy jęk. Gdy nie mogła już wytrzymać, Zé nasilił ucisk. Otworzył oczy. Spojrzeli na siebie oboje zamglonym wzrokiem, a Zé dalej masował jej intymne miejsce. Nagle całe ciało Lui przeszył skurcz i zalała ją fala podniecenia, tak silna, że Lua wyprężyła się i wydała cichy okrzyk.

Zé masował jej wzgórek łonowy, wiedząc, że kolejne mocne potarcie najbardziej wrażliwego punktu sprawiłoby tylko ból. W ten sposób jednak wywierał dalszy łagodny nacisk, który przyniósł Lui kolejną falę najwyższej rozkoszy.

Potem uniósł ją i posadził na sobie.

Ogarnęło ją nieopisane uczucie spełnienia, gdy wniknął w nią ostrożnie. Słyszała urywany oddech Zé i widziała jego rysy wykrzywione namiętnością. Dzięki nieważkości w wodzie ich zjednoczenie pomimo wagi jej ciała nie przebiegało silniej, co Lua początkowo powitała z ulgą. Był dla niej po prostu za duży.

Wraz z rosnącym pożądaniem zwiększyła jednak tempo, a Zé chwycił ją za miednicę. Unosił ją i opuszczał w coraz szybszym rytmie, Lua zaś wbiła mu palce w plecy i wyginała się ku niemu. Ich złączenie było tak idealne, rozkosz tak zniewalająca, że wspólnie dotarli na szczyt namiętności, dysząc i jęcząc. Lua nigdy wcześniej nie czuła tak słodkiego bólu jak ten wywołany skurczami w podbrzuszu. Zé znalazł się w niej wreszcie najgłębiej i za każdym pchnięciem zostawał dłużej, po czym i jego ciało przeszedł dreszcz. Wytrysnął z chrapliwym „ach!", ciepło i ku pełnemu zaspokojeniu obojga.

Lua siedziała na nim jeszcze przez chwilę i gładziła jego spoconą twarz. Skropiła ją odrobiną wody i podziwiała widok tego pięknego, kochanego oblicza, którego nigdy wcześniej nie widziała tak rozluźnionego. Po pewnym czasie zsunęła się z Zé i odchyliła głowę do tyłu, by się ochłodzić. Ośmieliła się nawet z zaciśniętym nosem zanurzyć twarz, na co nigdy by się nie poważyła, gdyby była sama. Potem wstała, by wyjść na ląd. Poczuła, że drżą jej nogi.

– Och nie, tak szybko cię nie puszczę. – Zé chwycił ją za rękę i przytrzymał. Chętnie uklękła na powrót w wodzie. Zobaczyła, że Zé znowu ma wspaniałą erekcję, co na wpół ją ubawiło, na wpół zaniepokoiło.

– Nie chcesz chyba...? – spytała.

– Owszem. Ty także zaraz tego zapragniesz.

Uniósł się i również przyklęknął, tak że znalazł się tuż za nią. Poczuła na pośladkach jego dumnie sterczący członek, a Zé objął ją w pasie. Wtulił twarz w jej szyję i okrył kark oraz płatek ucha drobnymi pocałunkami. Gryzł i ssał jej szyję i szeptał do ucha czułości, aż ją łaskotało. Jego dłonie powędrowały tymczasem w górę po jej brzuchu i gładziły teraz piersi, których brodawki już dawno się skurczyły. Zé miał rację – również w Lui obudziła się ochota na więcej.

– Przesuńmy się trochę bliżej plaży, gdzie jest płycej – nakazał i popchnął ją, na wpół płynąc, przed sobą. Lua nie rozumiała, dlaczego Zé chce kontynuować miłosną grę w płytszej wodzie, ale zdała się na niego.

Niedługo zrozumiała, co miał na myśli. Rozsunął jej nogi, popchnął nieco do przodu i ostrożnie wszedł w nią od tyłu. Pod coraz większą siłą pchnięć pochylała się coraz bardziej, aż wreszcie oparła się rękoma na piasku, więc znalazła się przed Zé na czworakach. Przyszło jej do głowy, że zachowują się jak zwierzęta, potem jednak wszelkie myśli

rozwiały się pod wpływem namiętności.

Zé chwycił ją za biodra i przesuwał tam i z powrotem, coraz szybciej i natarczywiej, niemal szorstko. Rozkoszowała się siłą jego dłoni i mocnymi pchnięciami, i wystawiała się ku niemu tak, że jej plecy tworzyły łuk, a pośladki były mocno wypięte. Woda pluskała wokół i zagłuszała zdyszane, jęczące dźwięki, jakie wydobywały się z ich ust pod wpływem rozkoszy.

Był to animalistyczny akt, ostry i nastawiony wyłącznie na zaspokojenie fizycznego pożądania. Nie patrzyli sobie w twarz i nie całowali się. W tej chwili tego jednak nie potrzebowali. Siła ich zespolenia była tak wielka, że wykluczała czułości. Lua nie pragnęła niczego innego niż tego, aby Zé wchodził w nią coraz mocniej i głębiej, pozwalał poczuć jej całą siłę swego pożądania i sprawiał, że zapominała o wszystkim innym. Gdy ich zapamiętanie zbliżało się do punktu szczytowego i Lua odchodziła już niemal od zmysłów, zdyszana z rozkoszy, wydała krzyk, który w jej własnych uszach brzmiał nieludzko. Jej ciało przebiegło cudowne drżenie. Jednocześnie usłyszała głęboki jęk Zé i poczuła, jak jego ekstaza rozładowuje się w pompujących ruchach. Opadł na nią wyczerpany.

Trwali przez chwilę w tej pozycji, klęcząc jedno za drugim, a jego ciało spoczywało na jej plecach, i czekali, aż ich oddechy się uspokoją. Lua czuła przyspieszone bicie serca Zé i doświadczała tak głębokiego spełnienia, że mogłaby się rozpłakać.

Gdy wyszli z wody, zdrzemnęli się. Po przebudzeniu Zé zaczął nagle zachowywać się niespokojnie.

– Wyruszam. Nie mamy już prawie nic do jedzenia.

Ubrał się błyskawicznie i odszedł w pośpiechu. Lua patrzyła za nim. Byłoby pięknie poleżeć z nim trochę dłużej, porozmawiać, pieścić się i czule przekomarzać. Ogarnęła ją dziwna melancholia.

Poczuła głód i sięgnęła do zapasów. Mieli jeszcze dość jedzenia, by starczyło dla nich dwojga na kilka dni. Nie było wcale konieczne, by Zé tak nagle się oddalił. Nie wiedziała, co naprawdę nim kierowało. Im bardziej się nad tym zastanawiała i im dłużej czekała na jego powrót, tym większy ogarniał ją gniew. Czy nie mógł przy niej zostać, by zaspokoić jej potrzebę rozmowy i odrobiny czułości? Było niemal obraźliwe, że najpierw pokrył ją niczym oszalały z miłości byk, a potem nie poświęcił jej najmniejszej uwagi. Podsycała w sobie gniew i obmyślała rozliczne złośliwości, jakimi zarzuci Zé, gdy tylko się zjawi.

Gdy jednak wrócił, długo po zmroku, gniew Lui zdążył się wypalić. Zé miał tyle przyzwoitości, by przybrać skruszony wyraz twarzy i wymruczeć przeprosiny. Potem podał jej słoik z zawekowanymi słodkimi cajú. Podsunął też małą miedzianą kankę ze śmietaną. Doce de cajú ze śmietaną! Lua nie mogła tego pojąć.

– Jedz. Wy dwoje tego potrzebujecie – nakazał Zé, jakby chodziło o lekarstwo, a nie o rzadki przysmak.

Jadła. Nie wiedziała przecież, czy będzie mogła znowu skosztować takich przysmaków i kiedy.

42

Zatrzymałam się przy Muhongo, który w szeregu robotników zmierzał do kopalni, by podać mu mango. Nagle obok mnie świsnął pejcz poganiacza niewolników.

– Czego tu szukasz, babo? Idź do diabła! – krzyknął.

Ze strachu upuściłam mango na ziemię, a on podniósł je i wyssał z przyjemnością.

Minęło wiele dni, nim przyszedł mi do głowy dobry pomysł. O świcie znów stanęłam u wejścia do kopalni. Gdy nadszedł oddział Muhongo, podeszłam do nadzorcy, dygnęłam i powiedziałam:

– Głupia Murzynka chce dać jeść biedny mąż. Senhor być dobry chrześcijanin, prawda? – To mówiąc, wcisnęłam mu do ręki kilka monet, które zarobiłam w gospodzie na napiwkach. Była to żałosna suma, ale najwyraźniej wystarczyła.

– No dobrze, biegnij szybko i daj mu te głupie owoce.

Nie zamieniłam z Muhongo ani słowa. W jego oczach wyczytałam jednak wielką wdzięczność, a także troskę. Bał się, że dla niego narażę się na niebezpieczeństwo. To jednak zrobiłam już dawno. Co mogło mnie złego spotkać, skoro bez szwanku przetrwałam ucieczkę i długą wędrówkę, a nawet zdołałam znaleźć płatną pracę?

Nie obawiałam się gniewu Oprawcy. Przez wiele tygodni wszystko toczyło się dobrze. Zostawiałam u nadzorcy moje skromne dochody, aby w zamian podsuwać Muhongo jedzenie. Przynosiłam coraz więcej żywności, bo wiedziałam, że dzieli się nią z innymi mężczyznami. Jednak wiadomość o dzielnej żonie niewolnika rozeszła się i pewnego dnia stanął przede mną Oprawca we własnej osobie. Niezmiernie zdumiało mnie, że był to czarny, krzepki typ w sile wieku.

– No, no, chcesz więc, by twój mąż cierpiał dłużej, niż to konieczne? – spytał drwiąco.

– Nie, sinhô, chcieć pomóc sinhô oszczędzić pieniądze na jedzenie ludzi – odparłam swoim najgorszym portugalskim.

Chwycił się za brzuch ze śmiechu.

– To mi się podoba! Stara Murzynka, która chce oszczędzić Oprawcy kosztów.

Dygnęłam i pogratulowałam sobie najwyraźniej dobrego pomysłu, gdy błyskawicznie świsnął trzcinką do jazdy konnej po mojej twarzy. Przerażona cofnęłam się i chwyciłam za krwawiący policzek.

– Murzyńskie kobiety nie są tu mile widziane. A już na pewno nie zbiegłe niewolnice.

– Ale sinhô, Kasinda być wolna Murzynka! – zapewniłam, a serce biło mi tak mocno, że aż bolało.

– Jesteś tak samo wolna jak twój mąż. Masz wybór – albo odeślę cię z powrotem do twojej fazendy i dostanę znaleźne, albo zostaniesz tu i będziesz pracować dla mnie.

– Kasinda być wolna...

Ponownie trafiła mnie trzcinka, tym razem w ramię, wyrywając wielką dziurę w bluzce.

– Zamknij gębę, ty dzikusko! – krzyknął i uderzał mnie dalej, tak długo, aż bluzka i spódnica zwisały na mnie w strzępach i musiałam rękoma zakrywać nagość. Nie mogłam pojąć, jak jeden czarny człowiek może traktować tak innego czarnego. Oczywiście, również w Afryce między różnymi plemionami wybuchały spory, ale tutaj, na obczyźnie, powinniśmy trzymać się razem, czyż nie?

– Nie musisz się zasłaniać. Nikt nie chce już patrzeć na twoje zwiędłe ciało – obrażał mnie.

Tymczasem oddział robotników ruszył dalej, więc przynajmniej Muhongo nie wiedział o tym zajściu. Z pewnością by zareagował, co mógłby przypłacić głową.

– Pójdziesz ze mną. W moim domu znajdzie się jakieś zajęcie dla takiej jak ty – nakazał Oprawca.

– Ale Kasinda być służąca Sopa, nie może...

– Oczywiście, że możesz! Sopa puści cię bez gadania, wierz mi.

Tak też się stało. Oprawca miał taką władzę, że nikt nie ośmielał się mu sprzeciwić, a już na pewno nie wtedy, gdy chodziło o coś tak nieznaczącego jak stara Murzynka, która dawno przestała być cennym towarem na sprzedaż.

W domu Oprawcy zatrudniono mnie do najgorszych prac. Musiałam opróżniać nocniki i czyścić spluwaczki. Jedno przynajmniej mi się udało – znalazłam się tak blisko wroga, że gdyby na sekundę przestał się pilnować, mogłabym go zniszczyć. Jak mawiają chrześcijanie, trafiłam do jaskini lwa.

Oprawca nie zauważał tlącej się we mnie nienawiści. W domu zachowywał się jak posiadacz ziemski, choć jego domostwo nie mogło się równać nawet z naszą dawną senzalą, a należący do niego niewolnicy stanowili żałosną zbieraninę przestępców i nierządnic. Dla Oprawcy było nie do pomyślenia, by ktoś ośmielił się sprzeciwić jego

życzeniom. Uważał za oczywiste, że jest największy i najsilniejszy, a wszyscy inni dobrowolnie się mu poddają. Okazywał wielką beztroskę, co doprowadzało mnie do białej gorączki. Wieczorami rozsiadał się w wytartym fotelu, który miał już za sobą swe lepsze dni, nakazywał byłej ladacznicy masować sobie stopy, a nieokrzesanym polowym niewolnikom podawać wódkę. Bez skrępowania czkał i puszczał bąki, ponieważ najwyraźniej nie miał nigdy żony, która nauczyłaby go dobrych manier. Od czasu do czasu zabierał do łóżka jedną z nierządnic, choć na pewno mógłby mieć ładniejsze i młodsze kobiety.

– Bije nas – wyznała jedna z nich, gdy pracowałam w domu Oprawcy już kilka tygodni i powoli zaprzyjaźniałam się z resztą „personelu". – Wcześniej nas knebluje, żeby nikt nie usłyszał. – Opowiadała to rzeczowym tonem, tak jak ja mogłabym opowiadać, że znalazłam przed domem martwą papugę.

– Dwa razy do roku jeździ do Salvadoru i pozwala sobie na wytworne kurtyzany, w rodzaju tej Nzingi.

– Co? – spytałam skamieniała.

– Ach, nic. Ty miałaś piękne życie w fazendzie, ale my, ulicznice...

– Jak nazywać kobieta? Nzinga?

– Właśnie tak. Dlaczego pytasz? Znasz ją?

Pokręciłam głową.

– To piękność. Mówi się, że ma magiczną moc, której ulegają mężczyźni. Ja sama widziałam ją tylko raz, ale nigdy nie zapomnę jej zielonych oczu w kształcie migdałów. Nic dziwnego, że mężczyźni za nią szaleją.

– Dziwne imię, prawda? – spytałam. Ile kobiet mogło mieć zielone oczy w kształcie migdałów, a na imię Nzinga? W dodatku młodych i pięknych kobiet? Policzyłam, że moja córka musiała mieć teraz dwadzieścia kilka lat.

– Tak, imię jest dziwne. Ale tobie jako Afrykance powinno wydawać się znajome. Przebąkują, że w rzeczywistości ma na imię Maria Dolores, ale to byłoby za mało egzotyczne. Twierdzi, że jest córką wielkiego wodza Hotentotów. No cóż, kto by w to wierzył...

Odwróciłam się gwałtownie i udałam, że muszę zetrzeć ze stołu wodę. Więc Nzinga została ladacznicą? Czy była nieszczęśliwa? Miała dzieci? Męża? Odpychałam od siebie wspomnienia o niej, ale nagle wszystkie tłumione uczucia dopadły mnie ze zdwojoną siłą.

– No cóż, jeśli ją znasz, nie musisz się o nią martwić – ciągnęła ladacznica, która zauważyła moją zmianę nastroju. – Ma potężnych protektorów i zdobyła wielki majątek. Jest wolna, sama wybrała sobie zawód. Przy odrobinie szczęścia może popracować jeszcze kilka lat, a potem za zaoszczędzone pieniądze otworzyć luksusowy burdel. Zadbała o siebie, możesz mi wierzyć.

– A sinhô móc zapłacić Nzinga? – spytałam, z trudem tłumiąc drżenie w głosie. Dusiłam się na myśl, że Oprawca hańbi moją córkę.

– Nie sądzę. Tylko udaje, że odwiedza drogie kurtyzany. Pewnie woli jednak chodzić do tych średniej klasy. Jest bardzo skąpy.

Czy powinnam odczuć z tego powodu ulgę? Jakie jeszcze wstrętne typy obściskiwały moją córkę, poniżały ją i hańbiły? Jak to znosiła? Jak mogła dobrowolnie to robić, jeżeli naprawdę była wolna i bogata? Opowieść nierządnicy nie wydawała mi się wiarygodna, ale nie zadawałam jej więcej pytań. Później, gdy położę się w hamaku, pomyślę, jak uwolnić Nzingę ze strasznego położenia.

Nie zrobiłam tego jednak, w każdym razie nie zastanawiałam się dokładnie, ponieważ obrazy, jakie pojawiały się w mojej głowie, były zbyt straszne. Co zresztą mogłam uczynić? Moja córka była dorosła i z pewnością nie potrzebowała nieproszonej ingerencji matki. Celowo więc skierowałam myśli na inne tory i skupiłam się na informacji, że Oprawca wyjeżdża co najmniej dwa razy w roku. Przy odrobinie szczęścia zdołam wykorzystać jego nieobecność, aby pomóc jakoś mojemu biednemu Muhongo.

Przebywał w kopalni już od czterech miesięcy, a w ciągu ostatnich dwóch widziałam go tylko krótko i z oddali. Mimo to zauważyłam, że wygląda strasznie – wychudzony, zniszczony, z tępym spojrzeniem i posiwiałymi włosami. Był niewiele starszy ode mnie, ale wyglądał jak złamany starzec. Jeżeli szybko nie wymyślę, jak go uratować, nie pożyje długo.

Myślałam o starych ludziach w Afryce, których poważano za mądrość i doświadczenie życiowe i którym okazywano wielki szacunek. W domu Muhongo z pewnością byłby teraz starszym plemienia i zasięgano by jego rady we wszystkich ważnych sprawach, które dotyczyły wioski i wspólnoty lub kwestii prywatnych. Młode pary zwracałyby się do niego z problemami, pokłóceni sąsiedzi prosiliby o sprawiedliwy wyrok, a młodzieńcy o wskazówki przed swoją pierwsza wielką wędrówką, będącą swego rodzaju sprawdzianem dojrzałości. A tu? Traktowano go jak starego, parszywego psa. Napełniało to moją duszę bólem.

Pewnego dnia, gdy pracowałam u Oprawcy już prawie pół roku, wyruszył on wreszcie w podróż do stolicy. Zaostrzył rygor w kopalniach i zatrudnił w domu dodatkowego nadzorcę, żebyśmy wszyscy nie uciekli. Mimo to byłam w dobrym nastroju, bo jednym z mężczyzn – któremu Oprawca okazywał nieograniczone zaufanie – był właśnie ten poganiacz, który początkowo pozwolił mi przynosić żywność dla Muhongo. Z pewnością i tym razem uda mi się w jakiś sposób przeciągnąć go na swoją stronę.

Nie miałam jednak pieniędzy. Nie zostało mi nawet centavo, a w domu Oprawcy nie dostawaliśmy ani pensji, ani napiwków.

Musiałam poświęcić część moich ozdób, ale właśnie na taki wypadek przechowywałam je i zawsze dobrze ukrywałam.

Nadzorca miał na imię Zêzé i wiedziałam już, jakie są jego dwie słabości – mianowicie lubił pić i kochał mężczyzn. Nie mogłam podsunąć mu ładnego chłopca, ale butelkę wódki dało się załatwić. Wzięłam jedną z małych zawieszek i poprosiłam Zêzé, żeby pozwolił mi iść do wioski po zakupy.

– Co chcesz kupić? Tutaj mamy wszystko, czego nam potrzeba! – krzyknął na mnie nieoczekiwanie ostro. – Czy Oprawca zostawił ci pieniądze? Bardzo by mnie to zdziwiło.

– Och, sinhô Zêzé – rzuciłam celowo uniżenie. – Nie być zły. Stara Kasinda potrzebować tabaka do fajka. Kupić też dla sinhô? – Wiedziałam, że lubi, gdy zwracano się do niego „senhor" lub „sinhô". Nadawało mu to wyższą rangę, niż miał w rzeczywistości.

– A czym chcesz zapłacić za tabakę?

– Ach, sinhô sprytny! – zawołałam, jakbym podziwiała jego detektywistyczne umiejętności. Potem mrugnęłam do niego konspiracyjnie. – Stara Kasinda dostawać jeszcze pieniądze od Sopa.

Zêzé zastanawiał się przez chwilę, a potem powoli skinął głową.

– Niech będzie. Ale wróć przed zachodem słońca.

Dygnęłam i podziękowałam tak wylewnie, jakby właśnie podarował mi wolność, a nie zezwolił na nużący marsz do ubogiej wioski, który więcej korzyści przyniesie jemu samemu niż mnie.

Gdy dotarłam do zabudowań, padał deszcz. W szarym świetle domy wyglądały jeszcze nędzniej niż w blasku słońca. Drogi rozmokły, błoto kleiło się do butów i ubrań nielicznych ludzi, którzy ośmielili się wyjść na dwór, a okiennice sklepów były zamknięte z powodu ulewy. Rzadko widok jakiejś miejscowości napełniał mnie takim smutkiem. Mimo to brnęłam niezmordowanie przez miękką glinę, aż dotarłam do gospody Sopy.

Powitał mnie ponurą miną i słowami:

– Kasinda, wytrzyj nogi!

Znałam go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że cieszy go ta nieoczekiwana wizyta.

– Sim, sinhô Sopa, Kasinda czysta Murzynka – odparłam, ponieważ wiedziałam, że ci, którzy uważali się za naszych panów, oczekiwali od nas właśnie takich słów. Pokora, czystość i głupota – to były cechy, które najbardziej cenili u niewolników, a przyzwoity Sopa nie stanowił pod tym względem wyjątku. Mój portugalski już dawno był znacznie lepszy niż język, którym posługiwałam się przy takich okazjach. Po pierwsze jednak, prymitywna mowa najczęściej mi pomagała, ponieważ rozmówcy mnie nie doceniali, a po drugie, nie zależało mi wcale na tym, by mówić poprawnie. To był język przestępców. Ja sama myślałam, czułam i śniłam nadal w ojczystej mowie.

Gdy wymieniliśmy szereg uprzejmości i błahych nowin, zdradziłam powód mojego przybycia.

– Kasinda mieć złota ozdoba. Chcieć kupić?

Sopa spojrzał na mnie i skinął głową. Bez słowa podałam mu małą zawieszkę w kształcie kwiatu.

– Skąd to masz?

– Dawniej Kasinda bardzo piękna. Faworyta sinhô.

– No dobrze, uwierzę w to. – Ugryzł ozdobę i przyjrzał się jej ze wszystkich stron. – Mogę dać ci za nią najwyżej kilka miedzianych talarów – zdecydował wreszcie.

– Warta więcej! Być złoto!

– Tak, tak, ale złoto nie jest tu wiele warte. Mężczyźni codziennie wydobywają z ziemi całe toboły złota.

– Kilka miedziane monety, tak? I butelka cachaça, i tabaka.

– No dobrze, niech będzie.

Więcej i tak nie chciałam. Alkohol był dla Zêzé, a tabaka służyła tylko jako alibi, bo wcale mi na niej nie zależało. Pieniądze wystarczą, by jeszcze kilka razy przekupić Zêzé. Jedzenie dla Muhongo i jego towarzyszy niedoli podkradnę w domu Oprawcy. Nikt nie zwróci na to uwagi, spiżarnia była wypełniona po brzegi, a ja sama jadłam niewiele. Jeżeli codziennie wezmę kiełbasę i kilka marynowanych owoców, nie ubędzie więcej, niż i tak zjadali młodsi domownicy. Uważałam, że mam do tego prawo.

Początkowo mój plan przebiegał gładko. Zapłaciłam Zêzé za przywilej zaniesienia mężowi kilku smakołyków i wzmocnienia w nim woli życia dzięki swojej bliskości. Jednak po jakichś dwóch tygodniach Zêzé zaczął się niepokoić.

– Musisz przestać tam chodzić. Oprawca może wrócić każdego dnia. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli się dowie.

– Kasinda nic złego nie robić, tak? A sinhô Zêzé też nic złego nie robić.

– Możliwe. On jednak nie lubi, gdy ktoś sprzeciwia się jego poleceniom.

Kilka dni później, gdy nasz straszny pan wrócił z wycieczki, okazało się, jak wiele racji miał nadzorca. Jeszcze zanim Oprawca dojechał do domu, dowiedział się w wiosce i w kopalniach o wszystkim, co działo się podczas jego nieobecności. Wezwał mnie do siebie i po jego spojrzeniu widziałam, że nie czeka mnie nic dobrego.

Wyglądał jak kocur bawiący się myszą, którą i tak już prawie zagryzł.

– Byłaś w wiosce, choć tego zakazałem.

– Sim, sinhô – przyznałam i starałam się wyglądać na jak najbardziej skruszoną.

– Odwiedzałaś męża, żeby zanosić mu jedzenie.

Potaknęłam.

– Czym za to wszystko zapłaciłaś?

– Kasinda mieć trochę pieniędzy – powiedziałam.

Uderzył mnie mocno w twarz.

– Kasinda okraść sinhô! – przedrzeźniał mój błędny portugalski.

– Nie, sinhô! Kasinda nie złodziejka.

Uderzył mnie ponownie. Potem ze złośliwym uśmiechem wyciągnął z kieszeni złotą ozdobę, którą wymieniłam u Sopy na kilka monet i towarów.

– A to? Skąd taka nędzna Murzynka ma złoto, jeśli nie z kradzieży?

Wyjaśniłam mu, że byłam kiedyś młoda i piękna i że mój dawny pan podarował mi biżuterię.

– Podarował? Tobie! A to dobre! Ukradłaś tę zawieszkę i tyle! A wiesz, co robię tu ze złodziejami?

Zrozpaczona, pokręciłam głową. Nie, nie wiedziałam, co robił ze złodziejami, ale mogłam to sobie łatwo wyobrazić.

– Obcinam im rękę.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. Widziałam po Oprawcy, że ma ochotę mnie ukarać, niezależnie od tego, czy byłam winna, czy nie. Podróż nie przebiegła najwyraźniej po jego myśli, a zresztą co mnie to obchodziło? Cokolwiek się stało, wybrał mnie na ofiarę złego nastroju.

Nie zwlekał długo. Zawołał Zêzé oraz dwóch innych mężczyzn, którzy mieli mnie przytrzymać. Krzyczałam i próbowałam się wyrwać, ale nie miałam żadnych szans. Oprawca żelaznym chwytem przycisnął moją prawą rękę do kuchennego stołu, kazał podać sobie siekierę i zamierzył się.

– Kolejny raz okażę ci łaskę. Martwa na nic mi się nie przydasz, bez ręki też nie. Uznaj to więc za ostrzeżenie.

Nagle z bolesną ostrością dostrzegłam każdy szczegół mojego otoczenia – muchy brzęczące pod sufitem, zapach rozkładających się owoców, które gniły w koszu, podczas gdy robotnicy w kopalni tak bardzo byli ich złaknieni, błękitne plamy pleśni w rogach pomieszczenia i karby na masywnym stole z drzewa ipę, prawdopodobnie ślady po podobnych karach jak moja.

Zamknęłam oczy.

Ostatnie, co usłyszałam, nim ogarnęło mnie łaskawe omdlenie, to był świst siekiery, która opadła i z tępym odgłosem wbiła się w drewno.

Nie było natomiast słychać, jak odpadł mój mały palec.

43

A zatem taka była historia małego palca Kasindy. W Sã o Fidélio krążyły fantastyczne plotki o tym, jak go straciła. Lua wstydziła się teraz śmiesznych teorii, które wszyscy snuli. Okazali się tacy głupi i ślepi! Fernanda była przekonana, że palec został ofiarowany przez staruchę w rytualnej plemiennej ceremonii, natomiast Lulu utrzymywał, że Kasinda odgryzła go sobie na statku niewolników, żeby nie umrzeć z głodu. Inni podawali bardziej prawdopodobne przyczyny: wypadek, na przykład w kuchni, czy chorobę, może nawet rodzaj afrykańskiego trądu, który zaleczono w porę, nim odpadły inne palce. Wstrząsali się z udawanym wstrętem i jeśli byli w wesołym nastroju, wymyślali kolejne historie. Brakujący palec rozpalał ich wyobraźnię jak nic innego. Gdy Lua przypominała sobie teraz, jak wszyscy wpatrywali się w Kasindę na wpół z nadzieją, na wpół ze strachem, że zobaczą wreszcie jej okaleczoną dłoń, brzydziła się sama siebie.

Zaczęło padać. Lua uciekła pod mały daszek, który Zé zrobił z liści palmowych, i przyglądała się, jak grube krople tworzą zagłębienia w piasku. Obecnie potrafiła oddawać się takim obserwacjom godzinami. Cóż mogła robić innego? Miała tyle wolnego czasu, że chętnie oglądała podchodzenie wody podczas przypływu lub tokowanie pary ptaków. Niczym w transie wpatrywała się w chmury na niebie lub spoglądała zafascynowana na liść palmowy, który miał wkrótce spaść. Zakładała się sama ze sobą, na przykład, że liść spadnie jeszcze przed zachodem słońca albo że jeszcze przez co najmniej dwa dni będzie bezwietrzna pogoda.

Gdy deszcz ustał, pozostawiając gęsto nakrapiany, ciemny piasek, zjawił się Zé.

– Ten daszek nie jest dobrym rozwiązaniem – powiedział. – Teraz będzie coraz goręcej i bardziej mokro. Gdy nadejdą majowe opady, powinniśmy być na nie lepiej przygotowani.

– Chcesz w maju nadal tu być? – wyrwało się Lui, choć dobrze wiedziała, że Zé nie ponosi winy za ich długi pobyt w tym miejscu.

Bardzo często nakłaniał ją przecież, by wyruszyła z nim do Liberdade.

Nie odpowiedział, tylko popatrzył na nią z migoczącą w oczach tłumioną złością.

– Już dobrze. Przepraszam.

Do tej pory nie rozważali budowy chaty, ponieważ, po pierwsze, nie chcieli zakładać, że zostaną w tym miejscu przez dłuższy czas, a po drugie, aby nie zdradzać różnym nieproszonym gościom, że tu pomieszkują. Do tej pory jednak oprócz Kasindy i Eulálii nikt się w pobliżu nie pojawiał, co samo w sobie było nieco irytujące.

– Zastanawiałem się nad tym i wymyśliłem coś, co będzie nas lepiej chronić przed niepogodą niż dach z liści, a zarazem nas nie zdradzi. Zaraz zabiorę się do pracy. – Zé wydawał się zamyślony, jakby nie był w pełni przekonany, czy jego konstrukcja okaże się przydatna. – Ach, gdybyśmy tylko mieli tu Cacę, na pewno wpadłby na lepszy pomysł!

Lua mruknęła urażona i odwróciła się. Ten trudny temat poruszali często i zawsze wybuchała wtedy sprzeczka. Zé próbował przekonać Luę, że dotychczasowy stan nie może się utrzymywać, bo są zdani tu na pomoc innych, i że w dłuższej perspektywie uda im się przeżyć tylko w grupie, której wszyscy członkowie dzięki swym umiejętnościom mają wkład w dobro ogółu. Lua z kolei była zdania, że grupa, o jakiej myślał Zé, przyniesie jej więcej szkody niż korzyści. Nie zamierzała wracać do Liberdade.

Zabrała się do przygotowywania jedzenia. Odkąd Zé się przy niej znalazł, spożywali stosunkowo urozmaicone posiłki, ponieważ ze swoich „wycieczek" przynosił zawsze różne przysmaki, mogli także gotować. Zé nauczył się od Indian, jak rozpalać ognisko, aby nie dymiło. Dzięki tej umiejętności oraz wybrzuszonemu garnkowi, który Zé ukradł, mogli cieszyć się w miarę zwyczajnymi potrawami. W ich trudnej sytuacji oznaczało to znaczną poprawę, a gdy Lua zjadła po raz pierwszy gorący ryż, w jej oczach pojawiły się łzy wdzięczności.

Gdzieś za paleniskiem Zé zabierał się najwyraźniej do wprowadzenia swojego planu w czyn. Lua słyszała, jak łamie gałęzie, rozrywa duże liście, a przede wszystkim głośno przeklina. Uśmiechnęła się do siebie. Po chwili nie wytrzymała i sprawdziła, co Zé robi. Klęczał pośrodku stosu suchych liści i traw, rozłożonych na rybackiej sieci, która na pewno pochodziła z kradzieży.

– Co to ma być? – spytała.

– Nie waż się śmiać, inaczej nie ręczę za siebie! Boże, nie mogę sobie poradzić z tą przeklętą rzeczą!

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? Mogłabym pomóc.

– Byłaś zajęta. Nie chciałem odrywać cię od gotowania.

Lua wiedziała, że to tylko połowiczna prawda. W rzeczywistości Zé był po prostu zbyt dumny, by prosić o pomoc – on, który przecież nieustannie przypominał, że są zdani na wsparcie ze strony innych

ludzi.

– Potrwa jeszcze chwilę, nim jedzenie będzie gotowe. Może się powoli gotować. Powiedz zatem, co mam robić.

– Chwyć tam – odparł szybko, wskazując leżący najbliżej brzeg sieci. – Teraz uniesiemy ją razem, ostrożnie, żeby maskowanie nie spadło.

Spróbowali, ale liście i gałęzie i tak posypały się na ziemię.

– Musimy je lepiej przymocować – rzekła Lua, czym ściągnęła na siebie wściekłe spojrzenie.

– Ach tak?

– Pozwól mi to zrobić. Jeśli chodzi o delikatne prace, mam zręczniejsze palce od ciebie. Wiem już, jak przyczepić te wszystkie liście do siatki.

Zé skinął głową zamyślony, jakby musiał się zastanowić, czy może powierzyć Lui to ważne zadanie. W duchu cieszył się jednak, że nie musi sam wykonywać mozolnej pracy.

– Ja zacznę tymczasem budowę właściwego schronienia.

Pracowali zgodnie obok siebie, w przyjaznym milczeniu, przerywanym tylko jednym czy drugim cichym przekleństwem.

Podczas posiłku Zé wyjaśnił, jak wyobraża sobie planowaną konstrukcję. Chciał zbudować prostą chatę, podobną do tych, jakie mieli w Liberdade, żeby zapewnić lepszą ochronę przed deszczem dla nich obojga, a także dobytku. Aby chata nie była od razu widoczna, chciał zarzucać na nią rodzaj maskującej siatki, gdyby ktoś się zbliżał. Siatka miała być przyczepiona do drzewa kilkoma cienkimi linkami i wystarczyłoby pociągnąć za sznurek, by w okamgnieniu rozłożyła się i okryła całe schronienie.

– Nie mogę przestać myśleć o tym rybaku, któremu ukradłeś sieć – powiedziała Lua.

– Ach, to tylko niewolnik jakiegoś pana, który na pewno kupi mu nową sieć.

– Nie o to mi chodzi. Gdzie się podziali rybacy? Dlaczego na tym wybrzeżu nigdy ich nie widujemy? Ta samotność zaczyna mi się powoli wydawać upiorna. Czy nad naszą plażą ciąży przekleństwo?

Zé wymruczał jakieś afrykańskie zaklęcie, wykrzywił się złośliwie i wywrócił oczami, a potem wybuchł głośnym śmiechem.

– To wcale nie jest śmieszne – zaprotestowała Lua.

– Ależ jest. Wytłumaczę ci to. Z powodu pobliskiej rafy trudno bezpiecznie wypłynąć stąd na głębsze wody. Fale są silne, prąd także, więc rybacy nie przypływają z innych miejsc, by tu łowić. Większość ich nie umie pływać. Gdyby ich małe łodzie porwała wielka fala, byłoby z nimi krucho.

– Tak, ale...

– ...ale pojedyncze zatoczki są bezpieczniejsze, pomijając oczywiście Zatokę Wszystkich Świętych. Ta jednak znajduje się bardzo daleko. Te

małe zatoczki, w których rybacy cumują łodzie i skąd wypływają, leżą dostatecznie daleko stąd, by nie stanowiły dla nas zagrożenia. Nikt w pełni władz umysłowych tu się nie zapuści. Wiele odcinków wybrzeża jest podobnych do tego i nie oferują niczego, co mogłoby zainteresować ludzi. Tylko piasek, trochę krabów, żółwi i nieskończone rzędy palm kokosowych.

– Mimo to niepokoi mnie, że nigdy nie widujemy nikogo. Znajdujemy się przecież na terenie posiadłości senhora Afonsa, prawda? W Três Marias je się miąższ kokosów, a z włókien palm wyrabiają liny.

– Dlaczego mieliby zbierać je tutaj? Mają dość palm, które rosną bardzo blisko budynków gospodarczych w fazendzie.

– Hmm. – Lua nie była w pełni przekonana, ale dalsze rozważanie tej kwestii nie prowadziło do niczego. Poza tym nie była to przecież wina Zé.

Po posiłku wrócili do pracy. Trwało bardzo długo i wymagało wiele cierpliwości, by przyczepić do sieci każdy liść i każde źdźbło trawy capim. Z pewnością potrzebowali jeszcze jednego czy nawet dwóch dni, by pokryć sieć na tyle gęsto, żeby zapewniała odpowiednią ochronę. Tyle samo czasu potrzebowali na budowę chaty, ponieważ wobec braku narzędzi oraz ludzi do pomocy praca Zé nie posuwała się szybko. Wspólny projekt poprawił im jednak nastrój, więc ochoczo wykonywali swoje zadania i nie tracili zapału. Zazwyczaj milczeli, lecz było to piękne, harmonijne milczenie, jakiego doświadczyć można tylko u boku osoby bardzo bliskiej, która bez słów wie, co chce się jej przekazać.

Po dwóch dniach chata wraz z siatką maskującą była gotowa i mogli się wprowadzić. Wymagało licznych prób udoskonalenie mechanizmu linki pociągowej tak, żeby siatka natychmiast okrywała całą chatę. Początkowo spadała na dach w postaci smętnego stosu, potem zaplątała się w linki, a wreszcie rozdarła się i trzeba ją było zszywać. Lua wielokrotnie była bliska łez, a Zé kilka razy wyglądał tak, jakby chciał rozbić całą konstrukcję i podrzeć siatkę na strzępy. Wreszcie jednak się udało i czuli się dumni ze swojego dzieła.

Korzystali do woli z nowej intymności we własnych czterech ścianach, chociaż nieco krzywych. Czasami godzinami oddawali się radościom fizycznego zjednoczenia i po wielekroć wspinali się na szczyt najwyższej rozkoszy. Było to cudowne. Przez pewien czas Lua oddawała się iluzji, że będzie tak już zawsze – tylko Zé i ona, sami w chatce na plaży, wolni od trosk, z dala od ludzkiej nikczemności.

W głębi ducha wiedziała jednak, że ten rajski stan nie może trwać wiecznie. Oczekiwała dziecka, i już samo to stanowiło wystarczający powód powrotu do tak zwanej cywilizacji. Jak dziecko miałoby wyrosnąć na normalnego człowieka, jeżeli nie znałoby nikogo poza rodzicami? Gdyby nie miało kolegów do zabawy i nie nauczyło się, że

na świecie istnieje zło? Jeśli nigdy nie widziałoby murowanego budynku czy krowy? Nie, nie mogli wiecznie przebywać na plaży.

Pewnego bezchmurnego dnia wydarzyło się coś, czego Lua od dawna się obawiała. Wzdłuż plaży spacerowało dwóch mężczyzn. Lua stała się tak beztroska, że zauważyła ich dopiero, gdy znaleźli się bardzo blisko. Zgasiła ogień, na którym gotował się obiad, parującą zawartość garnka posłała wysokim łukiem w zarośla i pobiegła do chaty, gdzie drżąc, pociągnęła za linkę. Siatka opadła ze świstem na schronienie. Teraz Lua mogła się już tylko modlić, by liczne próby przyniosły pożądany rezultat i siatka rzeczywiście zakryła chatę.

W środku zrobiło się nagle ciemno. Lua miała wrażenie, że nie może oddychać. Serce biło jej tak mocno, aż w uszach rozlegało się echo uderzeń. Podpełzła do okna i wyjrzała przez malutkie dziurki w gęsto pokrytej listowiem siatce. Widok miała co prawda ograniczony, ale wystarczał, by dostrzegła najważniejsze.

To, co zobaczyła, sprawiło, że wstrzymała oddech. Spacerowiczami okazali się młody Manuel z São Fidélio oraz Rui Alberto z Três Marias, czyli brat i mąż Eulálii. Lua nie wiedziała, że mają oni jakieś wspólne sprawy. Z pewnością nie byli przyjaciółmi, ponieważ uwagi, które rzucał czasami przy stole Manuel na temat szwagra, nie brzmiały pochlebnie. Czy łączyły ich interesy? Dlaczego jednak musieli omawiać je na plaży?

Szli po mokrym paśmie piasku, po którym można było stąpać bez trudu. Obaj podwinęli spodnie i trzymali buty w dłoniach. Lua umarła po tysiąc razy, gdy nagle przystanęli, i to dokładnie naprzeciw jej kryjówki. Ponieważ panował odpływ i mężczyźni znajdowali się w pewnej odległości od linii roślinności, nie słyszała, o czym rozmawiają. Zobaczyła jednak, że Manuel wyciąga rękę i wskazuje na palmy. Rui Alberto patrzył w stronę chaty.

Lua przeżegnała się i zamknęła oczy. Teraz po nią przyjdą. Wychłostają ją, każą wykonywać najgorsze prace i zabiorą jej dziecko. To wszystko widziała już przed oczami i nie potrafiła w żaden sposób temu zapobiec. Gdyby przynajmniej był tu Zé! Kilkoma celnymi uderzeniami i kopniakami zdołałby szybko obezwładnić intruzów.

Kiedy otworzyła oczy, ku jej wielkiemu zdumieniu obaj mężczyźni stali nadal w tym samym miejscu i dyskutowali gorączkowo. Zaczęła mieć nadzieję, że wcale jej nie widzieli. Kamuflaż okazał się skuteczny, Zé i ona dokładnie go zresztą sprawdzili. Poza tym trudno było w ogóle zobaczyć coś w cieniu poszycia, jeżeli stało się w jasnym słońcu. To tylko przypadek, szalony przypadek! Lua poczuła tak wielką ulgę, że z trudem powstrzymała się od głośnego zawołania „alleluja".

Po kilku minutach, które wydawały się wiecznością, intruzi ruszyli z powrotem. Lua modliła się, aby Zé, który musiał właśnie do niej wracać, zobaczył ich w porę i zdołał się ukryć. Przemknęły jej przez

głowę tysiące strasznych obrazów tego, co może się zdarzyć. Co, jeżeli Zé także szedł po mokrym piasku i zdradzą go ślady stóp? A może wdrapywał się właśnie na skały, gdzie szukał małżów i krabów, i był widoczny z daleka? Bardzo chciała go ostrzec, nie pozostawało jej jednak nic innego, jak trwać w ciemnej, dusznej kryjówce i mieć nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Słońce stało już nisko, gdy wreszcie odważyła się wyjść z okrytej siatką chaty. Umierała z niepokoju o Zé. Zawsze starał się wrócić przed zmrokiem, ponieważ marsz po plaży w ciemności wiązał się z pewnym ryzykiem. Niektóre skały ciągnęły się daleko i zakrywała je warstwa piasku, więc jeżeli się ich nie widziało, można było się potknąć. W tym zaś położeniu nie mogli sobie pozwolić nawet na zdarcie paznokcia u nogi – bez leków, alkoholu i czystych opatrunków małe nawet zapalenie mogło w najgorszym wypadku skończyć się śmiercią.

Gdy Zé wreszcie nadszedł, Lua osunęła się z płaczem na kolana.

– Nigdy więcej tego nie rób, słyszysz?!

Wziął ją w ramiona i mruczał słowa pocieszenia jak do małego dziecka. Kołysał ją i po pewnym czasie udało mu się ją uspokoić.

– Chciałem wrócić wcześniej – powiedział. – Wyszło mi jednak naprzeciw dwóch białych, dokładnie rzecz biorąc, młody...

– ...Manuel oraz senhor Rui Alberto – dokończyła Lua. – Byli także tutaj.

Zé drgnął z przerażenia i tym razem to Lua musiała jego uspokajać:

– Bez obaw. Nasza siatka uratowała mi życie. Niestety, w pośpiechu musiałam wyrzucić posiłek w krzaki. – Uśmiechnęła się do Zé: – Będzie pan musiał zadowolić się dziś zimną kolacją, sinhô.

– Ale potem mogę liczyć na coś gorącego, prawda? – Powiódł wzrokiem po jej ciele i Lua dobrze wiedziała, co mu chodzi po głowie.

– Jeśli nieco rozniecisz mój żar, nie widzę przeszkód.

Przyciągnął Luę do siebie i całował po szyi, co, jak dobrze wiedział, bardzo ją podniecało. Zsunął dłonie na jej piersi, a ona gładziła delikatnie wybrzuszenie w jego spodniach.

Ciche trzaśnięcie sprawiło, że zamarła z przerażenia. Zé również je usłyszał i natychmiast napiął mięśnie całego ciała, gotowy do walki.

– Dobrze, kiedy mąż i żona robić miłość. Ale nie teraz – powiedziała Kasinda, wychodząc zza drzewa.

Nie ośmielili się jej sprzeciwić.

44

W gorączkowych snach wydawało mi się, że zjednoczyłam się z przodkami i z moimi potomkami. Widziałam moją matkę Nzingę, która splatała warkocze swojej wnuczce noszącej to samo imię, spotkałam mojego ojca Mukua-nguzu, który wraz z zięciem i wnukiem, oboma o imieniu Uanhenga, wyruszał na polowanie na agresywnego lwa, zranionego przez niezręcznego młodzieńca podczas próby odwagi. Głaskałam swojego małego ulubieńca Chilalę po głowie, a zarazem widziałam go jako dorosłego człowieka obdzierającego ze skóry antylopę. Bardzo przypominał Muhongo. Obaj byli mistrzami w biciu na bębnie, w który to sposób przekazywaliśmy sobie wszystkie ważne wiadomości z okolicy. Słyszałam z sąsiedniej wioski zatrważający rytm bębna, zapowiadający nadejście wrogów. Wreszcie poczułam zapach potu mojej przestraszonej siostry Thandeki i usłyszałam kobiecy głos, mówiący:

– Mój Boże, śmierdzi, jakby już się rozkładała.

Otworzyłam oczy. Trwało chwilę, nim w młodej kobiecie, która wycierała mnie wilgotnym ręcznikiem, rozpoznałam służącą Oprawcy. Teraz przypomniałam sobie wszystko. Odcięto mi mały palec u prawej dłoni, a rana zaczęła się jątrzyć. Uniosłam rękę, by sprawdzić, czy nie usunięto mi pozostałych palców, ale naliczyłam cztery i zobaczyłam czysty bandaż na kikucie.

– Znowu miałaś szczęście – usłyszałam ten sam głos co wcześniej. Był to nieznany mi mężczyzna. Wątpiłam, by chodziło o lekarza, ponieważ Oprawca na pewno żałowałby na mnie takiego wydatku.

– Kto...? – wycharczałam.

– Jestem Cauã – powiedział. – Uzdrowiciel.

Przyjrzałam się mu uważniej i stwierdziłam, że nie jest biały, jak początkowo sądziłam. Był indiańskim mieszańcem, jednak gładkie czarne włosy i jasnobrązowa skóra mogłyby należeć do Portugalczyka, który dłuższy czas przebywał na słońcu. Czesał się i ubierał jak biali, stąd wynikała moja pomyłka.

– Byłem przypadkiem w okolicy, gdy mój stary przyjaciel Sopa opowiedział mi o tobie. Oprawca pozwolił mi cię leczyć, ale tylko dlatego, że nie zażądałem nic w zamian.

– Czemu...?

– Dlaczego nie chcę zapłaty? Ach, wiesz, tia, wierzę, że za dobre uczynki czeka mnie nagroda w zaświatach.

– Ty chrześcijanin? – spytałam.

Skinął głową.

– Tak, tia, jestem chrześcijaninem.

Podobało mi się, że zwraca się do mnie tia, ciotko. Był to zwrot zastrzeżony dla starszych kobiet, którym okazywano szacunek i przyjaźń. Nigdy wcześniej nie nazywano mnie ciotką. Dawniej byłam na to zbyt młoda, a teraz, gdy stałam na progu starości, otaczali mnie niemal wyłącznie prostaccy i nieuprzejmi ludzie, którzy nigdy nie zwracali się do mnie grzecznie.

– Lepiej nie mów wiele. Przetrwałaś najgorsze, ale musisz dużo spać, by odzyskać siły. Dam ci małą buteleczkę z wyciągiem z ziół. Powinnaś regularnie przemywać nim ranę, żeby się znowu nie zaogniła. Zrobisz to?

Potaknęłam.

Z wdzięczności byłam bliska łez. Ileż czasu minęło, odkąd ktoś był dla mnie tak życzliwy? Potem oczy same mi się zamknęły.

Gdy przebudziłam się znowu, półindiański uzdrowiciel zniknął. Poczułam drobne ukłucie żalu, ale szybko przyćmiło je ogromne pragnienie. Podniosłam się, aby dostać się do kadzi z wodą i wypić wielką nabierkę. Dostałam jednak silnych zawrotów głowy. Musiałam przytrzymać się belki chaty. Gdy dotknęłam nieheblowanego, spękanego drewna, głęboko przeraziło mnie uczucie w dłoni, zanim ból przypomniał mi, że mam o jeden palec mniej.

Byłam zatem okaleczona. Przetrwałam w miarę cało i zdrowo porwanie, podróż statkiem, lata niewoli oraz sześć ciąż tylko po to, by wpaść w ręce człowieka, który dla samej radości dręczenia odciął mi palec. Być może Oprawca uważał nawet, że powinnam być mu wdzięczna, bo nie usunął całej dłoni, co, jak uznałam w przypływie podziwu, graniczyło z cudem. Jego celność była nadzwyczajna, na pozostałych palcach nie widniało bowiem najmniejsze zadrapanie.

Już po kilku dniach musiałam wrócić do pracy. Wykonywałam swoje obowiązki, jakbym lunatykowała. Z nikim nie rozmawiałam, nie okazywałam żadnych emocji, niewiele też czułam. Miałam wrażenie, że moje serce umarło. Przyszło mi do głowy, że być może jest to idealny stan umysłu, jaki powinnam była osiągnąć już przed laty – pracować jak wół, nie patrzeć przed siebie i nie oglądać się wstecz, zostawić przeszłość za sobą i nie myśleć o przyszłości.

Dopiero gdy po kilku miesiącach Oprawca wyjechał ponownie,

wróciła mi wola działania. Chciałam zobaczyć Muhongo. Cóż miałam bowiem do stracenia? Nawet dla mnie samej moje życie niewiele było warte, nie wymagało więc wielkiego poświęcenia zaryzykowanie krótkiej wizyty w kopalniach. Byłam zresztą przekonana, że nie pożyję już długo.

Tym razem nie prosiłam Zêzé o pozwolenie. Pomaszerowałam prosto do wejścia kopalni, w której pracował Muhongo, i zaczekałam na koniec zmiany. Gdy wyszedł brudny i śmiertelnie wyczerpany, skuty łańcuchem z innymi niewolnikami, ogarnęło mnie tak wielkie współczucie, że z płaczem osunęłam się przed nim na kolana. Czułam, że wkrótce umrze.

W przeciwieństwie do moich przewidywań względem siebie, w jego wypadku się nie pomyliłam.

– Wstań, Kasindo. Czyż nie jesteś dumną córą Afryki? – zapytał surowo.

Otrząsnęłam się i wstałam.

– Proszę, Muhongo, weź. – To mówiąc, podałam mu słodkie, soczyste fruta do conde, które właśnie zdobyłam u Sopy. Podążyłam za wzrokiem Muhongo i zobaczyłam, że zbliża się nadzorca.

– Szybko! – syknął Muhongo i sięgnął po owoc. Pogmerał przy nim i oddał mi go w tej samej chwili, gdy dotarł do nas Zêzé.

– Kasindo! Chcesz stracić jeszcze jeden palec? – spytał.

Dopiero teraz Muhongo zauważył, że mnie okaleczono. Chciałam to przed nim zataić, aby nie było mu jeszcze ciężej.

– Zatrzymać owoc – powiedział do mnie w języku przestępców. – Jeść sama, być zdrowa. Dobre dla Uanhenga.

– Twój mąż jest mądrzejszy od ciebie, babo. Posłuchaj go i wykuruj lepiej to swoje „uanhenga". W ten sposób oszczędzisz jemu, sobie i mnie wielu problemów.

Zauważyłam błagalne spojrzenie Muhongo i chciałam mu w jakiś sposób przekazać, że moje obrażenia się dobrze zagoiły i nie powinien się o mnie martwić. Wtedy jednak Zêzé chwycił mnie za ramię i odciągnął od szeregu niewolników.

– Dalej, czarnuchy! Nie macie się na co gapić! – A do mnie powiedział: – Znikaj, zanim smagnę cię batem.

Wzięłam nogi za pas i pobiegłam do domu Oprawcy. Zdyszana dotarłam do chaty kobiet. Łapczywie wypiłam nabierkę wody, a potem rzuciłam się na hamak. Byłam w chacie sama. Pozostałe kobiety skorzystały z nieobecności naszego pana, by wyjść. Wiedziałam, że oferowały w wiosce swoje usługi za kilka monet, a Oprawca zapewne także o tym wiedział. Nie rozumiałam, dlaczego ich za to nie karał, a w moim wypadku okazał się tak surowy. Sądzę, że przyczyną było moje afrykańskie pochodzenie oraz fakt, że przyszłam na świat jako wolna. Inni dorastali jako niewolnicy, ja zaś byłam jedną z nielicznych

osób, które przywieziono prosto z Afryki. Ludzi to niepokoiło, tak samo jak i dziś, ponieważ nie rozumieją naszych obyczajów i naszego sposobu myślenia.

Teraz dopiero przyjrzałam się fruta do conde, które wciąż trzymałam w dłoni z czterema palcami. Wiedziałam, że Muhongo musiał coś w nim ukryć, ponieważ tylko to mogła oznaczać jego uwaga, że owoc jest dobry dla Uanhengi, co nadzorca uznał za nazwę choroby. Gruba, zielona, wybrzuszona skórka dawała się unieść niczym łuska w miejscu, gdzie znajdowała się pestka otoczona smakowitym miąższem. W drodze do domu ściskałam mocno dojrzały owoc i poszczególne łupiny już się poluzowały. Przyglądałam się dokładnie każdemu fragmentowi fruta do conde, odłamywałam łuski i wyjmowałam miąższ, wysysałam i wypluwałam pestki. Gdy dotarłam do połowy owocu, znalazłam kamień o ostrych krawędziach, otaczający przezroczysty zielony twór.

Czy był to szmaragd w surowej postaci? Nie miałam pojęcia. Kamienny okruch nie wydawał mi się bardzo wartościowy, ale jeżeli Muhongo zaryzykował życie, by przemycić kamień z kopalni, musiał być to kamień cenny. Czy mój mąż przewidział, że przyjdę tego dnia, aby przynieść mu coś do jedzenia? A może codziennie nosił ze sobą takie skarby? Postanowiłam spytać go o to następnym razem.

Nie było jednak następnego razu, ponieważ trzy dni później Muhongo umarł. Wiedziałam, że wytrzymał tak długo tylko dlatego, by mnie jeszcze raz zobaczyć i przekazać swoją „wiadomość". Ponieważ Oprawcy nie było, pozwolono mi obmyć zwłoki męża, owinąć w lniane prześcieradło i odmówić za niego modlitwę, nim wrzucono go do wielkiego masowego grobu, w którym codziennie znikało około dziesięciu zwłok. Nie wylałam ani jednej łzy, ponieważ wiedziałam, że Muhongo jest w drodze do przodków, gdzie będzie mu lepiej niż tu.

Tym razem musiałam postępować ostrożniej i sprytniej niż wcześniej. Gdyby znaleziono przy mnie kamień, odcięto by mi co najmniej dłoń, a może nawet zabito. Choć wcześniej nie bałam się śmierci, teraz trzymałam się życia, miałam bowiem misję. Postanowiłam odnaleźć naszego syna, przekazać mu jego spadek i tym samym pomóc mu kupić sobie wolność. To właśnie musiał mieć na myśli Muhongo, gdy skierował do mnie swe ostatnie słowa.

Całymi dniami nie myślałam o niczym innym niż o tym, jak stamtąd uciec. Oczywiście, mogłam po prostu odejść, tak jak to już kiedyś zrobiłam. Choć wszyscy uważali mnie za staruszkę, miałam dość energii i siły fizycznej. Co jednak powinnam zrobić, gdy dotrę na wybrzeże? Nie dysponowałam dokumentami potwierdzającymi wolność, nie znałam nikogo, kto by mi pomógł, a na życie wystarczyć musiałaby mi biżuteria, co do której uznano by, że pochodzi z kradzieży. Czy powinnam spróbować odnaleźć Nzingę? Czy nie

naraziłabym jej przez to na niebezpieczeństwo? Jeżeli prawdą było, że jest wolna i zamożna, z pewnością znała środki i sposoby, by zamienić kamień na pieniądze, i bez trudu zdołałaby wyjaśnić moją obecność. „To moja stara mamka" – odpowiadałaby ludziom lub coś w tym rodzaju.

Po tysiąc razy rozważałam w głowie ten pomysł i uznałam go za dobry. Uda się. Spotkam się z dziećmi i będę mogła nawet przekazać im pokaźny spadek, choć Muhongo ani słowem nie wspomniał o mojej córce. Tak, to właśnie postanowiłam zrobić. Zamierzałam wykraść się następnego ranka, jeszcze przed wschodem słońca.

Czekałam jednak zbyt długo.

Wieczorem tego samego dnia, gdy podjęłam decyzję, Oprawca wrócił z podróży. Podczas jego obecności nie wchodziło w grę podejmowanie ucieczki. Z pewnością zdołałby mnie pochwycić i zabić.

Tym razem nie zaszczycił mnie nawet jednym słowem czy spojrzeniem. Na pewno już dowiedział się, że mój mąż nie żyje i że wcześniej go odwiedziłam. Ośmielałam się już żywić nadzieję, że okaże coś w rodzaju współczucia, gdy wraz z resztą służących zostałam wezwana na publiczną chłostę. Zêzé, jak brzmiał zarzut, dopuścił się zaniedbania obowiązków i miał za karę otrzymać dwa tuziny razów. O to więc chodziło! Oprawca oszczędził mnie tylko dlatego, że tym razem wybrał inną ofiarę do tortur. Zastanawiałam się, czy owo „zaniedbanie obowiązków" nie polegało również na tym, że Zêzé pozwolił mi porozmawiać z mężem, ale nie zastanawiałam się nad tym długo. Nie chciałam przypisywać sobie winy.

Chłosta, którą wykonał Oprawca własnoręcznie, była krótka, bolesna i śmiertelna. Zêzé umarł bez godności, krzycząc, i we własnych odchodach. Ten straszny spektakl spełnił swój cel. Wszyscy ludzie Oprawcy, w tym ja, przykładaliśmy się do pracy jak rzadko kiedy wcześniej.

Zaczęłam obmyślać nowy plan. Nabierał kształtów bardzo powoli i tym razem wydawał mi się niezawodny. Zatruję Oprawcę – tak powoli i okrutnie, jak tylko zdołam. Nie brakowało mi trujących kwiatów, owoców i korzeni. Nie wiedziałam dobrze, w jakim połączeniu różne trucizny wywrą śmiertelny skutek, postanowiłam zatem po prostu rozdrobnić wszystkie rośliny i zagęścić w papkę. Wzięłam świeże orzechy cajú, kwiaty i liście krzewu alamanda oraz liście manioku i paprocie samambaia, które rosły praktycznie wszędzie, całe rośliny lub ich części. Rozdrabniałam je w moździerzu, aż otrzymałam brązowozieloną pastę. Rozsmarowałam ją na dużym liściu bananowca, który następnie wyłożyłam na podwórzu do wyschnięcia, przy czym pilnowałam, by Oprawca tego nie zauważył. Gdyby zapytał mnie o to ktoś inny, powiedziałabym, że przygotowuję rodzaj afrykańskiego mydła, nie chciałam, by ktokolwiek spróbował papki.

Po trzech dniach pasta wyschła. Odłamałam ją od liścia i starłam na szarawy proszek, który przesypałam do skórzanego mieszka. Teraz musiałam tylko dodawać proszek do posiłków Oprawcy, co łatwiej było zaplanować, niż uczynić. Owszem, nietrudno było wsypać truciznę do garnka. Kucharka często zatrudniała mnie do pomocy i musiałam w kuchni obierać warzywa albo zeskrobywać szczecinę ze słoniny. Jednak potrawy, które przygotowywano w dużych ilościach, spożywali wszyscy domownicy, a nie chciałam ich zabić. Poza tym nie wiedziałam, jak skuteczna jest trucizna i w jakiej ilości będę jej potrzebować. Zamierzałam wypróbować na Oprawcy małą dawkę i poczekać na rezultaty. Regularne dawki w dłuższym okresie mogły okazać się znacznie skuteczniejsze, poza tym nie podejrzewano by wtedy otrucia, tylko jakąś paskudną tropikalną chorobę. Jedyne, do czego miał dostęp wyłącznie Oprawca, to jego zapasy alkoholu. Musiałam wsypać truciznę – o ile rzeczywiście była to trucizna – do cachący, a do tej z kolei nie miałam łatwego dostępu. W tym celu należało działać z wielkim sprytem i zimną krwią.

Gdy pewnego dnia nadarzyła się okazja, nie zwlekałam ani chwili. Właśnie opróżniałam nocnik z sypialni Oprawcy, gdy nerwowe okrzyki wyciągnęły go z domu; część robotników z kopalni wywołała zamieszki. W pośpiechu zapomniał zamknąć szafkę, w której trzymał alkohol. Pobiegłam szybko do naszej chaty, wzięłam proszek i pospieszyłam z powrotem do domu, do izby Oprawcy. Miałam szczęście, jedna z butelek była już otwarta, więc nie musiałam naruszać pieczęci, a brakowało zaledwie kilku miarek zawartości. Postanowiłam wsypać do butelki połowę trucizny. Ze strachem obserwowałam, czy proszek nie zmąci lub nie zabarwi jasnożółtego trunku i czy całkowicie się rozpuści. Gdy kilkakrotnie potrząsnęłam butelką, nie dało się niczego zauważyć. Odstawiając butelkę do szafki, usłyszałam kroki Oprawcy na schodach.

Teraz mogłam już tylko czekać.

45

Oprawca zmarł cztery tygodnie później. Początkowo cierpiał na straszne kolki, potem dopadła go biegunka i wymioty. Ani przez chwilę nie przypisywał tych dolegliwości spożyciu alkoholu, lecz obarczał odpowiedzialnością duszne powietrze i rzekomo zepsute jedzenie. Udało mi się zatruć kolejną butelkę, a im więcej pił, tym boleśniejsze i poważniejsze stawały się dolegliwości. Po pewnym czasie zaczął wymiotować krwią i wtedy wiedziałam już, że wkrótce będzie po nim.

Ponieważ nie miał dziedziców – liczne bękarty nie miały prawa do majątku, a Oprawca w swej bezgranicznej arogancji nie spisał testamentu – całą spuściznę zlicytowano. Dochód zasilił portugalską koronę. Sprzedano także niewolników, a więc pewnego dnia stanęłam znowu półnaga na Pelourinho w Salvadorze, gdzie zachwalano mnie:

– Stara Murzynka, około czterdziestu pięciu lat, jeszcze bardzo silna i zdrowa, ma wszystkie zęby, nadaje się do wszelkich prac.

Było to upokarzające, jednak posiadałam tajemny skarb, a zatem, niewzruszona, znosiłam to wszystko. Pokonałam już bowiem najtrudniejszą przeszkodę. Obstawałam, by nie ścinano mi włosów, i być może ze względu na mój dojrzały wiek uczyniono zadość mojej prośbie. W gęstych kręconych pasmach, które upięłam pod czepkiem w gruby węzeł, znajdowało się złote serce i szmaragd.

Mój nowy właściciel nazywał się senhor Carlos. Był ojcem naszego obecnego pana w São Fidélio, dom Felipe. Nabył mnie po korzystnej cenie, niemal upokarzająco niskiej. Nikt nie mógł wtedy jednak przypuszczać, że pożyję tak długo i jeszcze przez wiele lat będę przydatna w fazendzie. Okazałam się zatem niezłą inwestycją.

Moi nowi państwo byli dobrymi ludźmi. Niewolników traktowali przyzwoicie, więc gratulowałam sobie decyzji, by zamordować Oprawcę. U niego na pewno nie pożyłabym długo, natomiast tu czekała mnie stosunkowo spokojna starość. Nie osiągnęłam jednak właściwego celu – nie zbliżyłam się nawet o krok do dzieci. Ich dziedzictwo ukryłam bezpiecznie zaraz po przybyciu do nowej fazendy, na wypadek

gdybym dostała wszy i trzeba by mi było ściąć włosy. Zdarzało się to mniej więcej raz do roku. Jak jednak miałam przekazać skarb Nzindze i Uanhendze, jeżeli nie wiedziałam nawet, gdzie przebywają?

Mieszkałam już pięć lat w São Fidélio, gdy zyskaliśmy nowego woźnicę, José, wówczas w sile wieku. Zakochał się we mnie, któż wie dlaczego? Byłam przecież od niego blisko dziesięć lat starsza. Nie zachęcałam go w żaden sposób, zachowywałam się wręcz odpychająco, choć tak naprawdę jego próby zbliżenia pochlebiały mi. Im bardziej byłam dla niego chłodna, tym bardziej za mną szalał. Zabiegał o mnie jak prawdziwy kawaler, to trzeba mu przyznać. Nigdy nie padło żadne plugawe słowo, nigdy też nie rzucał zaczepnych uwag. Był dobrze wychowany i kiedyś pozwoliłam mu zaprosić się na przejażdżkę powozem. Oczywiście, było surowo zabronione, by w czasie nieobecności senhora używać powozu dla własnej przyjemności, ale może właśnie to przesądziło o uroku wycieczki.

Była to miła wyprawa i zachowywaliśmy się jak nastolatkowie, którym po raz pierwszy wolno spędzić trochę czasu sam na sam. Chichotaliśmy i trzymaliśmy się za ręce, pozwalałam też José prawić sobie komplementy, choć nie reagowałam na nie. Nie chciałam przecież robić mu nadziei.

Trwało długo, nim nabrałam do niego zaufania na tyle, by powierzyć mu ważne zadanie. Gdy po raz kolejny wyjeżdżał do Salvadoru, żeby odebrać nową porcelanę senhory, poprosiłam, aby zasięgnął wiadomości o pewnej damie o imieniu Nzinga. Doceniałam, że nie zadawał pytań, tylko po prostu skinął głową.

– Jeśli ją znajdę, czy mam jej coś od ciebie przekazać?

– Tak, powiedzieć po prostu: Kasinda być w São Fidélio.

– Dobrze.

Znalazł ją. Przekazał moją wiadomość. Opisał mi, jak przebiegło spotkanie, przy czym miałam wrażenie, że pominął niemiłe szczegóły, by mi oszczędzić przykrości.

– Kiedyś była bardzo sławna. Mieszka w pięknym, wielkim domu i choć widziałem tylko hol, myślę, że to elegancki dom, naprawdę wytworny. Ta dama miała piękne ubranie i była dla mnie bardzo miła. Gdy przekazałem jej twoją wiadomość, podała mi szklankę lemoniady i spytała o ciebie. Opowiedziałem jej wszystko, co wiem, choć nie było tego wiele. Przypuszczam, że nie masz nic przeciwko temu. W każdym razie owa dama była cierpiąca. Powiedziała, że nie zostało jej dużo czasu i prosiła, żebym ci przekazał, byś się o nią nie martwiła. Miała cudowne życie i jest gotowa stanąć przed Stwórcą.

Na te słowa wyrwał mi się jęk, co z kolei zaniepokoiło biednego José. Nigdy nie widział, żebym straciła panowanie nad sobą. Liczyłam po cichu. Pisaliśmy rok tysiąc siedemset czterdziesty piąty według chrześcijańskiej rachuby, więc Nzinga musiała mieć teraz trzydzieści

osiem lat. Dlaczego umiera w tak młodym wieku? Czyżby nabawiła się choroby francuskiej?

– Powiedziała, że nie ma dzieci i dlatego zapisze swój majątek świętym siostrom od Misericórdii. Ufa, że pochwalisz tę decyzję.

Skinęłam głową. Cóż miałam powiedzieć? Że znalazłabym tysiąc lepszych zastosowań dla tych pieniędzy? Należały do niej i mogła je zapisać, komu chciała. Przyszło mi jednak do głowy, że powinna przynajmniej podjąć próbę wykupienia swojego przyrodniego brata.

– Poza tym kazała ci przekazać, że Betinho ma się dobrze i nie potrzebuje jej brudnych pieniędzy. Swoją drogą, mieszka w Três Marias.

Przełknęłam ślinę. Czy mogła to być prawda? Czy raz w życiu miało mi się poszczęścić? Três Marias leżało o żabi skok od Sã o Fidélio! Cóż to by był za cudowny zbieg okoliczności!

– Och, José, to doprawdy fantastycznie! – wykrzyknęłam i pocałowałam go w policzek. Z zachwytu zapomniałam nawet, że wcale nie chciałam mówić dobrze po portugalsku.

Spojrzał na mnie zamyślony, ale powstrzymał się od pytań, które cisnęły się mu na język. Był to naprawdę dobry człowiek i gdybym poznała go, zanim doświadczyłam licznych bolesnych strat, gdy w moim sercu było jeszcze miejsce na takie rzeczy, na pewno bym się w nim zakochała.

Wypytywałam go o wszystkie szczegóły. Jak wyglądała Nzinga? Jak była ubrana? Jaki jest jej dom? Czy przebywali w nim inni ludzie, służba lub goście? Z niechętnych odpowiedzi José wywnioskowałam, że Nzinga nie ma się dobrze, i łzy napływały mi do oczu, co nie zdarzyło się już od wielu lat.

– Jest trochę podobna do ciebie – powiedział w końcu. – Piękna.

Wiedział. Prawdopodobnie od samego początku wiedział, że chodzi o moją córkę.

Niedługo potem zebrałam się na odwagę i poprosiłam senhora o pozwolenie na udanie się do Três Marias, ponieważ mam powód przypuszczać, że mieszka tam mój syn.

– Nie wiesz, czy tam przebywa, czy nie? – spytał senhor Carlos zdumiony.

– Nie, zły człowiek rozdzielić matka i syn przed dużo lata.

Pokręcił głową.

– Ach, Imaculado, na tym świecie dzieje się zbyt dużo zła, prawda?

Nie przypuszczałam, by spodziewał się odpowiedzi, więc się nie odezwałam. Odkąd zostałam sprzedana, przybrałam znowu swoje stare niewolnicze imię. Kasindą byłam tylko wtedy, gdy czułam się wolna.

– Dobrze – zgodził się wreszcie. – W przyszłą niedzielę możesz

pojechać z doną Isabel, która odwiedza przyjaciółkę.

Dygnęłam grzecznie.

– Dziękować bardzo, sinhô, dziękować bardzo dużo. – Sama uśmiechnęłam się, słysząc ten kaleczony język.

– Życzę ci szczęścia, Imaculado.

– Sim, sinhô, dziękować bardzo, bardzo dużo!

Gdy nadeszła niedziela, z podekscytowania ledwo mogłam usiedzieć na koźle.

– Spokojnie, Imaculado – nakazał José. – Płoszysz konie.

Próbowałam wyobrazić sobie mojego małego Uanhengę jako dorosłego człowieka, którym był teraz, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, ale nie potrafiłam. W wyobraźni widziałam wciąż wyrośniętego chłopca o zbyt wielkich stopach, pełnego energii i niewiedzącego, co zrobić ze swoją siłą.

– Miejmy nadzieję, że to Betinho, którego szukasz – powiedział José po długim milczeniu.

Nie odpowiedziałam.

– Jest ci bardzo bliski? – odważył się spytać, a ja rzuciłam mu ganiące spojrzenie, po którym się wycofał.

– Przepraszam. To nie moja sprawa.

Jego takt i skromność wzruszyły mnie. Postanowiłam wszystko mu opowiedzieć. Dobrze było wyrzucić to z siebie. Nagle zrozumiałam, że zbyt długo zamykałam się przed światem. José słuchał mnie uważnie, nie przerywając ani razu. Gdy skończyłam opowiadać, przez chwilę nic nie mówił. Potem wyrwało mu się nagle:

– Ja też miałem żonę i troje dzieci.

Popatrzyłam na niego i zawstydziłam się bezmiernie. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jaki tragiczny los mógł spotkać José, tak bardzo byłam zajęta sobą.

– Opowiem ci o tym w drodze powrotnej – powiedział, ponieważ nareszcie dotarliśmy do fazendy Três Marias.

Była to bardzo zadbana posiadłość, z domem starszym niż ten w São Fidélio, ale utrzymanym w dobrym stanie. Wokół podjazdu rosły palmy znacznie wyższe niż nasze i wszędzie dosłownie pachniało starymi pieniędzmi. José wysadził senhorę przed Casa Grande, a następnie skierował powóz w stronę stajni, gdzie mieli zająć się końmi i nami – w tej kolejności. Zaprowadził mnie do najstarszego parobka, którego przywitał jowialnie, ponieważ znali się już z licznych wizyt senhory w Três Marias.

– Macie tu niejakiego Betinho? Poganiacza bydła? – spytał José.

– Beto? Jasne. Jest tam, w stodole. Właśnie cieli się krowa, a on ma talent do takich spraw. Jeszcze nigdy nie stracił cielęcia.

– To być Betinho! – zawołałam, ogarnięta radością. Jeżeli ktoś potrafił zajmować się zwierzętami, to mój mały Uanhenga.

Stajenny popatrzył na mnie sceptycznie. Wskazał nam drogę, ale nie poszedł z nami.

José udał się ze mną. Byłam mu za to wdzięczna, ponieważ kolana mi drżały, a on wspierał mnie fizycznie i duchowo. Wysunął ramię, tak że mogłam się go przytrzymać, więc kroczyliśmy razem uroczyście, jakbyśmy udawali się na ślub, a nie do stodoły.

– Jest tam kto? – zawołał José.

Z odległego kąta dobiegło nas:

– Tak, zaraz przyjdę. Nie mogę teraz.

Czekaliśmy. Nie chciałam, by moje niespodziewane przybycie postawiło syna w trudnej sytuacji. Co, jeśli cielątko umrze mu na rękach, ponieważ w decydującym momencie Betinho nie będzie uważać? Z kąta dochodziły różne odgłosy, pospieszne wołanie, głośne muczenie, a wreszcie oklaski i okrzyki radości. Najwyraźniej poród przebiegł pomyślnie.

José i ja staliśmy w oczekiwaniu, zalęknieni, w drzwiach stodoły i nie zauważyliśmy nawet, że trzymamy się za ręce. Wreszcie podszedł do nas chłopak, którego twarzy w półmroku nie było wyraźnie widać. Jednak sposób, w jaki się poruszał oraz sylwetka zdradziły od razu, że to mój syn.

– O co chodzi? – spytał, podchodząc do nas. Trwało chwilę, nim pojął, kto przed nim stoi. – Mãe? – spytał z niedowierzaniem.

– Uanhenga – szepnęłam, przytłoczona szczęściem, że widzę go przed sobą w tak dobrym nastroju i najwyraźniej w doskonałej kondycji.

Jednocześnie postąpiliśmy krok ku sobie i padliśmy sobie w ramiona. Był o dwie głowy wyższy ode mnie i miałam wrażenie, że składa się z samych mięśni, choć nadal zachował tyczkowatą sylwetkę.

– Mãezinha, na miłość boską, jak mogłaś mnie tak przestraszyć? Najpierw pomyślałem, że widzę ducha.

Jednocześnie śmiałam się i płakałam. Było cudownie, po tak długim czasie, wreszcie zobaczyć syna.

– Dobrze ci się wiedzie? Niech cię obejrzę – powiedział i wydostał się z moich objęć.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, a ja zrobiłam to samo. Ubranie miał brudne, krew pokrywała mu ręce aż do łokci, ale twarz promieniała.

– Dobrze wyglądasz – zauważył po chwili. A potem, w kolejnym przypływie zdumienia: – Nie pojmuję tego! Dwa tak cudowne wydarzenia jednego dnia, to muszą być moje urodziny!

– Niezbyt to miłe, że porównujesz spotkanie z matką z narodzinami cielaka – wtrącił się nagle José, który do tej pory trzymał się z tyłu.

Powiedział to, co i sama pomyślałam, choć oczywiście nie wyraziłabym tego głośno.

– A to kto? – spytał mój syn.

– Przyjaciel – odparłam. – José.

– Gdzie jest ojciec? – chciał wiedzieć Uanhenga, jednak moja gwałtownie zmieniona twarz powiedziała mu wszystko, co musiał wiedzieć.

Padliśmy sobie na powrót w ramiona, tym razem zjednoczeni w bólu po Muhongo. Serce biło mi mocno, owładnął mną natłok emocji. Czuć naraz wielki smutek i ogromną radość, w jednym oddechu śmiać się i płakać – tego moje ciało nie mogło wytrzymać. Nogi zaczęły mi się trząść, lecz José zauważył to w porę.

– Podaj matce stołek. I szklankę wody – nakazał mojemu synowi, który bezzwłocznie wykonał polecenie.

Później, gdy minęło zamieszanie z powodu nowo narodzonego cielęcia i Uanhenga się umył, usiedliśmy przed jego chatą i wymienialiśmy nowiny, jeżeli nowinami są sprawy, jakie wydarzyły się przed piętnastu laty. Ze względu na wielkie poważanie, którym cieszył się u państwa, Uanhenga otrzymał własną chatę, dzieloną z ciężarną żoną. Byłam nadzwyczaj zadowolona, że dobrze mu się powodzi i że zostanę babcią. Moja synowa miała na imię Preta, Czarna, ze względu na bardzo ciemny kolor skóry, choć nie był on nawet zbliżony do głębokiego odcienia hebanu, jaki miała skóra mojego syna. Preta okazała się nieśmiałą, miłą osobą, która wciąż obserwowała mnie kątem oka, gdyż była zbyt grzeczna, by przyglądać mi się wprost. Nie wiedziała o moim istnieniu, ponieważ Beto, jak nazywano tu mojego syna, sam uważał się za sierotę. Czułam, że Preta się mnie boi, bo mówiłam dziwnym językiem i wciąż nazywałam jej męża Uanhengą. Zachowywała się jak pozostali niewolnicy, którzy urodzili się w niewoli i nie znali innego życia – wszystko, co afrykańskie, napawało ją lękiem.

Godziny minęły jak z bicza strzelił, a gdy wezwano José i powóz, pozostało jeszcze wiele do opowiedzenia. Obiecałam wrócić jak najszybciej, a Beto i Preta powiedzieli, że i oni chętnie mnie kiedyś odwiedzą.

– Gdy dziecko się urodzi – powiedział mój syn. – Wcześniej podróż byłaby dla Prety niebezpieczna. Ale to nie potrwa już długo. – Pogłaskał jej wypukły brzuch, dumny ze swojej opiekuńczości.

W drodze powrotnej José i ja nie zamieniliśmy ani słowa. Każde oddało się rozmyślaniom. Było mi przykro, że moje szczęśliwe rodzinne spotkanie przypomniało José o jego smutnym losie, który najwyraźniej doskwierał mu teraz bardziej niż wcześniej. Dopiero tuż przed przybyciem do São Fidélio rzucił mi nieśmiały uśmiech i powiedział:

– Cieszę się ze względu na ciebie, Imaculado, to znaczy Kasindo. Modlę się do Boga w niebie, by tym razem twoje szczęście trwało dłużej.

Gwałtownie odepchnęłam od siebie myśl, że mogą mi grozić kolejne niedole. Teraz chciałam się cieszyć. Jeśli jednak pewnego dnia mój los przybierze zły obrót, dopiero wtedy będzie pora na troski.

Minęło pięć lat, w czasie których byłam tak radosna i zadowolona, jak tylko można być w niewoli, nim spadło na mnie kolejne nieszczęście.

Uanhenga, czyli Beto, został sprzedany. Pewien człowiek z południa, który posiadał wielkie stada bydła, był tak zachwycony moim synem i jego niewiarygodnym talentem do zwierząt, że zaoferował za niego bardzo wysoką cenę, której senhor nie mógł odrzucić. Preta i ich syn, José Henrique, zwany Rico, zostali początkowo w Três Marias. Było dla mnie pewną pociechą, że od czasu do czasu mogę widywać przynajmniej wnuka. Jednak potem straciłam i jego. Siedem lat temu, gdy Rico miał jedenaście lat, najstarsza córka senhora w Três Marias, czyli siostra sinhô Ruiego Alberta, wyszła za mąż. W wianie otrzymała między innymi Pretę i Rico, którzy wyjechali z nią do Rio de Janeiro.

Nigdy już nie miałam wieści o Uanhendze, jego żonie i synu. Wzywałam jednak duchy i wiem, że mojemu synowi i wnukowi dobrze się wiedzie. Słyszałam brzmiące radośnie głosy mojej matki Nzingi i ojca Mukua-nguzu. Wiedzą, że ich porwana córka żyje i przekazała dalej swoją krew. To pogodziło ich z losem, który tak źle obszedł się z nimi za życia.

Sama czuję się podobnie. Wiem, że wkrótce wyruszę do królestwa przodków. Pójdę z radością. Tęsknię za tym, by znów zobaczyć krewnych, i będę czuwać nad moimi potomkami, oby jak najliczniejszymi.

46

„Amen” – omal nie wyrwało się Lui na te spokojne słowa Kasindy. Powstrzymała się jednak w porę.

– Masz zatem wnuka? – spytała.

– Tak. Może nawet więcej wnuki? Może Uanhenga mieć nowa żona? Może mieć prawnuki? Rico już duży, może być ojciec...

Najwyraźniej z czystego przyzwyczajenia Kasinda nadal mówiła błędnym portugalskim, choć, jak dowiedziała się Lua, w rzeczywistości znacznie lepiej opanowała ten język. Oczy staruszki lśniły, gdy opowiadała o swoim potomstwie, a Lua nie miała serca jej zaprzeczyć. Jeżeli zgadzało się to, co usłyszała, wnuk Kasindy, Rico, miał teraz osiemnaście lat, był zatem zbyt młody na własne dzieci. Choć... w São Fidélio mieszkał chłopak, który został ojcem już jako szesnastolatek. Nigdy więc nie wiadomo.

– Ty szukać Rico i Uanhenga... Beto.

– Proszę? – Lua oczywiście bardzo dobrze zrozumiała polecenie.

– Ty szukać moi potomkowie. Ty opowiedzieć historia Kasinda.

– Nie mogę. Jak twoim zdaniem miałabym się do tego zabrać? Ha! Wierz mi, wolałabym odejść stąd jak najszybciej i wyruszyć do nowej stolicy, Rio de Janeiro. Mówią, że to cudowne miasto. Ja... – Lua zamilkła, ponieważ zauważyła, że Kasinda w ogóle jej nie słucha.

Staruszka grzebała przy dekolcie i wreszcie wydobyła podniszczony skórzany mieszek.

– Ty i Mbómbo kupić wolność. Potem iść. Potem kupić wolność dla potomkowie Kasinda.

Lua musiała głośno się roześmiać. Jakiekolwiek skarby przechowała Kasinda w woreczku, na pewno nie starczyłoby ich na wykupienie czterech dorosłych osób. Przypomniała sobie złote serce oraz kamień, który mąż starej niewolnicy ukradł dla niej z kopalni. Na pewno było to za mało, prawda?

Kasinda zakołysała woreczkiem trzymanym w dłoni, a jego zawartość zabrzęczała. Staruszka spojrzała znacząco na Luę, po czym

rozwiązała sznurek i wysypała zawartość mieszka na kolana.

Lua wstrzymała oddech. Nie zobaczyła złotego serca, ale olbrzymi surowy szmaragd, a poza tym liczne złote monety oraz biżuterię wysadzaną szlachetnymi kamieniami i perłami, wyglądającą na bardzo cenną.

– Mój Boże, Kasindo! Skąd masz to wszystko?

– Szmaragd od Muhongo. Małe zawieszki od sinhô Sebastião. Złote monety od José. Broszka od dona Isabel, matka dom Felipe, dobra kobieta. Inne ozdoby od Nzinga, moja córka.

Lua zaniemówiła. Ze zdumieniem powiodła palcami po skarbie, tak bardzo niepasującym do byle jakiego fartucha, na którym spoczywał. Jak staruszka zdołała zgromadzić taki majątek i dlaczego nigdy z niego nie skorzystała?

Kasinda domyśliła się widać, jakie pytanie Lua chce zadać, ponieważ odparła:

– Zawsze bać się, że palce odcięte.

– Bałaś się, że oskarżą cię o kradzież?

Staruszka potaknęła.

– Ale jeżeli twoja córka zostawiła ci tę biżuterię, miałaś przecież dobrą wymówkę, bo szmaragd i pozostałe rzeczy też mogły pochodzić od niej, prawda?

– Nzinga być ladacznica. Nie wolno dziedziczyć nieczyste pieniądze. Dać José w tajemnica.

– Czy widziałaś się jeszcze z córką? – spytała Lua.

Kasinda smutno pokręciła głową i wyjaśniła, że nigdy nie miała możliwości pojechać do Salvadoru, a Nzinga wolała jej nie odwiedzać, żeby nie przynieść jej hańby.

– Hańba, ha! – zawołała. – Kasinda dumna z piękna, mądra córka!

– Tak, na pewno możesz być z niej dumna – powiedziała Lua cicho. Aby odegnać smutek, ciągnęła rzeczowym tonem: – Skąd wiesz, że i mnie nie odetną palców, kiedy pokażę te kosztowności?

– Ty mieć Eulália. – Staruszka zauważyła, że Lua nie w pełni ją rozumie, i wyjaśniła. – Być głupia senhorita. I być uczciwa senhorita.

Lua nadal patrzyła bez zrozumienia, więc Kasinda niecierpliwie przedstawiła jej swój plan. Jej portugalski wydawał się z minuty na minutę coraz gorszy, jakby w duchu Kasinda przebywała już wśród przodków i pragnęła znowu porozumiewać się w ojczystym języku. Powiedziała, że Lua powinna poprosić sinhę Eulálię, by ta spieniężyła w mieście część biżuterii. Za te pieniądze powinna wykupić Zé od dom Felipe, a Luę od swojego męża Ruiego Alberta, który miał prawo zarządzać jej majątkiem, a zatem także Luą.

Na argument Lui, że ojciec i mąż Eulálii mogą nie zechcieć ich sprzedać, Kasinda uśmiechnęła się krzywo.

– Być lepszy interes? Wziąć dużo pieniędzy, oddać zbiegli niewolnicy.

Lua roześmiała się. To była prawda. W swej chytrości obaj mężczyźni zgodzą się, bo będzie dla nich doprawdy czymś nowym zarobienie na zbiegłym niewolniku. Nie oprą się pokusie.

Ale co z Eulálią? Czy wytrzyma naciski, jakie z pewnością ją czekają? Rodzice, mąż i teściowie zasypią ją pytaniami. Będą chcieli wiedzieć, jak weszła w posiadanie takiej sumy. Będą ją wypytywać, czy wie, gdzie przebywają zbiegowie, i czy celowo to zataiła. Nie spoczną, dopóki wszystkiego nie wyjawi. To bowiem, co było zaletą, gdy powierzało się jej pieniądze, podczas przesłuchania okaże się niekorzystne – Eulália jest po prostu zbyt uczciwa.

A raczej niegdyś taka była. Być może życie nauczyło ją już, że od czasu do czasu trzeba uciekać się do kłamstwa, jeżeli chce się uniknąć popadnięcia w tarapaty. Nie wydała przecież Lui i Zé. Musiało kosztować ją wiele wysiłku, by się nie zdradzić, choćby działała wyłącznie z przekory. Lua wyobrażała sobie, jak jej dawna pani siedzi samotnie w pięknym Casa Grande w Três Marias i obmyśla zemstę, by potem, gdy zemsta przybrała formę sekretnej opieki nad Luą, nie móc się nią nawet otwarcie cieszyć. Tym bardziej, jak przypuszczała Lua, Eulália napawać się będzie triumfem, gdy nagle pojawi się z majątkiem, o którym nikt nie miał pojęcia, oraz z zakazaną wiedzą o miejscu pobytu poszukiwanej niewolnicy. Tak, Eulália będzie umiała tego dokonać, i sprawi jej to przyjemność. Lua cieszyła się już teraz na wyraz twarzy sinhazinhy, gdy przedstawi jej ten plan.

Jej radość przyćmiła jednak nieco reakcja Zé. Gdy opowiedziała mu, co zaplanowała Kasinda, dostrzegła, że Zé coraz bardziej marszczy brwi.

– Nie mówisz poważnie! – zawołał wreszcie.

– Ależ tak. I twoja wielce poważana Kasinda również. Nie waż się zatem oskarżać mnie znowu o upór i krótkowzroczność.

– Wiesz przecież, jacy są biali. Nawet ci, którzy sprawiają wrażenie serdecznych, prędzej czy później okazują się tylko bezwzględnymi poganiaczami niewolników.

– Masz lepszy pomysł, jak uciec z tego przeklętego więzienia? – Nazwanie więzieniem plaży z nieskończonym horyzontem było zapewne złym pomysłem. Bezkresne niebo przytłaczało jednak Luę bardziej niż dawniej ciasnota senzali, a brak ludzkich głosów doprowadzał ją do szaleństwa szybciej niż ciągły gwar panujący na dziedzińcu posiadłości.

– Tak – odparł Zé. – Mam lepszy pomysł. Uważam, że powinniśmy nabyć za te pieniądze wszystko, co ułatwiłoby nam życie i przetrwanie w Liberdade. Może byłabyś gotowa udać się na powrót do naszego quilombo, gdybyśmy mieli tam miękkie poduszki i pachnące olejki.

Miała ochotę wymierzyć mu policzek. Jak mógł nadal oceniać ją tak fałszywie po tym wszystkim, co razem przeżyli? Prawdopodobnie Zé

już zawsze uważać ją będzie za rozpieszczoną domową niewolnicę z zamiłowaniem do bezużytecznych ozdób.

Zauważył jej gniew i przeprosił.

– Wybacz mi, Lua. To było podłe.

Łaskawie skinęła głową, jednak jej odpowiedź była zdecydowana:

– Pieniądze nie pójdą na Liberdade.

– Ale...

– Daj mi skończyć. Należą do Kasindy. Ona pragnie, żebyśmy przekazali je jej potomkom. Nasza wolność ma być tylko nagrodą za spełnienie tego zadania. Inne wykorzystanie tych skarbów byłoby kradzieżą.

– A jeżeli...

– Zaczekaj, Zé, jeszcze nie skończyłam. Wiem, że los Liberdade bardzo leży ci na sercu. Czy nie sądzisz, że twoim ludziom znacznie lepiej mógłbyś pomóc, gdybyś był wolny? To znaczy naprawdę wolny, również wobec prawa? Mógłbyś swobodnie podróżować lub prowadzić handel. Mógłbyś sprzedawać to, co wyprodukowali, i w ten sposób ich wspierać. W dłuższej perspektywie zyskaliby na tym znacznie więcej niż na wszystkich rzeczach, które mógłbyś nabyć za skarb Kasindy.

– Jak miałoby się to odbywać, gdybyśmy mieszkali w Rio de Janeiro?

– Nie musimy przecież zostać tam na zawsze.

– Nie wiem – powiedział Zé, kręcąc głową. – Nie czuję się dobrze z myślą, że zostawiam moich ludzi samym sobie.

– Poradzą sobie bez ciebie, wierz mi.

– Wątpię.

– W takim razie będą się musieli tego nauczyć, tak jak ty musisz nauczyć się, że nie zjadłeś wszystkich rozumów. Trzeba dawać innym ludziom szansę, by mogli się wykazać.

– Nie, jeśli są głupi, dziecinni i egoistyczni.

Lua wywróciła oczami. Zé był niepoprawny. Jeżeli rzeczywiście mieli podjąć się zrealizowania planu Kasindy i wspólnie wyruszyć na południe, czekało ją jeszcze nieco pracy, by uświadomić mu, że nie może zawsze decydować o wszystkim. Z drugiej strony kochała go właśnie za to, że w każdej sytuacji zdawał się wiedzieć, co należy robić. O ile ją dręczyły wciąż wątpliwości, Zé przyjmował wręcz odwrotną postawę. Zazdrościła mu tego. Czasami również nienawidziła go za to, a potem z kolei kochała tę jego pewność siebie i arogancję.

Tym razem była jednak zdecydowana obstawać przy swoim. Stanie się tak, jak chce ona oraz Kasinda, albo nic z tego. Użyła zatem ostatniego i najlepszego argumentu:

– Nasze dziecko powinno przyjść na świat jako wolny człowiek.

Na to Zé nie znalazł odpowiedzi. Popatrzył na nią zamyślony, a potem wziął ją w ramiona:

– Tak, Lua.

Gdy sinhazinha przyszła ją odwiedzić, Lua odesłała Zé. Chciała omówić tę sprawę w cztery oczy, ponieważ obawiała się, że ponure spojrzenia Zé i jego onieśmielający wygląd mogą przestraszyć Eulálię.

Początkowo trudno jej było dojść do słowa. Eulália paplała bezustannie, miała bowiem mnóstwo nowin, które chciała przekazać Lui:

– Fernanda jest przecież twoją przyjaciółką, prawda? Wyobraź sobie, poprosiła o pozwolenie, by poślubić polowego robotnika z Três Marias i przeprowadzić się do niego, a mój ojciec zgodził się, jeśli w zamian dostaną do São Fidélio młodą domową niewolnicę z Três Marias. – Zachichotała złośliwie. – Lulu będzie miał nową ofiarę dla swojej podłości i podstępów.

Lua była zdumiona, że Eulália tak dobrze znała intrygi czarnych, ale nie drążyła tematu, ponieważ nie chciała przerywać potoku słów. Wiedziała, co może zrobić z człowiekiem samotność, i przypuszczała, że ta paplanina stanowiła przeciwwagę dla milczenia w samotności, na które skazało Eulálię nieszczęśliwe małżeństwo.

– A mój brat, Carlos, musiał poślubić tę Isabelinhę w naprędce przygotowanej ceremonii, ponieważ... no cóż, możesz sobie wyobrazić. No i proszę, niepozorna, cicha panna młoda szybko okazuje się smokiem. Trzyma Carlosa pod pantoflem, co, jak się wydaje, wychodzi mu na dobre. W każdym razie nie ma już tak nalanej twarzy, sądzę, że zabroniła mu spożywania alkoholu. – Eulália roześmiała się ponownie, nieco złośliwie, nieco współczująco. – Tak, najwyraźniej nie tylko dla nas, kobiet, małżeństwo jest pewnym... wyzwaniem. Powinnaś się dobrze zastanowić, czy naprawdę chcesz zostać ze swoim Zé.

Było to dla Lui hasło.

– Tak, sinhazinha, chcę. I to na wolności. Mamy już nawet plan.

– Tak...? – Eulália wyglądała na szczerze zainteresowaną.

Lua zebrała się na odwagę. Teraz albo nigdy. Oczywiście, podejmowała pewne ryzyko, miała jednak dobre przeczucie. Eulália wysłucha jej, nie wyśmieje i przy odrobinie szczęścia zgodzi się nawet zostać ich wspólniczką. Przekazała jej zatem, co wymyśliła Kasinda.

Gdy skończyła mówić, zapadła nieprzyjemna cisza. Lua widziała, że sinhá Eulália nie wierzy nawet w połowę tego, co usłyszała.

– Stara Imaculada jest więc tak bogata?

– Na to wygląda.

– Kto by się spodziewał? Latami włóczy się po posiadłości jak najbiedniejsza i najżałośniejsza ze wszystkich niewolnic,
a w rzeczywistości jest zamożną kobietą. Dlaczego nigdy nie próbowała sama się wykupić?

– Miała, uzasadnioną niestety, obawę, że oskarżą ją o bezprawne przywłaszczenie biżuterii.

– Mój Boże, Lua, twój sposób wyrażania się naprawdę onieśmiela.

– Ponieważ doświadczyła już oskarżenia o kradzież – ciągnęła Lua, nie odpowiadając na tę uwagę. – Zapłaciła za to własnym palcem.

Sinhazinha otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Twierdzisz, że obcięto jej palec, bo kradła? – Wydawała się nie tyle przestraszona tą wiadomością, ile raczej zafascynowana straszną karą.

– Nie – odparła Lua. – Ucięto jej palec, chociaż nie dopuściła się kradzieży.

– To okropne!

– Tak.

– Chcecie mi zatem powierzyć złoto i biżuterię Imaculady, żeby się wykupić?

– Właśnie tak, sinhazinha.

– Ufacie mi więc? Twój Zé na pewno jest przekonany, że po prostu wezmę ten skarb, żeby go sobie zatrzymać. Nieprawdaż?

Lua zdumiała się tą jej znajomością ludzi.

– Coś w tym rodzaju. Ale ja panience ufam. Zdołałam przekonać Zé, że jest panienka naszą jedyną szansą.

– Jesteś pewna, że skarb Imaculady naprawdę istnieje? Że nie są to jakieś bezwartościowe blaszane błyskotki?

– Chce panienka zobaczyć?

– Masz go tutaj?!

– Kasinda, to znaczy Imaculada, jest bardzo pewna swego. Była przekonana, że panienka zgodzi się nam pomóc, przezornie zatem zostawiła nam swój skarb.

Lua pogrzebała przy rąbku spódnicy, do którego przymocowała skórzany woreczek. Następnie zaprezentowała jego zawartość w ten sam sposób, jak uczyniła to wcześniej Kasinda. Wysypała ją z mieszka na kolana. Wiedziała, jaki efekt wywołuje kontrast między cennymi klejnotami a jej wytartą spódnicą.

Eulália podskoczyła podekscytowana i wpatrywała się w „błyskotki". Ze zdumienia otwarła usta. Najwyraźniej odebrało jej mowę, ponieważ nie powiedziała ani słowa. Lua nie pokazała przy tym wszystkich precjozów, tylko, jak zaproponowała Kasinda, pewną ich część.

Również Lua milczała. Obydwie przyglądały się w zamyśleniu skarbowi. Lua odnosiła wrażenie, że Eulálii chodzi po głowie podobna myśl jak jej, mianowicie smutna prawda, że same pieniądze szczęścia nie dają. Kasinda miała przecież pieniądze i nie mogła kupić za nie nic, co byłoby dla niej cenne.

– Zrobię to – oznajmiła nagle Eulália. – Pomogę wam. Znam godnego zaufania kupca w Salvadorze, który zapłaci dość dobrą cenę. Powinno to wystarczyć na wykupienie was obojga. Was trojga. Ale lepiej zatajmy twoją ciążę, nie chcemy przecież podwyższać ceny. – Mrugnęła przebiegle.

– Ttto jjjest... Dziękuję! – wyjąkała Lua.

– Życz mi szczęścia. Widzę kilka przeszkód, które muszę pokonać. Jak mam na przykład wyjaśnić, skąd zdobyłam nagle taki majątek? I jak.. Ach, co tam! – Eulália przerwała sama sobie. – Jakoś sobie poradzę. – Widać było, że się cieszy tak, jak cieszy się dziecko, gdy wymyśli dobry psikus.

– Powodzenia, sinhazinha!

Przez chwilę Eulália miała ochotę objąć Luę na pożegnanie, Lua czuła to wyraźnie. Sama również tego chciała. Przeważyło jednak wychowanie – blisko dwadzieścia lat przeżytych wspólnie w roli pani i niewolnicy nie dawało się łatwo zatrzeć.

Spoglądała za Eulálią, gdy ta odchodziła pospiesznie.

Zé wysunął się z ukrycia i mruknął:

– I tyle ją widzieliśmy.

Lua pokręciła głową na taki brak wiary w ludzi. Potem wróciła do obozowiska, usiadła pod palmą i zamknęła oczy.

Kości zostały rzucone.

Teraz mogli już tylko czekać.

47

Gdy Zé wrócił pewnego dnia z jednej ze swoich wypraw, jak zwykle obładowany żywnością, miał niepokojącą nowinę do przekazania. Kasinda zniknęła. Już od wielu dni, jak skarżył się zrozpaczony José, staruszki nie można nigdzie znaleźć, wszystkie próby zawiodły. Ponieważ jednak była już stara i nie miała wartości dla swojego właściciela, nie przeprowadzono szeroko zakrojonych poszukiwań. W rzeczywistości, jak przypuszczał Zé, a Lua zgodziła się z nim, dom Felipe był nawet zadowolony – jedna gęba do wyżywienia mniej. Wykluczyli, by Kasinda mogła uciec. Nie powierzyłaby im przecież swojego majątku, gdyby sama zamierzała wyruszyć na poszukiwanie rodziny. Nie, odeszła, by umrzeć.

Opowiedziała swoją historię do końca, przekazała im swój skarb i powierzyła misję do wykonania. Zrobiła wszystko, co miała do zrobienia, a potem, niczym zwierzę, które czuje zbliżający się koniec, udała się w jakieś miejsce, w którym mogła odejść w spokoju. Lua była prawie pewna, że powierzyła się morzu, wielkiemu Oceanowi Atlantyckiemu, który stał się grobem jej małej córki i który oddzielał ją od ukochanej Afryki. Zadbała także o to, by nie znaleziono jej ciała, a cóż mogło pochłonąć ją pewniej niż morskie fale?

– Musisz przekazać to José – powiedziała do Zé, gdy już przedstawiła mu swoje wnioski. – Kocha ją od lat. Powinien wiedzieć, że odeszła jako kobieta szczęśliwa, wierząc, że osiągnęła swój skromny cel.

– Dlaczego właśnie teraz miałaby odebrać sobie życie? – spytał Zé. – Mogła poczekać, by przekonać się, czy uda nam się znaleźć jej wnuka. Jeszcze kilka miesięcy i mogłaby go uściskać.

Lua wzruszyła ramionami.

– Może cierpiała na jakąś chorobę i wiedziała, że nie pożyje długo. Obawiam się, że nigdy się tego nie dowiemy.

– Może jednak żyje, tylko idąc tu, miała jakiś wypadek? Na przykład upadła i od wielu dni leży bezradna w zaroślach?

– Nie wierzę w to. Jednak jeżeli ma cię to uspokoić, przeszukajmy ten odcinek plaży.

Tak uczynili, ale jak się można było spodziewać, nie znaleźli Kasindy. Odkryli natomiast na drzewie jedno z typowych nacięć, którymi posłużył się także Zé, by wskazać uciekinierom drogę do swojego quilombo. Nacięcia te wskazywały dokładnie na wschód. Do Afryki.

Lua przeżegnała się, a Zé wymruczał jakieś afrykańskie zaklęcia. Wpatrywali się przez dłuższą chwilę w morze i wspominali wspaniałą kobietę, która była silniejsza i odważniejsza niż ktokolwiek inny ze znanych im osób. Lua życzyła jej, by w świecie przodków, do którego odeszła, czekał ją lepszy los, godny jej wyjątkowego charakteru, lepszy niż los za życia. Kasinda zasłużyła na to, by zostać królową.

Ze spuszczonymi ramionami i zatopieni w myślach wrócili do swojej kryjówki.

– Pewnego dnia przeczytam ci jej historię – powiedziała Lua.

Pokręcił głową.

– Nie, Lua, pewnego dnia sam ją przeczytam. Nauczysz mnie czytać i pisać.

Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Z przyjemnością.

Wieczorem tego samego dnia Zé odbył pierwszą lekcję. Była cudowna pogoda, pełnia, i po tym, jak przez chwilę w zamyśleniu wpatrywali się w olbrzymią jasną kulę pośród niezliczonych migoczących gwiazd, Lua wzięła Zé za rękę. Poprowadziła go w miejsce, gdzie piasek był mokry. Stopą nakreśliła trzy litery. L – U – A.

– Lua, księżyc – powiedziała. – Widzisz, to bardzo proste. Sam napisz.

Całkiem zręcznie skopiował litery. Potem przyciągnął ją do siebie i wyszeptał jej do ucha:

– Lua. – Brzmiało to tak, jakby stanął zdumiony przed wielkim cudem przyrody, budzącym niedowierzanie i cześć. Pocałowali się i popatrzyli sobie głęboko w oczy. – Chodź – wyszeptał, a ona chętnie poszła za nim.

Gdy Eulália wreszcie wróciła, zaskoczyła ich, mimo że już tak długo na nią czekali. Przyłapała ich krótko po grze miłosnej i choć szybko narzucili coś na siebie, ich spocone ciała i potargane włosy wymownie świadczyły o niedawnych poczynaniach.

– Och, ja... przyjdę później. – Spoglądała na nich z zakłopotaniem.

– Nie, proszę zostać! – Lua nie dopuszczała myśli, że sinhazinha mogłaby odejść i wrócić dopiero za kilka dni. Mieli za sobą już ponad tydzień nużącego wyczekiwania. Teraz chcieli wiedzieć, czy Eulálii udało się wykonać zadanie i w jaki sposób. Lua przeczesała włosy

palcami i szybko narzuciła sukienkę, a Zé, owinięty wyłącznie ręcznikiem, zniknął za rogiem.

Eulália spoglądała za nim z podziwem.

– Ten twój Zé jest bardzo piękny.

Lua skinęła głową.

– Gdyby tylko nie miał na plecach tych paskudnych blizn... – Gdy Eulália uświadomiła sobie, co powiedziała, szybko dodała przepraszająco: – Wówczas wszystkim nam wydawało się to zasłużoną karą.

– Wiem. Nie czynię panience wyrzutów, i Zé także.

Eulália spojrzała na nią z powątpiewaniem, ale nie kontynuowała tematu. Potem, jakby zupełnie niespodziewanie, przypomniała sobie, dlaczego właściwie przyszła, i zaczęła się ekscytować:

– Lua, nie uwierzysz, co udało mi się zdziałać!

– Proszę poczekać, aż Zé wróci. Jestem pewna, że także chętnie wysłucha opowieści panienki.

Propozycja była nieco ryzykowna, bo Lua wiedziała, że Eulália odczuwa podświadomy lęk przed Zé, tak samo jak wiedziała, że Zé pogardza swoją dawną panią. Uznała jednak, że w tym wypadku nie powinni dłużej się unikać. Eulália trzymała w dłoniach ich wspólny los, a Zé musiał usłyszeć, co miała do powiedzenia. Lua wiedziała, że jest blisko i uważnie słucha rozmowy.

– Tak, pewnie masz rację – przyznała Eulália, choć Lua usłyszała niepokój w jej głosie.

Zé nie kazał na siebie długo czekać. Gdy do nich dołączył i zasiadł z ponurą miną na przewróconym pniu drzewa, które służyło za ławkę, Eulália przywitała go nieśmiało:

– Dzień dobry, Zé.

– Dzień dobry, dona Eulália – odparł.

Lua zauważyła, że zwrot ten wywołuje w Eulálii niepewność. Jako zamężna kobieta miała prawo do pełnego szacunku „dona" przed imieniem, ale Lua przypuszczała, że do tej pory nikt się tak do niej nie zwracał. A Lua nawet odwykła już od wstawiania przed jej imieniem słowa „sinhazinha", „panienka". Postrzegała Eulálię coraz bardziej jako swoją przyjaciółkę, a gdy o niej myślała, to po prostu jako o Eulálii, bez dodatków. Opowiedziała o tym Zé, a on uznał to za dobry znak.

– To dowodzi, że nie uznajesz jej już za swoją właścicielkę – rzekł, a ona przyznała mu rację.

– A zatem... – zaczęła Eulália, nieco się zacinając, ponieważ w obecności Zé najwyraźniej nie czuła się swobodnie. – A zatem jest tak, że nie dostałam za złoto i kosztowności tyle, na ile liczyliśmy.

Zé rzucił Lui ukradkiem nieprzychylne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „A widzisz, wiedziałem, że tak będzie".

Eulália udawała, że nic nie zauważyła, i ciągnęła:

– Nie było to proste. Najpierw musiałam uciec mojej teściowej, donie Filomenie. Gdy udałam, że chcę pojechać do modystki w Salvadorze, uparła się, by jechać ze mną. Przedstawiłam niezliczone powody, dlaczego nie powinna tego robić, ale na próżno, musiała mi towarzyszyć. W Salvadorze wpadłam jednak na nowy pomysł. Powiedziałam, że chcę odwiedzić mojego brata Carlosa. „Och, jak miło" – odparła i wybrała się ze mną. Carlos mieszka ze swoją żoną Isabelinhą w bardzo okazałym miejskim pałacu, który oddał im do dyspozycji ojciec panny młodej. Doprawdy, Carlos to prawdziwy szczęściarz! Mają tam ściany wykładane kunsztownymi azulejos, zupełnie jak w kościele w São Francisco. Mają też kilka rzeźb Aleijadinha, Kaleki. Gdybyście nie wiedzieli, to bardzo utalentowany rzeźbiarz, Mulat. Tak, naprawdę, jego ojciec był Portugalczykiem, a matka czarną niewolnicą. Wszystko potrafi wykonać ten człowiek pomimo swojej dziwnej choroby! Mówię wam, w Ouro Preto, gdzie są wielkie kopalnie złota, uchodzi za prawdziwego geniusza. Ach, ale chciałam opowiedzieć wam, jak uciekłam donie Filomenie. Mój brat zajął ją rozmową, a szwagierka Isabelinha – ona szybko wszystko rozumie, trzeba jej to przyznać – zaprosiła ją do gry w kości. Ha, czyż można to pojąć? Isabelinha i dona Filomena są zatem całkowicie zajęte grą, a Carlos zabiera mnie do właściciela lombardu.

Zé kiwał niecierpliwie nogą. Lua także uważała opowieść za zbyt rozwlekłą, ale nie chciała Eulálii ponaglać.

– Gdy handlarz zobaczył mnie, myślał pewnie, że łatwo mnie oszuka. Sądził, że ma przed sobą młodą mężatkę, która jest szantażowana, musi utrzymywać kochanka albo wpadła w podobne tarapaty. Ja jednak uniosłam wysoko głowę i powiedziałam, że się spieszę, bo mój mąż czeka, a on, czyli ten handlarz, ma mi szybko przedstawić rozsądną ofertę i nie bawić się ze mną w niepotrzebne gierki. Jego zachowanie błyskawicznie się zmieniło. Obejrzał biżuterię i monety i zaoferował mi za nie pięć milrejsów. Bez słowa zebrałam wszystko i wstałam, jakbym chciała wyjść. „No dobrze, siedem" – zaoferował, a ja go wyśmiałam. „Proszę mnie posłuchać, droga dono Eulálio" – powiedział, bo mnie znał, i mojego brata najwyraźniej również, ale ten siedział mało widoczny w powozie. „Moja droga przyjaciółko, wie pani, że nie mogę zapłacić pani rzeczywistej wartości tych rzeczy. Trudno je sprzedać i sam muszę coś na tym zarobić". Ach Lua, i Zé, to było wspaniałe! Odwrócił się i plótł bzdury. W końcu zgodziliśmy się na dziewięć milrejsów. Dziewięć! Co na to powiecie?

Lua nie odrzekła nic. Odebrało jej mowę. Liczyli najwyżej na pięć milrejsów, a Eulália uzyskała niemal dwukrotnie więcej. To było... cudowne! Zé zaklaskał powoli w dłonie. Jego osamotniony, drwiący aplauz był zupełnie nie na miejscu, jak uznała Lua, trąciła go więc

w żebra, żeby przestał, co też uczynił.

– Cudownie! Świetnie to panienka załatwiła – powiedziała Lua, gdy odzyskała głos. – Mogłaby panienka zostać sprytną handlarką.

Eulália promieniała, gdy opowiadała dalej.

– Prawda? A będzie jeszcze lepiej. Najtrudniejszą częścią przedsięwzięcia było skłonienie mego ojca i męża do sprzedaży dwojga niewolników, o których miejscu pobytu nic nie wiadomo.

– No i...? – dopytywała się Lua. W tym miejscu historia zaczęła naprawdę ją interesować. Czy Eulália zdołała kupić ich wolność, czy też nie?

– I... było bardzo niebezpiecznie. Mój ojciec, dom Felipe, szalał z wściekłości, gdy dałam mu do zrozumienia, że wiem, gdzie się ukrywacie. Ale ja się nie poddałam. Rzucał mnóstwo przekleństw i gróźb, lecz im bardziej się denerwował, tym spokojniejsza byłam. Naprawdę bawiło mnie obserwowanie jego wybuchów wściekłości, bo wiedziałam, że nie może mi nic zrobić.

– No cóż, mógłby przecież... – wtrąciła Lua, ale zaraz jej przerwano.

– ...kazać mnie wychłostać? – Eulália spojrzała na Zé, ale ten nawet się nie skrzywił. – Nie sądzę. Również Rui Alberto, mój ukochany małżonek, był bardzo zagniewany moimi planami. Najbardziej złościło go, że nie miał pojęcia o tej wielkiej sumie, którą położyłam na stole. Gdy dałam mu do zrozumienia, że posiadam znacznie więcej pieniędzy, nagle bardzo spokorniał. – Eulália zaśmiała się cicho na to wspomnienie. – To zdumiewające, ile szacunku można zdobyć, gdy dysponuje się czymś, co inni chcą mieć, czy to pieniędzmi, czy wiedzą. Albo kiedy udaje się, że się tym dysponuje. Zapamiętam to sobie.

Zé zaczął niecierpliwie kiwać stopą i tym razem Eulália zrozumiała sygnał.

– A więc, krótko mówiąc, wreszcie mój mały braciszek, który swoją drogą chce teraz z moim kochanym mężem robić interesy na włóknach kokosowych; czyż można w to uwierzyć? A zatem to Manuel swoją ostrą jak brzytwa logiką powstrzymał ich obu przed tym, by mnie zbić albo zamknąć w areszcie domowym. „To przecież wyjątkowo korzystny interes" – powiedział. „Dostaniecie pieniądze, a nie musicie dostarczać towaru, tylko wystawić dwa dokumenty. Chciałbym, żeby z cukrem też tak było". I sprawa została postanowiona.

– Czyli udało się? – zawołała Lua.

– I to jak! – Eulália pogrzebała w torbie i wyjęła wreszcie dwa zwoje papieru. Naśladując odgłos fanfary, podała jeden dokument Lui, a drugi Zé. – Wasze dokumenty poświadczające wyzwolenie.

Lua rozwinęła pismo, przebiegła je szybko wzrokiem i przeczytała na głos decydujący fragment, żeby i Zé dowiedział się, co napisano tam charakterystycznym pismem dom Felipe:

– Mulatka Maria Luisa „Lua" Oliveira, urodzona w fazendzie

São Fidélio piątego maja w roku pańskim tysiąc siedemset czterdziestym czwartym, otrzymuje ze skutkiem natychmiastowym i bez ograniczeń prawa wolnego człowieka.

Lua płakała. Rzuciła się na pierś Zé, a on ją przytrzymał. Czuła, że sam także jest bliski łez.

– Ostrożnie! – krzyknęła Eulália. – Bo pogniecie te cenne dokumenty!

Lua wyzwoliła się z objęć Zé i padła w ramiona Eulálii.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję! – Łkała, a ze szczęścia kręciło się jej w głowie.

– Dziękuję, dona Eulália – powiedział wreszcie Zé.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Zé – odparła. Nie chciała okazywać wzruszenia, ale nie zdołała się powstrzymać. Jej głos drżał. Potem ponownie sięgnęła do torby i wyjęła małą sakiewkę.

– Niechętnie pozbawiam was złudzeń, że byliście bezcenni. Obawiam się bowiem, że kosztowaliście mniej, niżbyście chcieli. Ta niezasłużenie niska cena ma jednak pewną zaletę. – Podała Zé woreczek. – No dalej, zajrzyj!

Wysypał zawartość na otwartą dłoń. Ku zaskoczeniu jego i Lui, znajdowały się tam jeszcze trzy milrejsy w złotych monetach, dość, by opłacić podróż statkiem do Rio de Janeiro i koszty utrzymania przez wiele miesięcy.

– Targowałam się jak przekupka – oznajmiła Eulália z dumą. – Niełądnie wychwalać samą siebie, ale muszę to zrobić.

Zawahała się, jakby czekała na zachętę, by mówić dalej.

– Proszę się nie krępować. Z pewnością nie uznamy pani za niewychowaną – wyświadczył jej tę przysługę Zé. – Wręcz przeciwnie, nie znam wytworniejszej damy niż pani. No cóż, w każdym razie białej.

Wszyscy roześmiali się, a śmiech ten rozładował napięcie. Eulália wesoło ciągnęła opowieść:

– A więc te małe targi sprawiły mi prawdziwą przyjemność, jeśli możecie w to uwierzyć. Uważam, że byłabym pewnie całkiem dobrą sprzedawczynią. Manuel, mój młodszy brat, też jest tego zdania. Pochwalił mój kupiecki spryt i upór, a mało który komplement sprawił mi tyle przyjemności. W jego ustach przypominało to właściwie pasowanie na rycerza, ponieważ w całej rodzinie to właśnie Manuel ma bezsprzecznie najlepszą głowę do interesów. Kto wie, pewnego dnia, gdy przekonam również donę Filomenę o moim nowo odkrytym talencie, będę miała może większy wpływ na losy fazendy...

– I losy niewolników – dodał Zé.

– Słusznie, na losy niewolników również. Oczywiście, nie wypuściłabym wszystkich na wolność, nie. Ale zatroszczyłabym się o to, żeby mieszkali w godnych warunkach. Nigdy nie rozdzielałabym rodzin, nie odbierałabym dzieci matkom ani mężów żonom. Zawsze

uważałam to za wstrętne. – Na jej twarzy pojawiło się obrzydzenie, ale zaraz otrząsnęła się i ciągnęła celowo wesołym tonem: – Ach, porozmawiajmy o czymś milszym.

– Nie uważam, żeby... – zaczął Zé, lecz Lua przerwała mu, kładąc uspokajająco dłoń na jego ramieniu.

Przypuszczała, że chciał powiedzieć w tej kwestii coś zaangażowanego, uznała jednak, że pora nie jest odpowiednia.

– I co poczniecie ze swoją wolnością? Dokąd się udacie? Czy naprawdę chcecie wyruszyć do Rio de Janeiro, naszej nowej stolicy?

Lua skinęła głową. Oczywiście, nie wtajemniczyła Eulálii we wszystkie szczegóły planu. Sinhazinha nie wiedziała więc, że mieli jeszcze zapas złota ani że chcieli wykupić wnuka Kasindy. Powiedziała jej jedynie, że chcą go odszukać i przekazać prezent od babki. Uczyniła to, aby dowiedzieć się o miejsce zamieszkania szwagierki Eulálii, do której należał chłopiec. Nie miała pewności, czy jeszcze go tam zastaną. Równie dobrze mogły czekać ich długie poszukiwania.

– Tak – powiedziała. – Wsiądziemy na najbliższy statek do Rio. Potem zobaczymy, co dalej. Na pewno jednak do panienki napiszę. Teraz nie muszę już ukrywać, że potrafię.

Zachichotały. Eulália szybko jednak spoważniała.

– Zazdroszczę wam. Jak to musi być pięknie zostawić dawne życie za sobą i rozpocząć wszystko od nowa.

– Bardzo się na to cieszę. Mam jednak nadzieję, że i życie panienki przybierze teraz lepszy obrót. W przyszłości na pewno będzie panience łatwiej podejmować decyzje w Três Marias, skoro już zdobyła panienka szacunek.

– Oby Bóg cię wysłuchał, Lua.

– I dona Filomena również – dodał Zé. – To naprawdę bardzo władcza dama.

Zaśmiali się, ale zarówno u Eulálii, jak i Lui śmiech przeszedł wkrótce w cichy szloch. Objęły się.

– Będę za tobą tęsknić, Lua. W innym życiu mogłybyśmy na pewno zostać prawdziwymi przyjaciółkami.

– Uważam, że jesteśmy przyjaciółkami i w tym życiu.

– Nie opowiadaj swojemu dziecku strasznych historii o życiu w niewoli i o twojej dawnej pani.

– Jeżeli to będzie dziewczynka, moglibyśmy nazwać ją Eulálią – powiedział Zé pytającym tonem, patrząc kątem oka na Luę.

Był to największy komplement, jaki mógł uczynić Eulálii, nawet jeżeli wynikał tylko z chwilowego nastroju. Lua pomyślała, że nazwaliby córkę raczej Kasindą.

– A jeżeli urodzi się chłopiec? – spytała Eulália ze łzami wzruszenia w oczach.

– Jeszcze się zastanawiamy, ale jednym z faworytów jest Bombom

junior. – Zé mrugnął do Lui.

Wszyscy troje wybuchli śmiechem.

– Jesteście szaleni – orzekła Eulália.

Tak, byli szaleni.

Szaleni z miłości i ze szczęścia.

Tło historyczne

Salvador da Bahia do 1763 roku było stolicą portugalskiej kolonii Brazylii. W rejonie wokół miasta znajdowały się liczne rozległe plantacje trzciny cukrowej, które wyłącznie za sprawą niewolników przynosiły fantastyczne dochody i umożliwiały ich właścicielom życie w dostatku, a nawet przepychu. Na południe od Salvadoru od XVIII wieku uprawiano głównie kakao, kolejny produkt, na którym dzięki niewolniczej pracy oraz wielkiemu popytowi na czekoladę w Europie bogacili się właściciele plantacji oraz łowcy niewolników.

Od końca XVI do początku XIX wieku sprowadzono do Brazylii łącznie około czterech milionów Afrykańczyków, głównie z zachodniej części kontynentu, większość ich do Bahii (dziś stanu Brazylii). Na statkach przewożących niewolników panowały fatalne warunki – ponad połowa pojmanych nie przeżywała podróży. Ci, którzy trafili do Ameryki Południowej zdrowi, również nie mogli liczyć na długie życie. Czarnych traktowano jak zwierzęta. Musieli pracować aż do śmierci. Zmuszano ich do wyparcia się dawnej mowy, wierzeń i wszystkich tradycji, a utrata kulturowej tożsamości prawdopodobnie osłabiała ich ducha jeszcze bardziej niż tortury fizyczne.

Tylko bardzo nielicznym udawało się znaleźć schronienie w jednym z quilombo, wiosek zakładanych przez czarnych w nieprzebytej głębi lądu. Zapewne najsłynniejszym quilombo było Palmares, które w okresie największego rozkwitu, w połowie XVII wieku, zajmowało powierzchnię równą powierzchni Portugalii i liczyło 30 tysięcy mieszkańców. Jego ostatni przywódca, Zumbi, został ścięty w 1695 roku i do dziś jest czczony jako bohater buntu niewolników przeciw panom.

Niektórym czarnym udawało się kupić wolność. Ci, którzy zdołali to uczynić, wracali niekiedy do Afryki i prowadzili handel ze swoimi dawnymi właścicielami, inni zostawali w Brazylii, zarabiając na życie rzemiosłem i inną drobną działalnością. Nieliczni zyskiwali majątek i poważanie jako artyści, tak jak rzeźbiarz i malarz José Joaquim da Rocha, który ozdobił wnętrza najwspanialszego kościoła w Salvadorze, ale jako czarny nie miał do niego wstępu...

Bahia uchodzi za najbardziej „afrykański” ze wszystkich

brazylijskich stanów, a jej ludność w 80 procentach jest ciemnoskóra. Muzyka (samba), wierzenia religijne (candomblé) czy taniec (capoeira) o wyraźnie afrykańskich korzeniach świadczą o pochodzeniu, podobnie jak egzotycznie przyprawiane potrawy (vatapá, carurú, muqueca, acarajé) czy tradycyjny strój Bahijczyków, składający się z szerokiej białej spódnicy, turbanu i bransolet balangandã. Afrobrazylijski styl życia, który jest czymś znacznie więcej niż tylko folklorem, rozwinął się jednak dopiero pod koniec XIX wieku i ma niewiele wspólnego z afrykańskimi wzorami. Ponieważ niewolnikom surowo zabraniano pielęgnowania tradycyjnych rytuałów, przetrwały wyłącznie ich pojedyncze elementy, które w ciągu minionych 120 lat stały się częścią niezależnej kultury rejonu Bahia, słusznie będącej przedmiotem dumy, ponieważ w niepowtarzalny sposób łączy afrykański mistycyzm z ogromną radością życia typową dla Brazylii.

Pieśń kolibra

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Część I

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16

Część II

17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31

32
33

Część III

34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47

Tło historyczne
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
DAS LIED DES KOLIBRIS

Wydawca
Beata Prokopczyk

Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska

Redakcja
Ewa Borowiecka

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta
Marianna Filipkowska
Irena Kulczycka

Copyright © 2011 by Ana Veloso
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Magdalena Jatowska, 2012
Copyright © for the e-book edition by Weltbild Polska Sp. z o.o.,
Warszawa 2012

Świat Książki
Warszawa 2012

Weltbild Polska Sp. z o.o.
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

Księgarnia internetowa: Weltbild.pl

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-273-0313-4
Nr 90453648



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl